

**Judith Lennox**

**Krok w nieznane**

Przełożyła [Barbara Szyszko](#)

**Część pierwsza**

**Bess Ravenhart  
1914-1919**

## Rozdział 1

Płynąc statkiem z Indii, Elizabeth Ravenhart rozmyślała o swoim synku.

Przed oczyma miała jego złociste włoski, dziecięcy uśmiech, pulchne rączki trzymające liść lub orzech, który malec kładł na jej kolanach. Jeszcze słyszała jego śmiech, gdy tylko orzech spadał na podłogę lub gdy tuliła synka do siebie i obsypywała tysiącem pocałunków.

Podziwiając błękit wód Oceanu Indyjskiego, uświadomiła sobie, że jej związek z Jackiem od początku do końca łączył się ze śmiechem.

– Najpierw usłyszałem twój śmiech – powiedział jej kiedyś Jack Ravenhart – a gdy w chwilę potem cię ujrzałem, od razu wiedziałem, że zostaniesz moją żoną.

Poznali się pewnego wieczoru na jasno oświetlonym i zatłoczonym bulwarze w Simli. Powietrze przepojone było dymem i zapachem przypraw. Bess spędzała czas z przyjaciółmi, gdyż jej niedawno owdowiały ojciec wyjechał w interesach. Na bulwarze zbierała się śmietanka towarzyska miasta. Tam umawiano się na randki, kłócono się i zażegnawano spory. Tam też w mgnieniu oka rozpały się namiętności.

Nigdy potem Bess nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego się wtedy śmiała. Na zawsze jednak zapamiętała chwilę, gdy pierwszy raz spojrzała na wysokiego, przystojnego Jacka Ravenharta. Na drugim końcu bulwaru dosiadał niespokojnego, czarnego rumaka. Z oddali widziała połyskujące ostrogi i błyszczące guziki munduru. Śmiech zamarł na jej ustach, gdy poczuła na sobie jego wzrok. Miał wtedy na twarzy, tak dobrze jej potem znany, grymas wyrażający zarazem zachwyt, żądzę, jak i brak rozwagi.

Pobrali się trzy miesiące później. Jack pokonał wszelkie przeszkody. Zawsze zdobywał wszystko, czego zapragnął. W wieku dziewiętnastu lat Bess została małżonką Jacka Ravenharta i synową Fentona i Córy Ravenhart. Mieszkała z mężem w parterowym domu ze służbą. W stajni stały kuce do gry w polo i konie przyuczone do polowań na lisy.

Po roku przyszedł na świat ich syn, Frazer. Jednak młodzi nie musieli zmieniać trybu życia. Podczas wypadów rodziców na bale kostiumowe, pikniki, polowania czy wyścigi konne małego doglądała hinduska niania. I chociaż Bess przeczuwała, że zbliża się jakaś zmiana, nie powiedziała o tym mężowi. Podczas przygotowań do wieczornego wyjścia spoglądała na leżącego w łóżeczku syna, na jego pełne policzki i pulchniutki paluszki. Dopiero ponagląjący ją do wyjścia głos Jacka sprawiał, że już w biegu wkładała rękawiczki i upinała włosy.

Zycie u boku męża było ciekawe i Bess cieszyła się każdą wspólną chwilą. Jack uwielbiał ryzyko. Szukał w życiu emocji, podnieć i niebezpieczeństw. W ciągu dwóch lat małżeństwa wiedli beztroską egzystencję, nie dbając o nic. Idealnie się przy tym uzupełniali. Jack był tak samo ciekawy życia, jak Bess. Łączyła ich całkowita beztroska i życie chwilą, bez spoglądania w odległą przyszłość.

Radość skończyła się wraz ze śmiercią Jacka. Tego dnia o świcie wyjechali na konną przejażdżkę na wzgórza położone za Simlą. Jack zaproponował wyścigi, Bess jednak poczuła nagły niepokój. Na widok nieznannej kamiennej ścieżki i mgły złowrogo otulającej pobliskie drzewa, krzyknęła:

– Jack! Nie!

Jednak on już tego nie słyszał. Spiął konia ostrogami i rzucił się galopem w wąski przesmyk. Usłyszała jeszcze stukot końskich kopyt i oddalający się śmiech Jacka. W chwilę później jeździec leżał już na ziemi.

Przyczyną tragedii był zwalony w poprzek ścieżki konar, z powodu mgły jeździec nie dostrzegł, że droga nagle się urywa. W wyniku upadku Jack skręcił kark. Wraz ze śmiercią męża życie księżniczki, jakie przez dwa lata prowadziła w Simli Bess, skończyło się gwałtownie. Bez męża wszystko straciło sens. Leżąc wieczorami w pustym łóżku, ciągle słyszała jego śmiech.

– I co zamierzasz teraz robić? – spytała nazajutrz po pogrzebie teściowa.

Córa zjawiła się bez zaproszenia w domu, w którym mieszkali Bess i Jack. Była wysoka, mocno zbudowana, jej rozłożyste kształty opinał ciasny gorset. Żałobny strój, który miała na sobie, podkreślał bladość cery i cierpienie widoczne na twarzy.

– Sądziłam, że... – Bess urwała w pół zdania, wyczuwając jakiś podstęp.

Pani Ravenhart ani na chwilę nie usiadła. Chodziła po pokoju, niedbale przesuwając palcami po brzegu wazy, zasłonach i drewnianym, rzeźbionym parawanem.

– Obawiam się, że nie będziesz mogła tutaj zostać, Bess. Jackowi nie wiodło się najlepiej w interesach. Zostawił po sobie olbrzymie długi. Nie mówiąc już o zobowiązaniach wobec służby... i jego niespłaconych rachunkach w kasynie. – Córa władczo spojrzała na synową i dodała: – Żyliście ponad stan.

– Nie zdawałam sobie z tego sprawy – wymamrotała Bess.

– Doprawdy? Przecież pensja oficera kawalerii nie starczyłaby na to wszystko. Bez naszej... bez naszej wydatnej pomocy nie moglibyście żyć na takim poziomie. Weźmy ten dom...

– Nasz dom?

– Dom Fentona, ma się rozumieć.

Tak jak Jack był otwarty i hojny, tak jego ojciec, Fenton

Ravenhart, był oschły i zimny. Córa zamilkła, spoglądając na fotografię syna ustawioną na fortepianie. Następnie zdecydowanie oznajmiła:

– Wszystko tutaj jest własnością Fentona. Do ciebie nic nie należy. I nie spodziewaj się, że będziemy prowadzić dwa domy. To kosztuje...

– Czy przysłała tu pani po to, aby mi powiedzieć, że ja i Frazer powinniśmy zamieszkać z wami? – wybuchnęła Bess.

Córa parsknęła śmiechem.

– Nie sądzę, aby to była dobra propozycja. Szczerze mówiąc, nie zadowalałoby to ani nas, ani ciebie. – Ukrywana za życia Jacka niechęć do synowej objawiła się teraz w pełnej krasie. – Sądzę, że najlepiej będzie, jak wrócisz do swojego ojca – usłyszała Bess. – Mam nadzieję, że zaopiekuje się tobą.

– Tak... nie wiem, czy... – odparła zagubiona. Ostatni raz widziała ojca dwa lata temu. Joe Cadogan był podróżnikiem i marzycielem. Nie przepuścił też żadnej okazji do pomnożenia majątku. Po ślubie córki wrócił do kraju. – Przecież mój ojciec mieszka teraz w Anglii – powiedziała.

Teściowa wyglądała teraz przez okno. Czarna suknia Córy kontrastowała z niebieskozielonymi barwami ogrodu.

– Nie posądzaj mnie, proszę, o brak dobrej woli. Niezależnie od tego, co nas różni, byłaś żoną Jacka. Przyszłam tu, aby ci pomóc. Opłacam twoją podróż do Anglii i zaopiekuję się Frazerem do czasu, aż się urządzisz i będziesz mogła po niego przysłać.

„Zaopiekuję się Frazerem”, powtórzyła Bess w myślach. W pierwszej chwili chciała ostro zaoponować, opanowała się jednak.

– Dziękuję, ale Frazer wróci ze mną do Anglii – zakomunikowała.

Pani Ravenhart usiadła i spytała:

– A czy chociaż wiesz, gdzie obecnie przebywa twój ojciec?  
– Oczywiście – rzuciła spiesznie Bess i zaraz się spieszyła. Od miesiący, a może i od pół roku nie miała od niego żadnych wiadomości. I chociaż powiadomiła ojca o śmierci Jacka, nie otrzymała dotąd żadnej odpowiedzi. Ani listu, ani telegramu.

– Czy jesteś pewna, że miejsce, w którym mieszka, nadaje się dla niemowlęcia? Bo mnie się wydaje, że nie. – Córa uśmiechnęła się lekko. – Poza tym słyszałam, że twój ojciec opuszczał Indie w... niejasnych okolicznościach. – Pani Ravenhart zniżyła głos. – Jak sądzę, chodziło o długi karciane.

Bess zacisnęła pięści ze złości. Córa Ravenhart ciągnęła dalej:

– Możesz mi wierzyć, ja chcę tego samego co ty. Chcę tego, co najlepsze dla syna Jacka. Dlatego właśnie proponuję, by tu został do czasu, aż się urządzisz w Anglii. To się nawet dobrze składa, bo od dawna planowaliśmy odwiedzić w Szkocji Sheldona, starszego brata mojego męża. Wszystko jest przygotowane i w kwietniu przyszłego roku spędzimy u niego lato. Frazer odbędzie tę podróż z nami. Powinno ci wystarczyć czasu, aby do naszego przybycia wszystko przygotować. Oczywiście, będę cię na bieżąco informowała o synu i jestem przekonana, że wszystko dobrze się ułoży.

– Ale ja nie mogę tak po prostu zostawić Frazera! Tylko on mi pozostał! – zaprotestowała Bess.

– On jest jeszcze bardzo mały – wycodziła z naciskiem pani Ravenhart. – Przewiezienie dziecka teraz do wilgotnej i chłodnej Anglii może mu zrujnować zdrowie. Poza tym to tylko kilka miesięcy. Nie możesz zachowywać się egoistycznie. Musisz przede wszystkim myśleć o dziecku. Teraz najważniejszy jest Frazer.

Z pokładu liniowca P&O Bess wpatrywała się w znikającą,

ciemną linię brzegową. Po raz pierwszy opuszczała kraj swojego dzieciństwa. Przyszły jej na myśl wyścigi w Annandal: spienione konie, wyniosłe sosny i cedry na tle jasnego nieba. Wspominała przyjęcia, które organizowali z Jackiem u siebie, napięcie towarzyszące seansom spirytystycznym, wesołość przy zawsze dodającej pikanterii grze towarzyskiej „Prawda czy wyzwanie”\* [Zasady gry: kilka osób zbiera się w kole. Pierwsza stawia pytanie następnej lub każe wykonać czynność, której dana osoba nie wykonałaby w innych okolicznościach. Potem drugi gracz robi to samo, itd. Zazwyczaj pytania i niecodzienne zadania dotyczą intymnej sfery życia. Warto zaznaczyć, że dzisiaj jest to popularna gra wśród dzieci i nastolatków.] pocałunki i szaleństwa. Pamiętała pokryty zielonym sukmem stół, na którym leżał stos pięćdziesięciurupiowych banknotów, i otoczonych mgiełką papierosowego dymu karciarzy, grających do białego rana. Przed oczyma migwały jej kolorowe suknie dziewcząt, fiolet i pomarańcz ozdobnego hibiskusa i bugenwilli. Widziała białe szczyty Himalajów, skąpane w złocistych promieniach słońca. Jednak przede wszystkim myślała o chwili, w której przekazała syna w ręce Córy. Patrzyła wtedy na jego drobną, pełną dziecięcych minek buzię i rozbiegane, bystre, ciemnoniebieskie oczy.

Samotną wdową zaopiekowali się państwo Williamson. O pani Williamson można było powiedzieć, że jest uprzejma, choć nie umiała utrzymać wokół siebie porządku i nie wyróżniała się niczym szczególnym. Mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami: „Ta wojna... taka straszna... biedni chłopcy” – rzucała, potrząsając głową. Bess wiedziała, że na drugim końcu świata wybuchł właśnie konflikt zbrojny, ale wcale jej to nie zainteresowało. Poza tym uważano, że na święta Bożego Narodzenia będzie już po wszystkim. Pani Williamson opowiadała o swoim synu, który był akurat na szkoleniu

wojskowym w Anglii. Miała też dwie zameżne córki. Jedna mieszkała w Indiach, druga w domu rodziców w Edynburgu. Na zdjęciach widać było poważne twarze wnuków państwa Williamson; dzieci pozowały w odświętnych ubraniach: jedno z koronkowym kołnierzykiem przy sukience, drugie w marynarskiej bluzie. Wieczorami, z wyjątkiem niedziel, Bess, obstawiając małe kwoty, grywała ze współpasażerami w wista lub pikietę. W niedziele nie grano w karty, nie bawiono się i nikt nie czytywał powieści. Nawet nie uśmiechano się do siebie, myślała rozżalona. Niedzielami rządziła niepodzielnie wszechogarniająca nuda. Nie działo się nic, co mogło rozproszyć monotonię bezkresnego Oceanu Indyjskiego, a potem nieznośny żar Morza Czerwonego.

W Port Saidzie uzupełniano zapasy węgla na statku. Na pokład weszli żołnierze. Co śmielsi podchodzili do stojącej w cieniu markizy Bess. Rozmawiając z nimi, podniesioną dłonią osłaniała oczy przed słońcem odbijającym się zarówno od złotych guzików i epoletów, jak i od powierzchni morza. Oficerowie, podkrecając węża, napawali się widokiem pięknej niczym rajski ptak kobiety, będącej prawdziwą ozdobą towarzystwa. Gdyby tylko zechciała, znalazłaby na statku nowego męża, zanim rejs zakończy się w Southampton.

Przed snem ułożyła na łóżku swoje najcenniejsze rzeczy: bogato zdobione kaszmirowe szale w charakterystycznych dla Indii kolorach błękitu, ochry i odcieniach rudego. Obok leżały naszyjniki, bransolety i broszki. To prezenty od Jacka na urodziny i rocznice. Były też fotografie Jacka i Frazera oraz dziecięce ubranko, które zrobiła na drutach dla synka. Gdy Bess przycisnęła je do twarzy, od razu poczuła znajomy zapach niemowlęcia. Przeglądając zdjęcia, pomyślała, że teściowa zmusiła ją jedynie do uświadomienia sobie sytuacji. Musi to przetrzymać. Dla Frazera. Za tydzień będzie już w Anglii.

Pójdzie wtedy do hotelu, w którym zamieszkiwał ojciec, i z jego pomocą wynajmie jakiś dom. Potem napisze do pani Ravenhart, żeby bez zbędnej zwłoki przybyła z Frazerem do Anglii. A może papa sfinansuje jej podróż do Indii? Wtedy sama popłynie po syna.

Jednak w tej właśnie chwili nic nie mogło zmienić niepokoju, jaki odczuwała Bess od chwili, gdy przyjęła propozycję Córy Ravenhart. Pamiętała przecież, jak bardzo teściowa kochała Jacka, swoje jedyne dziecko. Pamiętała, jak podczas rodzinnych spotkań nieustannie wodziła za nim wzrokiem, jak obstawała przy tym, aby Jack siedział obok niej. Przypomina też sobie, że w obecności syna Córa łągodniała. Uśmiechała się wtedy w szczególny sposób. Była taka wyłącznie przy Jacku.

Statek w końcu zacumował w Southampton. Kłęby dymu unosiły się z komina. Bagażowi spieszenie przynosili walizy podróżnych na dworzec kolejowy. Był listopad, niebo zasnuła gruba warstwa ciemnych chmur. Bess zawahała się, schodząc z trapu. Ogarnął ją lęk. Robię krok w nieznaną, pomyślała.

Na stacji Waterloo serdecznie pożegnała się z towarzyszami podróży, państwem Williamson. Obiecali korespondować ze sobą. Z okien taksówki ciekawie przyglądała się Londynowi, chłoneła zgiełk miasta. Zatłoczonymi ulicami przesuwały się samochody, tramwaje i tłumy przechodniów. Chociaż do wieczoru było jeszcze daleko, zaczęło się już ściemniać. Pozbawione liści gałęzie wyłaniały się z mgły, nieznanne zapachy mieszały się w gęstym powietrzu. Gdy po skręcie w boczną ulicę mgła nieco zelzała, Bess przez chwilę widziała czarną, gładką powierzchnię Tamizy. Poprzez zalegający na wodzie biały tuman przedzierały się ostrzegawcze pohukiwania syren sygnalizacyjnych. Uliczni sprzedawcy głośno zachwalali

swój towar. Tutaj było chłodno, znacznie zimniej niż w letnie wieczory w Simli. Cieniutki płaszcz i bawełniane rękawiczki nie chroniły Bess przed przenikliwą wilgocią. Jestem zatem w Londynie, pomyślała i poczuła lekki dreszcz emocji; w zasobnym i potężnym mieście. W największej metropolii Imperium. Auto dotarło do hotelu. Niezdarnie przeliczała bilon, do którego nie była przyzwyczajona. W końcu zapłaciła za kurs i wysiadła.

Weszła do ogromnego, wyłożonego marmurem foyer, gdzie liście palm rosnących w mosiężnych donicach zwisały aż do wypolerowanej podłogi. Lustra w pozłacanych ramach odbijały światło z żyrandoli. Damy w roziskrzonych paciorkami wieczorowych sukniach, ze strusimi piórami we włosach, schodziły po schodach. Bess nieśmiało popatrywała na dżentelmenów, siedzących w skórzanych fotelach. Palili papierosy, przeglądali prasę, kelnera zaś przywoływali pstryknięciem palcami.

W recepcji spytała o numer pokoju, zajmowanego przez ojca. Recepcjonista na dłuższą chwilę pochylił się nad oprawioną w skórę książką meldunkową, po czym poinformował Bess:

– Obawiam się, szanowna pani, że dżentelmen o takim nazwisku nie jest naszym gościem.

Bess poleciła mu sprawdzić jeszcze raz. Recepcjonista przesunął palcem po spisie:

– Z całą pewnością pan Cadogan nie zatrzymał się u nas.

– Ależ on musi tu być!

– Bardzo mi przykro, proszę pani – odparł i głośno zamknął księgę.

Bess stała bez ruchu. Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić.

– Być może mógłbym pani pomóc, moja droga? – Usłyszała nieznamy głos.

Stał przed nią jasnowłosa, rumiany, wysoki mężczyzna. Mógł być w wieku jej ojca.

– Nazywam się Harris, Harris Dempster. – Skinął głową, podając nazwisko. – Jestem rezydentem w tym hotelu. Co mogę dla pani zrobić, moja droga? – zapytał.

– Nazywam się Ravenhart – przedstawiła się Bess.

Nieznajomy powtórzył nazwisko, sylabizując z lubością.

– Enchante – dodał i pocałował dłoń Bess. – Musi mi pani wybaczyć bezceremonialność, droga pani Ravenhart, ale usłyszałem nazwisko Joe Cadogana i nie mogłem zostawić pani w potrzebie.

– Czy to pana znajomy?

– Oczywiście! Stary, poczciwy Joe zawsze był dobrym kompanem. – Pan Harris uśmiechnął się w odpowiedzi.

– To mój ojciec – wyjaśniła Bess.

– Nie jest pani do niego podobna. – Nieznajomy nieco się zdziwił.

– Zawsze byłem podobna do mamy. Sądziłam, że ojciec mieszka tutaj. Czy pan wie, gdzie mogłabym go znaleźć?

– Niestety, straciliśmy kontakt ze sobą – odpowiedział z ubolewaniem. – Po wypadku, jakiemu uległ, wyprowadził się z hotelu.

– Po wypadku?

– Biedaczysko, potrafił go tramwaj. Londyn stał się niebezpiecznym miastem. Można stracić życie, nawet przechodząc przez ulicę. A biedny Joe nie był przyzwyczajony do takiego ruchu. Wszak dopiero co wrócił z tropików, nieprawdaż? – Pokręcił głową. – Ale, ale... Nie musi się pani od razu denerwować, moja droga. Gdy opuszczał hotel, zaledwie nieco kulał. Pewnie teraz wraca do zdrowia, wygrzewając się gdzieś na plaży. Nie sądzi pani?

– Muszę go odszukać – odpowiedziała.

Ojciec pomoże mi urządzić się w tym ciemnym, zimnym mieście. Muszę znaleźć dom dla Frazera, pomyślała. Harris spojrzął na bagaże:

– Pani prosto z podróży?

– Tak. Właśnie przyплыnęłam z Indii.

Harris rozpromienił się, słysząc o kolonii.

– Musi mi pani opowiedzieć wszystko o tym kraju. Zapraszam panią na kolację. Nie! Nalegam na przyjęcie zaproszenia. Potem zastanowię się, gdzie może się podziewać nasz Joe. Głodnemu trudniej się myśli, czyż nie tak?

Podczas kolacji powrócił wrodzony optymizm Bess. Poczowała się odurzona zamówionym przez Dempstera Harrisa szampanem i wytwornością restauracji, w której barwne jedwabie i atłasy dam kontrastowały z surowością wojskowej zieleni mundurów towarzyszących im oficerów. Patrzyła na prawdziwe damy z towarzystwa, przy których znane jej z Simli panie wydały się staromodne i prowincjonalne.

Pan Harris wygodnie usadowił się w fotelu i zapytał:

– I jak się pani podoba Londyn? Jak się pani tutaj czuje, pani Ravenhart?

– Wspaniale! – odpowiedziała z uśmiechem. – I dziękuję za zaproszenie. Kolacja była wyśmienita.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł uprzejmie Harris. Odchrząknął i patrząc na czarną suknię Bess, zapytał: – Czy to żałoba po mężu?

– Tak. Jack spadł z konia. Nie wiem, co dalej ze mną będzie.

– To straszne... – W oczach mężczyzny błysnęło nagle zainteresowanie. – Nie mogę pani tu tak zostawić, samej, bezbronnej pośród żołnierzy, moja biedna kruszyno. – Wypowiadając te słowa, ujął dłoń Bess. – Mam pewien pomysł. Może pójdziemy gdzieś potańczyć, to panią rozweseli. Znam doskonały dancing.

Bess oswobodziła dłoń z uścisku, zbywając propozycję grzeczną odmową.

Harris podał jej nazwiska osób, z którymi jej ojciec utrzymywał kontakty towarzyskie i biznesowe. Wiedziała też, które kluby i puby odwiedzał najczęściej. Siedząc w wynajętym pokoju hotelowym, przeglądała wszystkie listy, jakie ojciec wysłał do niej z Anglii. Nie była to regularna korespondencja i na jej podstawie trudno było ustalić, gdzie mógł teraz przebywać.

Młoda kobieta długo patrzyła przez okno. W dole przesuwali się tłum przechodniów: żołnierz szedł ze swoją dziewczyną, obejmując ją ramieniem, jakaś para w strojach wieczorowych wysiadała z taksówki. Bess przeniosła wzrok z zamglonych światel latarni na szereg pobliskich, sięgających nieba budynków. Żałowała, że nie jest ptakiem. Mogłaby odszukać ojca, unosząc się ponad tymi wszystkimi domami, sklepami i biurami. Mogłaby penetrować ulicę za ulicą, zaglądać w okna i kominy. I tak aż do skutku.

Następne dni przypomniały Bess zabawę, którą jeszcze w Simli nazwali z Jackiem „poszukiwaniem skarbów”. Szukając śladów ojca, trafiała zarówno do lokali z dyskretnymi salkami obitymi purpurowym pluszem, jak i do restauracji, w których gości obsługiwali kelnerzy w białych fartuchach, spieszenie roznoszący półmiski z kotletami i kufle mocnego angielskiego piwa. Odwiedzała położone przy cichych ulicach wille z czerwonej cegły, gdzie rozmawiała z wdowami i rozwódkami, których uroda już dawno przeminęła. Czule wspominały Joe Cadogana, lecz nic nie mogły powiedzieć o jego obecnym miejscu zamieszkania. Prosiły za to, aby uprzejmie przypomniawszy mu o dziesięcioszylingowych długach, jakie po sobie zostawił.

Szukała w pubach i różnego rodzaju totalizatorach, gdzie jedynymi kobietami w lokalu były barmanki. Na męskie zaczepki odpowiadała roztropnie. Nie zakrywała twarzy woalką, to utrudniłoby jej zadanie. Poruszała się po mieście taksówkami, tramwajami i kolejką podziemną. Była wiecznie zmarznięta, bez względu na to, ile warstw ubrania miała na sobie. Pragnąc odnaleźć ojca, schodziła nogi. Zaniepokoiła się, gdy na trasie jej poszukiwań zaczęły się pojawiać coraz uboższe i węższe uliczki.

Na ulicy Spitalfields bose dzieci szukały pod ulicznymi straganami jabłek i kapusty. Widziała śpiącego w bramie bezdomnego, wyglądał niczym sterta zniszczonych łańców.

Bess zapukała do drzwi pensjonatu, z którym z jednej strony sąsiedował zakład kuśnierski, a z drugiej zielarnia. Rozchodzący się z niej zapach piżma mieszał się z cierpkim zapachem uliczki, natychmiast przywołując bolesne wspomnienia z Indii.

Właścicielka zaprowadziła Bess do pokoiku na piętrze. Na krześle przed kominkiem siedział podstarzały mężczyzna. Nie rozpoznała go. Kiedy jednak na nią popatrzył, rozpromienił się i przemówił:

– Bess, moja Bess. Skąd się tu wzięłaś, drogie dziecko? Ojciec opowiedział Bess, jak po wypadku podupadł nieco na zdrowiu, ale teraz czuł się wyśmienicie. Nie chciała w to wierzyć. Wyglądał źle. Po przebytej w Indiach malarii miał żółtawą skórę. Gdy kaszlał, na chustce zostawały ślady krwi. Pobyt w Anglii wyraźnie mu nie służył. Zdawało się, że szarówka i chłód wysysają z niego wszystkie siły witalne. Ucieszył się na widok córki, jak mówił, tylko że, niestety, wpadł w tarapaty. Większość jego przyjaciół odeszła z tego świata, a niektórzy po prostu o nim zapomnieli. Po opłaceniu lekarza pozostał bez grosza i nie miałby nic przeciwko temu, aby Bess wsparła go paroma gwineami. Listu zawiadamiającego o śmierci

Jacka nie otrzymał. Wiadomość, iż jego córka właśnie została wdową, zszokowała staruszką.

– Biedaczysko... był zbyt młody, żeby umierać. – To wszystko, co zdołał powiedzieć.

Po opuszczeniu pensjonatu Bess ledwo zdołała opanować narastającą panikę. Oto znalazła ojca starego i schorowanego, zamkniętego w pozbawionym wygod pokoiku.

Będąc u siebie w hotelu, wyjęła ze szkatułki naszyjnik z szafirem w kształcie gwiazdki i złotą bransoletę. Odnalazła Harrisa Dempstera w palarni:

– Najmocniej przepraszam, że niepokoję, ale może pan wie, gdzie mogłabym spieniężyć te przedmioty? – spytała, pokazując biżuterię.

Harris od razu sięgnął po skórzany pugilares. Dał się słyszeć szelest banknotów.

– Och! Nie ma potrzeby pozbywać się klejnotów, droga pani Ravenhart. Zawsze służę pomocą tak uroczej damie. – Uśmiechnął się, odsłaniając nieco żółtawe zęby widoczne tuż pod równo przyciętymi wąsami, i podał banknoty Bess. – I nie musi pani się spieszyć z oddawaniem mi tej skromnej pożyczki. Sprawiłoby mi niewymowną radość, gdyby zechciała pani przyjąć moją... – zawahał się, dobierając właściwe słowo – ...opiekę.

Bess pomyślała o synu. Pamiętała, jak niosła go na rękach, a malec próbował wyjąć srebrne grzebyki utrzymujące jej fryzurę. Widziała, jak w ogrodzie, szeroko otwartymi oczyma chciwie łowił ruch ptaków i kwiatów. Jeżeli przyjmie teraz pieniądze od Harrisa Dempstera, jutro będzie mogła posłać po Frazera.

Jednakże odmówiła. Da sobie radę sama, znajdzie jakiś sposób. Jeszcze nie musi przyjmować propozycji tego rodzaju.

Pan Harris westchnął zawiedziony:

– Wielka szkoda. Moglibyśmy miło spędzić czas. – Jego

oczy wyrażały tęsknotę. – Przypomina mi pani osobę, którą kiedyś znałem. Też była brunetką i miała takie same niebieskie oczy.

Dzięki sprzedaży bizuterii Bess wynajęła w Ealing umebłowany dom z tarasem. Zaangażowała pomoc domową i otworzyła rachunek w pobliskim sklepie spożywczym. Napisała do Córy Ravenhart, pytając o Frazera. Chroniąc się przed chłodem pod ciepłą, puchową kołdrą, wróciła myślami do czasów dzieciństwa, spędzonego z ojcem oficerem w wojskowych kwaterach Madrasu. Pamiętała, że po śmierci matki przenieśli się w góry, gdzie Joe Cadogan założył plantację indygowca, na której chciał się dorobić. Nieudana inwestycja zmusiła ich do powrotu na rozgrzane równiny. Tam ojciec handlował drewnem tekowym, mahoniem, hinduską bawełną i jedwabiem. Przez wszystkie te lata przez ich dom przetaczał się nieprzerwany korowód ciotek. Gdyby zgodziła się na niemoralną propozycję Harrisa Dempstera, skończyłaby tak samo, jak jedna z krewnych, ulotna istota, która straciła swoją atrakcyjność, gdy tylko zbladła uroda przestała kogokolwiek zachwycać.

Prawdę mówiąc, Bess nigdy nie miała prawdziwego domu. Zbyt często poziom życia rodziny zależał od szczęśliwej karty czy wygranego zakładu na wyścigach. Nie prowadziła rozważnego trybu życia. Bywało, że jej szafę wypełniały jedwabne sukienki, ale czasami przez długie godziny przerabiała rzeczy, z których już dawno wyrosła. Miała jednak swobodę, na jaką w tamtych czasach rodzice rzadko zezwalali angielskiemu dziecku. Ubrana jedynie w szorty i kamizelkę, mogła biegać po okolicznych bazarach i kąpać się w rzeczках razem z dziećmi tubylców. Nikt nie zakazywał dziewczynce się śmiać, gdy koledzy taty opowiadali rubaszne dowcipy. Nikt też nie kazał jej sztywno siedzieć przy gościach z rękami na kolanach, nie

pozwalając się odezwać bez pytania.

Tak pośród towarzyszy ojca upływały jej dni, dopóki nie poznała Jacka. Stało się to w położonym wśród wzgórz Simli, ciasno zabudowanym miasteczku, będącym siedzibą lokalnych władz. Poznała wtedy moc drzemiącą w kobiecym uroku. Choć bywając w towarzystwie, nosiła wypożyczone suknie, czuła jak mężczyźni wodzą za nią wzrokiem zarówno na balach, jak i podczas konnych przejażdżek po miejskim bulwarze. Pragnienia ich wszystkich zawarł w swoim drapieżnym spojrzeniu Jack Ravenhart. Wyszła za niego, bo to właśnie ten mężczyzna dawał jej nadzieję na stateczne życie. Czyż mogła przetrwać w inny sposób?

Nigdy nie była pewna uczucia do Jacka. Oczywiście bardzo go lubiła i pożądała. Wcześniej nie знаła tego uczucia. Czy jeśli pragniesz mężczyzny, którego lubisz, oznacza to, że go kochasz? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziała jednak, że dałaby wiele za możliwość przytulenia się teraz do Jacka, baraszkowania razem, obserwowania jego nienasyconych oczu. Pamiętała dotyk jego dłoni, którymi badał kształt jej ciała, zupełnie jakby rysował jakąś mapę. Dotyk, który doprowadzał ją do rozkoszy. Pamiętała swoją bezgraniczną tęsknotę, gdy wyjeżdżał z domu.

Łzy popłynęły po policzkach Bess. Jednak użalanie się nad sobą było stratą czasu. Na toaletce dostrzegła kopertę. Był w niej list, którego nie wysłała do Córy Ravenhart. Pisała w nim o chorobie i ruinie finansowej ojca, o rozczarowaniu Anglią, gdzie zawsze jest tak zimno i mokro. Pisała o zaskoczeniu, jakie przeżyła, widząc bosc dzieci i stertę łachmanów okrywającą bezdomnego w jednej z bram.

\*

Długo nie nadchodziła odpowiedź, napisała więc ponownie.

Brak listu od Córy tłumaczyła sobie zaginięciem poczty w dalekiej drodze do Indii.

Zimą, gdy wojna na froncie zachodnim przybrała charakter pozycyjny, wielokrotnie pisała do byłej teściowej. Nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Obowiązujące w mieście zaciemnienie jeszcze bardziej przygnębiało Bess. Ciągłe dręczyły ją pytania: Dlaczego pani Ravenhart nigdy jej nie odpisała? Czy Frazer jeszcze za nią tęskni? Gdy odpływała, miał trzynaście miesięcy – czy mógł rozumieć powody, dla których musiała go zostawić? Bess najbardziej niepokoiła się, czy synek nie jest chory. A może to właśnie było przyczyną milczenia pani Ravenhart? Może nie chciała przekazywać jej tak przykrych wiadomości? Młoda kobieta czuła, że ogarnia ją nieznanе dotąd uczucie obawy. Rozłąka z Frazerem źle na nią wpływała.

Posiadane jeszcze pierścionki i bransoletki sprzedała, by opłacić rachunki za lekarzy dla ojca, wynajem domu i utrzymanie. Każdy z klejnotów przywoływał obrazy z przeszłości, jedne zamknięte w księżycowym kamieniu, inne w chłodnym ogniku diamentu. Zimowe dni wolno następowały po sobie. Bess wypełniała je, czytając ojcu książki i grając z nim w karty. Miasto otaczała ściana mgły i deszczu, co zmusiło Bess do całkowitej zmiany trybu życia. W najzimniejszych miesiącach wracała myślami do małych zamieszkujących świątynię Hanumana na górze Jakko. Dzieci z Simli rzucały im ciastka. Zwierzęta nieustannie goniły się pośród sosen i wiciokrzewów, a powietrze wypełniała kakofonia małych wrzasków. Wspomnienie o tym, jak szalała razem z dziećmi, pomagało Bess przezwyciężyć smutek i przygnębienie, towarzyszące jej całą zimą.

Coraz częściej w snach widziała Frazera. Czasami jej nie poznawał, czasami wyglądał zupełnie inaczej i wówczas to ona nie poznawała syna. W jednym ze snów wracała do Simli. Jej

dom stał opuszczony. Na bulwarze dostrzegła wysokiego blondyna, który uśmiechał się, machał ręką na pożegnanie i zniknął.

Tu, gdzie mieszkała teraz, drzwi wejściowe do wszystkich domów były pozamykane, a sąsiedzi nie zbierali się na pogaduszki po zachodzie słońca, jak w Indiach. W ich zdawkowych uśmiechach i całkowitym braku ochoty na jakiegokolwiek kontakty towarzyskie widziała dezaprobatę. Gdy czuła się samotna, rozmawiała z dozorcą zmiatającym ulicę lub ze sprzedawczynią słodyczy w pobliskim sklepiku. Jadąc tramwajem, zamieniała parę słów z żołnierzami przebywającymi w Londynie na rekonwalescencji. Nierzadko mieli zabandażowane głowy lub trzymali ręce na temblaku.

Gdzieś na wiosnę 1915 roku Bess pogodziła się z myślą o rychłej śmierci ojca. Mniej więcej w tym samym czasie Niemcy użyli gazów trujących w tak zwanej drugiej bitwie pod Ypres. Podobnie jak żołnierze spod Ypres, jej ojciec walczył o każdy haust powietrza. Siedziała przy nim na łóżku, trzymała jego dłoń i słuchała ciężkiego oddechu chorego. Na własne oczy widziała, jak powoli, acz nieubłaganie opuszczają go werwa i optymizm, które cechowały ojca przez całe życie. Już lepiej spaść z konia, pomyślała, i umrzeć, pędząc w porannym wietrze.

Joe Cadogan zmarł 1 maja. Właśnie zakwitły drzewa i Bess po raz pierwszy od przyjazdu do Anglii poczuła powiew cieplejszego powietrza. Po ceremoniach pogrzebowych przeglądała rzeczy ojca. Znalazła wśród nich figurkę słonia z drewna tekowego, mosiężny lampion i wysadzany szlachetnymi kamieniami sztylet. Papa twierdził, że otrzymał go od hinduskiego księcia.

Ponieważ Joe Cadogan zmarł na gruźlicę, spalono jego ubranie i pościel. Bess sprzedała niewielki księgozbiór ojca, a tekowego słonia i zdobiony sztylet wstawiła do antykwariatu w

londyńskiej Belgravii. Handlarzowi używaną odzież oddała kilka letnich sukienek i co lepsze suknie wieczorowe. Jestem sama w tym kraju, nie będę potrzebować tych strojów, pomyślała. Pozostałe rzeczy osobiste zmieściły się w niewielkiej walizce.

Porządkując dom przed oddaniem kluczy właścicielce, Bess przypomniła sobie słowa Córy Ravenhart: „Od dawna planowaliśmy odwiedzić w Szkocji Sheldona, starszego brata mojego męża. Wszystko jest już przygotowane i w kwietniu przyszłego roku spędzimy u niego lato” – powiedziała wtedy teściowa.

Młoda kobieta pamiętała fotografię stojącą na kredensie w domu teściowej, przedstawiającą Ravenhart House, obszerną rezydencję o szarych murach. Dom stał na tle łańcucha górskiego.

– Dom stryja Sheldona – wyjaśniał Jack. – Paskudny, prawda?

W bibliotece Bess odnalazła na mapie posiadłość Ravenhartów. Sprawdziła, że aby dotrzeć do Perthshire w Szkocji, musi przejechać z jednego końca Wysp Brytyjskich na drugi. Postanowiła nie pisać i nie uprzedzać Cory Ravenhart o przyjeździe. Podczas długiej i chłodnej zimy niepokój Bess przerodził się w brak zaufania do teściowej. Oczyma wyobraźni widziała, jak Cora głaszcze jasne włosy Frazera dłońmi w koronkowych rękawiczkach. Tym razem nie pozwoli się zdominować. Zabierze synka i już nigdy go nie zostawi.

W Edynburgu Elizabeth przesiadła się na pociąg do Perth. Zmierzała na północ przez kraj poprzecinany górami i dolinami, jakby wyrzeźbiony wprawną ręką artysty. Jeszcze tego samego wieczoru była w Pitlochry, gdzie przenocowała w pensjonacie. Myśląc o dniu jutrzejszym, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Już

jutro zobaczy Frazera i skończy się ich rozłąka.

Rano wynajęła dwukołowy wózek zaprzężony w kuca. Rzeźkie powietrze zapowiadało wietrzny dzień. Wąski trakt wił się pośród wzgórz, lasów i ścian skalnych. Niekiedy pojazd tak bardzo kołysał się na nierównościach drogi, że Bess musiała przytrzymywać się oparcia. Płaską dolinę rzeki zamykały majestatyczne góry, oświetlane słońcem, gdy tylko udawało mu się wyrzeć z za chmur. Zaskoczyło ją, że im bliżej była celu podróży, tym bardziej czuła, że jest w domu. Mijane sosny i żywopłoty zarośnięte kapryfolium przypominały jej Simlę.

Wreszcie usytuowany przy bramie wjazdowej domek dozorca potwierdził, że trafiła do posiadłości Ravenhartów. Musiała pokonać jeszcze stylowy mostek w kształcie łuku i długą dolinę. Teraz z obu stron drogi wyrastały pionowo wysokie skalne ściany. Płytka rzeczka wiła się pomiędzy kamieniami. Porastające brzegi brzozy poruszały się na wietrze. Woźnica poinformował Elizabeth, że wszystko, co widzi, należy do Ravenhartów. Pod wpływem majestatycznego piękna otaczającej przyrody Bess zapomniała przez chwilę o celu podróży. Po raz pierwszy od przybycia do Anglii mogła odetchnąć pełną piersią. Londyn okazał się miejscem przygnębiającym, tutaj zaś czuła się swobodnie, zupełnie jakby na nowo odzyskała wolność.

Gdy jodłowa zasłona lasu się przerzedziła, Bess ujrzała Ravenhart House. Pomyślała, że Jack się mylił, gdy mówił o tym domu „ponure gmaszysko”. Wręcz przeciwnie, budowla prezentowała się wspaniale. Stylowa, schodkowa ściana szczytowa, dzielone okna, iście bajkowe wieżyczki ze stożkowymi dachami w narożnikach domu. Dach główny był pokryty ciemnym łupkiem, tynkowane ściany wznosiły się na kamiennej podmurówce. W ogrodzie rzędy bukszpanu, rododendronów i wysokich sosen doskonale uzupełniły ten

wspaniałą widok.

Dwukółka zatrzymała się na żwirowym podjeździe. Elizabeth spojrzała w okna domu, w nadziei, że dostrzeże gdzieś Frazera. Nikogo jednak nie zobaczyła, a budynek sprawiał wrażenie opuszczonego, pełnego zagadek, tajemniczego zamczyska. Wysiadła i jeszcze raz spojrzała na Ravenhart House. Zastanawiała się, jakie zjawy mogą krążyć po jego ciemnych korytarzach i schodach.

Przycisnęła dzwonek. Nagłe wspomnienie ciepła dziecięcych rączek Frazera, chwil, gdy nosiła synka na rękach, przyprawiło Bess niemal o fizyczny ból. Była rozradowana, może zaraz po wejściu zobaczy, usłyszy małego? A może powinna zawołać go po imieniu i wtedy dziecko rzuci się jej w ramiona? Zdawała sobie sprawę z tego, że podrośł. Teraz był małym chłopcem, a nie niemowlęciem. Powinien już umieć chodzić, a może i mówić. Powtarzała jednak sobie, że Frazer musi ją choć trochę pamiętać, może jej głos, a może zapach.

Podawała swoje nazwisko służącej i weszła do środka. Ściany salonu pokrywało ciemne drewno, w ogromnym, zdobionym snycerką kamiennym kominku palił się ogień. Elizabeth nie mogła usiedzieć na miejscu. Przechadzała się po pokoju, oglądała trofea myśliwskie i meble, ciemne i masywne, jak przystało na taki dom. Kredens i stół pokrywała cienka warstwa kurzu. Pająki ozdobiły swoją siecią wiszące na ścianie poroże jelenia. Na szafach i kominku stały fotografie. Przedstawiały dziewczynki w białych, letnich sukienkach i słomkowych kapeluszach w towarzystwie kobiety o surowym spojrzeniu, ubranej w krynolinę i czepek. Przy upolowanym jeleniu, ze strzelbami opartymi na ramionach, stała triumfująca grupa mężczyzn w tweedowych marynarkach. Patrzyli na Bess władczy wzrokiem. Był też portret młodego oficera, który wydał się Bess nieco zasmucony.

Serce młodej wdowy biło jak oszalałe, po ciele przebiegały fale gorąca. Zdjęła rękawiczki i podeszła do okna. Być może Frazer bawi się w ogrodzie. Może uda się choć przez chwilę dostrzec, jak w białym ubranku przemyka między rododendronami.

Odwróciła się, słysząc kroki.

– Czy pani Ravenhart? – usłyszała.

Sheldon Ravenhart był niskim, korpulentnym mężczyzną. Podobnie jak cały dom, jego gospodarz też sprawiał wrażenie zaniedbanego. Rzadkie włosy nie były uczesane, przy kamizelce brakowało guzika.

– Moja nierozgarnięta służąca powiedziała, że przyjechała pani Ravenhart – rzucił zirytowany, patrząc na Bess. – To nonsens. Mówiłem jej, że się pomyliła.

– Jestem wdową po Jacku Ravenharcie – wyjaśniła. – Proszę mi wybaczyć to najście bez uprzedzenia, ale przybyłam tu spotkać się z panią Ravenhart.

W odpowiedzi mężczyzna parsknął śmiechem. – Acha! Jeżeli tak, to spóźniła się pani. Moja żona zmarła w 1905 roku.

Speszona Bess wyraziła ubolewanie z tego powodu.

– Chciałam rozmawiać z panią Corą Ravenhart – poprawiła się.

– Z Corą? Nie ma jej tutaj. Ona przebywa w Indiach.

– W Indiach? – Elizabeth poczuła ból w sercu.

– Z całą pewnością – dodał mężczyzna i podszedł do niej. Poczula zapach tytoniu i stęchlizny. Pamiętała, że właśnie tak pachniały stare meble i ubrania, gdy kończyła się pora deszczy monsunowych.

– Jeżeli jest pani wdową po Jacku – zaczął z rezerwą – to z pewnością wie pani, że Cora i Fenton od lat mieszkają w Indiach.

– Widocznie przyjechałam za wcześnie. Zapewne są jeszcze

w podróży... – odparła zrezygnowana.

– Nic o tym nie wiem – wymamrotał.

Gdy Sheldon podszedł do światła, Bess dostrzegła plamy na jego kamizelce i postrzępione rękawy koszuli.

– Fenton nigdy za dużo do mnie nie pisał – odrzekł i spojrzął na zegarek. – Służąca poda zaraz coś do zjedzenia, lecz nie mogę służyć zaproszeniem na obiad. Odkąd owdowiałem, prowadzę skromne życie.

Elizabeth ogarnął niepokój.

– Czyżby Cora nie pisała do pana?

Grymas irytacji przemknął po twarzy gospodarza.

– Cora zawiadomiła mnie o śmierci syna. Pani męża.

– A czy rodzice Jacka nie wybierają się tego lata w odwiedziny do pana?

– Nic o tym nie wiem. Teraz pozwoli pani, że się oddalę.

Bess poruszona do żywego chwyciła Sheldona za ramię.

– Ale państwo Ravenhart będą tu za miesiąc czy dwa, prawda?

Zniecierpliwiony Sheldon Ravenhart uśmiechnął się zimno.

– Jest pani w błędzie. Nie spodziewam się odwiedzin mojego drogiego brata i jego żony.

To musi być jakieś nieporozumienie, pomyślała. W tej chwili oczy ludzi na fotografiach, a także wypchanych ptaków i zwierząt zawieszonych na ścianach przybrały wyraz udręki i cierpienia.

– Przecież Cora zapewniła mnie, że wszystko jest ustalone – rzuciła w desperacji.

– Być może rozmawialiśmy kiedyś o wizycie, ale nie umiem powiedzieć nic więcej – odparł i skierował się do drzwi. – Proszę mi wybaczyć, muszę wrócić do swoich zajęć.

– To znaczy, że tu nie ma mojego synka? Nikt nie miał zamiaru przywozić go tutaj? – zapytała łamiącym się głosem.

Nie zdejmując dłoni z klamki, Sheldon Ravenhart odwrócił się do Elizabeth.

– Pani syn? – zapytał.

– Tak! Moje dziecko, Frazer. Popatrzył na Bess, jakby była szalona.

– W tym domu nie ma żadnego dziecka. Proszę mi wierzyć. Przepraszam, ale nic na to nie poradzę.

Odjeżdżając z Ravenhart House, Bess obejrzała się raz jeszcze. Badawczo spoglądała w okna w nadziei, że może jednak zobaczy Frazera. Wtedy właśnie chmury przesłoniły słońce, pogrążając dom w ciemnościach. Już nie wydawał się jej baśniowym zamkiem. Czarne plamy okien zionęły złowrogą pustką. Jodłowy las za zakrętem drogi całkowicie zasłonił rezydencję. Znów było jej zimno. Zapięła płaszcz aż pod szyję. Rozejrzała się wokoło i stwierdziła, że tu wcale nie było tak, jak w Simli. Myliła się wcześniej. Przebywała w zupełnie nieznanym kraju, oddzielona tysiącami kilometrów od syna.

Elizabeth była w szoku. Myśli bezładnie krążyły jej po głowie, opanowała się jednak. Musiała realnie ocenić, co właściwie zaszło. Być może, zdruzgotana nagłą śmiercią Jacka, źle zrozumiała Corę. Albo też coś pokrzyżowało plany Ravenhartom. Przecież Sheldon powiedział: „Być może rozmawialiśmy kiedyś o wizycie, ale nie umiem powiedzieć nic więcej”. Jakże chciała, aby przypomniawszy sobie wszystko.

A może państwo Ravenhart odłożyli podróż ze względu na działania wojenne? Mogli się przestraszyć ryzyka. Tak, to musi być przyczyna, uznała Bess, odczuwając lekką ulgę. Prasa donosiła o atakach przeprowadzanych u wybrzeży brytyjskich na statki handlowe. Nie minął jeszcze miesiąc od zatopienia na wodach irlandzkich statku pasażerskiego Lusitania. Ponad tysiąc osób straciło wtedy życie. Być może miała złudną nadzieję, że

te sprawy ją ominą. Gdy opiekowała się ojcem, czekając na przyjazd Frazera, wojna, niczym plaga, rozeszła się po świecie, zmieniając ludzkie losy.

Była też inna możliwość, pomyślała i aż zadrżała. Może wszystko idzie według planu Cory.

Czyżby chciała zatrzymać przy sobie Frazera?

Czy to jednak wchodziło w grę? Tak! Teraz stało się jasne, że i taki wariant jest możliwy. Teściowa nigdy nie darzyła jej sympatią. Odradzała Jackowi ożenek. Przecież córka jakiegoś kupca nie była właściwą partią dla jedyne go syna państwa Ravenhart. Jednak Jack szedł zawsze własną drogą. Pomimo życia w luksusie, rozpieszczany od dziecka przez służbę i matkę, potrafił się przeciwstawić Corze. Podobnie jak ona, Jack miał żelazną wolę. Był przystojny, odważny, wręcz zuchwały. Miał też swoje wady. Oczekiwał opieki i adoracji. Nie akceptował niepowodzenia. Musiał dostać to, czego pragnął. W przeciwnym razie dąsał się, chodził naburmuszony i wściekły. W ciągu dwóch lat małżeństwa śmiali się, ale też kłócili ze sobą. Było trzaskanie drzwiami i rzucanie talerzami, aż służba chowała się po kątach. Mąż Bess umiał być niezmiernie uprzejmy, ale też, kiedy było mu wygodnie, nie liczył się z uczuciami innych. A już zupełnie nie umiał znieść krytyki. Tak został wychowany. Matka zepsuła mu charakter.

Wszystkie uczucia, do jakich Cora Ravenhart była zdolna, przelała na syna. Nieraz Bess widziała oschłość teściowej w stosunku do męża. A jak taka kobieta zniesie utratę jedynej osoby, którą kochała? Czy pogrzeży się w modlitwie do końca dni? A może poszuka kogoś, kto mógłby powetować jej tę wielką stratę, przegonić żal i nienawiść? Czy, nie zważając na konsekwencje i uczucia innych, Cora mogłaby sięgnąć po dziecko ukochanego syna?

W drodze powrotnej z Perth do Edynburga do przedziału Elizabeth dosiadła się młoda para. Młodzieniec próbował dyskretnie objąć dziewczynę w talii. Ta chichocząc odpierała zaloty.

- Ken! Nie! To nie wypada, – Daj spokój...
- Mój drogi!
- Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzamy? – zapytał Ken.
- Właśnie się pobraliśmy – wyjaśnił pospiesznie.
- Moje gratulacje.
- Poznaliśmy się z Annie zaledwie miesiąc temu.
- Doprawdy?
- Nie ma co siedzieć w domu, prawda? Nasz miesiąc miodowy potrwa jedynie dwa dni, a potem wysyłają mnie na front do Francji. A tam może przydarzyć się wszystko.

– Ken...

– Nic się nie martw, kochanie. Na pewno wrócę. Dwie wspólne noce to o wiele za mało dla mnie.

Pociąg jechał dalej. Młodzi szeptali między sobą, paląc wspólnego papierosa. Skulona przy oknie Bess patrzyła na krajobraz, jednak zamiast wzniesień i lasów widziała jasne włosy i niebieskie oczy Frazera. Machał rączką na pożegnanie, gdy opuszczała dom Ravenhartów.

A właśnie, że wrócę do Indii, pomyślała z furją, i zabiorę Frazera ze sobą. Nie powinien tam być. Nie pozwolę, aby Cora mi go odebrała. Muszę mieć jednak środki na podróż. I, jak to powiedziała Cora, muszę mieć dokąd zabrać Frazera. Elizabeth zerknęła do portfela. Pięć funtów, dwadzieścia szylingów. Daleko z tym nie zajadę. Wszystko rozbija się o brak pieniędzy, pomyślała z goryczą.

Musi znaleźć pracę. Co jednak umiała robić? Nie mogła pochwalić się gruntownym wykształceniem. Potrafiła jeździć konno, znała przekleństwa w trzech językach, dobrze pływała i

nurkowała. Miała też szczęście w kartach. Czy takie umiejętności mogą być tu pożyteczne? Uznała, że może pracować za barowym kontuarem, na jakimś niższym stanowisku w hotelu, w sklepie z damską odzieżą lub – co, oby się nie zdarzyło – jako pomoc domowa. Zęby pracować w biurze, musiałyby nauczyć się pisać na maszynie. Wątpiła jednak, aby dochody uzyskane z tych zajęć zapewniły utrzymanie dla niej, Frazera i niani. A ta byłaby niezbędną do opieki nad małym, gdy Bess będzie w pracy. Aż ciarki przeszły jej po plecach. Strach całkowicie sparaliżował myśli. Elizabeth obawiała się, że Cora Ravenhart, wychowując wnuka, postanowiła wypełnić w ten sposób puste miejsce po zmarłym synu. Przecież kłamała, opowiadając o rzekomo planowanej podróży do Szkocji. Bess z przerażeniem stwierdziła, że popełniła okropny, nieodwracalny błąd, bezwiednie wchodząc w pułapkę zastawioną przez Corę.

\*

W Edynburgu Elizabeth zatrzymała się w podrzędnym pensjonacie. Musiała odpocząć przed dalszą drogą. Dokąd właściwie powinna teraz pojechać? Do Londynu, którego nie lubi? Nie ma tam ani domu, ani żadnej bratniej duszy. Jej pokój znajdował się na czwartym piętrze czynszówki w starej dzielnicy miasta. Panowały tam smród i wilgoć, a pościeli nie zmieniano dostatecznie często. Okno wychodziło na wąski zaułek, zabudowany innymi kamienicami. Elizabeth źle spała, za okrycie służył jej wytarty, wełniany koc, a resztki pieniędzy wydawała na posiłki w tanich barach i słodkie bułeczki. Za luźną listwą przypodłogową ukryła diamentowe kolczyki, które dostała od Jacka na pierwszą rocznicę ślubu. Były to błękitne, cejlońskie diamenty i Bess je uwielbiała. W takich właśnie warunkach przyszło jej teraz egzystować.

To górskie miasto było dla wędrującej nieznanymi ulicami Bess jedną wielką zagadką. Bywało, że droga prowadziła wysoko ponad dachy domostw, jedynie po to, aby po chwili zanurzyć się w ciemnym labiryncie wąskich uliczek. Elizabeth czuła się zagubiona. Nie wiedziała, co dalej robić. Po raz pierwszy w życiu została sama. Wcześniej zawsze ktoś był obok: ojciec, Jack, znajomi w Simli. Zawsze miała z kim porozmawiać. Tu dokuczała jej samotność. Przesiadując godzinami w kawiarniach nad jedną filiżanką herbaty, zauważała czasami skierowane w jej stronę spojrzenia przechodzących obok mężczyzn. Łapała się nawet na chęci odpowiedzenia uśmiechem. Pamiętała propozycję „opieki” złożoną jej przez Harrisa Dempstera. To by się z pewnością bardziej opłacało niż praca sprzedawczyni. Bess zdawała sobie sprawę, że stoi nad przepaścią i wiedziała, że jeśli czegoś nie wymyśli, runie w dół.

Po długiej nieprzespanej nocy wstała z łóżka. Czesząc długie, czarne włosy, myślała o podróży z Bombaju do Southampton. Wspomniała uprzejme małżeństwo Williamsonów i żołnierzy flirtujących z nią na pokładzie. Wtem w umyśle Elizabeth błysnął pomysł na wyjście z sytuacji. Pamięć podsunęła jej obraz nowożeńców z pociągu, którzy „poznali się zaledwie miesiąc temu”. Bess zamyśliła się, po czym spojrzała w bok. Zmrużonymi szafirowymi oczami oceniała w lustrze swój wygląd. Jej pomysł przybierał coraz bardziej realne kształty. Stałe oszczędzanie na jedzeniu sprawiło, że Bess zmizerniała. Pod skórą uwydatniły się kości policzkowe, mały nos zarysował się wyraźniej. Pełne usta, za którymi tak przepadał Jack, zyskały teraz bardziej stanowczy wyraz. Bess, oprócz urody, miała też talent, który zamierzała spożytkować. Wszystko, czego tak bardzo nienawidziła w niej Cora Ravenhart, należało teraz obrócić na swoją korzyść. Pani

Ravenhart przejrzała ją na wylot. Dostrzegła, że zachowanie Bess jest pozą przybraną jedynie po to, aby jako żona Jacka została zaakceptowana przez socjetę w Simli. Cora uważała swoją synową za bezmyślną, flirtującą rozpustnicę.

Muszę odzyskać Frazera. Po prostu muszę, pomyślała Bess. Podeszła do okna, otworzyła je szeroko i nabrała w płuca rześkiego powietrza. Wciągnęła rękawiczki, włożyła kapelusz i wyszła.

Idąc dzielnicą Castelhills, obmyślała plan. Najpierw odszuka państwa Williamson. Musi dobrze się ubrać i nienagannie zachowywać. Nic im nie powie o przeżywanych trudnościach. Wdowa po Jacku Ravenharcie, a tym samym kuzynka właściciela ogromnych szkockich włości będzie mile widzianym gościem. Uboga wygnanka, wynajmująca pokój w poślednim pensjonacie – raczej nie.

Patrzyła na panoramę Edynburga. Najpierw na rozjaśniane porannym słońcem dachy eleganckich, georgiańskich domów Nowego Miasta, następnie na odległą, głęboko wrzynającą się w ład zatokę Firth of Forth.

Dzięki Williamsonom wejdę do tutejszego towarzystwa, planowała. Muszę bywać w salonach i chodzić na przyjęcia. I jak tylko można najszybciej, rozkochać w sobie jakiegoś bogacza. Powinna to być najlepsza partia w Edynburgu. Potem wyjdę za niego, postanowiła.

## Rozdział 2

Elizabeth sprzedała ostatni klejnot – perłową broszkę. Zostawiła sobie tylko pierścionek zaręczynowy i ślubny oraz kolczyki od Jacka. W sklepie z używaną odzieżą spieniężyła podszytą futrem pelerynę, elegancki, aksamitny płaszcz i jedwabną suknię. Z mocno przetrzebioną garderobą przeniosła się do niewielkiego, acz dobrego hotelu na Nowym Mieście. Idąc tam, słyszała, jak w rytm kroków jej nieliczne rzeczy przesuwają się w pustawej już walizce. Nie wiedziała, na jak długo wystarczy jej pieniędzy. Może na parę tygodni, a jeżeli będzie oszczędzać na jedzeniu, może i na dłużej. Od dłuższego czasu była stale głodna. Uważała jednak, aby się nie zdradzić. Męczyła ją konieczność ciągłego ukrywania sytuacji, w jakiej się znalazła, cerowanych rękawiczek i dziur w pończochach. Była poirytowana koniecznością zachowywania pozorów – udawania skromnej i godnej szacunku wdowy. Wszystko to było jednak niczym wobec lęku, jaki każdego ranka ogarniał Elizabeth. Myślała wtedy o tym, co się stanie, jeśli jej plan się nie powiedzie.

Rozmyślając o nowym małżeństwie, Bess nie sądziła, że wybór będzie tak ograniczony. Wojna potrzebowała wszystkich młodych mężczyzn. A to mogło wszystko zepsuć. Dzięki Williamsonom poznawała młode kobiety, panny i mężatki, z którymi oglądała fotografie braci, narzeczonych i mężów. Spotykała matki, starające się ukryć niepokój o synów. Obracała się wśród będących już po czterdzieście i pięćdziesiątce żonatych prawników, lekarzy i fabrykantów. Ci, w tajemnicy przed małżonkami, prawili jej komplementy. Podstarzali kawalerowie zdradzali swoim wyglądem, że od lat nie dbała o nich żadna kobieta. Łakomie spoglądali na Bess bladolicy młodzieńcy z rzadkim jeszcze wąsem, co było irytujące. Nie

tego chciała.

Gdy już straciła wszelką nadzieję, przedstawiono jej Ralpha Fearnleya – kawalera tuż przed trzydziestką. Od Sary Williamson dowiedziała się, że choć nie był oszalamiająco bogaty, do biednych nie należał. Był starszym wspólnikiem w prowadzonym przez ojca biurze rachunkowym. Mieszkał kilka kilometrów na południe od Edynburga i lada dzień spodziewał się powołania do wojska.

Ralph miał jasne, rude włosy i gładką, nieco pulchną twarz. Szare oczy otaczały jasne rzęsy. Rozbudzenie w nim uczucia było dziecinne proste. Nie trudziła się nawet zastawianiem sideł. Ralph był wszędzie tam, gdzie pojawiała się Elizabeth, stał się jej cieniem. Wystarczyło, że usłyszał, że Bess wybiera się na koncert, a oczekiwał pojawienia się swojej wybranki w hotelowym foyer i szli razem. Uwielbiał patrzeć, jak otoczona zapachem L'Heure Bleu, z połyskującymi diamentowymi kolczykami w uszach, schodziła ze schodów. Gdziekolwiek się obejrzała, usłużny Ralph był zawsze obok. Przynosił lemoniadę, przytrzymywał drzwi, pomagał ubrać się w szatni. Przypominał jej mądrego i wiernego labradora, którego miała w Simli.

Każde dotknięcie jej dłoni, czy to podczas spaceru pod rękę, czy przy podawaniu Bess kieliszka wina, było dla Ralpha ogromnym przeżyciem. Wydawał się wtedy jednocześnie zakłopotany i zachwycony, wręcz oszołomiony. Zupełnie jakby dotykał żywego ognia. Opowiadał Elizabeth o swojej pracy i pasjach, jakim się oddawał. Lubił włóczyć się w okolicach Pentland Hills, wędkować i interesował się historią wojskowości. Gdy opowiadał o czymś, co go naprawdę zajmowało, znikало całe skrępowanie, które objawiało się w obecności Bess i jak zauważyła, mógł wtedy mówić bez końca. Własne opowieści pochłaniały Ralpha tak bardzo, że nie zauważał, iż nie dawał swojej towarzyszce dojść do słowa. Jak

świat światem, mężczyźni lubią popisywać się przed kobietami swoją elokwencją. I w Simli, i w Szkocji, pomyślała. Nawet nieboszczyk Jack potrafił godzinami rozprawić o polo. Słuchając wywodów Ralpa, czasami dyskretnie powstrzymywała ziewanie. Kiedyś nawet zdrzemnęła się podczas wykładu na temat okopów, ukształtowania terenu i sztuki prowadzenia ognia flankowego. Spraw, które z natury rzeczy jej w ogóle nie interesowały.

Elizabeth ostatnio źle sypiała. Wahala się, czy powinna wychodzić za mąż za człowieka, którego nie kochała i który w gruncie rzeczy zupełnie jej nie interesował. Ralph Fearnley był dobry i uczciwy, a jego wady, takie jak nieznaczną pompatyczność i nadmierna drobiazgowość, nie przekreślały tamtych zalet. Z pewnością nie zasługiwał na związek bez miłości.

Co jednak pocnie, jeśli nie wyjdzie za tego mężczyznę? Przerazała ją samotność, jakiej zaznała po śmierci ojca. Elizabeth nigdy nie lubiła być sama. Musiała mieć wokół siebie towarzystwo, rozmawiać, śmiać się. Musiała być z kimś, z kim mogłaby dzielić codzienne sprawy. Najbardziej jednak chciała odzyskać Frazera. Małżeństwo z Ralphem zapewni jej możliwość powrotu do Indii.

W przeciwnym wypadku mały o niej zapomni i już nigdy jej nie pokocha. Gdyby dorastał bez Elizabeth, mógłby nawet pomyśleć, że go porzuciła. A co się stanie z jej ukochanym synkiem, jeśli zostanie pod opieką Cory Ravenhart? Na kogo wyrośnie, myślała z trwogą Bess.

Postanowiła po raz ostatni napisać do Indii. Pytając Core, dlaczego nie przyjechała do Szkocji, błagała o wieści na temat Frazera. Przeczucie mówiło jej wszakże, że nie należy spodziewać się odpowiedzi. Przejścia ostatnich lat pozbawiły Bess złudzeń, lecz i zahartowały. Teraz mogła już bez

skrupułów realizować swoje zamiary i nic nie mogło temu przeszkodzić. Ani wyrzuty sumienia, ani odwlekanie realizacji jej chytrego planu nie wchodziły w grę. Nawet perspektywa monotonnego związku z nudnym Ralphem nie mogła jej powstrzymać.

Ralph przedstawił Elizabeth swoją przyjaciółkę z lat dzieciennych, mieszkającą po sąsiedzku Pamelę Crawford. Masywnie zbudowana, z warkoczami ułożonymi wokół uszu na kształt precli, nie stanowiła konkurencji dla Bess. Nosiła toporną, ciepłą odzież, w której nie było niczego uwodzicielskiego, a na dodatek, zamiast pachnieć L'Heure Bleu, czuło się od niej mydło Imperial Leather. Bess podejrzewała, że Pamela kocha się w Ralphie, lecz zdusiła w sobie wszelkie wyrzuty sumienia. Nawet gdyby lak było, to nie uda ci się go usidlić, pomyślała o nowej znajomej. Co do jednego Elizabeth była pewna: Ralph był skąpcem. Wolał iść pieszo niż zapłacić za taksówkę i niechętnie kupował bilety do teatru w pierwszym rzędzie, preferując tańsze miejsca. O mało nie dostał zawału, gdy w restauracji zamówiła homara, zamiast tak jak Ralph wybrać danie firmowe. Teraz bardzo uważała, aby nie popełniać takich błędów. Podejrzewała, że zwyczaj nadmiernego oszczędzania był następstwem długich lat samotnego życia, jakie wiódł dotąd jej adorator. Nie miał nikogo, kto mógłby mu na to zwrócić uwagę.

Podczas jednej z kolacji poprosiła Ralpa o poradę finansową, wtrącając, że Jackowi zabrakło daleko wroczości w sprawie materialnego zabezpieczenia żony na wypadek swojej śmierci. Ograniczyła się do delikatnego napomknięcia o rozterkach, jakie z tego powodu przeżywa. Unikała wzbudzenia jakichkolwiek podejrzeń co do swojego stanu majątkowego. Wiedziała, że dla wielu osób pieniądze są tematem krępującym i że jej pytanie mogłoby wyrzucić złe wrażenie na Ralphie. Ten

jednak chwycił przynętę.

Jedli obiad w podrzędnej restauracji; Ralph przeżuwał kawałek twardej wołowiny, bo oczywiście nie zamierzał czegokolwiek zostawiać na talerzu.

– Zbyt wielu ludzi – zaczął – nie troszczy się należycie o swoje sprawy.

– Zapewne sądził, że będzie żył wiecznie, prawda?

– Tak, ale ja dysponuję pewnymi środkami. Każdy musi się jakoś zabezpieczyć na czarną godzinę.

Elizabeth przyszedł na myśl zmarły mąż. Śmiał się, gdy znikał we mgle, by już nie powrócić.

– Jack nigdy się nie zastanawiał nad dniem jutrzejszym. Nie wyobrażał sobie, że może się mu coś przytrafić.

Ralph mozolnie kończył swoją wołowinę.

– Spotkałem się z podobną historią w biurze. Ojciec z dziećmi pojechał na wakacje do Francji i tam wszyscy tragicznie zginęli. Wdowa została sama i znalazła się w bardzo trudnej sytuacji.

Bess się wzdrygnęła.

– Nie mów o takich rzeczach, Ralph. To mnie napawa strachem.

– Strachem?

– Boję się o ciebie. Jesteś taki miły, taki dobry dla innie. Czuję się taka samotna po śmierci Jacka. Zupełnie nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ciebie zabrakło – stwierdziła z niewinną miną.

Ralph oblał się rumieńcem. Zmieszany, zakrztusił się gwałtownie, aż musiała poklepać go po plecach. Gdy już przyszedł do siebie, Elizabeth skierowała rozmowę na inne tory. Była jeszcze jedna sprawa, którą musiała kiedyś poruszyć – jej syn. Teraz na to za wcześnie. Musi poczekać. Powiedzmy – do zaręczyn. Bess wydawało się, że już raz czy dwa Ralph chciał

się oświadczyć, ale zawsze przeszkadzały mu jakieś drobiazgi: to kelner przyszedł zabrać i. llerze, to akurat przejeżdżający samochód zatrąbił przeraźliwie. Wyduś to z siebie w końcu, chciała czasami wykrzyzczeć.

Razem wybrali się na przyjęcie do państwa Corstophine, przyjaciół Williamsonów. Jane Corstophine, podobnie jak pani Williamson, uwielbiała muzykę. Przed wyjściem Hess spryskała włosy sokiem z cytryny, który nadawał połysk jej czarnym, gęstym lokom. Jeszcze odrobina szminki, pudru i perfum. Do tego czarna, jedwabna suknia i diamentowe kolczyki. Teraz była gotowa.

Dziś wieczór miała wyglądać szczególnie. Chciała bowiem, aby Ralph wreszcie się oświadczył. Dłużej tego nie zniesie. Prawie niczego nie jadła od rana. Była w krytycznej sytuacji finansowej, a mogła oszczędzać jedynie na jedzeniu. Obawiała się nawet burczenia w brzuchu podczas lancia czy rozmowy z Ralphem i całym wysiłkiem woli powstrzymywała się przed zbyt wczesnym podejściem do suto zastawionego stołu. Za wszelką cenę musiała jednak zachować pozory skromnej wdowy, bo to przemawiało do Ralpa. Ten, jak na złość przez cały wieczór jej nie odstępował, proponując jedynie drinki, drobne przekąski, a potem grę w rzutki w ogrodzie. Doskwierający głód sprawił, że Elizabeth stawiała się coraz bardziej rozdrażniona. Była w takim stanie, że chciała otwarcie powiedzieć Ralphowi, aby porzucił wreszcie swoje sztywne zasady. Nie znosiła ich. Chciała też zwrócić uwagę, aby w tańcu przestał deptać ją po palcach. To przecież groziło puszczaniem oczka, a na nowe pończochy nie mogła już sobie pozwolić. W porę się jednak opanowała i stała się miłsza niż zwykle. Rzuciła swemu wielbicielowi uśmiechy i nawet odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów, co sprawiło, że zawstydzony zamilkł na dobre.

Chciała, aby otoczenie uważało ich za narzeczonych. Wszystko jest na dobrej drodze, dodawała sobie w myślach otuchy i dla uspokojenia nerwów opróżniła jeszcze jeden kieliszek wina.

W pewnej chwili Ralph zapytał:

– Zapewne znasz Stewarda i Jane, którzy rozmawiają właśnie z państwem Murray i państwem Irvine? – po czym kontynuował: – Murray jest adwokatem, a Gilbert Irvine wydawcą. Prawdę mówiąc, właśnie sprawdzam księgi finansowe Irvine’a. Dziewczyna w różowej sukience to jego córka, Louise. Jest zaręczona z synem Murraya. Starsi państwo, stojący na prawo od Louise, to Lewis i Jean Kincardine. Lewis jest starym dziwakiem, interesują go insekty, chrząszcze i inne robactwo.

– A kim jest mężczyzna w wygniecionym surducie, rozmawiający z panem Kincardine?

– Tamten? To doktor Jago, raczej osobliwa postać. Zawsze bez grosza i chyba zamieszany w jakiś skandal, ale nie pamiętam dokładnie...

Dobre sobie. Nareszcie powiedział coś sensownego, pomyślała z gniewem Elizabeth. A i tego nie wie na pewno.

Jakiś dobry znajomy skinął na Ralpha, ale Elizabeth wykręciła się od rozmowy. Salon był już prawie pusty, kelnerzy wynosili półmiski. Po upewnieniu się, że nikt jej nie widzi, Bess nałożyła sobie cały talerz jedzenia. Teraz musiała tylko poszukać jakiegoś ustronnego miejsca.

Wreszcie trafiła do oranżerii. Usiadła wśród tropikalnych pnączy hoi i goździków. Zdjęła rękawiczki i pantofle, oddychając z ulgą. Na chwilę zamknęła oczy, chłonąc zapach kwiatów. Zgiełk przyjęcia ucichł. Po raz pierwszy tego wieczoru Bess pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku. Teraz mogła się pożywić. Z postawionego na kolanach talerza zniknęły kolejno kanapki, przystawki i paszteciki. Pochłaniała wszystko

błyskawicznie.

Wtem usłyszała jakiś szmer. Spojrzała w górę, trzymając ciastko w dłoni. Nie była już sama; do oranżerii wszedł mężczyzna w pomiętym surducie. Elizabeth próbowała schować talerz za donicą, niespodziewany gość szedł jednak w jej stronę, przedzierając się pomiędzy fikusami i palmami.

– Miałem nadzieję, że pani mnie czymś poczęstuje. Nie zjadłem w domu kolacji, a tu już wszystko posprzątane – żalił się.

Elizabeth podała mu talerz.

– Ależ proszę bardzo! Właściwie to nie jestem głodna.

– Konwenanse, zmuszające kobiety, aby powstrzymywały się od jedzenia w towarzystwie, to kompletny nonsens. Większość mężczyzn woli korpulentne damy. Sami czują się wtedy mniej ociężali – odpowiedział i przedstawił się: – Nazywam się Martin Jago.

– Bess Ravenhart. – Podała mu rękę.

– Mam pewien pomysł – zaczął – zjedźmy coś razem. W trakcie posiłku Elizabeth ukradkiem spoglądała na swojego towarzysza. Był krótko ostrzyżonym, wysokim i szczupłym szatynem o bladej cerze. Nie mogła się zorientować, w jakim był wieku. Mógł mieć około dwudziestu pięciu, ale i równie dobrze trzydziestu pięciu lat. Miał na sobie zniszczone ubranie. Na mankietach widniały plamy atramentu, a niegdyś czarny surdut był już zielonkawy ze starości. Doktor Jago wyglądał dziwnie i wcale nie był przystojny. Uwagę Elizabeth przyciągnęło przenikliwe spojrzenie jego szarych oczu.

Po zjedzeniu ciastka Elizabeth mimowolnie oblizała palec. Nagle przypomniała sobie, że nie jest sama.

– Oj! Najmocniej przepraszam! Zapomniałam się! Ojciec zawsze mi powtarzał, że mam koszarowe maniery.

Martin uśmiechnął się i odrzekł:

- Czy mam odejść? Może pani chciała się tu zaszyć sama?
- Zaszyć się? – powtórzyła, dotykając delikatnych płatków bugenwilli. – Nie. Jestem tu, bo podoba mi się to miejsce. Przypomina mi dom.
- Dom?
- Tak. Urodziłam się i wychowałam w Indiach. Tam są właśnie takie kwiaty. – Zateśkniła nagle za Simlą. – Przedstawiam się jako Angielka, ale w żyłach mojego ojca płynęła krew angielska i irlandzka, a matka miała domieszkę szkockiej. Dokładnie tego nie wiem, ponieważ straciłam mamę, gdy byłam jeszcze dzieckiem. A ojciec nie utrzymywał kontaktów ani z jej rodziną, ani ze swoją. Tu, w Anglii, czuję się jednak obco.
- A zatem jest pani po trosze Angielką, Irlandką i Szkotką. Ja też mam mieszaną krew. Jak długo jest pani w Edynburgu?
- Sześć tygodni. Zaledwie sześć.
- I jak się pani tu podoba?
- Cały czas jest mi zimno. – Zadrzała.
- A moja rodzina pochodzi z Francji. Uczyłem się w Anglii, a teraz studiuję medycynę w Edynburgu. Trochę też podróżowałem.
- Może do Indii? – zapytała z nadzieją, że usłyszy coś i rodzinnych stronach.
- Nie, ale kiedyś chętnie się tam wybiorę.
- A ja muszę tam wrócić – rzuciła gniewnie. – Ale jest wojna. – Pomyślała o Frazerze, którego oddzielały od niej setki kilometrów i działania wojenne. – Dziwię się, dlaczego my, ludzie, musimy zawsze mordować się nawzajem – dodała.
- To chyba leży w naturze człowieka.
- Nie mogę się doczekać końca tego wszystkiego.
- Obawiam się, że to potrwa długo.
- Długo?

– O tak. Może nawet kilka lat.  
– To niemożliwe! – zawołała z niedowierzaniem Elizabeth.  
– Ależ tak, droga pani. To wojna pozycyjna. Wojska stoją w miejscu. Nie ma spektakularnych zwycięstw i nie może ich być, ponieważ wszystkie ataki są tłumione w zarodku przez wroga. A marszałek Kitchener nie będzie mógł wyszkolić tylu nowych żołnierzy, aby szybko zwyciężyć.  
– Jeżeli wygramy, to...  
– Nie wiadomo, czy w ogóle zwyciężymy – przerwał jej Martin.

Elizabeth przyjrzała się swojemu rozmówcy. Takiej ewentualności w ogóle nie brała pod uwagę. W wyobraźni widziała teraz Jacka w jasnoczerwonym mundurze kawalerzysty, pędzącego na czele oddziału.

– Wygramy, na pewno wygramy. Przecież zawsze tak było – podsumowała pewnym głosem.

– Fakt, że Wielka Brytania jest wyspą, ma swoje plusy i minusy. Morze stanowi naturalną ochronę, jednak większość żywności musimy sprowadzać z kolonii. I zgadzam się z opinią, że możemy wygrać, ale jakim kosztem? Takie zwycięstwo będzie można uznać za przegraną.

Elizabeth fuknęła z oburzenia i desperacji.

– Czy ktoś z pani bliskich jest teraz we Francji? – dopytywał się.

– Nie. Na szczęście nie mam tam nikogo.

Martin podał jej piersiówkę:

– Może odrobinę whisky?

Po kilku łykach rozgrzewającego alkoholu Bess chciała posłuchać o podróżach doktora.

– Niech mi pan opowie, gdzie pan podróżował.

– Byłem we Włoszech, Grecji, Hiszpanii. A ostatnio w Egipcie. Tam udało mi się zwiedzić Dolinę Królów. Parę lat

temu lord Carnarvon, mecenas Howarda Cartera, otrzymał zgodę na prowadzenie tam wykopalisk. Niestety, wybuchła wojna i wszystko przepadło. Wie pani, choć jestem lekarzem, moją prawdziwą pasją jest archeologia.

– Widzę, że ma pan szerokie zainteresowania. Szczęśliwi ci, którzy otrzymali wybór – powiedziała filozoficznie.

Martin badawczo spojrzął jej w oczy.

– Zawsze można wybierać.

– W moim położeniu mam bardzo niewielkie możliwości. Kobiety w ogóle są mocno ograniczone w swoich prawach – zauważyła z goryczą.

– Teraz jest coraz więcej zajęć dla pań. Na przykład mogą pracować jako pielęgniarki. Znam też czynne zawodowo lekarki. Na przykład Sophia Jex Blake...

– A ile kosztują studia medyczne? – przerwała mu Bess.

– To duży wydatek.

– Ile lat trwa nauka?

– Sześć, siedem lat.

– Tak długo nie mogę czekać. Pozostaje mi tylko jedna droga.

– I co to jest?

– Oczywiście małżeństwo.

– I to chce pani nazwać karierą?

– Ogólnie rzecz biorąc, związek małżeński z jednej strony pozwala kobiecie na uzyskanie odpowiedniego statusu społecznego, z drugiej zapewnia byt. To zupełnie jak praca.

– To mi wygląda na... wyrachowanie.

– Czyżby? – Zmierzyła Martina chłodnym wzrokiem. Muszę pana zapewnić, doktorze, że nawet młodziutkie panny bardzo dokładnie planują swoje małżeństwa. Tak lamo, jak podróżnicy dokładnie przygotowują swoje ekspedycje. – Słowa Elizabeth zabrzmiały złowrogo w pustej oranżerii.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jednak Ralph może widzieć to zupełnie inaczej.

Bess się zarumieniła.

– To już jego sprawa.

– A co pani o nim sądzi? To miły człowiek, ale mam wrażenie, że zanudzi panią na śmierć. – Chciała gwałtownie zaprzeczyć, lecz Jago powstrzymał ją ruchem dłoni. – Chciałem jedynie powiedzieć, że mężczyźni i kobiety inaczej patrzą na te same sprawy. I mają jeszcze tę kłopotliwą wadę, że czasami się zakochują. Czyż to nie przekreśla wszelkich kalkulacji?

– Nie jestem pewna, czy wierzę w prawdziwą miłość.

– A czy można tu mówić o uczuciach?

– Możliwe, że wmawiamy sobie miłość, aby czuć się lepiej i zaakceptować podjętą decyzję – stwierdziła stanowczo Elizabeth.

– Możliwe. Wiem coś o tym.

– Czy jest pan żonaty?

Martin zaprzeczył ruchem głowy i dodał:

– I nie planuję małżeństwa w najbliższym czasie.

– A to czemu? Czyżby aż tak bardzo nie nadawał się pan na męża?

– Obawiam się, że tak. – Niezręcznie próbował strzepnąć okruszki ciasta z rękawa. – Jestem zapominalskim bałaganiarzem i nie lubię siedzieć długo w jednym miejscu. Znajomi uważają mnie za niezdarę i samotnika. A gdy pochłonie mnie praca, to rzeczywiście unikam towarzystwa.

I mówisz rzeczy, o których powinienes milczeć, dodała Bess w myślach i wstała.

– Ależ doktorze! Jestem pewna, że któraś z nas zlituje się wreszcie nad panem i będzie szczęśliwa, opiekując się takim mężem.

Wychodząc z oranżerii, usłyszała odpowiedź Martina.

– Cóż to za poníženie, wyjść za mąż z litości.

Nadmiar wypitego wina wywołał u Elizabeth ból głowy. W ustach pozostał jej cierpki smak alkoholu. Nie wiedziała, co bardziej przyczyniło się do takiego stanu rzeczy: wino i whisky, czy słowa doktora Jago: „Ralph jest miłym człowiekiem, ale mam wrażenie, że zanudzi panią na śmierć”. Jak człowiek taki jak Martin w ogóle śmie ją osądzać? Przecież dopiero co się poznali i niczego o niej nie wie. Do tego, jak sam przyznał, chce pozostać kawalerem.

Tego wieczoru zebrani u państwa Corstophine’ów goście słuchali muzyki. Grano sonaty, a także utwory na pianino i skrzypce. Senną dotychczas atmosferę ożywiły melodie operetkowe i popularne piosenki, śpiewane przy akompaniamencie doktora Jago.

Gdy zakończono arię z „Wesołej wdówki”, Martin poprosił Elizabeth o występ. Przyjęła to bardziej jako wyzwanie niż prośbę. Zaśpiewała balladę, której nauczył ją ojciec. Śpiew nie był jej najmocniejszą stroną, ale wypadła dobrze. Piosenka opowiadała o wzniosłych sprawach: miłości, zdradzie i śmierci: „Gdzie byłaś przez te siedem długich lat, o moja miłości utracona” – ciągnęła rozdygotana Bess, myśląc o Frazerze.

Goście słuchali, a Elizabeth zauważyła, że Ralph ani na moment nie odrywał od niej wzroku. Gdy skończyła, nie zważając na oklaski, podszedł do niej i cicho powiedział:

– Bess, muszę z tobą porozmawiać. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Pani Ravenhart triumfowała.

W drodze do hotelu, Ralph powiedział jej o wezwaniu do wojska, które otrzymał dwa tygodnie temu. Zapewnił Elizabeth o swojej wielkiej miłości i uwielbieniu. Mówił, że nie może bez niej żyć. Wtedy po raz pierwszy się pocałowali. Ralph zamarł

bez ruchu, czując dotknięcie jej warg. Na przekór wszystkiemu, Bess nie przejmowała się tym, że dla wielu ludzi złożona właśnie Ralphowi obietnica niewiele się różni od zachowania ulicznic. Podjęła decyzję.

Dwa tygodnie później byli już małżeństwem. Rozmowa o Frazerze okazała się łatwiejsza, niż Bess mogła przypuszczać. Ralph przyjął rolę ojczyzna z takim samym oszołomieniem, jakie towarzyszyło początkom ich znajomości. Kłopoty zaczęły się dopiero wówczas, gdy chciała, aby kupił jej bilet na podróż do Indii.

Zaczekała na odpowiedni moment. Jeszcze zdyszani leżeli w objęciach. Elizabeth czuła skrępowanie. Ich zbliżenie nie dało jej nawet krzty radości, jaką poznała u boku Jacka. Natomiast Ralph był szczęśliwy. Przytulił Elizabeth i bawił się jej włosami.

– Kochanie? Musimy porozmawiać o Frazerze – zaczęła.

– O Frazerze?

– Tak. O moim synku. Muszę go wreszcie sprowadzić tutaj. Czy będziesz tak dobry i przeznacysz niezbędną kwotę na moją podróż... ?

– Na twoją podróż?

– Do Indii.

Ralph parsknął śmiechem.

– Obawiam się skarbie, że to niemożliwe.

– Ale ja muszę tam pojechać. – Wyswobodziła się z ramion męża i usiadła naprzeciwko niego. – Frazer już teraz mnie nie pamięta. Im dłużej będzie trwała rozłąka, tym gorzej.

– Nie ma o czym mówić, moja droga. Po pierwsze, taka podróż wymaga dużych nakładów. Chodzi nie tylko o cenę biletu na statek, ale i wydatki na pociąg do Simli, na hotele i służących. A pewnie dojdą też inne rzeczy, jak sądzę. Ostatnio

wszystko zdrożało. Dodatkowo trzeba się liczyć ze spadkiem dochodów biura, gdy mnie tu nie będzie.

– Wezmę najtańszą kajutę. Jest mi wszystko jedno.

– Po drugie, to bardzo niebezpieczna podróż. Niemcy wyraźnie ostrzegli, że będą zatapiać statki pasażerskie.

– Ale ja naprawdę muszę tam pojechać. Ralph delikatnie ujął dłoń Bess.

– A co ja bym zrobił, gdyby coś złego ci się przytrafiło? Pamiętasz Lusitanię? Wszyscy pasażerowie utonęli. Ten wyjazd trzeba odłożyć do czasu zakończenia wojny. Nie chcę nawet myśleć o tym, że moja świeżo poślubiona małżonka mogłaby znaleźć się tak daleko ode mnie – wyznał, całując ją w policzek.

Elizabeth nie oczekiwała aż takiej nieustępliwości.

– Ale ty możesz wyjechać, prawda? – wypaliła urażona.

– Wrócę najprędzej, jak to będzie możliwe. Nie obawiaj się, nie zostawię na długo mojej ukochanej żonki.

Następnego dnia rano Ralph wyjechał do obozu wojskowego w północnej Anglii. Gdy we wrześniu prasa doniosła o śmierci trzydziestu dwóch pasażerów Hespiana, Elizabeth niechętnie przyznała rację mężowi. Wprawdzie nawet teraz nie zawahałaby się przed samotną podróżą, co innego jednak narażać na niebezpieczeństwo Frazera. Ralph miał rację, że trzeba poczekać do końca wojny. A to musi wkrótce nastąpić! Nikt się przecież nie spodziewał, że wszystko mogło się tak przedłużyć. Elizabeth musiała być cierpliwa. Zajął się tym, co teraz było dla niej najważniejsze, domem Ralphi. Hollins Lodge był dużym, zimnym i brzydkim budynkiem z szarego kamienia. Dawno nieodnawiane, ogromne, wiktoriańskie wnętrza wypełniał przytłaczający mrok. Niezależnie od tego, jak ciepło ubrała się Elizabeth, zawsze było tu dla niej za ciemno i za zimno. Nic się jej nie podobało w tym domu. Ozdoby i obrazy były okropne, a meble, jak podejrzewała, kupowano z uwagi na ich

praktyczność, a nie estetykę.

Razem z gospodynią, panią Brake, Bess przystąpiła do wiosennych porządków. Chciała rozjaśnić dom. Najbrzydsze meble wyniosła do przybudówki, a kupionymi na targu indyjskimi tkaninami ozdobiła ciężkie skórzane sofy i fotele. Z tego samego materiału uszyła też nowe zasłony i wyrzuciła te najohydniejsze. Po jakimś czasie dała jednak za wygraną. Potworne ilości kurzu, jakie osiadały na parapecie i gzymsie kominka, sprawiały, że wszelkie wysiłki szły na marne. Nowe zasłony w czerwono-niebieskie wzory nie pasowały do wnętrza. Odmalowany ciemną temperą salon wyglądał źle, nawet tandetnie. Nie mogła polubić tego miejsca. Cieszyła się, że może tu mieszkać, ale nie mogła polubić domu Ralpha.

Oprócz gospodyni pracowała tu pokojówka Pearl i dotknięty reumatyzmem ogrodnik. W domu Bess w Indiach o porządek dbało dwunastu służących. Jesienią odeszła Pearl. Powiedziała, że w fabryce amunicji zarobi więcej. Teraz, gdy większość mężczyzn była na froncie, kobiety często wykonywały ich pracę.

Przed opuszczeniem domu Ralph pokazał żonie księgi rachunkowe. Zapisywano tam wszystkie wydatki, poczynając od pensji służby, po zakup paczki zapalek czy kałamarza atramentu. Wszystko z dokładnością do ćwierci pensa. Elizabeth co miesiąc miała otrzymywać z banku pieniądze na prowadzenie domu i własne potrzeby. Wszystkie wydatki miała wpisywać do księgi. Z niechęcią ślęcząc nad rachunkami, doszła do wniosku, że nie da się zaoszczędzić ani pensa i nie będzie mogła zatrzymać pokojówki, dając jej podwyżkę.

Na święta Bożego Narodzenia Ralph wrócił do domu. Elizabeth wyszła po niego na dworzec Waverly. Z pociągu wylała się rzeka mężczyzn ubranych w jednakowe mundury koloru khaki. Z trudem rozpoznała Ralpa w zbliżającym się do

niej wojskowym. To okropne nie pamiętać twarzy męża. Wokół nich panowała atmosfera radosnego powitania. Żołnierze ściskali się z żonami i narzeczonymi. Bess pocałowała Ralpa – obcego sobie człowieka. Ciekawiło ją, co po powrocie do domu powie o zmianach, jakie wprowadziła. Zastał bowiem obrazy i balustradę przystrojoną girlandami z ostrokrzewu i bluszczu, a w ogrodzie świeżo zasadzoną jodłę. On jednak, po krótkim: „Jak tu ładnie, kochanie”, usiadł do kolacji podanej przez panią Brake. Następnie zaszył się na godzinę w gabinecie, gdzie przeglądał rachunki, i wcześniej niż zwykle położył się spać. Gdy Bess się rozbierała, pożerał ją wzrokiem. Włożyła nocną koszulę i podeszła do łóżka. Mąż natychmiast zbliżył się do niej. Po chwili wszystko było skończone. Ralph krótko odetchnął i natychmiast zasnął.

Pod choinkę podarował żonie sól do kąpieli i srebrne kolczyki. Sam dostał kaszmirowy szalik, skórzane rękawiczki i walizeczkę zawierającą oprawione w róg szczoteczki do butów i inne akcesoria.

– Jesteś wspaniała, moja droga – podziękował. – Ale czy to nie było za drogie? – dodał z zaciekawieniem.

– Zaoszczędziłam trochę.

– To wspaniale. – Pocałował Bess. – Nie zapominaj o tym. Wiesz przecież, w jakich ciężkich czasach żyjemy.

Elizabeth wysłała Frazerowi na święta pociąg. Intrygowało ją, czy prezent dotarł do Indii, musiał wszak pokonać daleką i niebezpieczną drogę. Nie wiedziała, czy Cora przekaże zabawkę małemu. Nie wiedziała, czy pociąg spodoba się chłopcu, czy może wolałby dostać coś innego. Z narastającym niepokojem zastanawiała się, czy poznałaby teraz Frazera. Czy poznałaby własnego syna?

Po Nowym Roku Ralph wrócił do jednostki, pozostawiając żonę w Hollins Lodge. Na całą miejscowość składały się dwa

tuziny domów, kościół, szkoła i kilka okolicznych farm. Elizabeth dość szybko zorientowała się, że nie pasuje do otoczenia. Ani wyglądem, ani wykształceniem, ani rodzajem rozrywek, które lubiła. Podczas przyjęć zajmowano się tu głównie plotkowaniem na temat osób, których nie znała. Zamiast nudnego brydża, wołała grać w pokera. Wieczorki, w trakcie których czytano „Przewodnik po rozlewiskach w okolicach Norfolk” lub poradnik „Sadzenie roślin wieloletnich”, zanudzały ją na śmierć. Do tego, nieważne jak bardzo się starała, zawsze przekraczała obowiązujące tu niepisane zasady. A to włożyła zbyt ekstrawagancki kapelusz do kościoła, a to na proznej kolacji śmiała się zbyt głośno i zbyt długo, a to dowcipy, które opowiadała, choć wywoływały gromki śmiech panów, całkowicie nie odpowiadały ich żonom. Wkrótce sąsiedzi przestali zapraszać panią Fearnley.

Jeśli to tylko było możliwe, Elizabeth uciekała do Edynburga. Tam, w dobrze sobie znanym kręgu ludzi z otoczenia państwa Williamson, wracała do życia i czuła się wolna. Po powrocie do domu traciła humor.

Ziemia należąca do rodziny Pameli Crawford leżała za miasteczkiem. Sąsiadka zaproponowała Elizabeth kuca do przejażdżek po okolicy. Był to stary i powolny konik, ale lepsze wierzchowce zarekwirovano na potrzeby wojska. Bess skorzystała z propozycji. Przejazdki po okolicznych wzgórzach koily jej nerwy. Wiosną i latem stale była na świeżym powietrzu. Objeżdżała okolicę lub pracowała w ogródku. Wszyscy odczuwali skutki niemieckiej blokady. Łodzie podwodne wroga regularnie zatapiały statki handlowe płynące do Wielkiej Brytanii i braki w zaopatrzeniu były coraz mocniej odczuwalne. Zadbany warzywniak oznaczał więcej jedzenia. Bess pilnie śledziła prasę, szukając wiadomości o końcu blokady i zwycięstwie.

W maju zaczęły się pojawiać w gazetach informacje o wielkiej ofensywie na zachodzie. Ralph, będący w kwietniu na urlopie, też o niej wspominał. Pisano o mającym się rozpocząć ostrzale niemieckich pozycji, co pozwoli na przerwanie impasu.

Dwudziestego czwartego czerwca prasa doniosła o rozpoczęciu walk. Odgłos salw armatnich był tak głośny, że słyszano je ponoć w południowej Anglii, na przeciwległym brzegu kanału La Manche. Po ataku artyleryjskim pierwszego lipca ruszyło natarcie wzdłuż Sommy. Bess znalazła miejsce walk na mapie. Powszechnie oczekiwano odwrócenia złej passy trwającej w tym roku; chodziło o wycofanie się z półwyspu Gallipoli i utratę krążowników liniowych „Indefatigable”, „Queen Mary” i „Invincible”, posłanych na dno przez wroga podczas bitwy jutlandzkiej. Z nagłówków prasowych bił optymizm po początkowych zwycięstwach. Również i Bess odzyskała dobry humor po długich, szarych i samotnych zimowych wieczorach. Nie mogąc spać, myślała o końcu wojny, o powrocie Ralpa, o podróży do Indii. Gdy tylko od zyska Frazera, znowu będzie sobą. Chwila, w której znów zobaczy synka, stanie się dowodem na to, że Elizabeth postąpiła słusznie, wychodząc za Ralpa i tkwiąc na ponurej szkockiej prowincji.

Wcześniej niż się tego spodziewano, nadeszły złe informacje. Nikt już nie oczekiwał szybkiego zwycięstwa. Donoszono o ogromnych stratach w ludziach i o prowadzeniu wojny na wyniszczenie. Ogłaszane listy poległych wywoływały powszechną zgrozę i niedowierzanie. W walkach nad Sommą brali udział żołnierze z miejscowości, w której mieszkała Elizabeth. W pobliskim sklepie wywieszono listę zabitych i rannych. Nieskończenie długa kolumna nazwisk trwożyła Bess do tego stopnia, że początkowo nie mogła jej czytać. Z tyłu jedna z kobiet zaniosła się płaczem. Ten dźwięk wyrwał Bess z odrętwienia. Szybko przebiegała oczyma całą listę. Nie znalazła

nazwiska męża.

Atmosferę grozy pogłębiły następne dni, przynosząc kolejne listy ofiar wielkiej bitwy. Wszędzie słyhać było szlochające kobiety. To nie było zwycięstwo, pomyślała Elizabeth, widząc ludzi pogrążonych w bólu i cierpieniu. Jeden z braci Pameli Crawford został ranny, a jedyny syn państwa Williamsonów zginął pierwszego dnia ofensywy. Po złożeniu im kondolencji i powrocie do domu Bess zobaczyła nową listę. Przebiegła oczami po nazwiskach w poszukiwaniu męża. Poczula, że robi się jej niedobrze. Przepychając się przez tłum, wymiotowała na poboczu. Poczula czyjaś dłoń na ramieniu. Niepewnym głosem ktoś zapytał, czy Ralph jest na liście rannych. Bess wyprostowała się i zaprzeczyła ruchem głowy. To nie los męża był powodem jej złego samopoczucia. Wracala do domu zapłakana. Instynktownie położyła dłoń na brzuchu, zupełnie jakby chciała chronić jeszcze nienarodzone dziecko. Wiedziała bowiem, że wkrótce ponownie zostanie matką.

Będąc w pierwszej ciąży, czula się doskonale. Ku zgorszeniu matron z Simli grała w tenisa i jeździła konno, nawet krótko przed rozwiązaniem. Teraz od samego początku czula się źle. Mdlilo ją od rana do wieczora i większość dnia spędzała w ogromnej, na dodatek akustycznej łazience, to wymiotując, to przychodząc do siebie, to oczekując kolejnych torsji. Nie wiedziała dlaczego, ale ledwo trzymała się na nogach. Cięża rozwijała się szybciej niż poprzednio. Już w końcu lipca Bess nie mogła zapiąć bluzki, a niedopinającą się spódnice musiała zwiazywać tasiemkami. Wtedy dolegliwości zaczęły się na dobre. Będąc w ciąży z Frazerem, nie znała dolegliwości tego stanu. Bólu pleców i nóg, niestrawności, bezsenności. Trudna cięża znacznie ograniczyła aktywność Elizabeth. Gorące lato spędziła, odpoczywając w sadzie na leżaku. Do rozwiązania

pozostawały długie miesiące. Jak ja to wytrzymam, zastanawiała się w popłochu. Mimo wszystko pragnęła tego dziecka. Chciała znowu trzymać w ramionach niemowlę, pokochać swoje małeństwo. Zamartwiała się, że wojna może się skończyć za wcześnie, a ona nie będzie jeszcze mogła popłynąć do Indii. Z pewnością nie mogłaby podjąć tak dalekiej morskiej podróży z ogromnym brzuchem i żołądkiem wrażliwym na każdy nieprzyjemny zapach. Do tego jeszcze upał i tłumy w Bombaju oraz biegnąca nad urwiskiem, przyprawiająca o zawrót głowy linia kolejowa do Simli.

Nie było jednak widać rychłego zakończenia wojny. Żołnierze ginęli tak na zachodnim, jak i na innych frontach. Linia frontu niewiele przesunęła się w głąb terytorium wroga. Nawet najwięksi optymiści spośród dziennikarzy przyznawali, że złożona danina krwi – tylko w pierwszym dniu walk nad Somną poległo dwadzieścia tysięcy Brytyjczyków – nie przyniosła oczekiwanego rezultatu.

Gdy mdłości ustąpiły, Elizabeth zaczęło brakować kim. Męczyły ją nawet krótkie zakupy w pobliskim sklepie, a po wizycie na farmie Crawfordów, oddalonej zaledwie o trzy kilometry, była zupełnie wyczerpana. Tak właśnie muszą się czuć ludzie w podeszłym wieku, pomyślała, gdy sapiąc, gramoliła się po schodach. Z nie mniejszym trudem przychodziła jej praca w ogródku. Potężny brzuch niemal uniemożliwiał schyłanie się. Podczas zakupów w Edynburgu najadła się wstydu, bo zatroskani sprzedawcy cucili ją, gdy zemdlała w domu towarowym. I po tym wydarzeniu nie opuszczała już miasteczka.

W siódmym miesiącu ciąży lekarz badający Elizabeth wspomniiał o możliwościach przyjścia na świat bliźniąt i zalecił odpoczynek. Od tej chwili mogła wykonywać tylko najlżejsze prace. Pozbawionej rozrywek Bess, krótkie dni zimy wlokły się

w nieskończoność. Jedyne, co jej pozostało, to szycie dziecięcych koszulek i robienie na drutach wełnianych kaftaników i czapczek.

Gdyby nie Pamela, Elizabeth oszalałaby tej zimy – sama, zamknięta w wielkim, niedogrzanym domu. Pamela pracowała na pół etatu w szpitalu w Edynburgu. Resztę dnia poświęcała pracy na farmie, zastępując brata. Znajdowała jednak trochę czasu, aby odwiedzić Bess. Grały wtedy w karty lub po prostu plotkowały.

Pewnego razu, po chwili namysłu zapytała Bess:

– Czy są jakieś wiadomości od Ralpa?

– Dziś rano przyszedł list.

– I co pisze? Czy jest zdrow?

Listy, które nadchodziły z frontu, opowiadały o żołnierskim wyżywieniu, odmrożeniach i niedyspozycjach żołądkowych, jakie trapiły Ralpa. Przypominał też w nich o konieczności starannego prowadzenia ksiąg domowych. Bess zasypiała przy rachunkach.

– Tak. Jest cały i zdrow – rzuciła bezwiednie. – Proszę, przekonaj się sama. – Podała Pameli kilka zapisanych kartek. – Przeczytaj, jeśli chcesz.

– Ależ to nie wypada...

– Nic nie szkodzi. Czytaj, proszę.

Bess tylko pobieżnie przeglądała listy męża. Zawsze trudno było odcyfrować jego gryzmoły, a wszystkie były podobne do siebie i zawierały jedynie nieważne informacje.

Pamela była wyraźnie podekscytowana. Wprost chłonęła wiadomości, co chwila wydając egzaltowane okrzyki: „Potrawka z królika. I to trzy razy pod rząd! A to biedak! Nigdy nie lubił dań z królika” lub „Strasznie męczy go katar! Tak mi go żal!”. Elizabeth zrobiło się głupio. Przecież to ona jest żoną Ralpa i to ona powinna wiedzieć, że mąż nie lubi potrawy z

królika i często ma katar. Choć Pamela miała krzaczaste brwi i ogorzałą cerę, Bess dawno już przestała ją lekceważyć. Pogoda ducha i wielkoduszność sąsiadki złamałyby najbardziej zatwardziałe serce. Z pewnością nie mogłaby udawać czy stosować przebiegłych sztuczek. Nigdy nie próbowałaby uwieść mężczyzny.

\*

Święta Bożego Narodzenia 1916 roku Elizabeth spędziła u Crawfordów. Zabrał ją tam dwukółką jeden z braci Pameli. W prezencie wysłała Frazerowi ilustrowaną książeczkę. Dla walczącego we Francji Ralpha przeznaczyła czekoladki, papierosy i „Upominek dla żołnierza” kupiony u Harrodsa za pół gwinei, a w nim: kakao, orzechy i świąteczny pudding. Elizabeth bez przekonania, machinalnie zamawiała prezenty dla męża, pakowała je i nadawała na pocztę. Nie mogła sobie wyobrazić, jak Ralph to wszystko wytrzymuje. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mogła go sobie wyobrazić. Nie dawała sobie też rady z następującymi po sobie świętami i urodzinami, które jeszcze bardziej przypominały jej o rozstaniu z Frazerem. W kolejne, już trzecie święta bez niego, Bess ogarnęło to samo uczucie paniki, do którego nie chciała się przyznać przed sobą. Bała się, że już nigdy nie zobaczy syna.

Wszyscy mówili, że nadchodzący rok 1917 musi być lepszy. Otulona w koce, Elizabeth samotnie spełniła noworoczny toast lampką porto z piwnic Ralpha. Następnego ranka zaczęły się bóle porodowe. Za oknem ciężkie płatki śniegu powoli spływały z ciemnych chmur. Pani Brake posłała po lekarza. Czekając, Bess obserwowała, jak śnieg pokrywa domostwa i drzewa.

O godzinie dwudziestej trzeciej trzydzięci urodziła syna – Michaela. Dwadzieścia minut później, tuż przed północą, przyszła na świat mała Kate. Trzymając dzieci w objęciach i

wpatrując się w ich błękitne oczy, Bess poczuła, że wszystkie trudy i niedogodności minionych miesięcy ma już za sobą. W uniesieniu szeptała: „Nigdy was nie opuszczę, nawet na chwilę nie spuszczę was z oczu”.

### Rozdział 3

Kok 1917 minął pod znakiem głodu i rozpacz. Z okien na piętrze Bess obserwowała dzieci, które w drodze powrotnej ze szkoły pokonywały mur okalający warzywnik przy kuchni. Tam wrywały z ziemi rzepę i zjadały od razu, nie zwracając sobie głowy jej umyciem. Tego roku Hess zbierała resztki warzyw i nadgryzione skórki od chleba, aby oddać je Pamel, która przekazywała je do garkuchni w Edynburgu, gdzie przygotowywano tanie posiłki dla biedoty. Wprowadzono racjonowanie węgla i gdy robiło się chłodno, Bess dorzucała do pieca w pokoju dziecinnym kawałki drewna odłupane z szafy, kredensu i półek.

Żołnierze walczyli pod Arras i Passchendaele, na jałowych polach Flandrii, zmienionych przez wojnę w morze biota. Z bitew tych nie powrócił bratanek pani Brake i Archie, najstarszy brat Pamel Crawford. Wielu z edynburskich przyjaciółek Bess straciło mężów, braci, synów.

Był to jednak rok, w którym jej życie powróciło na właściwy tor. Chociaż wokół świat się rozpadał, Bess, wraz z narodzinami bliźniąt, odnalazła swoje szczęście. Patrzyła, jak jej bliźnięta zmieniają się z niezdarnych noworodków w raczkujące z pokoju do pokoju roczne niemowlęta. I chociaż po drodze maluchy ściągały na podłogę wszystko, co się da, Bess była niezmiennie zachwycona.

Michael i Kate byli ślicznymi dziećmi o niebieskich oczach i różowych buziach. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Michael był ciemnowłosa, Kate miała włosy koloru jasnego złota. Michael był krzepki, większy, silniejszy, Kate zaś łatwo się przeziębiała. Brat wyprzedzał ją zawsze o krok – szybciej raczkował, wcześniej zaczął też chodzić i mówić. Tak, jakby Kate pozwalała mu na to. Jakby wołała, aby Michael spróbował

wszystkiego pierwszy. Sama ostrożnie badała świat i każde nowe przedsięwzięcie rozpoczynała z rozwagą.

Tylko przed sobą Bess przyznawała się, że szczególną czułością obdarzała Michaela. To był jej ukochany synek. Chociaż nawet on nie mógł zapełnić pustki powstałej po utracie Frazera, to jednocześnie przywoływał bolesne i słodkie wspomnienia jej pierwszego dziecka. Każde osiągnięcie Michaela przypominało jej o dumie odczuwanej z pierwszego uśmiechu Frazera, pierwszego ząbka, pierwszego kroku czy słowa.

Wydawało jej się, że wraz z bliźniętami dostała drugą szansę. Przyrzekła sobie, że tym razem nie popełni już tych samych błędów. Chociaż w pierwszych miesiącach po porodzie przychodziła do pomocy dziewczyna z pobliskiej wsi, Bess nie powierzała opieki nad dziećmi służącej. To były tylko jej obowiązki – matki. Chwilami zastanawiała się, czy radość, którą czuła, nie wynikała z braku czasu na rozmyślanie. Od chwili, gdy dzieci budziły ją płaczem o świcie, do późnej nocy, gdy wyczerpana kładła się do łóżka, była zajęta. W pośpiechu przegrzywała śniadania i kolacje, kradła kilka godzin snu między karmieniami, przewijała bliźnięta, kąpała i bawiła się z nimi. Wszystko i wszyscy kręcili się wokół dzieci i ich potrzeb. Pamela je uwielbiała, a pani Brake nosiła na rękach.

Ralph zobaczył swoje dzieci pierwszy raz, gdy przyjechał do domu na urlop. Miały wtedy sześć tygodni. Kate spała, Michael właśnie się rozplakał. Bess wyjęła go z łóżeczka.

- Chodź, popatrz na swojego syna, Ralph – powiedziała.
- Ralph z ciekawością przyglądał się małemu.
- Czy on się dobrze czuje? – zapytał. – Jest cały czerwony.
- Jest głodny. Prawda, że jest śliczny? – zapytała. – Chciałbyś go potrzymać?
- Nie. – Cofnął się o krok. – Mógłbym go upuścić. Kiedy

jednak Elizabeth wróciła ze sklepu w wiosce, zobaczyła Michaela w ramionach męża. Ralph siedział w fotelu i tulił do siebie synka. Pamela przykucnęła obok nich. Nie zauważyli jej. Patrząc na tę trójkę, przez króciutką szczególną chwilę poczuła się intruzem.

Później, gdy wojna wkroczyła w kolejny, 1918 rok, Bess przyłapywała się na tym, że rzadko myślała o mężu. Dzieci zajmowały cały jej czas. Musiała dbać, by wszyscy domownicy byli nakarmieni i by mieli ciepło, co nie było łatwe w czasach, gdy brakowało jedzenia i opału. Kiedy Ralph przyjeżdżał na urlop, bezgranicznie mu współczuła. Miał zmęczoną twarz, zaczął się jękać i krzyczał po nocach, dręczony przez koszmary. Wojna nie była dla niego. Był człowiekiem spokojnym, nigdy nie tęsknił za przygodami i niebezpieczeństwem. Byłby szczęśliwy, gdyby pozwolono mu pracować i łowić ryby.

Zbyt szybko jednak współczucie Bess zamieniło się w irytację. Było jej wstyd, że nie potrafi wytrzymać zachowania męża. Ralph przyjeżdżał przecież na krótko, mogła się postarać. Nie potrafiła jednak znieść jego skąpstwa, drobiazgowości, pytań o każdą podwyżkę cen, sprawdzania każdego grosza z domowych wydatków. Zagubiony rachunek trzeba było znaleźć za wszelką cenę, przeszukiwała więc każdą półkę i szufladę aż do skutku. Dbała o finanse domowe od dziesiątego roku życia, to jest od śmierci mamy. Irytowała się, że Ralph traktował ją jak głupią smarkulę, wypytując o każdy wydatek. Krzyczała wtedy na skonsternowanego męża, że ważniejsze od starych rachunków są dzieci.

Wojna odsuwała ich od siebie. Bess nigdy nie zdawała sobie do końca sprawy z tego, co Ralph przeżywał w okopach. On zaś spodziewał się zastać w domu wszystko po staremu. Po przyjeździe z Francji chciał być witany przez słodką, wesołą i uległą żonę. W progu stała jednak zmęczona, zapracowana

jędza, ze zniszczonymi przez ciężką pracę dłońmi. Musiała go też wyżywić, a były to czasy, gdy prawie całe jedzenie pochodziło z przydomowego ogródka. Ralphowi wydawało się, że pracując w ogrodzie, Bess miło spędza czas i odpoczywa. Dla niej była to jednak walka o przetrwanie.

Oboje byli wyczerpani. Nerwy mieli napięte jak struny. Zbyt długo odnosili się do siebie źle i nie dbali o siebie nawzajem. Elizabeth nic na to nie mogła poradzić. Zauważyła jednak, że Pamela instynktownie potrafiła uspokoić rozdrażnionego Ralpa. W jej towarzystwie miał mniej tików i mniej się jękał.

Ralph starał się być miły i nie kłócił się z Bess. Jednak w jego spojrzeniu nie dostrzegą już dawnego zachwytu. Zastąpiły go rozczarowanie i ból. Seks stał się pospieszny i nie przynosił radości. Zbliżenia były próbą zabicia czasu, oderwania się od rzeczywistości. Rozmawiali wyłącznie o dzieciach. Bess zaczęła podejrzewać, że to ona właśnie była źródłem jego irytacji. Gdy się poznali, zachwyciła go jej spontaniczność i odmienność. Teraz cechy te wprawiały go w zakłopotanie, a nawet zawstydzaly. Patrzyła w lustro i zdawała się rozumieć, dlaczego mąż zachwyca się tylko swoim synem i córką. Nie kupiła sobie nowej sukienki od czasu porodu, nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz nosiła diamentowe kolczyki. Skończyły. Nie też perfumy, Elizabeth nie wyrzuciła jednak flakonika. Wdychając od czasu do czasu cień pozostałego w buteleczce zapachu, myślała z goryczą, że Ralph zakochał się w zupełnie innej kobiecie.

Wiosną 1918 roku Niemcy rozpoczęli ofensywę na froncie zachodnim. Brytyjczycy wycofali się spod Sominy, w niektórych rejonach nawet o ponad sześćdziesiąt kilometrów. Front został przerwany. Zagrożone było Amiens, ostrzelany został wojskowy szpital brytyjski w Ktaples. W stronę Marny

wycofała się też armia francuska. To wszystko działo się tylko osiemdziesiąt kilometrów od Paryża. Stolica Francji znów znalazła się w zasięgu niemieckich dział. I znów, tak jak w 1914 roku, mieszkańców miasta ogarnął strach. Bess przypominała sobie dziwnego mężczyznę, którego poznała na przyjęciu u Corstophine'ów. Nie pamiętała, jak się nazywał, ale podawał w wątpliwość zwycięstwo Anglii. Mówił: „jeżeli wygramy”. Po raz pierwszy niepewność zakradła się do jej serca.

Rzadko zaglądała teraz do gazet. Przestała śledzić na mapach ruchy wojsk. Do Edynburga jeździła tylko w wynikowych sytuacjach, szczególnie po czerwcowym wybuchu epidemii grypy. Z powodu szalejącej choroby zamknięto szkoły, ludzie przestali chodzić do kościoła. Bano się zarazy. W pociągach i na ulicach miast ludzie nosili maski z gazy, a powietrzu rozpylano środki dezynfekujące, próbując zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazków. Grypa sprawiedliwie dopadała starych i młodych, silnych i słabych. Śmierć przychodziła szybko, często już po kilku godzinach.

Dni Bess obracały się wokół dzieci. Myślała o nich, gdy budziła się rano i gdy kładła się spać. Chciała je chronić za wszelką cenę. Pragnęła tylko jednego: aby były zdrowe i bezpieczne. Nawet jeżeli wojna miałyby trwać wiecznie, nawet jeżeli nigdy więcej miałyby nie zobaczyć już Frazera. Jej pierwsze dziecko i życie, jakie wiodła w Indiach, wydawały się teraz jasnym i kolorowym, ale nieprawdziwym snem.

Rozpoczął się piąty rok wojny. Elizabeth powoli przestawała wierzyć, że ten koszmar kiedyś się skończy. Myślała o wojnie jak o wielkiej maszynie, molochu, który potężnymi zębami chwycił ludzi i miażdżył ich w żelaznych szczękach, by potem wypłuć poranionych, ślepych lub oszalałych. Późnym latem wcielano do armii osiemnastoletnich chłopców i pięćdziesięcioletnich mężczyzn. Szkolono ich ledwie pół roku.

W czasie żniw pola były pełne kobiet i dzieci. Praca ich mężów i braci musiała być wykonana. W końcu jednak z frontu zaczęły przychodzić lepsze wieści. Z pomocą Amerykanów alianci zatrzymali niemiecką ofensywę i zepchnęli wroga na wschód, wyzwalając ziemie okupowanej Francji i Belgii.

Z nadejściem jesieni powróciła grypa, jeszcze bardziej zjadliwa. Każdego tygodnia w Londynie umierały setki ludzi. W połowie października Bess otrzymała wiadomość, że Ralph wraca do domu. Został zwolniony z armii z powodu wrzodów żołądka. Chociaż powinna wyczekiwać powrotu męża z radością, odczuwała niepokój, czekając na niego na stacji kolejowej. Ulga, którą przynosiła świadomość, że Ralph przeżył, mieszała się z lękiem o przyszłość. Odzwyczała się od ich wspólnego życia. Była panią samej siebie, sama organizowała sobie czas, wydawała pieniądze zgodnie z własnym osądem i spotykała się, z kim chciała. Bała się, że życie z kimś, kogo prawie nie знаła, będzie nieudane.

Pociąg wjechał na stację, zgrzytnęły hamulce, zasyczała para wylatująca z kotła lokomotywy. Drzwi wagonów otworzyły się na oścież. Bess z trudem dostrzegła Ralpha w tłumie. Jedno spojrzenie, głęboki wdech, uśmiech na twarzy i już szła w stronę męża. Uda im się. Postara się. Wszystko się ułoży. Potrzebują tylko czasu, aby się poznać, myślała.

Nie miała racji. Wojna odarła ich ze złudzeń. O ironio, znali się zbyt dobrze i to właśnie sprawiło, że przesiali się rozumieć i akceptować. Ralpha onieśmielała silna wola Elizabeth, śmiałość w podejmowaniu wyzwań, łatwość, z jaką prowadziła wielki, stary dom i pielęgnowała ogród. Być może myślał nawet, że rośliny nie ośmieliłyby się rosnać w inny sposób, niż ona to zaplanowała. Czuł się w tym domu obco. Hollins Lodge zmieniło się ud chwili, gdy opuścił je przed trzema laty. Teraz

był to dom kobiet i dzieci, dla mężczyzny nie było w nim miejsca. W łazience królowały spinki do włosów i zapinki do pieluch, meble były poprzestawiane, a książki i bibeloty wylądowały na górnych półkach, z dala od dziecięcych rączek. Ralph błądził po swoim starym domu, gubił się w nim, niczego nie mógł znaleźć. Czuł się tu źle.

W kraju też wiele się zmieniło. Ludzie byli poirytowani, nawet agresywni. Po raz pierwszy kobiety kierowały tramwajami, wiele z nich pracowało zawodowo w fabrykach. Inne wychodząc z fabryk po pracy, nawoływały się śmiałymi głosami. Zarabiający coraz więcej robotnicy, zachowywali się śmielej niż dotychczas. Ralph zauważył, że było ich na ulicach więcej niż przed wojną. Odnaczali się pewnością siebie, a nawet zuchwalstwem. Czuł się przy nich jak stary, zniszczony i wypalony wrak. Prześladowały go wspomnienia ludzi, którzy zginęli, podczas gdy on, gorszy od poległych, zawstydzony swoim istnieniem, ciągle żył.

W niczym nie dostrzegał sensu, wokół panował przerażający chaos, który pochłaniał wszystko, w co Ralph dotąd wierzył. Zrozumiał, że przed wojną inaczej pojmował świat. Nie znał wtedy samego siebie, własnych potrzeb i ograniczeń. Teraz zaś nie miał na tyle odwagi i silnego charakteru, aby spróbować nauczyć się życia na nowo. Czuł się jak ryba złapana na haczyk, wyciągnięta na brzeg, miotająca się i walcząca bez sensu tuż przed śmiercią. Choroba wrzodowa była tylko uzewnętrznieniem gnębiącej go utraty wiary. Wbrew zaleceniom lekarzy powrócił do pracy. Potrzebował atmosfery swojego starego biura przy ulicy Queen, wielkiego, dębowego biurka i portretu ojca wiszącego nad kominkiem. Musiał wypełnić głowę liczbami. Ich obojętność koła mu nerwy. Nie mógł się tam jednak skoncentrować. Przeszkadzał mu hałas na ulicy, a każde trząśnięcie drzwiami podrywało go z krzesła.

Któregoś dnia obudził Ralpa ból głowy i kończyn. Sądził, że znów odezwały się wrzody i że tym razem będzie cierpiał w inny, nieznanym jeszcze sposób. Spodziewając się dalszych dolegliwości, położył się z powrotem. Zamknął oczy, usiłując myśleć o księgach rachunkowych, starannie zapisanych równymi kolumnami cyferek.

Tego wieczoru odwiedziła ich Pamela. Bliźnięta bawiły się w ogrodzie. Bess wyszła, aby ich przypilnować, a Pamela została w domu z Ralphem. To był piękny, rześki dzień. Tak go zapamiętała Bess. W jej wspomnieniach pozostało świeże powietrze, widok odległych, oszronionych wzgórz, pokrytych lodem liści i dzieci, kucających pod drzewem w poszukiwaniu kasztanów. Zapamiętała przenikliwe zimno: powinna była wtedy wziąć płaszcz zamiast swetra. Była piękna, słoneczna pogoda. Gdy się odwróciła, zobaczyła Pamelę idącą w jej stronę przez trawnik.

– Nie chcę cię denerwować, Bess, ale trzeba wezwać lekarza. Wydaje mi się, że Ralph ma grypę – oznajmiła.

Była pełna nadziei, zawsze była optymistką. Tym razem ludziła się, że Pamela nie ma racji, że może to nie jest grypa, lecz wrzody, a jeżeli nawet grypa, to że dzieci nie zachorują.

Czas płynął, a ona czuła, jak powoli opuszcza ją nadzieja. Lekarz potwierdził, że Ralph jest chory na grypę. Następnego wieczoru Kate poczuła się źle. Bliźnięta rozdzielono, wstawiając łóżeczka do oddzielnych pokoi. Przed północą Kate miała już wysoką gorączkę. Bess poila ją letnią wodą, namówiła do wypicia odrobiny ciepłego mleka, tuliła, gdy mała płakała. W głębi duszy czuła, że siłą woli uratuje Kate, że pod jej troskliwą opieką dziewczynka przetrwa najgorsze. Była pewna, że poświęcając córeczce każdą wolną chwilę, sprawi, że Kate wyzdrowieje.

Elizabeth straciła poczucie czasu. Dni mijały, zniknęły codzienne obowiązki: posiłki, kąpiele, usypianie. Wszystko zostało podporządkowane opiece nad Kate. Pewnego wieczoru Bess śpiewała Kate, kołysząc ją w ramionach. Po chwili dziewczynka zamknęła oczy i wydawało się, że pierwszy raz od początku choroby – spokojnie zasnęła.

Bess ostrożnie ułożyła córeczkę w łódeczku. Zamierzała czuwać nad nią, ale wyczerpana zasnęła niemal natychmiast. Śniła o Indiach, sen był jednak dziwny i niepokojący. Śniła, że jest na bazarze; stała zdezorientowana mnogością uliczek i bram wejściowych. Potem biegła dookoła, szukając wyjścia. Z trudem wydobywała się z uścisku snu. Obudziła się i spojrzała na Kate. W bladym świetle poranka dostrzegła siną twarz dziecka. Załkała; w chwilę potem z ulgą zobaczyła pulsującą na szyi dziecka tętnicę. Wstała i wyszła z pokoju. Czuła pieczenie w oczach, wszystko ją bolało, nie mogła głęboko odetchnąć. Zrozumiała nagle, że ona też może zachorować. Wcześniej w ogóle o tym nie myślała. Szła z trudem, opierając się rękami o ścianę. Na półpiętrze korytarz zaczął wirować jej przed oczami. Dzięki wypukłemu, orientalnemu wzorowi tapety, który wyczuwała dłonią, orientowała się, gdzie jest. Rozpoznawała koliste ornamenty i zawijasy znane jej z indyjskich szali. Powolutku, ostrożnie stąpała dalej. Nie mogła się rozchorować, przecież Kate jej potrzebowała.

Wtem coś usłyszała. Podniosła głowę i na końcu korytarza zobaczyła Pamelę.

– Elizabeth? – Głos Pameli dochodził z oddali. Bess próbowała odpowiedzieć, ale nie mogła. Przez chwilę widziała rozmazaną postać tamtej, po czym zemdląła i osunęła się na podłogę.

Bess śniła, że biegła z pokoju do pokoju w szarym domu w

Szkocji. Wołała kogoś po imieniu, ale słowa więzły jej w gardle, słyszała swój własny krzyk. Gdy się budziła, raz siedziała przy niej Pamela, innym razem pani Brake.

– Muszę zamówić jedzenie – wymamrotała, starając się usiąść na łóżku. Poczowała zimny okład na rozpalonym czole. Kaszel nie chciał ustąpić i opiekunka zaczęła poić ja wodą.

Gdy znów się obudziła, dom pogrążony był w ciemnościach i ciszy. Była sama, ale wydawało jej się, że słyszy czyjeś wołanie. Drżąc zwlokła się z łóżka i poczłapała przez korytarz aż do pokoju Michaela. Mały leżał nieruchomo w łóżeczku przykryty kocami, z na w pół przymkniętymi, sino podkrążonymi oczyma. Był cały w plamach, zupełnie jakby leżał w cieniu drzewa. Wyciągnęła ręce do synka, a z jej gardła wydobył się jęk rozpaczny.

– Jak ona się czuje? – zapytał ktoś.

– Trochę lepiej, jak sądzę – odpowiedział inny głos.

Później, gdy za oknami było już ciemno, Elizabeth usłyszała bijące dzwony. Westchnęła.

– Dlaczego biją dzwony? – spytała.

– Wojna się skończyła – odpowiedziała Pamela.

Coś jednak niepokoiło Elizabeth. Wyszepiała imię córki. Pamela odpowiedziała, że dziewczynka spokojnie śpi i dochodzi do zdrowia. Ralph też czuł się lepiej, zszedł nawet dzisiaj do salonu i posiedział tam godzinę. Nie powinna się martwić, musi wracać do zdrowia, musi spać. Ale kiedy zamknęła oczy, poczuła pustkę. Kogoś brakowało. Frazera? Nie, tym razem to nie o niego chodziło. Przypomniała sobie łóżeczko i ciemne plamy na buzi Michaela. Słyszała, jak najpierw cicho, a potem coraz głośniej i głośniej krzyczała imię synka.

Pamela powiedziała, że Michael odszedł. On, jej ukochane dziecko, którego ciemne włoski po urodzeniu sterczały na wszystkie strony. Michael, który pierwszy nauczył się

raczkować, chodzić i mówić, który kiedyś przyniósł jej z ogrodu ślimaka w prezencie i włożył go do kieszeni fartucha, który mówił, że skorupki kasztanów wyglądają jak jeże, który uwielbiał chleb z miodem, a nie znosił groszku. Michael umarł i został już pochowany. Zupełnie jakby nigdy nie istniał.

Elizabeth i Ralph rozstali się trzy miesiące później. Do tego czasu kłócili się i ranili nawzajem w gniewie i rozpacz. Na początku Bess była wściekła na męża. Krzyczała: „To ty przywlokłeś tę zarazę do domu! To ty zabiłeś Michaela!”. Potem zakrywała dłonią usta, przerażona swoimi słowami. Była zła na siebie za to, że zostawiła Michaela samego. Obiecywała przecież, że nigdy tego nie zrobi. Przyrzekła, że będzie bezpieczny. Zawiodła go tak samo, jak zawiodła Frazera. Była przekonana, że śmierć Michaela była karą za to, że opuściła Frazera i poślubiła Ralpha z wyrachowania, nie kochając go. Gniew mieszał się w jej sercu z poczuciem winy. W końcu jednak uczucie gniewu się wypaliło i zobojętniała na wszystko. Nie mogła wytrzymać życia w domu, w którym wszystko przypominało jej utraconego synka. Kolorowe ślady kredek na ścianach, zalegające między płytkami na podłodze spizarni resztki rozsypanej przez niego mąki. Między poduszkami na kanapie znalazła ulubioną zabawkę Michaela: białego króliczka, którego zrobiła dla niego na drutach. Świadomość, że wcześniej go nie znaleziono, że nikt nie wiedział, ile dla niego znaczył ten króliczek i to, że malec został pochowany sam, bez ukochanej zabawki, była nie do zniesienia.

Mijały tygodnie. Bess powierzyła Pameli opiekę nad domem, a sama cały czas spędzała w swoim pokoju. Docierały do niej różne dźwięki: ktoś grał na pianinie, w klatce śpiewał kanarek, którego podarowała bliźniętom na pierwsze urodziny. Każdego ranka Kate bawiła się w jej pokoju. Kiedy szukała swojego

braciszka pod łóżkiem i w szafie, Bess czuła w sercu nieznośny ból. Jeszcze gorzej było, gdy Kate przestała szukać brata.

Któregoś dnia przez okno sypialni zobaczyła, jak Pamela tuli do siebie Ralpa, pocieszając go tak, jak ona sama już nie potrafiła. To pomogło jej podjąć decyzję. Inaczej zniszczyliby się nawzajem. Nie potrafiła skleić swojego małżeństwa i nie mogła dłużej mieszkać w tym okropnym domu. Nie mogła nawet znieść dotyku męża. Niczego już nie można było naprawić. Nie chciała się dłużej męczyć. Miała pewność, że już nie zmieni swojej decyzji.

Gdy powiedziała Ralphowi, że odchodzi, zaczął płakać, ale widziała, że ta wiadomość przyniosła mu ulgę. Poinformowała go, że ma zamiar nadal mieszkać w Edynburgu i że zabiera ze sobą Kate. Będzie oczywiście mógł odwiedzać córkę, kiedy tylko zechce. Decyzję o rozwodzie pozostawiła Ralphowi. Sama nie zamierzała ponownie wyjść za mąż. Nie chciała mu jednak mówić, że małżeństwo ją rozczarowało i że rola żony zupełnie do niej nie pasuje.

Ralph chciał wynająć dla niej małe mieszkanie. Początkowo nie zgadzała się na to, lecz on nalegał. Mówił, że pragnie to zrobić dla Kate. Był nieprzejednany i w końcu Bess ustąpiła. Miał również zamiar odkładać dla Kate pewną sumę co miesiąc, aby – gdy córka dorośnie lub wyjdzie za mąż – dysponowała sporą kwotą pieniędzy. Pokazał Bess dokumenty napisane schludnym, porządnym i charakterem pisma, dzięki którym Kate miała już na zawsze być zabezpieczona finansowo. Elizabeth nie potrafiła powstrzymać łez wzruszenia. Gdy następnego dnia upuszczala dom, pocałowała Ralpa w policzek, życzyła mu powodzenia i odeszła, trzymając Kate za rączkę.

Bess zawsze marzyła, że zaraz gdy skończy się wojna,

wyruszy do Indii. Wyobrażała sobie, jak wypływa na statku z portu w Southampton i przemierza ocean, aby w końcu odnaleźć synka. Jednak ze względu na Kate ciągle jeszcze nie kupiła biletu ani nawet nie zarezerwowała miejsca na statku. Nie mogła pogodzić się z myślą o pozostawieniu jej pod czyjąś opieką, choćby na krótko. Nawet teraz zostawienie córki u przyjaciół, gdy sama robiła szybkie zakupy, napawało ją strachem. Obawa, że może się wydarzyć coś złego, gdy jej nie będzie w pobliżu, była obezwładniająca. Bess wiedziała przecież, co spotyka jej dzieci, gdy tylko zostawi je same: umierają lub znikają.

Nie mogła wziąć Kate w podróż do Indii. Wszędzie widziała coś złego. Morska podróż, sztormy i groźba zatonięcia statku, klimat Indii, który sprzyjał chorobom, wypadki kolejowe, powodzie i osunięcia ziemi, zamieszki i cała reszta niebezpieczeństw, wynikających z natury ludzi i przyrody tropikalnego kraju, stawały jej przed oczami. Zamiast wybrać się w podróż, napisała jeszcze jeden list do Córy Ravenhart. Dała jej do zrozumienia, że jeżeli nie otrzyma odpowiedzi, natychmiast wyrusza do Indii po syna. Bess mówiła sobie, że wytrzyma jeszcze kilka miesięcy, a potem pomyśli, co zrobić z Kate.

Pokłosie wojny i epidemia grypy sprawiły, że Bess otaczał jedynie smutek. Wiosną mężczyźni zaczęli wracać z Francji. Ślepi i kalecy zebrali na rogach domów. Widywała ich w sklepach. Sprawiali wrażenie zatrutych wojną, szalonych. Mamrocząc do siebie, drżącymi rękami uporczywie strzepywali niewidoczny brud z ubrań. Podczas wojny zginęło ponad siedemset tysięcy brytyjskich żołnierzy. Epidemia grypy, która w końcu wygasła w 1919 roku, zabrała życie prawie dwustu pięćdziesięciu tysiącom ludzi. Jeszcze długo po zawarciu rozejmu brakowało wielu towarów, a żywność była racjonowana.

List od Cory dotarł pod koniec kwietnia. Dłonie Bess drżały tak bardzo, że nie mogła go otworzyć. Aby się uspokoić, usiadła, odetchnęła głęboko i dopiero potem rozdarła kopertę. Teściowa informowała, że z mężem i z Frazerem przyjadą wkrótce do Szkocji. Pierwszy tydzień czerwca spędzą w hotelu North British w Edynburgu. I to było wszystko, nie wspomniała ani słowem o Frazerze. Nie napisała też, że ma zamiar przekazać opiekę nad chłopcem Elizabeth. Najważniejsze jednak było to, że Frazer żyje i że wkrótce będzie w Szkocji. Bess musiała uwierzyć w to, co pisała pani Ravenhart. Pierwszy raz po śmierci Michaela poczuła radość w sercu. Już pod koniec maja często przechadzała się obok hotelu i koło stacji kolejowej. Zaglądała przez drzwi wejściowe i okna, tak jakby chciała swoją tęsknotą wyczarować tam syna.

Któregoś dnia, gdy wracała do domu z Kate, znów popatrzyła w stronę hotelu. Zauważyła przy wejściu do budynku znajomą postać. Zatrzymała się, a serce zaczęło jej bić gwałtownie. Chwyciła Kate na ręce i precisnęła się przez tłum ludzi. Nie spuszczała wzroku z kapelusza przybranego strusimi piórami.

– Pani Ravenhart! – krzyknęła.

Cora odwróciła się do Bess.

– Elizabeth – powiedziała łagodnie.

Miała na sobie czarną, metalicznie połyskującą suknię. Kapelusz był przybrany piórami i otulony woalem z naszytymi czarnymi kropkami, których cienie odbijały się na twarzy kobiety.

– Gdzie jest Frazer? – zapytała Bess, ciężko dysząc po biegu.

– Ze swoją nianią, oczywiście – odpowiedziała Cora.

– Muszę go zobaczyć!

– Nie sądzę, aby był to dobry pomysł. – Teściowa uśmiechnęła się lodowato.

- Ale ja chcę! Muszę zobaczyć mojego syna!  
Cora zmrużyła złowieszczo oczy pod woalką.
- Nie na ulicy Elizabeth. Nie jesteśmy przekupkami. – Spojrzała na Kate. – To twoja córka?
- Tak. – Bess przytuliła mocno dziewczynkę, zupełnie jakby chciała ją uchronić przed niebezpieczeństwem. – To moja córka. Ma na imię Kate.
- Zatem znów jesteś mężatką. Spodziewałam się tego. Powiedz mi, jak długo opłakiwałaś mojego syna, zanim ponownie wyszłaś za mąż? Przez rok? Tak długo? – Cora potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Nie interesuje mnie, czego chcesz, Elizabeth. Nigdy mnie to nie obchodziło. – Po chwili odwróciła się i odchodząc dodała: – Wpadnij do mnie dziś po południu, jeśli chcesz. O czwartej.

Bess zostawiła Kate pod opieką pani Williamson i poszła do hotelu. Hotelowy boy wskazał jej schody na piętro. Była tak zdenerwowana, że przez chwilę nie mogła znaleźć drobnych na napiwek.

Salon lśnił od złocień i lusterek. W pokoju pachniały lilie. Cora Ravenhart stała przy oknie. Jej pozbawiona woalki twarz była blada i gładka jak maska.

– Nie proponuję ci herbaty – powiedziała. – Nie sądzę, abyśmy chciały przebywać w swoim towarzystwie dłużej niż to konieczne.

– Przyszłam zabrać Frazera – powiedziała Bess. – Potem odejdę.

– Zabrać go? – Cora uniosła brwi. – Obawiam się, że to niemożliwe.

– Nie odejdę bez niego.

– Będziesz więc długo czekać. – Cora uśmiechnęła się lekko.

– Ma pani zamiar go zatrzymać? – spytała Bess.

– Oczywiście, że zamierzam go zatrzymać. Nie sądzisz chyba, że ci go oddam. Nigdy tego nie zrobię. Frazer jest moim wnukiem, to spadkobierca Jacka.

– Frazer jest moim synem. – „W głosie Bess słychać było gniew. Z trudem powstrzymała się przed roztrzaskaniem o podłogę wazonu z kwiatami i stojącej obok kryształowej salaterki na słodycze. Po czym oskarżycielskim tonem dodała: – Kiedy przyjechałam do Anglii cztery lata temu, czekałam na wasz przyjazd do Szkocji. Okłamała mnie pani wtedy, prawda? Specjalnie mnie pani okłamała!

– Tak bym tego nie ujęła – szybko odparła Cora. – Mieliliśmy zamiar przyjechać do Szkocji, ale nic z tego nie wyszło. Ta wojna...

Kłamię, pomyślała Bess i oświadczyła:

– Nie pozwolę, aby ukradła mi pani syna.

– Dlaczego? – Cora po raz pierwszy na nią spojrzała. Patrzyła na Bess lodowatymi, niebieskimi oczyma. Jej głos był zimny i nieustępliwy. – Przecież ty ukradłaś mi mojego.

– Nie ukradłam Jacka. To on chciał mnie poślubić.

– Nakłoniłaś go do tego małżeństwa. Kobiety takie jak ty potrafią to zrobić. – Bess pomyślała, że wreszcie maska chłodu opadła z twarzy Cory, jej oczy wypełniła nienawiść.

– To nie było tak – broniła się.

– Och, doprawdy? – szydziła Cora. – Sądzisz, że ci uwierzę, że wyszłaś za Jacka z miłości? A może i drugi raz też wyszłaś za mąż z miłości? Jakże masz wrażliwe serduszko, Elizabeth!

Bess poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Jack mnie kochał. Nie uwiodłam go, nie musiałam. On mnie kochał – wyszeptała.

– Jack cię pożądał. – Cora przysunęła się tak blisko, że Bess poczuła jej oddech na twarzy. – To nie była miłość, tylko żądza, do której zdolne są nawet najprymitywniejsze zwierzęta –

zgrzyźliwie kontynuowała dalej bezlitosnym, potępiającym tonem. – Przed poślubieniem mojego Jacka byłaś nikim. Twój ojciec był zrujnowanym draniem. Nie byłaś warta mojego syna, nie byłaś warta Ravenharta. Ale uwiodłaś go, sprawiłaś, że cię zapragnął. Widziałam, jak namawiasz go do złych rzeczy. Jak ja cię za to nienawidziłam!

– Nie...

– To ty jesteś wszystkiemu winna. Jack żyłby do dzisiaj, gdyby nie ty!

Elizabeth przypomniała sobie zamgloną drózkę wśród cedrów i sosen, usłyszała jak Jack woła: „Chodź, Bess! Pościgamy się!”.

– Jeżeli Jack miał szalone pomysły i był lekkomyślny, to tylko wskutek pani wychowania. To pani go zepsuła – odparła zimno.

Zaskoczona Cora Ravenhart nabrała powietrza i podniosła dłoń. Przez chwilę Bess wydawało się, że zaraz zostanie spoliczkowana. Ale Cora opuściła rękę i cichym, pełnym cierpienia głosem wyszeptwała:

– Tak bardzo go kochałam. Po jego śmierci czułam pustkę. Ty nie potrafisz zrozumieć takiej miłości. Idź już. Nie chcę cię więcej widzieć.

– Nie odejdę, dopóki nie zobaczę mojego syna – odparła nieustępliwie Bess.

Zapadła cisza. Nagle Cora uśmiechnęła się niespodziewanie.

– Jesteś zatem głupia – podsumowała cierpko.

Otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju i zamieniła z kimś kilka słów.

Bess słyszała bicie swojego serca, czas stanął w miejscu. Po chwili usłyszała kroki. Do pokoju weszła niania, prowadząc za rękę małego chłopczyka. Dziecko miało jasne, kręcone włosy, niebieskie oczy i taki sam nos, jaki miał Jack.

– Frazer? – wyszeptwała Bess. Chłopiec popatrzył na nią. – Nie poznajesz mnie? Jestem twoją mamusią – bezwiednie użyła słowa z dawnych lat.

Chłopczyk niepewnie spoglądał to na nianię, to na babkę.

– Frazer, mój drogi, ta kobieta chce cię stąd zabrać – powiedziała Cora przeciągle. – Chce, abyś z nią zamieszkał.

Wystraszone dziecko włożyło kciuk do buzi.

– Czy chcesz z nią pójść? Wtedy nie zobaczysz mnie już nigdy więcej. – Frazer zaprzeczył ruchem głowy. – Widzisz, nie chce iść z tobą. – Cora uśmiechnęła się z triumfem. – On się ciebie boi, Elizabeth.

Bess uknęła przed synkiem.

– Frazer, nie bój się. – Delikatnie dotknęła policzka chłopca. – Proszę, kochanie, nie bój się. Nie ma czego się bać.

Mały rozplakał się. Wielkie łzy spływały mu po policzkach. Bess próbowała go przytulić, ale się wyrwał, podbiegł do Cory i ukrył buzię w jej spódnicy.

– Już wystarczy, prawda? – Cora triumfowała nadal. Widzisz, on już ciebie nie poznaje. I nie kocha.

– Frazer – wyszeptwała Bess. Ale chłopczyk nawet na nią nie spojrział. Gramolił się nieporadnie na kolana Cory. – Błagam panią, pani Ravenhart... – Bess miała łzy w oczach.

– Chcesz go zabrać od jedynej matki, którą zna? Czy odbierzesz mu jedyne dom i kraj, który kocha? Czyżbyś bardziej dbała o siebie niż o niego? Nie dbasz o jego szczęście? – pytała Cora.

– Błagam panią...

– Odejdź. Idź już. Wiesz, że to jedyna rzecz, jaką możesz zrobić – głos Cory zmięknął nagle. – Wiesz, że to dla dobra Frazera – dodała.

Bess nie mogła wydusić z siebie słowa. W milczeniu zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Odejdź, Elizabeth. Zostaw nas w spokoju.

Bess wybiegła z hotelu. Biegła bez tchu, przez most, po brukowanych ulicach. Nad stacją kolejową unosił się dym, przechodnie przystawali, patrząc za nią, kiedy zanosila się płaczem.

Dobiegła do końca wąskiej alejki i znalazła się przed parkiem, od którego oddzielała ją brama. Próbowala ją otworzyć, ale bez rezultatu. Wyczerpana, oparła czoło o chłodne metalowe pręty. Rosnące wokół kuliste bukszpany i strzeliste cyprysy, zadbane, żwirowe alejki i kamienne ławki, wszystko to się rozmazało, gdy Bess rozplakała się na dobre.

**Część druga**

**Martin Jago  
1925-1935**

## Rozdział 4

Czy jesteś gotowy? – zapytał Davey Kirkpatrick.

Martin Jago popatrzył na przyjaciela. Davey stał w drzwiach i z zainteresowaniem przyglądał się rozłożonym w pokoju stertom książek, gazet, tajemniczych kamieni i skorup.

– Zapomniałeś o koncercie? – drażnił, podążając za nim w głąb pokoju.

– Nie zapomniałem.

– Kręcisz – odparł przyjacielsko Davey. – Jak sprawy gazety? – zapytał.

– Wstępniak nie był najlepszy. – Martin założył okulary i wziął pióro do ręki.

– Nie mamy już czasu – zauważył Davey. – Jeszcze musisz się przebrać.

Martin szybko zdjął sztruksowe spodnie i wytartą, tweedową kurtkę, po czym włożył wieczorowe ubranie, marynarkę i czarny krawat. Pięć minut później maszerowali już po Starówce do Assembly Rooms\* [Sale koncertowe i teatralne.] na George Sliret. Martin i Davey byli starymi przyjaciółmi. Studiowali razem na Uniwersytecie Edynburskim, Martin zgłębiał tam tajniki medycyny, a Davey dziennikarstwa.

Łączyło ich zainteresowanie muzyką i archeologią. Charakterami i wyglądem różnili się całkowicie. Davey przystojny, dobrze zbudowany, wprawdzie kulał (to pamiątka z wojny), był jednak mężczyzną doskonałym. Miał pogodne i otwarte usposobienie. Martin zaś, prócz fizycznych niedoskonałości – był chudy, zamknięty w sobie i niedowidział – podchodził do życia z rezerwą i pewną dozą smutku. Zapewne właśnie ze względu na owe różnice zostali przyjaciółmi.

Mijała właśnie połowa lata; na tej szerokości geograficznej jeszcze późno wieczorem było jasno. W czystym powietrzu różę

i lilie w ogrodach błyszcząły świeżością. W gałęziach drzewa śpiewał drozd. Martin wrócił do Edynburga po latach spędzonych za granicą. Chciał ponownie zamieszkać w mieście, które zawsze było prężnym ośrodkiem w dziedzinie nauk medycznych. Tęsknił również za miejscem, gdzie spędził spokojne lata przed wojną. Kochał Edynburg za wielokulturowe bogactwo, za łobuzerski urok i czar podupadającego miasta. Uwielbiał mroczne zakątki, które mieściły się tuż obok pyszniących się luksusem dzielnic. Mieszanka ta tworzyła barwną historię przenikających się warstw światła i ciemności, podobnych do warstw skalnych dzielących epoki w historii świata.

– Jak się ma Elspeth? – Martin zapytał o młodszą siostrę Daveya.

– Świetnie. Ale ma już dość. Wiesz, jaka ona jest, ciągle musi być zajęta.

– Kiedy ma termin porodu?

– Za miesiąc. Nasz kwiatusek jest dokładny. To rodzinne. U Kirkpatricków wszystko się robi we właściwym czasie. – Davey uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że będzie chłopak. Chciałbym mieć siostrzeńca.

– Powinieneś się ożenić, Davey. I mieć synów.

– A kto by tam chciał takiego starego ramola jak ja – odparł naburmuszony Davey.

– Jak tam noga? – spytał Martin.

– Świetnie, bez zmian.

– Być może kobiety nie zwracają uwagi na takie błahostki...

– Większość z nich woli tańczyć z partnerami, którzy nic robią z siebie durniów w sali balowej – odpowiedział Davey, gdy wchodzili do Assembly Rooms. – Poza tym, radzisz mi się żenić, a sam, chociaż nietknięty przez wojnę odważny i krzepki, nie założyłeś rodziny. Zimny z ciebie drań, Jago, i tyle.

Byli już spóźnieni, koncert właśnie się zaczynał. Dyrygent wkroczył na scenę.

– Ja przynajmniej jestem zakochany do szaleństwa – wyszeptał Davey, gdy publiczność powitała orkiestrę brawami. Uśmiechnął się zadowolony. – To kobieta idealna.

Davey wyglądał na podekscytowanego, a jego twarz przypominał nieco głupawy wyraz. Regularnie zakochiwał się w ekspedientkach, chórzystkach i tancerkach, a także w siostrach, żonach i córkach znajomych, należących do tej samej warstwy społecznej. Martin podejrzewał, że Davey nie potrafił poświęcić uwagi tylko jednej kobiecie i dlatego do tej pory się nie ożenił. Davey miał wyjątkową skłonność do blondynek, chichoczących trzpiotek o kręconych włosach.

– Długo ją znasz? – spytał Martin.

– Prawie dwa tygodnie. Jest aniołem. To najpiękniejsza istota, jaką znam, elegancka i zachwycająca, i...

Podnosząc batutę, dyrygent przerwał Daveyowi tyradę na cześć nowej wybranki.

Pierwszym utworem była „Fantazja na temat Thomasa Tallisa” skomponowana przez Vaughna Williamsa.

Jakże typowo angielska muzyka, pomyślał Martin. Przed oczami stanęły mu Stonehenge, Avebury i Silbury Hill, starożytne, tajemnicze budowle, rozsiane na kredowych równinach południowozachodniej Anglii.

Był na Wyspach krótko, podczas wojny. Znów powracały tamte straszliwe wspomnienia, raniące jak sztylet, niszczące życie całego pokolenia. „Nietknięty przez wojnę, odważny i krzepki”, jak mawiał Davey. Jednak nie miał racji. Martin nie pozostał nietknięty. Wojna naznaczyła go tak samo, jak naznaczyła Daveya, i tak jak zmiądziona noga przyjaciela nigdy już nie mogła być sprawna jak kiedyś, tak i on nigdy już nie będzie taki sam jak dawniej. Każdy z nich nosił w sobie demony

wojny. Martin cierpiał na bezsenność, a gdy już udało mu się zasnąć, prześladowały go nocne koszmary, od których latami nie mógł się uwolnić.

Jago wrócił do Edynburga przed trzema miesiącami. Miał pracować jako internista w gabinecie starego przyjaciela, Charliego Campbella, który był jego dowódcą w Królewskim Korpusie Medycznym. „Nie dorobisz się tutaj, ale nie będziesz się też nudził – tłumaczył mu Campbell, nalewając whisky w salonie swojego wygodnego domu w Canongate. A potem zapytał: „Jak tam Egipt? Widziałeś mumie?”.

Po koncercie przyjaciele opuścili filharmonię.

– U Izzy Lockheed jest przyjęcie – powiedział Davey. – Dzisiaj są jej urodziny. Może tam pójdziemy? – spytał.

– Nie widziałem Izzy od lat. Co u niej słyhać?

– Och, sama skóra i kości.

– Pamiętam ją, jak miała piętnaście lat i była pulchniutka.

– No cóż, pulchniutka to ona już nie jest. I prawdę mówiąc jest z niej kupa śmiechu. Spryciula, pozuje teraz na artystkę. Nosi wiejskie ciuchy i sandały, a nawet hoduje kury. I to nie uwierzysz gdzie – w Moray Place – powiedział z dezaprobatą Davey. Skinieniem dłoni zatrzymuj taksówkę. – Izzy to jeszcze dzieciak – dodał, gdy jechali już do Moray House. – Za to Hester...

– Wiem, najstarsza z sióstr... – Martin wpadł mu w słowo.

– Właśnie. Pamiętasz, Lockheedowie mają trzy córki, a Rosemary jest najmłodsza. – Davey zmarszczył brwi. – Nasza kochana Hester wyszła za mąż za Aleksa Findlaya. Miły facet, zawodowy żołnierz, przyjaciel Johnniego Murraya. Paskudnie dostał w głowę pod Arras. Nigdy nie doszedł do siebie.

– Poważny uraz głowy może zmienić osobowość – wyjaśnił Martin.

– Wydaje mi się, że małżeństwo to diabelski wynalazek.

Hester stała się trochę zgryźliwa. Alex nie może dużo pracować, więc sama nadzoruje robotników, mówi im, na jaki kolor pomalować ściany, dobiera ozdoby i takie tam... – Oczy Daveya błyszczały w ciemnym wnętrzu auta. – Mam nadzieję, że Izzy zaprosiła na dzisiejszy wieczór swoją przyjaciółkę.

– Ach tak. Tego anioła.

– Tak jest, mój drogi, anioła.

– A co teraz robi Izzy? Czy wyszła za mąż? – zapytał Martin.

– Ależ nie – zaprzeczył ruchem głowy Davey i dodał: Ma za to wielu adoratorów. Prowadzi agencję pośredniczącą w zatrudnianiu pracownic domowych. Wynajduje bogatym próżniakom służące i kucharki. – Taksówka zatrzymała i Davey zapłacił za kurs. – Ty też powinieneś mieć pokojówkę, Martin. Może Izzy mogłaby ci kogoś znaleźć.

W domu Isabel Lockhead pełno było świateł, które przebłyskiwały przez szpary w zaciągniętych zasłonach. Z otwartych okien sączyła się muzyka. W wysoko sklepionych pokojach goście zbierali się w małe grupy, rozmawiali lub wirowali w strojach wieczorowych w rytm muzyki jazzowej.

Isabel siedziała w kuchni przy zlewie koło swojej siostry Rosemary. Obok nich, paląc papierosa, stała Hester. Była wysoka i smukła. Miała gładko przyczesaną, krótką fryzurę. Młodsze siostry mogły pochwalić się ciemnymi, kręconymi włosami. Wszystkie miały czarne jak węgiel, wyraziste oczy. Oczy Hester były węższe, przez co wydawały się nieco wydłużone. Podkreśliła je kredką, co, zdaniem Martina, nadawało jej wygląd egipskiej królowej.

Gdy weszli, Isabel skoczyła na równe nogi i krzyknęła:

– Davey! Cudownie, że przyszedłeś! Martin! I ty tu jesteś! Tyle czasu cię nie widziałam! Już myślałam, że nie żyjesz! – Przytuliła obu na powitanie. Hester chłodno pocałowała nowych gości w policzek, Davey potargał dłonią kędziorki Rosemary.

Martin złożył Izzy życzenia urodzinowe, dał się namówić na kolację i wyszedł z kuchni. Przechadzał się po pokojach. Znał wielu ze zgromadzonych gości. Ci młodzi ludzie stanowili bardziej nowoczesną, elitarną i zamkniętą dla innych warstwę społeczną, na obrzeżach której funkcjonował Martin. W sąsiednim pokoju spostrzegł stojącego przy oknie przyjaciela.

– Zniewalająca, prawda? – wymamrotał Davey.

– Kto? – spytał Martin.

– Musiałeś ją zauważyć, popatrz tam...

Martin popatrzył we wskazanym kierunku. Nieznajoma stała tyłem do nich. Nie była bezbarwną blondynką jak to sobie wyobrażał. Upięte nisko na karku kruczoczarne włosy, podtrzymywane srebrnymi grzebieniami, pięknie kontrastowały z jej jasną skórą. Miała na sobie lśniąca, czarna suknię. Pomyślał nagle, że jak na ironię, kolor żałoby może przywoływać także inne, zakazane umysłowe skojarzenia. Chociaż piękność Daveya nie tańczyła, wystukiwała pantofelkiem rytm jazzowej muzyki. Sprawiała wrażenie, jakby nie mogła już dłużej stać bez ruchu. Martin w milczeniu podziwiał jej sylwetkę, smukłą i wyprostowaną, dzięki której nieznajoma wydawała się wyższa niż w rzeczywistości.

Widok ten przywołał niejasne wspomnienie, które Jago starał się bez powodzenia sprecyzować. Tak wiele rzeczy wydarzyło się w przeszłości, że trudno było wszystko dokładnie zapamiętać. Zastanawiał się, dlaczego znał na pamięć całe strony dzieł medycznych lub archeologicznych, słowo w słowo, a zapominał o włożeniu rano skarpet. Być może człowiek jest w stanie zapamiętać z góry określoną liczbę zdarzeń. A gdy wspomnień jest za wiele, ulatują z głowy jak powietrze z balonu. A może...

W tej właśnie chwili nieznajoma się odwróciła. Ze miechem odchyliła głowę do tyłu, odsłaniając długą, bladą szyję.

Upłynęła jeszcze chwilka i Jago dostrzegł jasną skórę jej ramienia, a potem usłyszał szelest jedwabiu.

Teraz wiedział, że brakowało mu już tylko słodkiego zapachu hoi.

– Pani Ravenhart – powiedział głośno, ale Davey szedł już w jej stronę. Przypomnił sobie wieczór, gdy ją poznał, latem 1915 roku. Dzień później opuścił Szkocję i wyjechał do Francji. Następne trzy lata pracował w lazarecie Królewskiego Korpusu Medycznego. Pozostał we Francji po wojnie i przez prawie osiemnaście miesięcy pracował w szpitalu w Krims. Potem przyszło – jak to nazywał – załamanie. Przerwał pracę i wrócił do swojego domu w Ardenach, w Szampanii, gdzie spędził kolejnych kilka miesięcy. Region ten został podczas wojny zrujnowany przez maszerujące armie. Prywatne budynki i gmachy publiczne wielokrotnie rekwirowano, plądrowano i niszczone. Ciężka praca przy naprawie domu była najlepszym lekarstwem na fizyczne i psychiczne dolegliwości. Dzięki zmęczeniu Martin lepiej spał. Po roku opuścił Francję. Podróżował po Szwajcarii, podziwiając celtyckie budowle nieopodal La Tene. Będąc we Włoszech, zwiedził Rzym. W końcu odpłynął z Półwyspu Apenińskiego do Kairu. I tam właśnie, w Egipcie, wśród piasków, kamieni i pozostałości starożytnej, tajemniczej kultury, doszedł w końcu do siebie po okropnościach wojny.

Nigdy nie zapomniał pani Ravenhart. Po części z powodu jej urody, ale również dlatego, że stała się dla Martina symbolem końca epoki niewinności. Wtedy też była ubrana na czarno. Przypomnił sobie, że zastawiała wówczas sidła na Ralpa Fearnleya. Swoją uwodzicielską kampanię prowadziła z wojskową precyzją. Spoglądała na wybranka spod przymkniętych powiek, uśmiechała się zalotnie i głaskała wąskimi palcami rękaw swojej biednej ofiary. Nie lubił jej

wtedy. Jednak, kiedy tego samego wieczoru wpadł na nią w oranżerii Corstophine'ów i zobaczył, jak pochłaniała przystawki i ciastka, jakby od dawna nic nie jadła, niechęć Martina zmaląła. Z dała od wścibskich oczu i wolna od konieczności błyszczenia w towarzystwie, wydała mu się ujmująco naturalna i bezpośrednia. Przypomnił sobie, jak zlizywała okruszki ciasta z palców i uroczym przechylała głowę, pijąc whisky z jego piersiówki. Ten niepohamowany apetyt miał w sobie coś pociągającego i zmysłowego. Teraz wydawała się inna. Bil od niej jasny i czysty blask. Stała się dojrzałą kobietą.

– Pani Fearnley. – Davey skinął na Martina. – To mój przyjaciel, doktor Martin Jago.

„Pani Fearnley” – powtórzył Martin w myślach. Zatem zdobyła go.

– My się znamy, pani Fearnley – powiedział głośno. – Poznaliśmy się u Corstophine'ów.

– Niestety, nie... – odparła, marszcząc brwi.

– To było bardzo dawno temu – przerwał Martin.

– Nie było pana wczoraj na przedstawieniu baletowym w teatrze, kapitanie – powiedziała, odwracając się do Daveya. – Nie lubi pan baletu? – spytała.

Dołączyły do nich siostry Lockhead, otoczone wianuszkiem usługujących młodzieńców. Martin obserwował, jak przynosili drinki pani Fearnley, przypalali jej papierosa, śmiali się z jej dowcipów. Zauważył też niebieski blask jej oczu i kolczyków. Ralph Fearnley zdawał się nie istnieć.

– Czytałam twoją książkę, Martinie – powiedziała Isabel Lockhead. – Widzę, że jesteś utalentowany.

Przed powrotem do Szkocji opublikował książkę o najnowszych odkryciach archeologicznych w Egipcie. Sukces, który odniosła, zaskoczył Martina. Przypuszczał, że stało się tak za sprawą szaleństwa, jakie wybuchło w kraju na punkcie

Egiptu po odkryciu grobu Tutanchamona.

– To musi być przerażające tak zagłębiać się w podziemny grobowiec mumii. – Rosemary Lockhead zadrżała. Byłeś wewnątrz takiego grobowca, Martinie? – spytała w napięciu.

– Raz czy dwa razy – odparł.

– A jeszcze ta klątwa faraona – dodała Rosemary i pisnęła ze strachu i podniecenia.

– Nie ma żadnej klątwy ani żadnych duchów. – Martin zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wierzy pan w duchy, doktorze? – zapytała pani Fearnley, odwracając się do niego.

– Nie, nie wierzę – odpowiedział. I zaraz dodał: – A pani?

– Oczywiście, że wierzę – odparła spokojnie. – Duchy zawsze i wszędzie nam towarzyszą. Nigdy się od nich nie uwolnimy.

– Ja raz nocowałam w nawiedzonym zamku – wtrąciła nieśmiało Rosemary.

– I co? Widziałaś ducha, droga Rose? – kpiąco spytała Hester. – Albo rycerzy zakutych w skrzypiące zbroje lub bezgłowe zjawy? – ciągnęła bezlitośnie.

– Słyszałam różne odgłosy i widziałam dziwne cienie. Było tam bardzo, bardzo zimno.

– Gdzie był ten zamek?

– W górach.

– Co tłumaczy uczucie zimna. – Hester nie dawała za wygraną. – Jeżeli muszę już nocować gdzieś na północy, to kładę się do łóżka w skarpetkach i swetrze. – Odpowiedział jej ogólny wybuch śmiechu. – Zawsze miałaś bujną wyobraźnię, skarbie – dodała, zwracając się do siostry.

– W starych domach słychać czasami dziwne odgłosy. – Davey przyszedł z pomocą Rosemary. – Wiatr świszcz w kominie albo trzeszcza stare podłogi.

– Albo myszy harcują – wpadł mu w słowo Martin. U mnie jest ich pełno.

– Powinieneś znaleźć sobie coś porządniejszego, Jago. Teraz, gdy stałeś się znanym pisarzem, nie musisz dłużej gnieździć się w tej norze.

– To nie jest żadna nora. Lubię swoje mieszkanie. Ktoś zmienił płytę w gramofonie, goście dobrali się w pary. Martin zauważył, że Davey śledzi wzrokiem tańczącą panią Fearnley. Po chwili sam obserwował ją uważnie. Połyskliwa suknia kołysała się, podkreślając płynne ruchy kobiety. Bess pewnie stawiała stopy, świetnie wyczuwając rytm muzyki. Miała gładką cerę nieco zaróżowioną na policzkach, a niesforne loki kołysały się przy każdym ruchu głową.

– Sprawa jest beznadziejna – usłyszał nagle przy uchu cichy głos. – Bess Fearnley lubi tylko bogatych mężczyzn – Jesteś dla niej za biedny.

Martin odwrócił się i uśmiechnął do Hester Findlay.

– Zatańcz ze mną, Martinie – poprosiła.

– To nie jest dobry pomysł. Podepczę ci palce.

– No to co? Nie dbam o to. – Wzięła go za rękę i pociągnęła na parkiet.

Pod cienkim materiałem sukienki czuł zebra Hester. Jak się czuje Alex? – spytał. – Nie widziałem go dzisiaj.

– Nie przyszedł. Nie lubi przyjęć ani hałasu. Nie lubi tłumu. Chce mieć święty spokój, wszystko go drażni. To smutne, prawda?

– Czy w ogóle nie widuje ludzi?

– Teraz nie. Ma dosyć lekarzy. Postanowił zdać się na dobroczynny wpływ słońca i obiecał mi, że zimę spędzimy w Menton. – Hester rozejrzała się po sali. – Nie wytrzymam następnej zimy tutaj. Ciągle wśród tych samych ludzi i w tych samych miejscach.

Tańczyli przez chwilę w milczeniu. Martin starał się wczuć w rytm muzyki i nie pomylić kroków, Hester zaś wydawała się znudzona.

– Dobrze znasz panią Fearnley? – zapytał.

– Trochę. Izzy zna ją lepiej, ona jest trochę...

– Jaka?

– Dziwna. Może nie powinnam o tym mówić, ale ona pracuje w nocnym klubie. – Hester lekceważąco wzruszyła ramionami. – Wiesz, jaka jest Izzy, nie dba, co ludzie powiedzą. A poza tym Bess jest ładniutka i niezwykle czarująca.

– A jej mąż... ?

– Który? Masz na myśli Ralpa Fearnleya? – przerwała mu.

– Przeżył wojnę? – spytał.

– Tak, tak. Za to jej pierwszy mąż zmarł w Indiach. Natomiast Ralph rozwiódł się z nią, czy też raczej postąpił honorowo i pozwolił jej rozwieść się z nim. Już nie pamiętam... Ma córeczkę. I, oczywiście, mnóstwo wielbicieli. – Popatrzyła na Martina i zapytała rozbawiona: – Mam nadzieję, że nie rozwiąłam twoich złudzeń? Ty też się w niejkochasz?

– Oczywiście, że nie – znów odparował zaczepkę i natychmiast nastąpił Hester na palec. Hester westchnęła z rezygnacją i oboje zeszli z parkietu.

– Jesteś kiepskim tancerzem, mój drogi.

– Wiem – przyznał pokornie. Stali przez chwilę w ciszy, obserwując tańczących, po czym Jago spytał: – Czy wielu mężczyzn zakochuje się w pani Fearnley?

– Dziesiątki. Davey Kirkpatrick też do nich należy – odpowiedziała.

– Przecież wiesz, że Davey co chwilę w kimś się zakochuje.

– Kiedyś i do mnie zapalał uczuciem. – Hester nagle posmutniała. – Nikt już się we mnie nie zakochuje. Jak myślisz, dlaczego? – spytała. – Czy jestem za stara, czy tak bardzo

zbrzydłam?

– Ależ skąd, Hester! – zaprzeczył. – Jesteś piękna, jak zawsze. – I dodał w myślach: choć trochę za chuda, zbyt zgorzkniała i zdesperowana. – I jesteś już mężatką – zauważył.

– Och, nie bądź naiwny, Martinie! Nikt przecież nie zwraca na to uwagi. – Zagryzła wargi i wyszeptała: – Czasami mam ochotę zrobić coś strasznego. Też to czujesz? Chciałabym biec ulicą i krzyczeć albo podpalić dom czy też podłożyć bombę na którymś z tych próżniaczych edynburskich przyjęć i patrzeć, jak wszystkich ogarniają płomienie.

Zadrżała. W geście pocieszenia Jago mocno ścisnął jej dłoń. Potem zapalił dwa papierosy i jednego podał Hester. Wzrok Martina błędził za panią Fearnley, która tańczyła teraz z Johnniem Murrayem. Wsłuchiwał się w słowa piosenki: „Gdzie byłaś, moja ukochana, przez te siedem długich lat?”. Zadziwiające, że przez następne dziesięć lat pamiętał te słowa i uczucie tęsknoty, które nim wtedy owładnęło.

Davey Kirkpatrick odprowadził Elizabeth do domu. Musiała zwolnić kroku, aby mógł za nią nadążyć. Zza chmur wyjrzał księżyc w pełni. W jego srebrnym świetle wyraźnie widać było zamek na skalistym wzgórzu. Zamek z bajki Kate, pomyślała Bess i uśmiechnęła się do siebie. Gdy Kate była mała, nie wierzyła, że ten tak piękny w świetle księżyca, daleki, ozdobiony wieżyczkami zamek, który w jej młodziutkim umyśle pełen był pięknych księżniczek i okrutnych potworów, to ten sam zwykły, szary budynek, który wyznaczał cel ich popołudniowych spacerów. To była jedna z tajemnic miasta, które potrafiła zwodzić ludzi różnorodnością swojego oblicza.

Pod drzwiami mieszkania Bess Davey zadowolił się niewinnym pocałunkiem w policzek. Był dżentelmenem i nie wypadało mu domagać się czegoś więcej pod jej domem. Na

propozycję wspólnej kolacji Bess wymamrotała nie zobowiązujące podziękowanie i weszła do środka. Poszła od razu do pokoju Kate. Podeszła do łóżka i pogłaskała śpiącą córeczkę po głowie. Podziękowała i zapłaciła za pozostanie z dziewczynką opiekunce Annie. Annie była wdową, żyła z małej renty i mieszkała obok nich. Kate знаła ją od dziecka i bardzo lubiła. Annie z czasem stała się przyszywaną babcią dla dziewczynki, która nie miała prawdziwych dziadków. Po wyjściu Annie Bess nałała sobie whisky, położyła się na kanapie i głęboko odetchnęła z ulgą. Zawsze lubiła wracać do swojego mieszkanka. Mieszkały tu już sześć lat i z upływem czasu stało się ono dla Bess ukochanym schronieniem. Urządziła je według swojego gustu. Kaszmirowe szale otulały oparcia foteli, na ścianach wisiały fotografie i akwarele. Na środku stołu ustawiła szklany wazon z różowymi różami, których zapach wypełniał cały pokój.

Jutro niedziela, jak cudownie będzie poleżeć trochę dłużej!, pomyślała. Kate miała zwyczaj zakradać się do łóżka Bess wczesnym rankiem. Ze wszystkich sił starała się zachowywać cicho i leżeć bez ruchu, potem jednak, znudzona, zaczynała się bawić flakonikami perfum lub biżuterią mamy. Wkrótce więc trzeba było wstać i zrobić śniadanie.

Od poniedziałku do sobotniego południa Bess pracowała w sklepie z sukniami. Właścicielką była wysoki i energiczna Irlandka, Iona O'Hagan, która miała dobry gust, pewną rękę i doskonale dobierała kolory. Jej sklep szybko stał się centrum mody dla co odważniejszych edynburskich elegantek, Iona była prostolinijna i szczerza. Wkrótce ona i Bess stały się przyjaciółkami. Dwa lub trzy wieczory w tygodniu Elizabeth pracowała w klubie nocnym Black Orchid na placu Picardy. Jego właściciela, Jamiego Blacka, poznała kilka lat wcześniej, w trudnych czasach zaraz po rozstaniu z Ralphem. Kiedy opuściła

męża i zamieszkała w Edynburgu jako rozwódka, ciągnęła się za nią zła sława. Bess nie dbała o to, co o niej mówiono. Hyla zadowolona z samotności po tym, jak porzuciła i iwanie w złym związku, opłakała Michaela i pogodziła się z utratą Frazera. Za wszelką cenę pragnęła przetrwać i temu celowi podporządkowała wszystkie swoje starania. Ralph opłacał mieszkanie i chesne w szkole Kate, Bess natomiast musiała sama zadbać o resztę: jedzenie, opał i szkolny mundurk córki. Miała dość zależności od kogokolwiek, na własnej skórze odczuła potrzebę posiadania własnych zasobów materialnych. Nie straciłaby Frazera, gdyby wcześniej zdobyła własne pieniądze.

Z czasem zatęskniła jednak za towarzystwem i próbowała odnowić stare znajomości. Pomimo rozwodu Willamsonowie nadal zapraszali ją do siebie, ale wkrótce zorientowała się, że wiele osób wołało nie utrzymywać z nią żadnych kontaktów. Jako rozwódka z dzieckiem została wykluczona z towarzystwa. Co więcej, nie akceptowano jej również dlatego, że po rozwodzie nie prowadziła zwyczajowego w takiej sytuacji skromnego trybu życia. Przeciwnie. Elizabeth podjęła pracę i nadal potrafiła się bawić i korzystać z życia. Edynburskie świętoszki nie mogły tego znieść. Znajomi udawali, że nie rozpoznają Bess na ulicy, gapiono się na nią i szeptano za jej plecami. Nie była zapraszana na przyjęcia i kolacje. Kobiety traktowały ją podejrzliwie, jakby stanowiła jakieś zagrożenie. Nielicznym mężczyznom zaś wydawała się łatwą zdobyczą. Bess szybko nauczyła się, jak sobie radzić z takimi natrętami. Stanowili uciążliwy efekt rozstania z Ralphem i dwuznacznej sytuacji, w której się znalazła. Musiała uważać na żonatych zalotników, szczególnie niebezpieczni byli wpływowi zarozumialcy. Sądzili, że kupując jej prezenty lub proponując swoje odwiedziny, czy nawet wspólną noc, wyświadczali Bess

niezwykłą łaskę. Gdyby im uległa, zaczęliby afiszować się nią tak samo, jak to robili, przechwalając się swoimi autami, jachtami i domkami myśliwskimi w górach. Znudzeni szybko zakochaliby się w znajomości, nie dbając ani o reputację Bess, ani o jej złamane serce.

Jamie Black był inny. Bess pracowała w herbaciarni, gdy się poznali. Siedział przy stoliku, a gdy podeszła, był miły i grzeczny. Nie starał się flirtować, niczego nie proponował, tak jak robiła to większość mężczyzn na widok młodej i atrakcyjnej kelnerki. Odwiedzał herbaciarnię codziennie o tej samej porze przez tydzień. Gdy zaproponował wspólne wyjście, Bess przyjęła zaproszenie. Potrzebowała męskiego towarzystwa. Jamie był wysoki i potężnie zbudowany. Nie był przystojny, ale jego porwana bruzdami twarz wydawała się interesująca. Dobiegał czterdziestki i prowadził w Edynburgu rozliczne interesy. Był żonaty, choć nie miał dzieci, czego szczerze żałował. Nie afiszowali się ze swoim niezobowiązującym romansem, który trwał długo z uwagi na wzajemne zauroczenie i pożądanie. Poświęcali pracy dużo czasu i dlatego przez ponad rok nie było między nimi miejsca ani na wielką namiętność, ani na zazdrość. Potem Bess zerwali tę znajomość. Zerwanie nastąpiło z powodu małostkowego uczucia winy i lęku, które jej doskwierały. Im dłużej znała Jamiego, tym oba stawały się silniejsze. Bała się, że ich związek zostanie odkryty. Chociaż oboje bardzo uważali, bała się niechcianej ciąży. Uznała też, że ewentualne ujawnienie ich romansu byłoby niezwykle bolesne, postanowiła więc z tym skończyć. Cierpiała potem w samotności i tęskniła za rozkoszą, jaką sobie dawali. Myślała z goryczą, że nigdy nie będzie jej dane poznać niektórych rodzajów miłości. Rozstali się w zgodzie, pozostali przyjaciółmi i gdy kilka lat później Jamie otworzył nocny klub, zaproponował Bess pracę w Black Orchid.

Edynburska złota młodzież, wychodząc z restauracji i teatrów o dziesiątej wieczorem, nie miała ochoty na szybki powrót do domów i podążała do Black Orchid. Był to klub prywatny. Władze miejskie zgodziły się na przedłużenie godzin otwarcia pod warunkiem serwowania w nim posiłków. Zadaniem Bess było przyjmowanie zamówień na drinki i proponowanie gościom zakąsek, jamie miał swoje motto: „Nasi goście mają się tu dobrze bawić”. Uśmiechała się więc do nich, śmiała z ich niemądrych dowcipów i dbała, by bawili się tak dobrze, żeby zechcieli wrócić do klubu jeszcze wiele razy. Bess uwielbiała klub. Lubiała muzykę jazzową, która sprawiała, że migi same ruszały do tańca. Lubiała krzykliwy blask kabaretu, śledziła hipnotyzujące widzów światła, wydobywające aktorów z mroku małej sceny. Uwielbiała patrzeć na dym papierosowy, snujący się w snopie zmieniających się reflektorów scenicznych. Chciwie obserwowała tańczące pary, zwracając szczególną uwagę na szyfonowe i jedwabne kreacje pań. Uwielbiała tę płataninę ramion, frędzelków i wstążeczek poruszającą się w szalonym rytmie – muzyki.

Za wystrój klubu odpowiadała Hester Findlay. To dzięki niej Bess poznała Isabel i Rosemary, które w klubie zawsze były otoczone wianuszkiem skorych do zabawy, urodziwych lekkoduchów. Bess stała się ich towarzyszką. Zapraszano ją na przyjęcia i zabawy taneczne, szybko odnalazła się w tym artystycznym towarzystwie.

Tego popołudnia Bess i Kate odwiedziły Isabel Lockhard w Moray Place. Bess wręczyła Isabel prezent urodzinowy i pomogła w ostatnich przygotowaniach do kolacji. Potem we trzy usiadły w ogrodzie. Elizabeth patrzyła na bawiącą się Kate i jej serce wypełniała bezgraniczna miłość. Jej ośmioletnia córka była ciekawą świata, rozbawioną, drobniutką dziewczynką o niebieskich oczach. Kosmyki ognistych, rudych włosów ciągle

wymykały się z warkoczy, a jej ubranie zawsze było w nieładzie: miała nieustannie porozpinane guziki, skarpetki zsuwały jej się z nóg, a bluzka wystawała spod paska. Wydawało się, że Kate nie ma pojęcia, co zrobić ze swoimi chudymi kończynami, Bess posłała ją więc na lekcje baletu. Oczywiście był to kolejny wydatek i jeszcze jeden powód przyjęcia propozycji, którą złożył Jamie.

Ralph poślubił Pamelę Crawford w 1923 roku i ku zaskoczeniu wszystkich tuż po ślubie kupił mleczną farmę w Lanarkshire. Ich pierwszy syn, Thomas, urodził się w niecały rok później, drugi chłopiec, Henry, przyszedł na świat po następnych dwunastu miesiącach. Kate uwielbiała swoich przyrodnych braci i robiła dla nich na drutach piękne wełniane skarpetki, we wzorek własnego pomysłu, pełne pospuszczanych oczek. Gdy tylko nadchodził dzień, w którym dziewczynka przyjeżdżała na farmę ojca, Pamela bardzo dbała o to, aby obaj chłopcy nosili skarpety od siostry. Bess cieszyła się, że Kate ma rodzeństwo. Wstydziała się jednak urazy i zazdrości, które odczuwała po narodzinach każdego z synów Ralpa. Nic potrafiła myśleć bez goryczy o swoich utraconych synkach i marzyć o domu pełnym harmidru, hałasów i krzyków dzieci – domu, w którym mieszkałaby ze swoimi synami.

Po odejściu od Ralpa Bess postanowiła, że już nigdy nie wyjdzie za mąż. Ciągle jednak chciała mieć dzieci. Z urodzonej trójki straciła dwoje. Od tego czasu zawsze towarzyszył jej strach przed pustą kołyską. Obawa przed samotnością ciągle rosła. Bess tęskniła za czymś, czego nigdy nie doświadczyła: za poczuciem bezpieczeństwa i przynależności, jakie daje duża, kochająca się rodzina. Mając takie oparcie, nigdy już nie czułaby się samotna. Zresztą wydawało się to całkiem rozsądnym marzeniem, przecież większość kobiet zakładała rodziny.

Jednak nie mogła stworzyć sobie nowej rodziny bez męża a wraz z upływem czasu, szanse Bess na ponowne zamążpójście malały. Miała trzydzieści jeden lat. Zdawała sobie sprawę, że mająca dziecko rozwódka w tym wieku nie jest równie atrakcyjna jak młoda, dwudziestoletnia panna. Przez ostatnie lata, gdy proponowano jej małżeństwo zawsze odmawiała. Nie kochała żadnego ze starających się o jej rękę kandydatów. Postanowiła, że nigdy więcej nie popełni wcześniejszych błędów – już nie wyjdzie za mąż bez miłości. Nie zaryzykuje też szczęścia i dobrobytu Kate. Ewentualny przyszły małżonek musi zapewnić im byt. Powinien to być mężczyzna zrównoważony, tolerancyjny, miły w obyciu, o racjonalnym podejściu do spraw finansowych. Żaden lekkoduch ani też nudziarz. Elizabeth zadawała więc sobie pytanie: jak trzydziestojednoletnia rozwódka o wątpliwej reputacji mogłaby znaleźć taki ideał? Gdzie w pokoleniu zdziesiątkowanym przez wojnę i epidemie miałby się znaleźć taki ideał? I doszła do wniosku, że mężczyzna z jej marzeń nie istnieje. Po czym nie wracała już do tego.

Teraz Bess bacznie pilnowała Kate. Przyrzekła sobie obdarzyć małą dostatkiem. Postanowiła, że dzieciństwo jej będzie się różniło od tego, co przeżyła sama. Chciałaby Kate nie musiała przedwcześnie dojrzewać, by nie miała niepewności jutra, by nie żyła bez jasno określonej przyszłości. Zadbaj o to, by Kate nie flirtowała, mając zaledwie piętnaście lat i by nie wyszła za mąż, będąc osiemnastolatką. Nie będzie odsyłać córki pod opiekę ciotek i przyjaciół, których dziecko nie zna. Bess chciała też, by Kate znalazła w życiu kogoś, do kogo zawsze mogłaby zwrócić się z prośbą o pomoc i mądrą radę. Na długo przed pójściem do szkoły Kate znała cyfry i litery. Bess liczyła z nią drzewa na spacerze i kaczki w stawie. Czytała córce bajki, nauczyła ją pisać własne imię, samo dzielnie się ubierać i

zapłatać włosy. Elizabeth chciała, by Kate umiała zadbać o siebie i w przyszłości nie była od kogokolwiek zależna. Starając się zapewnić dziewczynce jak najlepsze warunki życiowe, Elizabeth próbowała też zapłacić lukę powstałą w życiu córki po śmierci jej małego braciszka. W swoim pokoiku na kominku Kate cały czas miała fotografię Michaela, a zrobiony dla niego na drutach wełniany królik zajmował swoje miejsce pośród innych zabawek. Bess wielokrotnie zastanawiała się nad tym, co czuła mała Kate po utracie bliźniaczego brata, z którym dzieliła łono matki. I często porównywała sytuację córki do utraty dziecka przez rodziców. Gdy po grążoną w takich rozmyślaniach Bess przechodziły dreszcze, wiedziała, że musi zająć się czymś innym.

Kate miała przecież jeszcze jednego brata. Elizabeth opowiedziała córce o Frazerze, gdy tylko dziewczynka była na tyle duża, by to zrozumieć. W atlasie geograficznym Bess pokazała jej, gdzie leżą Indie i gdzie jest Simla. Pokazała jej zdjęcie Frazera i przesiąknięte niegdyś charakterystycznym zapachem niemowlęcia ubranko, które dla niego zrobiła. Poczuli się lepiej, mając świadomość, że Kate już wie wszystko. Symbolicznie zjednoczyła całą rodzinę.

Frazer miał już jedenaście lat. Bess często wyobrażała go sobie, jak biegnie przez orientalny targ na czele grupy innych chłopców: jasnowłosey, niebieskooki, zwinny i smukły. W jej wyobraźni był nieustraszony i silny, tak jak ona w tym wieku i tak, jak na pewno nieustraszony i silny był Jack. Wierzyła, że Frazer umiał pływać, wspinać się na skały i na najwyższe drzewa. Bess miała nadzieję, że Cora dobrze go wychowuje i chłopiec umie już rozpoznać, z których strumieni można bezpiecznie pić wodę, a w których rozwijają się niebezpieczne larwy owadów wywołujące malarię. Była pewna, że Cora nie pozwalała mu jeździć konno po wzgórzach w mgliste poranki.

Elizabeth zastanawiała się, czy chłopiec zostanie posłany do szkoły w Anglii, czy też pozostanie w Indiach. Cora mówiła przecież do niej: „On cię już nie poznaje, już cię nie kocha”. Bess drżała za każdym razem, wspominając te słowa. Miała też pewność, że pani Ravenhart nie pozwoli, aby wnuk zamieszkał z dala od niej.

Było już późno i Elizabeth poczuła się zmęczona. Poszła do sypialni i spojrzała w lustro. Zdjęła diamentowe kolczyki i włożyła je ostrożnie do wyłożonej aksamitem szkatułki. Gdy zgasł ich blask, Bess wydało się, że ma podkrążone oczy. Syknęła z dezaprobatą, otworzyła słoik z kremem i energicznie zaczęła go wcierać w skórę.

Wejście do klubu oznaczone było tylko małą, stylizowaną, czarną orchideą. Łatwo można było ją przeoczyć. Nie było ani krzykliwego neonu, ani szyldu. Nisko sklepione, ciemne korytarze i pomieszczenia przypominały Martinowi egipskie komory grobowe. Dyskretnie sprawdzano referencje gościa i odbierano od niego płaszcz, kapelusz i parasol.

Umieszczone na końcu korytarza, szeroko otwarte dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do pomieszczenia z barem. Wchodzących tam natychmiast otaczały kolorowe światła i głośna muzyka. Prócz kontuaru ustawiono tu stoliki i krzesła. Wydzielono miejsce na niewielki parkiet taneczny i estradę, gdzie trio muzyczne grało poruszające wszystkich jazzowe rytmy. Tańczący potracali się wzajemnie i usiłowali przekrzyć muzykę. Oczy gości cieszył widok diamentowej biżuterii i wieczorowych kreacji. W powietrzu unosił się zapach tureckiego tytoniu i francuskich perfum. Roznoszące drinki kelnerki zręcznie uwijały się pośród tego zgiełku. Nigdy się nie zdarzało, aby wpadały na gości.

Davey zauważył Isabel Lockhead, zawołał do niej i

pomachał ręką. Wraz z Martinem ruszyli przez tłum do jej stolika. Zanim tam dotarli, jakaś majestatyczna, wysoka, rudowłosa kobieta o jasnej skórze i wysoko sklepionych kościach policzkowych zastąpiła Martinowi drogę.

– Co za wspaniałe przeżycie! Proszę sobie wyobrazić, że przez całą godzinę przymierzałyśmy suknie w moim sklepie i prosto stamtąd przyszłyśmy do klubu. Czyż ta pąsowa kreacja Rosemary nie jest śliczna? – zaczęła. – Ale my się chyba nie znamy. Jestem Iona O’Hagan – zreflektowała się, wyciągając dłoń w stronę Martina.

Mówiła z irlandzkim akcentem i wyglądała jak starożytna irlandzka heroina: królowa Meave czy mityczna Deirdre, pomyślał Martin.

– Martin Jago – przedstawił się.

– Niekiedy współczuję wam, mężczyznom, że nie możecie poczuć tej wspaniałej radości, jaką daje włożenie nowej sukienki. Wystarczy zmiana koloru, zaprasowanie dodatkowej plisy czy doszycie jednego cekina, a już wyglądasz zupełnie inaczej.

– Chciałaby pani być zupełnie inną osobą? – spytał.

– Znudziłybyśmy się same sobą bardzo szybko, gdyby nie możliwość dokonywania zmian, nie sądzi pan? – od powiedziała pytaniem.

Martin usłyszał za plecami znajomy głos.

– Martin jest niczym kot, ma dziewięć wcieleń, tylko, że wszystkie zachowuje w sekrecie. Czyż nie tak, mój drogi? – żartowała Hester Findlay.

– Wcale nie. Można mnie przejrzeć na wylot – odwrócił się do niej.

– Zaskoczyłeś mnie, przychodząc tutaj. – Hester powitała go pocałunkiem i Martin poczuł jej chłodne wargi im policzku. – Sądziłam, że poświęcasz czas czemuś bardziej wzniosłemu:

ratujesz życie choremu albo przywrócisz wzrok ślepcowi.

– Ach! Jest pan lekarzem? – zachwyciła się Iona.

– Tak, pani O’Hagan.

– To tylko jedno z jego wcieleń, Iono – wtrąciła Hester. – Szuka też w ziemi starych kości, prawda, Martinie? I znika od czasu do czasu, zaszywa się gdzieś we Francji. Martinie, czy nie ukrywasz tam przypadkiem żony i dzieci? – drażniła się z nim.

– Muszę cię rozczarować Hester, ale nie.

– Mój kochany Dara woli siedzieć w Irlandii – odezwała się pani O’Hagan. – Zbiera mszaki, których jest tam mnóstwo.

– Ja też chciałabym mieć gdzie się ukryć – westchnęła Hester.

– Ukryć się? – Martin uśmiechnął się z niedowierzaniem. – A przed czym to chciałabyś się schować?

– Przed tą okropną pogodą – odparła, marszcząc brwi. – Tego przecież nie można nazwać latem. Ale powiedz mi, co sądzisz o wystroju lokalu, mój drogi? – zapytała, rozchmurzając się.

– Jest wspaniały – odparł, patrząc na czarne ściany i krzesła wyściełane czerwonym aksamitem. Światła błyszczały srebrem i czerwienią. Na ścianach wisiały w srebrnych ramach obrazy, na których pyszniły się orchidee w ostrych barwach.

– To dzieło Hester – wyjaśniła pani O’Hagan. – Nie sądzi pan, że umie dobrać kolory?

– Chciałam, aby wystrój był subtelny, wytworny i jednocześnie dekadentki – wyjaśniła Hester. – I bez żadnych ozdóbek. Gdybym znów zobaczyła papierowego Tutanchamona, chyba zaczęłabym krzyżeć. A czy te lustrzane płytki we wnękach nie są prześliczne? – zapytała, choć jej wzrok już dawno błędził po parkiecie. – Chciałabym zatańczyć. Czy ktoś poprosi mnie do tańca? – spytała.

– Hester, wiesz przecież, że jestem okropnym tancerzem. –

Martin przecząco potrząsnął głową.

– Ja z tobą zatańczę – zaproponowała Iona.

– Mam nadzieję, że nie macie mi tego za złe, moi drodzy – rzuciła Hester, odwracając się do stojących obok przyjaciół.

– Oczywiście, że nie – uśmiechnął się Davey. – Biegnij tańczyć, a my będziemy cię stąd podziwiać.

Patrzyli na nie przez chwilę, po czym Davey podszedł do Aleksa Findlaya, aby porozmawiać. Patrząc na Aleksa z prawej strony, widziało się wychudzonego, lecz przystojnego mężczyznę. Jednak druga strona jego twarzy naznaczona była okropną blizną pozostałą po ranie zadanej przez pocisk mózdzierzowy.

Martin przeszedł do spokojniejszego zakątka sali i tam wyjął papierosa. Stał w przejściu i zaczął palić. Przez głowę przepływały mu leniwie fragmenty odbytych rozmów, wydarzenia minionego dnia. „Wszyscy chcemy się zmieniać od czasu do czasu, nie sądzi pan...” „Martin jest niczym kot, ma dziewięć wcielen”.

Jeżeli interesuje cię zbyt wiele i masz za dużo wcieleń, czy nie tracisz szansy na prawdziwą wiedzę w konkretnej dziedzinie, pomyślał. Wspomniał pacjentów, którzy odwiedzili dziś rano jego gabinet. Badał dziecko chore na gorączkę reumatyczną i teraz zastanawiał się, jak bardzo uszkodzony został mięsień sercowy. Szanowany przedsiębiorca, opoka społeczeństwa, leczył się u niego od jakiegoś czasu i Martin podejrzewał syfilis. Niestety, syfilis podszywał się zdradziecko pod inne choroby i postawienie trafnej diagnozy nie było łatwe. Jeszcze trudniej było powiedzieć pacjentowi, że cierpi na tę właśnie chorobę. Martin obiecał też, że zaopiekuje się irlandzkim wilczurem podczas wyjazdu przyjaciela do Londynu. Co takie psisko robiło całymi dniami zamknięte w domu? Czy wyło z tęsknoty za panem? A może powinienem zabierać go ze sobą, na domowe wizyty u pacjentów? – uznał.

I wtedy ją zobaczył. Bess Fearnley miała na sobie czerwoną suknię. Kolor był bardzo intensywny, jak kolor krwi, a skóra kobiety wydawała się zupełnie biała. Odeszła od baru niosąc na czubkach palców tacę pełną drinków. Zatrzymała się, aby porozmawiać z kimś przez chwilę, uśmiechnęła się do kogoś innego, wolną rękę położyła na ramieniu jakiegoś mężczyzny i pochyliła się słuchając, co do niej mówił. Martin obserwował jej czarne włosy i kołysanie się czerwonej szarfy na biodrach, gdy Bess z wprawą przeciskała się przez tłum. Najpierw sprawdził puls, zaintrygowany tym, jak bardzo przyspieszył po czym odetchnął głęboko gorącym, pełnym dymu powietrzem, ale nie udało mu się opanować wrażenia, jakie na nim zrobiła. Zauważył nagle, jak odbicie Bess w lustrzanej wnęce rozpadło się na tysiące czerwono-biało-czarnych kawałków.

Przyszło mu na myśl francuskie określenie: *coup de aundre*, co dosłownie oznacza: uderzenie pioruna. Faktycznie stał jak rażony gromem, który odmienił go całkowicie, wzbudzając fascynację, burząc krew w żyłach, a nawet zmieniając rytm serca. Jago zrozumiał, że w jednej chwili zmienił się całkowicie i nieodwołalnie. Jego leniwe rozważania przerwało gwałtowne olśnienie. Wiedział, że nie pozbędzie się już swojego nowego ja i że nie będzie mógł powiedzieć: „Nie, dziękuję. Nie chcę tej zmiany”.

Martin Jago od dłuższego czasu interesował się urazami i chorobami, na które narażeni byli ludzie pracujący fizycznie. Spotykał się z uszkodzeniami palców i dłoni, których doznawali introligatorzy, z niszczącym wpływem szkodliwych związków chemicznych na skórę i organizm robotników w zakładach chemicznych. Wiedział o dolegliwościach klatki piersiowej, na które skarżyli się zecerzy i drukarze. W Edynburgu było wiele drukarni, a gruźlica i inne choroby układu oddechowego

zbierały obfite żniwo, powodując przedwczesne zgony.

Gruźlica rozwijała się błyskawicznie w przeludnionych kamienicach czynszowych Edynburga. Często chorowali na nią członkowie tej samej rodziny lub lokatorzy sąsiednich mieszkań. Większość domów w Edynburgu, który szczycił się Princes Street i Holyrood Palace\* [Rezydencja królewska w Szkocji.], była przepelniona i latami nieremontowana. Ponad połowa mieszkańców gnieździła się w jedno- i dwupokojowych mieszkankach, w niezwykle skromnych warunkach, bez wygód i poczucia prywatności. Porody, życie intymne i śmierć – wszystko to działo się w jednej izbie, w której cała rodzina zasiadała do posiłków, pracowała i spała. Sytuacja ta odbijała się na zdrowiu mieszkańców, w szczególności dzieci i kobiet. To one starzały się przedwcześnie pośród nieprzerwanej pracy fizycznej, skromnie się odżywiając i spędzając całe dnie w tych ciasnych i brudnych klitkach. Dzieci były węższe niż ich rówieśnicy na wsi – niższe i chudsze mimo takiego samego ubóstwa. W wąskich i ciemnych zaułkach miasta gorączka rozprzestrzeniała się, a dzieci miały w charakterystyczny sposób wzdęte brzuszki i pałakowato wygięte nogi.

Martina przygnębiał fakt, że często wzywano go wtedy, gdy na ratunek było już za późno. Choroba rozwijała się gwałtownie, podsycana jeszcze nieudolnym leczeniem aplikowanym przez babki i znachorów. Zdarzało mu się widzieć chorych leczonych okładami z octu, którym nasączano brązowy papier, dzieci cierpiące na wrzody z kawałkami chleba przyłożonymi na opuchnięte, rozgorączkowane buzie. Wiedział oczywiście, dlaczego tak się działo. Wiele osób nie mogło sobie pozwolić na wydanie pół korony na lekarza. Martin często leczył biedaków za darmo, kilkakrotnie nawet odwiedzając pacjenta bez zapłaty.

W wielu przypadkach jego wiedza medyczna była jednak

bezsilna. Na zapalenie płuc nie mógł nic poradzić. Przepisywał tylko laudanum w nadziei, że pacjent przeżywa najgorsze. Zapalenie opon mózgowych i poważne infekcje płuc pozostawiał nawet bez tej pomocy. Często przy odrobinie szczęścia i pod dobrą opieką, w przyzwoitych warunkach, tacy chorzy wracali do zdrowia dzięki sile swego organizmu. Zawstydzali wtedy Martina, dziękując wylewnie za okazaną pomoc. Jednak tę samą chorobę, z której dziecko z bogatej rodziny wychodziło szczęśliwie, dziecko biedaków przyplącało śmiercią. Tam, gdzie wszyscy siedzieli na kupie w jednym pomieszczeniu, a wodę przynoszono ze wspólnego kranu na podwórku nie było warunków, by otoczyć chorego właściwą opieką. W takich domach nawet powietrze było niezdrowe. Pomimo to przyzwyczajeni do trudności rodzice starali się jakoś chronić swoje dzieci. Często wrzuszali Martina do łez swym poświęceniem. Nic jednak nie mogli zrobić. Ich dzieci umierały z powodu warunków, w jakich wszyscy żyli.

Praca zazwyczaj pochłaniała go bez reszty. Jednak po wizycie w klubie Black Orchid nie mógł się skupić, oładnęło nim uczucie niespełnienia. Czuł się niespokojny i zmęczony. Nawet muzyka i archeologia nie mogły go uspokoić. Zastanawiał się, czy nie zachorował, ale nie miał temperatury, a puls też był w normie. Rozmyślał, czy powrót z zagranicy do Edynburga był właściwym posunięciem. Czy tutejszy purytanizm i sentymentalizm już go nie zmęczyły. Nie szukał długo przyczyny złego samopoczucia. Często i w zupełnie niewłaściwych chwilach jego myśli kierowały się ku Bess Fearnley. Kiedyś własne towarzystwo wystarczało mu przez długie tygodnie, teraz wychodził z domu wieczorami i przyjmował zaproszenia od znajomych w nadziei, że ją spotka. Znosił dzielnie nudne rozmowy i hałaśliwą muzykę, towarzystwo nielubianych osób, jadł niesmaczne potrawy, by

tylko przebywać z Bess w tym samym pomieszczeniu. Jednak gdy się spotykali, stawał się małomówny i niezdarny. Rozlewał wino i brudził mankiety koszuli zupą. Zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje, co było przyczyną tego, że rozmawiając z Bess, tracił dowcip i nie potrafił jej sobą zainteresować.

Wiedział, że mieszkała na Nowym Mieście i pracowała w sklepie Iony O'Hagan na ulicy Howe oraz w klubie Black Orchid. Przechodząc kiedyś koło sklepu z suknią mi, dostrzegł ją przez szybę. Hester Findley powiedziała mu, że Bess została wdową, a potem rozwódką. W przy płymie złego humoru zdradziła mu też nazwiska kochanków Elizabeth Fearnley. Gdy ich później spotykał, nie potrafił pozbyć się uczucia niechęci i zazdrości.

Pewnego wieczoru w klubie Hester popatrzyła na niego uważnie.

– Zadurzyłeś się, prawda? – spytała zimno.

– Nie wiem, o czy mówisz – odparł, mrugając oczami ze zdumienia.

– Oczywiście, że wiesz. Mówię o Bess Fearnley. Widziałam jak na nią patrzysz. Nie spuszczasz z niej wzroku.

– Nie jestem nawet pewny, czy ją lubię.

– Nie musisz jej lubić. – Hester uśmiechnęła się leciutko. – Nie rób sobie wyrzutów, jesteś w doborowym towarzystwie. Davey Kirkpatrick szaleje za nią. Tak, tak, pamiętam – niecierpliwie uciszyła go, gdy chciał coś powiedzieć. – Davey kocha się w połowie kobiet w Edynburgu, sam mi to powiedziałeś. – Ujęła dłoń Martina w swoje ręce i wyszeptwała: – Ale jesteś w błędzie. Tym razem to coś poważnego. Powiedział o tym Izzy. – Hester delikatnie wbiła mu paznokiec w dłoń.

Martin obserwował potem pilnie, jak jego przyjaciel wciąż zajmuje się Bess, jak biega po drinki dla niej i odprowadza ją do domu wieczorami. Nie potrafił jednak określić, czy Bess

faworyzuje Daveya. Uśmiechała się, oczarowując swym uśmiechem wielu mężczyzn.

Pewnego wieczoru, gdy wracał do domu, zauważył Daveya w pubie Grassmarket. W sali wyłożonej boazerią siedział na jednym z krzeseł, ustawionych wokół baru w taki sposób, aby goście nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Zauważył Martina i zamówił dodatkową szklaneczkę whisky.

Rozmowa zeszła na siostrę Daveya i jej nowo narodzone dziecko.

– Nie pojmuję, jak Elspeth sobie z tym radzi – wymamrotał.

– Z czym? – spytał Martin.

– Z życiem rodzinnym. Jest młodsza ode mnie o osiem lat, ma już syna, córkę i jest szczęśliwa z poczciwym Rorym, a ja wkrótce osiągnę wiek starokawalerski. Widzę, jak za dziesięć czy dwadzieścia lat będę nosił ten sam kołnierzyk przez cały tydzień i jadł codziennie przy tym samym stoliku w jakimś nudnym klubie. – Popatrzył w swoją szklaneczkę ponuro i ciągnął dalej: – Gdybym tylko wiedział, że ona o mnie myśli.

– Kto, Elspeth? – zapytał Martin.

– Nie, oczywiście, że nie. Mówię o Bess – odparł Davey, a serce Martina zadrżało. – Gdyby tylko dała mi jakiś znak, że nie jestem dla niej jednym z wielu. Ale właściwie, dlaczego miałaby tak myśleć? Kręcę się wokół niej jak wszyscy inni. Od czasu do czasu rzuci nam jakiś ochłap, uśmiech lub prośbę o drinka. Tyle dobrego, że trzyma wszystkich na smyczy. – Davey nagle posmutniał. – Mam przynajmniej taką nadzieję.

Martin miał wiele pytań do swego kompana. Chciał wiedzieć, kogo Bess trzymała na smyczy i czy ona i Davey byli kochankami. Ale, oczywiście żadnego z tych pytań nie zadał. Wyraz twarzy musiał go jednak zdradzić, bo Davey popatrzył na przyjaciela, jęknął i powiedział:

– O Boże, i ty też – Uśmiechnął się smutno i pokiwał głową.

– Zawsze sądziłem, że masz serce twarde jak głaz, Jago. No cóż, niech wygra najlepszy. Ale to nie zawsze tak działa, prawda? Kobiet nie można zrozumieć. Pomyśl tylko, że ona może teraz słodko coś szeptać do tego rudowłosego idioty, który łąził za nią cały dzień.

Lato przeszło w jesień. Martin pomału przyzwyczaił się do swojego położenia, tak jakby była to przewlekła choroba. Wiedział, że jakoś da sobie radę, ale że nigdy nie wyzdrowieje. Zdawał sobie sprawę z tego, że Elizabeth nie odwzajemni jego uczuć, nie zamierzał też wyjawiać jej swojej miłości. Nie będzie zachowywał się tak, jak reszta wielbicieli, którzy otaczali Bess, zabiegając o jej względy i tak bardzo ją tym drażniąc.

Pogodzenie się z losem przyniosło Martinowi spokój. Już niczego nie upuszczał i nie potykał się w obecności ukochanej. Potrafił sensownie z nią rozmawiać. Raz czy dwa razy zatańczyli razem, ona lekko i z wdziękiem, pełna energii i uroku, on spięty i skoncentrowany do granic na tym, aby nie deptać jej po palcach. Płynęły miesiące i wydawało się, że Elizabeth zaczyna traktować go jak przyjaciela. Z goryczą stwierdził jednak, że nie myślała o nim jak o potencjalnym kochanku. Ale właśnie dzięki temu go polubiła.

## Rozdział 5

Był październik i drzewa w ogrodach przy Princes sypały liśćmi. Siąpił deszcz. Kate bawiła się, brodząc w mokrej trawie. Kiedy biegła, jej warkocze podskakiwały w powietrzu.

W półmroku zamajaczyła postać mężczyzny otulonego czarnym płaszczem. Szyję miał szczelnie owiniętą szalikiem. Rondo kapelusza otaczały obłoczki mgły.

– Co ona wyprawia? – zapytał. – Dlaczego zamyka oczy, gdy tylko chwyci liść?

– Wypowiada życzenie – wyjaśniła Bess. – Jeśli się złapie spadający liść, trzeba je wypowiedzieć. Nie wiedział pan o tym, doktorze Jago?

– Nie wiedziałem. A czy życzenia na pewno się spełniają?

– Naturalnie. Przynajmniej Kate tak sądzi – odpowiedziała Bess i krzyknęła do córki: – Kate! Nie zabrudź butów! I nie tratuj za bardzo trawy, bo dozorca zwróci nam uwagę.

– Czy mogę się do pani przyłączyć, Elizabeth?

– Oczywiście.

Poszli aleją za Kate, uważając, aby nie splątały się ich parasole.

– Ach te deszczowe niedziele w Edynburgu. – Bess spoglądała z niesmakiem na bury krajobraz. – Czy można wyobrazić sobie coś bardziej nudnego?

– Skoro tak bardzo nie lubi pani, gdy siąpi, to dlaczego wyszła pani na spacer?

– Kate powinna przebywać na świeżym powietrzu, chociaż może się przeziębici. Zabawa na dworze lepiej jej zrobi niż siedzenie w domu. Tym bardziej że ja nie mogę już wytrzymać z nudów. Co pan o tym sądzi, doktorze?

– Odrobina deszczu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Nie chodzi tylko o deszcz lecz także o przygnębiające

wrażenie, że miła chwila – coś nowego, innego nigdy się już nie wydarzy.

– Bess, to niedorzeczne, aby oczekiwać, że akurat w niedzielne popołudnie spotka nas coś niezwykłego. To się nie zdarza, chyba że wybuchnie jakaś rewolucja. – Elizabeth zauważyła rozbawienie doktora, który po chwili kontynuował: – Chociaż, może i nie mam racji. Weźmy na przykład tę jemiolę na jabłoni albo dżdżownicę wychodzące z ziemi podczas deszczu. Albo spójrzmy w tamtą stronę. – Przyłożył dłoń do oczu i wpatrywał się w krzaki.

– Co tam jest? – spytała Bess.

– To kos, z białą plamką na skrzydle. – Martin zaczekał, aż Bess podejdzie bliżej. Trzymając ją za ramiona, skierował jej wzrok na ptaka, o którym mówił. – Jest tam, pod drzewkiem laurowym.

– Przypomina szpaka azjatyckiego, którego widziałam i Indiach. – Bess otuliła się płaszczem. – W taką pogodę aż trudno uwierzyć, że istnieją na świecie takie miejsca jak Indie. Czasami wydaje mi się, że je sobie po prostu namyśliłam, że uroiłam sobie słońce, bajeczne kolory i gorące lato. A gdyby nawet upalna pogoda okazała się nazbyt męcząca, to i tak już tego nie pamiętam.

– Być może nuda ma to do siebie, że osłabia pamięć.

– Ależ nie. Odkąd pamiętam, zawsze się nudziłam. Pewnie dlatego teraz intensywnie szukam rozrywki. Monotonia źle na mnie wpływa.

– Gdyby nie świąteczny dzień, zapytałbym o zgodę na zaproszenie obu pań na lody.

Zaintrygowana spojrzała na Martina. Wciąż nie mogła go rozgryźć. Zdawał się człowiekiem żyjącym we własnym świecie. Czasami stawał się wręcz nieżyciwy. Tak naprawdę wiedziała, co myśli o niej doktor Jago.

– Na lody? Nawet gdyby dziś nie była niedziela, musiałabym odmówić. Za zimno na lody. Co innego filiżanka herbaty. Takie zaproszenie przyjąłabym z rozkoszą.

– Służę uprzejmie. Kate! Czy chciałabyś zobaczyć sztylet ofiarny z Meksyku?

– A dokąd chce nas pan zaprowadzić? – spytała Bess.

– Do siebie. Przygotuję herbatę, a pani córka będzie miała okazję poznać zwyczaje pogańskich Azteków. Co ty na to, Kate? – Ożywiony zwrócił się do Bess: – Czyż nie chciała pani przeżyć czegoś nowego? A takiej kolekcji sztyletów na pewno jeszcze pani nie widziała.

Deszcz przybierał na sile. Potoki wody, wpadające do ulicznej kanalizacji, niosły ze sobą liście i niedopałki. Mieszkanie doktora Jago znajdowało się pośród labiryntu budynków i wąskich uliczek. Na nieoświetlonym pół pięttrze panował mrok. Kate wbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

Lampa gazowa słabo rozjaśniała wnętrze: niedbale ustawione na kominku krzemienie, zawieszony na drzwiach szkielet człowieka, pianino z rozłożonymi nutami i mnóstwo książek rozłożonych na półkach, stolikach, zalegających pod ścianami i opartych o nogi krzesel. Gospodarz usunął książki z sofy, strzepnął kurz z poduszek i poprosił Bess, aby usiadła. Otworzył zdobione aksamitem pudełeczko i pokazał Kate schowany w nim sztylet.

– Zobacz, jest zrobiony z czarnego obsydianu. To znaczy ze skały pochodzenia wulkanicznego.

– Czy zabijano nim ludzi, których składano w ofierze? dopytywała się mała z zainteresowaniem.

– Bardzo możliwe.

– A czy są tam jeszcze ślady krwi?

– Kate! – skarciła ją matka.

– Może. Sprawdź sama – odparł i zaraz dodał: – Ale musisz uważać. Bardzo bym się naraził twojej mamie, gdybyś się skaleczyła.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, z którego dochodził odgłos gotującej się wody. Bess oglądała pokój, przeglądała znajdujące się w nim książki, zainteresowała się też pękiem piór wstawionych do zwykłego słoika. Martinowi źle się wiodło – myślała, patrząc na wytarte obicie sofy i wypłowiałe zasłony. Wygląda na to, że samotny mężczyzna gorzej sobie radzi w życiu od samotnej kobiety. Mężczyźni nie umieją zadbać o siebie. Nie wiedzą nic o poprawkach krawieckich, przesywaniu odzieży czy pościeli, praktycznym sposobie na odnowienie prawie wszystkiego, od poszewki na poduszkę po sukienkę.

Doktor Jago wrócił z herbatą, puszką ciasteczek i szklanką mleka dla Kate. Dziewczynka przyglądała się skamielinom ustawionym na parapecie. Koniuszkami palców dotykała spiralnego rysunku na pancerzach amomów.

– Ma pan szerokie zainteresowania – zagadnęła Bess.

– Tak, i dzięki temu się nie nudzę. Nawet w deszczowe niedzielę w Edynburgu.

– Czy zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że nuda jest oznaką braku charakteru i celu w życiu?

– Całkowicie się z tym zgadzam.

– Być może i ja powinnam czymś się zająć. Na przykład hodowlą drobiu jak Izzy lub wyszywaniem. – Zamyśliła się.

– A co sprawia pani największą przyjemność?

– Uwielbiam jeździć konno, ale już tak dawno tego nie robiłam.

– Dlaczego?

– Och! Utrzymanie konia zrujnowałoby mnie. Nawet jazda na godziny na jakiejś starej, narowistej szkapie w szkółce jeździeckiej przekracza moje możliwości finansowe – odparła

szczerze.

– A czym jeszcze się pani interesuje?

– Och! Wieloma rzeczami! Bardzo lubię słuchać muzyki, zwłaszcza w towarzystwie. Zawsze dobrze się czuję w większym gronie. – Bess była zdziwiona swoją otwartością. Przecież tak rzadko jest szczerą w rozmowach z innymi.

– Nie wierzę, żeby osoba taka, jak pani mogła pozostawać bez towarzystwa.

– Doprawdy? A jednak myli się pan. Będąc wśród innych zachowuję... – Umilkła i już nie wypowiedziała tego głośno... pozory. Jak ja nienawidzę męskiego sposobu postrzegania kobiet, pomyślała gniewnie.

– Jest pani interesująca, inteligentna. A ponadto doskonały z pani rozmówca. I chyba nie narzeka pani na brak przyjaciół?

– Nawet z przyjaciółmi nie można się spotykać co dziennie.

– Zapewne chodzi o niedzielne spotkania towarzyskie.

– Niedziele są zarezerwowane dla najbliższych, a nie dla przyjaciół, prawda? A co pan robi w niedziele, jeżeli akurat nie spaceruje pan w deszczu?

– Zazwyczaj pracuję. Ludzie chorują także w niedzieli . Pozostają jeszcze spotkania w Towarzystwie Archeologicznym. Jeżeli tylko mam czas, zaglądam tam i zawsze wynajdę coś interesującego.

– Co na przykład?

– Kamienne kręgi, komory grobowe... Uważaj, Kate! krzyknął nagle, łapiąc słoik, który wypadł z rąk dziewczynki, gdy zdejmowała naczynie z wysokiej półki. – Mam go! Spójrz, Kate. Tu jest mała myszka z dwiema główkami. Znalazłem ją za listwą przypodłogową.

– Czy można ją wyjąć ze słoika?

– Kate! – Bess zganiła córkę.

– Niestety nie. W słoju jest formaldehyd, który bardzo

brzydko pachnie. Mogę ci za to pokazać węża. Chcesz?

– Już kiedyś widziałam zaskrońca na farmie tatusia.

– Naprawdę? I co? Był duży?

Kate pokazała dłońmi jakieś sześćdziesiąt centymetrów.

– A może chcesz zobaczyć skórę pytona? Jest taka wielka. – Martin szeroko rozłożył ramiona.

Po wypiciu herbaty doktor Jago nalegał, żeby obie panu odprowadzić do domu. Choć deszcz ustawał, nasilał się wiatr kołysał niebezpiecznie gałęziami.

Kiedy dotarli do domu, Bess podała rękę Martinowi. Dziękuję za herbatę i za rozpędzenie nudy tego chłodnego, deszczowego popołudnia.

– Gdyby pani nie miała innego zajęcia w jakąś deszczową niedzielę, to...

– Naturalnie. Będę o panu pamiętać, doktorze.

Z okien salonu Elizabeth patrzyła za odchodzącym Martinem. Zdziwiło ją, że idzie w taki dziwny sposób, to podskakując z wyciągniętą dłonią, to przystając co chwila. I nagle pojęła: doktor Jago chwyta spadające z drzew liście i za każdym razem zatrzymuje się, aby wypowiedzieć życzenie. Bess doskonale umiała wyobrazić sobie tego mężczyznę, gdy stojąc z zamkniętymi oczyma zaklinał los.

Kiedy Hester Findlay pukała do drzwi, Martin Jago nigdy nie wiedział, czym skończą się te odwiedziny. Gdy był zajęty, podawał jej drinka i ogień, aby mogła zapalić papierosa. Wtedy Hester rozpoczynała inspekcję pokoju. Krążąc niczym zjawą, przekazywała plotki towarzyskie lub wytykała gospodarzowi brak troski o siebie i mieszkanie. W tym czasie Martin stałe coś pisał, siedząc przy biurku.

– Izzy widziała w teatrze Celię Stewart z Lionelein Kincardine'em, który musi być ze dwa razy starszy od niej.

Wydaje mi się, że Celia jest zdesperowana. Biedaczka. Przecież ona ma już pod trzydziestkę! – Mówiąc to, Hester przeciągnęła palcem po półce. – Fe! Ale kurz! Otrzeпаła ręce. – A najmłodsze dziecko Beryla Browna całkowicie ogłuchło po przebytej szkarlatynie. Panie Jago! Przez to okno nie sposób cokolwiek zobaczyć!

– Nie odpowiadam za siebie, jeżeli pomieszasz coś w tamtych papierach, Het.

– Powinieneś zatrudnić pomoc domową. Nie możesz dalej mieszkać w takich warunkach. Założę się, że zachomikowałeś gdzieś kupę pieniędzy.

– O tak! Mnóstwo.

– W takim razie musisz kupić jakiś ładny domek, a ja go urządzę. Jestem w tym bardzo dobra.

– Nie, nie. Dziękuję.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że po takiej przewodniczce nie wiedział bym, gdzie co jest.

Pomalowałabym twój pokój na piękny żółty kolor. – Uchowaj Boże!

Innym razem, a było to około północy, Hester zjawiała się u Martina w krótkiej, wąskiej, brązowej sukience. Pachniała winem i perfumami Chanel. Stojąc w drzwiach okręciła się. I

– Co powiesz?

– Wyglądasz naprawdę smakowicie.

– Wystarczająco smacznie, aby mnie pożreć? – zapytała zalotnie, wchodząc do pokoju.

– Nie łap mnie za słówka, Het. Gdzie jest Alex?

– Złe się poczuł i wcześniej wrócił do domu. Czy jesteś bardzo zajęty?

– Bardzo.

– A co właściwie robisz?

– Przeglądałam notatki. – Zmrużył oczy. – Właśnie próbuję rozszyfrować swoje bazgroły.

– A nie chciałbyś wiedzieć, skąd wracam?

– Och! Z całą pewnością zaraz mi to powiesz.

– Powiem, ale najpierw nalej mi drinka.

Martin podał Hes kieliszek.

– Byłam na przyjęciu u Gilchristów. – Ponieważ na gospodarzu nie zrobiło to wrażenia, dodała szybko: – Mówię o Andrew i Agnes Gilchristach. Musiałeś o nich słyszeć. Andrew to teraz ważna osobistość. Jest nawet przystojny, ale ma surowe spojrzenie, a jego małe czarne oczka wyglądają jak dwa węgielki. – Podała Martinowi papierośnicę. – Gilchristowie posiadają wielki dom przy placu Charlotty. Za pośrednictwem agencji Izzy, Agnes zatrudnia ogromną liczbę służby. Jednak sama jest tak wątła, a wydaje się za słaba nawet, żeby poprawić poduszki. Jej ojciec zmarł kilka lat temu. Na szczęście dla Andrew Agnes odziedziczyła fortunę. A właściwie nie na szczęście. To właśnie majątek schorowanego ojca sprawił, że Andrew ożenił się z jego jedyną córką. Jest starsza od męża i tak okropnie prostacka. A potem Andrew zbił fortunę na dostawach wojennych. – Hester wypuściła papierosowy dymek i kontynuowała: – To zabawne, jak toczy się koło fortuny: Andrew Gilchrist wzbogacił się dzięki wojnie, a mojego Aleksa ta sama wojna pozbawiła zdrowia.

– Tak się właśnie toczy życie ludzkie, Het.

– Masz rację. – Przynęła krzesło bliżej biurka, usiadła naprzeciwko Martina i oparła podbródek na złożonych dłoniach.

– Czasem się zastanawiam, czy będąc tak bogata jak Gilchristowie, byłabym szczęśliwa. – Zamyśliła się.

– A nie jesteś szczęśliwa?

– Raczej nie.

– To z powodu Aleksa?

– Tak. Martwię się o niego. Przecież wiesz o tym.

– A jak on się czuje?

– Tak jak zawsze. Przyjęcie u Gilchristów było pierwszym, na które po długiej przerwie w życiu towarzyskim zdecydował się pójść. Nie mam na myśli kolacyjek u Izzy, gdzie wszyscy się znają, ale prawdziwe przyjęcie. Zmarszczyła brwi. – Miałam nadzieję, że Agnes zleci mi wykonanie jakiejś pracy. Wiem, że nie powinnam o tym mówić, ale odkąd Alex przestał pracować, liczy się każdy grosz. – Zgasiła papierosa na spodeczku i ciągnęła dalej. – Jednak Alex nie mógł tam wysiedzieć. Cały wieczór prawie się nie odezwał. – Gdy Het podniosła wzrok, Martin zamiast rozbawienia dostrzegł w jej oczach strach. – Jak myślisz, czy on kiedykolwiek wróci do zdrowia? – zapytała szeptem.

– Medycyna ciągle się rozwija...

– Powiedz mi prawdę, doktorze!

Martin ujął dłoń Het.

– Minęło już chyba z osiem lat od zranienia Aleksa, czy tak? Organizm ludzki ma wielkie możliwości samoczynnego powrotu do zdrowia. Poza opatrzeniem ran tego rodzaju medycyna niewiele już może pomóc. Teraz Alex potrzebuje właściwej diety i spokoju. Z jednej strony w każdej chwili możliwa jest nagła poprawa, z drugiej, po tylu latach, nie należy mieć wielkich nadziei na wyzdrowienie.

Hester potakiwała głową.

– Dziękuję ci za szczerość. Inni lekarze opowiadają sami bzdury – powiedziała i przytuliła dłoń Martina do policzka. Dostrzegł wtedy jej załzawione oczy.

Wraz z siostrami Lockhead i Ioną O'Hagan, Elizabeth bawiła się w nocnych klubach i grała w madżonga. Na przejażdżki na wzgórze Pentland i wypadu nad brzeg morza zabierała córkę,

która w ten sposób poznawała okolicę. Dave Kirkpatrick zapraszał Elizabeth na koncerty, a rudowłosy Rob McAulay do kina. Aby uniknąć dwuznacznych sytuacji, Bess nigdy nie zapraszała ich do siebie. Teraz w ogóle nie zaprosiłaby żadnego mężczyzny. Postanowiła jednak uczynić wyjątek dla doktora Jago.

Jego pierwsza wizyta w domu Elizabeth była jednak dziełem przypadku. Podczas spaceru w parku biegnąca za kotem Kate upadła na zwirową alejkę i przecięła sobie skórę na kolanie. Na widok krwi dziecko zaniósł się histerycznym płaczem. Martin niósł Kate na rękach aż do domu. Przez całą drogę mała ssła kciuk, co zdarzało się jej tylko w chwilach wielkiego zdenerwowania. Doktor Jago opatrzył kolano i powiedział Bess:

– To nic groźnego. Nawet nie trzeba zakładać szwów. Wyczyściłem ranę, a Kate już wie, że na nodze może zostać niewielka blizna, na wzór tych, jakimi szczycą się korsarze. I wydaje mi się, że jest z tego nawet zadowolona. – Położył dłoń na ramieniu Elizabeth i dodał: – Nie ma się czym martwić. Wszystko będzie dobrze, naprawdę.

Bess przygotowała herbatę, a dla córki szklanek mleka i ciasteczka. Kate czytała bajki swoim zwierzątkom. Wy chodząc z pokoju, Bess zerknęła w lustro. Miała bladą, napiętą twarz. Była wyraźnie przestraszona. Zaczęła spieszenie poprawiać fryzurę, ale zaraz dała za wygraną i wróciła do kuchni.

– Kate biega jak szalona. Muszę bardziej na nią uważać.

– Jest jeszcze mała. Ma dopiero osiem lat i nie należy od niej oczekiwać rozsądnego zachowania – przekonywał Martin.

– Powinam trzymać ją pod kluczem aż do dwudziestego pierwszego roku życia. – Bess hałaśliwie przeszukiwała szufladę w poszukiwaniu łyżeczek do herbaty. – Albo wyjedziemy na jakąś wyspę otoczoną murem, żeby Kate nie wpadła do morza – kontynuowała, głośno stawiając filiżanki na

spodeczki. – Wiem, że nie można ustrzec dziecka przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Bardzo dobrze o tym wiem. – Zawiesiła głos, zaciskając palce na filiżance. Za oknem padał deszcz, przesłaniając widok. – Kate miała brata bliźniaka. Michael zmarł, gdy był jeszcze bardzo mały – dodała niespodziewanie.

Martin przerwał nalewanie wrzątku do czajniczka.

– Bardzo mi przykro, naprawdę. Ile miał wtedy lat?

– Prawie dwa latka.

– Na co zmarł?

– Pod koniec wojny zachorował na gripę. – Elizabeth bardzo rzadko wspominała o tym innym ludziom. Teraz jednak opowiadała Martinowi historię nocy, która będzie ją prześladować do końca życia. – Pierwszy zachorował Ralph. Potem Kate i ja. Pamela, która jest teraz żoną Ralpha, a wtedy opiekowała się nami, zapewniała mnie, że Michael był całkowicie zdrowy, gdy wieczorem układała go do snu. Nie doczekał jednak poranka, umarł w nocy. To stało się niewiarygodnie szybko. A był przecież takim zdrowym dzieckiem. To Kate wiecznie się przeziębiała i przede wszystkim o nią się bałam. – Bess przygryzła wargę. – Michael zmarł przeze mnie. Gdybym wtedy nie zachorowała, gdybym to ja mogła się nim opiekować...

Martin podał jej filiżankę herbaty.

– Masz zimne ręce – zauważył.

– Ja zawsze marzną. Nawet latem.

– Bess...

– No cóż, trudno. To dawne czasy.

– Ja też ci coś opowiem. Podczas wojny byłem lekarzem wojskowym i pracowałem w szpitalu w Reims. Widziałem setki chorych na gripę. Niektórzy umierali, inni wychodzili z tego cało. Także personel medyczny poddawał się chorobie.

Doszedłem wtedy do wniosku, że niezależnie od tego, co robilibyśmy dla naszych pacjentów i tak nie możemy im pomóc. Często czułem się całkowicie bezsilny. Chorzy w najpoważniejszym stanie zawsze umierali. Niektórzy nawet w parę godzin po zarażeniu. Wielu z nich to byli młodzi mężczyźni, którzy nie mieli jeszcze dwudziestu lat. Grypa to okrutna choroba, powalająca często ludzi młodych i silnych, a oszczędzająca starych i słabych. Michael po prostu nie miał szczęścia. To wszystko. Jednak dla ciebie i Kate to straszne przeżycie. Teraz nie dziwi mnie, że tak bardzo troszczysz się o córkę.

– Nie wiem, czy Kate pamięta jeszcze brata. Mam nadzieję, że nie. Przynajmniej nie będzie ją to bolało.

W tamte dni Bess poznała granice swojej wytrzymałości. Tylko dzięki obecności Kate przeżyła stratę Michaela i Frazera. Ta okoliczność i nieugięte, wewnętrzne przekonanie, że pewnego dnia znów będzie z Frazerem, pozwalały jej wierzyć, że wreszcie wyjdzie na prostą.

Po wyjściu Martina, Bess zauważyła jego szalik pozostawiony na wieszaku. Przesłała mu liścik, po którym zjawił się u niej pewnego późnego wieczoru. Bess kończyła właśnie przygotowania do wyjścia do Black Orchid. Podała gościowi drinka, podeszła do lustra i pomalowała usta purpurową szminką.

Tym razem doktor Jago zostawił rękawiczki. Gdyby nie wiedziała, że notorycznie zapomina o swoich szalikach, rękawiczkach czy wiecznych piórach, pomyślałaby, że zrobił to celowo. Ostatnio Bess i Martin ciągle spotykali się przy różnych okazjach. Lubiła porozmawiać z nim przed wyjściem do klubu. Niekiedy, gdy Kate już spała, w mieszkaniu było tak cicho, że Bess słyszała echo własnych kroków. W soboty i niedziele, gdy

córeczka przebywała u Ralpha i Pameli, Elizabeth odwiedzała Martina w jego mieszkaniu na Starym Mieście. Wtedy opowiadał jej o swojej pracy.

– Wielki postęp w medycynie, który się dokonał w końcu ubiegłego wieku, nastąpił, gdy byłem jeszcze bardzo młody. Mam na myśli badania Pasteura nad sposobami przenoszenia się chorób, badania Kocha nad gruźlicą, prace Listera i Semmelweisa nad ważną rolą antyseptyki w zwalczaniu chorób. To było takie wspaniałe, wręcz ekscytujące. Na specjalizację wybrałem chirurgię. Jednak pewnego dnia, już po wojnie, gdy przebywałem jeszcze we Francji, po prostu nie mogłem dalej tego wytrzymać.

– Czego?

– Operowania rannych. Niekiedy, gdy wchodziłem na salę operacyjną, trzęsły mi się ręce. Myślałem nawet, że zwymiotuję albo zemdleję. Pielęgniarki patrzyły na mnie i Bóg jeden wie, co sobie myślały. Mogły podejrzewać, że wcześniej coś piłem. Albo że mam nie po kolei w głowie. A mnie czasami nawet brakowało powietrza. Zupełnie nic wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Na wspomnienie swojego samopoczucia po śmierci Michaela, Bess przeszły ciarki po plecach:

– Wiem, o czym mówisz. Znam to uczucie, gdy człowiekowi się wydaje, że wszystko straciło sens.

– Przynajmniej okropności wojny na coś się przydały, ile po czymś takim nie można już wierzyć samemu sobie. Martin urwał i uśmiechnął się nerwowo. – To jest jednak ciekawe, pracować jako chirurg i nie znosić widoku krwi. Dlatego po powrocie zostałem internistą. Gdybym dalej chciał być chirurgiem, musiałbym wykonywać określoną liczbę operacji: usuwanie wyrostka robaczkowego i migdałków. Ja jednak miałem dosyć.

– A może zostałbyś jednym z tych sławnych lekarzy, jeżdżących bentleyem, noszących cylinder i mieszkających w pięknych domach przy placu Charlotty – droczyli się Bess.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Raczej nie. Po pierwsze ciągle zostawiałbym gdzieś mój cylinder, a po drugie, w pewnych kręgach nie byłbym mile widziany.

Hess szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że moi rodzice nie byli małżeństwem, a ja jestem ich nieślubnym dzieckiem. A do niektórych domów nie zaprasza się takich osób. Zresztą ludzie, którzy przywywiają do tego wagę, są zapewne niesamowicie nudni – wyjaśnił Jago takim tonem, jakim mówi się o pogodzie.

– A więc oboje jesteście pariasami.

– Są tacy, którzy mają opinię na każdy temat, prawda? Zwykle jednak nie są one warte złamanego grosza. W czasach moich rodziców to był wielki skandal. Na szczęście ludzie szybko zapominają o takich sprawach.

– Czy to cię dotyka w jakiś sposób?

– Nie, ani trochę. Rzadko wracam do tej sprawy. A co się tyczy osądających mnie... to jest mi obojętne, co mówią. A ty przejmowałabyś się?

Bess pomyślała o przyglądającej się jej na ulicy kobiecie i o mężczyznach, którzy rozwódki uważali za łatwe kobiety.

– W pewnych okolicznościach, tak – zaczęła wolno. – Nawet bardzo.

Martin dokładnie obmyślał swoje wizyty u Bess. Zawsze się starał nie przychodzić zbyt późno i nie zostawać zbyt długo. Za wszelką cenę nie chciał uchodzić za nudziarza. Czasami nie był z siebie zadowolony. Coś w tej kobiecie jednocześnie trwożyło

go i pociągało. W jego potrzebie przebywania blisko niej było coś upokarzające go, co sprawiało, że tracił humor i stawał się markotny. Uznał, że jest uzależniony od Bess. Przez wiele lat po za kończeniu wojny bezsenność nie dawała mu spokoju. Zdesperowany sięgnął po laudanum. Musiał stale zwiększać dawki leku, aż wreszcie poddał się i przestał go przyjmować. Teraz czuł to samo. Był spięty, wszystko go irytowało. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Co za siła przyciągała go do tej kobiety? Jak to się dzieje, że wystarczy chwilka spędzona w jej obecności, aby wzbudzić w nim mieszaninę szczęścia, smutku i pożądania? Czy tęsknił za kobietą idealną? Bess na pewno nie spełniała wymogów. Miała nieco za dużą twarz, usta przesadnie wydatne. Jak na ideał była też za niska. Zauważył również, że starała się ukryć dłonie, gdy nie nosiła rękawiczek. Pomyślał, że to z powodu prac domowych, które mogłaby wykonywać służąca, gdyby Elizabeth było na nią stać. Jeśli kobieta chce mieć piękne ręce, musi je oszczędzać.

Gdy Jago przebywał w towarzystwie Bess, często doznawał krótkich chwil uniesienia. Działo się tak, gdy pozostawali sami w półmroku zimowych wieczorów. Te intymne chwile sprawiały, że czuł się nieswojo. Bliskość Elizabeth zmieniała go, dzięki niej odkrywał w sobie cechy, których istnienia dotychczas nawet nie podejrzewał. Zastanawiał się, czy ona w ten sam sposób rozmawiała i innymi mężczyznami, czy ich bliskość była tylko dziełem przypadku i czy inni mężczyźni zabawiają ją w podobny sposób. Miał nadzieję, że nie.

Pewnej nocy, po wyjściu z Black Orchid, Jago odprowadził Bess do domu i został na herbatce. Gospodyni w futrze zarzuconym na ramiona leżała na sofie, opierała na poduszkach nogi. Martin pamiętał o tym, że Bess ciągle marznie. Miał wrażenie, że celowo prezentowała mu swoje ciało kryjące się pod błyszczącą suknią.

Bess ziewnęła.

- Nie jesteś zmęczony?
- Jeszcze nie.
- Lubisz siedzieć po nocach.
- Od lat cierpię na bezsenność. Rzadko dobrze śpiam, jednak na tyle często, aby nie zapomnieć, jakie to wspaniałe uczucie przespać całą noc. – Po chwili dodał: – Zrobiło się późno. Jeżeli chcesz, pójdę już sobie.
- Dobrze jest mieć z kim porozmawiać. A ty nie zanudzasz, mnie tak jak inni.

Jago poczuł miły dreszczyk.

- Czy to może komplement, pani Fearnley?
- To jest komplement i nie drocz się już ze mną. – Wzdrygnęła się z zimna.
- Może wymasować ci stopy?
- Tak, proszę.

Usiadł na sofie i ułożył sobie stopy Bess na kolanach.

- Powinnaś ponownie wyjść za mąż. – Głos zabrzmiał ochryple, zupełnie jakby Martin wypalił za dużo papierosów. – Wtedy zawsze miałybyś z kim porozmawiać.

Elizabeth pokręciła głową.

- Czemu nie?
- Miałam już dwóch mężów, wystarczy.
- Nie spróbujesz szczęścia jeszcze raz?
- Nie. Mężczyźni są zbyt bojaźliwi, aby pozwolić kobiecie żyć własnym życiem.
- Widzę, że nie masz o nas najlepszej opinii.
- Wręcz przeciwnie. Lubię mężczyzn i dobrze się czuję w ich towarzystwie. Są bardziej bezpośredni niż kobiety.
- Bardziej prostolinijni? Uśmiechnęła się.
- Ty na pewno nie jesteś jednym z nich, Martin. Tak naprawdę, to nigdy nie jestem pewna, o czym akurat myślisz.

Jago wyobraził sobie, że najpierw całuje stopy Bess. Wszystkie paluszki jeden po drugim, a potem koniuszkiem języka dotyka podbicia. Mówił jednak o zupełnie czymś innym:

– Być może nie wszyscy mężczyźni mają takie podejście. Nie każdy mąż musi być zaborczy.

– Może i masz rację, ale w większości wypadków jest właśnie tak, jak mówię. – Podniosła się z sofy i zaczęła wyjmować spinki z włosów. Po czym beztrząsco dodała: – Poza tym, gdybym miała jeszcze raz wyjść za mąż, to za bogatego człowieka.

Martin poczuł, jak coś w nim pęka. Spojrzał na Elizabeth. Była w futrze i purpurowej aksamitnej sukni, rozpuszczone czarne włosy spływały jej na ramiona. Podszedł do okna, milczał, wpatrując się w mrok.

– Aż tak bardzo zależy ci na pieniądzach? – odezwał się po chwili.

– Już kiedyś zostałam bez grosza i nigdy więcej do tego nie dopuszczę. Nie zamienię dobrobytu na biedę.

Mówiła twardym, zdecydowanym głosem. Martin przewyciężył rozczarowanie, odwrócił się do Bess i całkowicie już spokojny zapytał:

– Będziesz więc czekać na swojego bogacza?

– To zamożni mężczyźni mogą wybierać, ale oni nie żenią się z kobietami takimi jak ja. Co najwyżej mogłabym zostać kochanką, ale nie żoną. – Bess zadrżała z zimna, – Proza życia. Wiele lat temu złożono mi właśnie taką propozycję.

Pewnego wieczoru po pracy Iona przyniosła Bess suknię zdobioną maleńkimi, srebrnymi paciorkami.

– Przymierz. Od dawna wisi w moim sklepie, ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Aż trudno uwierzyć. To rzecz dla wyjątkowej kobiety. Jeżeli spodoba ci się, będziesz mogła

włożyć ją na dzisiejszy wieczór.

Bess wciągnęła suknię przez głowę. Z powodu koralików była cięższa niż zwykle kreacje. Poczula na skórze chłód jedwabiu.

– Wyglądasz wspaniale. – Iona uśmiechnęła się. – Wiedziałam, że tak będzie. Popatrz sama.

Elizabeth przejrzała się w lustrze. Suknię zdobił schodzący poniżej kolan grecki motyw, ułożony z nieco ciemniejszych, srebrnych paciorków. Miała odkryte ramiona i głęboki dekolt. Bess poruszyła się i koraliki wspaniale się roziskrzyły.

Tego wieczoru w klubie panował tłok. Wszystkie miejsca przy stolikach były zajęte. Wieczorowe suknie pań migotały cekinami niczym skrzydełka motyli w słońcu. Iluzjonista śpiewał frywolną piosenkę i jednocześnie w dyskretny sposób wyjmował gościom z kieszeni chusteczki do nosa. Widownia odpowiadała okrzykami radości i wybuchami śmiechu, gdy znikąd pojawiły się w jego ręku trzy gołębie z różowymi piórami. Elizabeth uwielbiała takie wieczory. Po prostu czuła, że żyje. Magia tego miejsca odmieniała powszedniość nawet najbardziej deszczowych i szarych nocy Edynburga. Po występie Jamie Black poprosił Elizabeth na stronę i powiedział ściszym głosem:

– Stolik numer pięć.

– Widzę. Chodzi o tych czterech mężczyzn. Czy to nowi członkowie klubu?

– Tak, a do tego są nieźle nadziani. Pewnie należy do nich z pół Edynburga i kawałek Glasgow. Trzeba się nimi zaopiekować w specjalny sposób.

– Chcesz, abym miała ten stolik na oku?

– Jeśli byłąbyś tak miła. Rozumiesz, w czym rzecz. Pilnuj, aby zawsze mieli pełne kieliszki, a na pewno dostaniesz sute napiwki. Powinnaś też wiedzieć, że Gilchrist mówi o tobie „ta

ciemnowłosa, pięknie zbudowana”.

Bess odpowiedziała uśmiechem.

– Zadbam o nich, nie martw się.

– O to właśnie chodzi. Dobra dziewczynka. – Jamie dotknął jej policzka i dodał: – Dzisiaj wyglądasz szczególnie nie pociągająco, maleńka. Czy może zmieniłaś zdanie na temat...

– Nie, Jamie.

– Rozumiem.

Spełniła prośbę i gościom przy wskazanym stoliku przez cały wieczór nie zabrakło alkoholu. Kiedy szła w stronę baru, czuła na sobie ich spojrzenia. Było już po północy, gdy Andrew Gilchrist przywołał Bess.

– Czy zatańczysz ze mną?

– Bardzo mi przykro, panie Gilchrist, ale nie. Jestem bardzo zajęta.

– Może więc później, kiedy już nie będziesz aż tak zajęta?

– Przykro mi, ale nam nie wolno tańczyć z klientami – wyjaśniła uprzejmie.

– A więc pozostaje mi jedynie nadzieja, że zatańczymy innym razem.

– Ja też mam taką nadzieję, panie Gilchrist.

– Andrew – zaproponował. – Musisz mi mówić po imieniu.

Od tego wieczoru Gilchrist nie dawał Elizabeth spokoju. Pilnie śledził każdy jej ruch, a w czasie występów kabaretu nalegał, aby siedziała obok niego. Dla niej nie było to nowością. Tak właśnie postępują mężczyźni. Najpierw zapewniają o swojej dozgonnej miłości, a wcześniej czy później, gdy się zorientują, że nie spełnią się ich oczekiwania, wszystko ich nudzi. Wtedy znajdują nowy obiekt zainteresowań. Każdego wieczoru Andrew Gilchrist przychodził do klubu z innymi znajomymi. Jamie objaśniał Bess, że są to znani biznesmeni: wydawcy, właściciele browarów, fabryk, kopalni, firm

transportowych i budowlanych. Niscy, krępi mężczyźni, z zaciekawieniem lustrujący otoczenie, bez widocznej przyjemności opróżniający kolejne szklanki whisky. Byli też lokalni dygnitarze i prawnicy.

Pewnego razu Jamie, patrząc na otyłego mężczyznę z czerwoną twarzą i siwymi włosami, tańczącego na stole pod radosne okrzyki kompanii Gilchrista, powiedział:

– Nazywają go sędzia-szubienica. Wysłał na tamten świat więcej biedaków niż jakikolwiek inny sędzia w Szkocji. Jeżeli jednak, w tym wieku i przy takiej tuszy, będzie dalej tak szalał, to szybko sam się tam przeniesie. Zgodzisz się ze mną, Bess?

Niekiedy Gilchrist zapraszał piękne, szczupłe dziewczęta z włosami koloru platyny ułożonymi w fale; nosiły zwykle żółtaworóżowe pończochy i krótkie, ledwie się gające kolan sukieneczki. Cały wieczór w tle klubowego zgiełku słychać było salwy śmiechu towarzyszek Gilchrista, choć ich oczy nie wyrażały radości. Bess zapytała Jamiego, dlaczego pani Gilchrist nigdy nie przychodziła do klubu.

– Agnes? – zdziwił się. – Do tego przybytku rozpusty? Mówi się, że od klęczenia w kościele zdarła sobie kolana. – Spojrzał w stronę trzech dziewcząt: blondynki, rudowłosej i brunetki, siedzących przy stoliku Gilchrista i pijących z nim szampana. Po chwili dodał: – Ciekawe, co by Agnes powiedziała na widok tych lalczek, zabawiających jej męża. Nie ma wątpliwości co do tego, że każda z nich jest wzorową parafianką, regularnie chodzącą do kościoła, nieprawdaż Bess?

Podczas przyjęcia u Kincardine'ów Elizabeth spotkali Gilchrista. Poprosił ją do tańca. Już chciała odmówić i trzymać go na dystans, ale pomyślała, że to nierozsądni. Zaliczał się przecież do zamożnych i wpływowych, a ta kim się nie odmawia. Roztropniej było obłaskawić Gilchrista. Wiedziała, jak to zrobić. Umiała uszczęśliwić mężczyznę, potrafiła też

trzymać go w ryzach. Pozwalała na rozwój znajomości, na powstanie pragnienia, a potem jasno wyznaczała granicę, której adorator nie mógł przekroczyć. Przekonała się już, że wielu to akceptowało, uznając takie postępowanie za część gry.

W tańcu Gilchrist przytłoczył ją swoim wzrostem i siłą, prowadząc pewnie wokół parkietu. Bess była zdenerwowana. Andrew prawie się nie odzywał. Próby nawiązania rozmowy zbywał półsłówkami. Znosił jej paplaninę i obojętną uprzejmością. Wtem Elizabeth dostrzegła stojącego pod ścianą Martina Jago. Patrzyli na siebie za każdym razem, gdy mijała go w tańcu. Kiedy przewracała oczami, mrugała do niego czy ziewała, Martin robił zabawną minę. Zmuszało to Bess do tłumienia wybuchów śmiechu. Gdy Jago odprowadzał Bess do domu, zapytał:

– Kim jest mężczyzna, z którym tańczyłaś?

– To Andrew Gilchrist – rzuciła od niechcenia. – Czasem przychodzi do klubu.

W wyprawach do Black Orchid Gilchristowi zawsze towarzyszył ten sam człowiek. Był nim Anglik, Simon Voyle – niski, chudy, o bladej twarzy. Nigdy nie tańczył, nerwowo obgryzał paznokcie i wечно się gdzieś spieszył. A to po płaszcze z szatni, a to do telefonu, to nagle wybiegał z klubu odebrać jakąś wiadomość. W dniu urodzin Elizabeth usłyszała dzwonek do drzwi. Za nimi stał pan Voyle, prawie niewidoczny zza ogromnego bukietu goździków i lilii.

Pan Gilchrist życzy pani wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

Solenizantka przyjęła bukiet. Lilie pozostawiły pomarańczowy pyłek na ubraniu Voyle'a. Andrew Gilchrist czasami tak właśnie niemile ją zaskakiwał, pokazując, że to coś, o czym mu nie mówiła. „Kto ma informację, ten ma władzę” – powiedział jej kiedyś. Niespodzianka Gilchrista zaniepokoiła

Elizabeth. Dotychczas bowiem prowadziła życie, dawkując informacje o sobie według stopnia znajomości. Zgodnie z zasadą, którą wyznawała: każdy jest potrzebny do czegoś innego. Kate była jej ukochaną córeczką, Iona, Isabel i Anie były najbliższymi przyjaciółkami. Z Martinem Jago mogła do białego rana prowadzić pełne niespodzianek, przyjemne rozmowy. Bess tolerowała Andrew Gilchrista. Z jednej strony wymagała tego praca w klubie, z drugiej majątek i wpływy przydawały mu splendoru. Nie sądziła, że podoba mu się aż tak bardzo. Był zbyt poważny i nie okazywał ani po czucia humoru, ani nadmiernej życzliwości. Poza tym zbyt obawiał się żony, by pozwolić sobie na romans, co również stanowczo odrzucała Bess. A na małżeństwo z nim nie miała co liczyć.

## Rozdział 6

Ktoś z Rady Miejskiej utrudniał wydanie Andrew Gilchristowi pozwolenia na zbudowanie fabryki. Powstałe upoważnienie irytowało go. Minał rok od czasu, gdy z kupionego terenu usunął wszystkie drobne warsztaty i papiernie. Jednak, zaciskając zęby, ciągle musiał czekać, aż właściwa komisja podejmie decyzję. Wielu z decydentów siedziało u niego w kieszeni. Jednym Andrew dawał łapówki, innym obiecywał udział w zyskach z inwestycji. Czasami znajdzie się jednak trzymający się przepisów świętoszkowaty drań, zadowolony z siebie socjalista lub obłudny chrześcijanin, którego nie da się kupić. Będąc w biurze, Gilchrist wychylił się na korytarz i zawołał Simona Voyle'a. Asystent Gilchrista niski mężczyzna o bladej, zawsze wystraszonej twarzy, drobił kroki na korytarzu. Przez ostatnie dziesięć lat był faktycznie prawą ręką Gilchrista i załatwiał wszystkie jego sprawy. W piątkowy wieczór, po szóstej Voyle wkładał płaszcz, kończąc pracę.

– Czy nie zatrzymuję cię, Simon? – zapytał z naciskiem Gilchrist.

Vaile poczerwieniał.

– Ależ skąd! Wcale nie. Mam co prawda umówione spotkanie, ale chętnie zrobię, co trzeba.

– To miło z twojej strony. – Gilchrist spojrział na kartkę papieru, którą trzymał w dłoni. – Czy znasz Josiarm Pattersona? Kto to jest? – Sięgnął po płaszcz. Voile rzucił się, aby mu pomóc. – Chcę wszystko o nim wiedzieć – mówił, owijając szyję jedwabnym szalikiem. – Chcę znać jego najskrytsze tajemnice. Ustal, kim jest kobieta, z którą mieszka w Fountainbridge, ile ma długu u Żydów i lichwiarzy, czym się interesuje. Chcę wiedzieć, czy lubi karty oraz czy ma skłonności do młodych chłopców.

– Oczywiście, proszę pana.

– Uwiń się szybko. Przez niego tracę dużo pieniędzy. – Gilchrist poklepał Voyle’a po twarzy i dodał: – A teraz zmykaj. Nie możesz pozwolić tej ślicznotce czekać na siebie, prawda?

W drodze z biura na plac Charlotty, Gilchrista rozpierała duma. Tak samo czuł się trzy lata temu, kiedy nabył dom. Stał wtedy w korytarzu, ciesząc oczy marmurową podłogą w czarnobiałe wzory, gipsowymi gzymsami, purpurowym dywanem na schodach. Był w pełni usatysfakcjonowany i zadowolony z siebie. Poza domem przy placu Charlotty posiadał sześć kamienic czynszowych, firmę budowlaną i odlewnię żelaza w Portobello, którą wraz z jedną z czynszówek wniosła w posagu jego żona, Agnes. Reszty majątku dorobił się sam. A zaczynał od znajdującej się na niewielkiej działce drukarni, z której ojciec był bardzo dumny. Zaraz po jego śmierci Andrew zlikwidował zakład, a ziemię sprzedał po wysokiej cenie, jako że leżała w reprezentacyjnej części miasta. Za uzyskane pieniądze kupił nowe, większe grunty. Od dziecka wiedział, że w taki sposób pomnaża się majątek. Nie interesował się wytwarzaniem mebli, drukowaniem książek czy produkcją perłowych guzików. Kupował gołą ziemię, stwarzał tam warunki do rozwoju przemysłu lub rolnictwa i sprzedawał jako teren inwestycyjny. Tu właśnie widział swoją szansę. Miasto gwałtownie się rozwijało. Powstało wielkie zapotrzebowanie na uzbrojony teren pod osiedla mieszkaniowe dla robotników i służby pracującej w mieście. Domy zajmowały coraz to nowe przestrzenie wokół miasta.

Gilchrist pilnował swoich spraw i umiał zainwestować we właściwe tereny. Po jakimś czasie kupowane przez niego grunty zawsze rosły w cenie. Ważne, by wyrobić sobie markę i mieć opinię specjalisty w branży, a wtedy znajdą się chętni, którzy na wyścigi będą kupować ziemię w tej samej okolicy. Czasami

sprzedawał działki od razu. Innym razem stawiał kamienice czynszowe i zadowalał się stałym dochodem. Przez lata poznał tajniki obrotu ziemią i umiał zadbać o odpowiednie znajomości. Wlepiał też, że dobrze jest znać słabości innych, że w biznesie nie ma miejsca na sentymenty. Na kilometr wyczuwał hipokryzję, chciwość, podatność na łapówki i snobizm. Umiał zręcznie wykorzystać każdą okoliczność. Do próżniaczej i aroganckiej arystokracji czuł odrazę. Nie znosił posiadaczy ziemskich, którzy nie przepracowali w życiu ani jednego dnia. Większość z nich to mali, bojaźliwi ludzie słabego charakteru. Cieszył się, że ich znaczenie i wpływy w społeczeństwie malały.

Ślub z Agnes był wspaniałym osiągnięciem, które od razu znacznie wzmocniło jego pozycję. Choć brzydotę inny dopełniał nieprzyjemny, płaczliwy głos, nie wątpił, by mało kto w Edynburgu pamiętał teraz Andrew Gilchrista jako syna właściciela niewielkiej papierni w Cadontlgate. Jednak niezależnie od wszystkich wad, Agnes spełniła swój małżeński obowiązek i wydała na świat trzech synów.

Właśnie dzwoniło na obiad. Andrew, rozejrzawszy się przy stole, stracił nieco humor. Na obiad zeszli już najstarsi synowie Niall i Sandy, lecz piąte krzesło nadal stało puste.

– Maxwell? Gdzie jest Maxwell? – zapytał. Służąca nalała zupę i Agnes posłała po najmłodszego syna. Obiad spożywano w absolutnej ciszy. Agnes prawie nie jadła, wycierając usta serwetką po każdej łyżce zupy, co z kolei irytowało jej męża. Niall, podobny do ojca krępy szatyn, szybko pochłonął pierwsze danie, jakby obawiając się, że ktoś mu je zabierze. Sandy, przystojny, o wyrazistych rysach twarzy, siedział przygarbiony, od czasu do czasu spoglądając w stronę drzwi. Rodzina kończyła pierwsze danie, gdy pojawił się Maxwell. Dziecko, które szczęśliwym zrzędzeniem losu odziedziczyło ciemne włosy i rysy twarzy po ojcu, a delikatność i modre oczy po

mamie. Miał czternaście lat i doskonale wyglądał.

– Widzę – zaczął Andrew – że postanowiłeś jednak za szczyścić nas swoją obecnością.

Maxwell uśmiechnął się rozbijająco. – Już jestem, przepraszam. Byłem... – przerwał i szukając właściwego słowa rozejrzał się wokół – ... zajęty.

– Zajęty? Oczywiście nauką?

– Tak. – Spojrzał zdumiony na ojca i napotkał jego pytający wzrok.

– Widziałem cię z Dougiem Ferrersem – odezwał się Sandy.

Dougie Ferrers był kiedyś służącym u Gilchristów, ale został wyrzucony za podkradanie papierosów.

– Czy to prawda? – zapytał Andrew.

– Tak, ojcze.

– W takim razie położysz się spać bez kolacji.

– Tak ojcze. – Maxwell zajął pod pokrywkę półmiska. – I tak bym nie jadł. To baranina. Nienawidzę baraniny.

Andrew rozżłościło zarówno zuchwałe spojrzenie synu, jak i jego słowa. Chciał nawet przyłożyć Maxwellowi, lecz ten w porę wybiegł z jadalni. Do końca obiadu Andrew miał podły nastrój. Maxwell umiał wyprowadzić ojca z równowagi. Gilchrista irytowało to, że jego najmłodszy syn nie okazuje mu szacunku. Niall i Sandy byli inni. Posłuszni, choć bez charakterów. Niall zaczął ostatnio poznawać tajniki rodzinnego biznesu. Andrew posłał go do pracy w odlewni, licząc na to, że brud, hałas i panujące tam gorąco zahartują syna. Uważał bowiem wszystkie swoje dzieci za mięczaków i winił za to Agnes.

Patrząc wokół, zatrzymał wzrok na żonie, która miewała właśnie na talerzu w jednolitą papkę rabarbar z kremem śmietankowym.

– Na miłość boską! Kobieto! Czy ty nawet nie umiesz

przyzwocie jeść? – warknął i od razu się zorientował, że sprawił tym w zakłopotanie resztę rodziny.

Po obiedzie przeszedł do gabinetu, gdzie służący przyniósł whisky. Delektując się trunkiem i cygarem, Andrew przeglądał raporty księgowo. Nie mógł się jednak skupić i co go samego zaskoczyło, różne myśli zaczęły mu przychodzić do głowy. Wiedział, że to z powodu dłuższej abstynencji seksualnej. Perspektywa spędzenia nocy z oziębłą Agnes nie była kusząca. Brał ją, kiedy tylko chciał, ale nic sprawiało mu to przyjemności. Teraz myślał o Bess Fearnley. To dopiero kobieta. Mocniej zacisnął palce na szklance z whisky. Aż sam się zdziwił, że tak wzbierało w nim pożądanie. Nie był przecież sentymentalny i gardził tymi, którymi rządziły uczucia. Uważał, że tacy ludzie tracą zdolność kierowania sobą.

Pragnął Bess od pierwszego spotkania. Na razie pokazała się jako kobieta nie do zdobycia. Najpierw nie przyjęła zaproszenia do tańca, a potem umyślnie wcześniej wyszła z klubu, aby nie mógł jej odprowadzić. Pomimo tego Andrew wiedział, że będzie jego. To tylko kwestia czasu. Teraz przeszkadzała mu jednak zwłoka w grze, której jedyne możliwe zakończenie i tak znali oboje. Gdyby się okazało, że Elizabeth jest jedną z tych, które lubią być uwodzone, którym należy schlebiać i nadskakiwać, Andrew mógł przez jakiś czas tak właśnie postępować. Zresztą, był w Gorgie pewien milioner, który zawsze gotów jest udostępnić mu swój dom. Dopił drinka, włożył płaszcz, kapelusz i wyszedł z domu. Kiedy nieco później patrzył na Kitty Green zrzucającą suknię z falbankami i gdy się z nią kochał, myślami błądził przy Bess. Liczyła się tylko ona.

Tego roku lato przyszło nieco wcześniej niż zwykle. Prasa na pierwszych stronach informowała o możliwym strajku generalnym i plotkowała o rychłym wybuchu rewolucji.

Pewnego wieczoru Martin zjawił się u Bess.

– Sarah Williamson zapakowała całą szafę zupek w proszku – powiedziała. – Czy uważasz, że powinnam zrobić to samo?

– Uważam, że jeśli pójdziesz w jej ślady, to potem znieawidzisz zupe w proszku.

Jago śledził każdy ruch porządkującej książki i ustawiającej filizanki Bess. Miała dziś na sobie bladoniebieską, zwiewną sukienkę. Na przegubach dłoni pobrzękiwały srebrne bransoletki. Często przesiadywał tutaj, rozmawiając o zupie czy o innych bzdurach i nie mógł oderwać oczu od Bess, tak bardzo jej pragnął.

– Co u Kate? – zapytał.

– Na śmierć zapomniałam! Ralph i Pamela znów mają synka. Ojciec zabrał Kate, aby poznała małego.

– Pewnie jest zadowolona, że ma trzech młodszych braci.

– O tak.

Na tym rozmowa utknęła. Tak, pamiętał, że Bess straciła dziecko, bliźniaczego brata Kate.

– Nie tęsknisz za nią? – podjął na nowo Martin, gdy Bess poprawiała fryzurę przed lustrem.

Rozejrzała się wokół, jakby czegoś szukała.

– Gdy Kate nie ma w domu, robi się strasznie cicho. Za to mogę nadrobić zaległości w sprzątaniu. Jak myślisz, powinnam zrobić zapasy?

– Z powodu strajku generalnego?

– Czy sądzisz, że to realna groźba?

– Raczej tak, bo rząd nie ustąpi. A górnicy też nie. Przyparto ich do muru, nie mają innego wyjścia. Ale nie powinnaś robić zapasów.

– Muszę zadbać o Kate.

– Sądzę, że ani rząd, ani kongres związków zawodowych nie doprowadzą do przerwania dostaw podstawowych produktów.

To zwróciłoby społeczeństwo przeciwko nim, a obie strony konfliktu liczą na poparcie ze strony opinii publicznej.

– Martin, czy ty jesteś po stronie strajkujących?

Za oknem pary w wieczorowych strojach spacerowały wzdłuż ulicy. W przejeżdżających taksówkach widać było pasażerów w cylindrach i jedwabnych szalikach. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zakłócić tego spokoju.

– Właściciele kopalni chcą, aby górnicy pracowali dłużej i to za niższe wynagrodzenie. Baldwin utrzymuje, że jest niechętny akcji protestacyjnej, jednak nie zauważa jej ekonomicznego podłoża. Chociaż żyjemy w zasobnym państwie, wielka liczba mieszkańców nie może zarobić nawet na utrzymanie rodziny. Górnicy chcą więcej korzystać z dostatku kraju, z czym się całkowicie zgadzam.

A konsekwencje biedy spotykam w swojej pracy na każdym kroku. Gdy już będę miał prywatną praktykę...

– Naprawdę o tym myślisz, Martin?

– Oczywiście. I to jest przyczyną mojego powrotu do Edynburga. Chciałbym otworzyć własną, ogólnodostępną klinikę. Kto ma czym zapłacić uczyni to, kto nie ma pieniędzy będzie leczony bezpłatnie. – Doktor rozpromienił się. – Przypuszczam, że będę musiał poruszyć niebo i ziemię, aby sfinansować ten pomysł. Czy możesz wyobrazić sobie mnie, gdy odświeżnię ubrany namawiam lady X, czy lady Y na drobny datek dla ubogich?

Bess wróciła do lustra.

– Nie sądzę, abyś miał odpowiedni strój, Martin. A teraz bądź tak dobry i pomóż mi włożyć naszyjnik.

Zapinając maleńką sprzączkę, Martin czuł chłodne ciało Bess. Wyobraził sobie, jak zamyka oczy i całuje delikatną, piękną szyję. Cofnął się i skomplementował Bess:

– Wyglądasz cudownie, jak zawsze.

– Za to moja biżuteria jest już do niczego – zbyła go. – Tylko z daleka wygląda jeszcze dobrze.

Trzeciego maja rozpoczął się strajk generalny, do którego w całej Wielkiej Brytanii przystąpiły trzy miliony robotników. Pracujący w transporcie, drukarniach, budownictwie, sektorze usług komunalnych, wystąpili pierwsi. O poranku na ulicach było dziwnie cicho. Tramwaje nie stukały jak zawsze o tory, parowozy na stacji Waverly nie wypuszczały z brzuchów kłębow pary, ani chmur dymu. Do pracy nie wyszli robotnicy wielu drukarni w Edynburgu. W tej sytuacji biznesmeni, urzędnicy i sprzedawcy z trudem docierali do biur i sklepów. Dojeżdżano prywatnymi autami lub na rowerach. Wiele osób musiało kilometrami iść pieszo aż z przedmieść. Ulice szybko wypełniły się wpadającymi na siebie samochodami.auta poruszały się w żółwym tempie. Ulic nie wypełniała już cisza, lecz trąbienie klaksonów i hałas silników.

Nagłówki rządowej gazety „British Gazette” krzyczały o wybuchu rewolucji. Jednak dla Martina to, co się zaczęło w Edynburgu, miało raczej posmak pikniku. Wspaniała letnia pogoda zdawała się podkreślać niecodziennosc wydarzeń. W powietrzu wyczuwało się podniecenie i zmiany. Pękły niektóre bariery społeczne: dyrektorzy banków przywozili swoimi bentleyami pracowników mieszkających na peryferiach miasta, studenci-ochotnicy, którzy zastępowali miejskich kierowców, wybierali dziwaczne trasy, podwożąc pasażerów pod sam próg ich domostw.

W miarę wydłużania się strajku pogarszały się nastroje społeczne. Pewnego dnia Martin musiał założyć kilka szwów na głowie tynkarzowi, poszkodowanemu podczas bijatyki z łamistrajkami. Innym razem, gdy wychodząc wcześnie rano do rodzącej, przecinał ulicę zapchaną samochodami dostawczymi i

ciężarówkami, widział, jak wyrzucono kierowców z ich samochodów, aby je zaraz podpalić. W te pogodne, majowe dni czuło się narastającą agresję. Myślał jednak, że przemoc zrodziła desperacja nie rewolucja.

Martin pracował dalej bez większych zmian. Ani lekarze, ani pielęgniarki nie strajkowali. Od rana bezskutecznie dzwonił do wszystkich sanatoriów w Szkocji, w poszukiwaniu miejsca dla młodej kobiety cierpiącej na gruźlicę kręgosłupa. Po południu wezwano go, jak się okazało o wiele za późno, do dziecka z okropnie spuchniętą buzią. Przyczyną dolegliwości były popsute zęby. W rodzinie, gdzie była jeszcze czwórka dzieci, rodzice leczyli syna okładami z gorącej soli, wsypanej do wełnianej skarpetki. Infekcja zaatakowała już kość szczękową, wywołując gorączkę i drgawki. Martin opatrzył dziecko, jak tylko umiał najlepiej i skierował do szpitala. Wątpił jednak, czy mały przeżyje noc.

Nawet długi, szybki spacer nie poprawił złego humoru doktora. Po wejściu do mieszkania rzucił marynarkę na krzesło i nalał sobie whisky. Dopiero gdy usiadł, zauważył złożoną kartkę wsuniętą pod drzwi. Hester Findlay wzywała go do siebie: „Kochany Martinie! Koniecznie muszę się z tobą zobaczyć – Het”. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Wstał, włożył marynarkę i poszedł w stronę Elington Crescent, gdzie mieszkali Hester i Alex.

Pokojówka wprowadziła Martina do salonu. Hester, ubrana w granatowe spodnie i jersejową marynarkę w niebiesko-białe prążki, miała niedbale zaczesane do tyłu i upięte włosy. W pokoju paliła się tylko jedna lampka. Gdy służąca chciała zapalić światło, gospodyni powstrzymała ją ruchem dłoni.

- Nie trzeba. Niech zostanie tak, jak jest.
- Czy mam coś podać, proszę pani?
- Nie. Poradzimy sobie. Możesz już iść spać, Miller

powiedziała Hester i służąca wyszła.

– To wspaniale, że przyszedłeś, Martin. Napijesz się czegoś?  
– spytała, otwierając barek. Gdy nalewała alko hol do kieliszka, Jago zauważył, że drżą jej dłonie. Zwrócił też uwagę na zaczerwienione, podkrążone oczy i bladą, napiętą twarz.

– Czy coś się stało, Het?

– Alex przepadł. – Z trudem chwytiała powietrze.

– Przepadł? Gdzie przepadł?

– Nie mam pojęcia. – Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. – Wyszedł po tym, jak się znowu strasznie pokłóciliśmy.

– Czy odszedł od ciebie?

– Nie wiem, nic nie wiem! Nie mam pojęcia, dokąd poszedł!

– Pewnie jest gdzieś u znajomych lub u rodziny.

– Nie. Telefonowałam do wszystkich. Jego matka też Obchodzi od zmysłów – odparła załamana. – Obawiam się, że Alex może zrobić coś bardzo głupiego. A może to się już stało? Wszystko przeze mnie.

– Hester...

– Byłam dla niego prawdziwą jędzą.

– Nonsens.

– Wiem co mówię „... będę stała przy tobie w chorobie i w zdrowiu...” Czyż nie tak powinno być?

– Jesteś wspaniałą żoną i wszyscy wiedzą, że nie było wam łatwo.

Oparła głowę na dłoniach i cicho spytała:

– A co będzie, jeżeli on nie wróci?

– Na pewno wróci. Trzeba mu tylko dać kilka dni spokoju.

Po chwili ciszy, patrząc na dno kieliszka, Hester wymamrotała:

– Alex chce mnie do siebie zniechęcić. Chce, żebym to ja odeszła.

– Na pewno się mylisz.  
– Wiesz, Alex ma świadomość tego, że ja pragnę dziecka.  
– A on nie chce?  
– On nie może mieć dzieci.  
– Ale z całą pewnością nie ma żadnych przeszkód natury fizycznej...

– Chciałam powiedzieć, że Alex nie może... że my nie możemy... Wiesz, o co chodzi. – Nagle Hester opanował gniew. – I nie chcę słyszeć, że tylko trzeba poczekać! Mam powyżej uszu wszystkich, którzy ciągle powtarzają mi „trzeba być cierpliwym”!

– Nawet o tym nie pomyślałem, Het.  
– On mnie po prostu nie pożąda – dodała zrezygnowana.  
– Z pewnością tak nie jest.  
– Czasami żałuję, że tak nie jest. Martin spojrzał na nią zdziwiony.

– Być może Alex sądzi, że im gorzej będzie mnie traktować, tym szybciej go porzucę i rozwiodę się. Widocznie uznał, że wtedy nie miałabym wyrzutów sumienia. Pewnie uważa, że jestem z nim z litości. – Zaśmiała się krótko. – Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdybyśmy się znienawidzili, prawda? Ale ja tego nie zrobię. Ja go nic zostawię, choć czasami jest bardzo podły. A najgłupsze w tym wszystkim jest to, że ja go ciągle kocham. Cokolwiek by zrobił, ja go będę kochać. To prawda. Chcę mieć dzieci. – Hester nieco się rozchmurzyła. – Zawsze marzyłam o gromadce, a wygląda na to, iż nie będę mieć żadnego. – Przygryzła wargi. – Obawiam się, że nie zdążę. Dwanaście lat jesteśmy małżeństwem i mam już trzydzieści trzy lata. – Po chwili spojrzała na Martina. – W jakim wieku kobiety nie powinny już rodzić?

– Po czterdziestce. Masz więc dużo czasu. – Jago poklepał ją po ramieniu. – Alex wróci. Na pewno wróci. Jeśli pozwolisz,

poszukam go na własną rękę. Nie martw się już.

Martin odczuł ulgę, gdy nie znalazł Aleksa Findlayna w żadnym szpitalu. Tego wieczoru przeczesywał jeszcze puby i kluby, ale wrócił z niczym.

W drugim tygodniu strajku generalnego rozruchy przybrały na sile. Martin wracał właśnie z wizyty domowej, gdy usłyszał złośliwie okrzyki i dźwięk wybijanej szyby. Tłum pijanych ludzi przechodził w poprzek wąskiej uliczki. Przed bramą pobliskiej fabryki dwaj kierowcy samochodów dostawczych walczyli o możliwość wjazdu do środka. W otwartej bramie leżał człowiek z zakrwawioną głową, być może strażnik. Tłum otoczył samochody, skandując „Łamistrajki!”. W stronę pojazdów poleciały cegły i wyrwany z ulicy bruk. W innym miejscu ulicy miejski autobus mozolnie przedzierał się przez zajętą ludźmi jezdnię. Za kierownicą Martin dostrzegł Aleksa. Zmrużył oczy i dokładnie przyjrzał się kierowcy. Pomachał ręką, krzyknął do niego i próbował się przepchnąć do rannego strażnika. Po chwili uświadomił sobie jednak, że rządząca się swoimi prawami ciżba unosi go ze sobą. Jago nie znosił tłumów, pod wpływem psychozy człowiek robił rzeczy, jakich w innych okolicznościach by nie zrobił. Przeciskał się dalej. Kierowca autobusu niestrudzenie parł do przodu. Był już tak blisko, że Martin wyraźnie widział złowieszczą radość w spojrzeniu jednookiego Aleksa. Pod naporem masywnego pojazdu niektórzy z wiecujących przewracali się. Martin znalazł wreszcie przejście do poszkodowanego strażnika. Mężczyzna stracił przytomność, ale żył. Postanowił przeciągnąć go do autobusu. Jednak teraz celem tłumu stał się właśnie autobus, dzięki czemu samochody dostawcze bezpiecznie wjechały do fabryki. Martin się przeraził, widząc, że Alex opuszcza autobus. Ktoś uniósł kij do zadania mu ciosu.

Rentoul! To ja! Przecież na pewno mnie pamiętasz.

Jago usłyszał Aleksa i napastnik opuścił kij. Wspólnie załadowali strażnika do autobusu. Ludzie rozstąpili się i pojazd mógł ruszyć. – Czy on żyje? – krzyknął Alex przez ramię.

– Jeszcze żyje. A kim był ten, z którym rozmawiałeś?

– Rentoul. Byliśmy razem na wojnie, pod Arras. Widziałem też innych. To porządne chłopaki.

– Czy nic ci się nie stało?

Alex popatrzył na niego bystrym wzrokiem i zapytał:

– Czy widziałeś się z Hester?

Martin skinął głową.

– Co u niej?

– Wszystko dobrze, ale martwi się o ciebie. Alex uśmiechnął się.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to frajda prowadzić miejski autobus. W dyrekcji nie chcieli ze mną gadać, z powodu oka, ale przekonałem ich. Nic nie widzę po swojej lewej stronie, wjeżdżam więc na krawężnik i wtedy szoruję bokiem o ściany budynków. Jednak prze chodnie zawsze zdążą uskoczyć. To moje najlepsze dni w ostatnich latach – wyznał. Spojrzał na leżącego strażnika i dodał: – Lepiej będzie, jeśli zawieziemy biedaka do szpitala. Trzymaj się mocno.

Autobus potoczył się stromą ulicą, objijając się kołami o krawężnik, płosząc przechodniów i rowerzystów. Dojechali na miejsce i wnieśli rannego do szpitala. Tam przy jęto go na oddział. Po rozmowie z lekarzem dyżurnym Martin opuścił szpital. Na schodach, paląc papierosa, siedział biały jak ściana Alex. Odreagowywał stres, spowodowany ostatnimi wydarzeniami. Zakrył dłońmi oczy, zupełnie jakby osłaniał je przed słońcem. Zaproponował Martinowi papierosa, ale ręce tak mu się trzęsły, że nic mógł utrzymać zapalniczki.

– A niech to cholera – rzucił.

- Boli cię głowa?  
Alex przytaknął i skrzywił się.  
– Powinieneś iść do domu.  
– Jeszcze nie teraz.  
– Hester tęskni za tobą.  
– Raczej nie. Czasami przechodzimy prawdziwe piekło.  
Myślę, że lepiej by się jej wiodło, gdyby była sama.  
– Lepiej, żebyś podjęcie takiej decyzji zostawił jej.  
Alex zamknął oczy.  
– Jeszcze nie mogę wrócić. Nie wiem, co zrobić dalej.  
– Czy coś jej przekazać?  
– Powiedz, że u mnie wszystko w porządku – odpowiedział po chwili. – Pozdrów ją ode mnie, jeśli to jeszcze ma dla niej jakieś znaczenie – dodał smutno. – Powiedz jej, że przepraszam ją... za wszystko.  
– Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić?  
Alex próbował się uśmiechnąć.  
– Odstaw za mnie tego grata do zajezdni, bo w takim stanie nie dam rady.

Hester czekała na Martina w jego mieszkaniu.  
– Widziałem Aleksa. Jest cały i zdrowy. Został kierowcą miejskiego autobusu – przekazał nowość.  
– Autobusu? On prowadzi autobus?  
– Tylko na czas strajku. Teraz wiele osób pomaga jak może. A jemu to się nawet podoba – spojrzał na wykrzywił mą złością twarz Het i zrozumiał, że powiedział coś złego. Dodał więc szybko: – Chyba czuje się potrzebny, pierwszy raz od wielu lat.  
Hester nerwowo krążyła po pokoju, oglądając rozłożone na biurku przybory do pisania, fragmenty ceramiki i kamień leżący na parapecie.  
– Czy mówił coś jeszcze?

- Przesyła ci pozdrowienia.
- I nic więcej? Na przykład, kiedy wraca do domu?
- Tego nie powiedział.
- Martin.

Jago westchnął.

- Powiedział, że potrzebuje trochę czasu do namysłu.
- Chce się zastanawiać nade mną – podsumowała cierpko. – Nie wie jeszcze, czy chce do mnie wrócić.

– Het – zaczął Martin, lecz przerwała mu, śmiejąc się nerwowo.

– Zastanawiam się, czy wszystko byłoby z Alekssem w porządku, gdyby nie wybuchła wojna. Niestety, nigdy się tego nie dowiem. Dotychczas myślałam, że jesteśmy szczęśliwą parą, ale może byłam ślepa? Może miał mnie już dosyć?

- Pozwól, że naleję ci drinka.

Napełnił szklaneczki i podał jedną Hester.

Siedziała na oparciu sofy, stukając nogami o podłogę.

– To trudne małżeństwo – zaczęła mówić cicho. – Pobraliśmy się w dziewięćset czternastym. Sześć tygodni później był już we Francji. Przez trzy lata nic złego się nic wydarzyło. Z innymi żołnierzami działy się straszliwe rzeczy. Jego to wszystko omijało. Miałam nadzieję, że tak; będzie do końca. Co noc modliłam się za niego. Wierzyłam, że Bóg go ochroni. Ale został ranny. Od razu pojechałam do Francji, do szpitala, gdzie leżał. Lekarze nic wiedzieli, czy przeżyje. Cały czas modliłam się. Sądziłam, iż żarliwa modlitwa sprawi, że on wróci do zdrowia. Tak się jednak nie stało i nigdy się już nie stanie.

Hester straciła wszelką nadzieję, była sponiewierana. Po charakterystycznej dla niej pewności siebie i pogodnym sposobie bycia nie zostało śladu. Martinowi zrobiło się jej żal.

Objął Het, która przytuliła się do niego i po chwili spytała:

– Martin, czy możesz mnie pocałować?

Pocałował ją w czoło. Popatrzyła na niego.

– Nie tak. Pocałuj mnie naprawdę – i nie czekając, wpiła się ustami w usta Martina. Odpowiedział tym samym, tak długo nie całował żadnej kobiety, a Hester była teraz na swój sposób pociągająca – lecz po chwili pomyślał o Bess. Cofnął się.

– Hester. Do czego zmierzasz?

– Chcę, żebyś kochał się ze mną. Już dłużej nie zniosę samotności.

Kusząca propozycja, ale Martin miał świadomość konsekwencji wynikających z jej przyjęcia: zdrada i oszustwo. To nie wchodziło w grę.

– Miło słyszeć. Wielce mi tym schlebiasz, ale to nie najlepsze rozwiązanie.

Dłoń Hester błędziła po jego czuprynie. Zakręciła locze k na palcu.

– A to czemu?

– Temu, że wciąż jesteś żoną Aleksa.

Parsknęła śmiechem.

– Pewnie by się ucieszył, gdybym miała romans. Przy rozwodzie nie miałby wyrzutów sumienia. – Zmarszczyła brwi.

– O co chodzi? Nie podobam ci się?

– Przecież wiesz, że tak nie jest.

Zmrużyła oczy i rzuciła oschle:

– Ale mnie nie kochasz.

– Tylko jak przyjaciel przyjaciela.

– Nie ma różnicy, czy kogoś lubisz czy kochasz, czy jesteście przyjaciółmi czy kochankami. Ja Kocham Aleksa, a przez większość życia z nim jestem nieszczęśliwa. Czy jest sens kochać, gdy uczucie cię unieszczęśliwia?

– Nie wiem. Może w tych sprawach nie trzeba doszukiwać

się sensu. Przecież miłość jest ślepa. Czyż nic tak?

– A dlaczego ty się nigdy nie ożeniłeś?

– Nie znalazłem jeszcze odpowiedniej kandydatki – odparł bez zastanowienia.

Hester wstała i przypaliła papierosa.

– Na przykład kogoś takiego, jak Bess Fearnley? To na nią czekasz, prawda? To myśl o niej, nie pozwala ci mnie pokochać.

– Uśmiechnęła się cierpko. – Chcesz, żebym zdradziła ci pewien sekret o niej? Choć właściwie to żadna tajemnica. Wszyscy o tym wiedzą.

Martin przypomniał sobie Bess w aksamitnej sukni, leżącą na sofie i wtuloną w futro. Przyszły mu na myśl słowa Daveya: „Elizabeth wodzi ich wszystkich za nos. A przynajmniej mam taką nadzieję”. Martin powoli tracił humor.

– Nie chcę nic wiedzieć i chyba już czas na ciebie. Za dzwonię po taksówkę.

– Dlaczego wszyscy kochacie się w niej? Przecież to dziwka. Zwyczajna dziwka – kontynuowała, obgryzając paznokieć kciuka. – A jednak wyjawię ci sekret. Czy nie wiesz, że Bess Fearnley jest kochanką Andrew Gilchrista? – Martin był wstrząśnięty. – Powinieneś częściej bywać w Black Orchid. Oni zawsze bawią się razem. Są nierozłączni. Każdy to potwierdzi – zakończyła i wyszła.

Czasami Bess zastanawiała się nad sobą. Wydawało jej się, że idzie przez życie bez wyraźnego celu, na oślep. Myślała o Kate i o swojej pracy. Przychodziła do Black Orchid na dziesiątą wieczorem i zostawała do pierwszej w nocy. Po powrocie do domu nie mogła zasnąć. Przeszkadzała jej ciągle hucząca w głowie muzyka i jaskrawi światła klubu. Gdy już zasnęła, zaledwie kilka godzin póź niej zrywał ją budzik ustawiony na siódmą rano. Wstawała, szykowała śniadanie dla

Kate i odprowadzała ją do szkoły. Potem biegła do sklepu Iony, gdzie z trudem powstrzymywała ziewanie. Przecież musiała zachować pogodną twarz przed klientami. Gdy w weekendy Ralph zabierał Kate do siebie, Bess kładła się do łóżka, szczęśliwa, że może się wypaść. Gdyby nie pieniądze, których potrzebowała na utrzymanie córki, zwolniłaby się z klubu.

Strajk generalny zakończył się po dziesięciu dniach.

Prasasa donosiła o hańbiącej porażce związków zawodowych. Jeszcze tylko górnicy kontynuowali protest. Zdradzeni, osamotnieni. Cierpieli nędzę, być może i głód. Chociaż zdobyli jej sympatię, Elizabeth sądziła, że ani związki, ani politycy nie troszczą się o zagwarantowanie pracy kobietom. Gdy wybucha rewolucja albo wojna, kobiety jak zawsze opiekują się dziećmi, dbają o dom, przygotowują jedzenie i piorą. Niekończąca się robota bez wynagrodzenia. Im masz mniej pieniędzy, tym ciężiej muszą pracować. Nie możesz stołować się w restauracji i nie możesz zatrudnić służby. Jeżeli jesteś dumna i bez pieniędzy, a przy tym chcesz zapewnić swojej jedynej córeczce wysoki poziom życia, to już jesteś w trudnej sytuacji.

Ostatnio Bess nie mogła związać końca z końcem. Kate gwałtownie rosła. W szkole dla dziewcząt, do której chodziła, uczniowie musieli zmieniać obuwie. Trzeba też było kupić baletki, kalosze i tenisówki. To aż pięć par butów do wymiany na większe. Do tego mundurek i kapelusik. A teraz, gdy zdała do następnej klasy, dojdą lekcje tenisa i dodatkowe koszty, bo trzeba kupić raketę. Oczywiście używaną. W starszej klasie dziewczynki nie noszą już skarpetek, ale pończochy. Kate nie będzie z tego zadowolona, nie cierpi gorsetu i podwiązek. Nie znosi pończoch, które się marszczą w szare fałdy na jej małych kostkach. Zupełnie jak skóra słonia, pomyślała Elizabeth miała trzy suknie wieczorowe, które w ostatnich latach ciągle

przeszywała, w zależności od aktualnej mody. Skracala je, przerabiała kołnierzyki i ozdoby. Wszystkie były już mocno zużyte, rozchodziły się w szwach, traciły fason. W starych sukniach nie mogła wyglądać oszłamiamająco, a przecież pracując w Black Orchid, powinna. Zupełnie nie wiedziała, jak by sobie dała radę, gdyby nie pracowała u Iony O'Hagan, która chętnie wypożyczała jej suknie ze sklepu. „Pokazując się w moich kreacjach, wspaniale reklamujesz sklep. Kobiety, które zapragną czegoś podobnego, z pewnością przyjdą do mnie”.

Gdyby tylko chciała, mogłaby poprosić Ralpa o pokrycie części kosztów związanych ze szkolnym ubraniem Kate. Coś jednak powstrzymało ją przed tym krokiem. Miała swój honor. Zawsze też obawiała się, że Ralph mógłby bliżej przyjrzeć się trybowi życia, jaki prowadzi. A nawet wystąpić do sądu o przyznanie mu opieki nad Kate. Wtedy straciłaby córkę, tak jak straciła Frazera. Wiedziała, że to irracjonalne obawy. Poczciwy nudziar/ Ralph prędzej zaoferuje jej pomoc finansową, ale i to byłoby nie do zniesienia.

Bess nie miała wyjścia. Musiała dalej pracować w klubie. Kiedyś lubiła tam przebywać. Teraz, po części z powodu ogólnego przemęczenia, po części za sprawą An drew Gilchrista, klub nie działał już na nią jak magnes. Gilchrist za dużo sobie pozwalał. Poklepywał ją po pośladkach, gdy zbyt wolno podawała drinki i nie przypadkiem opierał kolano o kolano Bess, gdy siedzieli razem przy stole. Przystawiała go lubić. Wielu z bywalców klubu odnosiło się do Bess w podobny sposób: protekcjonalnie i zaborczo. Zbyt poufale. Była przyzwyczajona do takich manier i umiała taktownie trzymać gości na dystans. Zastanawiając się nad Gilchristem, doszła do wniosku, że jak rzadko który mężczyzna, ocenia kobiety wyłącznie po wyglądzie. Nawet największa idiotka spodobałaby mu się, gdyby tylko miała obfity biust i wydatne usta.

Odpychała ją świadomość tego, że dla Gilchrista liczy się wyłącznie jej ponętne ciało i ładna twarz. Według niego kobieta nie ma duszy, charakteru ani intelektu. Nie widząc w Bess człowieka, zrobił z niej przedmiot, zabawkę, którą można kupić lub sprzedać.

„Czy nie wiesz, że Bess Fearnley jest kochanką Andrew Gilchrista?” – Słowa Hester nie dawały Martinowi spokoju. Nie wierzył jej, na pewno kłamała. Albo powiedziała tak, bo była wściekła albo – nawet jeśli nie łągała – mocno przesadziła. Nieszczęśliwa z powodu małżeńskich problemów, urażona jego odmową, postanowiła odplacić pięknym za nadobne. Jednak te słowa ciągle brzmiały mu w uszach. Przy oknie zabłąkana ćma uderzała wóchatymi skrzydełkami o szybę, szukając wyjścia. Będąc pewnego wieczoru w klubie, Martin obserwował Bess, która stała się uśmiechała do Gilchrista, często podchodziła do niego, zamieniając parę słów, a podczas występów kabaretowych siadała przy jego stoliku. Widział, jak Gilchrist opuszkami palców gładzi wewnętrzną stronę ramienia Bess i jak kładzie swoją dłoń na jej dłoni. Zauważył, jak tuż przed odejściem Bess od stolika, Gilchrist obmacywał jej biodra.

Martin poszedł do łazienki i opłukał twarz zimną wodą. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, wiedział, dlaczego Bess Fearnley zawsze wybierała kogoś innego. Hester kłamała, powtórzył w myślach jeszcze raz. A może to tylko moje ciche życzenie? Sądząc po ich zażyłości, Bess mogła przespać się z Andrew Gilchristem. Przecież sama kiedyś powiedziała, że lubi bogatych mężczyzn. Trzeba wziąć też pod uwagę jej charakter i bezwzględne dążenie do zaspokojenia potrzeb materialnych. Przecież to ona, gdy się tylko poznali na przyjęciu u państwa Corstophine, oświadczyła: „Muszę pana zapewnić doktorze, że nawet młodziutkie panny bardzo dokładnie planują swoje

małżeństwa. Tak samo, jak podróżnicy dokładnie przygotowują swoje ekspedycje”. Kim właściwie była Elizabeth Fearnley? Martin znał już odpowiedź i pomyślał, że ciężko mu będzie zaakceptować to, że Bess wybrała już swoją drogę życiową.

Codziennie rano przed wyjściem do szkoły Kate się skarżyła na ból brzucha i głowy. Lekarz przepisał jej dietę i zalecił kilka dni odpoczynku. Ponieważ Annie nie zawsze mogła się zaopiekować małą, a Bess nie chciała córki zostawiać samej w domu, zabrała ją ze sobą do sklepu Iony. Chociaż Kate grzecznie usiadła na podłodze, zajmując się rysowaniem i czytaniem, obecność córki rozpraszała Bess. Nie mogła się zająć Kate ani skupić na pracy. Gdyby się pojawił Martin, mogłaby poprosić go o zaopiekowanie się córką, ale nie widziała go od dwóch tygodni.

Innego dnia, po powrocie z pracy, Annie odeszła z Bess na stronę.

– Kate czymś się dzisiaj zamartwia.

– Czym?

– Nie wiem. Nie chciała powiedzieć – mówiła Annie, zakładając płaszcz. – Wróciła ze szkoły z zaczerwienionymi oczyma. Biedne maleństwo.

– Pewnie chodzi o matematykę – zasugerowała Bess. – Ona tak jej nie lubi. Może była klasówka.

Annie włożyła ten sam co zawsze, niemodny już kapelusz z czarnego filcu i dodała:

– To musi być coś innego. Jeszcze nie widziałam dziewczynki tak zmartwionej z powodu arytmetyki.

Kate siedziała przygarbiona na łóżku. Gdy usłyszała, że ktoś wchodzi, spojrzała w stronę drzwi. Bess zobaczyła czerwoną, zapuchniętą od płaczu twarz córki.

– Kate, co się stało, kochanie?

- Nic.
- Bess usiadła na łóżku.
- Powiedz, o co chodzi. Czy w nowej klasie jest ci za ciężko? – Kate zaprzeczyła ruchem głowy. – Czy wychowawczynie ci dokuczają? Nie lubisz jej?
- Nasza pani jest dobra – bąknęła.
- A może pokłóciłaś się z Caroline? – dochodziła Bess, pytając o jej najlepszą przyjaciółkę.
- Ona jest ciągle w II B – wyjaśniła zniecierpliwiona Kate i dodała – A uczniowie z II A nie przyjaźnią się z uczniami z II B.
- Aha! – Bess z troską patrzyła na zapłakaną Kate, wycierającą nos w rękaw swetra. – Weź chusteczkę... Czy to dlatego jest ci źle, że nie przyjaźnisz się już z Caroline?
- Ja w ogóle z nikim się nie przyjaźnię. – Wybuchła płaczem.
- Na pewno tak nie jest.
- To prawda! Nikt mnie nie lubi! Marcia Kennedy też innie nie lubi! Zaprosiła na swoje przyjęcie całą klasę, ale nie mnie!
- Naprawdę?
- Dzisiaj na przerwie rozdawała wszystkim zaproszenia. A ja nie dostałam. To było okropne! – Kate zalewała się łzami.
- Na pewno zapomniała, a może nie zaprosiła cię, bo się jeszcze dobrze nie znacie. Przecież mieszkamy tu od niedawna...
- Już ci mówiłam! Ona mnie nie lubi! – wykrzyknęła Kate. – Jej mama powiedziała... – Przerwała nagle, spuściła wzrok i wpatrywała się w strup na kolanie.
- Co takiego powiedziała jej mama?
- Nic, nic – wymamrotała Kate.
- To ważne. Musisz mi powiedzieć. – Bess się zaniepokoiła.
- Jej mama powiedziała, że nie wie, dlaczego pani Gibson przyjęła do szkoły dziecko takiej kobiety – wyjaśniła ociągając się.

Elizabeth zaniemówiła z oburzenia. Najchętniej rozszarpałaby tę snobkę Kennedy i jej wstrętą córeczkę. Po myślała, że zabierze córkę z tej szkoły. Opamiętała się jednak. Zimna kalkulacja kazała jej zignorować to wyda rzenie. Złość przechodziła w bolesne poczucie winy. Po nosi odpowiedzialność za to, co się stało. Powodem był tryb życia, jaki prowadzi. Zyskanie powszechnego szacunku i stabilności życiowej dla Kate, może się okazać celem trudnym do osiągnięcia.

Pocieszając małą i siebie samą, Bess przytuliła i pocałowała córeczkę. Potem namówiła ją, aby razem upiekły ciasto. Obserwując Kate, wiedziała, że jej córka właśnie odebrała ciężką lekcję życia.

Andrew Gilchrist czekał przed klubem na Bess. Nic mając wyjścia, zgodziła się, aby ją odprowadził. Kiedy doszli do domu, Gilchrist przyciągnął Bess do siebie.

– Andrew! Nie na ulicy! Proszę! – krzyknęła, wykręcając się z uścisku.

Zdyszany Gilchrist cofnął się.

– W takim razie wejdźmy do ciebie.

– Nie.

– Pragnę cię, Bess. Chodźmy.

– Nie, Andrew. Mówię poważnie. Nigdy nie zapraszam mężczyzn do siebie.

– Skoro tak uważasz... A może byś zrobiła dla mnie wyjątek?

– Nie mogę. Zrozum mnie.

– Rozumiem. Wszystko doskonale rozumiem. Chcesz, bym jeszcze poczekał. Jeżeli tak to sobie zaplanowałaś, zgadzam się, ale wiedz, że nie będę czekać w nieskończoność – wyrzucił z siebie i odszedł.

Elizabeth wbiegła na schody. Chcąc pozbyć się zapachu

Gilchrista, grzbietem dłoni wycierała usta. Z walącym sercem, otwierając po omacku zamek w drzwiach, spoglądała za siebie w ciemny korytarz.

Szalejąca w mieście epidemia odry zbierała ofiary wśród niemowląt i dzieci. Przy dręczącej Martina bezsenności nocne wezwania były dla niego zbawieniem. W pubie Grassmarket Jago spotkał Daveya.

– Musisz wiedzieć, że zdecydowałem się poprosić Bess o rękę – zaczął Davey.

– I co?

– I odmówiła. – Uśmiechnął się gorzko. – Od dawna wiedziałem, że nie mam szans. Jednak nadzieja umiera ostatnia, prawda?

– Przykro mi.

– Czyżby? Sądziłem, że się ucieszysz. Teraz zostałeś sam na placu boju. – Uniósł kieliszek. – Pytała, czy gdzieś mc wyjechałeś, bo nie widziała cię od dłuższego czasu.

– Nigdzie nie byłem. Ciągle tu jestem.

Nagle przy barze wybuchła przepychanka. Niski, krzepki właściciel wyprowadzał właśnie na ulicę dwóch weteranów ostatniej wojny.

– Wydaje mi się, że żaden z nas nigdy nie miał szans u Bess. Czasami myślę, że ma dosyć kręcących się wokół niej mężczyzn – mówił Davey.

– A może jest jeszcze ktoś inny. Słyszałem, że się spotyka z Andrew Gilchristem.

– Z nim? Bzdura – zaprzeczył stanowczo Davey. – Kto ci to powiedział?

– Nieważne.

– A więc twój informator jest w błędzie. Poza tym Gilchrist jest żonaty.

– Bess zapewniała mnie, że w ogóle nie chce wychodzić za mąż.

Davey popatrzył na Martina i pokręcił głową.

– To niemożliwe, żeby była z Gilchristem. Nie z nim.

– Znasz go?

– Trochę. Powiedzmy, że nasze drogi przecięły się parę razy.

– Znasz go osobiście czy mieliście tylko wspólne interesy?

– I tak, i tak. To człowiek, który własną pracą doszedł do fortuny. Zaczynał bardziej niż skromnie, a teraz jest obrzydliwie bogaty. Obraca nieruchomościami. Tanio skupuje ziemię, a potem przekupstwem lub groźbą w rodzaju: „Jak się stąd nie wyniesiesz w ciągu dwóch tygodni, to twoja fabryczka może spłonąć” pozbywa się dzierżawców.

– Sympatyczny człowiek.

– Nawet bardzo. – Davey podjął żart. – Gdy już ma ziemię, załatwia w ratuszu zmianę klasyfikacji gruntów. Następnie stawia tandetne czynszówki, w których ludzie gnieźdzą się jak śledzie w beczce. Niekiedy od razu z zyskiem sprzedaje nabytą ziemię, a czasami czeka na wzrost jej wartości. – Davey zniżył głos i pochylił się do Martina. – Teraz powiem ci coś ciekawego na temat Gilchrista. W komisji planowania przestrzennego pracował niejaki Patterson, który postanowił przeciwstawić się Gilchristowi. Nagle, parę tygodni temu, Patterson ustąpił z komitetu i wszystko poszło, jak po maśle. Gilchrist dopiął swego i dostał pozwolenie na budowę. – A dlaczego Patterson zrezygnował?

– Dobre pytanie. Wszystkim wydaje się, że znają prawdę, ale nikt nie śmie o tym pisać.

– Gilchrist przekupił go, czy może zastraszył?

– Ty to powiedziałaś. Ja nie zaryzykuję takich podejrzeń wobec niego. Gilchrist ma najlepszych adwokatów. Lepiej, żeby ci się nie dobrali do skóry. Wracając do Bess, sądzę, że się

mylisz, podejrzewając ją o romans z Gilchristem. Ona nie znosi takich facetów – podsumował Davey.

Martin znowu przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Zmęczona Bess w zdobionej cekinami sukni, nosząca diamentową biżuterię. Nie mógł wtedy oderwać od niej oczu.

– Przecież Gilchrist to bogacz...

– Elizabeth nie jest dziwką. Nie sprzedałaby mu się – przerwał mu Davey gniewnie. Po czym dodał spokojniej: Bess ma w sobie jakąś niewinność. O taką kobietę chcesz się troszczyć, chcesz się nią opiekować.

W powietrzu zaczęły latać kufle do piwa. Martin uśmiechnął się.

– Davey! Wróciłem do Edynburga właśnie po to, abyś mógł mnie jeszcze raz zaprowadzić do takiego baru. Tu pije sól naszej ziemi. Przebywanie w takim przybytku to i czysta przyjemność.

Martin wracał do domu, rozmyślając o tym, co usłyszał. Rozważając powstałą sytuację, zdał sobie sprawę z tego, że jeżeli Bess ma romans z Gilchristem i jeśli Davy mówił o nim prawdę, to jego, Martina, troska o Bess jest uzasadniona. „Bess ma w sobie jakąś niewinność”. – Martin doskonale wiedział, w czym rzecz. Bess miała niekiedy smutek w oczach, zupełnie jakby wspominała wtedy swoje trudne życie. Właśnie taką pamiętał ją, gdy opowiadała o śmierci bliźniaczego brata Kate.

Gdyby jednak Hester miała rację, to Bess prawdopodobnie nie rozszyfrowała Gilchrista, a może w ogóle nie potrafiła oceniać mężczyzn. Elizabeth bywała też impulsywna. To jedna z cech, które w niej uwielbiał. Sam nie był spontaniczny i długo obmyślał każdą decyzję. Nie poddawał się emocjom, jednak przez kilka ostatnich miesięcy czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Od dawna wiedział też, że najlepszym sposobem na pokonanie melancholii jest aktywność. Teraz będzie działał. Musi ocalić Bess, nawet przed nią samą, jeśli będzie to

konieczne.

Bess właśnie szykowała się do klubu, gdy o dziewiątej wieczorem rozległ się dzwonek do drzwi. Szybko zeszła na dół otworzyć.

– Musimy porozmawiać, Bess – powiedział stojący za drzwiami Jago.

– Martin! Nareszcie jesteś! – Ucieszyła się na jego widok. Teraz będą mogli porozmawiać przy drinku, a potem po jego wyjściu, jak zwykle zapomni, o czym konferowali. Znów będą żartować, prowadzić spory i wreszcie zniknie nuda. Gdy szli schodami do góry, cały czas mówiła do Martina: – Chyba ze sto lat cię nie widziałam. Brakowało mi ciebie. Sądziłam, że gdzieś wyjechałeś. Może prowadzisz wykopaliska? Czego się napijesz?

– Dziękuję za drinka.

– Źle wyglądasz. – Patrzyła na jego wychudłą twarz i dawno nieprasowane ubranie.

– Bess, jestem tu, aby cię ostrzec.

– Przed kim?

– Przed Andrew Gilchristem.

Bess zeszywniała. Dobry nastrój prysnął jak mydlana bańka. Od razu przypomniała sobie incydent z Gilchristem.

– Wiem, że nie mam prawa mieszać się do twojego życia – dodał szybko.

– Jestem tego samego zdania – odpowiedziała, zapinając koleczki.

– Przyjaźnisz się z nim, czy tak?

Nie użyłaby tego słowa, ale potwierdziła znajomość.

– Tak. Widujemy się w klubie.

W lustrze widziała Martina. Nerwowo przeczesywał dłońmi i tak zmierzwił włosy.

– Czy wiesz, kim jest Gilchrist? – zapytał.

– Chyba biznesmenem.

– Wiem od Daveya i z własnych źródeł, że jest właścicielem sześciu najbardziej przepelnionych czynszówek w Edynburgu. Większość mojej pracy będzie szła na marne tak długo, jak długo ludzie mieszkać będą w takich warunkach. Gruźlica pojawia się wszędzie tam, gdzie jest bieda.

– Martin... – zaczęła mówić, zakładając drugi koleczyk, który natychmiast zamigotał w świetle.

Jago przerwał jej:

– Oczywiście, klasa średnia też jest odpowiedzialna za taki stan rzeczy – drobni rentierzy i poręczyciele – mająca żywotny interes w utrzymaniu niskiego komfortu mieszkań w Edynburgu. Ale to przede wszystkim spekulujący ziemią pośrednicy, tacy jak Gilchrist, płacą za swoje okazałe siedziby i drogie samochody pieniędzmi zarobionymi na cierpieniu dzieci chorujących na gruźlicę.

Bess odwróciła się do Martina i spytała:

– Po co mi to mówisz?

– Chcę, żebyś wiedziała, skąd się bierze jego bogactwo. Elizabeth stała się podejrzliwa. Nie spodziewała się odczuwać czegoś podobnego wobec Martina.

– A dlaczego powinnam wiedzieć, skąd Gilchrist ma pieniądze?

– Ponieważ martwię się o ciebie.

– Nie chcę, abyś martwił się o mnie. Umiem zadbać o siebie. Zawsze umiałam. – Odwróciła się do lustra. Drżącą ręką odkręcała szminkę. Pamiętała plotki, które dosięgły nawet małą Kate. – Dlaczego mi to mówisz? – zapytała szorstko.

– Ktoś powiedział mi, że ty i Gilchrist... że wy... że jesteście ze sobą – wykrztusił.

Bess z trudem ściszyła głos, nie chcąc zbudzić śpiącej w sąsiednim pokoju Kate:

– Jesteście ze sobą – powtórzyła. – Zazwyczajnie mówisz półsłówkami, Martin. Dlaczego nie spytasz wprost? Dlaczego nie przyznasz się do tego, że masz mnie za jego kochankę? – Patrzyła na jego ciemnoszare oczy odbijające się w lustrze.

– A jesteś? – wymamrotał.

– Jak śmiesz?! – Odwróciła się gwałtownie. – Wielki Boże! A ja cię uważałam za przyjaciela! Okazuje się, że jesteś taki sam jak inni. Obwiniasz mnie, nie mając żadnych dowodów!

– Widziałem was razem – wydukał zgnębiony.

– Pewnie w klubie, co? – Parsknęła śmiechem. – Czyżbyś zapomniał, że właśnie tak zarabiam na życie? Przymiliam się do takich jak Andrew Gilchrist.

– Tak, ale – zaczął z ciężkim sercem – ale jak daleko się w tym posunęłaś?

Zapadła grobowa cisza, którą przerwała Bess.

– Sądzę, że powinieneś wyjść – powiedziała lodowatym tonem. – Chciałabym zostać sama. – Spojrzała w lustro. Na bladej twarzy pojawiły się ze złości wypieki.

– Poza tym był jeszcze Ralph Fearnley.

– Ralph? A co on ma z tym wspólnego? – Rzuciła Martinowi spojrzenie pełne pogardy, szybkim krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je. – Jak śmiesz mnie osądzać? Mam już dosyć osądzania mnie przez mężczyzn. Pragną mnie, jednocześnie mną pogardzając. Zupełnie, jakby się wstydziła zainteresowania Bess Fearnley. Bo to im uwłacza. Uważasz, że się sprzedałam Gilchristowi, człowiekowi, którego nie cierpię. Szkoda. Sądziłam, że jesteś inny, a okazałeś się takim samym plotkarzem jak reszta. Czyli oboje się pomyliliśmy.

Po wyjściu Martina podeszła do okna i dyskretnie spojrzała na ciemną ulicę. Jago zmierzał w stronę swego domu. Bess szybkim, gniewnym ruchem zasłoniła zasłony.

Zaraz po wejściu do klubu Elizabeth spostrzegła Andrew Gilchrista. Otoczony wielbicielami zajmował swój stolik. Obok niego siedziała dziewczyna z kręconymi włosami i ze zbyt mocnym makijażem. Wokół stolika unosił się odrzucający zapach tanich perfum. Śmiejąc się, towarzyszka Gilchrista jedną dłonią zakrywała usta, kryjąc złe użębienie, drugą trzymała Andrew za rękaw. A Martin Jago posądził ją, że jest łatwą kobietą, taką, jak ta żaloszna, wymalowana lala. Nie umiałaby w tej chwili powiedzieć, kogo bardziej nienawidzi: Martina Jago czy Andrew Gilchrista. Ten drugi przynajmniej nie krył swego pożądania.

Wieczorem występował kabaret. Tancerki miały buty im wysokich obcasach i purpurowe suknie. Drobną, ciemnowłosa artystka w kostiumie zdobionym cekinami popisywała się na trapezie. Widownia szalała z radości. Kiedyś Bess bawiłaby się równie dobrze, ale nie dziś. Dostrzegła pot na czołach tancerek i ich nadmierną tuszę, zbyt mocno napięte na nogach siatkowe pończochy, zmiany na skórze, żyłki i usta wykrzywione w sztucznym uśmiechu. Znaki nieuchronnego upływu czasu i zmęczenia. Sama też już nie umiała uśmiechać się naturalnie w klubie. Znała to wszystko z własnego doświadczenia. Martin rozmawiał o niej z Daveyem Kirkpatrickiem i wcześniej obserwował ją w klubie. A do tego wszystkiego uwierzył w zasłyszane plotki, nawet ich nie sprawdzając. Co się tyczy Gilchrista, to nawet nie chciała się do niego zbliżyć. Miała już pewność, że jest chciwy i dba jedynie o siebie. Widziała, z jaką pogardą traktuje Simona Voyle'a. Teraz mogła obserwować, jak lekceważąco traktował dziewczynę, z którą siedział przy stoliku i którą pewnie zaciągnie dziś do łóżka. Najchętniej nie zamieniłaby z nim już słowa. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Jamie powiedział „zadbaj o nie go”. Gdyby mu się poskarżyła, że Gilchrist jest natrętny, wzięłby ją za idiotkę.

Mężczyźni zawsze próbowali ukraść całusa, ale każda szanująca się kobieta szybko się uczyła, jak sobie z tym poradzić.

Gilchrist zaczął Bess, gdy, niosąc tacę, przechodziła obok.

– Usiądź przy mnie, Bess.

– Nie mogę, jestem zajęta.

– Teraz już nie jesteś. I tak nikt nie zauważy – mówił, patrząc jej w oczy. – Czyżbyś mnie unikała?

– Ależ skąd.

– W takim razie siadaj. – Kuksańcem nakazał siedzącej obok dziewczynie zwolnić miejsce, co z grymasem niezadowolenia uczyniła.

Bess usiadła. Na scenie puszysta Murzynka śpiewała „The St. Louis Blues”. Jej silny, ochrypły głos przeszywał Hess na wskroś. Powietrze wypełniał mdły zapach perfum, jakich używała wymalowana przyjaciółka Gilchrista. Bess ogarnął smutek. Szczypały ją nabiegłe do oczu Izy. Aby je powstrzymać, szybko mrugała powiekami. Sądziłam, że jesteś moim przyjacielem, Martin, mówiła do niebie w duchu. Nagle źle się poczuła. Chyba przez te perfumy.

Po występie usłyszała głos Gilchrista.

– Takie kobiety, jak ta piosenkarka, nie powinny wystawiać nosa z za drzwi swojego domu – podsumował występ i całą kompania parsknęła śmiechem.

– Ty byś pewnie zgasił światło, co? – rzucił Simon Vayle.

– Chyba nie myślisz, że mógłbym się przespać z tym czarnym potworem – odpowiedział gniewnie Andrew, przekrzykując głośny śmiech. – Jesteś skończonym głupkiem Simon. Lepiej się zamknij.

Bess poczuła nudności. Uwolniła się od dłoni Gilchrista, wstała i odeszła od stolika. Zaplecze klubu składało się z gmatwaniny pokoi biurowych i różnych składzików. Tam Elizabeth oczyściła nos i wypła łyżeczek ginu na uspokojenie.

Nie wiedziała dlaczego, ale przeszkadzał jej fakt, że Martin może mieć o niej złe zdanie. Chwilę później usłyszała zbliżające się kroki.

– Odeszłaś od stolika bez słowa.

– Ja jestem w pracy – powiedziała i sięgnęła po stojącą na stojaku butelkę.

– Od mojego stolika nie odchodzi się w taki sposób.

Powracał gniew, którego po kłótni z Martinem już się pozbyła.

– Czyżby? W takim razie miałaś okazję przeżyć to po raz pierwszy. Zawsze coś robi się pierwszy raz, prawda? – rzuciła hardo.

Gilchrist chwycił Elizabeth za ramię.

– Czy nie widzisz, że nie mogę wytrzymać bez ciebie? Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? – Zacisnął mocniej dłoń. – Nie igraj ze mną i nie wąż się obchodzić mnie dłużej z daleka. Nie zniosę tego. Nie po tylu miesiącach zwodzenia mnie.

– Jesteś w błędzie. Ja cię nie zwodzę – zaczęła lodowatym tonem. – Jeżeli bywałam miła dla ciebie, to wy łącznie dlatego, że wynikało to z mojego zakresu obowiązków. A praca tutaj zaczyna mnie właśnie nudzić. I tacy mężczyźni jak ty też zaczynają mnie nudzić.

Zdumiony Gilchrist puścił Bess, cofnął się. Stojąc z otwartymi ustami, z niedowierzaniem kręcił głową.

– Ja cię nudzę?

– Właśnie tak. Przykro mi.

Bess wyminęła Gilchrista i odszukała Jamiego, aby powiadomić go, że zwalnia się z pracy. „Włożyła palto, kapelusz i wyszła do domu. Na ulicy wciągnęła w płuca chłodne powietrze nocy. Na niebie połyskiwały rozrzucone gwiazdy. Wspomniała noce w Simli i oświetlone światłem księżycy wierzchołki Himalajów. Nigdy późnili nie widziała tak

pięknego, roziskrzonego nieba. Ostatni raz spoglądała na miasto z okien pociągu. Gdy wtedy wyjeżdżała z Simli, zostawiając tam Frazera, omal nie pękli i jej serce. Od tamtego dnia żadne wydarzenia nie zmniejszyły tego bólu. Ani doświadczenia mijających lat, ani kres młodzieńczych marzeń.

W domu zmyła makijaż, zdjęła suknię i biżuterię; Chciałaby też pozbyć się z pamięci słów Martina: „Poza tym był jeszcze Ralph Fearnley”. Popatrzyła na trzymam w dłoni diamentowe kolczyki. Miała je na sobie na przyjęciu, na którym Ralph się oświadczył oraz w oranżerii, gdzie poznała się z Martinem. Nagle przypomniała sobie wszystko: wieczorową suknię, roziskrzony diamenty i odsunięcie włosów opadających na oczy Ralphowi. Martin sądzi, że dziś zarzucam sieci na Gilchrista, tak jak kiedyś osaczałam Ralpha. Żal, który miała do niego za to zmieniał się we wstyd. Muszę z nim porozmawiać. Muszę go przekonać, że nie ma racji.

Bess wciąż źle się czuła. Wiedziała jednak, że powodem nie były perfumy ani rozmowa z Gilchristem. Brzydziła się samą sobą.

## Rozdział 7

Elizabeth czekała na Martina. Zauważył ją, gdy tylko wszedł do klatki schodowej. Siedziała w kucki na schodach, rękoma obejmując nogi. Miała lekko podkrążone oczy.

– Chciałam ci wyjaśnić sprawę Ralpa – zaczęła.

– Nic mi nie musisz wyjaśniać – odparł i usadowił się obok.

– Pouczając cię, zachowałem się jak ostatni idiota.

– Nieważne. – Odgarnęła na plecy włosy z ramion. Wtedy miałeś rację, ale nie w sprawie Gilchrista, a Ralpa – dodała pośpiesznie.

– To przecież nie moja sprawa, jak sama słusznie zauważyłaś.

Na chwilę zapadła cisza.

– Chcę powiedzieć ci o moim synku – odezwała się Bess.

– Pamiętam, miał na imię Michael.

– Nie o niego mi chodzi. Mam na myśli mojego pierwszego syna Frazera, który został w Indiach.

– Nie rozumiem, dlaczego to robisz. – Jago zmieształ się.

– Ojcem Frazera jest Jack.

– Jack...

– Miałam zaledwie dziewiętnaście lat, gdy urodziłam syna.

– Nie mówiłaś wcześniej o tym...

– Wiele osób tak robi – przerwała mu. – O Frazerze wie tylko Ralph, Pamela i Kate, ale ona nie pojmuje jeszcze o co chodzi.

– Masz syna, który nie mieszka z tobą?

– Po śmierci męża zostałam bez środków do życia. Jego matka zaproponowała, abym pojechała do Anglii odszukać ojca. Ona w tym czasie miała się zająć Frazerem. Niestety, kiedy spotkałam się z ojcem, był już bardzo chory i zmarł pół roku później.

Bess przypomniała sobie wyprawę do Szkocji, do posiadłości Ravenhartów. Pamiętała dom z narożnymi wieżyczkami, ozdobnym szczytem i nieskończoną liczbą okien. A wszystko otoczone wysokimi górami. Przypomniała też sobie zachodzące słońce i zmierzch ogarniający tamten dom.

– Chodźmy coś zjeść i napić się. To był męczący dzień. – Martin, przerywając rozważania Bess, wstał i pomógł jej wstać.

W domu, jak się okazało, miał tylko resztki ciasta i kawałek spleśniałego sera.

– Zupełnie o siebie nie dbasz – zganiała go Bess. Zazwyczaj moja gospodyni robi zakupy, ale teraz opiekuje się chorą córką... Miałaś więc dwóch synów...

– Właśnie z powodu Frazera wysłałam za Ralpha.

– Masz ochotę na ser? – zapytał, usuwając spleśniałą część.

– Nie, dziękuję. Ale chętnie się czegoś napiję.

Martin napełnił winem dwa kieliszki i zrobił miejsce na ławie zebrawszy z niej książki i papierzyska.

– Pamiętam, że gdy rozmawialiśmy pierwszy raz, planowałaś powrót do Indii.

– Masz wspaniałą pamięć, Martin. Tak. Muszę tam wrócić po Frazera.

– Jak dotąd ci się to nie udało.

– Po prostu nie mogłam. Wszystko przez wybuch wojny. – Spojrzała hardo na Martina. – Wcale nie żałuję, że wysłałam za Ralpha. Będę miała ze stu mężów, jeśli zajdzie taka potrzeba. Oczywiście, interesował mnie jego majątek, ale nie po to, żeby wypchać szafy kieckami i nic po to, żeby mieć wielki dom. Potrzebowałam jego pieniędzy, aby pojechać po Frazera.

– A więc to tak.

Bess była mocno poruszona.

– Teściowa miała przywieźć Frazera do Szkocji, abym mogła się nim zaopiekować. Ale nie zrobiła tego. Zdałam sobie

sprawę, że będę musiała sama pojechać po Frazera do Indii. Wtedy wyszłam za Ralpa – mówiła, mocno za ciskając pięści. – Nigdy nie zapomnę tych wszystkich lat oczekiwania, pełnych tęsknoty i samotności. Ralph nie pozwolił mi jechać do Indii, bał się, że statek może zostać zatopiony. Mogłam kupić bilet za pieniądze na prowadzenie domu, nie mogłam jednak narażać Frazera. Potem urodziły się bliźnięta i nie miałam już możliwości ruszy w podróż. A kiedy wojna się skończyła i znów zobaczyłam Frazera, było już za późno. Zapomniał mnie, kochał swoją babkę. Już ona się o to postarała. Gdybym go zabrała ze sobą, pękłoby mu serduszko. – Popatrzyła wyzywająco na Martina. – Zrobiłam to z miłości. Chciałam, żebyś to wiedział. Wyłącznie z miłości.

Martin odsunął od siebie talerz. Nie był już głodny.

– Co tak naprawdę ludzie wiedzą o sobie? Prawie im Związek mojego ojca z matką doprowadził go do ruiny Umarła, gdy miałem kilka lat. Niektórzy mówią, że zmarła ze wstydu. Ja jednak sądzę, że zmarła z miłości. Widzi my tylko pozory, a nie rozumiemy motywów ludzku li poczynań.

Po chwili poszukiwań czegoś w torebce Bess podała Martinowi kopertę.

– Spójrz.

W kopercie była fotografia. Martin patrzył na małego, pulchnego chłopczyka o jasnych włosach, w jedwabnym ubranku z koronkami. Wiedział, co powinien powiedzieć.

– Jest śliczny.

– Prawda? – Bess uśmiechnęła się. – Któregoś dnia będziemy z Frazerem razem, czuję to głęboko w sercu – powiedziała, przyciskając dłoń do piersi.

Na początku lipca Andrew Gilchrist dostał list ze szkoły Maxwella, w którym dyrektor nalegał na zabranie chłopca.

Andrew jechał autem przez odludną i smaganą wiatrem dolinę w hrabstwie Lanarkshire, w której znajdowała się szkoła. Był pewny, że zdoła nakłonić dyrektora, doktora Nichollsa, do zmiany zdania.

Zirytowany, spędził godzinę w gabinecie dyrektora, wysłuchując całej listy przewinień syna. Maxwell pyskował nauczycielowi francuskiego, robił wypadki do pubu w pobliskiej wiosce i miał na sumieniu flirt z jedną z młodszych pokojówek. Doktor Nicholls odrzucił propozycję Andrew, który oferował pieniądze na bibliotekę, basen lub na inne potrzeby szkoły.

– Obawiam się, że musi pan zrozumieć, panie Gilchrist – Nicholls perorował, z wyższością patrząc na Andrew, co ten ledwie znosił – że nic nie jest w stanie zmusić mnie do zmiany decyzji. Nie zatrzymam pańskiego syna. Muszę mieć na względzie dobre imię szkoły.

Andrew wybuchnął i krzyczał, że nauczy syna moresu, ale Nicholls tylko wymamrotał pod nosem:

– Ależ starałem się, Bóg mi świadkiem, że się starałem. Chłopak jest jednak niezdyscyplinowany i dziki. – Po czym dał do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca i pozostawił wściekłego Andrew samego.

Chwilę później Maxwell wraz z torbą z podręcznymi rzeczami wylądował w aucie. Reszta rzeczy będzie przysłana później. Przez całą drogę do Edynburga nie okazywał skruchy, a Andrew gotował się ze złości.

W domu po swoim okazał synowi niezadowolenie: i sprzął go, a następnie udał się na obiad. Agnes i Andrew jedli sami. Niall był w Londynie, a Sandy jeszcze się uczył w szkole z internatem. Maxwell miał chodzić spać bez kolacji tak długo, aż zrozumie swój błąd i zacznie się właściwie zachowywać. Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Ponurą ciszę przerwał Andrew zirytowany dziobaniem Agnes w talerzu:

– Chcesz wiedzieć, co ten głupi dyrektor powiedział o twoim synu? – I nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Powiedział, że Maxwell jest podstępny i że manipuluje kolegami.

– Jeżeli taki właśnie jest – odpowiedziała Agnes, zadziwiając Andrew tymi słowami – to dlatego, że go tego nauczyłeś. – Ku zaskoczeniu męża zaczęła się śmiać. Gilchrist wstał i uderzył ją w twarz. Śmiech ustał tak samo nagle, jak się zaczął. Andrew zdawało się, że usłyszał jakiś dźwięk. Podniósł wzrok i zobaczył stojącego w drzwiach Maxwella. Chłopiec wodził zielonymi oczami od matki do ojca. Andrew chciał też uderzyć syna, ale chłopiec był znacznie szybszy od swojej matki i uciekł, unikając ciosu. Nie zdążył jednak ukryć przed ojcem łez. Wcześniej, gdy ojciec sprawił mu lanie nie płakał. Teraz, widząc zapłakanego Maxwella, Gilchrist poczuł satysfakcję.

Andrew ciągle był w podłym nastroju. Po strajku generalnym zwolnił wszystkich swoich pracowników. Zapowiedział im, że każdy, kto odłoży narzędzia, nie dostanie od niego ani grosza i teraz dotrzymał słowa. Na ich miejsce miał wielu chętnych. Trudno było o pracę, kraj pograżał się w marazmie i recesji na szereg lat. Jednak przeszkolenie nowych ludzi wymagało czasu, a wielu z nich nie przykładało się zbyt do roboty. Poza tym, nie tylko praca i rodzina sprawiały, że ciągle chodził zły. Ta suka, Bess Fearnley, wodziła go za nos, jakby był byle kim. Wiedział, czego chciała, ale nie zamierzał tak łatwo ustąpić. Jeśli trochę zaczeka, nagroda będzie jeszcze słodsza. Poza tym, nie pozwoli, aby nim rządziła. Czasami nieświadomie ją podziwiał. Niewiele kobiet miało odwagę mu się przeciwstawić. Chociaż Bess doprowadzała go do szaleństwa, stanowiła miłą odmianę po kwilącej, pokornej żonie i łasej na pochlebstwa Kitty Green. Wiedział, że Bess gra i umiejętnie i znów przyłapywał się na podziwianiu jej umiejętności. Nieczęsto mu

się zdarzało napotkać godnego siebie przeciwnika. Czuł, że się podda, że da jej wszystko, czego tylko zażąda. Było go na to stać.

Elizabeth zdołała uporządkować swoje sprawy. Pogoniła się z Martinem. Porozmawiała też z panną Dunbar, wychowawczynią Kate. Wyjaśniła, że córka nie czuje się dobrze w nowej klasie, a pannie Dunbar udało się załagodzić sprawę i Kate przestała się zamartwiać. Był już koniec semestru i Kate miała pojechać na farmę Ralpha i Pameli. Nalegali, by i ona została u nich na noc. Następnego ranka obudziła się w bielonej, niskiej izbie, słysząc kroki i dochodzący z sąsiedniego pokoju płacz nowo narodzonego Archiego. Poszła tam i zaczęła bujać kołyskę, w której spał. Chłopczyk jeszcze bardziej się napłakał, więc Bess wzięła go na ręce. Wtulił się w nią i ucichł. W zadumie głaskała jego dziecięce, rude włoski.

Po śniadaniu grzecznie odmówiła Pameli, która namawiała ją na dłuższy pobyt na farmie i złapała najwcześniejszy pociąg do Edynburga. Wracając do miasta, miała nadzieję odpocząć od małych i dużych dzieci, od wszystkich tych kłopotliwych emocji, które się w niej kłębiły. Jednak bez Kate mieszkanie wydało się Bess przeraźliwie puste i ciche. Zappełniała czas pracami domowymi i pisanem zaległych listów, a kiedy nadszedł poniedziałek z ulgą poszła do pracy.

Na dzień przed powrotem Kate w Morningside odbywało się wieczorem przyjęcie. Gorące powietrze sprawiło, że kwiaty róż pochylały się ku ziemi, a ciemnozielonych liści nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru. Na tarasie grał kwartet smyczkowy, kelnerzy krążyli między gośćmi, roznosząc szampana. Towarzystwo Bess przemieszało się z resztą gości wkrótce po przybyciu na przyjęcie.

Sądziła, że łona i siostry Lockheed również będą, ale nie

mogła ich odnaleźć. Wydawało jej się, że wszyscy na nią ukradkiem spoglądają i mówią na jej temat, słyszała pojedyncze dyskretnie wypowiedziane słowa: ta kobieta... oszukuje... słyszałam, że... Idąc w stronę tarasu, nieoczekiwanie stanęła twarzą w twarz z Andrew Gilchristem.

– Bess – pozdrowił ją.

– Andrew, jak się masz? – odpowiedziała, wchodząc na stopień. W dole rosły malwy i ostróżki. Na górnym piętrze kwartet grał „Eine Kleine Nachtmusik”. Musimy się przyzwoicie zachowywać, pomyślała. Jak dwoje znajomych, którzy spędzają miło czas na przyjęciu.

– Tęsknię za tobą.

– Minęło tyle czasu, prawda? – Uśmiechnęła się i uprzejmie.  
– Wybacz, ale muszę już iść.

– Dlaczego nie przychodzisz do klubu? – Nie dawał za wygraną.

– Już tam nie pracuję.

– Dlaczego?

– Nigdy nie zamierzałam długo tam pozostać – odparła.

– Muszę się z tobą spotkać, Bess – wyszeptał. – Nie możesz mnie tak traktować. Nie zniosę tego. – Zawiesił głos, gdy mijała ich para trzymająca się za ręce i trójka dziewcząt wbiegła na schody, chichocząc. – Ile chcesz? – zapytał. Wbił w nią wzrok. – Chcesz większe mieszkanie? Już, jutro możesz przenieść się na nowe miejsce. A może chcesz nowe suknie? Nie ma sprawy. Nie musisz pracować w sklepie i podlizywać się tym starym, grubym babom, które nie dorastają ci do pięt.

Nagle przestał ją cieszyć zapach kwiatów, a muzyka Wydała się nudna i irytująca.

– Mam pójść z tobą do łóżka za pieniądze? – zapytała wolno.

– Nie ująłbym tego lepiej. – Pokazał w uśmiechu piękne równe zęby. – Masz głowę do interesów, dziewczyno.

Bess wymierzyła mu policzek tak mocno, że wszyscy odwrócili się w ich stronę. Na twarzach gości widać było zaskoczenie, rozbawienie i ciekawość. Cisza, która zapadła wydawała się ciągnąć w nieskończoność, aż przerwał ją wybuch śmiechu, który niemal natychmiast ustał. Twarz Gilchrista wykrzywiła furia. Dotykając policzka dłonią, wysyczał:

– Ty dziwko. Ty mała, cholerna dziwko.

Z początku czuł tylko gniew i upokorzenie. Jest tyle kobiet dookoła, mówił sobie, zaciskając zęby i rzucając wyzywające spojrzenia każdemu, kto ośmielił się na niego popatrzeć. Za nową kieckę zrobią wszystko, czego sobie użyczy. Po powrocie do domu, zauważył, że poplamił winem rękaw. Plamę starł chusteczką, którą zaraz potem zmiął z wściekłością. Patrząc w lustro, zauważył na policzku czerwone ślady po palcach Bess.

W ciągu następnych kilku tygodni Gilchrist przechodził kilkakrotnie koło sklepu Iony O'Hagan. Stał też po drugiej stronie ulicy, obserwując Elizabeth, gdy wychodziła z córką z mieszkania. Kate. Powiedział mu o niej Simon Voyle. A także o kilku innych sprawach z barwnej przeszłości Bess Fearnley. Wiedza to potęga.

W letnie wieczory ściemniało się późno, a Bess nie zasłaniała okien. Od czasu do czasu widział ją w mieszkaniu. Czuł w środku ból i zastanawiał się, czy nie zaczyna mu szwankować zdrowie.

Któregoś wieczoru dostrzegł mężczyznę przed jej domem. Nieznajomy zadzwonił do drzwi i Andrew zobaczył ze swojej kryjówki, że Bess mu otworzyła. Po wymianie kilku słów w przejściu mężczyzna wszedł do środka. Gilchrista ogarnęła furia. Zauważył jeszcze ich cienie w oknie, zanim Bess zaciągnęła zasłony. Mówiła mu przecież, że nie zaprasza mężczyzn do domu. Łgała! Oszustka! Jak śmiała zrobić z niego

takiego głupca! Wyśmiewała go i sądziła, że ujdzie jej to na sucho! Gniew przechodził w nienawiść. Odplaci jej tak, że popamięta. Nikt nie będzie bezkarnie wystawiać go na pośmiewisko. Jednak w nocy pożądanie wzrastało. Andrew śnił o Bess, o jej gładkiej, białej skórze i kaskadzie ciemnych włosów. Wyobrażał sobie, jak się kochają, marzył, że zaspokaja swoją żądzę. Widział Bess chętną, posłuszną i uległą. Ni gdy jeszcze nie pożądał kobiety tak bardzo. Nienawidził jej za to, co mu zrobiła. I to kto, zdzira, która przymil. i się do mężczyzn dla pieniędzy.

Edynburg opustoszał. Ludzie, których nie było stać na wyjazd, kręcili się z rzadka po mieście. Pogoda tego lata była beznadziejna. Nisko nad ziemią wisiały deszczowe chmury, z których często padał ulewny deszcz, wyziębiając i tak już chłodne uliczki. W takie dni Bess przypominała sobie gorące słońce, przed którym trzeba było szukać schronienia w południe i nasycone błękitem niebo, ud którego aż bolały oczy. Przywoływała w pamięci wielkie kwiaty lotosu pływające po zielonych, przezroczystych wodach i złotozielony blask ptasich skrzydeł w koninach drzew. Nie wychodziła prawie wcale, zaproszenia przestały przychodzić w sierpniu, nie mogła też wymazać z pamięci wścieklej twarzy Andrew Gilchrista po tym, jak go spoliczkowała. I jadowitego głosu, gdy mówił „Ty dziwko”. Nie chciała znów go spotkać. Taki człowiek nie zapominał łatwo publicznej zniewagi. Oglądała się za siebie, wracając ze sklepu do domu, ale nigdy go nie zauważyła.

Nie tęskniła za przyjęciami i klubami nocnymi, była już, zmęczona tym trybem życia. Chodziła z Kate na spacer do zamku lub grała z nią w piłkę w parku. Czasami wpadała wieczorami Martin Jago. Grywali wtedy w karty. To jej w zupełności wystarczało. Bess czuła się tak, jakby wiodła takie

życie od lat. Opiekowała się Kate, spotykała z wypróbowanymi przyjaciółmi, zarabiała na utrzymanie i – gdy zatęskniła za spacerami po wzgórzach i za otwartą przestrzenią – odwiedzała Ralpa i jego rodzinę. Cieszyła się, że wreszcie prowadzi ustabilizowany tryb życia. Miała już dość niepewności i wstrząsów, które były jej udziałem w ostatnich latach. A gdy dopadała ją melancholia przywołana wspomnieniem dziecka w jedwabnym ubranku z koronkami czy kolorowych, indyjskich szali i pytaniem, jak mogłoby potoczyć się jej życie – szybko potrafiła się otrząsnąć. Zapomniała już o Andrew Gilchristie, wymazując ten niemiły epizod z pamięci.

Któregoś piątku podała Kate herbatę, grały w piotrusia, w chińczyka i słuchały radia. Potem Kate wykąpała się i poszła spać. Nad miastem zebrały się ciężkie, ciemne chmury, z których od czasu do czasu padał deszcz. Na dworze grzmiało. Bess pozbierała rozrzucone ubrania córki i posprzątała po kolacji. Wypadało to zrobić, bo Martin zapowiedział się na dzisiaj, ale też zastanawiała się, dlaczego właściwie sprząta, oczekując gościa, jeszcze bardziej niechlujnego niż jej córka. To pewnie z przyzwyczajenia, odpowiedziała sobie. Ściszyła radio, żeby nie zakłócać snu Kate i otworzyła okno, by wpuścić do mieszkania trochę świeżego powietrza. Z zewnątrz dochodził szum ruchu ulicznego i miauczenie dwóch walczących ze sobą kocurów.

Bess stała w holu, porządkując płaszcze i parasole, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Choć miała zajęte ręce, zdołała otworzyć drzwi.

– Wcześniej przyszedłeś, sądziłam... – Urwała widząc, że w progu stoi Andrew Gilchrist. Chciała zamknąć przed nim drzwi, ale odepchnął je mocno i wszedł do salonu. Bess upuściła wszystkie rzeczy, które trzymała na podłogę. Co za pech, głupia, beznadziejna historia – myślała później – najpierw upuścić na

podłogę parasol, a potem uganiać się po mieszkaniu za Gilchristem.

– Co ty wyprawiasz! – Już się nie bała, ale była wściekła. – Jak śmiesz tu wchodzić? Jak się tu dostałeś?

– Całkiem łatwo, poczekałem, aż ktoś wychodził z domu i wślizgnąłem się do środka, zanim drzwi się zamknęły – wyjaśnił, wzruszając ramionami.

– Mówiłam ci, żebyś tu nie przychodził. Musisz stąd wyjść.

– Nie sądzę, Bess – odparł z uśmiechem. – Nie przywykłem akceptować odmowy. – Chodził po pokoju, oglądając wszystko, co się w nim znajdowało. Jego wielki postać nie pasowała do małego pomieszczenia. Krzesła, stół i półki z książkami wydawały się przy nim delikatne i malutkie. Zrobił krok do przodu. Bess cofnęła się instynktownie. Gilchrist odwrócił się i przekręcił klucz w drzwiach. Elizabeth ogarnął strach. Po co przyszedł? Do czego zmierza?

– Andrew – wyszeptała. – Musisz iść. Wyjdź, proszę.

– Nie, póki nie dostanę tego, po co tu przyszedłem. – Pokręcił głową. – Zbyt długo mnie zwodziłaś, Bess. Nikt nie może bezkarnie naigrawać się ze mnie.

– Przepraszam. – Przypomniała sobie zajście na przyjęciu. – Nie powinnam była tego zrobić – mówiła ze ściśniętym ze strachu gardłem. – Postąpiłam źle.

– Daję ci więc szansę, abyś to teraz naprawiła.

– Przeprosiłam cię. – Czowała coraz większy niepokój.

– To nie wystarczy, Bess.

Zadrzała, gdy dotknął jej twarzy. Poczwała od niego alkohol.

– Nie – wyszeptała błagalnie. – Proszę, nie. Widzę, że teraz chcesz być miła i grzeczna. Prawdziwe niewiniątko. Trzeba mnie było wcześniej nie oszukiwać.

– Nigdy cię nie okłamałam... – Krzyknęła z bólu i wrażenia, gdy uderzył ją w twarz.

– Kłamiesz – wyszczał. – Wszystko widziałem. – Przedrzeźniając Bess, niemal wrzeszcząc falsetem, przypominał jej słowa: „Nigdy nie zapraszam mężczyzn do swojego mieszkania”. – Teraz już wiem na pewno, że kłamiesz.

Znów ją uderzył, tak jakby pierwsze uderzenie dopiero obudziło w nim ochotę na kolejne. Bess poczuła na twarzy krew i wiedziała, że zaraz stanie się coś straszego. Zatoczyła się na stół, strącając pionki i kostki do gry w chińczyka.

Gdy Bess upadła, Andrew unieruchomił ją jedną ręką, a drugą zrywał z niej ubranie. Dookoła leżały porzucane karty. Otworzyła usta do krzyku i poczuła przy uchu szept podnieconego Andrew:

– Nie chcesz chyba obudzić swojej córki? A może zależy ci na tym, żeby zobaczyła, co będę robić z mamusią?

Krzyk zamarł jej w gardle. Przestała walczyć i Gilchrist dokończył dzieła.

Gdy Gilchrist wyszedł, doczołgała się do drzwi i za trzasnęła je. Starła się zamknąć zasuwę, ale była tak roztrzęsiona, że nie mogła sobie poradzić. W końcu udało się. Elizabeth usiadła na podłodze, podkurczyła nogi i oparła się plecami o drzwi. Drżała. Pomyślała nagle o Kate. Z trudem wstała, chwytając za klamkę. Ledwo trzymała się na nogach. Idąc korytarzem, musiała podpierać się o ścianę. Poczua ulgę, gdy się okazało, że dziewczynka śpi. Potem Bess dotarła do łazienki. Na twarzy i między nogami miała krew. Klękając przy sedesie, zwymiotowała. Gdy mdłości ustały, weszła do wanny. Szorowała każdy skrawek ciała, aż skóra stała się czerwona i szorstka. Zdierała z siebie jego dotyk. Bolała ją twarz, lewe oko zaczęło puchnąć i nic już na nie nie widziała. Chociaż włożyła na siebie wszystko, co miała pod ręką, zimno przenikało ją na wskroś. Ubieranie się trwało jakiś czas, trudno

było jej bowiem drżącymi dłońmi zapiąć guziki i zawiązać tasiemki. W pokoju zebrała z podłogi po darte ubranie. Spokój jej małej świątyni został zburzony. Już nigdy nie będzie się tu czuć bezpiecznie. Chyba już lii gdzie nie zazna spokoju. Strzępy ubrania wrzuciła do kosza na śmiecie, nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence. Usiłowała wlać gorącą wodę do termoforu, ale rozlała ją i się poparzyła. Zaczęła płakać.

Chmury, które wcześniej wisiały nad miastem, rozpierchły się i widać było czyste niebo. Ociepliło się. Nędznicy i sklepikarze, którzy wracali do domów, zarzucili na ramię marynarki. Ludzie siedzieli na trawie w parkach i ogródkach, jedli lody i wystawiali twarze do słońca. Edynburg pokazywał się ze swojej najlepszej strony, mi inek lśnił na wzgórzu, jakby był zrobiony ze szkła.

W poniedziałek późnym popołudniem Martin Jago przyszedł do sklepu Iony. Z przymierzalni wyłoniła się tego klientka w liliowej tunice i Martin nieco się odsunął, chcąc zachować bezpieczny dystans. W końcu dama opuściła sklep, lecz Iona kazała mu jeszcze zaczekać. Gdy wyszła z przymierzalni z naręczem wielobarwnych sukni, ponarzekła trochę:

– Uparła się na satynową, czerwoną suknię. Cóż zrobić. Pewnie sama będę się tak ubierać, gdy dobiegnę siedemdziesiątki. – Iona pocałowała Martina w policzek na powitanie. – Miło, że wpadłeś, mój drogi, ale nie ma Bess.

– Wyszła wcześniej? – zdziwił się.

– W ogóle nie przyszła dziś do pracy. Nie było jej też w sobotę.

– Zachorowała? – Zaniepokoił się.

– Nie wiem. – Iona zmarszczyła brwi. – To niepodobni do Bess. Sądziłam, że mała jest chora, posłałam więc liścik, ale nie odpowiedziała. Zawsze mogłam na nią liczyć. A może ty coś

wiesz?

Pukałem do niej w sobotę, a może to był piątek? Ale jej nie zastałem. – Martin pokręcił głową. – Spróbuje jeszcze raz.

Niedaleko od domu Bess Martin spostrzegł Kate. Idąc, podskakiwała wzdłuż chodnika, starając się nie nastąpić na pęknięcia. Miała ze sobą wiklinowy kosz na zakupy, a w nim chleb i butelkę mleka.

– Co się stanie, jeśli nadepniesz na pęknięcie? – zagadnął.

– Zje mnie niedźwiedź.

– Niedźwiedź w Edynburgu? – Martin udał zdziwienie.

– To tylko bajka. – Spojrzała na niego triumfująco.

– Jednak będę ostrożniejszy – odparł. – Czy twoja mama jest w domu? – spytał, gdy doszli na miejsce.

– Mamusia się przewróciła – mówiła Kate, otwierając drzwi wejściowe. – Ma podbite oko. Musiałam kupić jej surowe mięso u rzeźnika. Dlaczego surowe mięso pomaga na siniaki?

– Sądzę, że musi zawierać jakieś związki chemiczne, które pomagają – odparł zamyślony. Drzwi otworzyły się. Martin zobaczył Bess i wyszeptał: – Dobry Boże.

Bess obrzuciła córkę karcącym spojrzeniem.

– Kate opowiadała mi o niedźwiedziach na chodniku – szybko odezwał się Martin. – Czy mogę wejść?

Nie chciała nikogo wpuszczać, ale doktor Jago mógł jej pomóc, mógł poradzić w sprawie dla niej najważniejszej. Wszedł więc za nią do salonu.

– Kate mówi, że się przewróciłaś.

– Spadłam ze schodów. Byłam nieuważna. – Wiedziała, że nie uwierzył. Zobaczyła, że Martin wyciąga z kieszeni szkło powiększające i garść cukierków dla Kate. Poszedł za Bess do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

– Co się stało? – spytał. Elizabeth nie odpowiedziała, więc dociekał dalej łagodnym głosem: – To nie są rany po upadku ze

schodów. Co się stało, Bess? – Milczała. Byłaś u lekarza? – Nie dawał za wygraną.

Pokręciła głową.

– Nie dotykaj mnie! – ofuknęła go i cofnęła się, gdy chciał do niej podejść.

Martin zrobił krok w tył i rozejrzał się po kuchni. Zauważył niepozmywane naczynia w zlewie, fiolkę aspiryny na stole i butelkę ginu.

– Ktoś cię skrzywdził? – Bess w końcu przytaknęła. – Kto to był?

– To nie ma znaczenia.

– To ma zasadnicze znaczenie.

– Bez względu na wszystko – odpowiedziała, patrząc mu spokojnie w oczy – to już się stało i wkrótce będą tego konsekwencje.

– Aż tak źle? Powiedz mi wszystko – nalegał.

– Dlaczego? Co wtedy zrobisz? Zabijesz go?

– Może, jeśli zechcesz.

– Nie, nie chcę – wymamrotała po chwili. – Ale chciałabym, żebyś mi pomógł.

– Zrobię, co tylko zechcesz.

– Wszystko? Powiedz mi więc, co mam zrobić, by nie mieć jego dziecka. – Martin osłupiał. Mówiła dalej przyciszonym, lekko drżącym głosem: – Nie chcę jego dziecka. Nie zniosę takiego poniżenia. Prędeż się zabiję. Nie mogę tego jednak zrobić ze względu na Kate. Nie mogę opuścić Kate. Martin, jesteś lekarzem. Wiesz, co trzeba zrobić, aby nie mieć dziecka. Pomożesz mi, prawda? – Stała ze skrzyżowanymi ramionami, opierane się o stół. Była wyczerpana brakiem snu. – Muszę stąd wyjechać – wymamrotała. – Nie czuję się tu bezpiecznie. Boję się, że on wróci. Za każdym razem, gdy słyszę kroki na schodach, boję się, że to on. Muszę wyjechać, Martin.

W takich chwilach człowiekowi przebiega przez głowę tysiąc pomysłów. Jednak Martin opanował wzburzenie i szok. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała teraz Bess. Skupił się na rozwiązaniu problemu. Pomógł Bess spakować rzeczy, sprowadził taksówkę i zawiózł je do siebie na Stare Miasto. Na pożyczonym łóżku polowym przygotował spanie dla Kate, sam postanowił spać na kanapie w salonie. Opatrzył ranę Bess nad okiem i dał jej proszek nasenny. Wyjaśnił jej też, że jest jeszcze za wcześnie, by mówić o ciąży. Trzeba poczekać kilka tygodni, na razie nie ma się czym martwić.

Przez kilka następnych dni załatwiał różne sprawy przez telefon i porozmawiał z Charliem Campbellem. Do środy wieczór znalazł dla siebie zastępcę w pracy. Gdy wrócił do domu, ujął dłoń Bess i oznajmił jej, że wyjeżdżają do Francji.

– Mam tam dom – mówił. – Możesz w nim zostać, jak długo zechcesz. To piękne miejsce, polubicie je obie, obiecuję. Wokół są same lasy i pola. Latem jest ciepło i słonecznie. Wyjeżdżamy jutro rano.

Przez cały ten czas w głowie Martina kłębiły się nazwiska różnych mężczyzn. Jedno z nich ciągle powracało. Czy to przygotowując wyjazd, czy też leżąc w nocy na niewygodnej kanapie, ciągle się zastanawiał, kto mógł skrzywdzić Bess. Obmyślał też zemstę, której dokona, gdy już wszystko będzie wiedział.

## Rozdział 8

Pokryty mansardowym dachem z dachówkami i udekorowany dzielonymi na małe, szklane tafle oknami z zielonymi okiennicami, trzykondygnacyjny dom Martina Jago we Francji nosił wdzięczną nazwę Trzy Kominy. Stał przy drodze między Metz a Reims, wśród pofałdowanych pól i lasów. Na zboczach pobliskich wzgórz, w pełnym słońcu rozsiadły się winnice, na tyłach domu w sadzie sękaty gałęzie drzew uginały się pod ciężarem dojrzewających jabłek. Niecały kilometr dalej mieszkała pani Lemercier, która opiekowała się domem Martina pod jego nieobecność. Pierwszego ranka Martin poszedł tam z Kate po mleko i chleb. Właścicielka farmy przywitała oboje serdecznym uściskiem, załamała ręce nad chudą dziewczynką i poczęstowała Martina kawą, a Kate mlekiem i bułeczkami. Bacznie przyglądała się gościom i – ku rozczarowaniu Martina – najpewniej doszła do wniosku, że Kate, rudowłosa i niespokojna Kate, nie może być jego naturalną córką.

Dzięki pomocy pani Lemercier gotowaniem i sprzątaniem domu Martina zajęła się młoda, prosta kobieta o imieniu Marie-Ivonne. Kate szybko się zaprzyjaźniła i wnuczką pani Lemercier, Emilie. Była to nadzwyczaj grzeczna dziewczynka, miała zawsze czyste, białe, krótkie skarpetki, siatkowe rękawiczki, a włosy wyrafinowanie ułożone w zgrabne warkoczyki i loczki. Kate natychmiast oznajmiła, że chce mieć taką samą fryzurę. Martin przypuszczał, że ta fascynacja wynikała raczej z zachwyty nad wyposażeniem pokoju nowej koleżanki: biurkiem z kałamarzem, stalówkami i obsadkami, zapasem modlitewników, medalików, krucyfiksów i koronek zgromadzonych podczas niedawnego bierzmowania. Dziewczynki bawiły się razem przez większość dnia, co

pozwalalo Martinowi spędzać czas z Bess. Gdy oprowadził ją po domu i ogrodzie, zauważył, jak stara się okazać zainteresowanie i jak bardzo chce oderwać myśli od okropnych przeżyć. Postawił dla niej w ogrodzie wygodne krzesło i stolik, na którym rozłożył książki i czasopisma. Następnie zajął się drobnymi naprawami. W tym czasie Bess odpoczywała w ogrodzie. Pogoda dopisywała. Obserwując Bess, Martin zauważył, że podwinęła rękawy bluzki i zamykała oczy pozwalając, by słońce utuliło ją do snu.

Rozmawiali, gdy nie odpoczywała. Doktor Jago wiedział, co przeżywa człowiek dotknięty tragicznymi przeżyciami, które wstrząsnęły całym jego światem. Najlepiej wtedy myśleć o czymś zupełnie innym, a ponure rozważania pozostawić za sobą bez względu na to, jak bardzo były bolesne. Rozmawiał z Bess o wszystkim i o niczym. Zabierał ją na spacer, pokazywał jaskółki, które gniazdowały pod dachami i czerwono-niebieskie kwiaty cykorii rosnące na poboczach. Opowiadał o nietoperzach na strychu, które wisząc do góry nogami, wyglądały jak sznury małych, jedwabnych, czarnych torebek i o powolnych ślimakach, których tak się bał, gdy był mały, pełzających bez muszli przez leśne ścieżki. Opowiedział Bess o tym, że dom należał do jego francuskiej babci, która mu go zostawiła i że się w nim wychował. Mówił o niedzielnych wizytach u ciotek i wujów, gdzie go rozpieszczano i przekarmiano ciastami i pasztetami. Mówił o tym, jak po śmierci babki wysłano go do szkoły w Anglii i o problemach z angielskim, w którym znał tylko kilim słów, choć łacinę opanował już bardzo dobrze.

Minął tydzień, zanim Bess się zdecydowała, by powiedzieć mu, że nie jest w ciąży. Jedli właśnie śniadanie, Kate i Emilie bawiły się w ogrodzie. Martin poczuł ogromną ulgę. Marie-Yvonne posprzątała po śniadaniu i gdy już wyszła, zapytał:

– To był Andrew Gilchrist, prawda? – Zobaczył strach w

oczach Bess.

Kilka dni później poinformował Elizabeth, że musi pojechać do Edynburga. Wyjazd usprawiedliwił koniecznością opłacenia wynajmowanego tam mieszkania i potrzebą załatwienia kilku spraw na miejscu. W czasie jego nieobecności zaopiekuje się nią Marie-Yvonne, a Pierre – mniejsza złota rączka – będzie dbał o opał do pieca i naftę do lamp. Jago zostawił pieniądze w szufladzie biurka, skąd miała je brać zależnie od potrzeb. Powiedział, że postara się wrócić jak najszybciej.

W Edynburgu wrócił do pracy, obserwował i czekał. Minęło kilka tygodni. Przez ten czas ustalił, w których dniach Gilchrist się bawił, oraz adresy wszystkich jego kochanek. Postanowił zaczekać, aż ten znów się upije, przez co będzie mniej ostrożny. A Gilchrist pił ostatnio bardzo dużo, zupełnie jakby miał nieczyste sumienie. Pewnego wieczoru we wrześnieu Martin śledził Andrew w wąskich uliczkach Starego Miasta. Gdy znaleźli się na położonym mokrymi, czarnymi ścianami zapuszczonym podwórku, zawołał go po imieniu. Gilchrist zataczając się spojrzął do tyłu. Przekrwionymi, zapitymi oczami przeczesywał ciemność. W jednej chwili Martin zaatakował, uderzając w splot słoneczny. Choć Gilchrist sporo ważył i był silniejszy od Jago, Martin wiedział, gdzie uderzyć tak, by pozbawić go oddechu i by ten nie mógł się bronić. Andrew upadł na ziemię, z trudem łapiąc powietrze.

– To za Bess – wycedził Martin, stojąc nad leżącym, po czym uderzył jeszcze raz. Gdy Gilchrist doszedł do siebie na tyle, by móc słuchać, Martin pochylił się nad nim i wysyczał przez zęby: – Dotknij jej jeszcze raz, a zabiję cię, Gilchrist. Zabiję cię bez wahania.

Zaraz potem rozległy się czyjeś oddalające się kroki. To Martin Jago wracał do domu.

Bess ciągle myślała o tym, że powinna wracać do Edynburga. Kate musi iść do szkoły, a ona wrócić do pracy w sklepie, ale nie podjęła żadnego działania. Ogarnęła ją apatia, po raz pierwszy – jak daleko sięgała pamięcią – siedziała beczynn timer. Siniaki zniknęły, zadrapania zagoiły się, została tylko maleńka blizna nad lewym okiem. Elizabeth ciągle przebywała we Francji, zajadając się duszoną wołowiną i potrawkami przygotowanymi przez Marie-Yvonne. Wcześniej kładła się spać i późno wstawiała. Spacerować ograniczała do najbliższej okolicy. Unikała obcych i zawsze dokładnie zamykała dom na noc.

Lato przeszło w jesień. Kate zaczęła uczęszczać do wiejskiej szkoły razem z Emilie. Do codziennych rozmów dziewczynka zaczęła wtrącać francuskie słowa. Nadeszła pora winobrania, w czasie którego nawet powietrze wydawało się słodkie i ciężkie od zapachu wina. Po raz pierwszy od wyjazdu z Indii było Elizabeth wystarczająco ciepło i słonecznie.

Martin wrócił do domu w październiku. Któregoś ranka wyszedł z domu wcześniej i wrócił konno, na prze dziwnym, chudym i brzydkim koniu, który uszczypnął go, gdy zsiadał. Bess roześmiała się, jej głos skrzypiał jakby wyszła z wprawy.

– Co o nim sądzisz? – zapytał Martin.

– Jest paskudny. – Podrapała szyję konia. – I bardzo niegrzeczny.

– Konie nigdy mnie nie lubiły. Budziłem w nich najgorsze instynkty. Za to wielbłądy...

– Jak się nazywa? – przerwała mu pytaniem.

– Pegaz. Ma na imię Pegaz. Nie rozumiem, z czego się śmiejesz, Bess.

Pożyczyli od sąsiadów z farmy siodło i uzdę. Bess nie miała stroju do jazdy konnej, przeszukała więc szuflady w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego. Znalazła sztruksowe

spodnie, które musiała skrócić. Włożyła stary sweter i zawiązała włosy wstążką.

– Muszę okropnie wyglądać – powiedziała do Martina. Jednak pewnego dnia, gdy wracała do domu po przejażdżce wąskimi, kredowymi ścieżkami, rozciągającymi się między polami a lasem, zauważyła, jak na nią patrzył i była zaskoczona tym spojrzeniem.

Martin pojechał do Szkocji. Nadchodziła jesień. Liście pożółkły, potem stały się czerwone, aż w końcu pospadały z drzew. Codziennie rano Bess jeździła konno, poznając okolicę, która ciągle jeszcze nosiła ślady wojny: okopy wykopane wzdłuż zagajników, sterty hełmów porzuconych wzdłuż pól. Słońce grzało coraz słabiej i Bess musiała pod wieczór rozpalać w piecu. Pewnego razu poprosiła Marie-Yvonne, aby uczyła ją francuskiego. Nigdy wcześniej nie uczyła się tego języka. Jednak tak strasznie kaleczyła słowa, że obie nie mogły wytrzymać ze śmiechu. O dalszej nauce nie mogło być mowy. Zamiast francuskiego Marie-Yvonne postanowiła nauczyć Bess gotowania potraw francuskiej prowincjonalnej kuchni. Odsłaniała tajniki przygotowania znakomitego, puszystego ciasta na naleśniki, pieczenia lekkich, wyjątkowych w smaku pasztetów. Pokazywała sposoby duszenia mięsa z warzywami.

Martin powrócił ze Szkocji z prezentami dla Bess i jej córki. Kate aż zapiszczała z radości, gdy zobaczyła wieczne pióro i notatnik oprawiony w skórę. Paczka dla Elizabeth była duża i miękka, owinięta w bibułę i przewiązana tasiemką. W środku Bess odkryła czerwony płaszcz z futrzanym kołnierzem.

– To wybór Iony – powiedział Martin. – Podoba ci się?

Bess włożyła płaszcz i przejrzała się w lustrze nad kominkiem. Połyskliwe ciemne futro miało ten sam kolor co jej włosy, materiał był miękki i lekki. Z pewnością kaszmir.

– Jest wspaniały. Cudowny. – Gładziła dłonią rękaw

plaszcz. – Nie musisz kupować nam prezentów – dodała.

– Nie robię tego z przymusu. Pomyślałem, że przyda ci się coś cieplejszego. Przywiozłaś tylko letnie rzeczy, A co do Kate – popatrzył za dziewczynką, która pobiegła i po kałamarz – to kupiłbym jej biurko, takie jak ma Emilie, ale trudno byłoby je tutaj przewieźć.

– Kate chciałyby zakładać koronkowy woal do kościoła – powiedziała Bess. – Za chwilę będzie chciała krzyżyk i medalik.

Bess tęskniła za Martinem, kiedy wyjeżdżał. Pisał kilka razy w tygodniu. Jego listy były zabawne, litery kanciaste i trudne do odczytania, pismo lekarza. Zawsze, gdy wracał do Francji atmosfera w Trzech Kominach stawała się świąteczna. Kiedyś Elizabeth, ściągając w korytarzu buty po konnej przejażdżce, usłyszała jak Martin grał na pianinie. Przystanęła w drzwiach, słuchała i patrzyła, jak w rytm muzyki pochyliła się nad klawiaturą. Nagle gdzieś trzasnęły drzwi, Bess oddaliła się cichutko, bosą, żeby jej nie zobaczył.

Martin opowiedział jej o dzieciństwie spędzonym we Francji. Wspominał o zabawach na farmie i niedzielnych wyprawach z babką do wiejskiego kościółka. Lubił świece i zapach kadzidła, dodał potem, że stracił wiarę w czasie wojny. Zginęło zbyt wielu ludzi.

Siedzieli wieczorem w salonie oświetlonym migoczącymi płomieniami z kominka. Na pokój padały długie cienie. Bess skulona, z podkurczonymi nogami, usadowiła się na kanapie.

– Nie mówisz wiele o wojnie, Martin – powiedziała.

– Słowa nie opiszą tych okropnych przeżyć – odparł. Dorzucił do ognia i dołał wina do kieliszków. – Mówię ludziom, że pracowałem w Korpusie Medycznym, a oni sądzą, że siedziałem za linią frontu. Chociaż w szpitalu polowym byłem zabrudzony krwią po łokcie, mogłem się tam czuć względnie bezpiecznie. Czasami jednak nie dało się wnieść biedaka do sali

operacyjnej i robiliśmy zabieg pod gołym niebem; wtedy nie było już żartów A te ich rany... Musieliśmy szybko się uczyć, bo nigdy wcześniej nie widzieliśmy czegoś podobnego. – Przerwał na chwilę i ścisnął kieliszek. – Któregoś dnia przywieziono mężczyznę z rozprutym brzuchem. Wiedziałem, że nie ma szans na przeżycie i że okropnie cierpi. Błagał mnie, by go dobić. Zrobiłem to. Strzeliłem mu w głowę. Przyrzekałem ratować życie, a zastrzeliłem człowieka. – Twarz Martina była spokojna. – Nikomu o tym jeszcze nic mówiłem. Ciągłe to mi się śni, ciągle go widzę.

– Nie miałeś wyjścia.

– To prawda. Ale czułem się potem... zagubiony. Nikogo już nie mogłem być pewien, nic nie było bezpieczne. Wiedziałem, że wszystko może się wydarzyć, że mogę zdradzić swoje najważniejsze zasady. To było powodem mojego załamania, jak sądzę. Nie miałem już żadnych zasad, których mógłbym się trzymać. Upłynęło dużo czasu, zanim zdołałem się pozbierać.

– A teraz – zaczęła ostrożnie – czy też tak się czujesz?

– Nie. – Ich spojrzenia spotkały się. – Teraz mam się czego trzymać.

– I co to jest?

– Miłość – odpowiedział prosto. – Tylko miłość potrafi utrzymać cię przy życiu, prawda?

Chciała zadać mu jeszcze wiele pytań. Kogo kocha i jak bardzo. Nie miała jednak odwagi. Odwróciła się bokiem i zmieniła temat.

Martin znów wyjechał. Nadeszły pierwsze przymrozki, oszraniając pola i wzgórza. Gdy Elizabeth szła przez sad, zmarznięte źdźbła trawy pękały pod jej stopami. Miała na sobie czerwony paszcz, a podniesionym futrzanym kołnierzem otulała twarz. Zauważyła, że Marie-Yvonne spogląda z zachwytem na płaszcz, więc pozwoliła jej go przymierzyć. Na pełnej figurze

Marie-Yvonne płaszcz źle leżał, ciągnął się po ziemi i nie można było dopiąć go w pasie, ale i tak Marie-Yvonne z zadowoleniem patrzyła w lustro, poprawiała włosy i przeszła kilka kroków, kołyszając biodrami. Potem powiedziała coś po francusku. Widząc jednak, że Bess nie rozumiała, po wtórzyła po angielsku:

– Monsieur Jago – zawsze wymawiała jego nazwisko przez „Y”, zamiast przez „J”, co nadawało mu groźne, hiszpańskie brzmienie – Monsieur Jago, e... – Tu Marie-Yvonne położyła ręce na serce i zrobiła omdlewającą minę, – Bzdura, Marie-Yvonne. – Bess zareagowała ostro. Martin i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Ale ona pokręciła głową, uśmiechnęła się znacząco i oddała płaszcz. Po czym zajęła się wyrabianiem ciasta.

Mróz przybierał na sile. Podczas konnych przejażdżek, Bess musiała uważać na lód, który ściał wodę stojącą w koleinach. Kate czytała francuskie opowiadania i pewnego dnia zwierzyła się mamie, że w notatniku, który dostała od Martina, pisze pamiętnik po francusku, aby nikt nie mógł go przeczytać.

Kiedy Martin przyjechał, tym razem atmosfera w domu była inna niż zwykle. Pełna napięcia. Oboje to wykuwali. Ich spojrzenia to spotykały się, to uciekały od siebie. Jago przywiózł starannie wybrane prezenty: grzebień z żółwiej skorupy, skórzane rękawiczki do jazdy konnej, kilka par pończoch. Typowe prezenty dla kopania. Wieczorem przy kolacji, Bess opowiedziała mu o swoich rodzicach. O matce, która umarła na cholere, gdy Bess miała dziesięć lat i o ojcu, którego kochała, choć ten przysparzał wiele zmartwień. Był kapryśny, zmienny w uczuciach, także do córki, ale przede wszystkim pochłaniały go nowe wyzwania, na które składały się liczne i niuansy, ciągłe poszukiwanie innego miejsca zamieszkania i wynajdywanie kolejnych dziedzin, w których

mógłby się dorobić.

– Nigdy nie mieszkaliśmy dłużej w jednym miejscu – mówiła. – Nawet gdy mama żyła, ciągle się przenosiliśmy, a po jej śmierci nigdzie nie zagrzaliśmy miejsca dłużej niż rok.

Opowiedziała mu o gorącu, jakie panuje na centralnych równinach Indii i rześkich porankach w Simli. Opisał bungalow Cory i Fentona w Simli i rezydencję Sheliluna Ravenharta w górach.

– Dom jak z bajki – opowiadała. – Piękny i budzący groę. Cudownie byłoby należeć do tego świata. Zazdrościłam Ravenhartom. Odkąd opuściłam Indie, zawsze czułam się jak na wygnaniu.

– Nie sądzisz, że takie identyfikowanie się z konkretnym miejscem kończy się utratą wolności? – spytał Martin.

– Nigdy tak o tym nie myślałam.

– Przywiązywanie się do konkretnego miejsca ogranicza człowieka. Nie możesz wyjechać, nie możesz się rozwijać. Nie możesz go opuścić nawet, jeśli zaczniesz ci ciążyć.

– Nie kochasz tego domu, Martin?

– Bardzo go lubię – odparł, błędząc wzrokiem po pokoju. – Ale nie sądzę, bym go kochał. Nie szafuję tym uczuciem. Czasami nie mieszkalem tu przez lata.

Apatia, która ją ogarnęła po przyjeździe do Francji, ustąpiła miejsca niepokojowi. Rano jeździła konno, po południu chodzili na długie spacery. Martin się zatrzymywał, aby zbadać każdą gałązkę, żuka, ptasie gniazdo, a ona przestępowała z nogi na nogę, starając się rozgrzać. Nocami padał śnieg, pokrywając białym puchem gałązki drzew i czerwone dachy domów. Przed zapadnięciem zmroku ciepło ubrani wyszli na spacer. Biegnąca przed nimi Kate starała się pozostawić odciski butów równoległe do tropów pozostawionych przez zające i lisy. Ze szczytu wzgórza podziwiali odległe wzniesienia, których

kontury rozplywały się w szarości zalegających niebo chmur. Zaczynało znów padać i płatki śniegu mieniać się tańczyły w zimnym powietrzu. Martin wyciągnął z kieszeni lupę. Tłumaczył Kate, że każdy płatek śniegu ma własny niepowtarzalny wzór, a ona łapała je i oglądała każdy pod lupą. Śnieg sypał obficie, skierowali się ku farmie, na której Kate miała przenocować z Emili. Gdy wrócili do domu, słońce znikło już za horyzontem, u niebo było ciemnoszare. Martin, widząc zmarzniete dłonie Bess, postanowił je rozetrzeć. Patrzyła na niego i dopiero teraz zauważyła, że ma ładne niebieskoszare uczy, długie ciemne rzęsy, piękny kontur nosa i policzka. Juk mogła kiedykolwiek myśleć, że jest brzydki czy dziwnie wygląda?

– Powinnaś ogrzać się przy kominku – powiedział ochrypłym głosem.

– Pewnie się przeziębili, pomyślała Bess. Zdjęła w salonie pończochy i wyciągnęła bosc stopy w stronę ognia. Rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona, otaczając twarz wilgotnymi lokami. Grzebień, który dostała od Martina, wypięła i położyła na oparciu krzesła. Jago wszedł do pokoju, niosąc ręcznik i butelkę koniaku. Usiadła na podłodze, a on zaczął wycierać jej włosy ręcznikiem.

– Pewnie wyglądam jak czarownica – powiedziała, podnosząc dłonie do twarzy.

– Zaczekaj, pomogę ci rozczesać.

Gdy przywracał do porządku poplątane włosy, Bess zamknęła oczy i oparła głowę o jego kolana. Czuła delikatny dotyk jego dłoni. Siedząc na dywanie przed kominkiem, zjedli chleb, ser, zupę i wypili koniak. Trunek był ..... cny i palił gardło Bess. Kiedy zegar wybił północ, Martin powiedział:

– Powinnaś iść do łóżka.

– A ty?

– Ja jeszcze trochę popracuję.

Zabrała pończochy i grzebień, otuliła się szalem i pocałowała go w policzek.

– To był piękny wieczór – powiedziała.

W sypialni rozebrała się. Od chwili, gdy Andrew Gilchrist ją napadł, nienawidziła swego ciała. Przez ostatnie miesiące zdejmowała bieliznę pod koszulą nocną jak pensjonarka. Tym razem popatrzyła jednak na siebie. Porody zostawiły ślady w postaci drobnych rozstępów na bokach brzucha, piersi były cięższe i mniej jędrne, niż kiedy była młodą dziewczyną. Ciągłe jednak miała szczupłą talię, zmysłową linię bioder i miękką, jasną skórę. Czy Martin jej pożądał? Sądziła, że tak. I czuła, że i ona go pragnie. Przeciągnęła dłońmi po ciele od piersi aż do ud. Czy znieśie męski dotyk? Czy pozwoli kiedykolwiek, by dotknął ją mężczyzna? Przycisnęła dłoń do ust, starała się podjąć decyzję. W końcu włożyła czerwony płaszcz z futrzanym kołnierzem i zeszła na dół. Drzwi do gabinetu były lekko uchylone. Zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na Martina. Siedział przy biurku, lampa naftowa ciepłym światłem otulała pokój.

– Martin – zawołała od drzwi, a on podniósł głowę i odwrócił się do niej. – Chodź do łóżka.

– Bess... – Patrzył na nią osłupiały, a w chwilę potem wstał z krzesła.

– Chodź do łóżka – powtórzyła, głaszcząc go po policzku.

Pierzyna pachniała latem, Marie-Yvonne przełożyła pościel suszoną lawendą. W kominku ogień dogasał, rzucając pomarańczowy blask. Martin rozchylił płaszcz Bess i zobaczył, że jest zupełnie naga. Nie mogąc oderwać od niej wzroku, pożądliwie wyszeptał: „Bess”. Chciwie cało wał usta, szyję, piersi, brzuch i znów usta. Błądził dłońmi po całym ciele.

Wreszcie, odrywając guziki, zerwał z siebie ubranie. Bess się zastanawiała, dlaczego Stwórca tak mało czasu poświęcił na stworzenie mężczyzn. Nadzy zawsze wyglądali kanciasto, także Martin, który miał zgrabną sylwetkę. Był szczupły, o szerokich ramionach wąskich biodrach. Popatrzył pytająco, kładąc się przy niej. Lekko, przyzwalająco skinęła głową i objęła go mocno ramionami, aby nie mógł dostrzec strachu w jej oczach. Poczwała ciepło jego ciała, gdy delikatnie w nią wchodził. Wreszcie doznała ulgi. Wiedziała, że wszystko jest w porządku, że okropności przeżytego gwałtu się nie powtórzą. Znowu czwała rozkosz i zrozumiała, że Andrew Gilchrist nie zdołał pozbawić jej tego uczucia.

Martin obudził Bess wczesnym rankiem. Spała mocnym snem i minęło kilka chwil, nim przypomniała sobie wydarzenia minionej nocy. On musiał iść do przedwczesnego porodu. Mąż rodzącej kobiety prosił o pomoc, gdyż poprzedniego dnia miejscowy lekarz poślizgnął się na lodzie i zwichnął kostkę. Martin mocno i czule pocałował Bess. Obiecał, że wróci jak najszybciej. Usłyszała leszcze trzask zamykanych drzwi wejściowych i odgłos kopyt, gdy bryczka ruszyła spod domu. Została sama. Marie-Yvonne była na targu, a Kate nie wróciła jeszcze z farmy. Po zjedzeniu śniadania Bess postanowiła rozejrzeć się po domu. Zaglądała do pokoi, w których nigdy nie była. W bibliotece podziwiała rzędy oprawionych w skórę woluminów. Odkryła sypialnię, w której były stylowe meble francuskie, haftowana pościel i klęcznik pod ścianą. Zapewne tu sypiała babka Martina. Potem Bess weszła na strych, gdzie składowano przeróżne rzeczy, a wśród nich znalazły się połamane parasole, skrzynie, pudła, stare szachy i wyglądająca na pierwszy rzut oka jak duch sprzed wieków, krynolina, wisząca na manekinie krawieckim w kącie poddasza. Przed

wejściem do gabinetu Martina przystanąła na chwilę, wspominając sposób, w jaki na nią popatrzył. Tam obejrzała kolekcję zwierzęcych czaszek umieszczonych na parapecie pod oknem, cieniutkie jak papier kości najmniejszych stworzeń świata, połamane znaleziska archeologiczne ustawione na kominku i artefakty, które Martin przywiózł ze swoich podróży. Był tam skarabeusz, błękitne, białe i złote kafle ceramiczne, waza udekorowana figurami malowanymi czarną farbą na terakotowej glinie. Przez chwilę bezmyślnie przewracała strony leżącej na biurku książki. Pachniała kurzem i starością, a tekst, w nieznanym jej języku, zapisany był maczkiem. W końcu Elizabeth usiadła na okiennym parapecie. Topniejący śnieg spadał z drzew, pozostawiając gołe, ciemne gałęzie. Musiała zmierzyć się z nurtującymi ją pytaniami, choć bardzo chciałaby je od siebie odsunąć, na dzień, tydzień czy nawet miesiąc. Wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić.

Martin na pewno poprosi ją o rękę. Był honorowym mężczyzną. Nie będzie jej traktował jak kochanki, którą może odwiedzić od czasu do czasu. Nie pozwoli, aby sprawa pozostała nierozwiązana. Co powinna mu odpowiedzieć? Dzięki temu małżeństwu jej sytuacja bardzo by się poprawiła. Zmieniłby się jej status i nie czułaby się już bezsilna, jak to zbyt często bywało po rozstaniu z Ralphem. Dwuznaczność pozycji Bess nie pozwalała domagać się praw do opieki nad Frazerem. Każdy adwokat zrobiłby z niej przed sądem kobietę lekkich obyczajów, która już raz porzuciła swoje dziecko. Był jeszcze Andrew Gilchrist. Wiedziała, że policja nie uwierzy jej, gdyby oskarżyła go o gwałt. Dlatego tego nie zrobiła. Ze względu na jej reputację i pracę w charakterze hostessy w nocnym klubie, nikt by w to nie uwierzył. Dałaby tylko Gilchristowi kolejną okazję do upokorzenia jej. Powie działałby zapewne, że sama chciała. A siniaki i rany po wstały dlatego, że ona lubi ostrą

zabawę. Jeżeli poślubi Martina Jago, zapewni sobie ochronę przed mężczyzną i ni takimi jak Gilchrist. Będzie też zabezpieczona finansowo. Wiedziała, że Martin nie należał do biedaków. Nie musiałyby się martwić cenami bochenka chleba czy nowej sukienki. Nie troszczyłyby się o to, skąd wziąć pieniądze na nowe buty dla Kate czy inne niespodziewane wydatki. I, co najważniejsze, tolerancyjny, miły Martin byłby doskonałym ojczymem dla Kate.

Czy powinna go poślubić? Ten dom, gabinet Martina, wszystko wokół mówiło jej, jakim jest człowiekiem. W Edynburgu nie poznała go tak dobrze. Skrywał swą skomplikowaną naturę pod przykrywką niezręcznego bałaganiarza i samotnika. Zapewne było mu to na rękę. Tu stał się inny. Spokojny, pewny siebie, dbał o dom, z łatwością porozumiewał się w różnych językach. Zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę tak samo dobrze, jak z własnych ograniczeń. Martin Jago był inteligentny, wykształcony, miał dociekliwy umysł i wiele zainteresowań. Lubił podróże, zwiedził świat. Nienawidził ograniczeń. Uważał, że zobowiązania niosą ze sobą utratę wolności. Mówił też, że bez względu na to, jak bardzo cięży ukochane miejsce, nie można go opuścić. Domy, ludzie, wszystko może się stać ciężarem. Jeżeli go poślubi, też może się stać dla Martina takim właśnie ciężarem. Przeszkodą powstałą z obowiązku i wyrzutów sumienia. Znoszonym w ciszy źródłem żalu. Martin nigdy nie chciał zakładać rodziny, nie chciał się zenić. Dał to jasno do zrozumienia przy ich pierwszym spotkaniu. Sądził, że się do tego nie nadaje. Pożądał jej, lecz czy ją kochał? Tamtej nocy stanęła przed nim półnaga, czyż mógł jej nie ulec?

Co mogła zaoferować mężczyźnie takiemu jak Martin Jago? Namiętność nie wystarczy. Małżeństwo to jedność umysłów, a ona nie dzieliła jego zainteresowań, nie mówiła po francusku, w

języku jego dzieciństwa. O czym mieliby rozmawiać podczas niezliczonych śniadań i kolacji przez lata wspólnego życia? Ile czasu minęłoby, zanim pożądanie zmieniłoby się w irytację, nudę, obojętność? Kiedy Martin zacząłby boleśnie odczuwać ograniczenia w życiu spowodowane jej osobą i jak ona wytrzymałaby przemianę jego pożądania w rozczarowanie, a może nawet w niechęć? Była zła na siebie. Dlaczego angażuje się bez zastanowienia? Czy doświadczenia z przeszłości nic jej nie nauczyły? Czy spragniona bliskości drugiego człowieka i wiedzona koniecznością udowodnienia samej sobie, że jest jeszcze zdolna do miłości, znów musi się pakować w związek z góry skazany na niepowodzenie? Czy znów musi dokonać niewłaściwego wyboru i podjąć złą decyzję?

Nie. Nie musiała tego robić. Wstała i popatrzyła na ośnieżone pagórki i drzewa za oknem. Przypomniała sobie zimny wiatr na twarzy podczas konnych jesiennych przejazdów, świeżość mroźnego powietrza w ciągu dnia i przycisnęła zaciśnięte pięści do szyby. Gdy tu przyjechała, była posiniaczona, pokonana, wystraszona i odarta z godności. Dzięki temu miejscu i temu mężczyźnie udało jej się wstać z klęczek, wszystko naprawić. Wiedziała, że najgłębsze rany nigdy się nie zagoją, ale miesiące spędzone tutaj nie zostały zmarnowane. Popatrzyła jeszcze raz na delikatne zarysy wzgórz, na przecinające je ścieżki, na las i winnicę. Poczowała smutek i żal, że musi opuścić Francję. Pusty, zimowy krajobraz doskonale oddawał pustkę w jej sercu.

Elizabeth ciągle miała przed oczami jasnowłosego chłopca, łkającego w hotelowym pokoju przesyconym zapachem lilii. Musi wrócić do Edynburga ze względu na Frazera. Nie może zawieść go ponownie po tym, jak rui już to zrobiła, zostawiając pod opieką Córy Ravenhaili. Gdyby kiedyś syn chciał ją odnaleźć, przyjechałby dli Edynburga. Tam się spotkali po raz

ostatni. Zapewne nie będzie tego spotkania pamiętać, a Córa robi wszystko, by na zawsze wymazać je z pamięci dziecka. Jednak być może zapamiętała je pokojówka albo hinduska niania. A to się przyda, gdy Frazer stanie się pełnoletni. Lub gdy jakiś prawnik, otwierając testament po śmierci Fentona lub Sheldona Ravenharta, przypomni Frazerowi, że ten wciąż ma matkę. Ogarnął ją strach, ale wiedziała, że musi wrócić do Edynburga. Poszła do pokoju Kate i zaczęła pakować ubrania córki. Wiedziała, że chcąc zaoszczędzić Martinowi powolnego cierpienia i rozczarowania, musi być teraz okrutna. Musi też zniszczyć w sobie całą czułość i pożądanie, łączące ją z tym mężczyzną.

Zanim Martin wrócił do domu, Kate przyszła z farmy. W korytarzu już stały gotowe bagaże.

– Właśnie na świat przyszedł maleńki chłopczyk i mam nadzieję, że z Bożą pomocą przeżyje. Przepraszam, że trwało to tak długo, ja... – Martin, który właśnie wrócił od i rodzącej, przerwał, zauważywszy walizy w holu. – Bess?

– Postanowiłam wrócić do domu. Zbyt długo nadużywałam twojej gościnności.

– Wracasz do Edynburga?

– Tak. – Bess się cieszyła, że w drugim końcu pokoju Kale zajęta była upychaniem zeszytów i ołówków do tornistra. – Jestem głęboko wdzięczna za wszystko, co dla nas zrobiłeś, ale czas już, abyśmy wróciły do domu.

– Wdzięczna... – powtórzył zszokowany. – Nie rozumiem, Bess.

– Nie mogę tu dłużej zostać, Martin. Naprawdę nie mogę.

Podszedł do niej i ściszym głosem zaczął:

– Ostaniam noc...

– Ostatnia noc była pomyłką – powiedziała twardo, patrząc

mu w oczy; ciarki przeszły jej po plecach na widok wyrazu jego twarzy.

– Przykro mi, że tak uważasz – odparł lodowato. Spojrzawszy na bagaże i Kate, dodał: – Jeżeli tak postanowiłaś, wyjedziemy jutro rano – po czym odszedł.

Podróż była okropna. Spięci i milczący prowadzili nienaturalnie grzeczną rozmowę. Pociągi się spóźniały, przeprawa przez kanał La Manche dała im się we znaki. Wielkie, szare fale sztormowe kolebały statkiem i przyprawiały o mdłości.

Mieszkanie w Edynburgu stało puste i zimne. Wydawało się mniejsze, pokoje jakby się skurczyły, kurz pokrywał meble, a widok za oknem przygnębiał: szaro i ponuro. Widać było ślady pospiesznego wyjazdu: w pokoju pootwierane szuflady i ciągle stojące na suszarce w kuch ni kubki i talerze. Bess aż zadrżała. Na zewnątrz zimny wiatr gonił po ulicach i placach. Zateęskniła za lasami pełnymi starych dębów i kredowymi ścieżkami, ciągnącymi się między rzędami winorośli.

Kate było tu źle, sprawiała trudności, dąsała się, wybuchała płaczem. Brakowało jej Emilie, nie chciała wracać do Brian House, nienawidziła tej szkoły. Zbyt wiele nagłych zmian przeżyła w swoim krótkim życiu. Bess czuła się winna. Ze łzami w oczach zdecydowała, że Kate pójdzie do szkoły dopiero po świętach Bożego Narodzenia. Godziła się w ten sposób na przerwę w nauce.

Bess starała się uporządkować wszystko po staremu, ale niewiele z tego wyszło. Odwiedziła salon Iony i wpadła z wizytą do Isabel Lockhead, ale i u nich wiele się zmieniło, łona nosiła się z zamiarem sprzedania sklepu i powrotu do Irlandii. Mówiła, że jej kochany mąż, Dara, nie potrafi o siebie zadbać, nie je regularnie i traci na wadze. Poza tym tęskniła za starym

domem. Izzy i Davey Kirkpatrick, co zaskoczyło wszystkich, a także ich samych, zakochali się i odurzeni swoim szczęściem nie zwracali najmniejszej uwagi na otaczający ich świat.

Mijały tygodnie. Bess nie czuła się najlepiej. Nie mogła jeść i była przez cały czas zmęczona. Nie widziała Martina od czasu powrotu do Edynburga. Nie odwiedził jej, nie przysłał liściku. Gdyby tylko mogła zapomnieć, jak okrutnie i z rozmysłem go zraniła, może potrafiłaby się pogodzić z rozstaniem i uwierzyć, że podjęła słuszną decyzję. Cierpienie mieszało się z mdłościami i zmęczeniem. Bess nie opuszczał ponury nastrój całymi dniami.

Ktoregoś sobotniego ranka Ralph przyszedł zabrać Kate na farmę. Bess odprowadzała córkę z uczuciem ulgi, ale i straty. Jej nieobecność zawsze przypominała, że nadejdzie dzień, w którym Kate wyjdzie za mąż i odejdzie na zawsze. Bess zostanie wtedy zupełnie sama. Snuła się po mieszkaniu z żołądkiem skręcającym się z głodu. Pomyślała, że musi coś zjeść. A może była tylko zdenerwowana i zmartwiona faktem, że przez cały tydzień nie będzie Kate. A może to było coś zupełnie innego...

Usiadła, opierając podbródek na dłoni. Poczwała nagły przypływ gorąca – pomyślała, że zaraz zemdleje. Nie prowadziła kalendarzyka. Zresztą w całym domu nie było żadnego kalendarza, a Bess nigdy nie umiała trafnie obliczyć swojego cyklu. Czy to możliwe? Czy nosiła dziecko Martina Jago? Dlaczego nie przygotowała się na taką ewentualność? Tę samą, która tak ją przerażała w przylądku Andrew Gilchrista?

Gdyby się jednak okazało, że to dziecko Martina, będzie je kochać całym sercem. Na razie lepiej zaprzestać tych rozważań. Próbowwała wszystko policzyć na palcach, ale miała mętlik w głowie. Odetchnęła z ulgą, widząc, że zegar wskazuje kilka minut po dziesiątej. Obiecała pomóc Ionie w sklepie. Boże Narodzenie to czas wzmożonych zakupów. O tym, co robić

dalej, zdecyduje później.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Bess przeżywała prawdziwą burzę emocji. Od strachu przez radość do zakłopotania; trudno było jej się skupić na pracy. Pomagała właśnie ślicznej, piegowatej dziewczynie włożyć suknię z morelowego jedwabiu, gdy usłyszała dobrze znajomy głos. Upuściła z wrażenia szpilki, a zbierając je z podłogi, pokłuła się. Do przymierzami zajrzała łona.

– Masz gościa, Bess. Przyszedł Martin. Już prawie piąta, biegnij, a ja dokończę za ciebie – powiedziała.

Bess wzięła głęboki oddech i wyszła z przymierzalni do sklepu.

– Martin.

– Musimy porozmawiać, Bess. – Jago rozejrzał się. Ale nie tutaj. Niedaleko jest kawiarnia, chodźmy tam.

Niewielkie stoliki przykryte były ceratowymi, brązowymi obrusami. W powietrzu mieszał się zapach jedzenia, mokrych płaszczy i papierosowego dymu. Ubrana w biały fartuch i za duży czepek kelnerka, zwilżając palce językiem, przewracała strony w notatniku. Martin zamówił ciastka i herbatę. Gdy kelnerka odeszła, po wiedział:

– Kiedy wyjechaliśmy z Francji... – Przerwał. Bess zauważyła jego przemoczony płaszcz, co oznaczało, że musiał długo chodzić po deszczu, zanim przyszedł do sklepu Iony. – ... Tamtej nocy... – Znów zamilkł. Przeciągnął dłonią po wilgotnych włosach. – Czy mogę zapalić? – spytał.

– Oczywiście.

Poczęstował ją papierosem, ale odmówiła.

– Staralem się wszystko przemyśleć. Zaraz po przyjeździe do Edynburga byłem na ciebie zły. Chciałem być daleko, wyjechać za granicę na jakiś czas. Długo się nad wszystkim

zastanawiałem. Doszedłem do wniosku, że chciałaś, abym myślał, że to, co się stało, nic dla ciebie nie znaczyło.

– Martin...

– Problem w tym – wtrącił – że ja w to nie wierzę. Nie wierzę, że taka jesteś. Udajesz tylko.

– Może nie znasz mnie aż tak dobrze, jak sądzisz. – opuściła wzrok.

– Może. – Zmarszczył brwi. – A może sądziłaś, że zaproponowałbym ci małżeństwo, bo tak nakazuje przyzwoitość?

Bess poczuła, że się czerwieni. Oblało ją gorąco, w kawiarni nie było czym oddychać, a zapach jedzenia stał się odpychający.

– Tak właśnie było, nie myślę się, prawda? – usłyszała pytanie.

– Jeżeli nawet tak było, to co?

– Masz rację. Chcę się z tobą ożenić. Ale nie z poczucia i obowiązku.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała lodowatym tonem.

– Dlaczego?

– To nie jest dobry pomysł.

– Skąd wiesz? Czy zastanowiłaś się nad tym?

– Nie musiałam. To po prostu byłoby żalosne. Nie pasujemy do siebie. Nic by z tego nie wyszło.

– Dlaczego?

– To przecież oczywiste.

– Nie dla mnie.

– Czy muszę ci to wyraźnie powiedzieć? – Westchnęła zirytowana. – Za bardzo się różnimy. Lubimy zupełnie inne rzeczy. Nie jestem tak inteligentna jak ty, nie przeczytałam tych wszystkich książek, nie mówię w obcych językach...

– Czy faktycznie sądzisz, że chciałbym poślubić kobietę umiejącą to wszystko, co ja potrafię? Naprawdę? – pytał ze

złością, podniesionym głosem. Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach już zwracali na nich uwagę. Bess uciekła wzrokiem przed spojrzeniem Martina.

- Znudzilibym ci się ~ powiedziała cicho.
  - Nigdy.
  - Skąd możesz wiedzieć?
  - Nigdy byś mi się nie znudziła. Nie mógłbym nigdy powiedzieć, że wiem już o tobie wszystko.
- Poczuła lzy pod powiekami. Wbiła paznokcie w dłoń.
- Wiem, że starasz się być miły, ale nie pozwolę ci się ze mną ożenić.
  - Nie proszę cię, abyś wyszła za mnie dlatego, że jestem miły.
  - Wszystko komplikujesz, Martin.
  - Nie. To ty wszystko komplikujesz. I jesteś beznadziejnie uparta.

Przygryzła wargę i znów uciekła przed jego wzrokiem, Przy sąsiednim stoliku ktoś jadł pieczeń i frytki. Spojrzała na błyszczący sos i falbankę tłuszczu okalającą mięso Szybko przełknęła ślinę, poczuła strużkę potu spływającą po karku, szarpnęła kołnierz.

- Bess, co się stało?
- Nic, wszystko w porządku. – Starła się jasno myśleć i właściwie dobrać słowa, aby zapobiec strasznej pomyłce, którą chciał popełnić Martin. – To bardzo miło z twojej strony, ale wiem, że nie byłbyś ze mną szczęśliwy Nie mogę dopuścić to tego związku. – Głos jej drżał. Wszystko w tej kawiarni drażniło ją: zapachy, głośne rozmowy, pot na czole kelnerki. Poczuła ucisk w żołądku. Przymknęła oczy. Próbowała zapanować nad swoim organizmem. Przecież nie mogła tu zwymiotować czy zemdleć. To byłoby okropne. Nie w obecności tych wszystkich ludzi, nie przy Martinie.

– Bess.

Otworzyła oczy. Jago położył drobne na stoliku i pomógł jej wstać z krzesła. Gdy wyszli na ulicę, oparła się o ścianę domu i głęboko odetchnęła zimnym, rześkim powietrzem.

– Jesteś chora? – spytał zatroskany.

– Nie, Martin, nie jestem. – Pokręciła głową. – Ale chyba jestem w ciąży.

Schowani pod parasolem spacerowali po ogrodach przy ulicy Princes. Było już ciemno i padał drobny deszcz. Mijały ich kobiety z wózkami dziecięcymi i młode sprzedawczynie spieszące się do domów. Martin przedstawiał Bess całą listę powodów, dla których powinna wyjść za niego.

– To małżeństwo będzie zupełnie inne niż poprzednie – przekonywał. – Nigdy nikogo nie kontrolowałem. Będiesz dysponować moimi pieniędzmi bez ograniczeń. Nie chcę, byś rozliczała się przede mną ze swoich wydatków. Znasz mnie przecież dobrze i wiesz, że w ogóle mnie to nie interesuje. Jeśli nie chcesz mieszkać w Edynburgu, znajdziemy inne miejsce. Możemy się przenieść do Londynu, Paryża, gdzie tylko zechcesz. Każde z nas będzie swobodnie dysponować zarobioną gotówką. Wiem, że prowadzisz niezależny tryb życia. Wiesz też, jak bardzo lubię Kate, a sądzę, że ona też mnie polubiła. Będę ją kochać jak własne dziecko. – Popatrzył na Bess. – Usiądziemy? – zapytał. – Może wolałabyś pójść do domu? – Zaprzeczyła, a Martin mówił dalej: – Jeżeli chodzi o dziecko – nasze dziecko – to na własnej skórze odczułem, co oznacza pochodzić z pozamałżeńskiego łoża. I nie życzyłbym nikomu, w szczególności mojej latorośli, przechodzić przez to wszystko. Bess, nie chcesz chyba, aby twoje własne dziecko do końca swoich dni było napiętnowane, a w najlepszym razie odczuwało niechętną akceptację otoczenia?

Nasze dziecko – powtórzyła w duchu i nagle olśniła ją myśl. Gdyby wyszła za Martina, mogłaby skończyć z dotychczasowym życiem. Nie bałaby się już samotności. Jest przecież jeszcze młoda, może rodzić dzieci. W końcu miałyby dużą rodzinę, o jakiej zawsze marzyła. Własną rodzinę. Synów. Mimo to zapytała:

– Dlaczego sądzisz, że jesteś za nas odpowiedzialny? Dlaczego chcesz się wiązać z kobietą, która ma już dziecko? Przez lata byłeś sam, nie sądzę, abyś zdawał sobie sprawę, jak bardzo małżeństwo zmieni twoje życie, A dziecko? No cóż, nie masz pojęcia, jak przyjdzie na świat i wychowanie dziecka burzy ustalony porządek. Nie jesteś w stanie tego sobie nawet wyobrazić!

– Nauczę się.

– Po co miałbyś się uczyć? To zbyt wysoka cena jak za jedną miłą noc. Noc, która się zdarzyła z mojej winy.

– Och, Bess. – Martin uśmiechnął się. – Sądzisz, że cię nie pragnąłem? Te wszystkie tygodnie przeżyte tak blisko ciebie były dla mnie prawdziwą torturą. Wiele bezsennych nocy spędziłem, myśląc tylko o tym, że jesteś zaledwie na wyciągnięcie ręki. Nawet nie wiesz, ile beznadziejnych prac naukowych przeczytałem, starając się nu myśleć o tobie.

– To tylko pożądanie – odparła szorstko.

– Sądzisz, że to mało?

– Nie, oczywiście, że nie, ale... wiem, że mnie pragnąłeś, w tych okolicznościach to było naturalne, ale pożądanie nie wystarczy. Ono nie trwa dostatecznie długo.

– Tym razem będzie inaczej. Przyznałaś, że miałaś swoje powody, aby wyjść za Ralpa. I że byłaś za młoda na małżeństwo z Jackiem. Bess, nie jesteśmy już dziećmi i poznaliśmy smak życia. Mamy doświadczenie, nie musimy powtarzać swoich błędów. Pobierzemy się i będzie to nasz

świadomy wybór, a nie gadanie księży czy moralizatorskie naciski ludzi, którzy każą nam to zrobić.

Doszli do wiaty z blaszanym dachem. Bess usiadła, a Martin stanął w wejściu. Słuchała go, patrząc na spływający po dachu deszcz.

– Jeżeli się pobierzemy – ciągnął – nie będę cię ograniczał. Zresztą, nie potrafiłbym. To twoja odwaga i charakter sprawiły, że cię pokochałem. Będiesz wolna. – Bess nabrała powietrza, aby odpowiedzieć Martinowi, ale ten mówił dalej: – Rozumiem, że może nie jestem twoim wymarzonym kandydatem na męża. Ośmielę się twierdzić, że wolałabyś męzczyznę lepiej sytuowanego. Ale obiecuję, że będę się starał. Będę zabierać cię na przyjęcia i...

– Och, Martin! – wykrzyknęła. – Nie dbam o przyjęcia!

– Powiedz mi więc, czego oczekujesz. – Patrzył na nią ze zdumieniem.

– Boję się.

– Czego?

Boję się pokochać, pomyślała. Jeśli się zdecyduje na związek z Martinem, to chciała być pewna swego uczucia aby później, po kilku tygodniach, miesiącach czy latach nie dojść znów do wniosku, że jest z kimś, kogo nie kocha. Nigdy więcej nie chciała już stracić swojej miłości, dlatego teraz tak poważnie podchodziła do propozycji Martina. W tym przesiąkniętym wilgocią parku zdała sobie sprawę, że to, co czuła do Martina, nie było tylko chwilową zachcianką czy pożądaniem, lecz głębokim i przenikającym ją na wskroś uczuciem. Bess z własnego doświadczenia wiedziała jednak, że nawet kochając kogoś, można zostać bez miłości. Wcześniej pozwoliłaby na to, aby uczucie do Martina zawładnęło nią bez reszty. Te raz się wahała, pamiętając straszną cenę, którą zapłacili po utracie swojej pierwszej miłości.

– Nie chcę małżeństwa bez miłości, Martin – powiedziała, podnosząc na niego wzrok. – Tak było poprzednim razem i popełniłam okropną pomyłkę. Przykro mi, ale nie mogę się na to zgodzić.

– To nie będzie małżeństwo bez miłości – przekonywał. – Przynajmniej nie z mojej strony.

– Ani z mojej. – Serce Bess waliło jak oszalałe. Znowu zrobiła krok w nieznaną.

– Bess? – Parasol wypadł mu z ręki. Martin się nachylił, ujmując dłoń Elizabeth. W tej samej chwili zebrana w rondzie kapelusza woda oblała ich oboje. Zamknął jej dłonie w swoich. – Wyjdź za mnie, Bess – poprosił. – Zostań moją żoną.

## Rozdział 9

Sześć tygodni później Bess i Martin byli już małżeństwem. Suknię ślubną i nowy płaszcz kupili u Iony. Była to bładoniebieska kreacja obszyta czarną aksamitną wstążką, ulubione kolory Bess. Młoda para spędziła miodowy tydzień w Largs, spacerując po zmrożonej, wietrznej plaży, na którą wdzierały się stalowoszare fale. Martin mówił, że po narodzinach dziecka zabierze Bess na prawdziwy miesiąc miodowy. Być może nawet do Indii.

Po powrocie do Edynburga zamieszkali w czteropiętrowym, licowanym kamieniem domu na Starym Mieście. Było w nim pięć sypialni, dwa spore salony i niewielki ogrodzony ogród na tyłach domu. Poczekalnia i gabinet lekarski Martina mieściły się na parterze, w piwnicy podręczna apteka. Bess zatrudniła kucharkę i dziewczynę do cięższych prac domowych, obie przychodziły do pracy codziennie.

Dziecko miało przyjść na świat pod koniec sierpnia. Bess była przekonana, że to chłopiec. Zapomniała już, jak bardzo cięża może dokuczać, minęło przecież dziesięć lat od czasu, gdy nosiła bliźnięta. Drugą połowę ciąży spędziła na kanapie, czytając książki. Nigdy nie poświęciła dużo czasu lekturze, wolała towarzystwo i zabawę. Teraz jednak się uspokoila i uznała, że w końcu znalazła bezpieczny, własny kąt w życiu. Ciągle jeszcze czuła odrobinę niepewności, że Martin w końcu się znudzi niewykształconą i nieoczytaną żoną. Miała teraz czas na uzupełnienie braków i chciała go w pełni wykorzystać. Nadęte, bez wartkiej akcji, suche książki zniechęcały ją już po kilku stronach. Ale były też takie, które bardzo wciągały i czytając je, przenosiła się do innego świata. Powieść „Dziwne losy Jane Eyre” zaczęła czytać w szpitalu, oczekując porodu. Płakała nad sceną ślubu biednej Jane do chwili, gdy zaczęła

przeć.

Eleanor Louise urodziła się pierwszego września. Gdy Bess wzięła córeczkę na ręce, zapomniała o wyczerpaniu spowodowanym ciężkim porodem i o zawodzie, jaki sprawiło jej przyjście na świat dziewczynki. Pocieszała się jednak myślą, że jest jeszcze czas na kolejne dzieci. Na synów. Eleanor była szczuplutkim, dużym, wiercącym się maleństwem, całkiem łysym, z dużą głową i wielkimi, niebieskimi oczami. Przypatrywała się nowemu światu i uśmiechała półgębkiem. Wtedy pielęgniarka mówiła, że grymasy spowodowane są tym, że mała ma wiatry, ale Bess wiedziała swoje.

Pojawienie się Eleanor odmieniło cały dom. Ciszę nocy przerywał donośny płacz dziecka, za dnia rzędy butę lek, sterty kocyków, zabawek i ubranek można było znaleźć wszędzie. Eleanor budziła się w nocy jeszcze dłużej po odejściu pielęgniarki, która opiekowała się dziewczynką przez pierwszy miesiąc jej życia. Sprawiała wrażenie, że nie potrzebuje w ogóle odpoczynku. Oczy jej ściemniały i stały się szaro0fiołkowe, jak oczy Martina. Często gościła w nich ciekawość, która kazała małym rączkom chwycić wszystko wokół i pakować do buzi. Eleanor była radosna i pełna energii. Wyczerpana Bess cieszyła się, że Martin i Kate przepadali za małą. A to dlatego, że przy najmłodszej córce czuła się bardziej wyczerpana niż przy bliźniętach. Wzruszał ją widok Martina, który trzymając Eleanor na kolanach, z bezgraniczną cierpliwością pokazywał córce obrazki w książeczce lub zabawiał wyliczanką „Mała świnka” i grał dziecięce piosenki. Lubiła, gdy Kate po powrocie ze szkoły wozila siostrzyczkę na drewnianym koniku wokół ogrodu. W takich chwilach Bess mogła usiąść w fotelu z filiżanką herbaty, zbyt zmęczona, by czytać, zbyt zmęczona nawet, by myśleć.

Eleanor, ze względu na swą żywiołowość, od chwili gdy tylko zaczęła raczkować, często ulegała wypadkom. W ciągu

pierwszego półtora roku życia spadła ze wszystkich schodów, które były w domu. Wystarczył moment nieuwagi, gdy ktoś zadzwonił do drzwi lub gdy pani Tate, kucharka, poprosiła o sprawdzenie menu. Eleanor natychmiast wykorzystywała chwilowy brak opieki i pędzili, by ściągnąć patelnię ze stołu w kuchni lub wetknąć paluszki do kontaktu. Pacjenci w poczekalni Martina wymieniali przyjazne uwagi, gdy Bess wpadała do gabinetu męża z córeczką na rękę, aby ten obejrzał kolejny siniak lub otarcie. Mała nigdy nie zrobiła sobie poważniejszej krzywdy, a Bess uważała, że to cud.

Zastanawiała się nawet, czy to nie przez Eleanor straciła kolejne dziecko. W marcu 1929 roku, kiedy zaszła w ciążę, czuła się nadzwyczaj dobrze. Tak samo było z Frazerem, miała więc nadzieję, że tym razem powiśnie chłopca. Pewnego popołudnia półtoraroczna Eleanor, która jak zwykle biegła i nie zauważała na drodze żadnych przeszkód, potknęła się w ogrodzie i uderzyła głową o kamień. Z początku przerażona, po chwili zaczęła krzyczeć z bólu i złości. Buzię miała zalaną krwią i łzami. Gdy Bess niosła ją do domu, Eleanor podała jej coś, co przypominało kawałeczek jabłka, a okazało się gumą do żucia. Ponieważ Martin wyszedł na domowe wizyty, Bess zadzwoniła po Charliego Campbella, który przyjechał natychmiast i opatrzył dziecko. Gdy Martin wrócił do domu, zobaczył Bess i Eleanor wtulone w siebie, śpiące na kanapie, a na policzku małej przyklejony wielki plaster.

Skurcze porodowe obudziły Bess. Martin kazał się jej położyć i niczym nie martwić. Jednak Elizabeth poroniła, zanim nastał świt. W przeszywającym ich bólu płakali razem nad swoim losem, pozbawiającym ich radości i nadziei. Martin obiecał, że znów spróbują, ale dopiero za pół roku, gdy Bess wydobrzej. Córeczce pozostała mała blizna na policzku, a jeden z przednich zębów ściemniał, gdyż korzeń został

uszkodzony w trakcie upadku. Bess wracała zawsze myślami do kawałka gumi, który dała jej wtedy Eleanor i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że taki sam, choć bez porównania cenniejszy, kawałek został wy rwany z jej serca.

W tym czasie Martin zaczął pracować dla Departamentu Zdrowia. Jednocześnie prowadził prywatną praktykę i bezpłatną przychodnię dla biednych. Bess wiedziała, że jej mąż, który przez długie lata unikał uczuciowej i zaangażowania, głęboko przeżył stratę dziecka. Zastana wiała się też, czy praca nie stanowi dla niego sposobu ni odreagowanie, czy nie jest schronieniem przed wrzawą rodzinnego życia. Departament Zdrowia odpowiadał za zdrowie publiczne w mieście. Martina nigdy nie interesowała władza ani kariera, wiedział jednak, że los biedoty miejskiej się nie zmieni, dopóki ludzie będą mieszkali w przepelnionych slumsach. Jak wyjaśniał żonie, stanowisko, które otrzymał, dawało szansę na poprawę tych warunków i pewne możliwości ograniczenia przynajmniej największych nadużyć firm budowlanych. Chociaż Milne z nich nie powiedziało tego głośno, oboje myśleli u Andrew Gilchrista. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych Gilchrist urósł w siłę. Wraz z innymi właścicielami ziemi w Edynburgu zasiadał w Radzie Miasta, Radzie Skarbników i Radzie Rozwoju. Jego nazwisko przewijało się w gazetach na listach gości bali charytatywnych i recitali. Czasami zamieszczano nawet jego fotografie, na których postawnemu Andrew towarzyszyła zawsze schorowana i posępna Agnes.

Zdawała sobie sprawę, że w tak niewielkim mieście ich drogi kiedyś się przetną. Gdy pewnego razu, robiąc zakupy w sklepie towarowym Jennersa, zauważyła Gilchrista niebezpiecznie blisko siebie, poczuła ucisk w żołądku; szybko zniknęła mu z pola widzenia. Nienawiść i strach pozbawiły ją sił.

Załamanie na giełdzie w Stanach Zjednoczonych W

październiku 1929 roku spowodowało wzrost bezrobocia. Poranna lektura gazet, zwłaszcza beczelne wypowiedzi polityków na temat rzekomo wygodnego życia robotników żyjących z zasiłku i ubolewanie nad ich beczynnością, zawsze wzburzała Martina. Kiedy późnym latem 1931 roku nowo utworzony rząd obciął wydatki na zasiłki dla bezrobotnych, wprowadzając jednocześnie bardziej rygorystyczne zasady ich przyznawania, Martin bardzo się zmartwił. Mówił, że bezrobotnych traktuje się ich jak zwierzęta i uważa się, że mają inne aspiracje i nadziei niż reszta. Sądził, iż społeczeństwo celowo ich wyklucza, nie przyjmując do wiadomości, że bezrobotni są takimi samymi ludźmi, jak wszyscy. Że tak samo odczuwają ból, głód, strach i utratę bliskich.

Przez kolejne dwa lata państwo Jago starali się o nowego potomka. Niestety bezskutecznie. Tego roku Bess kończyła trzydzieści siedem lat i zastanawiała się, czy nie jest już za późno. Miłosne zbliżenia napawały ją rozpaczą, a każda następna miesięczka rozczarowaniem i przygnębieniem. Kiedy mąż pocieszał ją, miała ochoty wykrzyczeć mu w twarz, że za trzy lata będzie czterdziestoletnią kobietą i że nie ma już czasu.

Od dnia ślubu każdy sierpień spędzali we Francji w Trzech Kominach. Tego lata, gdy przybyli tam i zostali powitani przez panią Lemercier i Marie-Yvonne, Bess poczuła, jak ciężar spada jej z ramion. Małe zmartwienie związane z dziećmi, a nawet bezowocne próby zajścia w ciążę, wszystko rozmyło się w rozleniwiającym ciepłe południa. Po odwiezieniu rodziny do Francji Martin wrócił do Edynburga, aby dołączyć do nich ponownie na ostatnie dwa tygodnie wakacji. Na początku Bess cieszyła się wolnością i nieobecnością męża w domu. Myślała tylko o dzieciach i o sobie. Kiedy byli razem, każdy ubierał się w stare ciuchy, kładł się spać i wstawał, kiedy chciał. Gdy Eleanor budziła się w nocy – ciągle źle spali – Bess zabierała ją

do swojego łóżka. Cała rodzina za dnia taplała się w strumieniu, spacerowała po lesie i urządzała pikniki wśród pół pełnych dojrzewających zbiorów, pod białymi chmurkami płynącymi leniwie po szafirowym niebie.

Kate pojawiała się tylko w czasie posiłków. Cały czas spędzała na farmie z Emilie, popędziła tam już pierwszego ranka. Była teraz szczupłą, zwinną czternastolatki dorównującą wzrostem matce. Ostatnio namówiła Bess na obcięcie swoich pięknych rudych włosów na pazia. Z początku Bess nie chciała się zgodzić. Po pierwsze dla tego, że włosy dodawały córce uroku, po drugie dlatego, że nie rozumiała, dlaczego dziewczyna chce wyglądać jak chłopak. Musiała jednak przyznać, iż taka fryzurka bardzo pasowała do smukłej, drobnej Kate. W ciągu dnia ona i Emilie spacerowały po farmie, zwierając się sobie i chichocząc co chwila. Wieczorami kryły się na strychu, gdzie zaciągnęły stare krzesła i stół. Bess chciała nauczyć Kate jeździć konno, ale odmówiła. Nic nierozumiejącej matce cierpliwie tłumaczyła, że baletnicom wręcz nie wolno jeździć konno. Chociaż nie przepadała za zajęciami sportowymi i ciągle się pojawiały uwagi, że nie potrafi grać w zespole, zamyśla się na boisku podczas gry w hokeja na trawie, Kate uwielbiała lekcje baletu.

Po wypoczynku we Francji cała rodzina wróciła do Edynburga. Pod koniec września Bess była już pewna, że jest w ciąży. Wypełniła ją euforyczna radość i pewność, że tym razem będzie chłopiec. Jednak z upływem czasu coraz częściej mdlała i krwawiła. Była przerażona do tego stopnia, że bez sprzeciwu podporządkowała się Martinowi, który nakazał jej codzienny, popołudniowy odpoczynek. W styczniu, gdy Bess była w piątym miesiącu ciąży, Eleanor zaczęła chodzić do przedszkola. Elizabeth obawiała się reakcji córki, bała się, że mała się nie zaaklimatyzuje. Ta jednak już pierwszego dnia chętnie

przekroczyła bramę przedszkolną i nie tęskniła za matką. Wracając CO domu, pani Jago poczuła starą obawę, że zostanie sama. Przesądnie położyła rękę na brzuchu, który nieznacznie tylko się powiększył. Musi utrzymać tę ciążę. Musi urodzić to dziecko.

Poród nastąpił po ośmiu miesiącach. Gdy zaczęły się bóle, Bess wiedziała, że to za wcześnie, miała też w pamięci długi poród Eleanor, nie spieszyła się więc i ostatecznie nie zdążyła do prywatnej kliniki. Rebecca Elizabeth przyszła na świat w pobliskim szpitalu. Przez prawie cały tydzień Bess pozostawała w łóżku, nie mogąc zobaczyć dziecka. Dopiero, gdy wydobrzała na tyle, by wziąć niemowlę w ramiona, uwierzyła, że nic mu już nie grozi. Łatwo było pokochać śliczną Rebecę. Miała niebieskie oczy, okolone gęstymi, długimi rzęsami i jedwabiste czarne włoski. Na spacerze przechodnie pochylali się nad wózkami, podziwiając urodę dziecka. Zawsze czysta bluzeczka i fartuszek odróżniały ją od siostry. Eleanor pod koniec dnia raczej nie wyglądała schludnie i często miała podarte ubranie. Jednak nawet doskonała Rebecca nie była chłopcem, za którym Bess tak bardzo tęskniła. Gdy mała skończyła pół roku, Bess zapytała Martina, co sądzi o następnym dziecku. Szorstka odpowiedź zaskoczyła ją.

– Nie będzie więcej żadnych dzieci.

Bess, przygotowując się do snu, rozpiniała bluzkę. Zamarła, gdy to usłyszała.

– Co? Już nigdy?

– Masz prawie czterdzieści lat, Bess – powiedział bez ogródek. – A ostatnie dziecko omal cię nie zabiło.

– Ależ kochanie, jeszcze tylko jedno... – tłumaczyła. Jednak wyraz twarzy Martina zmroził ją.

– Lekarze sądzili, że umrzesz, wiedziałaś o tym? – za pytał. – Wyobrażasz sobie, co czułem, wiedząc, że mogę cię stracić?

Dzięki Bogu przeżyłaś, ale teraz chcesz, bym przechodził przez to jeszcze raz? Nie, Bess, nie pomogę ci się zabić. Masz trzy piękne córki i ciągle ci mało?

Bess nie ośmieliła się potwierdzić jego słów. Postano wiała poczekać, aż Martin zmieni zdanie. Wiedziała, że CU zrobi, żeby tak się stało. Zawsze była dobra w przekonywaniu mężczyzn. Jednak on pozostał niewzruszony. Z czasem w Bess narastała frustracja. Po tym, co przeszli i wycierpiała, musi mieć syna. Niezgoda odciskała swoje piętno na ich szczęśliwym dotychczas związku. A dla niej było to małżeństwo o wiele szczęśliwsze, niż sobie wyobrażała. Była rozgoryczona postawą męża. Czuli do Martina urazę. Nie rozumiała jego uporów. Dlaczego odmawiał jej jedynej rzeczy, której tak bardzo pragnęła?

Nadeszła wiosna 1933 roku i nastrój Bess się poprawił. Zawsze kochała słońce, nawet tutejsze zimne, północne. Z Martinem było jednak coraz gorzej. Pod koniec stycznia Hitler został kanclerzem Niemiec. W maju kromki filmowe pokazywały członków SA i studentów, palących książki w Monachium i Berlinie. Martin przewidywał nowy konflikt, ale Bess mu nie wierzyła. Wielka wojna była ostatnią wojną, prawda? – mówiła. Politycy nie mogą być aż tak głupi, aby znów doprowadzić do nieszczęścia. Po prostu nie wiedzą, co dalej robić. Teraz, kiedy naziści zdobyli władzę w Niemczech, na pewno stonują żądania i porozumieją się z pozostałymi krajami Europy. A poza tym, wszystko to wydawało jej się bardzo odległe. Przez większość dnia nie miała nawet czasu na przeczytanie gazety ani napisanie listu do przyjaciół czy rodziny. Davey i Isabel pobrali się, mieli dwoje dzieci. Ralph i Pamela sprzedali farmę w Lanarkshire i kupili większą farmę mleczną na południu Anglii. Pod koniec letniego semestru ich synowie: Tom, Henry i Archie zostali na noc u Bess, gdy rodzice pojechali na ślub przyjaciół do Glasgow. Bess

zazdrościła Pameli łatwości w rodzeniu synów, dlatego też trochę złośliwie myślała, że oboje są prości i gburowaci. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że synowie Ralpa byli dobrze wychowani, atrakcyjni i bystrzy. Chętnie spędzała czas w otoczeniu wszystkich dzieci, a towarzystwo chłopców sprawiało jej przyjemność.

Kiedy wyjeżdżali do Francji latem 1934 roku, Rebeca była prześliczną dwulatką, bardziej niezależną niż jej tu ostry, choć niezmiernie uparta, co czasami zupełnie nie plisowało do jej urody. Chodziła swoimi drogami i wykorzystywała wdzięczną buźkę, aby osiągnąć cel. Choć rzadko się zdarzało, że nie udawało jej się dostać tego, co chciała, wpadała w okropną złość. Eleanor, wytrzeszczając oczy, patrzyła, jak młodsza siostra rzuca się na podłogę, wrzeszczy i wali nogami. Bess powtarzała sobie, że każde dwuletnie dziecko jest nieposłuszne i córka wkrótce z tego wyrośnie.

Eleanor, siedmiolatka z rozwichrzoną grzywą brązowych włosów, była jak na swój wiek wysoka. Niczego się nie bała i to dawało jej pewność siebie; tej cechy nie miały jej siostry. Bardzo ładnie się opaliła tego lata, wspinała się na drzewa i pływała w rzece. Nauczyła się też jeździć na przysadzistym, grubym kucyku, którego Bess pożyczyła z sąsiedniej farmy. Chude, długie nogi Eleanor zawsze pokryte były otarciami i siniakami. Bess miała przy sobie odpowiednią ilość jodyny i plastry, aby opatrywać córkę.

Kate skończyła siedemnaście lat. Do osiemnastu brakowało jej pół roku. Zbyt nieśmiała i niepewna siebie, nie mogła uchodzić jeszcze za skończoną piękność, ale już zwracała na siebie uwagę pięknym, rudym kolorem włosów. Bess poznała Jacka Ravenharta właśnie wtedy, gdy była w wieku Kate. Rok później została mężatka. Gdyby do Kate zaczęli się zalecać chłopcy, Bess dałaby im wyraźnie do zrozumienia, że nie są

mile widziani. Na szczęście najstarsza córka zdawała się nie interesować chłopcami. Choć zapewne – myślała Bess – za pięć, sześć lat, Kate w końcu się ustatkuje i poślubi miłego, rozsądnego mężczyznę. Teraz jednak musiała myśleć o przyszłej pracy. Może zostanie pielęgniarką lub zapisze się na kurs dla sekretarek. Albo wykorzysta płynną znajomość francuskiego i zostanie nauczycielką. Znalazła dla Kate ulotki o szkołach, ale dziewczyna przejrzała je bez zainteresowania i szybko o nich zapomniała. Niezdecydowanie córki martwiło Bess. Kate nie powinna tracić czasu i poprostu płynąć z prądem, musi znaleźć cel i ambitnie go realizować. Musi zdobyć wykształcenie, dodatkowe umiejętności i dobrą pracę. Bess zbyt dobrze wiedziała, co przytrafia się dziewczętom, które tego nie zdobyły i juk niewielki mają później wybór w życiu.

Kate miała jeszcze czas na podjęcie decyzji. We wrześniu wracała do szkoły na ostatni rok nauki. Wrzesień... Tego września Frazer osiągnie pełnoletność. Będzie dorosły i niezależny od Córy Ravenhart. W domu we Francji w ciszy gabinetu Martina, wśród kości, książek i ceramiki, Bess napisała list do syna. Zastanawiała się, czy potrafi dobrać właściwe słowa, ale myśli same prowadziły pióro, zapisujące kolejne strony. Gratulowała mu dwudziestych pierwszych urodzin i starała się wyjaśnić, co się stało po śmierci jego ojca. Wiedziała, że nie wolno jej obwiniać Cory Ravenhart ze względu na miłość, jaką Frazer darzył babkę. Najważniejsze, aby zrozumiał, jak bardzo Bess go kocha i tęskni za nim.

Martin przyjechał do Francji na dwa ostatnie tygodnie sierpnia. Dom zachował magiczny nastrój sprzed lat, tutaj zakochali się w sobie, tutaj dali życie swoim dwóm i orkom. Chciała, aby ich syn też został tu poczęty. Przelicz to niemożliwe, żeby Martin nie chciał więcej dzieci. Zapewne poruszyła ten temat za wcześnie, wspomnienie przeżyć

związanych z narodzinami Rebecki musiało być zbyt świeże. Bess czuła, że czas płynie nieubłaganie i że musi się spieszyć. Każdy mijający miesiąc mógł być ostatnim dla zrealizowania marzenia o synu. W tym roku kończyła czterdzieści lat, i wiedziała, co to oznacza dla kobiety pragnącej dziecka.

Tego dnia Bess wysłała dziewczynki na noc na farmę. Po kolacji siedzieli z Martinem przy buzującym ogniem kominka, pijąc wino. Bess włożyła najładniejszą sukienkę, diamentowe kolczyki i spryskała się perfumami L'Heure Blue. Widziała, jak na nią patrzył i wiedziała, że jej pragnie. Gdy się położyli, zapytał, czy mogą się bezpiecznie kochać.

– Tak, kochanie, wszystko jest w porządku – skłamała, wierząc, że Martin wybaczy jej to drobne minięcie się z prawdą, gdy już będzie trzymał w ramionach swojego syna. Magiczny nastrój podziałał i sześć tygodni później Bess była już pewna, że jest w ciąży. Powiedziała o tym Martinowi.

– Rozumiem – odparł. Po krótkiej chwili nieznośnego milczenia, gdy zaczęła się już niepokoić, zapytał: – Kiedy się urodzi?

– W maju.

Dostrzegła błysk w jego oczach, wiedziała, że liczy.

– A zatem to się stało we Francji?

Przytaknęła skinieniem głowy. Martin podszedł do okna. Odwrócony tyłem do żony zapytał:

– Wiedziałaś, że tak będzie, prawda? Bess, wiedziałaś, że nie było bezpiecznie. – Gdy się odwrócił, przeraził ją gniew, który zobaczyła w jego oczach. Wyszedł z pokoju bez słowa. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, poczuł u pustkę. Pocieszała się, że Martin wróci, musi tylko oswoi' się z myślą o następnym dziecku.

Chociaż Martin troszczył się o zdrowie Bess i polecił jej dobrego położnika, panował między nimi chłód, który sprawiał,

że czuła niepokój i traciła wiarę w siebie Cierpiała okropnie z powodu mdłości i częstych omdleń, większość dnia spędzała, leżąc na kanapie; zastanawiał się, czy przypadkiem szósta ciąża nie była pomyłką. Może Martin poślubił ją tylko dlatego, że nosiła jego dzioko. Może miał pretensje o domowe obowiązki, którymi obarczyło go małżeństwo z nią.

Odpowiedź od Frazera ciągle nie nadchodziła. Za każdym razem, gdy pojawiał się listonosz, ogarniało ją radosne podniecenie. Przeglądała szybko listy i nic nie znalazłszy, poddawała się czarnej rozpacz. Dni wlokły się jeden za drugim, przynosząc wspomnienie czasu spędzonego w Londynie, opieki nad umierającym ojcem i ciągłego wyczekiwania na list od Cory Ravenhart. Może Frazer nienawidził matki i nigdy jej nie wybaczy? Może Kavenhartowie wyprowadzili się z Simli i nigdy go już nie odnajdzie? A może nie żyje. Może umarł lata temu na malarię, żółtą febrę albo tyfus brzuszny. A może spadł z konia tak jak Jack i Cora Ravenhart nie wysiliła się nawet, aby ją o tym powiadomić. Bess starała się szybko odepchnąć te myśli od siebie. A jeżeli do niej przyjedzie, czy go pozna? Czy się polubią po tak długim rozstaniu? Głęboko wierzyła, że tak się właśnie stanie. Frazer był jej pierworodnym i nigdy nie przestała go kochać. Zastanawiała się, czy ma jednak prawo do syna, który został wychowany przez inną kobietę? Która troszczyła się o niego, gdy chorował, uczyła go wiązać sznurówki, pisać swoje imię i jeździć na rowerze? Która z nich była matką Frazera – ona czy Cora Ravenhart?

Młodość spędzona w Indiach dawno odeszła w cień. Bess stała się inną osobą, jej życie toczyło się w nowym miejscu. Bess Cadogan, Bess Ravenhart, Bess Fearnley, wszystkie już nie żyły, nie istniały. Teraz nazywała się Elizabeth Jago i była matką trzech córek, oczekującą czwartego dziecka. Była żoną

mężczyzny, którego naprawdę kochała, chociaż czasem nie potrafiła zrozumieć. Nauczyła się, że można spełnić tylko niektóre marzenia, inne umierają jak nierozkwitłe kwiaty, bez względu na to, jak długo i jak bardzo się ich pragnie. Może już nigdy nie mieć następnego syna – chociaż znów była całkowicie pewna, że tym razem będzie chłopiec – może już nigdy nie wrócić do Indii. Drugi miesiąc miodowy, który planowali zaraz po ślubie, ciągle był odkładany. Na prze szkodziły stawały dzieci, praca Martina, niekończący się rozgardiasz rodzinnego życia.

Minęły święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. W styczniu Kate i Eleanor wróciły do szkoły. Dokuczliwy, zimny wiatr niósł ze sobą deszcz i śnieg z deszczem. Zamek, tkwiący na wzgórzu, zniknął za zasłoną szarości. Wszystkie dziewczynki były zakatarzone. Któregoś popołudnia Bess zostawiła Rebecę pod opieką Kate, a sama wyszła na spotkanie wracającej ze szkoły Eleanor. Śnieg z deszczem przeszedł w śnieg, wpadał jej za kołnierz i mankiety palta. Trzymała córkę mocno za rękę. Martwiła się o Martina, jadącego autem po śliskich drogach z wizytami domowymi.

Właśnie otrzepywały ze śniegu palta i rękawiczki w holu, gdy Bess usłyszała pukanie do drzwi wejściowych. Otworzyła je i ujrzała młodego mężczyznę. Jeżeli to sprzedawca encyklopedii...

Spojrzała jeszcze raz, uważniej... i serce w niej zamarło. Jack – pomyślała przez krótką, nierzeczywistą chwilę.

Ale na głos wymówiła inne imię:

– Frazer.

**Część trzecia**

**Frazer Ravenhart  
1935-1931**

## Rozdział 10

Gdy matka powiedziała Kate, kto przyszedł, ta nie mogła opanować rozczarowania pojawieniem się kolejnego braciszka. Pięcioro rodzeństwa oraz oczekiwanie na kolejne niemowlę w rodzinie zadowoliłoby przecież każdego. Ucieszyła się jedynie dlatego, że Frazer był od niej starszy. W końcu zjawił się starszy brat. Od razu przypomniała sobie zwrot „utracony archanioł” z przerabianego właśnie w szkole z panną Rattray „Raju utraconego”. To pasowało do przystojnego, wspaniałego Frazera, który był w ich domu niemal mityczną postacią. Kate usłyszała rozmowę brata z matką:

– Może powinienem był napisać, nie miałem jednak pewności... – Zawiesił głos, a matka zaraz szybko odpowiedziała:

– Och nie! Przestań! Cudownie, że przyjechałeś! Wspaniale!  
– Głos Elizabeth zadrżał i słowa utknęły w gardle. Po chwili mówiła dalej: – Frazer, musisz poznać moje dzieci, a twoje siostry. To Kate. – Dziewczyna uścisnęła dłoń Frazera, po czym kichnęła.

– Wybacz, mam okropny katar.

– A to pech – odparł. – Ja też przeziębilem się w czasie podróży z Indii. Sądziłem, że będę podziwiał wspaniałe widoki, a cały czas siedziałem w kajucie, kaszląc.

Frazer miał uroczy uśmiech. Kate zauważyła, że to spotkanie było dla niego ciężkim przeżyciem, więc starała się go pocieszyć:

– Chyba możemy darować sobie Eleanor i Rebecę. Eleanor chciałaby rozmawiać wyłącznie o koniach, a Rebecca paple bez sensu.

– Kate – skarciła ją matka.

– Tak, mam. – Westchnęła z rezygnacją, wyjrzała przez

drzwi i zawołała Eleanor. Poszła potem do kuchni, gdzie Rebecca tłukła pokrywkami od garnków, zgarnęła małą z podłogi i poprosiła panią Tatę o przyniesienie herbaty i ciasteczek do salonu. Była zadowolona, że sama pomyślała o herbacie dla gościa, bo mama najwyraźniej zapomniała. Dźwigając Rebeccę do salonu, marzyli o tym, by był z nimi opanowany i spokojny Martin W tej sytuacji wszystkim przydałaby się taka osoba. Ale Martin wyjechał do chorych i właściwie (choć według panny Rattray, to okropne słowo, ale jakże teraz przydatne, pomyślała Kate) Eleanor i Rebecca bardzo się przydały. Obie zachowywały się okropnie: starsza pociągała głośno nosem, gdyż zgubiła chusteczkę, młodsza robiła z lukru zdrapanego z ciastek kulkę i straszyla, że się rozżłości z powodu przyklepionych okruszków. Przywoływanie obu dziewczynek do porządku wypełniło zapadłą nagle ciszę. Kate zawsze sądziła, że trzeba mieć mnóstwo do powiedzenia synowi, którego się nie widziało przez tyle lat. Rozmowa się jednak nie kleiła i by ratować sytuację, odezwała się Kate:

– Czy to pana pierwsza wizyta w Szkocji, panie Ravenhart?

– Tak. Przynajmniej pierwsza, którą pamiętam. Ale proszę, mów mi po imieniu. Przecież jesteśmy rodzeństwem – dodał niepewnie.

– Czy wiedziałeś, że masz trzy siostry? – spytała z ciekawością.

– Nie, dopóki nie znalazłem listu.

– Listu? – powtórzyła Bess.

– Tego, który napisałaś do mnie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin. – Uśmiechnął się. – Stąd wiedziałam, gdzie cię szukać. Znalazłem go na biurku babki, już po jej śmierci.

– Kiedy Cora zmarła? – dopytywała się Bess.

– W listopadzie.

Bess nagle zbladła. Siedziała jednak nadal wyprostowana,

jak to zawsze czyniła w towarzystwie.

– Przykro mi, musiałeś to bardzo przeżyć.

– Dziękuję.

– A twój dziadek? – indagowała dalej.

– Zmarł przed pięcioma laty.

– To musiał być dla ciebie trudny okres. – Bess przyłożyła do ust chusteczkę.

– Mam też trzech braci – znów się odezwała Kate, przerywając zapadłą ciszę. – Toma, Henriego i Archiego. Nie wiem tylko, czy to również twoi bracia. To takie skomplikowane. Jak to jest, mamó? – Bess nie odpowiedziała. Patrzyła na Frazera oczami pełnymi zamoczenia i radości. Nieco wystraszona Kate pomyślała, że matka wygląda tak, jakby patrzyła na przybysza z zaświatów.

– Kiedy znalazłem list i tak wybierałem się do Szkocji, aby objąć Ravenhart House, siedzibę rodu. Rozmawiałem z panem Daintree i pomyślałem...

– Panem Daintree? – przerwała Bess.

– To adwokat wuja Sheldona – powiedział Frazer.

Patrząc na matkę, Kate czuła, że jest tak samo zmieni i jak ona. Z zadowoleniem przyjęła więc fakt, że Eleanor właśnie się dźgnęła widelczykiem i trzeba było opatrzyć ranę.

– Ona ciągle się kaleczy – wyjaśniła Frazerowi, gdy Bess wyszła z małą. – Zdaniem Martina dlatego, że jest leworęczna. Wkrótce będziesz miał już dosyć siostrzyczek, zobaczysz. I zatęsknisz do czasów, gdy uważałeś się za jedynaka.

– Nie sądzę – odparł poważnie. – To prawdziwe szczęście mieć pełną rodzinę.

– Doprawdy, Frazer! – Kate parsknęła, co matka z pewnością uznałaby za niestosowne. – One są okropnym utrapieniem. Nawet sobie nie wyobrazasz, jakim.

Próbując ją zrozumieć, Frazer uważniej przyjrzał się Kate.

Pomyślała, że jest niezwykle przystojny. Gdyby ga pienie się na kogoś nie było niegrzeczne, nie odrywałaby od niego oczu.

– Ja w ogóle nie miałem rodziny – wyznał. – Po śmieici babki zrozumiałem, że jestem ostatnim z rodu Ravenhartów. Syn wuja Sheldona zginął na wojnie. Dlatego odziedziczyłem Ravenhart House.

– Dostałeś spadek? – ożywiła się Kate.

– Tak. Wuj Sheldon zapisał mi wszystko. Dlatego przyjechałem do Szkocji.

– Spadek? Och Frazer, jakie to romantyczne!

– To zamek. – Mówił o tym tak, jakby dziedziczenie zamków było rzeczą najnormalniejszą pod słońcem. Stoi daleko stąd. Szczerze mówiąc, nawet się nie orientuję, gdzie to jest. Pan Daintree mówił mi, ale zapomniałem.

Kate narysowała dla Frazera drzewo genealogiczne rodziny Ravenhartów, Fearnleyów i Jago. Pokazała mu koligacje, które ich łączyły. Lubiła to robić, zajmowały bardzo zawiłości spadkowe, gdy w szkole przerabiali okres zwany Wojną Dwóch Róż.

– Twoja babka... – zaczęła wpisywanie.

– Nazywała się Córa Ravenhart.

– A twój ojciec miał na imię Jack, prawda? – spytała, zapisując wszystko.

– Tak.

– Mama opowiadała mi o Jacku. A twój dziadek?

– Fenton. A Sheldon był jego starszym bratem.

– A jego syn, ten, który zginął na wojnie?

– Lewis. Lewis Ravenhart. Jego matka miała na imię Anna, Anna Faversham. Zmarła przed wielu laty, Lewis był więc jedynakiem.

Linie, które rysowała Kate, wyglądały jak pajęcza sieć. Dodawała nowe nazwiska. Dopisała dziadków mamy, Niebie

samą i Frazera, zaznaczając, że urodzili się w Indiach. Potem wpisała swoich braci i braci Pameli – wuja Douglasa i wuja Fergusa, ich żony i dzieci oraz Archibalilu, który też zginął na wojnie. Oceniając swoje dzieło, pomyślała, że nie będzie już miejsca na dopisanie dzieci, gdy jej rodzeństwo założy rodziny. Patrzyli w lustro z Fazerem, starając się dojrzeć podobieństwa. On miał szersze usta niż Kate, rzymski nos, a ona nieco zadarty. Mieli taką samą, jasną karnację, ale twarz Kate zdobiły piegi. Mama radziła, aby smarowała je sokiem z cytryny, ale nigdy tego nie robiła, zajęta ważniejszymi sprawami. i przeciwnie do Kate, Frazer sprawiał wrażenie, jakby był wyciosany z jednego kamienia. Zazdrościła mu jedwabistych włosów.

– Rudzielec ze mnie – mruzczała niezadowolona. – I chciałabym mieć twoje włosy, Frazer.

Jedynie ich niebieskie oczy były do siebie podobne. Frazer miał ciemniejsze tęczówki, ich oczy nie różniły się kształtem. Brwi także były takie same – złociste i proste. Kate się zastanawiała, jak by to było, gdyby dorastali razem, znali się od urodzenia. Przybył, niczym zjawa z zaświatów. Wcześniej – podobnie jak Michael – znany był w ich domu tylko z jednego starego zdjęcia, przedstawiającego małą, tłuściutką buzię, otoczoną koronkami i białym muślinem. Kate, patrząc na twarze obu braci, nigdy nie mogła dostrzec w nich swoich rysów. Czasami, gdy była mała, myliła brata, który umarł, z tym, który zaginął. Oprowadziła Frazera po mieście, pokazując mu ukryte w podwórzach małe ogródki, osobliwe uliczki i zaułki, w które nigdy nie powinna się zapuszczać samotnie, ale które odwiedzali, nie mogąc się oprzeć ich urokowi. Obejrzeni wzgórze zamkowe Calton Hill i skrzące się srebrem morze.

Frazer był trzy lata starszy od Kate. Z powodu jego życia w Indiach oraz z uwagi na odziedziczony zamek nie czuła się przy

nim zbyt swobodnie, jednak on nie dawni jej odczuć swojej wyższości, tak jak to robiły niektóre dziewczęta z jej szkoły, a zwłaszcza te, którym pozwoli i no już uczestniczyć w przyjęciach i jeździć w ferie na nartach. Łatwo się z nim rozmawiało. Kate miała wrażenie że Frazer wypełnił jakąś lukę, z której istnienia ledwo zdawała sobie sprawę. Wiedziała, że gdy w końcu wyjedzie do swojego zamku, będzie za nim tęsknić i nic nie będzie już takie samo. W jej dotychczasowym życiu wiele się wydarzyło. Rodzice znaleźli sobie nowych partnerów, przyszło na świat rodzeństwo, trzeba było się przeprowadzać, ale nikt nigdy nie zapytał jej o zdanie.

Kate opowiedziała Frazerowi o tym, jak źle się czuła w szkole. Jak wydawało jej się, że nie pasuje już do niej, jak szkoła uciska i drażni niczym za ciasna sukienki i o tym, jak dłuży jej się czas do końca letniego semestru kiedy skończy wreszcie naukę.

– A co będziesz robić potem? – zapytał.

Szli teraz wzdłuż Grassmarket, jedząc chipsy. Wcześniej padało i bruk był śliski. Słońce wyszło zza chmur, oświetlając krople deszczu, lśniące na ogrodzeniu i konarach drzew.

– Mama chce, żebym została nauczycielką albo sekretarką.

– A ty?

– Wcale nie. – Pokręciła głową.

– Co więc zrobisz?

– Gdy byłam młodsza, chciałam zostać zakonnica – ml powiedziała, rzucając przez ramię odrobinę soli z chipnów W ten sposób chroniła się przed złym urokiem. Nie hu rdzo w to wierzyła, ale nawiązując tym samym do swojej niedawnej decyzji o nieprzechodzeniu na katolicyzm, odczyniała uroki na wszelki wypadek. – Potem chciałam tańczyć w balecie, ale jestem za wysoka.

– Ja chciałem zostać żołnierzem. Dziadek mówił, żebym tak

jak mój ojciec, zaciągnął się do kawalerii.

– Nie sądzę, żeby żołnierski fach pasował do ciebie – utwierdziła Kate, przyglądając się bratu.

– Nie sądzę, żeby stan zakonny pasował do ciebie, Kate – odgryzł się Frazer, uśmiechając się szeroko. Nikt na świecie tak pięknie się nie uśmiechał jak on, szczerze i radośnie. Wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę.

– Zapalisz?

Kate nauczyła Frazera jeść chipsy z papierowego rożka a on nauczył ją palić. To była uczciwa współpraca. Kate ostrożnie trzymała papierosa między dwoma palcami i co jakiś czas strzepywała popiół do rynsztoka. Wydmuchiwała wąską smugę dymu z ust, czuła, że się zmienia.

Starszy brat okazał się przydatny. Mogła mówić w domu u, że spędza czas z Frazerem, gdy tak naprawdę włóczyła się po mieście. Starła się nie kłamać za często ze względu na stan zdrowia ciężarnej matki. Bess nie czuła się najlepiej, dokuczala jej ciąża i młodsze córki. A pojawienie się Frazera wstrząsnęło nią do głębi. Jednak Kate zbyt ceniła chwile samotności, żeby zupełnie z nich zrezygnować. Martin płacił jej dziesięć szylingów tygodniowo za przepisywanie na maszynie swojej nowej książki. Pisał o kryjówkach, które tysiące lat temu ludzie ryli w ziemi na otoczonych wodą wyspach. Martin okropnie pisał na maszynie. Robił tyle błędów, że można było po równać zapisane przez niego kartki do obsypanego okruchami obrusa, jaki po posiłku zostawiały Eleanor i Rebecca. Kate lubiła patrzeć na wyrazy pisane na maszynie. Sprawiały, że ludzie, mieszkający na kartach książki w dziwnych i podmokłych miejscach, ożywali na nowo. Spacerując po mieście, odwiedzała antykwariaty, gdzie za zarobione pieniądze kupowała stare, pachnące kurzem książki. Wręcz uwielbiała ich zapach, podniszczone stronicę, skórzaną oprawę i pozostałości złotych

liter na grzbietach.

Kate i Frazer byli teraz najstarszym rodzeństwem. Kata oderwała się od młodszych sióstr. Zauważyła też, jak jej koleżanki starały się zwrócić na siebie uwagę Frazera, gdy przychodził po nią po lekcjach. Dziewczęta, które ni gdy jej nie lubiły, teraz zaczęły zabiegać o jej przyjaźni o możliwość umówienia się z jej bratem do kawiarni lub do kina. Była dumna, jakby to dzięki niej ta wspaniała złotowłosa istota zjawiała się w życiu ich wszystkich. Cza! Frazera, którego tak długo nie widziała, sprawił, że świat Kate się zmienił. Schlebiali jej bliskie pokrewieństwu z osobą wspaniałą niczym księżę z bajki. Tak właśnie! o nim czasami myślała: Frazer Ravenhart, wolny od trosk pan na zamku, przemierzający swe włości. Popełniona przez nią niezręczności i niewyraźna wymowa, którymi się zamartwiała, nie stanowiły dla niego problemu. Brat był zawsze elegancko ubrany, miał wszystkie guziki i czyste stroje. Natomiast ona zawsze gubiła guziki, była poplamiona atramentem i miewała ślady jedzenia na mankietach. Złościły ją spojrzenia młodych kobiet, gdy Frazer zabierał ją na tańce. W sklepach sprzedawczynie zawsze podchodziły do niego. Frazer wiedział, jakie wino zamówić w restauracji i bez skrępowań odsyłał jedzenie do kuchni, jeżeli mu nie smakowało. Kate sądziła, że poważanie i usłużność, które go otaczały, wynikały z jego sposobu bycia.

Mieszkał w apartamencie w hotelu North British, wypełnionym miękkimi fotelami, wygodnymi kanapami i stolikami z mahoni, które były tak doskonale wypolerowane, że Kate mogła zobaczyć w nich swoje odbicie. W chińskich wazonach stały ogromne bukiety kwiatów, a w sekretarzyku leżały stosy kremowego papieru listowego z hotelowym nadrukiem. Kate miała ochotę zdjąć pończochy i zanurzyć bosa stopy w grubym, wełnianym dywanie. Gdy tylko Frazer czegoś

potrzebował, czy to brandy czy lemoniady dla niej, składał zamówienie przez telefon i chłopiec hotelowy przynosił wszystko w ciągu kilku minut. Gdy Kate stłukła szklankę i chciała posprzątać szkło z podłogi. Frazer powstrzymał ją, zadzwonił do recepcji, skąd przysłano pokojówkę i to ona uklękła na dywanie, ostrożnie i dokładnie zebrała potłuczone szkło, a Frazer w tym czasie kontynuował opowieść o balu przebierańców w Simli.

Wszyscy lubili Frazera. Bess nigdy mu niczego nie odmawiała. Czasami wzbudzało to zazdrość Kate, gdy matka wołała za nią, przypominając o nieodrobionych lekcjach lub o konieczności powrotu zaraz po szkole.

Później jednak tego żałowała. Jej brat był zbyt miły, by go nie lubić. Minęło kilka miesięcy od przyjazdu Frazera. Kate dopiero teraz dostrzegła, że był inny, niż jej się wydawało. Pamiętała jego opowieść o umierającej babce i późniejszych formalnościach u adwokata. Gdy mówił, widziała w jego oczach przerażenie, niemal panikę i szczerze mu współczuła z powodu tego, co wtedy przeszedł. To musiało być dla niego straszne, bo nie wypadało mu okazywać słabości. Doszła do wniosku, że to właśnie przeżycia, o których mówił, sprawiły, że go tak mocno kochała.

Ostatnia córka Bess urodziła się na początku maja. Gdy wzięła dziecko w ramiona, nie odczuła napływu miłości i czułości tak, jak przy starszych dzieciach. Była rozczarowana, że Aimée nie jest chłopcem i że jest taka brzydka. Mały, pomarszczony noworodek ważył niecałe dwa i pół kilograma. Miał kłaczki białego puchu na głowie i opuchnięte oczy, osadzone w różowej, posiniaczonej buzi.

– Musieli pomóc jej się urodzić – wyjaśnił Martin. – Siniaki szybko znikną. Wkrótce będzie tak śliczna, jak reszta jej sióstr.

Bess trudno było w to uwierzyć. Pozwoliła, aby Martin zabrał Aimée i ułożył w kołysce. Patrzyła na niego, delikatnie głaskała małą po buzi.

– Czy wybaczyłeś mi? – zapytała.

– Czy wybaczyłem? – Zmarszczył brwi.

– Że ją urodziłam.

– Bess. Tu nie ma nic do wybaczenia.

– Ale byłeś na mnie zły z powodu tego dziecka.

Martin podszedł do niej i usiadł na brzegu łóżka. Przez chwilę miał w oczach smutek.

– Nie byłem na ciebie zły z powodu dziecka – zaczął. Nie mógłbym. Aimée jest cudowna. Byłem zły na ciebie dlatego, że mnie okłamałaś, mówiąc, że nie zajdziesz w ciążę. Bolało, gdy zdałem sobie sprawę, że mnie oszukałaś. Sądziłem, że coś takiego nigdy się nam nie przytrafi.

Wyciągnęła do niego ręce, a on zamknął je w swoich dłoniach.

– Już nigdy cię nie okłamię, Martin – wyszeptała. – Przrzekam – zapewniła. Poczula uścisk dłoni męża. Z oczu popłynęły jej łzy.

Pan Daintree, adwokat Frazera, często zapraszał go na kolacje do swojego domu. Tam Frazer poznał jego żonę i córki: Janet i Maisie, okrągłutkie, rumiane dwudziestolatki. Wraz z przyjaciółmi siostry urządzały amatorskie przedstawienia teatralne. Gdy Frazer napomknął, że raz czy dwa brał udział w takim przedsięwzięciu w teatrze Gaiety w Simli, został natychmiast włączony do przedstawień. Raz stawał się pustynnym szejkiem owiniętym w prześcieradła i zasłony, by innym razem zostać wikarym, którego koloratka była zwykłym kołnierzykiem przekreślonym na tę okoliczność.

Frazer zrozumiał swoje położenie dopiero, gdy Maisie

rzuciła się na niego w pomieszczeniu, gdzie trzymali kostiumy, by następnie, opierając swój wydatny biust o niego i obsypując tysiącem pocałunków, wyznać, że go kocha. Nie wiedział, czy oddać pocałunek, choć bliskość jej pięknego ciała budziła w nim wstręt, czy też przypomnieć, że w pokoju obok siedzą jej rodzice. W końcu zdecydował się na to drugie.

– Nie bądź niemądry – powiedziała Maisie. – Oni bardzo cię lubią. – I znów zaczęła go całować.

Frazer nie wytrzymał, przeprosił i uwolniwszy się z jej objęć, wybiegł do sąsiedniego pokoju, potykając się po drodze o frędzle zasłony. Nie mogąc znieść pogardy, jak;) miała w oczach Maisie, opuścił dom tak szybko, jak to tylko było możliwe. Po powrocie do hotelu zamówił drinka. Przytłaczała go cisza i ciasnota hotelowego pokoju. Bał się samotności. Zaczął myśleć o babce i o ostatnich miesiącach jej życia, które tak ciężko przeżył. Z trudnością hamował łzy. Kiedy zmarła, czuł się zdany na łaskę losu. Był nieszczęśliwy. Jej odejście spowodowało pustkę w sercu Frazera. Babka była niczym zaporą między nim a resztą świata. Po jej śmierci musiał stawu czoło zadaniom, do których nie czuł się przygotowany ani też zdolny im sprostać. Czasami budził się rano i nie miał siły wstać z łóżka. Gdy w nocy dręczyły go złe sny, tęsknił za babcią, za dotykiem jej dłoni, gdy głaskała go po głowie i czule szepcząc, odganiała koszmary. Usłyszał raz przypadkiem kłótnię między Córá a Fentonem i do wiedział się, co sądził o nim jego dziadek: „Ten chłopak to tchórz i słabeusz, trzeba wysłać go do szkoły, aby wbić mu do głowy trochę rozsądku”. Na szczęście babki nigdzie go nie wysłała, ale zatrudniła wykwalifikowanego prywatnego nauczyciela. Słowa dziadka utkwiły w pamięci Frazera, bolały go i sprawiały, że nie wierzy w siebie.

Włożył płaszcz i wyszedł z hotelu. Przeszedł przez most North Bridge i trafił na Nowe Miasto. Chciał spotkać się z Kate,

ale było już zbyt późno, by mogła wyjść z domu. Nie chciał też spędzać wieczoru z nową rodziną bowiem wciąż nie wydawała mu się jego własną. Gdy wcześniej myślał o swojej matce, wyobrażał ją sobie jaku młodszą wersję babki, dostojną i dystyngowaną osobę, dla której stanie się najważniejszy na świecie. Jego matka była zupełnie inna. Znacznie młodszą, to fakt. Inaczej jednak mówiła, ubierała się i nawet inaczej pachniała. Po urodzeniu ostatniego dziecka była ciągle zabiegana, z malin] na rękach i dziewczynkami uczepionymi jej spódnicy. Ich rozmowy stale przerywał wrzask lub płacz dzieci.

Idąc przez miasto, Frazer zdawał sobie sprawę ze swojej samotności, tęsknoty za domem w Indiach i izolacją od reszty ludzi. Był inny niż wszyscy. Musiał się jeszcze napić, wszedł więc do jednego z pubów przy High. W środku panował zgiełk. Gdy wypił kolejną whisky i zapalił papierosa, poczuł, że smutek nieco się rozpułnął, choć nie opuścił go zupełnie. Odwiedził jeszcze kilka pubów. Przyglądał się klienteli. W jednym z nich podeszła do Frazera młoda, wymalowana ulicznica z tlenionymi włosami, szybko więc wyszedł. W następnym znów lustrował wnętrze. Pomieszczenie było małe i ponure. Siedzący tam mężczyźni mieli pijackie nosy i brzuszyska ściśnięte paskami od spodni. Towarzyszyły im kobiety o pustych oczach i zaciśniętych wąskich wargach. Ich miękkie, rozlane ciała układały się w fałdy tłuszczu. Ubrania zdradzały niskie pochodzenie i brak gustu. Pomyślał, że są brzydcy – tak jak babka nie znosił brzydoty. Nie mógł znaleźć ani jednej osoby, z którą mógłby spędzić czas. Gdy samotność znów zaczęła dawać mu się we znaki, zauważył młodego mężczyznę siedzącego przy barze. Rządek szklaneczek stał przed nim na kontuarze i opróżniał je kolejno od jednego końca do drugiego, odchylając do tyłu głowę. Po każdym kieliszku nieruchomiał, mrugał przez chwilę powiekami i ulegał po następny. Nadal jednak siedział

pewnie, mimo że nie załował sobie drinków. Frazer przez pewien czas obserwował nieznanego, zafascynowany płynnym, pewnym ruchem ramienia, kręconymi, ciemnymi włosami, które nieznacznie kołysały się przy każdym łyku. Gdy młodzieniec opróżnił już wszystkie szklaneczki, skinął na barmana. Przeszukując kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy, rozglądał się po sali. Frazer poczuł przyspieszone bicie serca. Zaprzagnął, by ten młody człowiek popatrzył na niego. Gdy to się stało, Frazer uśmiechnął się, wstał i pod szedł do baru.

– Czy mogę zaproponować panu drinka? – zapytał.

– To miło z pana strony. – Młody człowiek zmarszczył czoło. – Czy my się znamy?

– Nie sędę. Nazywam się Frazer Ravenhart.

– Maxwell Gilchrist.

Wymienili uścisk dłoni. Oczy Maxweła Gilchrist. i przypominały Frazerowi morze, ich kolor przechodził w niebieskoszary. Popatrzył na rząd szklaneczek do whisky na ladzie i zapytał:

– Pan coś świętuje?

– Przyszedłem tu prosto z pogrzebu matki – odpowie dział Maxwell.

– Proszę przyjąć wyrazy mojego współczucia. Przykro mi. Może powinienem zostawić pana samego.

– Ależ nie, proszę zostać... panie... proszę mi przypomnieć, jak brzmi pana nazwisko? – Maxwell odgarnął włosy z czoła.

– Frazer Ravenhart.

– Ravenhart... A skąd pan pochodzi? ~ Z Indii. A dokładniej z Simli.

– Dobry Boże! A cóż pan tutaj robi?

– Moja babka, z którą mieszkałem, zmarła i dom stał się okropnie pusty. W Indiach też zmieniła się sytuacja. Wicherzyciele manipulują ludźmi. – Frazer popatrzył ml

Maxwella, który, jak sądził, był jego rówieśnikiem, a różnica wieku między nimi nie mogła wynosić więcej niż rok lub dwa lata. – Musi pan bardzo tęsknić za matką.

– Nie wiem jeszcze, czy za nią tęsknię. – Zmarszczył brwi, starając się znaleźć odpowiedź. – Matkę powinno się kochać, prawda? A przecież czasami się jej nienawidzi. Ona nigdy nawet nie starała się bronić mnie przed ojcem. – Wzdrygnął się. – Widzi pan, mój ojciec to świnia. Szkoda, że to nie jego dziś pochowaliśmy. Ludzie tacy jak on żyją długie lata. Matka się modliła, żeby ojciec się zmienił, ale to nigdy nie nastąpi. Życie w rodzinie to jak powolne umieranie. Rodzina. Duszą człowieka. Ja się nigdy nie ożenię. Nigdy.

Maxwell był przygnębiony, miał smutny wyraz twarzy. Frazer, starając się go pocieszyć, zagadnął:

– Ja zawsze bałem się dziadka. Też nie żyje. Zmarł, udławiwszy się ością.

– Och, czemu to nie spotkało mojego ojca. – Maxwell zaśmiał się. – Może powinienem zaprosić starego drania na rybkę. – Wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów i poczęstował Frazera. – Chciałbym, żeby zdechł w jakichś kompromitujących okolicznościach, na przykład siedząc na sedesie albo leżąc na swojej kochance... – zamilkł na chwilę. – Przepraszam, chyba za dużo wypilem.

– Nic nie szkodzi.

– Lub – ciągnął podekscytowany – żeby zginał uduszony przez jakiegoś niezadowolonego z warunków mieszkaniowych najemcę. Mój ojciec dorobił się na wynajmie mieszkań w kamienicach czynszowych i obrocie nieruchomościami. A teraz stara się zostać poważanym obywatelem Edynburga. Pewnie widzi się w roli następnego Lorda Provosta\* [Lord Provost – ceremonialny i tytułarny urzędnik będący głową miasta (prawo powołania Lorda Provosta w miejsce burmistrza mają cztery

miasta w Szkocji: Aberdeen, Dundee, Edynburg i Glasgow)]. Marzy o zdobyciu pozycji i kłaniających mu się w pas ludziach. Niall, Sandy i ja będzie my nosić znamienite nazwisko Gilchristów. – Szmaragdowe oczy Maxwella błyszcząły. – Ojciec uważa jednak, że wszyscy synowie go rozczarowali. A ja zamierzam być jego największą porażką.

– A ja poznałem moją matkę zaledwie kilka miesięcy temu – odezwał się Frazer.

– Doprawdy? – Był zaintrygowany.

– Tak. Spotkaliśmy się pierwszy raz od czasów mojego dzieciństwa.

– A co się z nią działo przez ten czas? Czy to znaczy, że w ogóle pana nie wychowywała? Dlaczego? Gdzie była?

– Matka porzuciła mnie po śmierci ojca.

Frazer zauważył, że to wyznanie bardzo poruszyło Maxwella. W czasie pobytu w Szkocji zwrócił uwagę, że ludzie uważali jego historię za nadzwyczajną, a nawet romantyczną. Frazer poczuł się rażniej widząc, że Maxwell Gilchrist jest pod wrażeniem jego osoby.

– Po prostu wyjechała. Nigdy do mnie nie pisała ani nie odwiedzała. Byłem w Indiach sam, mogłem nawet umrzeć. – Przejaskrawiał sprawę, choć wersja matki była zupełnie inna. Wiedział, że nie miała pieniędzy i dlatego zostawiła go pod opieką dziadków. Sądził jednak, że i tu go porzuciła.

– Chciałbym, żeby moi rodzice mnie zostawili – powiedział zazdrośnie Maxwell. – Byłoby o wiele lepiej, gdybym trafił do sierocińca. – Popatrzył uważnie na Fm zera. – Znał pan w ogóle swoją matkę?

– Nie. Sądziłem nawet, że nie żyje. Babka nigdy o niej nie mówiła. A ona wyszła za męża i ma cztery córki. Zmarszczył czoło i mówił dalej: – Nie wiedziałem, czy powinienem ją odwiedzać po tak długim czasie...

– Lubi ją pan? – Maxwell zapytał o coś, o co nikt inny nie śmiałyby pytać. – A co by było, gdyby pan ją znienawidził? Gdyby po tak wielu latach okazało się, że nie może raj pan znieść? – Zgasił papierosa w popielniczce. – Wówczas mógłby pan wrócić do Indii i wysłać jej brzydką pocztówkę. – Wpatrując się w Frazera, zapytał – A może nienawidzi jej pan?

– Och, nie. Tylko... tylko...

– Tylko jej pan nie kocha.

Frazer milczał. Bawił się zapalniczką, obracając ją na barowym kontuarze. Kochał tylko jedną osobę w całym swoim życiu – babkę. Była dla niego wszystkim: nauczycielka, towarzyszką zabaw, pocieszycielką i osłoną przed dym światem. Chociaż, tak jak powiedział Maxwellowi, nie mówiła mu o matce, często opowiadała o Jacku, jego ojcu. W tych opowieściach Jack wydawał się przesadnie doskonały, nieustraszony i dzielny. Frazer podejrzewał, że wcale taki nie był.

– Zatem ja straciłem matkę, a pan znalazł swoją. Cóż zbiegi okoliczności – podsumował Maxwell. – Wypijmy za zbiegi okoliczności. – Wzniósł toast. Kieliszki stuknęły i Maxwell zapytał: – Nie wraca pan do Indii? Tam byłoby zabawniej.

– Jeszcze nie wiem. To zależy od tego, czy spodoba mi się zamek.

– Zamek? – Patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Odziedziczyłem zamek czy też ogromny dom. Ravenhart House w hrabstwie Perthshire. Widzi pan, jestem ostatni z rodu Ravenhartów. – Frazer wyjął z portfela stare zdjęcie Ravenhart House, które należało do babci, i pokazał je Maxwellowi.

– Dobry Boże! Jest wielki. I należy do pana? – Młody człowiek wyraźnie nabrał respektu.

– Tak. Jest tam też dom stróża i domek myśliwski. Do posiadłości przynależy sporo ziemi i kilka farm, jak sądzę.

„Wygląda wspaniale, prawda?

– Ile ma pokoi?

– Nie mam pojęcia.

– Nie policzył ich pan? Ja bym policzył. Chciałbym wiedzieć, ile ich jest dokładnie.

– Nie byłem tam jeszcze.

– Jest pan od wielu miesięcy w Szkocji i jeszcze pan tam nie pojechał? – dziwił się Maxwell.

– Jestem tu dopiero od stycznia.

– Od stycznia... A teraz mamy maj. – Absorbowały mnie inne sprawy, finansowe... – odparł naburmuszony Frazer.

– I co z tego?

– Mój adwokat zajmuje mi czas odczytywaniem długich dokumentów – dodał wymijająco Frazer. – Wszystko o kredytach, zobowiązaniach i rzeczach, o których nie mam pojęcia. To takie nudne.

– I nie zamierza pan tam pojechać? Nie chce pan go zobaczyć? – Maxwell trafił w sedno.

– Chyba powinienem. Tylko, że... – Frazer westchnął – Co takiego?

– To dość daleko stąd. I nikogo tam nie znani.

– Ale może być zabawnie.

– W pojedynkę to bez sensu. – Frazer spuścił wzrok. Gdybym miał kogoś bliskiego w Szkocji, przyjaciela...

– Proszę wyobrazić sobie wspaniałe przyjęcia, które może pan tam urządzać – mówił Maxwell podekscytowany. – Co pan może robić, mając własny zamek. Boże! Jak ja bym chciał mieć własny kąt i święty spokój od wszystkich!

– Nie pomyślałem o tym.

– Ciekawe, czy są tam duchy.

– Mój wuj Sheldon zmarł właśnie tam. – Frazer prychnął. – Może nawiedza dom po śmierci.

- Jaki był?
- Nie znałem go. Babka nie miała o nim dobrego zdaniu. Chyba trochę stuknięty. Zbierał znaczki i motyle i nie zmieniał ubrań wystarczająco często.
- Powinniśmy znaleźć tam coś ciekawszego niż cuchnący duch z siatką na motyle – triumfował Maxwell.
- My – pomyślał z zadowoleniem Frazer. I dodał mimochodem:
  - Chciałbym tam wkrótce pojechać. Czy mogę liczyć ii. i pana towarzystwo?

Maxwell powiedział Frazerowi, że obecnie nigdzie nie mieszka na stałe. Najlepiej zostawić mu wiadomość o terminie wyjazdu do Perthshire w kawiarni Two Magpies na ulicy Guthrie. Frazer nie mógł tego zrozumieć: „Przecież musisz gdzieś mieszkać, mieć dom”. Maxwell, rozbawiony i nieco zirytowany, musiał łagodzić sprawę, twierdząc, a właśnie jest w trakcie przeprowadzki. Przeprowadzał się już od dłuższego czasu. Próby uporządkowania spraw spełzały na niczym. W życiu Maxwella nie można było niczego przewidzieć. A to dziewczyna wyrzuciła go z mieszkania, stwierdzając, że coś jej w nim nie odpowiada, a to poznałszy jakąś panią w kawiarni czy pubie, budził się w jej łóżku następnego ranka. Często zmieniając kwatery, gdzie zawsze zabierał ze sobą wszystkie rzeczy. Jego ilustrowane książki i ubrania rozsiane były po całym mieście. Zdawały się pamiątką po krótkiej wizycie ich właściciela. Maxwell się zastanawiał, czy ta tymczasowość nie była przyczyną jego niepowodzeń. Marzył o własnym pokoju, gdzieś na poddaszu, w którym łóżko, szafa i stół będą należały tylko do niego. Pożądał sławy i powodzenia. Nie wiedział jeszcze w jakiej dziedzinie, ale musiało to być coś nadzwyczajnego, wspaniałego lub wręcz przeciwnie, coś

szokującego otoczenie. Właściwie było mu wszystko jedno, co to będzie. Czuł, że w takim pokoju na poddaszu mógłby zebrać myśli i coś w końcu zacząć. Teraz żył z pisania artykułów do magazynów i gazet. Autor lewicowych publikacji występował pod różnymi pseudonimami. Oznaczało to, że musiał brać udział w politycznych spotkaniach, odbywających się w zadymionych pokojach nad pubami, w których towarzysze z pasją krytykowali kapitalizm. Maxwell z całej duszy przeciwny był kapitalistom. Chętnie postawiłby pod ścianą wszystkich bogaczy i fabrykantów. W pierwszej kolejności własnego ojca. Nic wierzył jednak do końca w cały ten gniew i pasję uwalnianą w ciasnych pokojach i niekiedy z trudem zachowywał powagę. Pisanie nie przynosiło wystarczająco dużych dochodów i Maxwell pracował dorywczo w pubach lub zmywał naczynia w kawiarniach. Ojciec podsyłał mu pieniądze i choć Maxwell wiedział, że wiąże się one z kołejnymi zobowiązaniami i że nie powinien ich przyjmować, jak dotąd nie odmawiał.

Los uśmiechnął się do niego, gdy w pubie spotkał Fm zera Ravenharta. Nie miał już grosza przy duszy. Cały czas między śmiercią matki a pogrzebem był na rauszu. Inaczej nie potrafił sobie poradzić z tym, co się stało. Zawsze wprawiała go w dumę umiejętność ukrywania swojej skłonności do alkoholu, szczególnie ze względu na ojca. Pamiętał, jak mówił Frazerowi, że nienawidził matkę. Oznaczało to, że był bardziej pijany, niż sądził. Nie zamierzał nikomu tego mówić; zachował się wstrętnie. Czy faktycznie jej nienawidził? Przecież kochał ją przez jakiś czas. Wyraźnie pamiętał chwile, gdy okazywała mu sympatię i czułość. Jak daleko sięgał pamięcią, matka zawsze chorowała. Była zbyt chora, by zauważyć istnienie Maxwella i jego braci. Śmierć matki zamknęła beznadziejny rozdział w jego życiu. W pamięci Maxwella zawsze żywe było wspomnienie dusznej sypialni matki z rzędami buteleczek pełnych słodkich,

lepkich syropów ustawionych na kominku. Raz spróbował nawet laudanum i miał po nim wyjątkowo dziwaczne sny. Współczuł jej. Małżeństwo z ojcem musiało być dla niej piekłem. Ojciec traktował ją jak psa. A nawet gorzej. Nie bił jej często. Ot, policzkował od czasu do czasu. Jednak kiedy to robił, Maxwell czuł się gorzej niż wtedy, gdy ojciec bił jego. Matka była bezbronna, nie umiała zapobiec wybuchom gniewu męża. Maxwell czuł się winny, że nie potrafił jej obronić. Nie potrafił obronić przed ojcem nikogo, nawet siebie.

Spotkanie z Frazerem Ravenhartem uchroniło Maxwella przed poszukiwaniem w mieście przyjaciół, którzy postawiliby mu drinka. Miał wielu przyjaciół, wybierał zwykle tych, którzy nie przypadliby do gustu ojcu: artystów, próżniaczych arystokratów i ślicznych chłoptasiów, ojciec określał wszystkich, którzy nie byli dla niego wystarczająco męscy. Frazer Ravenhart, ku zadowoleniu Maxwella, pasował do dwóch kategorii: dobrze urodzony i delikatny. Spotykał już takich w szkole. Dziwne, że ojciec posłał go do szkoły, gdzie można było spotkać takich samych ludzi, którymi gardził. W wieku trzynastu lat wysłano go do zimnej i ponurej szkoły, gdzie uczyło im, wielu starszych i silniejszych od niego chłopców. Zachowanie niektórych starszych kolegów wprawiało Maxwella w zakłopotanie. Przekupywali go słodyczami zapraszali na herbatkę do swoich pokoi. Z początku bał się, gdyż nie rozumiał, czego od niego chcieli. Szybko się jednak dowiedział, ale będąc słabszym, godził się na wszystko. Po jakimś czasie poznał siłę swojej urody i jak ją wykorzystywać.

Frazer Ravenhart też był bardzo przystojny i bogaty. To oczywiste, że osoba tak świetnie ubrana i szastając pieniędzmi nie ma kłopotów finansowych. Patrząc na fotografię Ravenhart House, zdobnego wieżyczkami, blankami i licznymi pochyłymi dachami, Maxwell pomyślał, że dom ciągnie się w

nieskończoność. Nie bez zazdrości zauważył, że swoim ogromem znacznie przewyższał nie mały przecież dom Gilchristów. Jednocześnie odezwała się w nim tęsknota za posiadaniem czegoś równie wspaniałego. Frazer Ravenhart miał także sportową lagondę. Gdy wraz z Frazerem tym właśnie samochodem opuszczali Edynburg, Maxwell doznał głębokiego poczucia zawodu, że lagonda nie należy do niego. Miał przecież tylko stary, zardzewiały rower, który dostał po starszych braciach.

Choć wyruszyli wczesnym rankiem i jechali szybkim, wygodnym samochodem, podróż na północ zdawała się nie mieć końca. Nie mogli rozmawiać ze sobą ze względu na świszczący wiatr i hałas towarzyszący podróży dwu osobowym coupe z odkrywanym dachem. Im dłużej trwała podróż, tym droga stawała się węższa, bardziej wyboista i było w niej coraz więcej dziur. Maxwell nigdy nie był tak daleko na północy. Wyjeżdżał rzadko, czasem z przyjaciółmi do Londynu, co sprawiło mu ogromną przyjemność. Szybko postanowił zwiedzić świat, Paryż, Prowansję, Maroko i dziesiątki innych miejsc.

Zatrzymali się na posiłek w Perth. Podczas obiadu w restauracji Frazer wyjaśniał:

– W domu jest zarządca, Ronald Bain. Mieszka w stróżówce. Mój adwokat, Daintree, dogląda domu od czasu śmierci wuja Sheldona. Przychód od dzierżawców jest przeznaczony na opłacenie Baina, gospodyni i służby.

– Podróż do nowego domu musi być nadzwyczajna. – To ma być mój dom... Nie myślałem o Ravenhart House jak o swoim domu – powiedział poruszony Frazer.

– Oczywiście, możesz resztę życia spędzić w hotelowym pokoju – odparł Maxwell. – Ale tak robią tylko bogaci, zniedołężniali starcy, którzy nie potrafią o siebie zadbać.

Droga, którą jechali dalej, to wspiwała się na wzgórze, aby zaraz runąć w dół, to prowadziła ich serpentyną wokół kolejnych, wychylających się zza zakrętu wzniesień. Maxwell był pod wrażeniem krajobrazu, podziwiał ogrom wzgórz czy już może gór. Kiedy właściwie wzgórze staje się górą? Czy wystarczy do tego skalisty wierzchołek przykryty śniegiem? Rozglądając się dookoła, ujrzał w oddali płaty śniegu, spoczywające na szczytach i rozjaśniające mroczne urwiska. Samochód kluczył między skałami i wspinał się na mosty przerzucone nad wąskimi wąwozami. Rzeki pienily się w dole, tworząc kaskady i wodospady. Małe wioski i samotne domy zostawały w tyle. Mijane po drodze wiejskie dzieci i zwierzęta zatrzymywały się, by popatrzeć za nimi. Domy były niewielkie i najczęściej kamienne z dachami pokrytymi blachą lub dachówką. Co chwila mijali podłużne i imienne resztki murów, będące ostatnim świadectwem istniejących tu wcześniej gospodarstw. Raz nawet Maxwell widział przez moment nagi ostaniec, odznaczający się na tle wzgórza.

Zajęty podziwianiem widoków Maxwell o mały włos nie przegapił skrętu do Ravenhart House. Przy drodze, którą jechali, stał niewielki kamienny kościółek i pub, a za nim mostek. Maxwell zauważył bramę wjazdową i kazał Frazerowi skręcić. Gdy tam dotarli, znaleźli się przed stróżówką: solidnym budynkiem ze schodkowym szczytem, dwoma kominami i okrągłą fantazyjną wieżyczką z jednej strony, która bardzo się spodobała Maxwellowi. Frazer zastukał do drzwi i po chwili wrócił wraz z zarządcą. Maxwell wcisnął się na wąskie, tylne siedzę nie. Surowy i ogorzały pan Bain zajął jego miejsce z przodu. Siedział sztywno, jakby nie był przyzwyczajony do jazdy samochodem. Jechali dróżką, prowadzącą w stroni, domu. Frazer starał się zabawić pana Baina rozmową, ale ten odpowiadał półgębkiem. Maxwell podejrzewał, że pan Bain,

ubrany w tweed z getrami na nogach, byłby szczęśliwszy, chodząc po wrzosowiskach ze dubeltówki w dłoni. Przejechali już niemal dwa kilometry wzdłuż płytkiej rzeki, której brzegi porastały świerki i jarzębiny. Jak to byłoby wspaniale mieć tak długi podjazd do własnego domu, rozmarzył się Maxwell. Obsadzona jodłami droga skręciła i ich oczom ukazał się budynek z wieloma dachami, wieżyczkami i mnóstwem okien. Maxwell gwizdnął z podziwem. Frazer, ty cholerny szczęściarzu, pomyślał.

W domu powitała ich gospodyni, a służąca przyniosła herbatę, kanapki i ciasteczka do salonu. Frazer musiał spędzić chwilę na osobności z panem Bainem. Korzystając z okazji Maxwell oglądał dom. Ravenhart House zbudowano w cieszącym oczy późnowiktoriańskim stylu, ulubionym przez butną i prowadzącą wystawny tryb życia szkocką magnaterię. Pomieszczenia wyłożone były ciemnym drewnem, w oknach wisiały szkarłatne zasłony a za kominki służyły olbrzymie paleniska zbudowane według średniowiecznej mody. Ze ścian smutnymi, szklany mi oczami spoglądały w dół upolowane jelenie. Przodkowie – jacy przodkowie, przecież dom nie mógł mieć więcej niż sześćdziesiąt lat – zastanawiał się Maxwell – w koronkowych kołnierzach i krezach puszyli się na portretach, wiszących na ścianach przy głównych schodach. Na balustradzie umieszczono dzikie ptaki o potężnych dziobach. Jak przypuszczał Maxwell, były to kruki. U szczytu schodów pogładził dłonią głowę jednego z nich i poczuł pod palcami delikatne pióra wyrzeźbione w drewnie.

Pokonywał kolejne przejścia i zaglądał do pokoi. Z mijanych korytarzy schody wiodły go coraz wyżej. W jednej z sypialni Maxwell otworzył szuflady biurka, znajdując w nich ołówki i bruliony. Wielkie parapety Kulane były wypłowiałymi

aksamitnymi poduchami. Ściany zdobiły kolejne portrety rzekomych przodków: panien z czasów Regencji o bladoróżowych twarzach i podobizny dam w białych sukniach pędzla Thomasa Gainsborougha. W domu było przeraźliwie zimno. Nie instalowano kaloryferów, a palono jedynie w niektórych kominkach. Chociaż popołudniowe słońce wpadało przez okna, w mrocznych kątach nadal czaił się chłód, Zapewne od dziesięcioleci niewiele się tu zmieniło.

Będąc w jednym z tych ponurych, wyłożonych drewnem pokoi, Maxwell wysuwał po kolei wąskie szufladki. Znalazł w nich setki motyli rozpiętych w szklanych szufladkach, zabezpieczonych szklaną pokrywą. Ich rozłożone skrzydła straciły już blask i zmatowiały.

Kręcone schody wiodły na szczyt wieżyczki. Maxwell oparł łokcie o parapet i wyjrzał przez okno na dolinę i góry. Krajobraz wypełniały przenikające się kolory: rudy, fiołkowy, zielony i szary. W powietrzu rozchodził się zapach pleśni z czarnej plamy pod oknem. Maxwell się zastanawiał, czy ktokolwiek tu przychodził. W tak wielkim domu można było nigdy nie zaglądać do niektórych pomieszczeń. Klucząc, wracał do głównej części domu. Jakieś drzwi poprowadziły go do schodów i w górę na poddasze. Dwie czarne kolumny z odbitym na biało nazwiskiem RAYENHART stały po bokach jak sarkofagi. Niewielka kupka mysich kostek zdradziła obecność so wy. Martwe muchy zalegały wkoło, a kiedy przedzierał się przez stosy pożółkłego płótna, wyleciała z nich chmara moli. Wyglądały niczym listki wzburzone powiewem jesiennego wiatru. W kącie pomieszczenia znalazł pokryty pajęczyną album ze zdjęciami. Przejrzał go. Ponure kobiety wbite w krynoliny i fiszbinowe gorsety spoglądały z fotografii z niesmakiem. Mężczyźni w tweedowych ubraniach dumnie stali przed niewielkim kopczykiem, który – jak stwierdził przyjrząwszy się

dokładnie – był stosem martwych pardw. Fotografie ilustrowały uroczystości rodzinne w położonym na brzegu strumienia kamiennym domku myśliwskim. I nawet w tej leśnej głuszy stół przykryto śnieżnobiałym obrusem, układając na nim sztuce w nieskazitelnym porządku.

Maxwell dostrzegł niziutkie drzwiczki w drewnianej ścianie, która dzieliła poddasze. Otworzył je i oświetlił ciemne wnętrze. Na lewo od drzwi stała drabina. Wspiął się na jej szczyt i próbował otworzyć włącz na daciej Pierwsza próba nie powiodła się. Zrobiło mu się nieswojo, gdy pomyślał o przegniłych szczeblach drabiny, ni) której stał. Poczuł, że znalazł się w pełnej pajęczyn, zakurzonej i ciemnej pułapce. Mógł przecież spaść i złamać nogę. Nikt by go tu nie znalazł. Wówczas zostałyby po nim taka sama kupka kości, jak po leżącej tu sowej zdobyczy. Jeszcze raz mocno napał na włącz. Tym razem kłapa ustąpiła. Ujrzał błękitne niebo i kłębiaste białe chmury. Był na dachu, na płaskim tarasie okolonym niską, kamienną balustradą. Usiadł, opierając się o ścianę komina i odpoczywał, starając się spokojnie oddychać. Ogarnęło BO nagle rzadkie uczucie spokoju. Zamknął oczy i wdychał głęboko słodkie, zimne powietrze. Myślał o tym, że musi zebrać sporą sumkę, by wyprowadzić się z Edynburgi i znaleźć porządne miejsce do życia. Zrelaksowany na chwilę porzucił te rozmyślenia i kalkulacje. Patrzył teraz na roztaczający się wokół widok, podziwiał góry, dolinę i domek myśliwski położony w zakolu potoku, ten sam, co na fotografii.

Kate zakończyła naukę w szkole w lipcu. Była rozczarowana i zawiedziona, gdy zdała sobie sprawę z tego, że pozostałe dziewczęta zajmować się będą o wiele bardziej interesującymi rzeczami niż ona. Niektóre jechały na wakacje na Capri albo do Nicei. Potem zamierzały kończyć edukację w szkołach w

Szwajcarii lub Paryżu. Inne spędzały lato w swoich wiejskich posiadłościach. Dwie koleżanki były już zaręczone. Przygnębiała ją perspektywa nauki w szkole dla sekretarek, którą miała rozpocząć we wrześniu. Najpierw jednak czekał ją wyjazd do Francji. Kate zawsze kochała letnie wypady do Trzech Kominów, ale tym razem wyjazd nie budził entuzjazmu. Emilie była zakochana i zdawała się myśleć tylko o swoim chłopaku. Całowała się już z Feliksem i opowiedziała o tym Kate z najdrobniejszymi szczegółami. Ta zaś musiała udawać ogromne zainteresowanie, chociaż w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można całować kogoś takiego jak Feliks Morin. Chłopak miał przecież fałdy na grubym, czerwonym karku i lubił się popisywać szybką jazdą na motorowerze po błotnistych drogach między domem Martina a farmą.

Martin zauważył ponury nastrój Kate. Podczas pobytu we Francji mieli zwyczaj chodzić na długie spacerunki we dwoje. Obserwując przez lornetkę drobną brązową plamkę na niebie, która okazała się zawieszonym wysoki i w powietrzu ptakiem, zagadnął:

– Musisz czuć się samotna teraz, gdy Emilie jest tak bardzo zajęta wnukiem Pierra.

– Nie przeszkadza mi to. – Kate wzruszyła ramionami.

– Cieszysz się, że będziesz chodzić do szkoły dla sekretarek?

– Raczej nie – odpowiedziała szczerze.

– Też tak sędzę. Nie musisz tam jechać, jeśli nie chcesz.

Możesz jeszcze zmienić zdanie.

– A co innego mogłabym robić?

– Możesz zacząć studia na uniwersytecie.

– Na uniwersytecie? – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Dlaczego nie? – Martin nagle się zaperzył. – W twojej starej szkole nawet nie brano pod uwagę, że dziewczęta mogą

studiować. Jesteś mądra, czemu nie chcesz tejgo wykorzystać? Możesz zdawać na jesieni, a zacząć studiować od nowego roku.

– Szkoła dla sekretarek jest w porządku, Martin.

Kate przeraziła myśl o kolejnych egzaminach.

Popatrzył na nią, jakby chciał coś dodać, ale rozmyślił się. Szli dalej w milczeniu krętą ścieżką przez las. Po chwili Martin zaproponował:

– Skoro się nudzisz, poproś Marie-Yvonne, żeby na uczyła cię gotować. To przydatna umiejętność, a jeżeli zrezygnujesz ze szkoły dla sekretarek, będziesz przynajmniej miała inny zawód.

Kate poszła za radą Martina. Ze zdumieniem stwierdziła, że przyrządzanie posiłków przypadło jej do gustu. Do powrotu do Szkocji potrafiła już przyrządzać tarty, duszone mięso, ekierki, magdalenki i pyszny pudding zwany Pływającymi Wyspami. Rozpoczęła kurs dla sekretarek i już po dwóch tygodniach wiedziała, że Martin miał rację. Nie powiedziała o tym jednak nikomu. Strach przed egzaminami nie był wystarczającą wymówką, aby zajmować się czymś tak przeraźliwie nudnym. Przygnębienie powróciło. Było tak silne, że zauważyła je matka i sugerowała Martinowi, aby przepisał Kate środek wzmacniający.

– Kate potrzebuje jedynie zmiany otoczenia. Niech wyjedzie przynajmniej na tydzień – zaproponował twardo.

Bess zawsze pragnęła odwiedzić Frazera w Ravenhart House. Napisała więc do niego z pytaniem, czy Kate, młodsze dziewczynki i ona mogłyby spędzić w Ravenhart House tydzień ferii. Jednak wkrótce Rebecca rozchorowała się. Gdy przyszedł telegram z Ravenhart House, okazało się, że tylko Kate może odwiedzić Frazera. Bess w końcu się zgodziła, przestrzegając córkę przed rozmowami z obcymi i przed pozostawianiem sam na sam z mężczyznami.

Kate była podekscytowana, gdy pociąg opuszczał Edynburg.

Jechała w przedziale z dwiema starszymi paniami i zaraz na początku podróży postanowiła wyrzucić przez okno na pozostające za nią miasto. Oświetlone słońcem kamienne domy Perth wyglądały przepięknie. Przed przesiadką na pociąg do Pitlochry, zdążyła zjeść kanapkę i wypić filiżankę herbaty. Na miejscu czekał na nią Frazer.

– Witam moją ulubioną siostrę – powiedział i ucałował ją na powitanie. Zapytał, dlaczego jest sama.

– Mama żałuje, ale nie mogła przyjechać. Rebecca nie czuje się już tak źle. Mama podejrzewała, że to koklusz, ale Martin wykluczył taką możliwość.

Po przybyciu do Ravenhart House Frazer oprowadził Kate po domu i ogrodzie. Rosnące w nim cedry rzucały długie, szare cienie na wschodnią stronę domu, bluszcz piał się po granitowych blokach, które były pozostałością starego domu, zburzonego przez ojca Sheldona Ravenharta po zakupie posiadłości. Na zewnątrz wisiał stary, wielki dzwon. Frazer wyjaśnił, że jego przodkowie używali go do przywoływania myśliwych z wrzosowisk na posiłki. Uderzył w dzwon i gromki dźwięk odbił się echem w dolinie. Zaniepokojone kawki w konarach drzew wzbiły się w powietrze jak rozrzucone kawałki czarnego materiału.

Ravenhart House zapierał dech w piersiach. Był wspanialszy, niż go sobie wyobrażała. Frazer pokazał złoty sygnet z wygrawerowanymi symbolami kruka i serca, który znalazł w rzeczach Sheldona Ravenharta. Okazał się o wiele za duży i nie pasował na żaden z palców Kate. Podzielił się z siostrą planami dotyczącymi domu. Chciał go odnowić i zmienić wystrój głównych pomieszczeń. Postanowił pomalować na biało ponurą, dębową boazerię i zmienić ciężkie, aksamitne zasłony. Otworzył na oścież wysoką szafę na tyłach domu i pokazał Kate stos chińskich talerzy, waz i naczyń do podawania posiłków.

Wszystkie nosiły znak kruka i serca, taki sam, jaki był na sygnecie. W jednym z pokoi na parterze stały puste butelki po winie i popielniczki wypełnione popiołem i niedopałkami. Za kanapą leżał porzucony jedwabny szal, a wokół gramofonu wały się pozbawione okładek płyty. Frazer zmarszczył brwi na widok bałaganu i pokręcił głową.

– Odwiedzili mnie przyjaciele z Edynburga. Wyjechali dziś rano. Poprosiłem panią McGill, aby ktoś to posprzątał, ale widzę, że nikt się jeszcze za to nie zabrał. – Był rozdrażniony.

Kate otworzyła okno, żeby odświeżyć powietrze i pomogła bratu wynieść puste butelki do spiżarni.

Frazer pozwolił jej wybrać sypialnię. Kate najbardziej spodobał się sześciokątny pokój w jednej z wież. Ogromny, znacznie większy niż jej własny pokój w domu rodziców. Obok była łazienka z przepaścistą wanną. Napełnienie jej letnią wodą z torfowisk zabierało pół godziny. W nocy wiatr hulał po dachu, boazeria i deski w podłodze skrzypiały, Kate budziła się często i rozmyślała o duchach. Nie zamierzała jednak zmienić sypialni. Bardzo podobała się jej ta spiczasto zwieńczona komnata, usytuowana w rogu i przypominająca łódkę chroniącą się w przystani przed groźnym wiatrem.

Nazajutrz poszli na spacer pobliską doliną, w której strumień przedzierał się przez wąski, porośnięty paprociami wąwóz, a opadłe liście brzoź pokrywały ziemię złocistym dywanem. Dalej potok zwalniał, grzęznął w mokradłach, pan Bain, zarządca, nazywał to miejsce leniwą wodą. Czerwonobrazowe żdźbła traw ostrzegały ich przed trzęsawiskiem wystarczająco głębokim, aby pochłoniąć dorosłą osobę. By dojść do domostw i gospodarstw opuszczonej wioski, musieli przejść strumień w bród i przedrzeć się [przez](#) zdradziecki teren. Przeskakiwali tylko po tych kępach traw, które wydawały się solidne. Chcąc sprawdzić twardość podłoża, rzucali kamykami, które cicho znikały w bagiennej

toni. W tej części doliny zawsze panował półmrok, jakby żal i smutek ludzi, którzy musieli opuścić swoje domostwa, zagościł tu na dobre. Resztki murów rzucały długie cienie na trawę i bluszcz, porastające zwalone ściany i dachy domostw. Jeżyny, pokrzywy i szczaw zarastały wałące się obory i porozrzucane głązy w paleniskach.

Mieszkający tu ludzie odeszli z powodu jeleni, które niszczyły im plony – wyjaśnił brat.

– A może przez duchy? – Kate się wydawało, że słyszy dziwne odgłosy.

– Nie sędzę. – Frazer roześmiał się.

Pokazał jej na mapie granice posiadłości Ravenhartów i zwrócił uwagę na farmy dzierżawców przycupnięte na zboczach gór. Gdy wracali z powrotem, mijani po drodze pasterze uchylali czapek, a mieszkanki wsi skłaniały głowy w geście pozdrowienia.

Któregoś dnia wybrali się do domku myśliwskiego, który stał w zakolu górskiego strumienia. Aby tam do trzec, trzeba było przejść po kamieniach w rzece. Były to pozostałości mostu, zmyte dawno temu przez wzburzoną wodę.

– Latem będziemy tu urządzać pikniki i łowić ryby powiedział Frazer. – Maxwell i ja uporządkujemy to miejsce.

– Kto to jest Maxwell? – zapytała.

– To mój przyjaciel. Nazywa się Maxwell Gilchrist.

W gabinecie Kate przepisywała na maszynie korespondencję Frazera. Zastanawiała się, czy jej brat nie czuje się tu samotny, otoczony jedynie służbą. Dociekali, dlaczego nie zamieszkał z nimi, choć mama wiele razy proponowała. Wydawało się jej, że znalazła odpowiedź Frazer pewnie też czasami doświadczał przemożnej chęci ucieczki od rodziny i matczynej opieki. To odkrycie spin wiło, że poczuła się jednocześnie urażona i winna takiej sytuacji.

Poranek, w którym Kate opuszczała Ravenhart House, był tak mroźny, że pokrył białym szronem całą dolinę Opuszczając swój wychłodzony pokój, popatrzyła ni kwieciste wzory, które mróz wymalował na szybach Gdy przemierzała dom z małą walizeczką w ręce, marzły jej uszy. W czasie podróży samochodem na stację ko lejową otuliła się starym szkolnym płaszczem oraz szalem, ale i tak szczykała zębami z zimna. W Pitlochry Frajer kupił jej tabliczkę czekolady, którą schowała do kieszeni płaszcza. Starając się rozgrzać, tupiała nogami. Na sąsiedni peron wjechał pociąg. Przez opadający dym uboje spostrzegli kogoś, kto szedł w stronę kładki między peronami. Frazer krzyknął i pomachał ręką na powitanie.

– Kto to? – spytała Kate.

– To Maxwell. Nie mówił mi, że przyjeżdża.

Kate dostrzegła już swój pociąg, wąska smużka dymu rosła w oddali. Patrzyła na Maxwella Gilchrista, który przechodził przez kładkę nad torami. Widziała, jak się zatrzymał i gwałtownie wychylił przez barierkę, ciemne, kręcone włosy zburzył powiew wiatru.

– Max! Tutaj! – zawołał uradowany Frazer. Maxwell pomachał im i zbiegł schodami. – Poznajcie się. To moja siostra, Kate. Kate, to Maxwell Gilchrist – przedstawił ich sobie.

– Ach, słynna Kate. Frazer wiele mi o tobie opowiadał powiedział Maxwell.

Kate popatrzyła na niego. Zakochiwała się w swoim krótkim życiu trzykrotnie. Za pierwszym razem był to Frazer. Odkąd sięgała pamięcią matka opowiadała o nim jak o zaginionym bracie. Jego osoba wniosła do jej życia urok tajemnicy i dalekiego, egzotycznego kraju. Uczucie to wzrosło, gdy poznała go osobiście. Był silny, przystojny i dobry. Pragnął też, aby ktoś go mocno pokochał.

Drugi raz zakochała się w Ravenhart House. Posiadłość

roztoczyła przed nią wdzięk i magię nawiedzonego domu, oczarowała niezwykłością, pozwalając unieść się nad szarą codzienność. Przebywając tu, zaspokoila nieuświadomianą sobie wcześniej tęsknotę za baśniowymi wieżyczkami, pustymi, spokojnymi dolinami i ośnieżony mi górkimi szczytami.

Choć nie spodziewała się obdarzyć tym uczuciem Maxwella Gilchrista, na wietrznym peronie stacji w Pitlochry zakochała się od pierwszego wejrzenia. Wiedziała, że stało się to w tej jednej, oszałamiającej chwili, w której jej niebieskie oczy napotkały spojrzenie szmaragdowych oczu Maxwella. Była zgubiona.

## Rozdział 11

Elizabeth zdecydowała się wreszcie odwiedzić syna w Ravenhart House. Ku jej zdziwieniu, ponowne zjawienie się tam przywołało dawne, okropne wspomnienia. Nic sądziła, że tak będzie.

– Jak ci się tu podoba? – spytał Frazer, gdy stali w salonie, gdzie ściany wyłożono boazerią i wisiały poroża jeleni.

– Znam to miejsce. Już tu kiedyś byłam. Podczas wojny przyjechałam do twojego stryja. – Bess wspomniała płodne przyjęcie i swoje przerażenie, gdy odkryła, że Cora i Frazer nie przyjechali do Anglii. Pamiętała też uczucie nicości, jakie nią owładnęło, gdy znalazła się przed tak ogromnym budynkiem. Wielkim i niedostępnym z pozamykanymi drzwiami, otoczonym ścianą drzew. Czuła wtedy, że nie należy do tego świata.

Z uwagi na Frazera nie okazywała niechęci do tego Miejsca. Patrząc na syna w Ravenhart House, odczuwała jednocześnie ból i radość. Choć Frazer widział w niej swoją matkę, Bess uważała, że jeszcze nie zasłużyła na ten przywilej. Wiedziała jednak, że nie powinna naciskać na niego lub oczekiwać należnego jej szacunku ani wymagać Gilowskiej bliskości, której on jeszcze nie potrafił okazać. Zauważyła, że Frazer polubił Kate, ale czuł się nieswojo przy młodszym siostrach. Jak sądziła, było to branie jedynaka, wychowywanego przez babkę w dyscyplinie. Elizabeth nakłaniała syna, aby podczas wizyt w Edynburgu mieszkał u niej. Ten jednak chętniej wybierał pokój w hotelu. Nie miała o to pretensji. Sama doskonale pamiętała spokój i ciszę panującą w Ravenhart House. Pomyślała, że było tam na tyle cicho, że odpoczywający po obiedzie lokatorzy domu mogliby nawet usłyszeć dźwięk upadającej na podłogę szpilki. Dla przyzwyczajonego do takich

warunków Frazera pobyt z jej rodziną byłby niczym zamieszkanie w parku zoologicznym.

Elizabeth od razu dostrzegła, że dom nie jest należycie zadbane. Przeciągając palcem po kominku, sprawdziła czy jest odkurzony. W kuchni przejrzała zawartość szafek, czym zdenerwowała gospodynię. Tutejsza służki z wyłączeniem pana Baina, nie przykładała się do pracy. Bess podejrzewała, że wykorzystują brak doświadcza życiowego i dobroduszną Frazera. Postanowiła więc przypomnieć im o obowiązkach. Poleciała pani McGall, aby wraz z Phemie, nierozgarniętą pomocą kuchenna wysprzątały spiżarnię, której zatłuszczona podłoga była zasłana okruchami chleba. Zarządziła trzepanie najbardziej zapuszczonych dywanów i zastół.

Bess zajęła się domem. Nie chciała spędzać czasu jedynie przy książkach. I chociaż nie czuła nawet potrzeby wykorzystania tych wolnych od opieki nad dziećmi chwil tylko dla siebie, niezmierną radość sprawiała jej możliwość spokojnego przespania całej nocy. Przebywając m odczuwała lekką melancholię. Atmosfera tego domu sprawiała, że odżyły wspomnienia. Przestronne pokoje, dawni mieszkańcy spoglądający z fotografii i portretów krótko mówiąc wszystkie te pamiątki przeszłości. W głębi serca nie wiązała tego miejsca wyłącznie ze złymi wspomnieniami. I chociaż wyobrażała sobie, że po powrocie Frazera nastąpi okres wiecznej radości, to jednak dzielił ich dystans, co nie dawało Bess spokoju. W dniu pierwszej wizyty syna dziękowała Bogu za tę niespodziankę. Wówczas owładnęła nią radość. Była dumna z tego, że Frazer wyrósł na wspaniałego młodzieńca, którego mogła jej pozazdrościć każda matka. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Mogła wreszcie się pozbyć ciężaru przeszłości. Z czasem uniesienie Elizabeth opadło. Kilka wspólnych miesięcy nie mogło od razu wypełnić luki trwającej dwadzieścia lat. Rozłąka

wycisnęła piętno na obojgu. Obecność Frazera czasami ją kępowała, wręcz onieśmiała. Czegoś takiego Elizabeth nigdy nie odczuła wobec córek. Miała świadomość tego, że nie zyska całkowitego zaufania syna i obawiała się, że może ją nawet obwiniać o celowe pozostawienie go w Indiach, traktował ją przyjaźnie, ale to był ten sam rodzaj serdeczności, którą dobrze wychowany Frazer oferował wszystkim, których uważał za równych sobie, ten sam uśmiech, jakim obdarzał swoje otoczenie.

Bess zdawała sobie sprawę, że narodziny Aimée, wkrótce po przyjeździe Frazera do Szkocji, tylko komplikowały sprawy. Napięcie związane z wizytą syna i z narodzinami córki wywołało u Bess emocjonalną huśtawkę, to musiało się odbić na jej zdrowiu. Czuła się tak, jakby ją przepuszczono przez maszynkę do mielenia mięsa. Wcześniej uważała, że ma w sobie niewyczerpane pokłady miłości. Teraz czuła, że może nie sprostać obowiązkom, związanym z opieką nad nowo narodzoną córeczką. Nie umiała też znaleźć takich słów dla Frazera, które przekonałyby go, że pomimo długiej rozłąki wciąż go kocha i które jednocześnie nakłoniłyby syna do okazania miłości matce. Zauważalna niechęć Frazera do fizycznej bliskości powstrzymywała Bess od przytulania syna tak często, jak by chciała. Męczyło ją to, że uczucie miłości ciągle przeplatało się z poczuciem winy. Drażniła sytuacja, w której energia życiowa – jak sądziła, dana jej na zawsze – opuściła ją w chwili, gdy była najbardziej potrzebna.

Wraz z upływem czasu Elizabeth była coraz bardziej związana ze swoją najmłodszą córką. Wciąż jednak uważała, że nie jest podobna do pozostałych dzieci, zupełnie jakby zamieniono noworodki w szpitalu. Trudno jej było pozyskać przywiązanie Frazera. Smutek ogarniał ją zawsze, gdy stwierdzała, że Frazer chętniej zaakceptowali Kate niż ją. Wciąż

się obawiała, że już nigdy się do siebie nie zbliżą. W chwilach największej rozpaczycy sądziła, że nie interesuje Frazera i uważała, że któregoś dnia może przestać ją odwiedzać, a wtedy znowu go straci.

Maxwell Gilchrist przyszedł na pięćdziesiąte urodziny ojca wyłącznie na prośbę Barbary, żony Nialla. Z całej czwórki, to jest spośród swoich dwóch braci i Avril, żony Sandiego, tylko Barbarę darzył sympatią. Była to korpulentna kobieta o pełnej twarzy i wydatnych piersiach, Maxwell często się zastanawiał, jaka Barbara jest w łóżku, wrażliwa i zbyt troskliwa, traktująca go bardziej jak matka niż jak bratowa. Podczas któregoś z rzędu, nużące go spotkania rodzinnego z okazji świąt Bożego Narodzenia, Maxwell w przypiływie nudy, dla żartu i z ciekawości z jednej strony, a z pożądania z drugiej, spróbował szczęścia. Podeszedł do Barbary, położył jej dłoń na ramieniu spojrzął na nią w wytrenowany, jednoznaczny sposób i wymamrotał kilka słów.

– Miło usłyszeć taką propozycję, ale nie sądzę, żeby spodobało się to Niallowi – odpowiedziała Barbara i dodała zaraz: – A może wolałbyś, abym stanęła tu jak wryli? Mogę to zrobić, jeśli chcesz. – Oboje wybuchnęli śmiechem. Bratowa zwichrzyła mu włosy i pocałowała w policzek, co wyzwoliło w Maxwellu nową falę pożądania.

Od tamtej chwili pozostawali w jak najlepszej komitywie. Kiedy więc usłyszał od Barbary: „Twój ojciec oczekuje wszystkich swoich synów na przyjęciu urodzinowym. Zrobisz mi wielką przykrość, jeżeli nie przyjdiesz. A na pewno wszystkim zepsujesz wieczór”, żeby zrobić jej przyjemność, zgodził się. Początkowo chciał wywołać u ojca skandal, przychodząc kompletnie pijany lub przyprowadzając ze sobą jakąś prostytutkę z ulicy Princess. Uznał jednak, że nie warto

wszczynać wojny i choć niechętnie, zrezygnował ze swoich przewrotnych planów. Pojawił się więc na przyjęciu w towarzystwie Virginii Pagett – smukłej, ciemnowłosej i bogatej modelki. Jej przemiłe spojrzenie zdradzało osobę skłoną do namiętności, jeśli tylko umiałoby się ją rozpaścić.

Barbara zgodziła się przejąć rolę gospodarzy. Salon domu przy placu Charlotty rozświetlało światło kryształowych naczyń i świeczników. Ubrane na czarno służące nosiły kieliszki szampana. Przedstawiciele plutokracji i politycy mieszały się z zaproszonymi biznesmenami i adwokatami, dzięki którym Andrew Gilchrist dotarł tak wysoko. Wynajęto nawet kamerdynera, anonsującego gości. Ojcu chyba się coś poplątało z tym kamerdynerem i jak zawsze przesadził z wystawnością, pomyślał Maxwell. Uśmiechał się lekceważąco, śledząc prezentację przybywających.

Maxwell przedstawił Virginii swoich braci. Ci jednak nawet nie ożywili się na widok nowo poznanej piękności. Niall, choć nie miał jeszcze trzydziestu lat, zaczął łysieć. Ciemnymi oczyma, które zawsze przypominały Maxwellowi oczy fretki, lustrował otoczenie. Sandy był drobny i zawsze się garbił. Gdy jego żona, Avril, zwracała się do Maxwella, robiła to protekcjonalnie i ostrożnie zarazem. Rozmawiała z nim tak, jak zwykle się mówi z niezrównoważonym psychicznie krewnym. Zapewne musiał się jej kiedyś narazić, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, o co chodziło. Avril panicznie bała się swojego teścia i drżała, gdy tylko Gilchrist spoglądał w jej stronę. Jednak dziś solenizant ignorował synową, bo – jak przypuszczał Maxwell – była dla niego zbyt łatwym celem. Jego ojciec prześladował jedynie tych, którzy wchodzili mu w drogę. Ponieważ Andrew Gilchrist zapewniał utrzymanie domów Nialla i Sandie go, kupował im samochody i opłacał szkołę swoich wnuków, żaden z jego braci, ani żadna z ich żon nigdy

by tego nie zrobili.

– Twój ojciec będzie zachwycony. Jest tylu gości – mu widać rozpromieniona Barbara.

Żadna z synowych nie śmiała mówić do Andrew Gilchrista ani po imieniu, ani „tato”. Jak podejrzewał Maxwell, czyniły tak, aby zachować dystans i tym łatwiej trzymać potwora w bezpiecznej odległości.

W pewnej chwili Sandy zaczął podejrzliwie przyglądać się przekąsce, którą miał na talerzyku.

– Cóż to takiego? – zapytał.

– Ostrygi z boczkim – odparła zielona na twarzy Avril.

– A moja niestrawność...

Natychmiast interweniowała Barbara, która zabrała szwagrowi talerzyk i ukryła go w stojącej obok donicy.

– Czy dobrze się czujesz, Avril? – zapytała.

Zona Sandiego przy szeroko otwartym oknie oddychała głęboko. Barbara podeszła do niej i starając się ją pocieszyć, poklepała delikatnie po plecach. Wcześniej I kida, piegowata twarz Sandiego zaróżowiła się.

– Oczekujemy wspaniałego wydarzenia – powiedział bojaźliwie.

– To wspaniałe! To doskonała wiadomość! – wykrzyknęła Barbara.

– Wiadomość? Jaka wiadomość? – dochodziło zza ich pleców.

Maxwell był pod wrażeniem tego, co się potem wydarzyło. Samo pojawienie się ojca wystarczało do zmrożenia atmosfery. Oto jego najbliżsi dali właśnie próbkę tego, co zwykle się nazywało w rodzinie rozmową. Nadchodził ich ojciec i w jednej chwili wszyscy zwrócili się ku niemu, onieśmieleni, (skrępowani i w napięciu mocniej ściskający szklanki z napojami. Andrew Gilchrist zawsze był wysoki i dobrze

zbudowany. Z biegiem lat nieco przytył. Miał zaokrągloną twarz, z której wyzierały oczy przypominające czarne bryłki bazaltu.

– Co u was słychać? – zapytał zwracając się do synów.

– Avril spodziewa się dziecka, ojciec – poinformował Sandy.

– Najwyższy czas na potomka. Ile to lat jesteście po ślubie?

– Trzy, ojciec.

– Widzę, że strasznie się grzebałeś. – Gilchrist skarcił syna i przyjrzał się Avril, która stojąc przy oknie, zasłaniała usta chusteczką. Po, czym dodał: – Powinieneś ożenić się z kobietą, która ma nieco więcej ciała.

– Tak, ojciec – odpowiadał niezmiennie coraz bardziej purpurowy na twarzy Sandy. – Jeżeli urodzi się chłopiec, postanowiliśmy dać mu na imię Andrew, na twoją cześć, ojciec.

Szmer uznania przeszedł wśród gości. Ale podlizuch, pomyślał Maxwell. Poczciwy Sandy zawsze kadził ojcu.

– Ty przynajmniej masz żonę. Czego niestety nie mogę powiedzieć o wszystkich moich synach.

– Ja jestem jeszcze za młody, aby się żenić – odezwał się poważnym tonem Maxwell.

– Za młody? Po prostu wszystkie porządne kobiety cię unikają.

– Co to, to nie. Przecież jestem tu z Ginny.

Gilchrist spojrział w stronę Ginny, otoczonej wianuszkami mężczyzn.

– Ta tam? To zwykła zdzira.

– Masz rację, ojciec. Ale to bardzo pożyteczna zdzira.

Gilchrista ogarnęła złość. Położył synowi rękę na ramieniu i odeszli na stronę.

– Spójrz na siebie, jak ty wyglądasz! – zganił go. Istotnie. Maxwell zgubił gdzieś swoje wyjściowe ubranie, a to, w którym przyszedł, pożyczył w kawiarni od kolegi. Miał więc na sobie za

długie spodnie, w nadmiarze zbierające się na butach i marynarkę z postrzępionymi mankietami.

– Pewnie znów jesteś bez grosza – bardziej stwierdził niż zapytał ojciec.

– Zgadza się, ojczu – odparł Maxwell i zaraz dodał: Może pożyczylbyś mi kilka funtów...

Andrew Gilchrist umiał hojnie obdarować synów, jak zawsze czynił to według własnego uznania. Chociaż oczekiwał wdzięczności, odnosił się z pogardą do sposobu, w jaki dzieci mu ją okazywały, uznając to za zwykły płaszczenie się. Sam uwielbiał jednak kapryścić. Lubił uzależniać od siebie innych. Najpierw przedstawiał im perspektywę życia w luksusie, a potem okazywał pogardę za ich chciwość i służalczość. Gdy tylko wiedział, że komuś na czymś zależy, wykorzystywał to i znęcał się nad nim bez litości. Złość Gilchrista dotykała wszystkich w równym stopniu. Maxwell szybko odkrył, że ojciec rządzi nimi umiejętnie, manipulując poczuciem niepewności. To dlatego Niall pił, Sandy miał do żywego poobgryzane paznokcie, a on sam cierpiał na wieczne bóle głowy.

– Jeśli pytasz, czy mógłbym pożyczyć ci parę funtów, to jak rozumiem, zamierzasz oddać dług?

– Tak, ojczu.

– A kiedy?

– Jak najszybciej.

– Czyżbyś znalazł pracę?

– Można tak powiedzieć, ale to nic konkretnego – wyznał szczerze.

– Lepiej będzie, jeśli pójdziesz w ślady swoich braci i podejmiesz pracę u mnie. Zarobisz wtedy na utrzymanie i nie będziesz musiał chodzić po prośbie.

Od lat prowadzili podobne rozmowy. Maxwell chciał

początkowo powiedzieć ojcu, że nie warto znów wracać do jego propozycji. Prędzej umrze z głodu, niż skończy tak jak Niall i Sandy.

– Nie, ojcze.

– Harowałem jak wół, aby zapewnić wam przyzwoite warunki życia. Wielu oddałoby wszystko za możliwość i u mieszkania w takim domu, a ty nic tylko wybrzydzasz.

Maxwell zaczynał się irytować. Nigdy nie uważał domu przy placu Charlotty za swój dom. Sądził bowiem, że w tym pojęciu mieści się coś więcej niż pokój dla każdego i regularne posiłki. Udając, że się rozgląda po salonie, z którego jego ojciec był tak dumny, oświadczył:

– Nie bardzo mi się tu podoba, ojcze. Jest za bogato.

– Ale z ciebie impertynent. Jesteś bezczelny!

Wokół zapadła cisza. Słysząc było jedynie szybki oddech Gilchrista, który starał się zapanować nad sobą.

– Mam w biurze jeden wolny etat. To praca w księgowości. Akurat dla ciebie. Przynajmniej nie pobrudzisz sobie rączek. Jeżeli chcesz, możesz zacząć od jutra.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Andrew przyjął odpowiedź syna jako wyzwanie.

– Wobec tego, nie mogę ci służyć pomocą. Porozmawiamy, kiedy trochę zmądrzejesz. Jestem przekonany, że będziesz mnie jeszcze błagać o tę posadę – powiedział, po czym oddalił się w stronę gości.

Maxwella rozboleła głowa od wypitego szampana. Czuł wstręt do samego siebie. Zastanawiał się, patrząc na ponad setkę zgromadzonych tu osób, ile z nich oczekuje pomocy od jego ojca, a na ilu zależy Andrew Gilchristowi. Ojciec posługiwał się pieniędzmi w celu zacieśnienia kontroli zarówno nad swoimi przedsięwzięciami, jak i nad ludźmi. Po rozmowie z nim Maxwell musiał się napić czegoś mocniejszego. Gdy

przechodził przed drzwiami prowadzącymi do gabinetu ojca, usłyszał jakieś dźwięki. Wiedziony ciekawością zajrzał do środka, leciutko uchylając drzwi. Wewnątrz, oświetlony skąpym światłem, siedział Simon Voyle. Rozparty za biurkiem Andrew Gilchrista, z nogami na blacie i szklaneczką whisky w dłoni, czytał jakieś dokumenty. Maxwell chrząknął, na co Voyle natychmiast skoczył na równe nogi. Na czole wystąpił mu pot.

– To ja. Nie bój się. Nic nie powiem – zapewnił Voyle’a, wchodząc do środka.

– Ja tylko... – zaczął.

– ... czytam dokumenty ojca i wypijam mu whisky dokończył młodzieniec, patrząc na leżące na biurku papiery i otwartą butelkę dwudziestopięcioletniego trunku.

Voyle wkładał już papiery na miejsce, a Maxwell nalał sobie whisky.

– Może znalazłeś coś interesującego?

– Wszystkie przedsięwzięcia finansowe twojego ojca są interesujące – odparł chętnie Voyle.

– Nie obawiaj się, Voyle, nie polecę z tym do ojca.

– A twoi bracia?

– Im też nie pisnę ani słówka. Przecież wszyscy wiemy, kto gra im na nerwach.

– I mnie – rzucił zjadliwie Voyle i dodał: – I tobie też.

– Mnie nie. Już się stąd urwałem – zapewnił Maxwell. Jednak widząc niedowierzanie na jego twarzy, powiedział dobitnie: – Ty za to będziesz na każde skinienie ojca aż do późnej starości.

Voyle zaprzeczył tylko ruchem głowy. Był jednak tajemniczy i wyraźnie zadowolony z siebie.

– W każdej chwili mogę rzucić to wszystko.

– Tak? A skąd weźmiesz pieniądze na spłatę kredytu hipotecznego i na utrzymanie rodziny?

Voyle poklepał się po kieszeni.

– Nie sądzisz chyba, że się nie zabezpieczyłem? – I nie mówiąc ani słowa więcej, wymknął się z pokoju.

Co, u licha, miała na myśli ta nędzna kreatura? Maxwell rozsiadł się wygodnie i nalał sobie drugą szklaneczkę. Zastanawiając się nad jego słowami, doszedł do wniosku, że Voyle jedynie udaje usłużnego pracownika. Był poruszony tym odkryciem. Chociaż Simon Voyle porównał go do braci, Maxwell różnił się od nich i nienawidził, gdy stawiano ich trzech w jednym szeregu.

Maxwell na dobre stracił humor, ból głowy się wzmocnił, nawiedzały go same czarne myśli. Nagle wspomniął pobyt w Ravenhart House. Przebywając tam, nie czuł piętna, jakie na każdym z członków rodziny wyciskało życie w tym domu. Tu zawsze był czujny i napięty. Od wczesnego dzieciństwa stałe się pilnował, próbując przewidzieć reakcję ojca na wszystko, co zrobi. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo nienawidził tego miejsca, wciąż stanowił jego część. Świadomość tej przynależności i towarzyszyła mu jak cień. Dopiero w Ravenhart poczuł się wolny. Maxwell dopił whisky i już chował butelkę i szklanki do barku, gdy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Postanowił wszystko zostawić na biurku tak, aby ojciec dowiedział się, że ktoś naruszył zacisze jego gabinetu. Po czym wrócił na przyjęcie, szukając Virginii.

Przebywający w hrabstwie Perth już sześć miesięcy, Frazer zajął się odnawianiem domu, który z zewnątrz wyglądał dobrze, ale był źle urządzony i miał przygnębiające, stare wnętrza. Już pierwsza zima obnażyła nieefektywność systemu ogrzewania i sieci elektrycznej. Kotły z wodą ciągle jeszcze podgrzewano węglem, a prąd wytwarzała olejowa prądnica. Gdy śnieg pokrył wzgórza i doliny, Frazer stwierdzał każdego rana, że w kranach

jest tylko lodowata woda, a wewnętrzną stronę szyb pokrywa cienka warstwa lodu.

– To nic nowego. Zawsze zimą jest tu bardzo chłodno powiedziała pani McGill. Dla niej kąpiel w zimnej wodzie i wychłodzone pokoje były czymś normalnym. Przypomniała, że trzeba zakupić węgiel, bo kończą się zapasy.

Ponieważ nie było w domu telefonu, Frazer musiał osobiście pojechać do miasta i zamówić dostawę. Nie powstrzymał się od stwierdzenia, że w Indiach zająłby się sprawą służący. Nie mógł jednak posłać na szesnastokilometrową wyprawę przez zasy ani cierpiącej na reumatyzm pani McGill, ani Phemie, która zaraz za progiem wszystko by zapomniała. Nie nadawał się też nikt z pozostałej służby. Żadna z osób, które Frazer spotykał przy czyszczeniu schodów czy wywieszaniu prania, nie pojawiła się od rana. Woleli zostać w swoich ciepłych domostwach, pomyślał oburzony. Był jeszcze zarządca, pan Ronald Bain, do którego obowiązków należało zaopatrzenie domu, także w węgiel. Jednak Frazer nieco się go obawiał, widząc niekiedy pogardę w jego spojrzeniu. Po południu zdecydował się wyprowadzić auto z garażu i pojechać do Pitlochry. Ruszył ponad trzydziestokilometrową drogą do miasta i z powrotem. Nie chcąc wpaść w poślizg na wąskiej drodze lub skończyć podróży w rzece czy zamrożonym bagnie, cały czas jechał mocno skoncentrowany. Wrócił skonany. Wszedł do domu i zdjął w drzwiach szalik i rękawiczki. Choć zawsze było tu ciemno, dzisiaj wewnątrz domu wyglądało wyjątkowo ponuro. Zamiast żarówek w holu paliły się świece. Frazer zaklął, potykając się o zawinięty róg dywanu. Salę paradną również oświetlały świece. Frazer zawołał panią McGill.

– Ta machina – bo takim zwrotem gospodyni określali generator – zepsuła się – oznajmiła radośnie. Pani McGill bała się nowoczesnych urządzeń i nie akceptowała ich.

– Czy są w domu jakieś lampy naftowe? – dociekał zdenerwowany Frazer, na co jego rozmówczyni oddaliła się gdzieś drobnymi kroczkami. Po chwili Phemie przyniósł dwie zakurzone lampy.

Frazer usadowił się tuż przy ogniu i zjadł kolację, składającą się z zupy, chleba i sera. Jeszcze tego samego wieczora pani McGill zniknęła, usprawiedliwiając się koniecznością odwiedzenia chorej krewnej. Niedługo potem, gdy Frazer w poszukiwaniu swetra wchodził po schodach, usłyszał szlochanie. Zapłakana Phemie ukryła się za kotarą. Po długich namowach wyznała, że za nic nie pójdzie do swojego pokoju na poddaszu, bo tam straszy. Frazer uspokajająco głaskał ją po ramieniu i przekonywał, że jest bezpieczna. W odruchu współczucia wręczył jej swoją latarkę i garść cukierków, które uwielbiała.

Wreszcie mógł odpocząć. Siedząc w sali paradnej, na słuchiwał szmerów i zgrzytań rozlegających się w tej starej siedzibie i przyglądał się rozkołysanym, czarnym jak sadza, cieniom na ścianach. Za oknami świszczący wiali pokrywał szyby warstwą białego puchu. Panowała wręcz idealna atmosfera do rozważań o potępionych duszach przemierzających ciemne korytarze, które w niewidzialny sposób otwierają drzwi do pokoi. Frazer siedział tu samotny, pozbawiony jakiegokolwiek towarzystwa, nawet tych, których uważał za swoich przyjaciół. Miał złe samopoczucie, bo nie znoził być sam. Nie po raz pierwszy złapał się na obmyślaniu planów sprzedaży posiadłości zakładał, że znajdą się chętni – i przeniesienia się w bardziej cywilizowane miejsce. Może do Londynu, a może do Paryża. Ostatecznie zawsze porzucał te plany, wiedząc, że nie będzie mógł tak postąpić. Wzdragał się na myśl o konieczności pozostania na zawsze w miejscu, gdzie ani on nikogo nie znał, ani jego nie znano. Liczył i się też

wartość posiadłości, a on był ostatnim z Ravenhartów.

Dzięki temu domowi miał też przyjaciela w osobie Maxwella Gilchrista. Do dziś pamiętał jego przyprawiony zazdrością zachwyty nad Ravenhart House. Nie był dumy z własnej pozycji pomyślał, że Maxwell z pewnością chciałby zostać bogatym właścicielem ziemskim. Ze względu na Maksa Frazer kazał przygotować ogromny, wygodnie urządzone pokój z oknami od frontu. Nowy kompan prowadził chaotyczne życie, nie mogąc nigdy ii zagrazać miejsca na dłużej. Wcześniej Frazer nie znał nikogo kto żyłby z dnia na dzień. Pewnie chciałby tutaj się poczuć jak u siebie, pomyślał. Max był tak zachwycony pokojem, że przez większość pobytu nie opuszczał domu. Podczas jego odwiedzin wszelkie wątpliwości opuściły Frazera. Był nawet szczęśliwszy niż w czasach dzieciństwa w Indiach, gdzie dorastał pod okiem babki, chroniącej go przed wszelkimi kłopotami. Osobowość młodego Gilchrista sprawiała, że wszystko wokół ulegało zmianie. W jego towarzystwie opuszczała Frazera dręcząca niepewność. Nabierał poczucia własnej wartości. Stawał się Ul kim, jakim widział go wiecznie rozbawiony Maxwell. Frazer się zastanawiał, czy jego nowy znajomy zaprzyjaźniłby się z nim, gdyby nie był właścicielem Ravenhart Mouse. Nie potrafił go rozszyfrować. Max miał zmienny charakter. W jednej chwili wpadał w depresję, co deprymowało Frazera. Znikał też bez uprzedzenia na całe tygodnie. Nigdy nie informował, gdzie i do kogo idzie. Podejrzewał, że chodziło o kobietę. Gdy Gilchrist wyjeżdżał, Frazer zachodził w głowę, czy kiedykolwiek wróci. Jakiś miesiąc temu pojechał na stację kolejową w Pitloiliry po Maksa, który zgodnie z wcześniejszą umową powinien przybyć. Przecież to on wpadł na pomysł zorganizowania przyjęcia w Ravenhart House. Gdy odjechał drugi z pociągów, którym mógł przyjechać Max, Frazer zrozumiał, że przyjaciel zrezygnował z

odwiedzin i miał innym za złe, że właśnie oni wysiadają tu, a nie Max. Oczekując na przyjazd Gilchrista, Frazer wałęsał się po Pillochry, stwierdzając, że jest to zapadła dziura, zabudowana drewnianymi budynkami i posiadająca zaledwie kilka małych herbaciarni. Ostatecznie zniechęcił miasteczko, nie znajdując po powrocie do domu telegramu od Maksa. Jakby tego było mało, malarz odnawiający salę paradną, wykorzystując nieobecność gospodarza, wcześniej skończył pracę. Wszystkie puszki po farbie, pędzle, szmatki do ich wycierania i drabiny pozostawił w bezładzie na podłodze. Po dwóch drinkach, które mu siał wypić, Frazer rozładował swoją złość, wymierzając kopniaka puszcze farby. Gdy biała plama rozlała się po podłodze, wrzasnął na Phemie. Wystraszona służąca natychmiast zjawiała się ze szczotką i wiaderkiem. Kiedy jednak w wyniku jej działań plama znacznie się powiększyła, pan domu znów sięgnął po kieliszek. Nie wściekałby się tak bardzo na Maksa, gdyby to, co się zdarzyło po powrocie do domu, nie działało się naprawdę. Frazer zrozumiał, że Max nim zawładnął. I nie chodzi jedynie o wspólne noce, ale też o wszystkie wypadki do restauracji, za które płacił i sumy, którymi go obdarowywał. Pijąc dalej, uspokoił się na tyle, żeby podziękować Phemie za zrobienie porządku. Dziewczyna grzecznie dygnęła i zniknęła najszybciej jak umiała.

Frazer nie poszedł na przyjęcie. Nie chciał się zmuszać do zachowania pozorów radości, a poza tym większość gości stanowili znajomi Maksa. Gdy po paru dniach Gilchrist wreszcie się zjawiał, znowu zirytował Frazera i tylko szczere okazanie skruchy przywróciło mu dobry humor. Wieczorem Frazer, otulając się kocami, wcześniej położył się spać. W nocy przeszła burza śnieżna i zasypali wszystko białym puchem. Kiedy wyjrzał przez okno, przeszedł go dreszcz. Samochód nie zdoła dotrzeć nawet do domu pana Baina, nie mówiąc już o

podróży do Pitlochry. Kryształowe sople lodu niczym sztylety zwisał w z rynien. Wierzchołki pobliskich gór spowijały białe chmury, zapowiadając opady śniegu. Tego wieczoru, grzejąc się przy kominku, Frazer postanowił, że wybierze się do Edynburga, gdy tylko droga do Pitlochry będzie przejezdna. Nie chciał tu wracać wcześniej niż na wiosnę, kiedy już będzie cieplej. Aż podskoczył i rozlał whisky na ogień, słysząc walenie w drzwi. Przez szybę dojrzał tylko wirujący śnieg i bezkresne nocne niebo. Trzęsącymi się ze krachu rękoma, otworzył zamek, nie wiedząc, czego się spodziewać: duchów, o których mówiła Phemie, czy stada wilków, które wędrowały ostatnio opustoszałymi wzgórzami.

– Max. – Frazer z wyraźną ulgą powitał gościa, otwierając drzwi.

Maxwell wszedł do sieni i otrzepał z siebie śnieg wprost na kamienną podłogę. Jadąc tutaj przemarzł, na końcach jego kręconych włosów utworzyły się sople lodu.

– Jak ci się udało tu dotrzeć w taką pogodę? – Frazer był szczerze zdziwiony.

– Jechałem, czym się dało z Perth. Bardziej na południe nie ma takiego śniegu. Ostatnie kilometry przebyłem wierzchem i na furmance. Fantastyczna podróż. Zupełnie, jakbym się nagle znalazł w zamierzchłej przeszłości.

Ponieważ wciąż trząsał się z zimna, gospodarz pomógł mu zdjąć przemoczony płaszcz i szalik. Potem gość stanął przy kominku, żeby się ogrzać, a Frazer nalewał whisky.

– Nie mogłem się powstrzymać od przybycia tutaj w zimę. Czyż okolica nie jest wspaniała? – Jego spojrzenie iskrzyło się radością.

– Ależ tak – potwierdził Frazer.

Podał mu szklaneczkę trunku. Zachwyt Maxwella. Udzielił się i jemu. Frazer uwierzył w to, co właśnie powiedział. Tu, w

jego domu, było naprawdę wspaniale.

Kate się nie spodziewała, że w taki sposób można się zakochać. W każdym razie w książkach, które przeczytała, nie było takiego przepisu na miłość. Wiedziała już, że aby się zakochać, potrzebne jest jakieś nadzwyczajne wydarzenie, jakaś iskierka. Wołałaby jednak, aby jej wybranek dokonał bohaterskiego czynu. Mógłby na przykład osłonić ją przed gwałtowną burzą czy uratować przed galopującym koniem... A tu? Zakochała się na peronie kolejowym w Pitlochry, gdzie młody człowiek tylko się z nią przywitał i od razu zawstydził, wypowiadając zaledwie jedno zdanie: „A oto i ta wspaniała Kate, o której Frazer tyle mi opowiadał”. Zupełnie nie wiedziała, co te raz zrobić. Uczucie pojawiło się w jej życiu tak samo nagle, jak pojawia się atak różyczki. Myśli o Maxwellu nic dawały jej spokoju. Myślała o nim, gdy kładła się spać, myślała, gdy budziła się rano. Przez to była zła, wyrzuciła sobie, że znowu odczuwa to, co przed laty, gdy ciężko zachorowała na grypę. Chodziła rozbita i smutna, cierpiąc jednocześnie z tęsknoty. W Kate zrodziło się uczucie Wspomnienie własnego zachowania na dworcu kolejowym w Pitlochry nie dawało jej spokoju. Zacerwieniła się wtedy i zaniemówiła, nie mogąc wykrztusić słowa. Teraz doszła do wniosku, że musiała wyrzucić na Maxwellu okropne wrażenie – ubrana w znoszone szkolne palio i zrobiony przez Pamelę na drutach wełniany szalik.

Kate po raz pierwszy w życiu zaczęła zwracać uwagę na swój wygląd. Za pieniądze od sąsiadów, którym pilnowała dzieci, kupiła na ulicznym straganie kilka drobiazgów: parę jedwabnych pończoch, niebieski, aksamitny beret i jaskrawożółtą bluzkę ze sztucznego jedwabiu. Zapuściła też grzywkę i zmieniła fryzurę, rozpuszczając włosy. Kiedy patrzyła

w lustro, myślała czasami, że rzeczywiście może się podobać.

Pewnego lutowego dnia, idąc późnym popołudniem ulicą High, dostrzegła Maxwella. Bez czapki, ubrany w szary płaszcz szedł prosto na nią. Pomimo panującego chłodu i wirujących w powietrzu pojedynczych płatków piegu, Kate poczerwieniała, a jej puls przyspieszył. Młodzieniec przeszedł obok. Kate nie chciała go zatrzymywać, obawiając się, że może jej nie pamiętać. Wtem, kątem oka dostrzegła, jak Maxwell zawraca w miejscu.

– Kate! Kate Ravenhart! – powitał ją.

– Kate Fearnley, jeżeli już.

– Ach tak! – zmieszał się. – W każdym razie przyrodnia siostra Frazera. Co robisz w Edynburgu?

– Mieszkam tu.

– Zabawne, bo i ja czasami tu mieszkam.

– Jak to czasami?

– Właśnie wróciłem z Ravenhart – zaczął wymijająco.

Pomagalem tam Frazerowi. – Po czym zatrząś się z zimna. – Nie odmówisz mi wypicia wspólnie filiżanki kawy?

Kate w ostatniej chwili powstrzymała się przed wymówką: „Nie mogę, właśnie czeka na mnie mama” i przyjęła zaproszenie, mówiąc:

– Bardzo chętnie napiję się czegoś ciepłego. Weszli do małej kawiarenki „Two Magpies”, której ściany zajmowały pastelowe portrety i olejne obrazy, przedstawiające nadaśane damy, siedzące na sofach z podwiniętymi nogami i wyglądających przez okno znudzonych dżentelmenów. Twarze niektórych postaci zastępowała rozmazana, pomarańczowa lub fioletowa plama.

Powitały ich dźwięki odtwarzanej na gramofonie piosenki „Mackie Majcher” i zwinięty w kłębek na kontuarze czarny kot. Siedzący w lokalu mężczyźni pod sfatygowanymi płaszczami

nosili koszule ze stójką, a ich towarzysze czarne swetry lub bluzki w krzykliwych kolorach. Wszyscy uśmiechali się i pozdrawiali Maxwella. Widać nie był tu po raz pierwszy. Chcąc zapłacić z góry, Gilchrist przeszukiwał kieszenie. Niestety, znalazł tylko trzy pensówkę i to Kate musiała uregulować należność.

– Bardzo mi przykro, ale nie wziąłem ze sobą pieniędzy – usprawiedliwiał się.

Usiedli przy stoliku. Maxwell ogrzewał dłonie o go racą filizankę.

– A więc nazywasz się Fearnley – zagadnął.

– Tak.

– Wiem, że Frazer nazywa cię swoją siostrą. Jednak jesteś za młoda na męża. Jak to jest z waszymi nazwiskami?

Kate zachichotała.

– Oczywiście, że nie jestem mężatką. Ojciec Frazera nazywał się Jack Ravenhart, a mój Ralph Fearnley A więc jesteśmy przyrodnim rodzeństwem.

– To skomplikowane.

Kate spostrzegła, że Maxwell ma zawsze rozbawione oczy. Zupełnie jakby we wszystkim upatrywał żarłu. W obawie, aby niezręczna cisza, która właśnie zapadła nie zamieniła wesołej atmosfery spotkania w nudę, mówiła dalej:

– W sumie moje przyrodnie rodzeństwo składa się z czterech braci i trzech sióstr. I każde z rodziców ponownie zawarło ślub.

– A to dopiero.

– Moja mama wyszła za pana Jago, a tata ożenił się z Pamelą i teraz ona nosi nazwisko Fearnley.

– Już się w tym wszystkim pogubiłem – podsumował Gilchrist i wyjął paczkę francuskich papierosów. – Pewnie jeszcze nie palisz?

– Przeciwnie.

- Przypalił Kate papierosa. Wtedy ich dłonie musnęły się.
- Augustus John przyznawał się do tuzinów dzieci, a więc wasza... ile to było... ósemka, to nic wielkiego.
  - Augustus John?
  - Malarz.
  - Ach tak! Oczywiście.
  - Nie interesujesz się sztuką?
  - Interesuję się. Nawet bardzo – wyznała szczerze – ale niewiele o niej wiem.
  - A o czym wiesz wszystko?
  - O balecie. Bardzo go lubię. Dużo też czytam.
  - A co ostatnio?
  - Byrona – odparła, bo akurat miała przy sobie tomik jego poezji.
  - Byrona – podchwycił Maxwell i zacytował: „Nie sposób dalej wędrować pośród nocy tak ciemnej”\* [„So, we'll go no more a roving”, G. G. Byron (tłumaczenie Barbara Szyszko).] – po czym uśmiechnął się, nie kryjąc rozbawienia. – Czy wiesz, że Byron żył ze swoją przyrodnią siostrą?
- Kate oblała się rumieńcem i szczerze ucieszyła, gdy do stolika podeszła kobieta, wybawiając ją z opresji. Nieznajoma spytała:
- Gdzie się podziewałeś, Maxwell?
  - Trochę tu, trochę tam, Jen.
- Gilchrist rozmawiał z niską, otyłą kobietą ubraną w poplamione farbą spodnie i podziurawiony trykot w kolorze dojrzałej jeżyny. Zbyt długa grzywka opadała jej na oczy i tylko część zaniedbanych włosów była założona za ucho.
- Szkoda, że cię tu ostatnio nie było – rzuciła i zmierzyła Kate posepnym spojrzeniem.
  - Jen, to jest Kate Fearnley. Kate, poznaj Jenny Watts. – Maxwell przedstawił sobie obie panie i kontynuował: Nie złość

się na mnie, droga Jenny. Wiesz, jak bardzo te go nie lubię. – Ujął dłoń Jenny i złożył na niej pocałunek.

To ją uspokoiło, więc uściśnęła Maxwella.

– Ty gagadku! – skarciła Gilchrista. – Jeśli będziesz miły, to możesz przyjść na kolację dziś wieczorem – dodała na odchodne protekcjonalnie zmierzwiła mu włosy.

Kate przeżywała jednocześnie uniesienie i rozpacz. Była szczęśliwa, że Maxwell ją rozpoznał i zaprosił na kawę, Temu uczuciu nie zagroził nawet fakt, że sama zapłaciła rachunek. A była zdesperowana, ponieważ stało się jasne, że traktuje ją jak dziecko. Za młoda do zamążpójścia, za młoda żeby palić, a może i za młoda, żeby się z nią przy jaźnie. Naśladując sposób, w jaki Maxwell pocałował Jenny, Kate kilkakrotnie pocałowała własną dłoń.

Gdy w jakiś czas później przyjechała na weekend do Ravenhart House, Maxwell już tam był. Zaraz po jej przybyciu cała trójka udała się na spacer wzdłuż wijącego się doliną potoku. Kate rzuciła okiem w stronę Maxwella, upewniając się, czy go nie oceniła zbyt surowo. Mógł się zmienić. A może te rysy twarzy i ten głos o miłym tembrze istnieją tylko w jej wyobraźni? Po chwili doszła jednak do wniosku, że wszystko jest po staremu, że doskonale pamięta Maxwella. Wydawało się jej, że już w chwili pierwszego spotkania wiedziała o nim wszystko.

Domek myśliwski znajdował się około dwa i pół kilometra od Ravenhart House u zbiegu dwóch strumieni. Jeden z nich spływał z gór, tworząc liczne wodospady i jeziora. Postanowili iść wzdłuż porośniętego sosnami i brzoźami koryta rzeki, wrzynającego się w wysokie skały. Rwąca kipiela przebijała się tu przez rdzawy piaskowiec wielkimi kaskadami, jak i tysiącem malutkich strużek. Woda drażyła napotkane skały, tworząc po

jakimś czasie majestatyczne nawisy skalne na całej długości potoku, połamane przez zimowe wichury gałęzie, uwięzione w skalnym rumowisku, obijały się o siebie w rytmie przepływającej wody. U podnóża skalnej ściany powstało owalne jezioro, które zasilala woda, spadająca z wysokiego wodospadu. Promienie słońca przebijały się przez korony drzew, aby sięgnąć wody i migotać na jej powierzchni. Zarówno wodospad, jak i jezioro schowane były za skalną rozpadliną i ścianą lasu. Można było je podziwiać tylko z położonej niżej doliny. Wokół panowała niemal absolutna cisza, przerywana jedynie skrzypieniem sosen i szumem wiatru w ich koronach. Stojąc nieruchomo, Kate dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nasłuchując ciszy, wstrzymała oddech.

Przeskakując z kamienia na kamień, Maxell szedł brzegiem jeziora. Gdy przystanął, rzucił kamieniem w wodę. Kate usłyszała plusk i musiała długo czekać, aż kamień osiągnie dno zbiornika. Wtem chmury zakryły tarczę słoneczną. Z wody natychmiast zniknęły złote ogniki i w wąwozie, gdzie stali, zrobiło się ciemno. Kate przeszły dreszcze po plecach.

Pozostawiając rzekę za sobą, wspinali się dalej, przedzierając przez las. W dole widać już było domek myśliwski, stojący na cyplu obmywanym przez dwie strugi. Ponieważ młodzieńcy szli przodem, Kate mogła podziwiać ich wspaniałe sylwetki. Pomyślała nawet, że są nierozłączni jak słońce i cień: jasnowłosa, nieco wyższy i lepiej zbudowany Frazer i ciemnowłosa, nieprzewidywalny Maxwell. Wiatr niósł do niej strzępki prowadzonej rozmowy:

– Kiedyś organizowano tu nawet przyjęcia. Widziałem stare fotografie...

– A może i my coś zorganizujemy...

– Czemu nie. Może latem.

– A co tam serwowano?

– Nie mam pojęcia. Pewnie pieczone prosięta, szczupaki, a może pawie?

Kilka tygodni później na przyjęcie w Ravenhart House sprowadzono jedzenie i szampana z najbardziej ekskluzywnych sklepów w Edynburgu. Wnętrze oświetlały świece, a we wszystkich pokojach rozpalono w kominkach. Gdyby ktoś patrzył w stronę domu z pobliskiej doliny, zobaczyłby światło w każdym oknie. Kate była najmłodszym gościem. Eleganckie panie w długich, obcisłych sukniach z ukośnymi wcięciami, przechadzały się dystyngowanie. Kate nie miała takiej sukni, choć na przyjęcie u Frazera ubrała się w najlepsze ubranie: granatową, aksamitną sukienkę z białym kołnierzykiem i bufiastymi rękawami w stylu Piotrusia Pana, co jak stwierdził i ze smutkiem, nadawało jej wygląd dwunastolatki. Goście zebrali się w sali paradnej. Gdy Frazer otwierał kolejne butelki szampana, Kate przysiadła na okiennym parapecie. Potem tańczono. Uwielbiała tańczyć z wysokim, pełnym wdzięku Frazerem, który był najlepszym tancerzem wieczoru. Pragnęła jednak, aby to Maxwell zaprosił ją do tańca. A może to ona powinna zrobić pierwszy krok? Przecież widziała, że bardziej interesują go te lśniące sukienki i ich obyte w towarzystwie właścicielki; serce ścisnęło się jej z zazdrości. A dlaczego w ogóle miałby tańczyć z młodszą siostrą Frazera, ubraną w sukienkę z bufiastymi rękawami?

Nieoczekiwanie jej brat zarzucił kilka dziecięcych kóleczek wykorzystywanych zazwyczaj do zabaw w ogrodzie na wiszące nad kominkiem rogi jelenia. Goście z rozbawieniem patrzyli na ozdobione poroże. Kate zrobiło się żal jelenia, którego spojrzenie było teraz mieszaniną dostojeństwa i smutku. Maxwell był duszą towarzystwa: tańczył, pił, naśladował głos i mimikę znanego w okolicy Ronalda Baina. „Dalej, dalej

Maxwell” – przymilała się jedna z pań i jego głos stawał się głosem swarlawego zabijaki, chcącego wszystkich sobie podporządkować. Maxwell ożywiał ten stary dom, był obiektem powszechnego zainteresowania, zawsze otoczony wianuszkiem gości. Kate też nie spuszczała z niego oka. Nawet przestraszyła się, że ktoś może to zauważyć, a co gorsze może się z niej śmiać.

Zabawa trwała. Goście rozeszli się po całym domu. Gdzieniedzie słyhać było przytłumione śmiechy. W kominkach wygasł ogień, a w świecznikach sterczały jedynie wypalone knoty. Nikt się nie pofatygował, aby dołożyć do ognia, czy zapalić nowe świece. Wewnątrz robiło się chłodno. Kate poszła do swojego pokoju na piętrze po sweter. Idąc schodami, minęła pożerającą się wzrokiem parę zakochanych, złączoną w mocnym uścisku. W powietrzu mieszały się ich przyspieszone oddechy. Szkoda, że jestem jeszcze taka młoda, szkoda, że nie jestem blondynką i że nie mam takiej wspaniałej sukni wieczorowej, pomyślała. Wtem usłyszała czyjś głos: „Maxwell, gdzie ty jesteś? Nie marudź już”. Stał tuż za rogiem: lekko pochylony, z rozpiętym krawatem i kołnierzykiem opierał się o ścianę.

– Kate – powiedział niewyraźnie, otwierając jedno oko.

– Mała Kate – poprawiła go. – Jak się bawisz?

– Jestem trochę zmęczony. – Przetarł oczy. – A która to godzina?

– Dochodzi trzecia.

Kate usłyszała odgłosy kroków. Maxwell wziął ją za rękę i zaproponował:

– Chodź! Coś ci pokażę.

Najpierw ruszyli schodami w górę, potem przemierzali nieskończone korytarze, by na końcu wąskim korytarzykiem trafić na poddasze. Tam w słabym świetle zamajaczyły ich

cienie. Było zimno i cicho. Kate czuła bliskość Maxwella. Ten otworzył maleńkie drzwiczki i zaprosił Kate do środka:

– Chodźmy.

– Tam? – spytała, patrząc w egipskie ciemności po mieszczeniu, z którego na dodatek mocno cuchnęło stęchlizną.

– Obiecuję, że ci się spodoba – namawiał.

Kate na czworakach przecisnęła się przez maleńki otwór wejściowy. Gdy Maxwell zamknął za nimi drzwi, nie widziała już nic.

– Otworzę włącz w dachu. Będzie trochę jaśniej – wyjaśnił i ruszył do przodu, lekko ocierając się o Kate.

Po chwili oczy przyzwyczyły się do ciemności i mogli już dostrzec drabinę opartą o przeciwległą ścianę. Maxwell wdrapał się na nią i otworzył włącz. Oczom Kale ukazało się usiane gwiazdami czarne niebo. Teraz ona wchodziła po szczeblach drabiny. Gdy była na samej górze, spojrzała w dół i poczuła ucisk w brzuchu. Na szczęście w tej samej chwili Maxwell podał jej rękę i pomógł zejść z drabiny. Świeże i chłodne powietrze nocy od razu ją orzeźwiło.

– Jak tu pięknie. – Była oczarowana.

Stała na dachu, patrząc na oświetlone księżycem wierzchołki pobliskich gór. Następnie przyjrzała się kamiennej balustradzie wokół dachu, a gdy spojrzała daleko w dół na rzędy ciemnych krzaków, okalających żwiru wyjazd, zakreśliło jej się w głowie, szybko się więc cofnęła. Maxwell usiadł, opierając się plecami o komin, Kate usadowiła się obok. Przez chwilę milczeli. Siedząc, co jakiś czas dotykali się ramionami lub łokciami. Kate czuła ciepło jego ciała i słonawy zapach potu.

– Czyż to nie jest wspaniały widok? A do tego tak tu cicho i spokojnie.

– Nie sądziłam, że lubisz ciszę.

– Nie należy oceniać ludzi po pozorach, panno Fearnley. W

istocie mam kontemplacyjną naturę – wyjaśnił. Na chwilę zasłonił oczy dłonią, po czym przesunął palcami po zmierzwionej czuprynie.

– Czy nie jest ci zimno? – zapytał.

– Owszem trochę. – Już się trzęsła z zimna.

– Nie doczekamy się wiosny w tej cholernej Szkocji. Trzymaj – powiedział, okrywając Kate swoją marynarką. Przez chwilę dotknął włosów dziewczyny. – Masz wspaniałe włosy.

– Nie cierpię ich.

– Bujasz.

– Poważnie. Każdy rudzielec nienawidzi koloru swoich włosów.

– Mężczyznom to nie przeszkadza. Kobietom owszem. Wszak to kolor zdradzający namiętną naturę. Główna bohaterka mojej powieści ma właśnie rude włosy.

– Pisziesz książkę?

– To kryminał – wyjaśnił. Przypalił dwa papierosy i jeden podał Kate. – Konstruowanie fabuły nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. Na początku ktoś popełnia morderstwo. Chociaż większość zbrodniarzy używa jakichś przypadkowych narzędzi, ja chciałbym to napisać inaczej. A ty? Czym zabiłabyś swojego śmiertelnego wroga?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Jeszcze mi się nie zdarzyło nienawidzić kogoś.

– Naprawdę? Ja już wiele razy obmyślałem, jak tu skrócić o głowę tego czy tamtego. Wymyśliłem, na przy kład, otrucie strzałką za pomocą dmuchawki. Nieźle, co? – Maxwell przez chwilę palił w milczeniu. – A twoje włosy wcale nie są rude, tylko...

– W kolorze marmolady, jak mawia mój ojciec – prze rwała Kate.

– One są morelowe.

Wtem gdzieś z dołu dobiegły salwy śmiechu. Jakaś za taczająca się para przecinała właśnie trawnik.

– Ale się ubzdryngolili – skomentował Maxwell. A może wpadną do potoku i się utopia. To by mi nawet pomogło. Mógłbym przyjrzeć się działaniu policji. Naglił śmierć dwojga ludzi i tak dalej. Miałbym informacji, z pierwszej ręki, bo właściwie nie znam żadnego policjanta. Poznałem przecież setki ludzi, ale nie znam ani jedni go gliniarza.

– Chyba już powinniśmy iść – powiedziała.

– A to czemu?

– Frazer może nas szukać.

– On musi teraz dbać o pozostałych gości, a nie o nas, Kate przyglądała się Maxwellowi. Rysom jego twarzy i na wpół przymkniętym, zmęczonym, szmaragdowym oczom. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek wyrażał swoje uczucie, patrząc na kogoś tak, jak ona teraz na niego. Pytała też samą siebie, czy Frazer przyjaźni się ze wszystkimi swoimi gośćmi tak jak z Maxwellem. Gdy chciało wstać, powstrzymał ją za ramię.

– Ja pójdę – rzucił.

Kate powiodła wzrokiem za znikającym Gilchristem. Wtedy odkryła, że w jakimś sensie bez niego jest nawet przyjemniej, bo mogła wspominać ich rozmowę i dotyk jego dłoni na włosach. W jego obecności czuła niepokój przed jakimś nagłym wypadkiem na dachu, przed ześlizgnięciem się i upadkiem w dół. Po pewnym czasie usłyszała, że ktoś wchodzi po drabinie. Najpierw pojawił się Maxwell, a tuż za nim Frazer. Usiedli po obu stronach Kate. Maxwell wyjął z kieszeni butelkę szampana, z której wszyscy pili po kolei. Panna Fearnley pomyślała, że poświata od wygasającego w kominkach ognia musi Oświecić okna różowym kolorem i z zewnątrz okna wyglądają teraz jak czarny aksamit obsypany półprzezroczystym, czerwonym

kwarcem.

Kate miała wyrzuty sumienia, gdy matka chwaliła ją za dobre stosunki z Frazerem. Przecież nie powiedziała ani słowa o Maxwellu Gilchrście. Uznała, że nie było takiej potrzeby, bo to oni byli prawdziwymi przyjaciółmi, którzy zaledwie tolerowali jej towarzystwo. O jej uczuciu do Maxwella nikt, ale to nikt nie mógł się dowiedzieć. Jednak w ciągu następnych kilku miesięcy nastąpiła początkowo nieznaczna zmiana. Zarówno Frazer, jak i Maxwell wręcz oczekiwali jej przyjazdu. Obaj wychodzili po nią na stację w Pitlochry, obaj witali ją pocałunkiem w policzek. Cała trójka jadła obiady na chińskiej zastawie przy ogromnym mahoniowym stole. Gdy pogoda nieco się poprawiła, wysprzątali domek myśliwski, wyrzucając z niego stare wózki dziecięce, tandetne naczynia. Maxwell miał też przygodę z pszczołami, które się wyroiły z gniazda schowanego pod odpadającym tynkiem jednej ze ścian. Po męczącym dniu, wyczerpani brudni rozłożyli się nad kamienistym brzegiem pobliskiego strumienia. Tam, popijając wino, zjedli przygotowane przez Phemie kanapki.

Kate cieszyła się z akceptacji przez matkę jej wypadów do Frazera, ale wiedziała też, że mogłaby ona nie zaaprobować faktu, że jej córka spędza weekendy w towarzystwie dwudziestoczteroletniego kawalera. Opowiadając o pobycie w Ravenhart, nie informowała matki o przyjęciach. A nie były to takie grzeczne spotkania, na jakie wolno jej było chodzić w Edynburgu. Pamiętała przecież wyraźnie niektóre sceny z przyjęć u Frazera: rozwichrzonego, kiwającego się przy ścianie Maxwella z rozpiętym kołnierzykiem, Frazera zarzucającego dziecięce kółeczka do gry na poroże jelenia czy wreszcie poniewierające się po salonu puste butelki od szampana i kieliszki. Kate nie miała też wątpliwości, że matka nie

zaakceptowałyby Maxwell. Matki zawsze starają się chronić swoje córki przed takimi ludźmi jak on. Sama też nie miała pewności, czy zaproszony na herbatę Maxwell, umiałby się odpowiednio zachować. Był przecież kapryśny i nieprzewidywalny. Zastana wiała się też, co o Maxwellu powiedziałyby Martin Ostatnio bardzo liczyła się z jego opinią. Kłopot polegał na tym, że przyznanie się teraz do tego, co działo się w Ravenhart, pociągało za sobą konieczność przyznania się do wcześniejszych postępków. A wtedy nie obyłyby się bez awantury, która mogłaby się skończyć zakazem wyjazdów do Ravenhart House. Wtedy nie zobaczyłyby już ani Frazera, ani Maxwella. A to byłoby ponad jej siły.

Pewnej lipcowej soboty Frazer i Maxwell przynosili krzesła i dywany z zamku do domku myśliwskiego. Kate szła obok, dźwigając wazę, lustro i kandelabr o wymyślnych kształtach, ozdobiony szklanymi wisiorami. Cała kawalkada co jakiś czas się zatrzymywała na odpoczynek, siadając na krzesłach. Byli czerwoni na twarzy ze zmęczenia i przepoceni. Stanowili przedziwny i jednocześnie zabawny widok, siedząc na krzesłach pośrodku dzikiego lasu nad którym szybował sokół wędrowny.

Po wyrzuceniu z domku myśliwskiego starych gratów, spalili je na brzegu potoku. Resztę rzeczy przenieśli do przybudówki. Kate wycierała kurze, niszczyła pajęczyny i grabiła suche liście. Frazer przetaczał dalej wielki kamień, który odpadł z komina, a Maxwell ostrożnie przycupnął na dachu, porządkując dachówki. Ponieważ było ciepło, pracował bez koszuli. Gdy później zszedł na dół, Frazer zainteresował się bliznami na jego ramieniu.

– A to od czego? – zapytał.

– To pamiątka po tatusiu. – Wzruszył ramionami i włożył koszulę.

Następnego dnia Kate i Maxwell sami poszli do domku

myśliwskiego. Frazer musiał zostać i omówić z panem Bainem sprawę dotyczące majątku. Dzień był bezwietrzny, a powietrze w dolinie, którą szli, rozgrzane i wypełnione słodkim zapachem wrzósów. Gdy dotarli na szczyt wzgórza, na niebie już zbierały się chmury.

– Będzie burza – stwierdził podekscytowany Maxwell i dodał: – Uwielbiam potężne burze.

Po dotarciu na miejsce Kate od razu schowała koszyk z jedzeniem do wnętrza. Gdy wyszła z powrotem przed dom, natychmiast oblepiło ją gorące powietrze. Teraz szli w górę strumienia, kierując się do jeziora pod wodospadem. Mogła obserwować, jak Maxwell chodzi wokół wody, rzucając cienie w kolorze indygo na znajdujące się łam kamienie.

– Ależ dziś parno – powiedziała Kate.

– Wykapmy się więc – zaproponował Maxwell.

Nie czuła się zbyt pewnie w wodzie, a jeszcze nigdy nie pływała w jeziorze. Gdy kąpała się w rzece we Francji, trzymała się brzegu i zawsze czuła grunt pod nogami.

Unikała też wodorostów, w które mogłyby się zaplątać. A Maxwell zapraszał ją do wody, której nie знаła, a pamiętała z pierwszej wizyty tutaj, że ta spokojna i przyjazna tafla może w jednej chwili zmienić się we wrogą czarną toń.

– Ja nie mogę. Nie mam kostiumu.

– Daj spokój. – Zlekceważył problem i skoczył do wody. Kate została na brzegu. Gdy tylko wypłynął na powierzchnię, kiwnął ręką na Kate i zawołał:

– No chodź!

Panna Fearnley pokręciła głową, a serce waliło jej jak młotem. Maxwell wyszedł na brzeg, pozostawiając mokre ślady na kamieniach. Zdjął koszulę i rzucił na ziemię. Ściekające z niego kropelki wody zatrzymywały się na bliznach, które zauważył Frazer.

- Max? – zagadnęła Kate.
- Tak?
- Mówiłeś, że blizny, które masz, są pamiątką po ojcu... – Od razu zauważyła zmarszczone czoło Maxwella – Przepraszam, że pytam, pewnie nie chcesz o tym rozmawiać – dodała szybko.
- Jest mi to obojętne.
- To powiedz mi, co miałeś na myśli, mówiąc o swoim ojcu? Czy chcesz powiedzieć, że bił cię z premedytacją?
- Gorzki uśmiech przemknął po twarzy Gilchrista.
- Obawiam się, że nikt nie bije własnych dzieci przez przypadek.
- Wiąjący w tej chwili wiatr poruszył rosnące wśród skal paprocie. Kate miała ochotę podejść do Maxwella położyć mu głowę na ramieniu i ucałować wszystkie okrutne blizny z dzieciństwa. Nie zdobyła się jednak im to i dalej siedziała z dala od niego, mącąc wodę stopą.
- A dlaczego cię karcili?
- Tego nikt nie wie – odparł wymijająco, strząsając wodę z włosów szybkimi ruchami głowy. – Już nie pamiętam, ale czasami stawał się porywczy. Ojciec łatwo wpada w złość.
- Było coraz parniej. Kate kręciło się w głowie od gorąca i z wściekłości. Pomyślała o Eleanor, Rebecce i Aimée. Były czasami dokuczliwe, ale kochała siostry. Włos jej się zjeżył na głowie, gdy pomyślała o tym, że ktoś mógłby je skrzywdzić. Gdy siedzieli na dachu Ravenhart House, powiedziała Maxwellowi, że jeszcze nie poznała smaku nienawiści. Jednak w tej chwili nienawidziła człowieka, którego nie widziała na oczy.
- Zupełnie nie rozumiem, jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku. Przecież wystarczy dać klapsa niegrzecznemu malcowi, ale zrobić coś takiego? – mówiła pite.
- Pewnie mocno nabroiłem.

– Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz.

Maxwell wzruszył ramionami.

– Czasami mówię rzeczy, których oczekuje mój rozmówca. Innym razem dogryzam ludziom, jak mogę. Jemu w szczególności. Życie z moim ojcem to ciągłe oczekiwanie jego wybuchu. Czasami ma się nawet ochotę przyspieszyć ten wybuch. Ponieważ ciągle spodziewasz się awantury, lepiej ją wywołać i mieć to za sobą. – Maxwell odgarnął wilgotne włosy spadające na oczy. – Na dobrą sprawę, nie pamiętam dni wolnych od nienawiści do ojca. Łapię się nawet na tym, że tak intensywna nienawiść mnie męczy. Są dni, że nie potrafię myśleć o niczym innym.

Kate pomyślała o swoim ojcu. Zawsze był łagodny i zawsze mogła na niego liczyć. Tęskniła, gdy nie byli razem i nigdy nie zwątpiła w jego miłość.

– A twoja matka? – zapytała.

– Ona była całkowicie zdominowana przez ojca. Uśmiechnął się gorzko. – Może powinienem powiedzieć mocniej: wcale się z nią nie liczył – dodał, rzucając kamyk do wody. – Ale teraz ty opowiedz o swojej rodzinie, Powiedz mi, jak żyje normalna rodzina.

– Może słowo „normalna” nie bardzo do nas pasuje, bo na przykład Martin trzyma w pokoju szkielety i kawałki porzbijanej ceramiki. Z kolei mama ma już trzeciego męża. Młodsza siostra Eleanor hoduje żaby, a Rebecca jest najbardziej rozwydrzonym dzieciakiem, ja kiego znam. Zaś Frazer...

– Frazer też nie ma wszystkich klepek na swoim miejscu. Zapewniam cię. – Przerwał, akurat w chwili, gdy rozległ się grzmot i zaczęło padać. – Jest całkiem szalony, odgrywając rolę pana na włościach, gdy świat wokół nie go się rozpada.

Kate patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Czyżbyś nie lubił Frazera?

– Ależ lubię.

Ale nie tak bardzo, jak on ciebie, pomyślała tknięto nagłym przecuciem.

Deszcz przybierał na sile. Padające krople, tworzyły bąble na powierzchni wody. Wiatr huśtał nad nimi gałęziami drzew. Maxwell wziął Kate za rękę. Ruszyli w doi po ciepłych i mokrych kamieniach. Towarzyszył im szum wody i deszczu. Na niebie zajaśniała błyskawica a serce Kate waliło jak oszalałe. Gdy dobiegli na miejsce, Maxwell oparł się o drzwi. Patrzył na deszcz, z tui dem łapiąc powietrze. Przybierająca woda pochłonęli! już kamienie, po których przechodzili na drugi brzeg po toku.

– Ciekawe, czy dojdzie tu do nas – odezwała się Kate.

Stali obok siebie spleceni dłońmi. Maxwell postąpił naprzód. Kate zdała sobie sprawę, że jej towarzysz bacznie ją ogląda, od stóp do głowy. Od razu zrozumiała, że jej mokra, oblepiająca ciało sukienka przyciągnęła jego uwagę.

– Oto i Kate. Nasza mała Kate – wymawiał powoli.

Wtem ktoś krzyknął z zewnątrz:

– Max! Kate!

– Widzę, że nasz mały cwaniaczek zakończył już posiedzenie z panem Bainem – powiedział Maxwell i puścił oko. Nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy; przesuwając palcem po twarzy Kate od brwi do podbródka dodał: – Nadrobimy to innym razem. A wyglądasz tak słodziutko, że chciałoby się ciebie zjeść. I już zaczynam być głodny, moja droga.

Brodząc po kostki w wodzie, musieli przejść na drugi brzeg strumienia. Tam czekał Frazer. Napór wody był tak silny, że Kate wydawało się, iż do niej wpadnie.

– Powinnaś przyjechać tu w sierpniu – namawiał siostrę. – Będzie tylko nasza trójka. Nikogo więcej nie zaprszę. Zabawimy się.

Maxwell raz jeszcze spojrział na Kate i dodał:  
– Dlaczego nie?

## Rozdział 12

Pomysł Frazera nie dawał spokoju Kate. Któregoś razu przy śniadaniu zagadnęła matkę w tej sprawie. Odpowiedź była łatwa do przewidzenia.

– Powinnaś pojechać z nami do Francji, Kate. Wybij sobie z głowy wyjazd do Frazera.

– Ale ja nie chcę jechać do Francji. Poprzednim razem strasznie się tam nudziłam – zaprotestowała i od razu pojęła, że obrała złą taktykę. Matka zmarszczyła brwi, więc Kate szybko dodała: – Jeżeli nie pojedę w sierpniu do Ravenhart House, Frazer będzie tam zupełnie sam. – Skłamała po raz pierwszy w życiu.

– Jego przyjaciele... – zaczęła Bess.

– Wszyscy wyjechali – wpadła jej w słowo Kate, Dlatego prosił mnie na lato.

– Nie baw się jajkiem, Rebecca. – Bess ostrym tonem zwróciła uwagę młodszej córce. – A ty Eleanor, jeżeli już skończyłaś jeść, odejdz od stołu i umyj ręce. – Kolejna łyżeczka kaszki powędrowała do buzi Aimée. Bess była nie zadowolona. – Zaproponowałam Frazerowi, aby pojechał z nami do Francji, ale odmówił. Może powinnam napisać do niego jeszcze raz.

– Och, błagam, tylko nie to! – pomyślała Kate. Nie przeżyje lata spędzonego gdzie indziej niż w Ravenhart Mouse, bez Frazera i Maxwella.

– On jest teraz bardzo zajęty mamó – powiedziała szybko. – Ma na głowie tyle spraw związanych z domem. Obiecałam, że mu pomogę.

– O co chodzi? – spytał Martin, wchodząc do jadalni.

– Kate chce spędzić sierpień w Ravenhart House, zamiast jechać z nami do Francji – wyjaśniła Bess zmartwionym głosem.

- Kate poczuła się winna.
- Czemu nie? – rzucił Martin, przeszukując stosy książek zaglądał też za naczynia stołowe. – Chociaż będzie nam ciebie brakować, Kate.
  - Przecież kochasz Francję – zagadnęła mama.
  - Tam jest zawsze tak samo nudno.
  - Nigdy nie narzekałaś, że się nudzisz. Martin, czego pukasz?
  - Stetoskopu. Bess, przecież Frazer jest bratem Kate. Możemy chyba powierzyć mu opiekę nad nią.
  - Nie o to chodzi – odparła Bess, wycierając pieluchą buzie Aimée. – Odniosłam twój stetoskop do gabinetu. Nie, Kate. Nie zgadzam się.
  - Ależ mammo...
  - A kto jeszcze tam będzie? – zapytał Martin.
  - Nikt. – Kate patrzyła Martinowi w oczy. Zaklinając szczęśliwe zakończenie sporu skrzyżowała palce pod stołem. – Będziemy tylko my dwoje.
  - Zatem nie widzę przeciwwskazań. – Martin kiwnął głową.
  - Rebecca! Mówiłam ci, żebyś się nie bawiła jajkiem! Bess uderzyła ją lekko w rękę. Mała odchyliła głowę, naprężyła się i zaczęła wrzeszczeć. Martin wziął córkę na rękę. Rebecca wyła i wierzgała nogami.
  - To zrozumiałe, że Kate chce odpocząć od swojej rodzinke. Przekonuje mnie argument, że woli spędzić miesiąc w towarzystwie spokojnego starszego brata zamiast ze swoimi wyjątkowo niegrzecznymi siostrami.
  - Nie jestem niegrzeczna, tato – zaprotestowała buńczucznie Eleanor.
  - Oczywiście, że jesteś. Jesteś okropnie niegrzeczna odpowiedział Martin, wyciągając wyjąca Rebeccę z pokoju. Eleanor była zdruzgotana opinią ojca.

Perspektywa wyjazdu do Francji bez Kate sprawiła, Bess czuła się nieswojo. Najstarsza córka często bywała poza domem, nie było jej przez tydzień czy dwa, gdy jechała do Ralpa i Pameli albo do Frazera. Ale nigdy nie opuszczała jej na tak długo. Cały miesiąc. Nigdy też nie odbywało się to kosztem pobytu we Francji. Bess zawsze uważała lato w Trzech Kominach za najlepszą porę roku i sądziła, że Kate podziela to zdanie.

Kate pojechała do Pitlochry na dzień przed wyjazdem rodziny do Francji. Oznaczało to przerwę w gorączkowych przygotowaniach do wyjazdu sześciu – och nie tym razem pięciu osób. Przy śniadaniu wyczuwało się sztucznie podtrzymywany dobry nastrój. Bess przez cały czas zamęczała córkę: „Czy zabrałaś dostateczną liczbę, chusteczek do nosa? Pamiętaj, aby wysłać do nas telegram, kiedy tylko dojedziesz do Pitlochry”. Potem nagli zrobiło się bardzo późno, pociąg Kate odjeżdżał za pni godziny. Eleanor i Rebecca bardzo chciały odprowadzić siostrę na stację. Postanowiono zabrać też Aimée. Przed wyjściem należało wsadzić małą do wózka i ubrać starsze dziewczynki. Patrząc na odjeżdżający pociąg, Bess miała sobie za złe, że nie zdążyła powiedzieć tego wszystkiego, co planowała. Teraz było już za późno. Jej ukochana córeczka, machając z okna wagonu na pożegnanie, nikła w oczach. Bess poczuła bezgraniczny żal i pustkę. W moim życiu właśnie zakończył się pewien okres, pomyślała.

Kate, Frazer i Maxwell nie mogli się nagadać. Patrząc na tych troje, otoczonych zewsząd górami, można by pomyśleć, że są jedynymi istotami na ziemi. Rzadko opuszali dolinę. Wyjeżdżali jedynie po zakupy do Pitlochry lub Breamer. Czasami auto prowadził Frazer, czasami pozwalał na to

Maxwellowi. Popołudnia, aż do zachodu słońca, spędzali na płaskiej części dachu. Przed obiadem pływali w jeziorku lub urządzali pikniki koło domku myśliwskiego. Od czasu do czasu, wczesnym rankiem, Kate wybierała się na szczyt Ben Liath, najwyższej góry w okolicy. Zabierała z kuchni jabłko i kawałek chleba, a wychodząc z domu, mijała się z Phemie, która rozpalala ogień, ni, i mrocząc pod nosem. Kate uważała, że to najlepsza pora do podziwiania rodzącego się dnia, kiedy w ciszy zalegającej dolinę rośliny błyszcząły jeszcze poranną rosą. Szła do domku myśliwskiego, albo przedzierała się w górę doliny, do miejsca, gdzie skały zamykały strumień w wąskiej szczelinie, zmieniając spokojną wodę w rwący potok kończący się pionowym wodospadem i jeziorkiem. Cienie rzucane na ziemię przez gałęzie srebrnych brzoź i jarzębin tańczyły po trawie i kamieniach. Im głębiej Kate wchodziła w las, tym ciemniej było dookoła niej. Jedynie luźniej stojące drzewa przepuszczały jasne słupy światła. Las stawał się gęstszy i było w nim coraz więcej drzew iglastych. Polany oświetlało jasne, słoneczne światło.

Gdy pewnego razu Kate weszła na leśną polankę, dostrzegła jelenia. Stał tam nieruchomo wśród paproci, drżąc i z dumą prezentując swe poroże, zaledwie kilka metrów od niej. Przez chwilę człowiek i zwierzę mierzyli się wzrokiem, po czym jeleni zniknął w lesie. Tylko szelest liści i oddalający się stukot kopyt świadczyły, że faktycznie stał tu przed chwilą.

Maxwell wracał spacerkiem ze wsi, w której kupił papierosy i gazetę. Za kamiennym mostkiem szedł poboczem drogi. Przodkowie Frazera umieli wykorzystać ukształtowanie terenu. Podróżnik w ogóle nie widział domu z drogi i gdy nagle kończył się szpaler jodeł, zupełnie się tego nie spodziewając, stawał oko w oko z baśniowymi wieżyczkami i srebrnym, lśniącym w słońcu dachem. Maxwell zauważył Kate w ogrodzie przed

domem Gdy spotkali się pierwszy raz, otulona w zbyt wielu warstwach ciepłego ubrania wyglądała niczym kiepsko zapakowana przesyłka. Teraz miała na sobie białą bluzkę i szorty koloru khaki, odsłaniające wspaniałe, długie nogi. Przed słońcem chroniły ją przeciwsłoneczne okulary i słomkowy kapelusz. Długie, szczupłe nogi zdawały się sięgać do szyi. Przyglądał się dziewczynie z przyjemnością. Gdy nagle słomkowy kapelusz spadł jej z głowy Maxwell zobaczył złocistorude włosy. Pomyślał sobie, że gdyby nie okoliczności, pocałowałby Kate w domku myśliwskim i uśmiechnął się do siebie. Pamiętał mokrą, przylegającą do jej smukłego ciała sukienkę, podkreślającą dziewczęce kształty i pociemniałe od deszczu kosmyki włosów, przyklejające się do twarzy. Wiedział, że Kate chciała tego pocałunku, ich usta były zaledwie kilka centymetrów od siebie. Gdyby wziął ją wtedy w ramiona, nie stawiałaby oporu. Z trudem się wtedy opanował. Kate. była wspaniała, różowozłota, kusząca jak dobry deser, na przykład jak truskawki ze śmietaną. Ale przeszkodził im Frazer i chyba dobrze się stało. Jego siostra była zbyt młoda, za dobrze wychowana i zbyt niewinna. Sądził że pocałowanie Kate nie spodobałoby się Frazerowi. Był w końcu jej bratem, a z doświadczenia Maxwella wynikało, że bracia potrafią być zaborczy i nadopiekuńczy. Nie miał też żadnych planów wobec Kate, nie miało więc sensu zaczynanie czegokolwiek. Choć taki pocałunek to sama przyjemność. Przecież ją lubił, była wobec niego miła i delikatna. A niewiele osób tak się do niego odnosiło, Maxwell nie oczekiwał od innych życzliwości. Oczekiwał raczej požądania, irytacji lub gniewu i przyznawał przed sobą, że to on sam prowokował takie reakcje.

Na dworze było gorąco. Max pochylił się nad potokiem, nabierając wody w dłonie. Wypił łyk lodowatej wody i stwierdził, że ma jeszcze smak zimy. Wiatr poruszył lekko

gazetą, którą czytał. Nagłówki informowały o przewrocie wojskowym w Grecji i o zamknięciu przez Francję granicy z ogarniętą wojną domową Hiszpanią. Maxwell położył się na trawie. Patrzył w czyste, bezchmurne niebo i na spokojną zieloną falę gór. Pomyślał o plotkach dotyczących wojny, która wcześniej czy później pograży ich wszystkich. W kolejnych miesiącach odczuwał ciągły brak czasu, tak jakby odliczanie już się rozpoczęło. O konflikcie mówiło się coraz więcej. Miał dwadzieścia cztery lata i wiedział, że będzie z niego doskonałe mięso armatnie.

Był koniec sierpnia. Koło strumienia przy domku myśliwskim Frazer i Maxwell, używając gałązek i kawałków torfu, rozpalili ognisko na płaskich kamieniach. Butelki z winem chłodzili w strumieniu. Kate usmażyła na patelni kiełbaski, które ściemniały i popękały. Po posiłku brodziła w strumieniu. Pięty zapadały się jej w żwir, czuła pod palcami okrągłe kamienie. Woda była przeraźliwie zimna. Wychodząc z niej, zostawiła mokre ślady stóp na kamieniach, w których lśniły zatopione kawałki kwarcu.

Kate założyła sandały i poszła ścieżką, wiodącą na szczyt wzgórza. Jedzenie, wino, słodki zapach wrzosów i upał sprawiły, że poczuła senność. Jasne, rozgrzane po wietrze aż falowało z gorąca. Daleko w dole Maxwell leżał przy strumieniu na płaskich kamieniach. Miał zamknięte oczy, rozłożone ręce i rozpiętą koszulę. Przeciw słoneczne okulary Kate ukryły spojrzanie, którym podziwiała opaleniznę Maxwella, muskularny tors i ciemnu, kręcone włosy. Zaraz się odwróciła i szła dalej pod góry Otoczone trawą ostańce przypominały jej wystające z dłoni drzazgi. Im wyżej wędrowała, tym powietrze było chłodniejsze, a wiatr bardziej porywisty. Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Zadyszana Kate rozbolały nogi,

ciężko oddychała. Gdy znów spojrziała w dół, Maxwell i Frazer byli już tylko malutkimi figurkami przy srebrzystej kresce strumienia i szarym prostokącie domku myśliwskiego. Frazer porzucił wędkowanie i siedział na kamieniu obok Maxwella. Niemal dotykali się głowami, złocistą i czarną. Kate zawołała do nich i pomachała ręką. Obaj popatrzyli w górę. Potem znów z trudem zaczęła się wspinać dalej. Mijała letnie szałaszy pasterzy wzniesione na wysokich zboczach i pasące się na odległych stokach owce, które wyglądały jak kępki waty. Kate sądziła, że osiągnięcie szczytu, na który się kierowała, będzie końcem wycieczki. Jednak po dotarciu tam okazało się, że za kolejnym wzniesieniem jest jeszcze jeden wierzchołek do zdobycia. Zauważyła, że Frazer i Maxwell ruszyli za nią. Ponieważ mieli dłuższe nogi i posuwali się w górę szybciej niż ona, przyspieszyła. Postanowili pierwsza dotrzeć na szczyt. Droga stawała się coraz trudniejsza. Kate musiała przedzierać się przez rozrzucone głazy. Będąc u celu wędrówki, usiadła na najwyższym głazie. Wtedy silny powiew wiatru uderzył w nią ul mocno, że aż się zachwiała. Mogła jednak podziwiać pysznie rozłożoną niżej dolinę. Oniemiała z zachwyty, odkrywając następną dolinę i okalające ją skały, za którymi znajdowała się kolejna dolina otoczona nowymi szczytami. Widok ten przypominał jej szaroniebieskie fule Morza Północnego. Wydawało się jej, że stoi na krańcu świata. Westchnęła głęboko. Poprzez świst wiatru słyszała Frazera i Maxwella pokonujących ostatnie zbocze. Maxwell stanął tuż za nią.

– Nie pozwolę ci spaść. – Delikatnie opasał dłońmi jej kibić. Kate zadrżała. Nie wytrzymam tego dłużej, pomyślała. Miała dosyć przypadkowych dotknięć, muśnięć skóry. Pragnęła czegoś więcej. Czasami bała się samej siebie. Bała się tego, co mógł zrobić Maxwell i tego, na co ona mogła mu pozwolić.

Nie wrócili tego wieczoru do domu. Było jeszcze mnóstwo spraw do omówienia i wiele rzeczy chcieli obejrzeć. Mieli dość jedzenia w piknikowym koszu, i Maxwell, stojąc w wodzie po pas z wędką w ręku, zarzekał się, że coś na pewno złapie. Gdy to się nie powiodło i nie złapał nic, nawet jednej malutkiej rybki, odrzucił wędkę i zanurkował głęboko, aż na samo dno stawu. Frazer zanurkował za nim i Kate, która siedziała na szczycie głazu, obserwowała głęboko pod powierzchnią wody ich przesuwane się i mijające się sylwetki. Po kąpieli wyschli na słońcu i ruszyli w stronę domku myśliwskiego. Frazer rozpałił ognisko, wszyscy usiedli wokół na trawie. Zjedli resztki jedzenia i wypili wino, które chłodziło się w strumieniu. Podczas gry w pokera i oczko palili papierosy, by odstraszyć muszki. Po przegranej Maxell wymamrotał:

– Zawsze mnie oskubujesz, Frazer. Zawsze. – Frazer wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i zmierzwił Maxwellowi włosy.

Zrobiło się ciemno i późno. Zgodnie uznali, że nie ma sensu błądzić po nocy wąskimi ścieżkami do domu, skoro mogą przenocować tutaj. Rozłożyli koc na podłodze i Kate położyła się między Frazerem a Maxwellem. Brał twierdził, że w ten sposób uchronią ją przed dzikimi zwierzętami.

Nie mogła zasnąć. I to nie z powodu odgłosów nocy, szmeru strumienia i pohukiwania sowy czy hałasującej myszy lub normika. Ani dlatego, że znalazła się między dwoma najbardziej kochanymi mężczyznami, tak blisko, że czuła ciepło ich ciał i słyszała, jak cicho oddychali. W nocy Maxwell przysunął się bliżej do Kate. Poczowała, jak dotyka ustami karku i ręką sięga do nagiego ramienia. Odwróciła się do niego i wtedy pocałował ją najpierw w policzek, a potem w usta. Zamknęła oczy oszołomiona pragnieniem. Jęknęła cicho, gdy położył dłoń na jej karku, przyciągnął mocno do siebie i zaczął całować,

Zanurzył dłoń we włosach Kate i przylgnął do niej całym ciałem. Chciała, by nie przerywał pocałunków, ale pragnęła też czegoś więcej.

Nagle Frazer wymamrotał coś przez sen i niespokojnie się poruszył. Maxwell zamarł w bezruchu, trzymał Kate w objęciach. Po dłuższej chwili Kate się zorientowała, że Max zasnął. Ona nie zmieniła pozycji, bojąc się, że go zbudzi. Nie mogła zasnąć i patrzyła przez otwarte drzwi domku na wschodzące słońce, które oświetlało srebrzystym blaskiem odległe wzniesienia. Musiała jednak się zdrzemnąć godzinę lub dłużej, skoro po przebudzeniu się zobaczyła, że leży sama przykryta kocem. Rozejrzała się. Dostrzegła Frazera nad strumieniem, przemywającego twarz wodą. Maxwell stał nieopodal plac papierosa. Kate usiadła i zauważyła, że do jej ubrania przyczepiały się kawałki słomy. Pomyślała, że wydarzenia nocy ma pewnie wymalowane na twarzy, a na nutach zostały ślady pocałunków.

– Wyglądasz na wyczerpaną. – Frazer tylko się uśmiechnął. – Wszystkim przyda się kąpiel.

– Umieram z głodu. – Maxwell ziewnął i przeciągnął się.

– Musimy wracać – zdecydował Frazer. – Dzierżawcy mają mnie dzisiaj odwiedzić w sprawie jakichś owiec czy czegoś takiego. – Przeciągnął mokrymi dłońmi po włosach, Ruszyli ścieżką prowadzącą do domu. Prawie się do siebie nie odzywali. Kate bolała głowa. Za dużo wina, pomyślała. Wszystko wokół nabrało dziwnej, większej niż, zwykle ostrości. Ciężkie, szare chmury pędzące po niebie, fioletowe wrzosa targane wiatrem – nigdy wcześniej doznania nie były tak silne i intensywne. Sprawiało jej to wielką radość, ale jednocześnie dziwnie wyczerpywało.

Gdy dotarli do domu, zauważyli stojący na podjeździe samochód z otwartym dachem, o którego maskę opierał się jakiś

mężczyzna. Kate wydawało się, że widziała go już na jakimś przyjęciu wydanym przez Frazera. Kobieta w słomkowym kapeluszu spacerowała po dziedzińcu, przyglądając się od niechcienia roślinom w donicach. Wysokie obcasy pantofli chrzęściły na żwirze.

– Dobry Boże – powiedział Frazer. – To Lamptonowie.

Wzrok Kate powędrował w stronę siedzącej na tylnej kanapie auta kobiety. Miała na włosach kremową, jedwabną chustę, oczy przysłoniła przeciwsłonecznymi okularami i nosiła beżową, lnianą sukienkę. Na kolanach trzymała małego, szarobiałego, kudłatego pieska. Patrząc na nieznajomą, Kate zdała sobie nagle sprawę ze swojego wyglądu. Miała gole nogi i mokre sandały. Po prawą zmierzwiłone włosy i za wszelką cenę starała się wygładzić pomięte ubranie.

– Charlie, Fiona – powitał ich Frazer. – Nie wiedziałem, że przyjedziecie.

– Fiona i ja postanowiliśmy wpaść do was – odpowie dział Charlie z arystokratycznym akcentem. – Kręcimy się w okolicy już od dwóch dni. Nikogo nie zastaliśmy w domu. – Obrzucił uważnym spojrzeniem całą trójkę. Chyba wracacie z jakiejś włości?

– Obozowaliśmy nad stawem – wyjaśnił Frazer. Uścisnął mu dłoń i pocałował w policzek kobietę w słomkowym kapeluszu.

– To nasza przyjaciółka, Naomi Jennings. – Charlie przedstawił kobietę siedzącą w samochodzie. Otworzył drzwi auta i Naomi wysiadła. Piesek, którego trzymała na kolanach, wyskoczył na dziedziniec i pobiegł przed siebie – To moja siostra, Kate. – Frazer czynił honory gospodarza. Nieznajoma szybko podała dłoń w rękawiczkę. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne, ukazując czarne, bystre oczy i zawołała psa:

– Susie! Chodź tutaj!

Maxwell złapał pieska i dołączył do towarzystwa.

– To pani piesek, jak sędę – powiedział z uśmiechem – Jak miło z pana strony – wymamrotała Naomi, patrząc uważnie na Maxwella.

– A cóż to takiego? – zapytał.

– To jest Susie rasy shihtzu. Prawda, maleńka? Pies chryzantema – wyjaśniła i pocałowała zwierzę w łepkę.

Frazer zaprosił niespodziewanych gości do pozostania na dłużej, z czym chyba się liczyli, przyjeżdżając z walizkami. Nakazał pomocnikowi ogrodnika wnieść bagaże do domu, a pani McGill przygotować dwie sypialnie. Razem z Maxwellem oprowadzili Lamptonów i Naomi po posiadłości. Charlie i Fiona, którzy wcześniej już tu byli na kilku przyjęciach, często odłączali się od nich i odpoczywali pod cedrami. Zostali tylko Frazer, Maxwell i Charlie. Kate zniknęła, jak przypuszczał Frazer, by wykąpać się lub przespać.

Naomi podziwiała dom. Od czasu do czasu wyrażała swój zachwyt, mówiąc niskim, ochrypłym głosem: „Te widoki są oszałamiające” albo „Jakie romantyczne miejsce”. To jakimś czasie niewyspany Frazer umilkł i Max przejął pałeczkę w pokazywaniu ciekawszych miejsc. Ciszę domu zakłócały jedynie ich rozmowy, gdy przechadzali się korytarzami z pokoju do pokoju. Na dodatek właśnie teraz zjawili się dzierżawcy. Frazer musiał mocno się skupić, aby w ogóle zrozumieć ich lokalny, gardłowy akcent. Naciskali na ostatnie podwyżki czynszów, na szkody, jakie czynią turyści, wydeptując ścieżki, gdzie im się tylko podoba i ich spuszczone ze smyczy psy. Rozwodzili się nad prawem do wypasu owiec. Gdy w końcu Frazer załatwił sprawy, mógł wraz z gośćmi zasiąść do obiadu, który okazał się okropny. Podejrzewał, że pani McGill, podając gulasz wołowy i grudkowaty budyń ryżowy, podziękowała mu w ten sposób za dodatkową pracę, jaką miała przy nieoczekiwanych gościach. Zamierzali iść na spacer, jednak

pogoda się pogorszyła. Napływające chmury przysłoniły słońce. Humory też przestały im dopisywać. Usiedli więc w pokoju na tyłach domu, przeglądali czasopisma i pili kawę. Rozmawiali o znajomych, wakacjach i ślubach, aż w końcu zmęczony Frazer zasnął.

Z trudem budził się z głębokiego snu. Gdy otworzył nieprzytomne oczy, zegar na kominku wybił czwartą.

W pokoju już nie było nikogo. Wyrzał przez okno i zauważył, że na podjeździe nie było samochodu Lamptonów. Następnie rozglądał się po domu w poszukiwaniu pozo stałych osób. W końcu przez jedno z okien na tyłach domu zauważył Maksa i Naomi. Z oddali wyglądali jak małe, ciemne figurki odcinające się od fioletowych wrzosów na wzgórzu. Zdziwiony pomyślał, że poszli do myśliwskiego domku. Trudno było mu wyobrazić sobie Naomi w butach na wysokich obcasach i w jasnym, eleganckim ubraniu, przeskakującą z kamienia na kamień na drugą stronę strumienia. Patrzył na parę idącą ścieżką i biegnącego obok nich psa i nie po raz pierwszy zauważył, że Max zawsze mocno gestykułuje podczas rozmowy. Wszystko zaczęło drażnić Frazera, choć nie wiedział, dlaczego. A przy kolacji ostatecznie opuścił go wywołany letnią pogodą dobry nastrój. Czuł się fatalnie, zapewne dlatego, że spał o nic właściwej porze dnia. Zauważył, że inni też mają złe samo poczucie: Kate prawie się nie odzywała, a Lamptonowie, wróciwszy z przejażdżki autem, raczyli się złośliwościami i kłócili przez cały czas podczas posiłku. Jedynie Maxwell i Naomi pozostawali w doskonałym humorze. Naomi m chwila wybuchała śmiechem, a Max, będąc w świetnej formie, opowiadał anegdoty i doskonale parodiował dżierzawców. Wydawało się, że zapomnieli o całym świecie.

Znacznie później, gdy Kate wracała do tych wydarzeń,

doszła do wniosku, że spotkanie Maksa i Naomi musiało zakończyć się burzliwym uczuciem. Choć to może zbyt dużo powiedziane, bo miłość to także czułość, troska i wrażliwość. Uczucie, które wybuchło między osobami o tak bardzo zbliżonych charakterach, nie obejmowało tych pojęć. Ich namiętność była niebezpieczna jak oko cyklonu. Narodziła się z pożądania i świadomości, że oboje, piękni i po przejściach, byli sobie przeznaczeni. Wtedy w Ravenhart House jeszcze tego nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że coś się nie zgadza i winiła za to niefortunne zbiegi okoliczności.

Lamptonowie wyjechali następnego dnia wcześniej rano, zostawiając pannę Jennings w Ravenhart House. Kładąc swą drobną dłoń na ramieniu Frazera, Naomi patrzyła na niego badawczo swoimi dużymi, ciemnymi oczyma i usprawiedliwiła się:

– To taki wspaniały dom. Nie mogłam od razu wyjechać. Złapię jakiś pociąg do domu. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, mój drogi Frazerze?

– Skądże znowu, skarbie. Jestem zachwycony – odpowiedział grzecznie i wspaniałomyślnie.

I tak bezcenne, ostatnie dni wakacji Kate nieoczekiwanie spędziła we czwórkę. Matowy głos Naomi Jenlungs słysząc było wszędzie. Ostre, kwiatowy zapach jej perfum snuł się po korytarzach. Panowie czuli się zobowiązani zabawić gościa. Naomi bezustannie proponowano drinki i zapraszano na spacer i przejażdżki. Zaczęli jeść posiłki przy wielkim mahoniowym stole i nie piekli już kiełbasek przy ognisku nad strumieniem. Kate desperacko starała się znaleźć w stosie przywiezionych ubrań przyzwoitą sukienkę i niepozaciągane pończochy. Było to trudne, gdyż większość rzeczy już nosiła, tu brakowało guzków, tam pozostały ślady po trawie. Przez ten czas Kate czuła się oszołomiona, jakby ktoś obudził ją zbyt wrześnie z miłego snu.

Nie mogła dopasować się do nowych porządków. Przy obiedzie przewróciła cukiernicę i rozlała kawę na spodek. Próby nawiązania rozmowy były niezdarne i chaotyczne, po chwili zostawiła więc podtrzymywanie konwersacji pozostałym. Ciągłe wierzyła, że noc spędzona z Frazerem i Maxwelllem w domku myśliwskim to dopiero początek. Sporo czasu minęło, zanim zrozumiała, że to koniec. Spała w ramionach Maxwella Gilchrista, całowała się z nim, a jednak już dzień później ta noc wydała jej się sennym widziadłem. Maxwell słowem nie nawiązał do tych pocałunków, nawet nie do tknął Kate. Wmówiła sobie, że nie miał po temu okazji z powodu nagłej wizyty Lamptonów i Naomi Jennings.

Pogoda załamała się. Niebo było szare, ciągle padał deszcz. Po południu, gdy Kate pakowała walizkę, Frazei pożyczył Maxwellowi auto i ten zabrał Naomi na przejażdżkę. Zniknęli na całe popołudnie i zaniepokojony Frazer wyglądał oknem, czy nie nadjeżdżają. Po jakimś czasie Kate usłyszała, jak Frazer bierze głęboki oddech. Podeszła do okna. Lagonda wypadła zza jodeł i pędzili w kierunku domu zygzakiem.

– Coś jest nie tak. – Frazer popędził na dół.

Kate rzuciła się za nim.

Samochód wypadł z drogi i po trawniku jechał prosto na cedr. Kate zauważyła, że za kierownicą siedziała Naomi. Maxwell złapał kierownicę i zdołał zatrzymać zaledwie metr od drzewa. Naomi opadła na kierownicę, drżąc. Z początku Kate sądziła, że Naomi płacze. Kiedy jednak podeszli z Frazerem bliżej, usłyszeli jej śmiech.

Następnego dnia przy śniadaniu, gdy Kate miała już wyjeżdżać do domu, okazało się, że Maxwell i Naomi już wyszli. Kate była pewna, że Maxwell wróci, by ją odprowadzić. Nie mogła uwierzyć, że zapomniał o jej wyjeździe. Wyglądała przez okno w nadziei, że za chwilę zobaczy go na górskiej

ścieżce. Gdy Frazer powiedział, że muszą już iść, bo się spóźni na pociąg, wierzyła, że Maxwell będzie na nią czekał przy stróżówce. Sądziła nawet, że jakimś cudem pokona te szesnaście kilometrów do Pitlochry i pożegna się z nią na stacji kolejowej.

Oczywiście tam go nie było. Nadjechał pociąg i Kate znalazła miejsce w zatłoczonym wagonie. Ciągłe tliła się w niej iskierka nadziei, że zobaczy Maxwella. Wyglądała przez okno, jakby jej usilne życzenie miało sprawić, że on się pojawi. Pociąg ruszył, Kate popatrzyła jeszcze na kładki nad torami. Tam też go nie było. Za oknem zniknęło miasteczko, a pojawiły się drzewa i pola. Zacisnęła powieki i przygryzła wargi. Jaka ja jestem okropnie głupia, pomyślała. Coś musiało go zatrzymać. Fakt, że jej nie odprowadził na pociąg, przecież nic nie znaczył.

Uspokoili się i gdy już wiedziała, że się nie rozplacze, otworzyła oczy. Wróciła pamięcią do Ravenhart House. Znów widziała Frazera i Maxwella nurkujących w stawie, Maxwella pochylającego się nad nią w ciemnościach w domku myśliwskim, Naomi Jennings głaszczącą pieska. I wściekłość w oczach Frazera, gdy jego samochód wjechał na trawnik przed domem.

We wrześniu Kate rozpoczęła pracę jako sekretarka. Bess sądziła, że stała i konkretna posada będzie dobra dla córki. Stojem służbowym stały się porządna spódnica, bluzka i sweter. Wieczorami i w weekendy Kate ubierała się w kolorowe bluzki i naszyjniki z koralików kupowane w sklepach z używaną odzieżą, grubo tkane spódnice i czarne swetry własnej roboty. Pożyczała też od matki szale przywiezione z Indii i narzucała na szczupłe ramiona. Czasami chodziła w spodniach. Bess nosiła spodnie tylko do konnej jazdy lub do pracy w ogrodzie w czasie wojny. Kate zdawała się jej przeciwieństwem. Wyrosła na atrakcyjną, młodą kobietę, a wolała wyglądać jak

chłopak na posyłki.

Fleanor wróciła do szkoły we wrześniu. Rebecca dołączyła do niej i zaczęła uczęszczać do klasy przedszkolnej. W wieku czterech i pół roku Rebecca była przepięknym dzieckiem. Miała wielkie, niebieskie oczy i długie ciemne włosy, które Bess zaplatała w warkocze. Miała zadatki na prawdziwą damę. Uwielbiała ładne ubrania, zdarzało się nawet, że wymuszała płaczem i awanturami zakładanie odświętnej sukienki, kiedy szły po zakupy. Bess miała na dzieje, że przedszkole utemperuje córkę. Kate, Eleanor i Rebecca, każda na swój sposób, były zdeterminowani i nastawione na osiągnięcie celu. Gdy czegoś chciały, nie spoczęły, póki tego nie zdobyły. Bess nie miała wątpliwości, że trzy starsze córki upór i silną wolę odziedziczyły po niej.

Aimée różniła się od sióstr. Była córeczką Martina, żyła w swoim świecie. Tak jak ojciec zachowywała dystans i była samowystarczalna, co niekiedy martwiło Bess. Miała półtora roku i włosy tak delikatne i tak jasne, jak by w ogóle pozbawione koloru, oczy miały kolor agatu. Była bladym, drobnym maleństwem, wyglądającym bardziej na jakąś nierealną, ulotną zjawę niż na dziecko. Bess nadal sądziła, że Aimée wygląda dziwnie ze swoimi zbyt dużymi oczami i grzywą srebrnych włosów. Dziewczynka miała jednak pogodną naturę, była bardzo przyjazna, łatwo znalazła swoje miejsce w rodzinie, cieszyła się bawiąc z siostrami, przymilała do gości, którzy ostatnio często odwiedzali ich dom.

Starzy przyjaciele lub koledzy Martina z Niemiec przyjeżdżali do domu Jagów bez względu na porę dnia czy nocy. Byli wśród nich wykładowcy akademicki i doktorzy. Żydzi i komuniści, działacze związkowi lub po prostu uciekinierzy niepasujący do nowego porządku wprowadzanego przez nazistowski rząd w ich kraju. Przyjeżdżali sami lub z całym

rodzinami, cichymi żonami i przestraszonymi dziećmi. Mieszkali w pokojach na poddaszu ze spadzistymi sufitami, gdzie odnajdywali odrobinę prywatności. Niektórzy mówili po angielsku, a Martin nieźle radził sobie z niemieckim. Odpoczywali nieco, rozmawiając o wyprawach archeologicznych czy starych, dobrych czasach, spędzonych razem w Berlinie i Frankfurcie. Jednak często Bess słyszała, jak chodzą po pokojach w nocy. Tupali cicho nad jej głową, nie mogąc spokojnie zasnąć w obcym domu i obcym kraju. Po kilku liniach zazwyczaj ruszali dalej, do innej części Brytanii lub do Ameryki.

Pokoje na poddaszu zamieszkiwali teraz tymczasowo Gregor i Resi Schmidt. Mieli pod trzydziestkę. Resi była drobna i szczupła, blond loki zaczesywała na bok. Brwi depilowała na wzór Marleny Dietrich i nigdy nie wychodziła z pokoju bez perfekcyjnego makijażu. Jej ubrania zawsze były porządne i wyprasowane. Bess zauważyła, że Kosi trzyma na dystans Rebeccę i Aimée, bojąc się zapewne, że pogniotą lub, co gorsza, poplamia brudnymi paluszkami jasnozieloną, lnianą spódnicę.

Gregor Schmidt, niski, ciemnowłosy i barczysty, pracował w berlińskim teatrze jako kierownik sceny. Tam poznał Resi, wtedy tancerkę. Nos miał przekrzywiony na jedną stronę twarzy. Była to pamiątka po obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie osadzono go za sympatyzowanie z komunistami. Podczas rozmowy trzeba było stać po lewej stronie Gregora, gdyż w obozie stracił słuch w prawym uchu.

Ich wizyta trwała już prawie dwa tygodnie. Gregor wyszedł wcześniej rano na spotkanie z pośrednikiem, aby zorganizować wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Bess odprowadziła Eleanor do szkoły i po niewielkich zakupach wróciła do domu. Resi nie zeszła jeszcze na śniadanie. O dziesiątej pani Tatę zawsze przygotowywała kawę.

Martin nie potrafił przebrnąć przez poranek bez kilku filiżanek mocnej kawy. Bess poszła na poddasze zapytać, czy Resi też chciałaby się napić. Nikt nie odpowiedział na pukanie, więc zdecydowała się otworzyć drzwi. Przez chwilę stała wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Na łóżku leżała Resi cała we krwi, która poplamiała jej jasne włosy i zadbane ubranie. Metaliczny zapach krwi przepełniał cały pokój. Bess popędziła na dół po Martina.

Widok, który zastała na poddaszu, nie dawał spokoju Bess przez cały czas. Ciągle widziała Resi Schmidt, leżącą na łóżku, unurzaną we krwi płynącej z podciętych żył. Ta śliczna, schludna Resi, która bała się brudnych dziecięcych paluszków i tłustych plam na ubraniu. W domu rozpętało się piekło, przyjechała karetka zabrać Resi do szpitala, trzeba było pomóc pani Tati posprzątać pokój Schmidtów i uprać pościel.

Martin wrócił do domu krótko po siódmej. Pani Tati poszła już do domu, a młodsze dzieci leżały w łóżkach Bess i Kate sprzątały w kuchni po kolacji, której nikt prawie nie tknął. Martin zdjął płaszcz.

– W szpitalu są dobrej myśli. Jest bardzo słaba, ale po winna przeżyć. Gregor jest przy niej.

– Dzięki Bogu. – Bess poczuła ogromną ulgę.

– Chcesz kolację, Martin? – zapytała Kate, otwierając piekarnik.

– A co jest?

– Zapiekanica z mięsem.

– Może później skuszę się na ser i kawałek chleba.

– Nie dziwię ci się – odparła Kate, wieszając ścierkę i krzywiąc się – mama dorzuciła fasolę.

– Napiłbym się brandy.

– Przyniosę. – Kate wyszła z kuchni.

– Przepraszam – powiedział Martin, siadając koło Bem

– Za co?

– Za to, że sprowadziłem do domu takie nieszczęście.

– Myślałam, że nie żyje – wyszeptwała Bess.

– Gdybyś nie znalazła jej na czas... – Martin zawiesił głos.

Kate wróciła z brandy i kieliszkami. Otworzyła butelkę i napełniła oba.

– Dlaczego Resi to zrobiła? – Spojrzała pytająco na Martina.

– Nie wiem. – Martin zdjął okulary i przetarł oczy i dłoń. – Tego się nigdy nie wie. Sam się winię za to, co się stało. Może mogłem temu zapobiec, zauważyć coś wcześniej – mówił ze znużeniem.

Martin posiwiiał mocno w ostatnich dniach. Upływ czasu i ciężka praca naznaczyły jego twarz zmarszczkami. Elizabeth też miała siwe pasemka we włosach. Była zaskoczona za każdym razem, gdy czesząc włosy, na nie patrzyła. Czy to możliwe, że ona, Bess Jago, się starzeje?

– Przecież staraliśmy się jej pomóc – odezwała się Kate. Dlaczego chciała się zabić? Powinni się czuć bezpieczni, będąc daleko od Niemiec.

– Przypuszczam, że była zdesperowana. – Martin ze słabym uśmiechem starał się odpowiedzieć. – Czasami mówimy, że jesteśmy zrozpaczeni, gdy chodzi o drobiazgi, spóźnienie na pociąg albo chęć posiadania czegoś, prawda? A prawdziwa rozpacz to potężne uczucie, które może prowadzić nawet do śmierci. Dzięki Bogu, nieczęsto go doświadczamy.

– Sądzisz, że Resi była zrozpaczona z powodu tego, co zrobili z Gregorem w obozie?

– Mogło tak być. Trudno jest znieść cierpienie ukochanej osoby. Tym bardziej że nic nie można było na nie – radzić. I nie można się zemścić.

– Lub dochodzić sprawiedliwości.

– Właśnie – przyznał Martin. – W Niemczech panuje teraz

dyktatura, jeden człowiek stanowi prawa. I z powodu tych praw Resi i Gregor mieli kłopoty.

Kate się zamyśliła, obracając w dłoni korek od butelki, – Ale oni skrzywdzili go umyślnie – powiedziała wolno. – Jak to możliwe?

Bess wyjęła z piecyka naczynie z zapiekanką. Wierzei i potrawy był osmalony, sos się ściał. Wyrzuciła wszystko do kosza i wstawiła naczynie do zlewu.

– Kochanie, nie powinnaś się tym zadrećzać.

– Ale ja chcę wiedzieć, mamo. Dlaczego ludzie ranią innych?

– Czasami chcą w ten sposób zdobyć władzę – odparł Martin, wycierając szkła okularów zabrudzoną chusteczką. – Strach sprawia, że ludzie stają się posłuszni.

– Sądzisz, że krzywdzenie innych może takim ludziom sprawiać przyjemność?

– Kate, nie myśl o takich rzeczach – wtrąciła się Bess, nalewając wodę do naczynia po zapiekance.

– Ale czy to im się podoba?

– Niestety, chyba tak. – Martin westchnął. – I takich ludzi nie jest wcale mało.

– Dlaczego? – Kate nie dawała za wygraną. – Może czują się bezsilni. Wyładowują wtedy swój gniew na tych, którzy są słabsi od nich. Niektórzy kochają przemoc. Mam nadzieję, że jest ich niewielu. Syn tern rządów, który zapanował w Niemczech, daje im władzę.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje?

– Nie wiem, Kate. Być może są to skutki doświadczeń z dzieciństwa. Złe traktowanie w dzieciństwie tworzy w dziecku wzór postępowania i wtedy uważa ono przemoc jako coś normalnego. Mogę polecić ci kilka wydawnictw na ten temat. Na przykład Freud mówi...

Bess wyszła z domu. Na zewnątrz odetchnęła swobodnie.

Wybrukowane podwórko zajmowały donice z terakoty, w których rosły jaśminy i lilie. W powietrzu unosił się zapach kwiatów. Zamknęła drzwi za sobą, aby nie słyszeć dalszej części rozmowy. Usiadła i popijając brandy, starała się opanować przepełniające ją strachem uczucie niepokoju, które towarzyszyło jej od chwili znalezienia nieprzytomnej Resi Schmidt. Rozmyślała nad dwoma zdarzeniami w swoim życiu, gdy sama była na dnie rozpacz. Pierwszy raz czuła się tak po wizycie u Sheldona Ravenhirta, kiedy zrozumiała, że Cora Ravenhart odebrała jej Frazera. Drugi raz rozpaczła, gdy Andrew Gilchrist ją gwałcił. Za każdym razem czuła się bezsilna i pozbawiona nadziei. Pragnęła, by Kate nigdy tego uczucia nie zawiąła. Ani reszta jej dzieci. Postanowiła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby nigdy nie poznały siły rozpacz. Nie mogła jednak zapobiec wszystkiemu. Dawno temu pozbyła się złudzeń, że po dojściu do władzy naziści złagodzą swoje poglądy. Nadzieja, pokładana w siłach lewicowych na kompromitację Hitlera i jego przegraną w wyborach, również upadła. Niemcy wymazali wybory i wszelkie ślady demokracji ze swego systemu politycznego. Prasa codziennie opisywała akty przemocy, zamachy stanu i napady na ludność cywilną. W lipcu wybuchła wojna domowa w Hiszpanii. Poparty przez wojsko generał Franco powstał przeciw wybranemu demokratycznie rządowi Frontu Ludowego. Pod koniec sierpnia wspierająca nacjonalistów Franco niemiecka Luftwaffe zbombardowała Madryt. Zginęły setki cywilów, a tysiące zostało rannych. Pesymizm Martina i niepokój Bess pogłębiły się, gdy generał Franco zyskał poparcie Niemiec i Włoch.

Związek Radziecki wspierał Republikę, a Francja i Wielki Brytania pozostawały neutralne. Politycy brytyjscy przestrzegali przed zaangażowaniem się w następną europejską wojnę, straszili wizją nieprzerwanych bombardowań i ogromnymi

stratami wśród ludności. Bess przestraszyła się nie na żarty, gdy rząd ogłosił powszechne ćwiczenia z użyciem masek gazowych.

Nikt się nie cieszył z perspektywy nadejścia kolejnej wojny i nikt nie przesądzał o szybkim zwycięstwie, jak to miało miejsce w tysiąc dziewięćset czternastym. Bess chciała wstąpić do Koalicji na rzecz Pokoju, która chwaliła się już setkami tysięcy członków, by zostać pacyfistka, Coś ją jednak powstrzymywało. Cóż mógł bowiem zdziałać pokojowy ruch zrzeszający ludzi o moralnie słusznych przekonaniach przeciw ludziom prącym do wojny? Prze cięż ani rozsądek, ani miłe zachowanie wobec Andre w Gilchrista w klubie, choć podejmowane wyłącznie na życzenie właściciela Black Orchid, nie uratowało jej przed nim. Ludzie przepelnieni nienawiścią i kochający prze moc nie ulegają perswazji i nie idą na ustępstwa.

Zatrząwała ją myśl o kolejnej wojnie. Wspomnienia ostatniego konfliktu, ból i straty, które przyniósł, były zbyt świeże, by mogła pogodzić się z możliwością wybuchu następnej wojny. Taka możliwość napawała ją wstrętem. Dzięki Bogu mam córki, powiedział któregoś wieczoru Martin, wyłączając radio. Frazer – Bess bezwiednie wypowiedziała imię syna – i Ralph i chłopcy Pameli Wtedy Martin objął ją ramionami i mocno przytulił.

Przez wszystkie te lata chroniła swoje dzieci. Czekala na powrót Frazera. Nie mogła znieść myśli, że mogłaby teraz go stracić przez żądzę władzy i nienawiść złych, obcych ludzi. Myślała o mężczyznach zniszczonych przez minioną wojnę. Myślała o latach cierpienia Aleksa Findllaya i o tym, co wojna zrobiła z Martinem i Ralphem. Wiedziała, że Frazer nie nadawał się na żołnierza tak samo, jak oni.

Rodzina Naomi Jennings pochodziła z Virginia Water w hrabstwie Surrey. Ojciec, który pracował w banku handlowym,

wiecznie zajęty, trzymał wszystkich na dystans, pacia Simon i Julian byli trochę od niej starsi. Matka Noomi zawsze pragnęła córki, a ona wiedziała, że nie spełnia jej oczekiwań. Matka wolałaby mieć śliczną, grzeczną dziewczynkę o różowej buzi, która bawiłaby się lulkami i którą można by się chwalić przed przyjaciółkami. Zamiast tego miała łączącą po drzewach chłopczycę, która wolała się bawić z przyjaciółmi braci niż słodkimi córeczkami znajomych matki. Czasami Naomi zachowywała się niewłaściwie, a nawet prostacko. Problemy pogłębiły się w okresie dojrzewania. Będąc nastolatką, często była potwornie znudzona. Z wiekiem umiała już wybrać i skoncentrować się na tym, co lubiła. Wiedziała, że lubi szybką jazdę samochodem i żeglowanie szybkimi jachtami. Uwielbiała pić szampana, palić papierosy i lubiła ludzi, którzy tak jak ona nie obawiają się ryzyka. Gdy miała szesnaście lat, odkryła seks. Pierwszym kochankiem był syn kolegi ojca. Naomi straciła dziewictwo w stajniach domu w hrabstwie Buckinghamshire. Wiele miesięcy później zapach siana przypominał jej uczucie bólu i przyjemności, które towarzyszyło owemu wydarzeniu. Widywała tego chłopca jeszcze kilka razy, wagarowała, skończyło się to wydaleniem ze szkoły. Rodzice przenieśli ją do innej i kontakt z chłopcem się urwał.

Naomi miała innych chłopców w Surrey, a potem w Paryżu i Szwajcarii, gdzie została wysłana, aby skończyć szkołę. Po roku spędzonym za granicami Anglii zmieniła się. Zadbana od stóp do głów, wiedziała, jak wysiąść z auta, nic pokazując nóg i potrafiła przyrządzać grzybowy suflet. Wróciła do kraju. Na próżno starała się przegonić nudę, zatrudniając się na krótko w sklepie z kapeluszami, który prowadziła znajoma. Pracowała też jakiś czas jako modelka. W wydzielonych pokojach londyńskiego domu odzieżowego paradowała w kosztownych sukniach przed bogатыmi kobietami i ich debiutującymi w

towarzystwie córkami. Miała też kochanków. Z początku byli to rówieśnicy Naomi, z czasem zaczęli ją jednak nużyć. Zainteresowała się wówczas starszymi od niej, często żonatymi mężczyznami. Ciągłe towarzyszył jej uczucie niepokoju, po kilku tygodniach czy miesiącach zaczynała nudzić ją rozmowa z kochankiem, zdawała sobie nagle sprawę z niedoskonałości jego wyglądu gęsiej skórki na karku czy nadmiernie krzaczastych brwi i namiętność gasła. Zawsze zrywała pierwsza. Nauczona doświadczeniem pierwszej miłości, nie dawała kochankom szans na zakończenie związku.

Przed rokiem nie miała szczęścia. Przeziębła się i dostała torsji po śniadaniu. Matka rozpoznała przyczynę złego samopoczucia córki, zanim ta zdała sobie sprawę, że oczekuje dziecka. W doskonałej zielono-kremowej łaźnicy Jenningsów matka Naomi z twarzą wykrzywioną wściekłością spytała córkę: „Kto jest ojcem?”. Uspokoila się, gdy usłyszała, że Naomi nie ma pewności.

– Ty mała, głupia dziwko – powiedziała. – Nikomu o tym ani słowa, rozumiesz? Ani swoim braciom, ani Tesie i Hazel. Tylko ojciec będzie wiedział, bo musi dać pieniądze na zabieg.

Następnego ranka pospieszyły do kliniki na ulicy Harley. Dzień później Naomi nie była już w ciąży. Kolejni pięć zimnych, cichych dni spędziła w hoteliku w Bourneinouth, dochodząc do siebie, po czym razem z matką Wróciła do domu. Po jakimś czasie doszła do wniosku, że nic już nie będzie takie samo. Ojciec, który ledwie teraz córkę dostrzegał, obciął jej kieszonkowe. Matka zimnym wzrokiem śledziła każdy jej ruch. Nadzieje rodziców na wspaniałe zamążpójście ich pięknej córki legły w gruzach. Teraz nadawał się każdy, kto miał pieniądze i pochodził z szanowanej rodziny. Pani Jennings zastanawiała się, który ze znajomych finansistów ma syna nadającego się na zięcia. W domu nigdy nie wspomniano o aborcji. Czasami

Naomi zdawało się, że to był tylko sen. Gdy się budziła wcześniej rano, roniła łzy, których nikt nie widział. Wcześniej nie interesowała się dziećmi, teraz pozbawiono ją czegoś ważnego, co mogło zapobiec nudzie. Przez długie miesiące gnębił ją ponury nastrój. Zamknięta w domu, gdzie królowała nuda, niemal namacalnie odczuwała dezaprobatę, a nawet odrazę rodziców. Brak pieniędzy uniemożliwiał kupowanie nowych sukienek i wypadki do nocnych klubów. A nawet gdyby dysponowała większą kwotą, to i tak nie byłaby zainteresowana nowymi ubraniami czy przyjęciami.

Któregoś popołudnia wybuchła płaczem na brydżowym spotkaniu matki. Nie mogła się uspokoić. Matka spoliczkowała ją i kazała się położyć do łóżka. Lekarz zalecił odpoczynek i zmianę otoczenia. Kilka dni później matka poinformowała ją, że spędzi wakacje w Szwajcarii z bratem i jego żoną. Naomi poczuła się lepiej wśród gór i jezior, które zawsze kochała. Będą następne dzieci, mówiła sobie, dzieci, które potrafi ochronić. Wyjdzie za mąż, założy rodzinę i będzie mieć własny dom. Wszystko się ułoży.

Po powrocie do Anglii zauważyła, że matka stała się mniej czujna, zapewne nie chcąc utrzymywać napięcia, które już raz wywołało zawstydzający incydent. W jej rodzinie unikano okazywania uczuć. Co innego rachunki i salda. To rzeczy, na których można było się oprzeć. W sierpniu Naomi zwiedzała Szkocję z Lamptonami, starymi przyjaciółmi rodziny. Pokochała ją równie mocno, jak Szwajcarię. Uwielbiała dziką przyrodę, gwałtowne zmiany pogody, deszcze, gradobicia i słabe północne słońce. Szybko znudziła się Charliem i Fioną, którzy nieustannie się kłócili. Pewnego wieczoru, gdy Fiona wcześniej się położyła, Charlie usiłował uwieść Naomi. Oczywiście mu nie uległa. Jednak coś ją zaintrygowało w wyrazie twarzy Charliego i zastanawiała się, czy przypadkiem takie

nazbyt swobodne zachowanie nie było spowodowane jakąś plotką, którą mógł usłyszeć.

Następnego dnia pojechali do Ravenhart. Widok bajkowego zamku z wąskimi oknami i wieżyczkami zaparł Naomi dech w piersiach. Jego usytuowanie w dolinie otoczonej górami wydało się jej niezwykle romantyczne. Wtedy zobaczyła Maxwella Gilchrista. Podobali jej się tacy ciemnowłosi mężczyźni o cygańskiej urodzie. Gdy się poznali, miał zmęczone od niewyspania, niebieskozielone oczy i pogniecione ubranie. Zupełnie jakby w nim spał Właścicielem domu był Frazer Ravenhart, u którego spędzała wakacje jego siostra, Kate. Gdy Charlie przedstawiał ich sobie, Naomi patrząc na nowych znajomych, zastanawiała się, co się między nimi dzieje. Bo mieli jakąś tajemnicę. Zawsze potrafiła to wyczuć, choć jeszcze nie wiedziała, w czym rzecz.

Maxwell podobałby się jej nawet wtedy, gdyby poznała go w mniej romantycznych okolicznościach niż wspaniały Ravenhart House, góry i wrzosowiska. Takiego mężczyzny szukała całe życie. Na Frazera, który też był przystojny, choć miał zupełnie inny typ urody, nawet nie spojrzała. I to Maxwell bardziej pasował do tego miejsca niż Frazer. Zaś w samym domu było coś niepokojącego. Schody prowadziły w nieznaną stronę. Wystarczyłby jeden nieostrożny krok, a można by z nich spaść i zginąć. Siedzących wysoko na dachu chroniła tylko niewysoka balustrada przed runięciem w przepaść.

Spotkanie z Maxwellem Gilchristem sprawiło, że Naomi dostrzegła światło w tunelu, którego tak długo wyczekiwała. Czowała podekscytowanie, stan, który niemal napomniała i podniecenie, gdy patrzył na nią ktoś, kogo pożądała. Czowała, jak Max pożera ją wzrokiem. Wiedziała jednak, że aby zdobyć Maxwella Gilchrista, nie może mu idę narzucać. Musiała postępować roztropnie i nie mogła zbyt szybko odkryć kart.

Zachowa dystans tak długo, aż będzie pewna jego uczucia. Intuicja podpowiadała jej, że pij tak właśnie będzie postępować, jej zamiar się powiedzie. W przeciwnym wypadku wszystko rozpadnie się W proch.

## Rozdział 13

Kate z początku nie wiedziała, dlaczego Frazer tolerował obecność Naomi Jennings w Ravenhart House. Z czasem zrozumiała, że robił to dla Maxwella. Obawiał się, że jeżeli nie zaprosi Naomi, Maxwell się nie pojawi. Kate zawsze wiedziała, że Frazer bardzo lubił Maxwella, nie zdawała sobie jednak sprawy, że aż tak, by znosił obecność osoby, której nie cierpiał.

Jej brat starał się ukryć niechęć, jaką żywił do nowej sympatii Maxwella. Zdradzało go jednak lodowate spój rzenie, zaciśnięte pięści i wzdryganie się na krzesle, gdy tylko Naomi pojawiała się w pokoju. Początkowo Kale sądziła, że Naomi wpadła też w oko Frazerowi. Wówczas jego niechęć byłaby usprawiedliwiona. Wiedziała z własnego doświadczenia, że osoba zakochana zdolna jest do dziwaczkich zachowań. Dopiero później zauważyła, że brat unika nawet dotyku Naomi. Ona natomiast kokietowała Frazera, uśmiechała się do niego uwodzicielsko luli ścisnęła mu rękę. On zaciskał usta z odrazą. Mierzwili włosy Frazera małymi dłońmi, pytając niskim głosem; „Tak się nudzę. Mój drogi, czy pożyczysz nam swój piękny samochodzik?”. Kate widziała gniew w oczach brata.

Zastanawiała się, czy Naomi wiedząc, że Frazer ją odepchnie, celowo zalecała się do niego, tylko po to, aby mu podokuczać. A może to Maxwell miał być ofiarą tego zachowania i Naomi chciała wzbudzić w nim zazdrość? Jeżeli tak właśnie było, to ten sposób nie działał na nietó. Nie zwracając na nic uwagi, Maxwell dalej palił, pił lub jadł obiad, a w najlepszym razie cedził przez zęby: „Zostaw go skarbie, przyprowadzę ci twojego pieska, żebyś miała nad kim się poznać”.

Z początku Kate czuła ulgę, widząc, jak zachowuje się Maxwell. Przecież nie mógł być zakochany w Naomi, skoro tak

się do niej odnosił. I choć ona się dąsała lub wybuchała gniewem, Maxwell ignorował to. Gdyby był w niej zakochany, nie śmiałyby się, gdy mówiła, że już się do niego nie odezwie lub gdy wzburzona wybiegała z pokoju z pieskiem na rękę. Ulga, którą odczuła Kate, nie u wała jednak długo. Frazer co prawda unikał Naomi, ale Maxwell i Naomi nie mogli się od siebie oderwać. Dobrali się jak w korcu maku. Przechodząc obok Maxwella, Naomi zawsze muskała jego ramię palcami, jakby nie mogła odmówić sobie tej drobnej przyjemności. Podczas obiadu Maxwell dotykał stopą nogi Naomi. Na spacerze trzymali się za dłonie, splatali palce i tylko ukształtowanie terenu zmuszało ich do rozłączenia rąk. Szepotali czułe słówka i nadali sobie pieśczośliwe imiona. Kate podpatrzyła, jak pływali w stawie. Widziała, jak ich ciała splatały się pod wodą. Po kąpieli, gdy siedzieli na brzegu, Naomi drżała z zimna, a Maxwell wycierał ją swoim ręcznikiem i pomagał włożyć sweter. Wrócili potem do domku myśliwskiego i rozpalili ognisko. Maxwell rozczesywał ciemne, gęste włosy Naomi i Kate musiała odwrócić wzrok. Wbiła paznokcie w dłoń i starała się nie krzyknąć.

Z początkiem września Kate zaczęła pracować w firmie prawniczej. Pierwszego dnia zdała sobie sprawę, że był to zły wybór. Chociaż koledzy byli mili, a szef nie wymagał zbyt wiele, czuła, że czegoś jej brakuje. Wiedziała, że popełniła błąd i że powinna była postąpić zgodnie z radą Martina sprzed roku i spróbować dostać się na uniwersytet. Brak odwagi skazał ją na nieciekawe zajęcie i nie mogła sobie tego wybaczyć. Przyznała później, że ten sam brak odwagi sprawił, że nadal jeździła do Ravenhart House, choć nie czuła się tam szczęśliwa. W głębi serca wiedziała, że nic już nie będzie takie samo. W Ravenhart House unosił się w powietrzu zapach nadchodzącej katastrofy,

wszyscy tam zbyt dużo pili i palili, a zbyt mało spali. Mimo to, raz lub dwa razy w miesiącu, w piątek po pracy, Kate wsiadała w pociąg do Pitlochry. Trudno jej było zaakceptować fakt, iż stała się nieistotnym obserwatorem dramatu, którego trzy postaci były zaabsorbowane wyłącznie sobą. Obserwowanie wzajemnej fascynacji Maxwella i Naomi sprawiało Kate ból. Wracała tam chyba tylko po to, aby upewnić się o nieodwracalności uczuć Maksa, ciągle nie mogąc się pozbyć resztek złudzeń.

Któregoś wieczoru Kate postanowiła popatrzeć na okolicę z dachu. Gdy wychyliła głowę przez właz, zorientowała się, że nie jest sama. Na niebie kłębiły się szare chmury, a na ich tle odcinała się sylwetka stojącej na otaczającej dach balustradzie Naomi.

– Na miłość boską, Mimi, zejdź stamtąd – wołał Maxwell podniesionym głosem.

Naomi zaśmiała się.

– Więc przyjdź po mnie – odpowiedziała wyzywająco. Wyciągnęła ręce i zachwiała się. Maxwell rzucił się ku niej i chwycił za przegub dłoni. Kate wstrzymała oddech.

– Ty wariatko! Ty cholerna wariatko! – krzyknął i pocałował ją. Pocałunek był długi i głęboki. Mocno przywarli do siebie. Po chwili Maxwell dotknął palcami wargi, Kate zauważyła krew. – Mimi, do cholery! Ty mnie ugryzłaś! – W jego głosie nie było jednak gniewu.

Innym razem, późną nocą, Kate usłyszała podniesione głosy w korytarzu. Niewidoczna w ciemnościach, wstrzymała oddech. Pierwszy odezwał się Maxwell, słyszała go wyraźnie przez otwarte na oścież drzwi.

– Nie jestem twoją własnością.

– Nie jesteś? – Głos Frazera buzował wściekłością. – A co z pożyczką, Max? Oczywiście to niewłaściwe słowo, pożyczka,

prawda?

– Jak tylko skończę książkę i zarobię trochę pieniędzy...  
– Nigdy jej nie skończysz, dobrze wiesz. Nigdy nic nie wydasz!

– Niech cię piekło pochłonie! – krzyknął Maxwell.

Kate słyszała jeszcze oddalające się kroki i trzaśnięcie drzwiami. W swoim pokoju zdjęła fioletowo-niebieską sukienkę. Sama wybrała materiał i z pomocą matki ją uszyła. Chciała mieć coś nowego, aby Maxwell znów zwrócił na nią uwagę, przeciągnął dłonią po jej głowie i znów powiedział: „Cudowne włosy, takie morelowe”.

Następnego dnia przy śniadaniu Frazer i Maxwell siedzieli bez słowa, naburmuszeni i wściekli na siebie. Jedyne Naomi zachowywała się beztrudno, nucąc i karmiąc pod stołem psa kawałeczkami grzanki. Panowie zaczęli pić jeszcze przed południem, rozmowa przy obiedzie zeszała na wojnę domową w Hiszpanii. Kate wygłaszała niepokojące uwagi, starając się zapobiec poważniejszemu starciu.

– A ty nie masz nic do powiedzenia? – Maxwell nagle zwrócił się do Naomi.

– Wiesz, że nie interesuje mnie polityka, skarbie. – Nadała się.

– A ty Frazer? – zagadnął go Maxwell z ciemnym błyskiem w oczach. – Siedzisz wydarzenia na świecie? To wszystko jest takie zagmatwane. Trudno się połapać. Czy odróżniasz anarchistów od anarchosyndykalistów?

– Nie mam o tym pojęcia. Co to ma za znaczenie?

– Wszyscy są czerwoni, prawda? I bardzo daleko stąd. Problem w tym, że Niemcy, Austria i Włochy już faszyzują. Jeżeli to samo przytrafi się Hiszpanii, równowaga zostanie zachwiana. I może wybuchnąć nowa wojna. Maxwell, mówiąc już spokojnym głosem, pochylił się nad stołem w stronę

Frazer. – Wojna i tak wybuchnie. Pewnie nie masz nic przeciwko temu. A może pociągają cię silni faceci, trzask bata i lśniące, skórzane oficerki. Pewnie chętnie zostałbyś dowódcą. A ja nie znoszę żołdactwa.

– Wcale tak nie myślę. – Frazer zarumienił się.

– To zrozumiałe, jeżeli sympatyzujesz z nacjonalistami – odparł Maxwell, opierając się plecami o krzesło. – Musisz dbać o swoje, prawda? Anarchiści już jakiś czas walczą z właścicielami ziemskimi w Hiszpanii przy użyciu broni i bomb. Jak byś się czuł, gdyby to samo wydarzyli i się tutaj?

– To byłoby nie do pomyślenia, coś okropnego.

– Pewnie tak. – Maxwell opróżnił kieliszek. – Pomyśl tylko, pięćdziesiąt lat temu jakiś bogaty Ravenhart, który dorobił się na fabrykach bawełny lub kopalniach węgla postanowił żyć w zamku. Kupił kawał taniej ziemi w hrabstwie Perth, zbudował tę wiktoriańską ohydę i sprowadził stada jeleni, aby jego przyjaciele mieli zabawę i nie nudzili się, przyjeżdżając tu w weekendy. Okazało się jednak, że jelenie zeżarły zbiory należące do tych cholernych biedaków, którzy uprawiali tu ziemię od dziesięcioleci i teraz nie mają czym wyżywić swoich rodzin. Zastanawiam się, czy któryś z nich, pakując swój dobytek, nie chciał czasami wypatroszyć twojego przodka.

– To była jego ziemia. – Ich spojrzenia spotkały się.

– Tak. Ale to były ich domy.

Zapadła cisza. Maxwell chwiejąc się wstał z krzesła.

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem – powiedział i wyszedł z pokoju. Naomi pobięła za nim.

Frazer odprowadził ich wzrokiem. Słysząc było odgłos otwieranych, a następnie zamykanych drzwi. Frazer wypił resztę wina i krzyknął na Phemie, aby przyniosła następną butelkę. Gdy kieliszek znów był pełny, wymamrotał:

– Okręciła go sobie wokół palca. Nie może się od niej

oderwać. Nigdy taki nie był. Lubił kobiety, zawsze to wiedziałem, ale sądziłem, że ciągnie je do łóżka, a potem o nich zapomina.

Kate była zszokowana. Jej uprzejmy, dobrze wychowany brat mówił takie rzeczy. Pierwszy raz zdała sobie wtedy sprawę, jak bardzo Frazer był pijany.

Po chwili ciągnął bełkotliwie:

– Pozwolił jej sobą zawładnąć. – Wybuchnął śmiechem, a potem zmrużył oczy. – Może z nią jeszcze nie spał? Może to jest właśnie jej sekret. Może wygląda na głupią, a jest mądrzejsza niż sądziłem i drogi Max trafił w końcu na godnego siebie przeciwnika. – Pokręcił głową. – Nie. Już ją miał. Nie może się tylko nasycić. A ona wie, że ma go w rękę.

– Nie powinieneś tak mówić o Maxwellu. To twój przyjaciel – zaprotestowała Kate.

– Twój też, Kate?

Odwróciła wzrok, wiedziała, że Frazer już się wszystko domyślił.

– Och nie. Czyżbyś i ty się w nim zakochała? – pytał złośliwie.

– Frazer...

– To fatalna pomyłka. A taka z ciebie rozsądna dziewczyna.

– Przestań.

– Każdy porządny chłopak wołałby ciebie od Naomi. Ale nie sądzę, aby Maxwell miał tyle oleju w głowie.

– Przestań, proszę. – Zasłoniła uszy dłońmi i z trudem powstrzymywała łzy.

Frazer chwiejnym krokiem podszedł do kanapy Usiadł, zakładając jedną rękę na oparcie.

– Wiesz, wkurza mnie, gdy pomyślę, że po tym, ile dla niego zrobiłem, nie jest w stanie nawet dotrzymać słów. i i poświęcać mi więcej czasu.

– Nie można oczekiwać zapłaty za dobre uczynki.  
– Ależ z ciebie idealistka. – Popatrzył na nią lodowatym wzrokiem. – Zobaczysz, że Maxwell przybiegnie do mnie, gdy będzie czegoś potrzebować. Tak jest zawsze. To tylko kwestia czasu. Trzeba przeczekać to zauroczenie.

Kate chciała uciec z pokoju, nie patrzeć na Frazera ani go nie słuchać. Zamiast tego powiedziała:

– Ludzie nie przyjaźnią się dla pieniędzy i bogactwa – Oczywiście, że tak – odparł pogardliwie. – Zależy tylko, co możesz dostać: pieniądze, porządny obiad czy możliwość odpoczynku od męczących cię problemów.

– A co z przywiązaniem i koleżeństwem?

– Kto z odwiedzających mnie tu osób przyjeżdża, uli dbając o moje pieniądze i zamek? Zjawiają się tu dlatego, że mogę im coś dać. Nikt nie fatygowałby się, gdybym był biedakiem.

– Może więc powinienesz poszukać innych przyjaciół

– Łatwo ci mówić. – Prychnął i dodał złośliwie: – Ja nie wybieram nowych kiecek w sklepie.

– Nie. – Kate potrząsnęła głową. – Na pewno nie. To tylko ty uważasz, że przyjaźń można kupić.

Frazer popatrzył w kieliszek. Mówił tak cicho, że ledwo go słyszała:

– I wciąż trzeba płacić więcej i więcej. Cena ciągle idzie w górę.

Poczula mdłości. Widziała jednak, że pogarda jest zatoną dla okropnej samotności, którą odczuwał jej brat. Usiadła koło Frazera i powiedziała czule:

– Masz przecież rodzinę. Masz nas.

– Doprawdy? – Chabrowe oczy Kate spotkały się z zimnym i pytającym spojrzeniem Frazera. – Dawaliście sobie radę beze mnie dość długo. Jak sądzisz, ile czasu by ci zajęło zapomnienie o mnie na nowo, gdybym wyjechał?

Po latach Martin Jago wspominał rok tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty jak rok przełomowy. Do tej pory, mimo gromadzących się na horyzoncie chmur, sądził, że można jeszcze uniknąć najgorszego. Wierzył, że świat się opamięta, zanim będzie za późno. Jednak okropieństwa, które następowały po sobie, odbierały ostatnią nadzieję. Zdawał sobie sprawę, że zagrożenie było realne i że najgorsze miało dopiero nadejść.

Nie spełnił też swoich planów zawodowych, dotyczących poprawy dostępności leczenia dla najuboższych. Medycyna poczyniła ogromne postępy. Odkryto insulinę, cukrzyca przestała być wyrokiem śmierci. Sulfonamidy ograniczyły umieralność spowodowaną gorączką poporodową. Zmniejszyły też liczbę śmiertelnych przypadków zapalenia płuc. Niestety, nie dotyczyło to biednych rodzin, które nie mogły opłacić wizyty lekarskiej. Nie było leku na biedę ani na ignorancję. Recesja spowodowała ubożenie i tak już biednych rodzin i pogorszyła warunki ich życia. Długie kolejki w jego darmowej klinice i praca do późna nie poprawiały Martinowi nastroju. Wiedział, że to ledwie wierzchołek góry lodowej. Pracował tam trzy razy w tygodniu, resztę czasu poświęcał zasobniejszym pacjentom. Musiał przecież wyżywić rodzinę, i opłacić szkołę córkom. Sytuacja panująca w Edynburgu była odzwierciedleniem tego, co działo się w całym kraju. Aby zmienić stary system, potrzebna była rewolucja lub wojna.

Jak za dawnych lat Martin szukał schronienia w archeologii. Raz na kilka miesięcy, gdy miał wolny weekend, wyruszał swoim austinem 7, na wieś, w poszukiwaniu śladów prehistorycznej Szkocji i materiałów do nowej publikacji. Przypuszczał, że nigdy nie skończy tej książki, jej objętość przerosła już pierwotnie założony plan. Zbyt dużo było w niej różnych wątków. Zwiedza nie gór i jezior przywracało mu siły i

zmywało przygnębienie dopadające go w mieście.

Wypadki te miały jednak jeszcze jeden powód. Martin nigdy nie zapomniał o obiecanych Bess poszanowaniu jej niezależności i wolności. Wiedział, że nie może jej kontrolować. Bał się, że się jej znudzi, że ognista natura Bess, która tak go pociągała, zostanie stłumiona codziennymi obowiązkami. Zawsze dawał jej czas, który spędzała sama, z dziećmi lub przyjaciółmi. Zazwyczaj miało to ni nich oboje dobry wpływ.

Pobrali się niemal dziesięć lat temu. Pierwsze osiem było bardzo szczęśliwe. Martin nigdy nie oczekiwał szczęścia. Wiedział z doświadczenia, że to tylko małe iskierki i wahnięcia nastroju, które niespodziewanie rozświetlają dzień. Zmiana nadeszła wraz z przybyciem Frazera i narodzinami Aimée. Jedno dziecko za dużo zmienia spokojne rodzinne życie w kierat. Nikt nie uznałby Aimée za absorbujące dziecko, ale jej narodziny wyczerpały Bess znacznie bardziej niż narodziny jej sióstr.

I pojawił się Frazer. Jego przyjazd zmusił Bess, by powróciła do bolesnej przeszłości. Martin wiedział, że Frazer jest czarujący, bezpośredni, hojny i przemyślny. Ale wiedział też, że jest zepsuty i z biegiem czasu nabierał pewności, że jest też słaby. Nie rozmawiał o tym z Bess. Miał nadzieję, że rozsądna i wyważona Kate będzie mieć na brata dobry wpływ. Martin doskonale wiedział, że Bess nie zniesie krytyki pod adresem syna. Złe cechy Frazera wydłużyły listę rzeczy, o których się nie mówiło. Był już na niej Andrew Gilchrist i strach, który czasami powracał do Martina, gdy ten czuł się wyjątkowo zmęczony lub przygnębiony, że Bess zgodziła się na małżeństwo, aby mieć więcej dzieci i aby pokonać syndrom pustej kołyski. Zdawał sobie sprawę, że obawy te wypływały z braku poczucia bezpieczeństwa, poczucia, iż on sam jej nic wystarczy. Doszedł też do wniosku, że najsilniejsze uczucia Bess rezerwowała

wyłącznie dla dzieci. Pamiętał, że powtórnie wyszła za mąż bez miłości tylko po to, by i odzyskać syna i poświęciła temu celowi lata nieudanego małżeństwa.

Co do Gilchrista, Martin uszanował decyzję Bess, aby nigdy nie wypowiadać tego nazwiska. „Cokolwiek zrobię, cokolwiek powiem, to się już stało” – powiedziała mu lata temu i Martin doskonale ją rozumiał. Łatwiej było zapomnieć o tym okropnym wydarzeniu, nie wspominając o nim. Martin tego nie kwestionował. Zaobserwował jednak, jak to, że doświadczyła przemocy, zmieniło Elizabeth. Nie była już tak otwarta i towarzyska jak wtedy, gdy ją poznał. Pokochał Bess za jej otwartość uczuciową, jednak Gilchrist odebrał jej część tej spontaniczności.

Martin łapał się czasami na rozmyślaniu, czy byłby w stu nie zabić Gilchrista, gdyby miał po temu okazję. Złamał mu kręgosłup, zmiądzzyć tchawicę. Myśli te wstrząsały nim, gdyż ujawniały brutalną część jego charakteru. Ale to właśnie ta brutalność mogła położyć kres złym wspomnieniom.

W mokry, wietrzny dzień Martin badał podziemia hrabstwa Perth. Były to zalane wodą, kamienne przejścia, z których wiele zostało odkrytych pod koniec poprzedniego stulecia. Nie znano ich przeznaczenia, a badan id ich było możliwe tylko na czworakach. Gdy dzień dobiegł końca, Martin wynurzył się z wilgotnego, ciemnego przejścia z latarką w rękę i zauważył, że zaczęło się już ściemniać. Strzepnął z siebie największy brud, przeciągnął się i wyruszył na południe.

Gdy jechał wąskim wąwozem, mając po obu stronach skalne ściany, na ostrym zakręcie drogi pękła opona. Martin stracił kontrolę nad autem, tylne koła nieustannie się, kręciły. Gdy samochód nagle stanął, Martin uderzył ciałem w kierownicę. Siedział przez chwilę bez ruchu, aż uspokoił oddech. Po chwili

stwierdził, że ma całe, choć poobijane zebra. Podniósł się, by ocenić uszkodzenia. Deszcz rozpadał się na dobre. Przednie koła samochodu tkwiły w błotnistym, płytkim strumieniu, który płynął wzdłuż drogi. Rozdarta, przednia lewa opona nie miała powietrza. „wyjął z bagażnika koło zapasowe. Miał szczęście, że obok przejeżdżał wóz drabiniasty. Z pomocą konia wyciągnięto auto na drogę i Martin mógł zmienić koło. Przedni zderzak uderzył w skalę i zwisał przekrzywiony. Auto straciło również jeden z przednich reflektorów. Furman powiedział Martinowi, że kowal mieszkający w pobliskiej wiosce, będzie umiał to naprawić.

Dopiero późną nocą można było znów uruchomić auro, Jago czuł się bardzo zmęczony. Nawet przysnął, ale na szczęście obudził go krzyk sowy. Świecąc latarką, studiował mapę i zauważył, że znajduje się ledwie szesnaście kilometrów od Ravenhart House. Poczul ulgę, gdyż potrzebował schronienia i odpoczynku.

U Frazera było przyjęcie. Po długich poszukiwaniach gospodarz odnalazł Maxwella w pokoju na tyłach domu. Na parapecie stała butelka whisky. Maxwell konsekwentnie ją opróżniał. Drgnął przestraszony, gdy Frazer wszedł do środka.

- Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się zdenerwowany.
- Wal śmiało.
- Mamy zamiar pobrać się z Naomi.
- Pobrać się. – Frazer zdołał zachować niewzruszony wyraz twarzy. Zrozumiał, że Max nie żartuje. – Nie spodziewałem się tego – wymamrotał.
- Ja też – odparł Maxwell, przeciągając dłonią po włosach.
- Kiedy?
- Wkrótce.
- Ona cię nie uszczęśliwi.

– Nie ma co do tego złudzeń – powiedział swobodnie Maxwell. – Ale cóż, już postanowione.

– Chcesz tego? – Frazer patrzył na przyjaciela badawczo.

– Nie. Nigdy nie chciałem się zenić. – Max lekko się uśmiechnął. – Gdy ona do mnie mówi, mam ochotę uciec i wstąpić do Armii Republikańskiej w Hiszpanii. Będę nienawidził tego małżeństwa, wiem to. Będę się w nim dusił. – Wziął szklaneczkę w drżącą dłoń. Nagle wybuchnął śmiechem. – Nigdy nie myślałem o sobie, jak o kandydacie na męża. Mówię poważnie. Możesz to sobie w ogóle wyobrazić? Zawsze wolałem korzystać z doświadczeń małżeństwa, nie doświadczając, jakby tu rzecz, samej jego treści.

– Czy ona cię do tego zmusza?

– W pewien sposób, tak. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, że nie musisz się na to godzić. – Frazer nie potrafił już ukryć gniewu. – Nie musisz robić wszystkiego go, co ona chce.

– Powiedziała, że się zabije, jeżeli się z nią nie ożenię odparł spokojnie Max.

– Nie powinieneś jej słuchać. Kłamie, nie zrobiłaby tego. – Pomyślał w tym momencie, że Naomi to podstępna soku, – Zrobiłaby to – zapewnił posępnie Maxwell.

– To szantaż. Nie powinieneś jej ulegać.

– Frazer, ona jest w ciąży.

– Jesteś pewien? – zapytał zaskoczony Frazer.

– Tak – odpowiedział zdecydowanie Maxwell.

– I chce je urodzić? – zapytał ponownie, choć tak naprawdę chciał wiedzieć, czy Maxwell jest pewien, że to jego dziecko. Bał się jednak, że Max się obrazi i że nigdy go już nie zobaczy.

– Tak. Usuwała już ciążę, przed rokiem. Było to dla niej okropne przeżycie i nie dopuści do aborcji jeszcze raz. – Wychylił szklaneczkę jednym haustem.

– Błefuje. Nie zwróciłaby nawet na to uwagi. Powinieneś jej

powiedzieć, że sama musi załatwić sprawę.

– Dokładnie tak postąpiłby mój ojciec. – Maxwell zmarszczył brwi. Milczał chwilę. – Jeżeli się z nią nie ożenię, zrobi coś strasznego. I to nie są czcze pogrożki. Wierzę, że odebrałyby sobie życie. I chociaż nigdy nie byłem święty, tego akurat bym nie zniósł.

Frazer podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ciągłe padał deszcz. Krople spływały z rynien i mąciły żółte kałuże, powstałe na żwirze.

– Kochasz ją?

– Czy ją kocham? – Maxwell powtórzył, aby dobrze zrozumieć. – Nie wiem. – Spuścił głowę i powiedział miękko: – Ona mnie pociąga i fascynuje. Czasami też myślę, że dano mi szansę.

– Szansę? – zapytał obojętnie Frazer.

– Aby się zmienić. – Popatrzył na Frazera, który musiał wbić sobie paznokcie w dłoń, aby to wszystko wytrzymać. Max głęboko odetchnął. – Nie wiedziałem, co mam robić i dlatego postanowiłem prosić cię o pomoc.

Frazer z trudem powstrzymał śmiech. – Jaką pomoc?

– Jak zwykle chodzi mi o pieniądze. Możesz kazać mi iść w diabły, ale nie mam się do kogo zwrócić. Nie chcę prosić ojca. Sądzę, że kazałby mi pracować dla siebie. Na samą myśl robi mi się niedobrze. Już prędzej odbiorę sobie życie, niż tak się stanie. A Mimi nie jest obecnie w najlepszej komitywie ze swoimi rodzicami. Oni pewnie chcieliby wyprawić ogromne wesele, a my nie mamy na to najmniejszej ochoty. Nie możemy więc liczyć na ich pomoc finansową. Sami też zbyt wiele nie mamy, Mimi nawet się nie orientuje, co do niej należy. Sądzę, że nie nu nic. Zastanawiałem się więc, czy może ty mógłbyś tum pomóc. Aż sam stanę na nogi. Wiem, że to dużo, po tym wszystkim, co się wydarzyło, ale... – Zamilkł.

– Ile potrzebujesz?

– Muszę znaleźć porządny kąć do zamieszkania. Mimi mieszka z rodzicami, a mój pokój w Edynburgu nie nadali się dla niej. Ani dla dziecka. – Max pobladł. – Boże! Co za historia! Co za pokręcona historia.

Frazer patrzył na mokry ogród. Potężne strugi deszczu uniemożliwiały dojrzenie czegokolwiek. W takich chwilach żałował, że tu w ogóle przyjechał. To dzięki Maksowi poczuł się tu dobrze. To dzięki niemu dom ożył. Dzięki Maksowi ten dom stał się znośny, bawili się tu razem. Frazer jako dziecko wychowane przez dziadków nie miał wielu okazji do zabawy. Ostatnie półtora roku było najlepszym okresem w jego życiu.

„Muszę znaleźć porządny kąć do zamieszkania” przypomniał sobie słowa Maksa i nagle Frazer zrozumiał, co musiał zrobić. Zastanawiał się, czy wytrzyma obecność tej ciemnowłosej kobiety z brzuchem. Jeżeli mu się uda, Maxwell pozostanie w Ravenhart, nie zostawi go samego i wszystko wróci do normy. Prawie wszystko, bo Maxwell będzie miał żonę i dziecko. Ale będzie zależny od Frazera.

Martin jechał wąską, krętą drogą w stronę Glenshec. Postanowił zostać na noc u Frazera i następnego dnia rano wyruszyć do Edynburga. Miał nadzieję, że spędzająca w Ravenhart weekend Kate wróci do domu razem z nim. Poczuł ulgę, gdy pomimo silnego deszczu, dostrzegł stróżówkę pana Baina. Skręcił z głównej drogi i podąży wzdłuż strumienia. Dojechał do domu i na podjeździe zobaczył inne samochody. W oknach paliło się światło, zapewne Frazer podejmował gości. Martin zirytował się, chciał tylko się umyć i przespać, a zamiast tego czekały go uprzejme konwersacje i poznawanie ludzi, których nazwiska i tak za chwilę wylecą mu z głowy.

Dzwonił do drzwi kilkukrotnie, zanim mu otworzono.

Światła i muzyka wypełniły podjazd. Przed Martinem stała blondynka w morelowej satynowej sukience.

– Dickie, kochanie, tyle czasu... – Przerwała, zauważywszy Martina i z niemądrą miną dodała: – Pan nie jest Dickie.

– Nazywam się Martin Jago, jestem ojczymem Frazera.

– Ojczym Frazera? – Dziewczyna wytrzeszczyła oczy ze zdumienia i zachichotała. – Nie wiedziałam, że Frazer ma ojczyma.

– Czy zastałem go?

– Tak, gdzieś tu jest, kochany panie – odparła, uśmiechając się głupawo.

Martin wszedł za nią do domu.

Z gramofonu płynęła bardzo głośna muzyka jazzowa. Zwielokrotniony przez echo synkopowy rytm odbijał się od wyłożonych boazerią ścian. W korytarzach wały się puste butelki i kieliszki. Na szczycie schodów siedziała inkas płacząca dziewczyna z rozmazanym makijażem. Pokoje zasnuwał papierosowy dym i wszędzie panował bałagan.

Martin szukał Frazera i Kate. Otworzył jakieś drzwi i zobaczył parę leżącą na kanapie. Suknia dziewczyny, która uszyta była tak, by odsłaniać tylko ramiona i plecy, była opuszczona i odsłaniała jej piersi. Martin cicho zamknął drzwi, był pewny, że go nie zauważyli. Głośne okrzyki i gromkie wybuchy śmiechu zaprowadziły go do drugiego przejścia w skrzydle domu. Panowie bez marynarek, z podwiniętymi rękawami koszul toczyli piłkę do krykieta w stronę pustych butelek po szampanie imitujących kregle. Piłka, tocząc się po podłodze z wypolerowanego drewna, uderzyła w butelki. Posypało się tłuczone szkło. Obok stał Frazer i ciemnowłosa mężczyzna. Gdy pałka stłukła ponad sześć butelek za jednym razem, Frazer zakrzyknął radośnie i objął stojącego obok ciemnowłosego mężczyznę.

W pewnej chwili dostrzegł Martina i starał się przez chwilę skupić.

– Martin, dobry Boże.

– Frazer. – Martin, omijając potłuczone szkło, pod szedł do gospodarza.

– Nie spodziewałem się...

– Wybacz, że zjawiam się bez uprzedzenia. Chciałbym cię prosić o nocleg. – Obrzucił wzrokiem pobojuwisku po kręglach, wiedząc, że widać na jego twarzy dezaprobatę. – Chyba przyjechałem nie w porę.

– Większość z nich wkrótce sobie pójdzie – wtrącił się przyjaciel Frazera. – U Hardcaresów jest jeszcze jedno przyjęcie. Starczy miejsca i dla pana, doktorze Jago. Uśmiechnął się przyjaźnie. – Pan doktor Jago, prawda? Kate wiele mi o panu opowiadała.

– My się chyba nie znamy – zauważył chłodno Martin, i pomyślał: Opowiadała, już ci uwierzę.

– Jestem Maxwell. Przepraszam, powinienem się przedstawić – tłumaczył się młodzieniec, balansując na zasypanej szkłem podłodze. – Maxwell Gilchrist.

Gilchrist. Martin zdołał się opanować i zapytał:

– Gdzie mogę znaleźć Kate?

Przed półgodziną Frazer ogłosił zaręczyny Maxwella i Naomi, po czym szampanem wznosił toast na ich cześć. Dla Kate nie to było najgorsze, że Max zaręczył się w skandalizujących okolicznościach, bo jak głosiły plotki zrobił tak z powodu ciąży narzeczonej. Dla niej bardziej wstrząsającą wiadomością był zamiar Frazera oddania mu domu pana Baina. Po wypiciu szampana Kate ruszyła na poszukiwanie brata.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Doskonale – odpowiedział, choć Kate zauważyła, że ma

przymglone oczy i chwieje się na nogach. Był bardzo pijany.

– Nie zamierzasz chyba oddać domku pana Baina Maksowi i Naomi?

– Zamierzam.

– Frazer, nie możesz tego zrobić.

– Mogę. – Zapalił papierosa i bawił się zapalniczką. – To mój dom i mogę z nim zrobić, co zechcę.

– Ale pan Bain zawsze tam mieszkał, to jest jego dom! Gdy zrozumiała, że nie nakłoni brata do zmiany decyzji wyszła na podwórze i wsłuchiwała się w odgłos kropel deszczu, padających na kamienie. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Następnie poszła do swojego pokoju w wieży. Ktoś zapukał do drzwi. Nie chciała nikomu otwierać, ale poznała głos, gdy zapytał:

– Kate? Jesteś tam?

Martin. Poczowała niepokój i ulgę.

Otworzyła drzwi.

– Cześć Kate – przywitał ją, patrząc na jej mokre włosy i ubranie. – Jak się masz?

– Dobrze – odpowiedziała, choć wcale się tak nie czuła. Miała już dość udawania, dodała więc drżącym głosem: – Właściwie, to boli mnie głowa.

– Drżysz.

– Byłam w ogrodzie i trochę zmokłam.

– Przeziębisz się. Powinnaś się przebrać w suche ubranie. Zobaczę, czy uda mi się przygotować dla nas coś ciepłego do picia. Zejdź do kuchni, jak już będziesz gotowa.

Po wyjściu Martina przebrała się w spodnie, sweter i wysuszyła ręcznikiem włosy. Cieszyła się, że ktoś mówił jej co ma robić. Gdy Maxwell ogłosił swoje zaręczyny, nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Ciągle pamiętała nocne pocałunki w domku myśliwskim i słowa: „Nie sposób dalej wędrować

pośród nocy tak ciemnej”. Później odnalazła Martina w kuchni. Podgrzewał mleko na piecu. Kate wypła ciepłe mleko i wzięła aspirynę, a Martin opowiedział o wypadku na drodze.

– Wyjedziemy jutro rano – zaproponował. – Sądzę, że powinnaś ze mną wrócić do domu.

– A nie możemy ruszyć już teraz? – zapytała stęskniona za domem.

– Nie, drogi są zbyt śliskie – mówił Martin – a kowal dokonał jedynie pobieżnej naprawy. Będę musiał oddać auto do warsztatu, gdy dojedziemy do Edynburga. Czy coś się stało? – Patrzył uważnie na Kate.

– Już nie chcę tu dłużej być. Tylko tyle – wyszeptała.

– Czy ktoś cię skrzywdził? – Ton jego głosu brzmiał ostro.

– Nie – odpowiedziała, wyławiając łyżeczką torebki, herbaty z filiżanki. Ucieszyła się, że nie musiała kłamać. Zadawało się jej, że sama się skrzywdziła. Była głupia, zakochując się w mężczyźnie, którego nigdy by nie zdobyła. Dodała całkiem spokojnie: – Nie podobają mi się ci ludzie. Wolałam, gdy w Ravenhart House byliśmy z Frazerem tylko we dwoje. Nie przepadam za przyjęciami.

– To dobrze, że tak myślisz. – Uśmiechnął się lekko i zapytał wprost: – Czy Frazer często wydaje przyjęcia?

– Czasami.

– I zawsze są tak huczne? – Kate odwróciła wzrok zawstydzona, lecz Martin nie czekając na odpowiedź mówił dalej: – Ten jego przyjaciel Maxwell Gilchrist.

Kate zeszywniała.

– Tak?

– Dobrze go znasz?

– Tylko trochę.

Była bliska prawdy. Chyba w ogóle go nie znała.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Jego rodzina jest z Edynburga, jak sądzę – odpowiedziała z udawanym namysłem.

– Z Edynburga... Czy znasz imię jego ojca, Kate?

– Andrew – odparła po chwili. – Ojciec Maksa ma na imię Andrew. Dlaczego pytasz?

– Z czystej ciekawości. Słyszałem chyba coś o tej rodzinie. – Popatrzył na nią i dodał: – Powinnaś się przespać. Chcę wyruszyć o świcie.

Gdy przyjechali do domu, Bess pomagała w kuchni pani Tatę przy niedzielnym obiedzie. Kate chwyciła Aimée w ramiona, wycalowała ją, po czym zniknęła w swoim pokoju. Martin opowiedział o przygodzie z samochodem, Wszyscy wyszli obejrzeć załatany zderzak. Pani Tatę zawołała domowników na obiad. Bess wysłała Eleanor po Kate, ale ta wróciwszy powiedziała, że Kate nie chce jeść. Bess wstała, mówiąc, że porozmawia z Kate, ale Martin powstrzymał ją. Coś w jego głosie kazało Bess usiąść, lecz niepokój nie opuszczał jej przez cały posiłek. Po południu Aimée spała, a starsze dziewczynki bawiły się w ogrodzie.

– Bess, musimy porozmawiać o Frazerze.

– O Frazerze? Coś mu dolega?

– Nie. Jest w świetnej formie.

– Nie sądzę, aby Kate musiała go tak często widywać powiedział Martin, gdy Bess w salonie nalewała do filiżanek kawę.

– Dlaczego? – Popatrzyła na niego uważnie.

– Obawiam się, że nie ma na nią dobrego wpływu.

– To okropne co mówisz, Martin. – Odstawiła filiżankę na stół.

– Nie mówię tego bezpodstawnie. – Martin westchnął.

– Gdy przyjechałem do zamku, akurat trwało przyjęcie. Nie

było to sympatyczne spotkanie przy sherry i kanapkach; na pewno nie chciałybyś, aby Kate brała udział w czymś takim. Mnóstwo pijanych osób i grubiańskiej zabawy.

Bess zaniepokoiła się, ale zaraz potem pomyślała: tyle hałasu o głupie przyjęcie. Sądziła, że Martin ocenia Frazera zbyt surowo dlatego, że go nie lubi. W końcu to nic złego spędzać czas na zabawie.

– Wszyscy młodzi mężczyźni muszą się wyszaleć. Wzięła syna w obronę. – Jack też lubił się bawić. Nie możesz ode mnie oczekiwać, że zabronię Kate widywać się z bratem z powodu jednego zwariowanego przyjęcia.

– Nie chcę sugerować, że powinnaś jej zabronić. Mówię, żeby go rzadziej odwiedzała.

– Chyba przesadzasz, Martin.

Zapadła cisza i słychać było z ogrodu piski dziewczynek. Po chwili Martin zapytał:

– Czy wiedziałas, że Maxwell Gilchrist jest przyjacielem Frazera?

Bess zamarła z cukiernicą w dłoni.

– Kto? – wyszeptwała.

– Poznałem go wczoraj. Był jednym z gości Frazera. Dziś rano rozmawiałem z twoim synem, oczywiście uważałem na to, co mówię. Ale okazało się, że Maxwell jest synem Andrew Gilchrista.

– Jego synem. – Serce Bess waliło jak młotem.

– Najmłodszym synem. Maxwell ma dwóch starszych braci. Znają się z Frazerem od ponad roku.

Bess nagle zaczęła bać się o Kate. Martin usiadł obok żony.

– Nie ma powodu wątpić, że to tylko przypadkowi znajomość. Nie ma się czego obawiać.

– Nie chcę, aby jego synowie kręcili się w pobliżu najej córki! – wybuchnęła Bess i zaraz przycisnęła dłonie do ust, by

stłumić krzyk.

– Zatem Frazer musi zrezygnować z zapraszania Maxwella Gilchrista do Ravenhart House albo Kate będzie rządzić widywać brata. Sądzę, że to rozsądne wyjście. Nie lubię atmosfery tamtego domu. Kate była przygnębiona, gdy ją znalazłem. Zdecydowanie nieodpowiednie miejsce dla dziewczyny w jej wieku.

– To nie jest wina Frazera...

– Jest jej starszym bratem – przerwał Martin. – I powinien czuć się za nią odpowiedzialny.

Bess się wydawało, że koszmar powrócił. Jej pokój nie był już bezpiecznym schronieniem, wydawał się obcy i pełen złowrogich cieni.

– Jak on wygląda? Czy jest do niego podobny? – spytała nagle.

– Nie. Zupełnie inny. I nawet miły. Sytuacja była niezręczna, bo pojawiłem się w samym środku szaleńczej zabawy. Maxwell starał się wszystko załagodzić. Po prostu sympatyczny łobuz, tak bym go określił. Czarus.

– Czarus? – Bess nie rozumiała.

– Taka osoba, którą polubisz wbrew sobie. – Martin umilkł na chwilę. – Musimy się zastanowić jeszcze nad inną sprawą. Maxwell Gilchrist nie jest przecież Andrew Gilchristem. Nie mieszka w rodzinnym domu, nie pracuje dla ojca jak jego starsi bracia. Nie możemy z góry zakładać, że stanowi zagrożenie dla Kate czy Frazera. Czy należy sądzić syna za grzechy ojca?

Na pewno, pomyślała Bess i odparła szorstko:

– Taka nikczemność szarga wszystko, czego dotknie.

Wstała.

– Dokąd idziesz?

– Porozmawiać z Kate. – Bess podjęła decyzję. Niemal wykrzyczała:

– Nie chcę, by moje dzieci miały z nim cokolwiek wspólnego. Frazer musi się dowiedzieć, co to za rodzina, żadne z moich dzieci nie może go już widywać!

Kiedy wychodziła z pokoju, usłyszała, jak Martin powiedział ostrzegawczo:

– Frazer jest dorosły. Może nie chceć, by ktoś decydował za niego o jego przyjaźniach.

– To są moje dzieci, Martin! – wrzasnęła, zatrzasnęła za sobą drzwi.

Bess z przerażeniem myślała o Kate i Frazerze, przebywających w towarzystwie Maxwella Gilchrista. Winiała siebie za to, co się stało. Zajęta młodszymi dziewczynkami, straciła kontrolę nad Kate. Jeżeli zaś chodzi o Frazera, to przez swoją niechęć do odwiedzenia nielubianego, pełnego złych wspomnień domu i oczekiwanie, że Frazer zamieszka w Edynburgu, przegapiła znajomość syna z Maxwellem Gilchristem. Musi odwiedzać Ravenhart House częściej. Musi zyskać pewność, że syn Andrew Gilchrista nie skrzywdzi ani nie wykorzysta Frazera. Z łatwością przekonała Kate, aby nie spotykała się więcej z Maxwellem Gilchristem. Kate sama tak zdecydowała. Postanowiła odwiedzić Pamelę i Ralpa i zostać u nich na dłużej niż zwykle. Weźmie wolne z pracy i jak najszybciej pojedzie do Hampshire. Zasmucona, ale spokojna już Bess, odprowadziła córkę na stację kolejową Waverley.

Rozmowa z Frazerem przyniosła rozczarowanie, jeśli nie klęskę. Jadąc w sobotę pociągiem do Pitlochry, wszystko przemyślała. Chciała dać mu dobrą, matczyną radę przy obiedzie, wyważone ostrzeżenie przed złymi nawykami i niewłaściwymi znajomościami. Jednak nawet dla niej było to jak trudne do zniesienia zrzęczenie. Nie mogła przecież powiedzieć Frazerowi wprost, dlaczego powinien zrezygnować

ze znajomości z Maxwellem Gilchristem. W najlepszym razie wzmianki o chciwości i rozkładzie moralnym rodziny Gilchristów brzmiały jak zręczne wymówki, w najgorszym – były jak mściwe uwagi. Nie mogły zastąpić nagiej prawdy.

Frazer zdawał się w ogóle nie słuchać. Odrzucał wszystko, co mu powiedziała. Płatała się, mówiła coś i po chwili chciała to cofnąć, w końcu powiedziała, że nie chciałaby spotkać się z Maxwellem Gilchristem w Ravenhart House. Frazer popatrzył na nią przepełnionymi bólem oczami i odparł, że przykro mu, ponieważ bardzo lubił jej wizyty. Nie od razu zrozumiała, co miał na myśli. Po chwili pojęła, że jeżeli Frazer będzie zmuszony, to wybierze przyjaciela. Bess udała, że ośc stanęła jej w gardle i wybiegła z jadalni.

Zatrzymała się na szczycie schodów, zaciskając dłoń na zwieńczonej głową kruka poręczy. Przez wąskie okna nad drzwiami wejściowymi widać było wrzosowisko i srebrzystą rzeczkę, wijącą się wśród okolicznych gór. Gdy Frazer powrócił do niej półtora roku temu, wierzyła, że wszystko ułoży się tak, jakby Cora Ravenhart nigdy nie odebrała jej syna. Teraz wiedziała, że była w błędzie.

Część czwarta

Kate Fearnley  
1937-1961

## Rozdział 14

Kaite uczęszczała raz w tygodniu na lekcje baletu organizowane przy ulicy Bedford Gardens w londyńskiej dzielnicy Kensington. Przed wejściem do szkoły baletowej witały ją rosnące w donicach, zabrudzone sadzą, zwiędłe chryzantemy i przegowany kot zwinięty w kłębek na kamiennych schodach. W znajdującej się w podziemiu szkoły przebieralni zawsze były wilgotne, popękane ściany. Po lekcji Kate wychodziła do domu w wilgotnym praniu.

W zajęciach uczestniczyło dwóch chłopców i dziesięć dziewcząt. Jej koleżanki przychodziły w pięknych wełnianych sukienkach i eleganckich płaszczach. Bładoróżowa cera przyszłych baletnic nabierała koloru podczas zmudnych ćwiczeń przy drażku. Pobierały lekcje u madame Barnovej, ubranej niezmiennie w pamiętającą zamierzchłe czasy, czarną, szyfonową suknię wieczorową i wyblakłe, satynowe pantofle. Uczesane w kok włosy przytrzymywał czarny grzebyk, a odrobina różu zdobiła opadłe policzki. Kuksańcami i poszturchiwaniem chudych palców madame Barnova mobilizowała podopieczne do właściwego ustawienia bioder, ramion i łokci. Kate miała zły dzień, nie obeszło się bez pokrzykiwania i tupania ze złości. Trzeba jednak przyznać, że poruszała się z prawdziwym wdziękiem, prezentując liryczne adagio i eleganckie enchainement.

Kate już od roku uczęszczała na lekcje baletu. Początkowo z trudem poruszała kończynami, miała obolałe stawy i mięśnie, a przy ćwiczeniach oddechowych czuła ból w boku. Gdy ćwiczyła przed lustrem i widziała swoją niezdarność, była wściekła i sfrustrowana. Jednak po jakimś czasie stare nawyki wróciły. Kiedy po tygodniach wyczerpujących ćwiczeń ciało zaczęło jej wreszcie słuchać i udawało jej się zrobić to, co chciała, czuła

radość i dumę, – Odzyskała część siebie, odnalazła drogę życiową.

Kate jeszcze nie wiedziała, że nie wróci do domu. W pierwszych dniach po przylocie ze Szkocji na farmę ojca najważniejsze były dla niej schronienie i spokój, które tam znalazła. Mogła dojść do równowagi. Nie obchodziły jej zachodzące na świecie zmiany, takie jak abdykacja powodowanego miłością króla i objęcie tronu przez jego następcę. Dzięki temu, że została na farmie przez kilka miesięcy, a nie jak zazwyczaj tydzień czy dwa, mogła lepiej poznać swoich braci. Teraz nie stanowili już niesfornej masy dzieciaków i każdy zyskiwał indywidualne cechy charakteru. Trzynastoletni Tom był dobrze zbudowany i odważny. O rok młodszy Henry stał się spokojnym, skorym do zadumy chłopcem. Najmłodszy z braci, rudowłosy Archie, pochwalił się swoją kolekcją mięso żernych roślin. Oglądając umieszczone w akwarium mu chołówki i dzbaneczki, przypomniała sobie rosiczki, porastające kępami podmokły teren wzdłuż ścieżki prowadzącej do domku myśliwskiego i muchy, które wpadły w pułapkę ich błyszczących listków.

Kate czasami się zastanawiała, czy wyjazd ze Szkocji nie był raczej ucieczką i doszła do wniosku, że właśnie tak było. Uciekła od bólu, który sprawiła jej zawiedziona miłość. Myśl o Frazerze przynębiała ją, wywołując poczucie winy. Wspomnienie Maxwella rozrywało jej serce na strzępy. Wiedziała jednak, że te cierpienia nie pójdą na marne, na błędach można wiele się nauczyć. Dalsze pozostawanie na farmie, którą kochała, było najłatwiejszym rozwiązaniem. Jednak wcześniej też wybrała łatwą drogę i źle na tym wyszła. Czas spędzony w Ravenhart House pozwolił jej na posmakowanie swobody i na lepsze poznanie samej siebie. Nie mogłaby już wrócić w domowe pielesze. Wtedy straciłaby

swoją niezależność.

Z listów otrzymywanych od Frazera Kate dowiadywała się o zachodzących tam wydarzeniach. Okazało się, że z powodu wielkich opadów śniegu brat był przez trzy dni odcięty od świata. Informował też o rozpoczęciu prac przy modernizacji łazienek i o wypadku pani McGill, która skrzyła nogę w kostce, wpadając w pozostawioną przez robotników dziurę w podłodze, w wyniku czego przez dwa tygodnie nie była zdolna do pracy. Frazer donosił też o ślubie Maxwella i Naomi. Nie zapomniał dodać, że młoda para spodziewa się potomka. Gdy w kolejnym liście oznajmił, że zamieszkali w stróżówce, poruszona Kate długo błędziła po bezdrożach Hampshire. Mijała pozbawione liści kępy czarnego bzu wiszące nad dywanami mchu. Słabe, zimowe słońce oświetlało zaoraną jesienią ziemię. Kate powtarzała w myślach treść ostatniego listu; Frazer wprawdzie nie użył w nim zwrotu „wyrzuciłem pana Baina”, ale przecież to zrobił. Przypominając sobie osobę zarządcy, który był w Ravenhart House na długo przed pojawieniem się na świecie Frazera, Kate wzdrygnęła się ze strachu.

Panna Fearnley postanowiła nie wracać do matki. Jednak konieczność poinformowania jej o tym była dla Kate najcięższym przeżyciem w życiu. Bess natychmiast zalała córkę lawiną telefonów i listów, w których zagroziła nawet, że zjawi się po nią osobiście, jeżeli ta nie zmieni decyzji. Kate postanowiła raz jeszcze porozmawiać z matką wieczorem zatelefonowała do niej.

– Na pewno nie dasz sobie rady w Londynie – przekonywała Bess.

– Ty sobie dałaś radę, mamó. Jestem w tym wieku, w którym ty miałaś już męża i dziecko. A do tego samotnie podróżowałaś przez pół świata.

– To co innego. Ja nie miałam wyjścia.

- Chcę sama decydować o sobie.
- Nie rozumiem, dlaczego tak się upierasz.
- Bo tak trzeba – odparła Kate, powstrzymując łzy. Nie mogę ci teraz powiedzieć, o co chodzi.
- Córciu! Lepiej by było, gdybyś poczekała jeszcze rok. Przyjedź teraz do nas, a jeżeli za rok w dalszym ciągu będziesz chciała wyjechać do Londynu...
- Kiedy ja chcę pojechać tam teraz. – Kate przymknęła oczy.
- Tak postanowiłam. Muszę się przekonać, czy dam sobie radę sama.

W słuchawce zapadła cisza. Kate nerwowo bawiła się kablem przy słuchawce. Po chwili Bess oznajmiła:

– W takim razie prześlę ci parę prześcieradeł i poszewek na poduszki. Pościel w pensjonatach bywa stara i wilgotna. Przydadzą ci się też koce z szetlandzkiej wełny. Zima w Londynie może być ciężka. – Przez trzaski w słuchawce Kate słyszała szloch matki.

W lutym 1937 roku Kate rozpoczęła pracę w grupie baletowej, wystawiającej własne przedstawienia i wybrane pozycje klasyczne. Została asystentką dyrektorki Peggy Fisher. Siedziba grupy znajdowała się w Pimlico, opodal centrum miasta. Kate udało się wynająć pokój kilka przecznic dalej.

Peggy Fisher doskonale znała się na balecie, ale w ogóle nie radziła sobie w innych dziedzinach życia. Była roztrzepana i nie przywiązywała wagi do swojego ubioru. Często gubiła jedwabne szale i spinki do włosów, gdy pokonywała trasę z mieszkania do teatru. W jej biurze wały się stosy nieprzeczytanych listów i niezapłaconych rachunków. Peggy chowała to wszystko do pudełek po butach i do toreb na zakupy z Harrodsa. Cały pierwszy tydzień Kate porządkowała stosy papierów i starała się nakłonić Peggy do kładzenia

korespondencji na właściwe miejsce. Przez następne dni młoda asystentka odpowiadała na listy, pilnowała terminów płacenia rachunków i przekonywała Peggy, że wypada napisać chociaż kilka słów podziękowania do darczyńców. Po pewnym czasie uznała jednak, że łatwiej będzie samodzielnie prowadzić korespondencję, niż błagać o to Peggy i odrywać ją od ukochanego baletu. Stwierdziła też, że jej lepiej to wychodzi. Musiała także się zajmować nieszczęśnikami, którzy padali ofiarą słabej pamięci Peggy i jej całkowitego braku poczucia czasu. Mężczyźni, umówieni wcześniej z panią Fisher na obiad lub przedpremierową kolację, przyjeżdżali po nią do biura tylko po to, aby się dowiedzieć, że właśnie konferuje z choreografem lub kompozytorem, omawiając kolejne przedstawienie. Kate знаła ich wszystkich. Częstoowała gości herbatą i ciasteczkami, żeby nie zgłodnieli za bardzo przed powrotem do swoich banków, uniwersytetów czy konserwatoriów.

Kate uwielbiała swój mały, chłodny sekretariat, znajdujący się na najwyższym piętrze. Uwielbiała również swój pokój, którego ścianę zdobiła kolekcja kapeluszy. W tej samej kamienicy mieszkały też inne niezamężne kobiety: nauczycielki, kierowniczki w domach handlowych i sekretarki. Panującą tu ciszę przerywał jedynie szmer grzecznościowej wymiany zdań przy obiedzie lub odgłosy dochodzące z tyłu domu, gdzie panna Barelay uczyła muzyki.

Wkrótce Kate poznała wszystkich współpracowników Peggy. Dołączała do dziewcząt, które po próbach piły kakao i zaprzyjaźniła się z jedną z krawcowych. Jej nowa znajoma, dodając zaszewkę lub umiejętnie podszywając materiał, umiała zmienić wygląd sukienki lub bluzki.

Billy Marshall był jednym z tancerzy baletowych i rówieśnikiem Kate. Młodzieniec o jasnych oczach i włosach koloru lnu pochodził z Manchesteru, skąd uciekł od rodziców,

gdy miał trzynaście lat. Utrzymywał się z ról w musicalach i występów dla turystów na molo. A gdy brakowało takiej pracy, zmywał naczynia w kawiarniach. Kate zwróciła na niego uwagę z powodu wątlności jego ciała, haczykowatego nosa, znoszonego ubrania i zdumiewającego, nie w pełni wykorzystanego talentu. Billy mógł nadawać rękom i nogom dowolny kształt, zupełnie, jakby nie miał ani kości, ani stawów. Wcześniej chodzili razem na lekcje tańca do szkoły madame Barnovej. Gdy kiedyś nauczycielka wyładowała na Billym swoją złość, Kate chcąc go pocieszyć, zaproponowała wspólną kawę po zajęciach.

– Madame Barnova czepia się tylko tych, których uważa za dobrych tancerzy. Na innych nie zwraca uwagi. – Kate podtrzymała go na duchu, gdy już siedzieli przy stoliku.

– Pani Barnes może sobie mówić, co chce. Nie dbam o to.

– Pani Barnes?

– Tak, Julia Barnes. To jej prawdziwe nazwisko. Nic wiedziałaś o tym? – Billy zachichotał. – Chyba nie myślą łaś, że ona naprawdę nazywa się Julietta Barnova? Spotykałem już gorszych niż ona. Ostatniego lata zaangażowałem się do występów na molo w Brighton. Tamtejszy reżyser bił nas kijkiem – mówił Bill, bawiąc się pudełkiem zapalek. – A Barnes to stara krowa, ale dobrze pokazuje ćwiczenia bez drażka.

Kate chodziła z Billym na sztuki teatralne i przedstawienia baletowe. Zawsze zajmowali najtańsze miejsca na jaskółce. Jej towarzysz okazał się niezrównanym gawędziarzem, choć większość opowieści była grubiańska. Podczas jednego z popremierowych przyjęć, odczekawszy, aż nikogo nie będzie w pobliżu, szepnął jej do ucha:

– Ma pięćdziesiątkę, ale wmawia reżyserom, że ma trzydzieści dziewięć lat. Popatrz! Makijaż na centymetr. Nie żartuję. Oczywiście prześni się z każdym, kto obieca jej przyzwoitą rolę. Mówię serio, z każdym. Poszłaby nawet ze

Stalinem, gdyby zaproponował jej solową partię. – Spoglądając na Kate, dodał: – Nie wiedziałaś o tym? Musiałaś wiedzieć.

Zwrot „Nie wiedziałaś o tym?”, połączony z uniesionymi w wyrazie niedowierzania brwiami i takim samym wyrazem jasnobłękitnych oczu, stał się motywem przewodnim ich znajomości. Kate złapała się na tym, że nie wiedziała o wielu rzeczach. Nawet się zastanawiała, jak to możliwe, że mając dwadzieścia lat, jest laikiem w tak wielu sprawach.

Innym razem, gdy Kate powiedziała, że Freddy i Roman, dwaj tancerze z otoczenia pani Fisher, są chyba bliskimi przyjaciółmi, Bill uśmiechając się, skwitował:

– Nie wiedziałaś o tym, że oni są parą?

Siedzieli wówczas w barze teatru Sadler’s Wells, czekając na rozpoczęcie przedstawienia.

– Ale... – zaczęła Kate.

– Tak?

– Przecież mężczyzna nie może się zakochać w drugim mężczyźnie...

Bill zaniósł się śmiechem.

– Ależ to jest możliwe. Dlaczegoż by nie? Zawsze tak było. Ja też co chwila w kimś się zakochiwałem. A już na pewno raz na dwa tygodnie. – Stłumił śmiech. – Przynajmniej, do czasu poznania Alana.

– Alana?

Billy powoli wypuścił cienką strużkę dymu papierosowego.

– To nasz piękniś z kolonii.

Kate pomyślała o Alanie McKennie, który po powrocie z Australii, dołączył do nich. Młodzieniec miał czarne oczy i rdzawo-brązowe włosy, które w czasie tańca oplatały mu na czoło.

– Czyżby na ciebie nie działała jego uroda? Byłem przekonany, że wszystkie dziewczyny z firmy kochają się w nim

na zabój. – Billi spowaźniał i dodał: – Wydaje mi się, że Alanowi bardzo to schlebia. – Zgasił papierosa i mówił dalej: – Freddie i Roman od dawna są razem. Jak stare dobre małżeństwo. Podczas występów w terenie zawsze śpią w jednym pokoju. Oficjalnie dlatego, aby zaoszczędzić parę groszy. Muszą jednak uważać, bo w ten sposób łamią prawo.

Kate była całkowicie zagubiona, więc Bill wyjaśnił:

– Za homoseksualizm można trafić za kratki. I jak tu nie utyskiwać nad losem biednego Oscara Wilde’a. – Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek, dodając: – Nasza droga Kate. Jeszcze taka naiwna, a do tego ostatnia dziewczica w Pimlico.

Któregoś dnia, wychodząc z biura na obiad, Kate zauważyła mężczyznę czekającego na półpiętrze.

– Oliver? – zawołała. – Czy przyszedłeś do Peggy? Oliver Colefax był jednym z przyjaciół Peggy. Ubrany w ciepły płaszcz i purpurowy szalik, opierał się o ścianę i czytał „Ja, Klaudiusz”. Gdy spostrzegł Kate, zamknął książkę, schował ją do kieszeni i spojrzał na zegarek.

– Byliśmy umówieni na pierwszą.

– Obawiam się, że Peggy nie zdąży. Właśnie dzwoniła i powiedziała, że będzie później.

– Kiedy?

– Za kilka godzin, niestety.

Oliver ruszył schodami na dół. Nagle zatrzymał się, odwrócił i spytał:

– Czy już coś jadłaś, Kate? Mam zamówiony stolik u Stefano i szkoda byłoby tracić dobry obiad.

Perspektywa zjedzenia w restauracji była zbyt kusząca, żeby ją odrzucić. Kate przyjęła zaproszenie.

– Dziękuję. Z przyjemnością zjem z tobą.

Gdy wyszli na ulicę, podmuch wiatru natarł na nich,

wyginając parasol Olivera. Lokal, w którym siedzieli, miał bładoniebieskie ściany i kremowe zasłony. Przez oszklone drzwi można było zajrzeć do ogrodu, który zdobiły terakotowe donice i fontanna. Na przystawkę zamówili krewetki z puszki i solę.

Gdy kelner przyniósł rybę, Oliver niemal z podziwem patrzył na talerz.

– Jeszcze nigdy nie udało mi się tak przyrządzić ryby. Zawsze wychodzi mi jakiś kapeć.

– Zęby dobrze przygotować rybę, trzeba ją smażyć przez minutkę, ale nie dłużej niż przez dwie, w dużej ilości masła i soli.

– Czyżbyś była także dobrą kucharką?

– Uczyłam się gotować we Francji, gdzie mój ojczym ma dom.

– A gdzie dokładnie?

Kate odpowiedziała na pytanie, co wywołało uśmiech na twarzy rozmówcy.

– A więc mówisz o Szampanii. Prześlicznej, tonącej w zieleni, skąpanej w słońcu Szampanii. – Oliver zachwycił się znaną mu okolicą tak samo, jak zachwycił się nią Kate.

– Dobrze znasz Francję?

– Całkiem dobrze. Byłem tam wielokrotnie. Zajmuje się handlem antykami i również we Francji poszukuje ciekawych rzeczy.

– Masz swój sklep z antykami?

– Tak. Przy ulicy Portobello. Mieszkam z rodziną w mieszkaniu nad sklepem.

– Uwielbiam takie sklepy. Co prawda na nic nie mogę sobie pozwolić, ale sprawia mi wielką przyjemność obcowanie ze starymi przedmiotami.

Kilka dni później Kate otrzymała od Olivera zaproszenie na niedzielną herbatkę. Jego mieszkanie nad sklepem miało okna

umieszczone w wykuszach, a nad drzwiami zielono-złoty szyld „Colefax”. Gospodarz zaprowadził ją na górę. Po drodze Kate zwróciła uwagę na szeszłag obity wypłowiałym, różowym kretonem i na olbrzymią szale. Znała ten rodzaj szaf z kuchni państwa Lemercier we Francji.

W pokoju, do którego weszli, siedział na podłodze dwu – może trzyletni chłopiec i bawił się cynowymi modelami samochodów.

– To mój syn. Stephen, przywitaj się z panną Fearnley, W odpowiedzi młodzieniec pokazał Kate swój ulubiony samochodzik. Kate i Oliver rozmawiali o sklepie na parterze, Francji i o kiermaszach staroci. Gdy Oliver przygotowywał herbatę, Kate bawiła się z jego synem.

Posiłek zjedli, siedząc w przestronnej kuchni. Wykusze okien prowadziły na balkon. Można było z niego zejść wąziutkimi, spiralnymi schodami, kutymi z żelaza, prosto do ogrodu pełnego drzew i krzewów. Stephen siedział p wysokim krzeselku dla dzieci i niechętnie jadł kanapki z jajkiem i rozdrobnioną galaretkę.

– Wybacz mi, ale Stephen ciągle jeszcze rozrzuca jedzenie w czasie posiłków. Lubi też jeść powoli i nie należy go pospieszać – usprawiedliwiał się Oliver. – Wygląda na to, że w przyszłości zostanie naukowcem. Wszystko, co dostanie się w jego ręce, musi być dokładnie zbadane.

Jak dotąd nie pojawiła się pani Colefax, a Oliver nie wspomniał o niej ani słowem. Kate opowiedziała mu o przedstawieniu, nad którym pracuje Peggy.

– Tytuł przedstawienia brzmi „Rzeczy podstawowe” i Peggy nie może się zdecydować, jakie mają być kostiumy. Tydzień temu zamówiła czarne i czerwone. Teraz chce czegoś bardziej neutralnego. Moja przyjaciółka I’carl, która jest naszą krawcową, musi wybielić wszystkie kostiumy.

Gdy Oliver zaparzał drugi czajniczek herbaty, ze sklepił na parterze dobiegi kobiecy głos:

– Oliver? Gdzie jesteś?

– Na górze, Margot! – zawołał.

Jednocześnie Stephen klasnął w dłonie, rozgniatając między nimi odrobinę galaretki. W pokoju pojawiła się wysoka, szczupła szatynka ubrana w szarobrazowy komplet.

– Oliver, mój drogi. Nie powinieneś zostawiać otwartych drzwi na dole. Przecież ktoś mógłby wejść do sklepu – skarciła gospodarza. Widząc Kate, stanęła jak wryta.

Kate chyba nigdy nie widziała tak zaskoczonej osoby.

– Nie przedstawiś mnie, Oliver?

– Naturalnie. Poznaj Kate Fearnley. Kate, to Margoi Stockton, moja szwagierka.

Margot wyciągnęła do Kate dłoń w rękawicze ze świńskiej skóry, po czym podekscytowana powiedziała:

– A to co? Zobacz, jak wygląda Stephen. Jest umazany galaretką. Zabiorę jego koszulkę do domu i dam Clarico do uprania.

– Nie ma takiej potrzeby, Margot. Przecież mogę to zrobić sam. – Oliver protestował spokojnie, lecz – jak zauważyła Kate – stanowczo.

– Wezmę małego do łazienki i wykapię.

– Daj spokój, Margot...

Szwagierka wzięła jednak małego na ręce i skierowała się do położonej piętro wyżej łazienki. W kuchni na chwilę zapadła cisza, którą przerwał Oliver.

– Moja żona zmarła trzy lata temu, w sześć tygodni po urodzeniu Stephena.

– To straszne. Jakże mi przykro. – Kate była przejęta do głębi.

– Powiniennem ci wszystko powiedzieć wcześniej, ale to

niełatwa sprawa. Nie chciałem, abyś pomyślała, że oczekuję współczucia. – Oliver z niezadowoloną miną popatrzył za Margot. – Ona zaraz tu wróci. Jej obecność nie przeszkadza mi, ale gdybym przewidział reakcje szwagierki, uprzedziłbym ją, że będziesz tu dzisiaj.

I rzeczywiście. Wkrótce zjawiała się Margot z czyściutkim Stephenem.

– Mały jest trochę zmęczony. Miał dzień pełen wrażeń. Sądzę, że powinien być już w łóżeczku – powiedziała.

Po tej jasnej aż nadto sugestii, Kate podziękowała za spotkanie:

– Robi się późno. Lepiej już pójść. Wielkie dzięki za wspaniałą herbatę. A może pomóc ci przy zmywaniu, Oliver?

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniła dobitnie Margot. – Poradzimy sobie.

Gospodarz odprowadził swojego gościa do drzwi. Na dole wyjaśnił:

– Wybacz, zachowanie szwagierki było zbyt obcesowe. Wszyscy bardzo tęsknimy za Jane. Chciałbym jednak, abyś wpadła do mnie jeszcze kiedyś na filiżankę herbaty.

Billy Marshall wynajmował pokój w przeludnionej kamienicy przy Ladbroke Grove. Nikt tam jednak nie golił wał dla lokatorów ani nie prał ich rzeczy. Billy musiał Nam dbać o siebie. Z powodu akustycznych ścian wiedział, kiedy sąsiedzi się kłócili i godzili. Wraz z wilgotnym powietrzem do pokoju Billy’ego sączyły się miłość i nienawiść. Niekiedy podczas wizyty u niego Kate przyrządzała coś do jedzenia na jednopalnikowej kuchence gazowej. Tego wieczoru Billy, zaglądając do rondelka, zapytał:

– Co robisz?

– Poule au pot.

– Co za popis kulinarny. A dla mnie jest to zwykła potrawka z kurczaka.

W sąsiednim mieszkaniu właśnie wybuchła awantura.

– Wystarczy jej na jutrzejszą kolację, ale nie zapomnij podgrzać.

– Będzie z ciebie wspaniała żona i matka, Kate – docinał Billy.

Z sąsiedniego mieszkania dobiegi ich odgłos jakiegoś przedmiotu odbijającego się od ściany.

– Przepraszam. – Billy pocałował Kate w kark. – Nie zasłużyłem na tak wspaniałą koleżankę jak ty. I zastanawiam się, dlaczego jeszcze ze mną przestajesz.

– A czemu nie masz humoru?

Billy przecesał dłonią swoje krótkie, piękne włosy pozostając z nastroszoną fryzurą.

– To nie był udany tydzień – stwierdził.

– Z powodu Peggy?

Pokręcił głową.

– Z powodu Alana.

– Opowiedz mi wszystko.

– Pewnie masz już serdecznie dosyć rozmów o nim. Posmutniał. – Geraint Baxter zaprosił Alana na obiad.

Baxter był znanym choreografem.

– A co w tym złego? – zdziwiła się Kate.

– Kate! Czy nie wiesz o tym, że obiad to tylko pretekst?

Usiadła na łóżku obok Billy’ego. Kłótnia za ścianą to przygasała, to wybuchała z nową siłą.

– Ale z niego jest zero! – powiedział z goryczą. – Zn kręci się wokół każdego, kto pomoże mu w otrzymaniu dobrej roli. A z drugiej strony, dlaczego nie mogę go znieawidzić za coś takiego?

Kate popatrzyła na poobgryzane paznokcie Billy’ego.

– Nie możesz, bo serce to nie sługa. Nie możesz włączać i wyłączać uczucia jak żarówkę przełącznikiem.

– Nie, to zwykła ciota – rzucił przez zęby. Zapalił papierosa, położył się na łóżku i podparł głowę na zgiętym ramieniu. – Czemu nie mogę być rozsądny i zakochać się w tobie. Mielibyśmy własny dom, w którym czekałabyś: na mnie z kolacją, gdy wracałbym z pracy.

– Zdarzyło ci się kiedykolwiek zakochać w jakiejś kobiecie?

– Raz, czy dwa razy, ale nic z tego nie wyszło. – Billy westchnął. – Jednak nie powinienem mieć pretensji do Ala. Takie jest życie, i jeżeli droga do twojego sukcesu prowadzi przez łóżko jakiegoś pedzicia, nic na to nie poradzisz. – Wypuścił strużkę dymu i dodał: – Będąc na jego miejscu, pewnie zrobiłbym to samo.

W Maxwellu Gilchristie Elizabeth widziała wroga. Młodzi Gilchristowie mieszkali w stróżówce na końcu alei wyjazdowej. Za każdym razem, gdy musiała tamtędy przejść, robiło jej się niedobrze. Gdy Frazer przedstawiał matce Maxwella, Bess złapała się na wyszukiwaniu podobieństw syna do ojca. I rozpoznała to samo ociężałe spojrzenie i usta lekko zagięte w kącikach. Była nawet zdziwiona, że Maxwell nie zwrócił uwagi na grymas odrazy, jaki niewątpliwie pojawił się na jej twarzy, gdy usłyszała jego nazwisko. Bess długo się zastanawiała, co robić i wreszcie wymyśliła sposób, aby pomóc synowi. Zwróciła się do pani McGill o rachunki od dostawców obsługujących posiadłość. Choć prośba wydała jej się dziwna, pani McGill dostarczyła kilka pomiętych kartek. Po ich przejrzeniu Bess stwierdziła, że wymienionych tam towarów nie ma w domowej spiżarni. Ciekawa była, jaka część z kupowanych artykułów spożywczych i alkoholi trafiała do licznej rodziny pani McGill, zamieszkującej w pobliskiej wsi.

Kiedyś przy śniadaniu zagadnęła Frazera o księgi rachunkowe posiadłości.

– Księgi rachunkowe?

– Tak. Te, w których się odnotowuje wszystkie wydatki. Pani McGill zapisuje tylko niektóre z nich. Widziałam ogromne rachunki, na przykład za wino, a znalazłam w piwniczce tylko parę butelek.

– Organizowałem przyjęcie... – Migał się.

Gdy przeszli do jego pokoju, Frazer otworzył szufladę biurka, w której Bess dojrzała beładnie porozrzucani papiery: rachunek za naprawę samochodu, rachunek za krawca i kolorową pocztówkę z pozdrowieniami na odwrocie.

– Właściwie, to ja nie prowadzę takich ksiąg.

– A powinienes. Zwłaszcza dla tak dużego domu. Mój drugi mąż, ojciec Kate, przekonał mnie, jakie to ważne. Jeżeli chcesz, zajmę się tym.

Nazajutrz Bess spędziła całe przedpołudnie, porządkując faktury i rachunki. Wiele z nich wymagało opłacenia, co oznaczało, że Frazer je po prostu przeoczył. Pro wadzący rachunki syna doradca prawny z Edynburga ostrzegwał, że bez sprzedaży części papierów wartościowych i akcji Frazer nie będzie mógł utrzymać obecnego poziomu wydatków. Z narastającym niepokojem Bess zastanawiała się, czy wpływy od dzierżawców pokrywają wydatki. Pieniądze nie trzymały się Frazera, który tracił je zarówno na luksusy, jak i na remont domu. Rozpieszczał też Maxwella. W ręce Bess wpadł rachunek za samochód.

– Kupiłeś nowe auto? Przecież masz już jedno.

– Podarowałem Maksowi.

– To bardzo kosztowny prezent, Frazer. – Bess z trudem powstrzymała złość.

– Mieszkając tutaj, musi mieć auto.

Na samą myśl o stałej obecności Maxwella Gilchrista przy Frazerze, Bess przesywały dreszcze. Widziała stosunek Maxwella do syna. Zdawała sobie sprawę, że wykorzystując jego dobroduszość, wyciągał od Frazera wszystko, co chciał. Bezwartościowy, chciwy i pozbawiony skrupułów oportunistą. Musiała przyznać, że jest przystojny, po raz pierwszy się ucieszyła, że Kate wyjechała do Londynu. To zmniejszyło nieco jej tęsknotę za córką.

Zaślubiny Maxwella i Naomi były skromną ceremonią w miejscowym kościele parafialnym. Panna młoda miała na sobie liliowy dwuczęściowy kostium i kapelusz z szerokim rondem. Doglądająca córki matka była mocno zirytowana.

– Na szczęście jeszcze nie widać twojego brzucha. Inaczej goście mogliby się domyślić, dlaczego nie jesteś w bieli – powiedziała i poszła do kościoła, zostawiając niepewnie przeglądającą się w lustrze córkę.

Nie wszyscy przyjechali na ślub. Ławy przeznaczone dla rodziny Maxwella stały puste. Po tej stronie, gdzie zasiadała rodzina panny młodej, też nie było zbyt wielu gości. Maxwell chodził pijany na długo przed ceremonią ślubną. I chociaż mógł jeszcze sensownie prowadzić rozmowę, Naomi znała jego stan. Widziała błyszczące oczy narzeczonego. Zauważyła też, jak stojąc przed ołtarzem, co chwila przechylał się na prawą stronę. Na uroczystym śniadaniu, wydanym po ślubie przez rodziców Naomi, upił się jeszcze bardziej. Wyczuwając lekki sarkazm w jego głosie, ojciec i bracia panny młodej zastanawiali się, czy czasem z nich nie kpi. Oczywiście śniadanie zakończyło się kłótnią i Naomi płakała w poduszkę przez całą noc poślubną. Rankiem skruszony mąż ją przeprosił, co zakończyło się aktem miłosnym. Nasycona Naomi położyła się na plecach, przykneła oczy i pomyślała z satysfakcją, że jest mężatką i że

będzie miała dziecko. Ślicznego, maleńkiego dzidziusia.

Miesiąc miodowy, trwający tydzień, spędzili w hotelu w Brighton. Codziennie zwiedzali miasto, oglądając zarówno zapierający dech w piersiach Pałac Królewski, jak i ustawione w szeregu obite deskami, ponure domki plażowe. Tam słuchali szumu szarozielonych fal, rozbijających się o kamienistą plażę i tam Naomi z trudem brnęła brzegiem morza. Postanowiła bowiem chodzić w butach na wysokich obcasach.

W drodze powrotnej odwiedzili Edynburg, gdzie Maxwell przedstawił żonę swojej rodzinie. Dopiero teraz Naomi się zorientowała, że Maxwell wcześniej nie informował ojca o swoich zamiarach.

– Ojczy, pozwól, że ci przedstawię moją żonę Naomi – powiedział Maxwell, czerpiąc ogromną przyjemność z piorunującego wrażenia, jakie na nim wywarł.

– Żonę? – bezwiednie powtórzył Andrew Gilchrist. – Wcześniej nic nie mówiłem, sądząc, że i tak nie przyjedziesz na ślub. To była skromna ceremonia – usprawiedliwiał się beztrząsko.

– Naomi, bądź tak dobra i zaczekaj w salonie. Muszę coś omówić z Maxwelllem – zwrócił się do synowej.

Pijąc herbatę w salonie, nie słyszała, o czym rozmawiali ojciec i syn. Wiedziała jednak, że Maxwell nienawidzi ojca. A wręcz obmacujące ją spojrzenie teścia wzbudziło w niej wstręt. Po tej rozmowie Maxwell był wściekły i biały jak ściana. Zaraz też opuścili dom jego ojca i nazajutrz wyruszyli do Ravenhart. Naomi uwielbiała swój nowy dom. Choć nieduży, bardzo przypadł jej do gustu. Na parterze były dwa pokoje gościnne oraz kuchnia, a na piętrze trzy sypialnie. Do tego dwa pokoje w okrągłych wieżach. I chociaż w żaden sposób nie dało się ich umeblować, właśnie te pokoje Naomi lubiła najbardziej. „To prawdziwy pałac Królowej Śnieżki”, ekscytowała się, gdy po

raz pierwszy Maxwell oprowadzał ją po domu, w którym miała rozpocząć nowe życie. Była przekonana o tym, że będzie to bardzo, ale to bardzo szczęśliwe życie.

Barbara, szwagierka Maxwella, podarowała im tuzin prześcieradeł i był to jeden z nielicznych przydatnych prezentów, nie licząc domu. Rodzice Naomi sprezentowali dzieciom czek na niewielką kwotę, a Simon i Hazel białą porcelanową wazę, na której widok Maxwell stwierdził, że posłuży mu za nocnik. Prezentem od Juliana i Tessy był serwis obiadowy o tak jaskrawych motywach roślinnych, że Naomi sama spakowała go do pudełek i pożyczyła białą zastawę od Frazera.

Pierwsze miesiące małżeństwa Naomi spędziła, wylegając się w łóżku, to kochając się, to wysypiając za wszystkie czasy. Była jak pogrążona w letargu, w którym sny przechodziły w rzeczywistość za sprawą pocałunków Maxwella składanych na jej szyi i pieszczot, jakimi obdarzał jej uda. Naomi pomyślała, jak przyjemnie byłoby pofiglować w każdym z pokoi, na każdym z łóżek, na dywanie przed kominkiem, w kuchni na stole i oczywiście w domku myśliwskim. Tam przecież rozpałiły się ich namiętności i miłość od pierwszego wejrzenia. Ma się rozumieć, że młoda para wypróbowała wszystkie te pomysły.

Całą okolicę pokryła gruba warstwa śniegu. Przykryły śniegiem wierzchołki wzniesień przypominały Naomi wielkie porcje lodów. Aż chciałoby się spróbować, czy są słodkie, pomyślała. Młodzi postanowili wyjść na spacer. Pędzony wiatrem śnieg uderzał w murowane ogrodzenie i ściany budynków. Gałęzie drzew były nim oblepione. Szli pośród zasp z twarzami ściętymi mrozem. Pod stopami skrzypiał śnieg. Szalejąca wysoko w górach burza śnieżna tworzyła wspaniałe

białe pióropusze wokół szczytów, niemal całkowicie je zasłaniając. Zamieniona w sople lodu trawa, porastająca brzegi strumienia, zdobiła go teraz zimowymi girlandami. Mróz ściał też nieliczne oczka wodne, które utworzyły się między kamieniami.

Naomi szybko przestała się podobać taka zima. Nawet przejście półtora kilometra do Ravenhart House strasznie ją męczyło. W tych szerokościach geograficznych słońce wschodziło później i zachodziło wcześniej niż w Surrey. Ponieważ rzadko wstawała przed polu dniem, a już około trzeciej nie było światła słonecznego, dla niej przez całą dobę panował mrok.

Brak stałej służby w domu świeżo upieczonej mężatki niezmiernie ją irytował. Okazało się, że chcąc przygotować kolację ze zgromadzonych w spiżarni zapasów, nie umiała rozpaścić ognia w kuchni węglowej. Chociaż mieszkali tylko we dwoje, w domu panował olbrzymi bałagan. Służąca na przychodne z powodu olbrzymich zasp utknęła w swojej wiosce.

Dni płynęły. Maxwell pisał powieść, a Naomi bawiła się ze swoim pieskiem Susie, przeglądała czasopisma i usiłowała uszyć koszulkę nocną dla dziecka. Ponieważ ułożenie wykrojonych części flanelki sprawiało kłopoty, odłożyła wszystko na bok, zaparzyła kawę i podała filiżankę Maxwellowi. Zmierzwiała mu włosy i kciukiem zaczęła pieścić płatek jego ucha. Odpowiedział oszczędnym pocałunkiem i wrócił do pisania. Opuszczając pokój, przeszła przed ogromnym lustrem sypialni. Z przerażeniem stwierdziła, że zaokrągliła się nie tylko na brzuchu, który stał się widoczny, ale też na biodrach i udach. Czy Maxwell będzie mnie jeszcze chciał taką? Czy się mną nic znudzi? Czy może w nim wzbudzić pożądanie taka gruba kobieta, która wkrótce będzie się poruszać po domu,

kolebiąc z boku na bok?

Wkrótce nastąpiła odwilż i znów pojawiło się słońce. Maxwell napisał artykuł do „The Scotsman” i państwo Gilchristowie postanowili to uczcić w Edynburgu, gdzie przepuścili wszystkie dopiero co zarobione pieniądze na hotel i dobre jedzenie.

Na sylwestra Frazer zaprosił gości. Pięćdziesiąt osób. Gdy brakowało miejsc do spania dostawiano w pokojach wersalki i leżanki, a w ostateczności wynajmowano pokoje we wsi. Lamptonów i kilka innych osób Maxwell znał jeszcze z Edynburga. Alana i Catrionę Gibson Maxwell zaprosił na noc do siebie. Naomi zauważyła, że wyjątkowo szczupła, zielonooka Catriona wpadła mężowi w oko. Śmiała się z jego dowcipów, ciągle poprawiała fryzurę i za wszelką cenę chciała się pochwalić przed Maxwellem swoimi długimi, zgrabnymi nogami; kokietowała go, zakładając nogę na nogę, gdy tylko znajdował się obok. Naomi nie wytrzymała, kiedy zauważyła, jak Catriona, siedząc na sofie, gładzi miejsce obok, na którym miał zasiąść Maxwell.

– O, nie! Maxwell usiądzie koło mnie, prawda kochanie? – wyrecytowała dobitnie, będąc już po paru kieliszkach szampana.

Chociaż Maxwell postąpił zgodnie z jej życzeniem, Naomi zauważyła gniew w jego oczach. Chcąc dojechać na obiad do Ravenhart House, cała szóstka zapakowała się do bentleya Charliego. Naomi usiadła Maxwellowi na kolanach. Ten w trakcie jazdy wyszeptał jej do ucha:

– Czy nie sądzisz, że powinnaś już skończyć popijanie, Mimi?

Naomi aż zatrzęsała się ze złości, że on, który chleje od rana, ma czelność zwracać jej uwagę.

Do obiadu Maxwell zasiadł w szczycie długiego mahoniowego stołu. Podawano pięć różnych dań, a do każdego

inne wino. Potem panie przeszły do sąsiedniego pokoju, aby ich mężowie mogli wypić porto lub wypalić papierosa. Naomi poszła do łazienki, żeby uczesać włosy i poprawić kredką usta. Zarumienione policzki zdradziły wypity alkohol, czyniąc cerę Naomi mniej bladą. Stojąc przed lustrem, miała pewność, że pomimo widocznej ciąży jest najładniejsza wśród obecnych tu kobiet. Polem tańczono. Obserwowała męża. Gdy tylko Catriona pode szła do niego, Naomi bezceremonialnie wzięła go za rękę i poprowadziła na parkiet.

– Wolałbym teraz nie tańczyć – bronił się Maxwell.

– Ale ja chcę. – Naomi przywarła do męża i zachceni go: – No ruszaj się, Max.

– Zaraz będzie północ. Muszę pomóc Frazerowi otworzyć szampana.

– Chcę, żebyś ze mną zatańczył!

– O, ho, ho! – Spojrzał z dezaprobatą, rozwścieczając Naomi jeszcze bardziej, i dodał: – Nie rozrabiaj. – Po czym się oddalił.

Naomi pobiegła za Maxwelllem, chwytając go za rękaw.

– Gdyby to ona chciała z tobą zatańczyć, miałbyś ochotę!

– Jaka ona? – Udawał niewiniątko.

– Dobrze wiesz, o kim mówię!

– Nie mam pojęcia. Oświeć mnie.

– Mówię o tej krowie, która cały wieczór kręci się koło ciebie – rzuciła z wściekłością.

Niektórzy goście już na nich patrzyli.

– Bądź tak dobra i skończ już. Robisz z siebie pośmiewisko.

– Był znużony i zły.

– Uważasz, że to ja robię z siebie pośmiewisko? krzyczała. – Może, do cholery, popatrzysz na siebie?

Dochodziła północ. Zespół muzyczny odłożył instrumenty, a Frazer zabrał się do otwierania pierwszego szampana. Goście odliczali ostatnie sekundy starego roku. Maxwell wyprowadził

Naomi z pokoju. Gdy za drzwiami strzelały korki od szampana, a ogromny zegar wybijał dwunastą, oznajmiając nadejście nowego 1937 roku, Maxwell mówił do Naomi, cedząc słowa:

– Czy ktoś może mnie winić za to, że spojrziałem w inną stronę, skoro okazałaś się taką awanturnicą?

Stali na korytarzu. Przez otwarte drzwi wpadało do środka lodowate powietrze. Naomi poczuła kłujący ból w sercu.

– Max – zaczęła niepewnie – nie mówiłeś chyba poważnie?

– Jak najbardziej.

– Max. Proszę cię – mówiła ze łzami w oczach. Już nie była harda i wyzywająca. – Wybacz mi. Nie chciałam zrobić ci przykrości – szeptała.

Maxwell popatrzył na nią obojętnie.

– Nie powinnaś tyle pić. To może zaszkodzić dziecku.

– Już więcej nie będę. Obiecuję. – Położyła dłoń na jego policzku. – Pocałuj mnie, Max. Mamy nowy rok.

Przez nieznośnie długą chwilę Naomi sądziła, że tak się nie stanie. Jednak Max wziął żonę w ramiona i pocałował. Naomi poczuła jego potężne ciało na swoim. Znowu stanowili jedność. Gdyby nie Frazer, który zza ich pleców powiedział „Max, goście chcą zaśpiewać »Auld Lang Syne«\* [Tradycyjna pieśń noworoczna śpiewana w Wielkiej Brytanii i Irlandii, słowa autorstwa osiemnastowiecznego poety szkockiego Roberta Burnsa.], ale nikt nie zna słów tej cholernej piosenki”, nikt by nie oderwał ich od siebie.

Naomi żądała od męża pełnego oddania. Byłoby najlepiej, gdyby nie patrzył na inne i nie myślał o innych. Właśnie takiego oddania potrzebowała. Jej serce czekało na wielką miłość. Gdy tylko się poznali, wystarczyło, że na siebie spojrzeli i oboje nie mogli się doczekać pierw szych pocałunków, pierwszych intymnych chwil. Już wtedy wiedziała, że Maxwell jest miłością jej życia. Coraz bardziej kochała Maxwella. Gdy nie było go w

domu, czuła się nieswojo. Powracały stare niepokoje. I chociaż namiętność męża nie gasła, Naomi zauważyła zmianę w jego zachowaniu. Maxwell jakby mniej się nią interesował. To odkrycie wzbudziło w niej strach. Przecież jej uczucie nie zmieniło się ani na jotę. Dlaczego przez cały czas nie myśli wyłącznie o mnie, skoro ja mogę? Dlaczego wychodzi z domu i nie tęskni za mną, skoro ja nie mogę wytrzymać bez niego ani minuty?

Naomi nie tolerowała żadnej konkurencji. Pozbywała się każdej kobiety, próbującej flirtować z Maxwellem. Była jednak osoba, z którą nie mogła sobie poradzić, a kin rej małżonek poświęcał najwięcej czasu. Frazer. Ten rościł sobie szczególne prawa do Maxwella. Potrafili obaj godzinami dłużyć w swoich samochodach lub przepadali na cały dzień na rybach albo polowaniu. Wyjeżdżając z domu, czasami wpadał do nich, by zaproponować przejażdżkę do Braemar lub Pitlochry. Naomi wyczuwał a wtedy jego niechęć do siebie. Wiedziała, że zaprasza ją przez grzeczność. Takie właśnie zachowanie Frazera oh serwowała już od jakiegoś czasu. Nie darzył jej sympatia Oczywiście Max nic nie widział, ale on w ogóle nie za uważał wielu rzeczy, a być może nie chciał ich widzieć.

Na stoliku w holu głównym Ravenhart House stała fotografia przedstawiająca Maxwella, Frazera i tę dziewczynę – Kate – stojących przy starym domku myśliwskim w towarzystwie Frazera i Maxwella Naomi czuła się obco. Panowie, nie zwracając uwagi na jej obecność, opowiadali sobie męskie kawały i zachowywali się nad wyraz swobodnie. Gdyby Frazer był nastawiony do niej bardziej przyjacielsko, odpowiedziałaby tym samym. Jego powściągliwość początkowo zdziwiła Naomi, a później stała się dokuczliwa. Dotychczas spotykała się raczej z zainteresowaniem mężczyzn. Oczekiwała adoracji nawet od tych, którym się nie podobała. Uznała, że dziwne zachowanie

Frazer może wynikać z jego snobistycznego usposobienia. Panu na Ravenhart nie wypada się zniżać i szukać towarzystwa córki jakichś nowobogackich. Polem przypomniała sobie jedną z ich wspólnych wizyt u Frazera, jaką mu złożyli przed ślubem. Gościła tu wówczas jego matka. Gdy rozmawiała z nią, panowie wyszli na zewnątrz. Pani Jago poszła do kuchni zobaczyć, dlaczego pani McGill tak długo nie podaje herbaty, a Naomi pukała Maksa. Zobaczyła ich stojących przy samochodach na końcu podjazdu i zatrzymała się w drzwiach. Frazer trzymał dłoń na ramieniu Maksa z głową niemal przytuloną do jego głowy. W pewnej chwili Max ruszył w stronę domu, ale ręka Frazera pozostała na jego ramieniu dłużej, niż to było konieczne. Naomi natychmiast pomyślała o podarowanym Maksowi domu i samochodzie. Wiedziała już wszystko. Znam twoją tajemnicę, pomyślała. Teraz, gdy tylko się nudziła, nie przepuściła okazji, by podroczyć się z Frazerem. Lubiła działać mu na nerwy. Musiał wiedzieć, że to ona, żona Maxwella ma pierwszeństwo. A poza tym, przy całym swoim nudziarstwie był z niego taki łatwy cel. W sporach pomiędzy Naomi i Frazerem Max brał niekiedy stronę Frazera. Czuła się wtedy potwornie. Uważała, że mąż ją lekceważy i nie wiedziała, co o tym myśleć. W głębi duszy miała jednak pewność, że posiada coś, co wiąże z nią Maksa dużo mocniej niż prezenty Frazera. Nie mogła się jednak pogodzić z faktem, że Frazer w ogóle ma jakikolwiek wpływ na jej męża. Na razie zatrzymała swoje odkrycie dla siebie. Wiedziała, że z jednej strony ujawnienie tajni nicy było niebezpieczne, a z drugiej może ma w ręku doskonałe narzędzie nacisku.

Nowy Rok przyniósł paskudną pogodę. Padał śnieg, było niezwykle mroźno. Zawieje spowiły śniegiem wszystkie domy w dolinie. Gdy otulona futrem Naomi wychodziła z domu,

musiała ostrożnie stapać po ścieżkach.

Tego dnia Maxwell pojechał do Edynburga na spotkanie z wydawcą. Wieczorem Naomi zrobiła sobie grzanekę z masłem drożdżowym i drinka. Kolację zjadła przed kominkiem. Po bezowocnej próbie złapania jakiegokolwiek stacji radiowej nastawiła płytę, podśpiewując z chórką „Anything goes”. Podwórza nie oświetlała żadna latarnia. Gęsta noc zdawała się zalew, u okna, zupełnie jakby chciała pochłonąć światło, padające z wnętrza domu. Znużona, wreszcie położyła się spać, zabierając Susie do łóżka. Leżąc w ciemności, Nil orni położyła dłoń na brzuchu. Mogła już wyczuć ruchy dziecka, co zawsze było dla niej cudownym przeżyciem, Była zachwycona, że nosi w sobie cud życia. Cieszyła się, że tym razem dziecko przyjdzie na świat. Wierzyła, że była to dla niej nowa szansa.

W północy usłyszała odgłos kroków. Zawołała męża ale nikt nie odpowiedział. Wtedy uświadomiła sobie, że i nie słyszała, aby pod dom podjeżdżał samochód. Usiadł, i na łóżku. Obok spała Susie. Znów usłyszała kroki. Ktoś był w mieszkaniu. Ostrożnie zeszła z łóżka, cicho odchyliła zasłonę i popatrzyła na dół. Przed domem nie było samochodu.

Przed zamieszkaniem w Ravenhart uznawała to miejsce za oazę ciszy. Teraz rozpoznawała najmniejszy ruch gałęzi i odgłosy przelatujących nocą drapieżników. Żeby już wrócił Max, pomyślała. Po plecach przechodziły jej ciarki. Stała nieruchomo i nasłuchiwała. Po chwili z impetem otworzyła drzwi sypialni i z walącym ze strachu sercem zbiegła na dół. Od razu zapaliła światło w salonie i przystanąła na moment oślepią jego blaskiem. Kiedy utworzyła oczy, zobaczyła, że przed dogasającym kominkiem wolno kołysał się fotel bujany, zupełnie jakby przed chwilą ktoś z niego wstał.

Na odgłos dźwięku, dobiegającego zza pleców, Naomi krzyknęła. W tej samej chwili zobaczyła w korytarzu Maxwella

i rzuciła mu się w ramiona.

– Co ty tu robisz po nocy, Mimi? Przecież już dawno powinnaś spać? – pytał, a ona przytulając się do Maksa, czuła jego chłodne policzki.

– Usłyszałam podejrzane odgłosy, dlatego wstałam. Sądziłam, że ktoś jest w domu.

– To niemożliwe – uspokajał ją Maxwell, ściągając szalik.

– Słyszałam odgłosy kroków, no i fotel bujany się ruszał, kiedy tu przyszedłam!

– Może to szumiął wiatr. – Max sprawdzał okna i drzwi. – Wszystko jest pozamykane.

Naomi chciała jeszcze raz powtórzyć „przecież słyszałam kroki”, ale zauważyła, że Max jest zmęczony, a poza tym otwierał butelkę whisky. Może to rzeczywiście był wiatr, a walenie własnego serca przyjęła za odgłosy kroków. Jeżeli będą się tego trzymać, to wkrótce w to uwierzę, pomyślała.

Podeszła z tyłu do męża i objęła go. Max napełniał szklaneczkę alkoholem.

– Jak to dobrze, że już jesteś. Chcę, żebyś już więcej nie wyjeżdżał.

Naomi doszła do wniosku, że dom jest nawiedzony. Według słownika „zjawa” to hałaśliwy duch. I to doskonale pasowało do odgłosów, które zbudziły ją w nocy, do odnajdywania rano niewielkich przedmiotów w zupełnie innym miejscu, niż je zostawiła wieczorem. Mogłaby też przysiąc, że wieczorem nie było na białym dywanie przed kominkiem drobin popiołu, które znalazła tam, gdy ze szła do salonu sprawdzić swoje podejrzenia. Działalność zjawy potwierdzała też rozbita na kawałki waza, prezent od Simona i Hazel, którą kiedyś znalazła rankiem w kuchni i huśtający się bujany fotel. Naomi nigdy nic słyszała podejrzanych dźwięków, gdy Maxwell był w do mu. Gdy nawiązała do rozbitej wazy, Max odpowiedział:

– Przecież popiłaś wczoraj wieczorem. Musiałaś ją niechcący stłuc. Nie ma czego żałować i tak była ohydni Naomi zastanawiała się, czy Max nie ma racji. Jednak gdy została sama w domu, znów słyszała stukanie i tupanie. Po zejściu do jadalni zobaczyła przewrócony słoik i rozrzucone na kominku baze. A na podłodze rozlani wodę. „Czemu nie zostawisz mnie w spokoju!”, krzyknęła i rozplakała się. Szlochając, nalala do szklanki whisky i usiadła na białym dywanie przed kominkiem. Kurczowo ściskając szklankę, wpatrywała się w ciemne okno.

Gdy Bess poznała Naomi Gilchrist, doznała ulgi. Ta młoda kobieta nie wytrzyma długo na odludziu, jakim był Ravenhart House. Zakochana po uszy i osłabiona ciężką była na razie zadowolona z życia. Tak jednak nie będzie wiecznie. Kiedy już urodzi i się zorientuje, że opieka nad niemowlęciem znacznie różni się od zabawiania się z tym jej głupawym pieskiem, z pewnością zatęskni za miastem. A wówczas i jej dziecko, i mąż opuszczą Ravenhart. Być może ten proces już się zaczął. W czasie obiadu Naomi za dużo paliła i za dużo piła. Pod koniec tej mroźnej i dokuczliwej zimy Bess widziała ją nieraz zestresowaną i przemęczoną. Może by i współczuła tej ciężarnej, zamkniętej w domu kobiecie, gdyby nie uznała, że im bardziej Naomi będzie narzekać, tym szybciej Maxwell Gilchrist wyjedzie z Ravenhart.

Bess zauważyła niezadowolenie syna z powodu notorycznego spóźniania się Maxwella na posiłki; irytowało go też, że namówiony przez żonę, opuszczał wieczorne przyjęcia na długo przed ich zakończeniem. Niekiedy słyszała kłótnie Frazera z Maksem. Wiedziała, że Naomi nie darzy Frazera sympatią i dostrzegła jej niezdarne próby skłócenia ich. Nawet kusilo Elizabeth, żeby dołożyć swoje trzy grosze do tej gry, lecz wyczuwając delikatność sytuacji, postanowiła nie mieszać się

do tego. Okazywała współczucie synowi, ale bez narzucania się. Wolą być dla niego oparciem niż nadzorcą. Po wyjeździe Gilchristów, a była pewna, że to nastąpi, będzie synowi dodawać otuchy i postara się zapełnić powstałą pustkę.

Pewnego ranka, gdy zbierała się do wyjścia na dworzec Waverley, Martin zapytał:

– Czy jeździsz tak często do Ravenhart dlatego, że kochasz Frazera, czy dlatego, że nienawidzisz Maxwella?

Ponieważ ostatnio pogniewali się na siebie, Bess poczuła się nieswojo.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – odparła hardo.

Wizyty Margot w domu Olivera zawsze przebiegały w chłodnej atmosferze. Pewnego wieczoru, gdy Kate opiekowała się jego synem, rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi. Na zewnątrz wiatr pędził liście po bruku i wprawiał w ruch tasiemki kapelusza stojącej w drzwiach Margot.

– Ach! To ty! – wyrwało jej się na powitanie Kate, poczym poprawiła się i spytała: – Czy zastałam Olivera, panno Fearnley?

– Jest w teatrze, ale niedługo powinien wrócić. A ja zajmuję się teraz Stephenem.

Margot weszła do środka i przechodząc przez ciemny sklep, zapytała:

– Czy mały nie powinien już być w łóżku?

– Stephen trochę dziś grymasi. Budził się już kilka razy. Gdy Margot weszła do salonu, od razu pochyliła się nad łóżeczkiem dziecka i przyłożyła mu dłoń do różowiutkiej buzi.

– Czy dzwoniłaś po lekarza?

– To nie jest konieczne. Nie ma gorączki. Chociaż zastanawiałam się, czy to nie jest czasami początek przeziębienia.

– Lepiej będzie, jeśli zadzwonię do doktora Radleya Margot poszła do telefonu stojącego w holu. Kate usłyszała dźwięk tarczy telefonicznej przy wykręcaniu numeru, a potem donośne, zwięzłe wyjaśnienia Margot. Po zakończonej rozmowie powiedziała:

– Lepiej dmuchać na zimne. Doktor Radley obiecał, że przyjdzie tu z samego rana. – Wzięła małego na ręce, zaspany Stephen coś wymamrotał i przytulił się do niej – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Oliver nic mi nie powiedział... Co prawda jestem umówiona, ale zawsze mu powtarzam, że jeśli będę potrzebna, to najwyżej przełożę spotkanie. A jak często zostaje pani ze Stephenem?

– Od czasu do czasu – odparła Kate. Jednak przeczuwając dalsze pytania, dodała: – Mam trzech młodszych braci i trzy całkiem małe siostry, wiem zatem, jak się obchodzić z dziećmi.

Margot grzecznie się uśmiechnęła.

– Nie wątpię w to. Proszę mi przypomnieć, gdzie jest teraz Oliver.

– W teatrze z panną Fisher.

– Z panną Fisher? – Skrzywiła się. – Oliver nic mi nie mówił...

– Ja też pracuję dla panny Fisher. Ona prowadzi grupę baletową.

– Ach tak. – Rozmówczyni Kate popatrzyła na Stephena i rozpogodziła się. – Właśnie zasnął. Zaniosę go na górę.

Jeszcze przed powrotem Olivera jego szwagierka wyszła. Kate opowiedziała mu o wizycie.

– Potraktowała mnie jak osobę, która nie ma zielonego pojęcia o dzieciach. Nic nie szkodzi, ale musiałam ci powiedzieć o jutrzejszej wizycie doktora.

– Tak, tak. – Rzucił płaszcz i kapelusz na krzesło. – Pójdę na chwilę do Stephena.

Po chwili był już z powrotem.

– Śpi jak zabity. Chyba mu nic nie dolega. Mam nadzieję, że się nigdzie nie spieszysz? – Kate zaprzeczyła. – To może napijemy się brandy?

– Chętnie.

Bardzo lubiła trunek, który Oliver kiedyś przywiózł z Francji. Uwielbiała jego głęboki smak.

Po nalaniu drinka Oliver zaczął opowiadać:

– Margot chce adoptować Stephena.

– Adoptować? – powtórzyła Kate z niedowierzaniem.

– Tak. Ona i Nigel nie mogą mieć dzieci. A Jane była jedyną siostrą, jaką miała, więc gdy umarła... Problem w tym, że przez ten czas pokochałem Stephena. – Oliver odstawił szklaneczkę na stolik. – Syn jest wszystkim, co mi zostało po Jane. Chyba tak samo o małym myśli Margot, ale w odniesieniu do siebie. – Westchnął i poprawił włosy. – Podejrzewam, że w głębi duszy ona wini mnie za śmierć siostry. Przecież, gdyby Jane nie wyszła za mnie to... Nawet ja myślałem w ten sposób zaraz po jej śmierci. Wtedy między mną a Margot było wiele nieporozumień, w wyniku czego doszła pewnie do wniosku, że samotny ojciec nie poradzi sobie z niemowlęciem. Od leż pory często się zastanawiam, czy Margot czasami nu miała racji.

– Jak w ogóle możesz tak myśleć? – oponowała Kate.

– A mogę, mogę. – Oliver wyglądał na zmęczonego i zatroskanego. – Zawsze, gdy coś złego dzieje się z synem, uważam, że to przeze mnie. Na przykład dziś. Właściwie to za każdym razem, kiedy wychodzę z domu, mam wyrzuty sumienia. – Uśmiechnął się gorzko. W pewnej chwili zacząłem wariować tu sam i musiałem iść do ludzi.

– I to nie podobało się Margot?

– Myślę, że tak. – Oliver usiadł na sofie. – Gdy Stephen był bardzo mały, nie radziłem sobie z obowiązkami. Potem do

dziecka przychodziły opiekunki, a ja wy chodziłem do pracy. Wtedy Margot zaoferowała pomoc ale ja uznałem to za podstęp. Niektóre opiekunki były bardzo kompetentne, ale te szybko odchodziły. Inne nie radziły sobie, a jedna nawet pastwiła się nad Stephenem. Wymierzała mu klapsy, gdy zabrudził się przy jedzeniu. Możesz sobie wyobrazić karanie dwulatka za brak dobrych manier? Gdy tylko to odkryłem, pomyślałem, że zawiodłem syna na całej linii. Do dziś mam wyrzuty su mienia. Teraz kilka dni w tygodniu małym zajmuje się pani Richards. Mieszka niedaleko. Mam też więcej czasu, bo Leo pomaga mi w sklepie i już tak często nie wyjeżdżam do Francji. A Margot jest po prostu nieoceniona. Bez niej nie dałbym sobie rady. Ciągłe jednak zadaję sobie pytanie, czy Stephenowi nie byłoby czasem lepiej I nich. Miałby wtedy bardziej normalne dzieciństwo. Nie wiem tylko, czy myślę wtedy bardziej o sobie, czy o nim.

– Przecież tylko ty możesz być jego ojcem!

– Sądzisz, że więzy krwi są aż tak ważne? Kate przyszedł na myśl Frazer.

– Gdybyś oddał syna komuś na wychowanie, mógłby cię kiedyś zapytać, dlaczego to zrobiłeś. Pytałby, czy dlatego, że go nie kochałeś – ostrzegła Kate.

Oliver dokończył brandy.

– Biedna Margot. Ona go uwielbia. Dlatego też nie złośczone się na nią za jej nadgorliwość.

– Jak myślisz, czy można kochać za mocno? – zapytała z namysłem Kate.

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. A ty?

– Czasami. Weźmy na przykład takie „Jezioro łabędzie” czy „Giselle”. Fabuła baletu dotyczy uczucia tak wzniosłego, tak żarliwego, że można by dla niego umrzeć.

– Sądzisz, że to niemożliwe?

– Kiedyś właśnie tak myślałam. To takie romantyczne.

Jednak coś się zmieniło. Kiedy ostatnio oglądałam „Giselle”, po raz pierwszy pomyślałam: Nie odbieraj sobie życia. Znajdź inne zajęcie, wyjeżdź gdzieś lub poszukaj kogoś nowego.

Oliver parsknął śmiechem.

– Zapominasz, że miłość zmienia człowieka, sprawia, że staje się lepszy – powiedział łagodnie.

– I może zamknąć mu oczy na wady ukochanej osoby, i Kate znów pomyślała o Frazerze. Przypomniała sobie spojrzenie brata, gdy mówił jej o przekazaniu domu, w którym dotychczas mieszkał pan Bain, na potrzeby Maxwella i Naomi. A zwłaszcza chwilę, gdy oświadczył, że to jego dom i może robić z nim, co chce, nawet jedli jest to niestosowne zachowanie. – Ludzie ogarnięci miłością są zdolni do rzeczy, których w innych okolicznościach by nie zrobili. Wydaje się, że osoba zakochana traci kontrolę nad sobą i myśli wyłącznie o obiekcie swoich westchnień. A to przecież nic dobrego – dodała.

– Jeżeli obie strony pałają do siebie miłością, to czy nie możemy mówić o wyższych uczuciach i o tym, że troska o inną osobę przesłania własne potrzeby?

– A co, jeżeli tak nie jest? Jeżeli kocha tylko jedno z nich?

## Rozdział 15

Po sześciu miesiącach ciąży brzuch Naomi zrobił się pękaty i twardy. Dziecko wykonywało spokojne ruchy niczym jakaś podwodna istota. Piersi Naomi nabrzmiały, i pod skórą widać było pajęczynkę błękitnych żyłek. Sutki przybrały kolor kakao. Żadne ubranie już na nią nie pasowało. Pożyczała od Maxwella koszule i nosiła je wyłożone na spódnice, które spinała agrafkami. Martwiła się, że po tych zmianach Maxwell nie będzie jej pragnął i znajdzie sobie kogoś innego. On jednak badał co noc linie piersi i brzucha Naomi, miał przy tym skupioną, poważną i szczerą twarz. Wkrótce wyjechał do Edynburga. Pisał mnóstwo listów, w których wyśmiewał się z ludzi spotykanych w klubach politycznych i na wiecach. Na marginesach rysował komiksowe postaci pracowników czasopism i gazet, dla których pracował dorywczo. Raz nawet przysłał jej narysowane w ten sposób karykatury swoich braci. Naomi roześmiała się na głos, oglądając podobizny Nialla o ostrych rysach twarzy, który zaczynał się zaniedbywać i Sandy'ego, przygarbionego, oglądającego się podejrzliwie przez ramię.

Czas dzielił się na noc i dzień. Zbyt często noce wypełniał niepokój. Naomi nie należała do strachliwych osób. Ryzyko, które lubiła podejmować, sprawiało, że zawsze była pełna życia. Czasami jednak, gdy leżała w ciemnościach, oprócz hałasu, jaki robiły myszy, słyszała skrzypienie bujanego fotela. Ogarniała ją wtedy panika i nadchodził strach przed nieznanym, bezimiennym złem Zastanowiła się, czy przypadkiem nie jest to wpływ ciąży. Czowała się słaba i bezbronna, wydana na pastwę okropności które przychodziły jej do głowy. Zwierzyła się ze swoich trosk lekarzowi, a on zalecił jej regularne spacery i przystąpienie do przykościelnego stowarzyszenia kobiet.

– Pani Gilchrist – mówił – jedyna rzecz, której pani potrzebuje, to towarzystwo. Mieszka pani w odludnym miejscu co nie wpływa na pani nastrój najlepiej i nie jest dobre dla kobiety w pani stanie.

Widząc, jak badawczo na nią patrzył, nie wspomniała o duchu – Coraz częściej rozmyślała o tym, co powiedział. Byli z Maxwellem w łóżku, gdy pierwszy raz poruszyła sprawę przeprowadzki. Leżała w jego objęciach, opierając mu głowę o tors.

– Wyprowadzić się? – Był zdziwiony. – Dlaczego mielibyśmy się wyprowadzić?

– Tu jest tak cicho, nikogo w ogóle nie widuję.

– Widujesz mnie. I Frazera.

– I ta okropna pogoda. Nudzę się.

– Zajmij się więc czymś. Czytaj książki. Idź na spacer. Mogłabyś też posprzątać. – Sypialnia była pełna porozrzucanych czasopism, książek, notatników i kopert. Na toalecie Naomi zalegał rozsypany puder, pomięte chusteczki, stały brudne talerze i filiżanki po kawie. – Widujemy wiele osób. W ostatni weekend przyjechało mnóstwu gości.

– W nocy czuję się okropnie samotna – naciskała. Zauważyła błysk zniecierpliwienia w oczach Maksa.

– Mimi, to miejsce nie jest nawiedzone. Nie ma tu żadnego ducha. Dom nie jest stary i, na Boga, nikt w nim nie umarł. Tu jest ładnie, co ważne, nie musimy płacić czynszu. Bez sensu byłoby się wyprowadzać. Poza tym nie stać nas na przeprowadzkę.

– Pieniądze. – Nadała się. – Zawsze mówisz o pieniądzach.

– Któraś z nas musi. Wydajesz krocie.

– Mógłbyś poprosić ojca o pożyczkę, przecież jest bogaty – powiedziała nagle olśniona tym pomysłem.

– Nigdy – odparł krótko.

- Dlaczego?
- Bo musiałbym dla niego pracować. A tego nie chcę.
- Tylko przez rok czy dwa – nalegała, głaszcząc go po brzuchu. – Moglibyśmy zamieszkać w Edynburgu. Kochanie, zrób to dla mnie.
- Zapomnij o tym. – Nakrył rękami dłonie Naomi, żeby przestała go głaskać. – Mówię poważnie. Nic z tego.
- Wściekła odsunęła się od Maksa, zgasiła lampę i skuliła w drugim końcu łóżka. Czekwała na jego dotyk, błaganie o wybaczenie i prośbę, by się do niego odwróciła. Jednak nie doczekała się. Zignorowała go więc i udawała, że śpi. Wtedy Max zaproponował papierosa. Odmówiła.
- Jak chcesz. – Naomi usłyszała w ciemności suchy trzask zapalanej zapalki.

Ofiarowując Maxwellowi mieszkanie w stróżówce, Frazer sądził, że rozwiązał problem. Poinformowanie Baina o konieczności wyprowadzki okazało się niezwykle przykre. Pan Bain nawet się nie starał ukryć wściekłości. Próbował grozić. Frazer zaoferował mu przedłużenie kontraktu na zarządzanie Ravenhart House, by załagodzić konflikt, ale Bain stanowczo i wielokrotnie odmówił. Frazer pocieszał się świadomością, że Maxwell będzie mieszkać niecałe dwa kilometry od Ravenhart House i że wszystko znów się ułoży po staremu. Tak się jednak nic stało. Nie widywał go tygodniami. Max był wiecznie zajęty. Schudł, miał podkrążone oczy i bladą cerę.

Pod koniec lutego Frazer otrzymał list od swojego księgowego, pana Whipple'a, wzywający do przyjazdu do jego biura w Edynburgu. Był napisany zaskakująco ostrym tonem. Frazer postanowił pojechać do miasta pod koniec miesiąca.

Pan Whipple bezceremonialnie położył przed Frazerem arkusz papieru wypełniony cyframi i powiedział:

– Jeżeli pańskie dochody i wydatki utrzymają się na dotychczasowym poziomie, panie Ravenhart, to w zależności od wysokości odsetek zbankrutuje pan najdalej w ciągu czterech lat.

Bankrut, pomyślał Frazer, gapiąc się w oszołomieniu na księgowego.

– Jednakże wpływy od dzierżawców i inwestycje moich dziadków...

– Z powodu kryzysu znacznie straciły na wartości przerwał mu pan „Whipple. – Pozwolę sobie przypomnieć, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy nakazał pan również upłynnienie szeregu nieruchomości. Korzysta pan ze swojego kapitału od ponad roku. Jeżeli zaś chodzi o dochody z dzierżawy, ledwie starczą na niezbędne na prawy w posiadłości – ciągnął, stukając grubym palcem w dokument. – Wszystko jest tu zapisane.

Podczas wieczornej wizyty u matki Frazer nie potrafił ukryć wzburzenia. Ponieważ Martin musiał jechać do chorego, kolację zjedli sami. Nie mogąc się uspokoić, Frazer chodził tam i z powrotem po salonie.

– Mogę stracić Ravenhart House – powtarzał w kółko, starając się zrozumieć znaczenie tych słów.

– Czy to ma dla ciebie aż takie znaczenie? – spytała nieoczekiwanie matka.

– Znaczenie? – powtórzył. – Oczywiście, że ma.

– Ale... – Zawahała się. – Wydawałeś się tam nieszczęśliwy.

– Czasami nie znośiłem tego miejsca – odparł bez ogródek. – Ale nie o to chodzi. To moje dziedzictwo. Kim bym był bez mojego dziedzictwa? Nikim. – Uderzył pięścią w dłoń.

– Pozostałbyś sobą – powiedziała czule. – Moim synem, bratem moich córek.

– Ale nikt by się ze mną nie liczył. – Potarł palcami czoło.

– Dla mnie byś się liczył. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Zawsze byłbyś najważniejszy bez względu na to, czy uczyłbyś w szkole, pracował w banku, został śmieciarzem czy włóczęgą. Jeżeli stracisz Ravenhart, zaczniesz po prostu wszystko od nowa. Sama przez to przechodziłam kilka razy.

Popatrzył na nią, po czym spuścił wzrok i wymamrotał:

– Nie potrafiłbym zacząć wszystkiego od nowa.

– To nigdy nie jest aż; tak złe. Z początku zawsze jest trudno, ale z czasem robi się coraz łatwiej.

– Nie. – Utrata Ravenhart House była dla Frazera niewyobrażalna. Nawet jeżeli nie zawsze dobrze się tam czuł, to dom stał się jego częścią, należał do niego, stanowił część jego historii i Frazer nie zamierzał nikomu go oddać. Nagle, mimo wzburzenia, poczuł w sobie żelazną wolę. Już wiedział, co zrobi ze swoim życiem.

– Utrzymam dom – postanowił. – Należy do mnie.

Matka się ożywiła i nie szczędziła synowi dobrych rad.

– Jeżeli chcesz, przyjadę w przyszły weekend i zobaczymy, na czym można by zaoszczędzić.

W następną niedzielę przejrzeni księgi rachunkowe Zainteresował się sprawami, które do tej pory go nudziły. Dla własnego dobra musiał zmienić swoje postępowanie. Ustalili, że Frazer powinien wstrzymać prace krajobrazowe w ogrodzie oraz instalowanie nowych łazienek. Ograniczy też wydatki na jedzenie i wino. Zostawi tylko kilkoro służących, choć do tej pory i tak miał ich niewielu.

Kilka dni później Frazer, idąc z Maksem do myśliwskiego domku, opowiedział mu o ostrzeżeniu od pana Whipple'a.

– Obawiam się, że to koniec wina i kwiatów. Będziemy musieli obejść się bez szampana i cygar – dodał ponuro.

– Do diabła – powiedział Maxwell. Rozpostarł ramiona i wskazując otaczające ich góry, dodał: – To wszystko należy do

ciebie. Jakoś chyba wyciągniesz z tego pieniądze.

Prawdę mówiąc, Frazer nie wiedział, jak to zrobić. Jeżeli podwyższy dzierżawcom czynsz, będą jeszcze bardziej narzekać. Sześć mniejszych gospodarstw stało pustych od lat, kilka kamienistych hektarów porosło pokrzywami i krostawcami. Nikt nie chciał uprawiać tak nieprzyjaznego gruntu, wszyscy młodzi, ambitni i silni dawno wyjechali do miasta.

Wiele ze znacznych rodzin szkockich musiało wyprze dać ziemię i ogłosić bankructwo. Można było przeczytać o tym w gazetach. Całe połacie ziemi szły pod młotek. Fortuny topniały, zwolniona służba musiała sama się o siebie zatroszczyć. Dlaczego inaczej miałoby być z Ravenhartami? Postanowił jednak się nie poddawać i uczynić wszystko, aby uchronić Ravenhart House przed takim losem. Wzrok Frazera powędrował ku oknu między drzewami, przez które widać było dolinę i kontury myśliwskiego domku. Pośród ciemnych ścieżek leśnych po bokach doliny uchwycił ruch. To stado jeleni wyszło z ukrycia.

Jelenie, pomyślał. Przecież w lesie żyło wiele jeleni. A w rzece łososi i pstrągów. W jego umyśle właśnie zrodził się pomysł. Znajomi przyjeżdżaliby do Ravenhart House na ryby albo polowania, czy choćby wędrowki po górach. W domu nie brakowało wolnych pokoi. Był też domek myśliwski. Z pomocą Maksa mógłby w ciągu miesiąca lub dwóch doprowadzić wszystko do porządku. „Jakoś chyba wyciągniesz z tego pieniądze”. W końcu zaczął się rysować konkretny plan. Frazer się zastanawiał, jaki dochód przyniosłoby mu wydawanie koncesji na łowienie ryb i jaki byłby koszt odtworzenia wrzosowiska dla ptactwa łownego. Goście mogliby nocować w domku myśliwskim lub w zamku. Czy zniósłby obcych w Ravenhart House? Wołał już to niż jego utratę.

Maxwell od dziecka nie chciał brać udziału w życiu rodzinnym. Nieustannie korzystał ze swoich kryjówek: kredensu pod schodami i kępy drzew w kącie ogrodu. Gdy podrósł, wyobrażał sobie, że chowa się do łóżka przeznaczonego dla gości, wyobrażał też sobie swój własny pokój na poddaszu, gdzie stoi jego własne biurko i schludne rzędy książek ustawionych wzdłuż ścian. Za to w domu, który zajmował w Ravenhart, panował wieczny bałagan i nic nie było poukładane. Nawet, gdy już posprzątał, wystarczyło, żeby Naomi choć raz tam weszła, a wszystkie starania Maxwella szły na marne. Znow wszędzie porozstawiane były brudne naczynia, na półkach i stolikach stały lakiery do paznokci i kremy, leżały grzebienie, chusteczki, czasopisma i wzory robótek im drutach. Gdy zwracał jej uwagę na ten nieład, od razu narzekała na brak służącej. Nie zauważała faktu, że nawet gdyby ktoś zgodził się pracować w tej głuszy, to i tak nie stać ich było na służącą. Ledwie starczało im pieniędzy na grzanki z serem i omlety, jedyne potrawy, które Naomi potrafiła przygotować. Maxwell nie miał za złe monotonii diety, nigdy nie dbał o to, co je. Wkrótce jednak konsystencja bladej masy na omlety i kwaśny zapach sera zaczęły przyprawiać go o mdłości. Cały czas bolała go głowa. Zdawał sobie sprawę, że to przez alkohol i że oboje powinni przestać tyle pić. Jednak wyrzuty sumienia dotyczące żądań Naomi, których nie mógł spełnić, potrafił zagłuszyć jedynie alkoholem. A ona domagała się jego niepodzielnej uwagi, nowych ubrań, rozrywek i wyprowadzki z tego odludzia, musiał więc nieustannie się znieczulać.

Ciągle też nie mógł skończyć powieści. Napisał już trzy czwarte i zaciął się. Doszedł do niewidzialnej ściany. Wątki się rozpierzchnęły, postaci zrobiły bezbarwne. Nowe strony zazwyczaj wyrzucał do kosza, stwierdzając, że były do niczego.

Z czasem zaczął wynajdywać sobie inne zajęcia, byleby tylko nie wracać do powieści. Jakby brak pomysłu na jej zakończenie stanowił ocenę Maksa jako pisarza. Potrzebując pieniędzy dla Naomi i dziecka, pisał stopy artykułów do gazet, ale słowa Frazera „Nigdy jej nie skończysz” przypominały, że i ojciec miał go za nic niewartego pasożyta”. Początkowo nie przywiązywał do tego wagi, a nawet wykorzystywał gniew ojca przeciwko niemu. Jednak ostatnio zaczęło mu to dokuczać.

Sądził, że potrafiłby przełamać niemoc, gdyby tylko mógł pracować w ciszy i skupieniu. Jednak nie miał takiej atmosfery w domu. Naomi to nalegała na wyjazd do Edynburga na weekend, to do Londynu. W stolicy zatrzymywali się u jej podejrzanych, bogatych przyjaciół. Chodzili też na przyjęcia, które kończyły się o świcie wraz z odejściem ostatnich gości, znikających w czarnych taksówkach lub rozplywających się w pomarańczowo-szarej porannej mgle. Wraz z ożenkiem zniknął spokój, który Maxwell znalazł w Ravenhart. Wizyty przyjaciół i krewnych Naomi sprawiały, że dom wypełniał się hałasem i niepokojem, a cicha przystań w wieżycze zniknęła przywalona stosami bagaży i płaszczy. Wszyscy oczekiwali jego obecności. Pod różnymi pretekstami uciekał do Edynburga. Tam przesiadywał w ulubionych kawiarniach i pubach, spotykał się ze starymi przyjaciółmi.

Max był nawet gotów odejść od Naomi choćby jutro i zakończyć to wszystko. Postarałby się wytłumaczyć jej, że nie pasują do siebie. Nie mógł tego jednak zrobić ze względu na dziecko. Czasami myślał o tym, że jest ojcem, przerażała go. Jedynym wzorem ojcostwa był dla Maxwella własny ojciec. Gdy znów innym razem myślał o dziecku, był podekscytowany i radosny. To wielka rzecz dać życie nowemu człowiekowi i stworzyć dobrą rodzinę – lepszą od tej, którą opuścił. Przecież nie musiał powtarzać starych błędów. Dziecko stwarzało szansę

na nowy początek, na potwierdzenie własnej wartości.

Ostatnio raz czy dwa razy wylądował w łóżku Jenny Watts, dawnej kochanki z kawiarni „Two Magpies”. Czuł się winny, ostatecznie przysięgę małżeńską złożył ledwie pół roku temu. Jednak w zadymionej i przepełnionej zaduchem farb pracowni Jenny odzyskiwał spokój. Ona pracowała przy sztalugach, a Maxwell czuł, że wszystko wróciło do normy i pisanie książki nagle przestawało sprawiać mu trudność. Wciśnięty w kąć zniszczonej kanapy, z papierosem w ręce i czarną kawą w zasięgu dłoni znów mógł tworzyć. Opowiedział jej o dziecku i mieszanych uczuciach, jakie w nim budziło: optymizmie, strachu i radości.

Był jeszcze Frazer, od którego było uczucie niespełnionych oczekiwań i niecierpliwości. Podarował im dom i fakt ten zachwiał delikatną równowagę między nimi Maxwell wziął zbyt wiele, by mógł się kiedykolwiek od płacić. Nie byli już sobie równi, Maxwell stał się zależnym od triumfującego moralnie Frazera. Przyjaźń zniknęła pod ciężarem zobowiązań. Frazer zawsze był trochę arogancki, jego protekcyjnalne zachowanie ostatnio zabarwiło się pretensją. Wierzył, że Maxwell jest mu coś winien, że jest do czegoś zobowiązany. Miał poświęcać mu swój czas i uwagę, zabawiać go. A to przychodziło Maxwellowi z trudem i było możliwe tylko wtedy, gdy się upił.

Coraz częściej Maxwell czuł się uwięziony w pułapce między żoną a przyjacielem. Ten sam Maxwell, który nie wierzył w miłość, teraz był przez nią rozdarty na dwoje. Zastanawiał się, czy uczucie, które żywił do Naomi – ta dzika namiętność naznaczona czasami przez irytację, a czasami przez czułość – była miłością. Budził się rano i patrzył na żonę, jak śpi i jak jej pierś wznosi się i opada. Wydawała mu się we śnie młodsza i bardziej bezbronna. Ta czułość zniknęła jednak w ciągu dnia. Gdy byli w towarzystwie, czuł na sobie jej wzrok,

pelen ognistej zazdrości. Nie mógł rozmawiać z inną kobietą, nawet popatrzeć na inną, gdyż Naomi natychmiast stawała się złośliwa. Robiła sceny, uciekała się do wszystkiego, byle tylko zachować swą niezachwianą pozycję. Uwielbiała konflikty wzniesła je i kierowała nimi. Aby kogoś poznać, musisz z nim żyć – pomyślał.

Kate i Pearl, która zarabiała na życie szyciem, chodziły w weekendy do Hammersmith Pałace na dancing. Do tańca zapraszali je młodzi mężczyźni w tanich garniturach z przylizanymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Dookoła błyskały światła. W powietrzu unosił się zapach papierosów i tanich perfum. Muzyka pulsowała w lokalu, przenikając przez ściany. Kate się tu podobało.

W długi weekend Kate pojechała do Edynburga. Zastała matkę zmęczoną i niespokojną. Po kolacji Martin pracował w gabinecie nad książką. Pewnej nocy Kate, nie mogąc spać, poszła do kuchni przygotować kakao. Zza drzwi gabinetu ojczyrna zauważyła smugę światła. Pomyślała, że książka, jej ukryte tajemnice i podziemne tunele stały się kryjówką Martina przed światem. Kate nie zostawała w domu zbyt długo. Czuła się tam nieswojo, wbrew sobie wracając w czasy dzieciństwa, z których wyrosła. Na początku cieszyła się ze spotkania i możliwości nocowania w swoim starym pokoju. Szybko jednak zaczynała się dusić domową atmosferą. Z poczuciem ulgi wsiadała do pociągu. Przyciskała twarz do szyby, machając ręką na pożegnanie malejącej na peronie rodzinie. Cieszyła się z powrotu do Londynu, choć rozstanie z najbliższymi powodowało smutek i wyrzuty sumienia. Wyjazdom z domu zawsze towarzyszyła huśtawka uczuć.

Któregoś dnia, kiedy Oliver poprosił ją o opiekę nad dzieckiem, wzięła na ręce zapłakanego Stephena. Tuląc go,

poczuła zapach rozespanego, ciepłego dziecka, zapach mleka i talku. Przytuliła twarz do jego aksamitnego policzka. Od razu przypomniała sobie odcinające się czarnymi jak sadza łukami od białej skóry rzęsy Rebecki i karmienie mlekiem z butelki maleńkiej Aimée. Pamiętała też bąbelki mleka zbierające się w kącikach ust siostrzyczki.

– Kiedy jestem daleko, tęsknię za nimi – zwierzyła się pewnego wieczoru Oliverowi. – A gdy jestem z moimi siostrami, to tylko mnie denerwują.

– Jak to w rodzinie, Kate – skwitował kwaśno. – Jak to w rodzinie.

Żona Olivera, Jane, była pianistką. Gdy po raz pierwszy ją zobaczył, grała Chopina w Wigmore Hall. Na fortepianie w salonie domu Olivera stał portret Jane, ni którym jej pociągłą, spokojną twarz okalały proste, miękkie włosy spięte diamentową klamrą. Na innej fotografii Jane stała przy kręconych schodach w ogrodzie – ubrana była w ciążową koszulę i przyciskała do siebie naręcze kwiatów. Wyglądała na zamyśloną i zatroskaną, jakby przeczuwała, jak wysoką cenę przyjdzie jej zapłacić za miłość.

„Taka słodka i naiwna, ostatnia dziewczica w Pimlico” Słowa Billy’ego ciągle sprawiały ból. Kate nie chciała już być naiwnym i słodkim dziewczęciem, jakim była, gdy się zakochała w Maxwellu Gilchristie. Zbyt dużo czasu zajęło jej dojście do wniosku, że Max całował ją po prostu dlatego, że się znalazła pod ręką. Zabawiałby się tak z każdą dziewczyną, która by na to pozwoliła. Być może było to oczywiste, ale nie dla Kate. Niewiedza nie dawała szczęścia, przyniosła wyłącznie upokorzenie i pozbawiła Kate możliwości obrony.

Chłopcy zabierali ją do kina i zapraszali na kolacje w kawiarniach. Żaden z nich nie wzbudził w niej miłości. Niektórych polubiła jednak na tyle, aby się z nimi całować i

chodzić za rękę. Gdzieś na strychu jednego z domów położonych na nabrzeżu Tamizy straciła dziewictwo. Była zdenerwowana, gdy kochanek zdejmował z niej ubranie. Bała się, że coś się nie powiedzie, że nie podola i rozczaruje partnera. Mgła zasłoniła nagie okna, płomień z gazowej lampki strzelał i syczał, a jej kochanek całował piersi Kate, jej pępek i brzuch. Gdy było już po wszystkim, zapalił dwa papierosy i podał jej jednego. Pałac, leżeli na stercie koców i prześcieradeł. To właśnie najbardziej się Kate spodobało: leżała w objęciach kochanka i słuchała dźwięku ostrzegawczych syren, które dobiegały z płynących rzeką statków. Kate czuła rozpieszczającą ją radość. Wreszcie stała się kobietą. Przekroczenie granicy między dziewczyną a kobietą było dla Kate zwycięstwem. W końcu miała to już za sobą.

W gazetach pojawiły się zdjęcia z Guerniki, baskijskiego miasta na północy Hiszpanii, zbombardowanego przez Niemców. Kate patrzyła na posępne ujęcia zburzonych domów, zatrzymując wzrok na stertach cegieł, szmat i gruzów, z których wystawało coś podłużnego, kawałek drewna a może ludzka ręka? Jadła grzanekę i popijała ją kawą, siedząc z Billym późną nocą, gdy zapytała:

– Czy uważasz, że źli ludzie są silniejsi, zawsze znajdą na wszystko sposób? Sądziś, że zło zawsze wygra z dobrem?

Zaskoczony Billy ziewnął.

– Rany, Kate! Nie mam pojęcia. Cóż to za pytanie? Czy nie możemy pogadać o czymś... zabawniejszym? – Potarł oczy i dodał ponuro: – Znając mojego pecha, Hitler zaatakuje, gdy będę miał swój pierwszy solowy występ. Mój pierwszy sukces zostanie zniweczony.

Kate zadała to samo pytanie Oliverowi, przygotowując u niego niedzielny obiad. Po pieczonej jagnięcinie Stephen zajadał

krem z banana, a Kate i Oliver pochłaniali orzechową tartę, którą pan domu przywiózł z Francji. Krojąc ją, Oliver zapytał:

– Silniejsi? W jakim sensie?

– Żli ludzie nie mają żadnych zahamowań. Robią, co chcą. Dobrzy zawsze się zastanawiają nad konsekwencją mi swoich uczynków.

– Chodzi o to, że dobrzy ludzie kiedyś przestaną rozmyślać i poczują, że nie mają już nic do stracenia – po wiedział wolno Oliver.

– Co zrobisz, jeśli wybuchnie wojna?

– Nie wiem. – Oliver karmił synka bananowym kremem. – Mogę nie mieć dużego wyboru. Nikt z nas może nie mieć wyboru. Wyślę Stephena na wieś, jak sądzę. Je żeli Londyn zostanie zbombardowany...

Przebijające się przez liście glicynii promienie słońca tworzyły grę cieni na podłodze w kuchni. To niegodziwi i zadziwiające, że za kilka miesięcy lub lat dopadnie ich śmierć, a teraz siedzą bezpieczni w kuchni Olivera, jedząc orzechową tartę i tylko rozmawiają o wojnie. Wokół unosił się zapach kwiatów i ciasta orzechowego.

– A ty Kate, co byś zrobiła?

– Wstąpiłabym do kobiecych oddziałów pomocniczych – odparła bez namysłu. Własne oświadczenie zadziwiło ją. Czują jednak, że musi przeciwstawić się tyranii.

– Bravo! – Wstawił miseczkę syna do zlewu i dodał: Będę za tobą tęsknił.

– A ja za tobą. I za Stephenem.

Oliver stał oparty o zlew, ręce trzymał w kieszeniach marynarki i patrzył na Kate.

– Będzie mi brakować wszystkich moich przyjaciół, ale ciebie najbardziej.

Kate stanęła na szczycie kręconych schodów, odwróciła się i

zapytała nieswoim głosem:

– Dzień jest taki piękny. Może wypijemy kawę na dworze?

Siedzieli już w ogrodzie, gdy pojawiła się Margot otoczona chmurą perfum „Tweed”. Z jej kapelusika sterczały niebieskozielone pióra.

– Pomyślałam, że zajrzę do ciebie po drodze do domu. Podniosła Stephens z trawy i pocałowała go. – Nie powinieneś teraz spać, młody człowieku? Oliver, czy Stephen nie powinien się zdrzemnąć?

– On już tego nie potrzebuje. Siedzi tylko w łóżeczku i mówi do siebie. Równie dobrze może to robić tutaj.

– Wygląda na zmęczonego.

– Ma trzy latka – odparł Oliver stanowczo. – Nie jest już niemowlęciem, Margot. To już mały chłopiec.

– Oczywiście – potwierdziła szybko Margot. – To straszne, że Jane nigdy już... – Odwróciła się i wytarła nos.

Oliver objął Margot ramieniem. Kate wróciła do mieszkania i pozbierała swoje rzeczy. Wychodziła już przez sklep, gdy dogoniła ją spuchnięta od płaczu Margot.

– W którą stronę pani jedzie? Może podwieźć panią, panno Fearnley?

– jadę do Pimlico. Proszę się nie fatygować, pani Stockton.

– Ależ skąd, to po drodze. – Margot zaglądała przez szybę do auta. Na przednim siedzeniu pasażera leżał zwinięty w kłębek terier. – Nie będzie pani miała mi za złe, jeśli zaproponuję pani, siedzenie z tyłu auta? Tommy jest nieznośny, gdy się go obudzi.

Margot fatalnie prowadziła samochód. Skrzynia biegów zgrzytała, silnik się dławił, samochód startował na skrzyżowaniach z ogromną prędkością i pokonywał zakręty z piskiem opon. Rzuciła w stronę Kate uwagi przez ramię, za każdym razem podnosząc głos, by przekrzykować silnik.

– Oliver świetnie sobie radzi ze Stephenem, prawda? Na

początku było mu ciężko, to trudne zadanie wychowywać dziecko. Szczególnie samotnemu ojcu.

– Stephen to słodki chłopczyk – odpowiedziała Kale – Prawda? I rozwinięty jak na swój wiek. Jestem pewna, że zostanie muzykiem, jak jego mama. – Margot wypadła z impetem ze skrzyżowania w niewidzialną lukę między samochodami. Rozległ się pisk opon hamujących gwałtownie samochodów, po którym odezwały się klaksony.

– Ta przyjaciółka Olivera, panna Fisher...

– Peggy?

– Nie wie pani, czy długo się znają?

– Myślę, że pół roku.

– Och! – W głosie Margot zabrzmiała dezaprobata i podejrzliwość. – Oliver nie wspominał, jak się poznali?

– Peggy chciała wypożyczyć do przedstawienia stylowe meble. Ktoś jej polecił sklep Olivera. Peggy zaprosiła Olivera na obiad w dowód wdzięczności. – Współczując Margot, dodała: – Peggy ma wielu przyjaciół wśród mężczyzn. Zależy jej jednak wyłącznie na balecie.

Na ostry dźwięk klaksonu, jadący przed nimi rowerzysta zachwiał się niebezpiecznie.

– Nikt nie zajmie miejsca Jane – powiedziała Margot, – Tak bardzo się kochali. Oliver uwielbiał Jane od chwili, gdy tylko ją zobaczył. Była jedyna w swoim rodzaju piękna, utalentowana i dobra. Nie spotyka się wielu takich osób w życiu.

Kate patrzyła na ludzi podążających spieszenie chodnikiem. Margot znów przekrzykiwała silnik:

– Gdy Stephen był mały, zastanawiałam się, czy Oliver znajdzie sobie kogoś.

– Kogoś? – powtórzyła Kate.

– Może wdowę? Oczywiście, byłoby to małżeństwo z rozsądku. On nigdy nie pokochałby innej kobiety. Teraz sędzę

jednak, że nie zniósłby opieki innej kobiety nad dzieckiem Jane. To by było dla niego zbyt bolesne.

Kate uświadomiła sobie, że to ostrzeżenie. Margot ostrzegła ją, by nie wiązała się z Oliverem. Opanowała śmiech, przygryzając wargę. Margot chyba sądziła, że Kate podkochuje się w starszym od siebie o dziesięć lat mężczyźnie, który żył w sympatycznym nieładzie i którego bardzo lubiła. Jednakże myśl o pokochaniu Olivera wydała się Kate niedorzeczna. Nie ma na to szans. Nie jest w jej typie.

Rozbawienie towarzyszyło Kate do chwili, gdy znalazła się w swoim pokoju. Usiadła na łóżku i rozejrzała się wokół. Patrzyła na książki, rodzinne fotografie, kolekcję kapeluszy i roślinę w doniczce na parapecie okna. Myślami wróciła do dnia, w którym Naomi Jennings przyjechała do Ravenhart House. Wspomniła dziką euforię, którą czuła rankiem, gdy jej usta były jeszcze spuchnięte od pocałunków, a ciało rozbudzone dotykiem Maxwella Gilchrista. Wspominała, jak podczas powrotnej wędrowki z domku myśliwskiego dolina i bagnisko wydawały jej się pełne życia, a otaczające ją powietrze aż iskrzyło od wydarzeń ostatniej nocy. I jak oszukiwała się po tym, kiedy między Naomi i Maksem coś się zaczęło już przy ich pierwszym spotkaniu, że ciągle jest nadzieja, choć ona nigdy nie istniała. Pragnęła mężczyzny, który jej nigdy nie kochał i nie pokocha. Zasłoniła twarz dłońmi i czuła, jak łzy spływają między pakami. To nawet nie był romans – ot, zaledwie uścisk dłoni na stacji kolejowej, krok w ciemnościach na dachu oświetlonym gwiazdami, kilka pocałunków. Drobiazg, a bolał tak mocno. Dlaczego tak ją to pochłoneło? Zdawała sobie sprawę, że nie ma szans na to, by się zakochać w Oliverze Colefaksie, tak samo, jak nie było szans na to, aby pokochała któregokolwiek z młodzieńców spotkanych w teatrze czy w Hammersmith Palais. Sądziła, że nie jest zdolna do miłości,

namiętności, że straciła po temu predyspozycje. I nic była pewna, czy kiedykolwiek je odzyska.

Na miesiąc przed planowanym porodem Maxwell za brał Naomi do Edynburga. Kupili kosz dla dziecka, wózek, prześcieradełko, kocyki i ubranka. Był wzruszony tym, że Naomi z ogromną przyjemnością wybierała malutkie, białe ubranka. Poznawał ją z nieznannej dotąd strony. Wszystko szło wspaniale. Obładowani zakupami wy pili herbatę u Jennersów. Mieli przenocować w domu Nialla i Barbary. Gdy do nich dotarli, Maxwell zobaczył ojca, stojącego przy kominku w salonie. Barbara zauważyła, że się cofnął, zaprowadziła go więc do sąsiedniego pokoju i wcisnęła wielką szklanę whisky w dłoń.

– Nie wiedziałam, że przyjdzie, przysięgam. Po prostu się zjawił, a Niall zaprosił go na obiad. – Popatrzyła na Maxwella i dodała: – Przykro mi, Max. Wytrzymasz?

– Mieszkałem z tym draniem pod jednym dachem przez osiemnaście lat. Jestem pewien, że wytrzymam tych kilka godzin – odpowiedział z uśmiechem wyłącznie dla tego, że lubił Barbarę.

Ku zaskoczeniu wszystkich ojciec w niezwykajny, miły sposób chwalił jedzenie, nie skrytykował nawet chybionego przez Nialla wyboru wina. Gdy siedząca przy Andrew Gilchrście Naomi dumnie wyliczała gazety i magazyny, z którymi Max stale współpracował, pisząc artykuły, jego ojciec skwitował krótko:

– Cieszę się, że się ustatkowałeś.

I w zdaniu tym Maxwell na próżno doszukiwał się sarkazmu. Później Naomi powiedziała z westchnieniem:

– Jakoś sobie radzimy, ale chcielibyśmy się przenieść do Edynburga. – Na twarzy Maxwella widać było napięcie.

– Do Edynburga? – powtórzył Andrew i podniósł się W krześle, by nałożyć sobie dokładkę puddingu. – Czemu nie? Tak się składa, że mam puste mieszkanie. Możecie się do niego wprowadzić.

Naomi rozpromieniła się.

– Dziękuję, ojciec – odezwał się szybko Maxwell – ale dobrze nam tam, gdzie mieszkamy teraz.

– Ależ Max... I – Już wystarczy, Mimi – przerwał jej.

Naomi otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Barbara szybko zaczęła opowiadać o swoich córkach. Maxwell spojrzął na Naomi. Była wściekła.

W sypialni Naomi wyrwała jedwabne kwiaty, które miała wpięte we włosy.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś!

– Co powiedziałem? – Maxwell leżał na łóżku W ubraniu.

– Odmówiłeś przyjęcia mieszkania, które ofiarował nam twój ojciec. – Nie mogła poradzić sobie z rozpięciem naszyjnika. Max podniósł się i jej pomógł.

– Mój ojciec nigdy niczego nie ofiarowuje. Zawsze jest cena, którą trzeba zapłacić. Wiedziałabyś o tym, gdybyś go dłużej znała.

Naomi odwróciła się do męża, miała pioruny W oczach.

– Nie dbam o to! Jestem gotowa na wszystko, byleby tylko uciec z tej dziury! Jak możesz być tak nieczuły? Jak możesz skazywać mnie na życie w nawiedzonym domu?

– Chryste! Nie zaczynaj na nowo – powiedział znużonym tonem Maxwell. I po chwili dodał z trudem: – Znajdę sposób, aby się wyprowadzić z Ravenhart, jeśli tak bardzo tego chcesz. Ale nie będę korzystać z pomocy ojca. Proszę, Naomi. – Pochylił się i pocałował ją w kark, ale odepchnęła go. Maxwell poczuł, że nie zniesie tego dłużej. Skierował się w stronę drzwi.

– Gdzie idziesz?

– Wychodzę. Nie mam nastroju.

– Nie waż się zostawiać mnie samej! – krzyknęła piskliwie, gdy drzwi zatrzasnęły się za nią. Jeszcze usłyszał, jak coś uderzyło w drzwi z drugiej strony. Pewnie but albo słoiczek z kremem.

Naomi nie odzywała się do niego, gdy następnego dnia wracali do domu. Wyczuwał jednak, jak bardzo była spięta. W domu nalała sobie drinka, zanim zdążył wypakować bagaże.

– Biedne diablątko, przyjdzie na świat skacowane skomentował.

– Zamknij się Max – wysyczała. – Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się!

Maxwell poszedł na górę do pokoju w wieży. Pisanie było dla niego mordęgą. Oparł głowę na ramieniu i nic oczekiwanie zapadł w sen. Obudził go odgłos zapalnego silnika samochodu. Wyrzwał przez okno i zobaczył Naomi za kierownicą lincolna. Wybiegł na zewnątrz, wołając ją, ale auto nie zwolniło i wyjechało przez bramę. Było już ciemno i mocno padał deszcz. Na drogach leżało śliskie, mokre błoto. Gdy Maxwell wrócił do domu, zauważył na stoliku butelkę ginu. Poczul zimny dreszcz i ogarnęło go złe przeczucie. Chwycił płaszcz, latarkę i wybiegł przez bramę. Już tylko mżyło. Biegąc poboczem, przeczesywał mrok. Naomi nawet na trzeźwo nie powinna siadać za kierownicą. Była nieobliczalna i uwielbiała szybką jazdę. Maxwell nie mógł przypomnieć sobie, czy włączyła światła. Oczami wyobraźni widział czołowa zderzenie albo auto wypadające z krętej, wąskiej drogi i rozbijające się o skały. Wychodząc zza zakrętu, zobaczył samochód. Stał w poprzek drogi z przednimi kołami wbitymi w zarośnięte pobocze. Maxwell zaczął biec. Otworzył drzwi kierowcy i aż jęknął na widok Naomi osuwającej się na ziemię.

– Max... – wyszeptała oszołomiona i drżąca.

Wyciągnął ją z auta. Nawet nie miała na sobie płaszcza. Z jakiegoś powodu wzbudziło to w nim gniew. Zaczął krzyczeć:

– Ty głupia suko! Co ty zrobiłaś?

– Chciałam uciec od ciebie, Max. Nienawidzę cię! – Biła go pięściami w piersi.

– Mogłaś się zabić!

– Wszystko mi jedno! Już lepiej, żebym nie żyła! Ty innie nie kochasz...

Słowa rozmyły się we łzach. Naomi płakała, spazmatycznie łkała i przejmująco zawodziła. Patrzył na nią wstrząśnięty, po czym objął mocno i gładził po włosach. W ciągnącej się w nieskończoność chwili nieco się uspokoiła i oparła o niego. Max poczuł dziecko między nimi. Już nie szlochała i przestała drżeć. Mógł bez obawy zostawić Naomi na poboczu otuloną jego płaszczem, a samemu ustawić auto na skraju drogi. Maskę samochodu była wgnieciona. Wrócili do domu pieszo.

Frazer sporządził listę spraw do załatwienia, umieszczając na początku najważniejsze rzeczy. Chciał zacząć od przeczyszczenia kominów, żeby dom się nie zajął ogniem, a goście nie dostali zapalenia płuc, nocując w wyiębionych sypialniach. Planował otworzyć Ravenhart Hause dla gości późnym latem, na początku sezonu łowieckiego. Musiał jak najszybciej zdobyć pieniądze, posiadłość powinna zacząć przynosić dochód zamiast pochłaniać wszystkie środki finansowe. Wprowadzenie planu w życie okazało się jednak trudniejsze, niż się spodziewał. Niezwykli wyczerpującym i długotrwałym zadaniem było znalezienie godnej zaufania ekipy budowlanej z malarzami i dekoratorami. Mieszkańcy wioski okazali się nagle bardzo zajęci. Kominiarza znalazł dopiero w Pitlochry, a krawcową, która pomogłaby jego matce w naprawie podziurawionych przez mole zasłon, aż w Braemar. Spodziewał

się, że Maxwell pomoże mu odnowić domek myśliwski. Ale na niego też nie mógł liczyć. Kiedyś tolerował spóźniałstwo przyjaciela, które nawet miało swój wdzięk. Teraz prosił tylko o trochę ciężkiej pracy i wydawało mu się, że to nic w porównaniu z tym, co zrobił dla niego. Jednak Max najwyraźniej wolał brać niż dawać. Gdy doszedł do tego wniosku, zrobiło mu się przykro i poczuł się upokorzony.

Domek myśliwski był już prawie gotowy. Poprzedniego lata załatali dach, a Frazer własnoręcznie naprawił komin, który w końcu działał właściwie. Kamienne płyty na podłodze prezentowały się nie najgorzej. Frazer przekonał też szklarza, płacąc mu nieco więcej, aby ten zataszczył narzędzia ścieżką wzdłuż potoku i wymienił w dom ku okna. Maxwell obiecał pomóc przy wymianie desek podłogowych na piętrze. Praca była nie do wykonania dla jednej osoby. W dniu, w którym się umówili, Frazer zjawił się na miejscu wcześniej. Ponieważ Maxwell jeszcze nie przyszedł, zaczął sam. Sądził, że lada chwila nadejdzie. Na próżno go wypatrywał, Max w ogóle się nie pojawił. Taszcząc deski po stromych, wąskich schodach, Frazer czuł bezsilny gniew. Po południu był już tak zmęczony, że nie mógł się skupić i uderzył młotkiem w kciuk. Zacisnął z bólu powieki. Po chwili paznokiec zaczął czernieć. Schodząc ze schodów, przypomniał sobie te wspaniałe chwile spędzone tu wraz z Kate i Maxwelllem. Ogarnął go żal. Tęsknił za słodką i spokojną Kate, której miejsce zajęła wiecznie czepiająca się go Naomi, rzucająca niemiłe, znaczące spojrzenia.

Frazer wrócił do domu, gdzie pełna współczucia Phemie opatrzyła mu palec. Połknął dwie aspiryny i spostrzegł, że nie ma już papierosów, pojechał więc do wioski. Kiedy wychodził ze sklepu, zauważył Maxwella, który stał po drugiej stronie ulicy. Frazer z wściekłością stwierdził, że przyjaciel wygląda na zadowolonego z siebie. Maxwell pomachał ręką i spokojnym

krokiem przeszedł przez jezdnię.

– Co się z tobą, do diabła, działo? – zapytał gniewnie Frazer, a Maxwell patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Co się stało? O czymś zapomniałem?

– Miałeś pomóc mi w domku myśliwskim.

– Och! – Maxwell uśmiechnął się swoim czarującym uśmiechem. – Przepraszam, wyleciało mi z głowy. – Po czym zmarszczył brwi i zaczął: – Frazer...

– Słucham.

– Czy mógłbyś podwieźć mnie do domu? Mam wóz w warsztacie, a dziś jest kiepska pogoda...

– Czasami myślę, że mógłbym cię zabić! – wysyczał Frazer i Max przezornie cofnął się o krok.

– To nic, pójdę pieszo – powiedział i odszedł w deszczu.

Frazer zaklął i wtedy zauważył Ronalda Baina, który obserwował ich, stojąc zaledwie kilka kroków dalej.

– Podobało się przedstawienie? – warknął Frazer i wszedł do samochodu.

– Okropna pogoda – powiedział Maxwell.

– Pewnie myślisz, że to też moja wina? – Naomi odwróciła się do męża, gdy ten wszedł do kuchni. Maxwell głęboko wciągnął powietrze i zdjął przemoczony płaszcz. Najpierw Frazer, a teraz Naomi. Tego ranka skończył pisać powieść. Był w euforycznym nastroju, poczuł praw dziwą ulgę.

– Raczej nie. Chyba, że masz znajomości wśród bogów – rzucił lekko.

– Miałam na myśli samochód – wyjaśniła Naomi, stojąc przy zlewie i obierając ziemniaki. – Gdzie byłeś?

– Poszedłem do wioski. Dzwoniłem do warsztatu.

– Och! Czy już naprawili auto?

– Jeszcze nie. Muszą ściągnąć jakąś część z Glasgow.

– Spotkałeś kogoś w wiosce? – W głosie Naomi wyczuł niepokój.

– Tylko Frazera. – Maxwell nalał sobie drinka.

– A dla mnie? Nie poczęstujesz mnie? – spytała, nieruchomiejąc. W tej samej chwili ziemniaczana obierka ode rwała się od noża i spadła do wody.

Maxwell zobaczył pustą szklaneczkę na parapecie okna. Zauważył też, że Naomi musiała stać odsunięta od zlewu ze względu na brzuch. Gdy nastawiała ziemniaki, trochę wody rozlało się na podłogę.

– Myślałem, że już nie będziesz pić.

– Tak. I przez cały tydzień nie piłam. Ale czuję się dzisiaj podle przy tej pogodzie, zupełnie sama w tym okropnym domu.

– Pomachała mu szklaneczką przed nosem. Zniżyła głos, miękko i prosząco zamruczała: – Max, nalej mi jeszcze. Nie odmówisz, prawda? Nigdy przecież nie odmawiasz drinka... papierosów... seksu... – Maxwell napełnił szklaneczkę Naomi. – Do dna. – Opróżniła jednym haustem i oparła się o zlew. – Tak lepiej – powiedziała, przymykając oczy. Po czym wyciągnęła rękę ze szklanką w stronę Maxwella: – Jeszcze raz, kochanie.

– Nie sądzę...

– Jeszcze raz! – Chwyciła butelkę i nalała sobie. Maxwell musiał wyjść z kuchni, ale gdy doszedł do drzwi, usłyszał jej szept: – Nie idź. – Zatrzymał się i stał plecami odwrócony do żony. – Proszę, Max.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Miała podkrążone oczy i bladą, mizerną twarz. Wzruszył ramionami.

– Czy jesteś pewna, że chcesz, abym został? Chyba ci tylko przeszkadzam.

– Przepraszam – powiedziała ze łzami w oczach. Przygryzła wargę i żałośnie zapłakała: – Chciałam przygotować smakowity obiad, ale wszystko popsulałam. – Wyciągnęła do niego ramiona.

– Kochanie! Proszę, przytul mnie.

Trzymając Naomi w objęciach, Maxwell przypomniał sobie, dlaczego tak bardzo mu się spodobała, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w Ravenhart House. Aksamitna skóra i gęste ciemne włosy, sposób, w jaki się poruszała – całą sobą zapraszała do seksu. Nawet teraz, gdy była w ósmym miesiącu ciąży, w brudnym fartuchu, i zalatywało od niej alkoholem, Maxwell jej pożądał. Całowali się przez chwilę, po czym Naomi zapytała podekscytowanym głosem:

– Pojedźmy do Londynu, Max. Moglibyśmy zatrzymać się u Tessy i Juliana. Tyle czasu już minęło od ostatniej wizyty w Londynie. Pojedźmy jutro.

– Jutro nie pojedziemy. – Pokręcił głową. – Może za tydzień. Muszę przepisać na maszynie ostatnią część powieści i obiecałem Frazerowi pomóc w domku myśliwskim.

– Frazer. – Naomi skrzywiła się z dezaprobatą. – Ja chcę jechać teraz. Dlaczego muszę czekać przez Frazera? – pytała rozdrażniona jak małe dziecko, któremu odmówiono zabawki.

– Choćby dlatego, że dzięki niemu mamy dach nad głową – odparł zirytowany. – Na miłość boską, przecież proszę jedynie o tydzień.

Naomi wyjęła miskę z jajkami ze spiżarni. Maxwell patrzył, jak rozbija skorupki. Uderzała nimi o krawędź i żółtko z białkiem wpadały do glinianego naczynia wraz z kawałkami skorupki. Ruchy Naomi były niezdarne i niepewne, wyglądała, jakby źle się czuła. Maxwell nic okazał zniecierpliwienia i chcąc być miły, zaproponował:

– Usiądź i odpocznij. Przygotuję herbatę. Jesteś zmoczona.

W odpowiedzi i bez jakiegokolwiek uprzedzenia Naomi rzuciła w niego miską z jajkami. Max się uchylił i na czynie rozprysło się za nim na ścianie, zostawiając żółty ślad.

– Zmoczona? – wrzasnęła. – Chciałeś powiedzieć brzydka.

Biedna Naomi, gruba i brzydka Naomi! Nie dziwnego, że nie możesz znieść mojej obecności!

– Nie. – Wiedział, że nie powinien więcej mówić, ale nie mógł się powstrzymać. – To nie twój wygląd sprawia, że chcę uciec, ale twoje zachowanie.

– Moje zachowanie? Krytykujesz moje zachowanie? – Rzuciła się w jego stronę, nie zważając na kawałki rozbitego naczynia i kleistą masę na podłodze. Patrzyła na Maxwella zmrużonymi w złości oczami: – Masz tupet. A ty? Nie zachowujesz się przecież jak harcerzyk. A co tam słyhać u naszego przyjaciela Frazera? Naszego drogiego Frazerka?

– Zamknij się Naomi. – Max odsunął się od niej.

– Biedne maleństwo. – Nadąsała się i z udawaną sympatią sączyła jadowite słowa: – Nie chcesz o nim porozmawiać? Czy coś się stało? Sądzisz, że nic nie wiem? Sądzisz, że nie wiem, dlaczego mnie nienawidzi? Powiedzieć ci? Dlatego, że cię zabrałam. Biedny Frazer jest zazdrosny, prawda? To przez niego nie chcesz wyprowadzić się z tego okropnego domu, to przez niego...

– Powiedziałem, zamknij się!

– Dlaczego? Czyżbyś nie wiedział, Max? – Uśmiechała się triumfująco. – Nie wiedziałeś, że twój przyjaciel ma na ciebie ochotę?

Maxwell zacisnął pięści, przepchnął się obok Naomi i wypadł na podwórze. Deszcz ciągle padał. Wciągał głęboko w płuca zimne powietrze, szukając po kieszeniach papierosów. Doznał ulgi, gdy przestał słyszeć jej urągający ton. Po chwili Naomi go zawołała. Z początku zignorował ją, ale zawołała znowu i tym razem było w jej głosie coś, co sprawiło, że zajrzał do domu. Naomi siedziała przy stole zgarbiona i dłońmi obejmowała brzuch.

– Czulałam ból – powiedziała, patrząc na Maksa.

– Ból? – powtórzył, zastanawiając się, czy nie jest to kolejny wybieg, by zwrócić na siebie jego uwagę.

– A jeśli to dziecko? – wyszeptała. – Jeśli z nim dzieje się coś złego?

Była przestraszona i biała jak papier. Gniew minął i Maxwell też zaczął się bać. Wszedł z powrotem do kuchni i zaczął uspokajająco:

– To dlatego, że jesteś zmęczona. Nie powinnaś tak się denerwować. Gdybyś odpoczęła...

– Tak – przerwała triu, chwytając jego słowa jak koło ratunkowe. – Muszę odpocząć.

W sypialni Naomi leżała bez ruchu, a Maxwell otulał ją kołdrą. Wodziła za nim po pokoju ciemnymi, niespokojnymi oczami.

– Nie zniosłabym, gdyby coś się stało dziecku.

– Poproszę doktora MacBeana, żeby przyjechał. Na wszelki wypadek.

– Nie odchodź. – Wyciągnęła do niego dłoń, a on ujął ją odruchowo. – To, co powiedziałam... Przepraszani, Głos miała słaby, ledwo słyszalny. – Nie wiem, dlaczego mówię takie rzeczy. Nie powinnam tego robić, coś jednak mnie do tego zmusza. Chyba dlatego, że strasznie się boję ciebie stracić.

– Już dobrze. – Poglaskał ją po zmierzwionych włosach. – To nie ma znaczenia.

Zamknęła oczy i nie odzywała się przez chwilę. Max sądził, że zasnęła, ale powiedziała jeszcze:

– To przez ten dom. Muszę stąd wyjechać, Max. Muszę.

Przez następne dwa dni nad doliną szalała burza. Gdy trzeciego dnia się uspokoiło, Frazer po śniadaniu wyszedł z domu, przypominając Phemie, że jego matka ma przyjechać po południu.

Nad wzgórzami wisiały stalowoszare chmury. Strumień przybrał i woda pluskała, obmywając kamienie ułożone w poprzek nurtu. Stąpając po nich, Frazer miał wrażenie, że lśnią srebrzyście. Przeszedł na drugi brzeg i zauważył, że szyba w oknie koło wejścia do myśliwskiego domku jest zbita. Z początku pomyślał, że to jakaś gałąź oderwana przez wiatr uderzyła w okno. Popatrzył jednak na okna na piętrze i okazało się, że również tam szyby zostały wybite. Obszedł domek dookoła i stwierdził, że nie pozostała ani jedna nietknięta szyba. Podczas jego nieobecności ktoś zakradł się tutaj i wybił wszystkie. Frazer znalazł kartonowe pudło i zaczął zbierać do niego rozbite szkło. Podłoga w domku, nad którą tak się męczył jeszcze kilka dni temu, była mokra od deszczu. Gdy napełnił pudło, zaniósł je do stawu koło wodospadu. Stojąc na skalach otaczających staw, wysypał szkło w najgłębsze miejsce, tam, gdzie nie mogło zrobić nikomu krzywdy. Odłamki błyszczały w słabych promieniach słońca, wirując w wodzie i po chwili znikły w głębinie.

Dwa dni wcześniej doktor MacBean po zbadaniu Naomi poprosił Maxwella na stronę.

– Serce dziecka jest w porządku – stwierdził i Maxwell odczuł głęboką ulgę. Jednak po chwili lekarz dodał: – Ale pańska małżonka jest bardzo pobudzona. Obawiam się nawet, że to wyczerpanie nerwowe. U niektórych kobiet ciąża powoduje skłonności do różnych dziwnych fantazji. Po porodzie pańska żona z pewnością przyjdzie do siebie, ale teraz miałbym ją na oku. Może matka mogłaby przyjechać do niej. Ze względu na temperament pani Gilchrist nie powinna zbyt długo przebywać sama.

– Moja żona nie ma najlepszych stosunków ze swoją matką – powiedział Maxwell, odprowadzając doktora do drzwi – ale

postaram się coś wymyślić.

Teraz miał dwie możliwości: uciec lub zostać z Naomi i postarać się. Prawdę mówiąc, nie miał dokąd uciec. Musiałby też zacząć wszystko od nowa, piętrzyłyby się kłopoty z ludźmi, pieniędzmi, karierą i dokonywaniem wyborów. Poza tym było jeszcze dziecko. O niektórych rzeczach trudno tak po prostu zapomnieć.

Zostając z Naomi, musiałby się zgodzić na kompromis. Musiałby znaleźć źródło utrzymania dla całej rodziny. Skończy się życie z dnia na dzień, nie będzie więcej noclegów w łóżkach przypadkowych kobiet. Koniec z życiem na koszt przyjaciół. Musiałby spróbować stać się typowym przedstawicielem społeczeństwa, a nie był pewien, czy mu się to uda.

Musieliby też opuścić Ravenhart. Małżeństwo skazane byłoby na zagładę, gdyby dalej upierał się przy swoim.

Kłócili się dlatego, że Naomi piła, a piła dlatego, że była nieszczęśliwa. Częściowo z powodu tego domu. Awantura, którą rozpętała Naomi, przesądziła sprawę. Maxwell nie mógł już pozostać w Ravenhart. Zawsze czuł, że za sympatią Frazera jest coś więcej niż zwykła przyjaźń. Znał takich mężczyzn ze szkoły, czułych dla przedstawi cieli własnej płci. Zawsze zaskakiwała go niechęć, z jaką inni podchodzili do takich spraw. Maxwell nie kierował się jednak moralnością innych ludzi. Szukał nowych do świadczeń nawet wtedy, gdy go przerażały. I chociaż seks sprawiał mu ogromną radość i bardzo źle się czuł, jeżeli z jakichś powodów go zabrakło, to nigdy nie uważał go za rzecz najważniejszą. Co się tyczy miłości, to w ogóle ciężko było zrozumieć, czym jest bez kwestionowania jej natury. Wiedział jednak, że większość ludzi nie zgadzała się z nim. Był świadomy tego, że opinia żony o Frazerze stanie się kością niezgody między nimi. Miał pewność, że Naomi będzie wracać do tego, gdy tylko ogarnie ją zazdrość lub wpadnie we

wściekłość. Po whisky bywała zapalczywa i nie dbała o to, do kogo mówi. Potrafiła wówczas zadawać nawet najboleśniejse rany. Maksowi nie przeszkadzało, że Naomi wyżywała się na nim. Nie dbał o to, co ona jeszcze wymyśli. I co może jeszcze zrobić. Teraz czuł się naprawdę schwytyany w pułapkę.

Gdy powiedział jej, że wyprowadzają się z Ravenhart, rzuciła mu się w objęcia i rozplakała. Następnego dnia wynajął wóz i zadzwonił z wioski do szwagierki Naomi. Tessa ucieszyła się niezmiernie, że Naomi przyjedzie do niej do Londynu.

– Przypilnuję, by o siebie dbała i porządnie wypoczęła – zapewniła go.

Następnego dnia Maxwell odwiózł Naomi do Edynburga i odprowadził na nocny pociąg do Londynu. Tessa miała wyjść po nią na stację Euston, a on miał dojechać za tydzień po przepisaniu na maszynie książki i załatwieniu spraw z Frazerem.

– To tylko tydzień – przekonywał, żegnając się z Naomi. – Potem przyjadę po ciebie, obiecuję.

Nazajutrz poszedł do domku myśliwskiego. Wybrał ścieżkę przez wrzosowisko, podziwiał po drodze olbrzymie masywy gór i połacie trawy upstrzone żółtymi, niebieskimi i białymi kwiatami. Woda w potoku przybrała i kłębiła się wokół kamieni, po których przechodził na drugi brzeg. Przystanął w połowie drogi, ciesząc się z tego, że może tak po prostu stanąć na samym środku potoku. Gdy doszedł do domku, zauważył, że wszystkie szyby są wybite. Zdziwiło go to, lecz jednocześnie uświadomił sobie, jak wiele pracy Frazer włożył już w ten domek. Jedynym śladem obecności Frazera był przeciwdeszczowy płaszcz przewieszony przez poręcz schodów oraz płócienna torba z termosem i piersiówką. Maxwell wyszedł na zewnątrz i zawołał Frazera, lecz nikt mu nie odpowiedział. Następnie poszedł ścieżką wzdłuż potoku. Gdy szedł pod górę, błoto przyklejało mu się do butów. Z liści paproci i drzew

kapąły na niego krople deszczu. Słyszał już coraz głośniejszy szum wodospadu i odgłos mniejszych strużek, spadających z góry prosto na okalające jeziorko kamienie. Odchylił ostatnie gałęzie i zobaczył siedzącego nad stawem Frazera.

Frazer musiał iść w górę do stawu aż sześć razy, by pozbyć się rozbitego szkła. Po opróżnieniu ostatniego pudełka usiadł na skale i patrzył w wodę. Wrogość, którą wyczuwał już pierwszego dnia pobytu w Ravenhart, w końcu stała się jawna. Podejrzewał, że każdy mieszkaniec tej zapomnianej przez Boga doliny nienawidził go i źle mu życzył. Kątem oka zauważył jakiś ruch. Popatrzył w górę i zobaczywszy Maxwella, wstał.

– Przyszedłeś pomóc? – zapytał z goryczą. – Lepiki późno niż wcale.

– Muszę z tobą porozmawiać – odparł Maxwell.

– Wal zatem.

– Naomi i ja zdecydowaliśmy się wyprowadzić.

– Wyprowadzić? – powtórzył Frazer. Nie mógł zrozumieć, o czym Max mówi. – Co to znaczy wyprowadzić?

– Opuszczamy Ravenhart i wracamy do Edynburga.

– Nie możecie. – Frazer był głęboko wstrząśnięty.

– Jak to? – Maxwell wytrzeszczył oczy.

– Powiedziałem, że nie możesz. Po tym wszystkim, co dla was zrobiłem.

Maxwell nie wychodził ze zdziwienia. Lekko sarkastycznym tonem, w którym Frazer rozpoznał również gniew, odpowiedział:

– Tak naprawdę, to odchodzę.

Zapadła ciszę mącił szum wody. Frazer zauważył, jak Max spuścił wzrok i głęboko odetchnął. Po czym odezwał się spokojniejszym głosem:

– Muszę wyjechać. Naomi nie podoba się tutaj. Czuje się źle,

a to nie wpływa dobrze na dziecko. Przedwczoraj źle się poczuła i przestraszyła się, że to może chodzić o dziecko. Dzięki Bogu, nic mu nie jest, ale zdałem sobie sprawę... – przerwał. Przez chwilę wydawał się zagubiony. – Nie przypuszczałem, że można pokochać kogoś, kto jeszcze nie istnieje.

Słuchając go, Frazer czuł się nieszczęśliwy i wściekły. Szukał słów, którymi mógłby przekonać Maxwella do porzucenia pomysłu o wyjeździe, ale zanim je znalazł, Maxwell mówił dalej:

– Udało mi się skończyć książkę. Nie wierzyłeś w to, ale udało mi się. Muszę teraz zaprezentować ją wydawcom. A jeżeli nikomu się nie spodoba, poszukam pracy.

– Pracy? – powtórzył pogardliwie Frazer. – Ty?

– Wiem, że być może w „The Scotsman” znajdzie się dla mnie posada. Zacząlbym od podstaw, od ogłoszeń o narodzinach, ślubach, pogrzebach, ale to mi nie przeszkadza.

– Nie możesz tak po prostu odejść, Max... – Frazer pożałował swojego błagalnego tonu. – Już prawie mamy lato. Naomi poczuje się lepiej, pogoda się poprawi. Uwielbiała spędzać tu lato. – Położył dłoń na ramieniu Maxwella. – Ty też.

– Pamiętam. – Maxwell popatrzył na staw i uśmiechnął się. – Będzie mi tego brakować.

– Zostań więc.

– Nie mogę, Frazer. Po prostu nie mogę. – Max się odsunął, ręka Frazera opadła. – Podjęliśmy już decyzję.

„My”. Wyobraził sobie Maksa i Naomi, jak snują intrygi, planują, śmieją się za jego plecami. Zabawili się nim, a teraz bez oglądania się zostawiają go w tej głuszy samego.

– Dałem ci wszystko: dom, pieniądze, samochód. To nic dla ciebie nie znaczy? – zapytał z wściekłością.

– Zapłacę za wszystko. – Głos miał stanowczy, twardy. – Już to widzę. Czy kiedykolwiek oddałeś mi chociaż pensa?

– Nie zdawałem sobie sprawy z tego – mówił aksamitnym głosem Maxwell – że tak skrupulatnie wszystko liczysz.

Frazerą zatkało. Maxwell przechadzał się nad brzegiem stawu. Wreszcie odwrócił się i powiedział:

– Nie przyszedłem tu klócić się z tobą, do cholery. Musimy wyjechać. Postaraj się to zrozumieć.

– Gdy się skończyły pieniądze, stwierdziłeś, że nic tu po tobie.

– Jeżeli tak chcesz to widzieć – wycedził przez zęby Maxwell.

– Znikaj więc – rzucił Frazer. Był wściekły i różgoryczony. – Nie wątpię, że wkrótce znajdziesz sobie kogoś z pieniędzmi. Wykorzystujesz ludzi, czyż nie? Dostajesz, co chcesz, a potem znikasz bez śladu.

– A ty, Frazer? – Maxwell zmarszczył brwi. – Powiedz, czego ty chcesz ode mnie?

Coś w wyrazie twarzy Maxwella sprawiło, że Frazer i się zawahał. Zacisnął dłonie w pięści i poczuł głęboki żal, że ta część jego życia, którą uważał za najszcześniejszą, właśnie dobiegła końca.

– Nic od ciebie nie chcę. Nie teraz.

– Dobrze. Jesteśmy kwita.

Po chwili ciszy Frazer mówił powoli:

– Przypuszczam, że wszystko sobie ułożyłeś, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, w pubie.

– Co masz na myśli?

– Zauważyłem, jak patrzyłeś na fotografię Ravenhart House, gdy ci ją pokazałem. – Głos mu się łamał. – Udawałeś, że nie dbasz o pieniądze, ale to nie była prawda. Pragnąłeś mieć swoje miejsce na ziemi, służących, samochód, prawda Max? Tak jak inni uwielbiasz luksusy i nie masz skrupułów, gdy chcesz je zdobyć. Oczywiście tak długo, jak nie musisz na nie pracować.

– To nie tak.

– Nie? Jesteś pewien? – Frazer dobierał słowa jak broń. Używał tylko tych, które najbardziej raniły. – Dlaczego nie starasz się poznać samego siebie? Mówisz, że nienawidzisz w swoim ojcu chciwości i zepsucia, a przecież wiesz, że jesteś taki sam.

– Nie bądź śmieszny. – Maxwell zbladł.

– Jesteś taki sam jak on. – Pokiwał głową. – Przyjechałeś do Ravenhart, bo chciałeś zaznać takiego życia, na jakie mnie było stać.

Maxwell zmierzył go lodowatym wzrokiem.

– Przyjechałem tu dla hecy. I było zabawnie... ale tylko na początku – powiedział Maxwell i odszedł.

„I było zabawnie... ale tylko na początku”. Coś we Frazerze pękło. Pełen cierpienia ryk odbił się od gór i Frazer rzucił się na Maxwella.

## Rozdział 16

Był a druga połowa sierpnia. Późnym popołudniem upał w Londynie stał się nie do zniesienia. Kate bolały ramiona od ciężkich bagaży, które niosła ze stacji kolejowa Victoria do domu. Miała ochotę na grzanekę z herbatę i kąpiel. Musiała też zreperować parę pończoch, w przeciwnym razie nie będzie się miała w co ubrać do pracy w poniedziałek rano. Wkładając klucz do zamka, kątem oka zauważyła kobietę, która wyszła z parku po drugiej stronie ulicy i usłyszała:

– Kate Fearnley!

Ku zdumieniu Kate okazało się, że to Naomi Gilchrist przeciskała się w jej stronę między samochodami i rowerami.

– Czy możemy porozmawiać? Usiłowałam skontaktować się z tobą od tygodni.

– Mieliliśmy tournée.

– Wiem. Twoja gospodyni mi powiedziała.

– Jak się miewasz Naomi? A co u Maxwella?

– To właśnie o nim chcę z tobą pomówić.

Kate przez chwilę nie wiedziała, co zrobić.

– Wejdźmy do środka – zaproponowała.

W pensjonacie pokoje wyglądały nędznie i obco. Kate odniosła wrażenie, że nie było jej tu dłużej niż sześć tygodni. Usiadły w salonie. Kate przyniosła herbatę i ciasteczka. Panna Logan, nauczycielka ze szkoły dla dziewcząt, siedziała w drugim końcu pokoju i czytała którąś z powieści Rosamond Lehmann. Szklane drzwi, wiodące do ogrodu, były otwarte, wpadało przez nie jasne, popołudniowe światło. Winorośl pięła się po pergoli, a po trawniku przechadzał się rudy kot.

– Przepraszam, że cię nachodzę. Czy mogę zapalić? Byłam u ciebie dwa tygodnie temu, ale cię nie zastałam. Kate, musimy porozmawiać. – Naomi podziękowała za mleko i poprosiła o

cukier. Przestała rozglądać się po pokoju i popatrzyła na Kate. – Pomyślałam, że wiesz, gdzie jest Maxwell.

– Nie jest z tobą? – Kate odstawiła dzbanek z herbatą na stolik.

– Nie. I tego właśnie nie rozumiem. Wiem, że się przyjaźniliście. Rozmawiałam już ze wszystkimi jego przyjaciółmi, nikt go nie widział. Może ty wiesz, gdzie on może być?

– Niestety nie. Nie widziałam Maxwella od dnia waszych zaręczyn.

Naomi westchnęła.

– Nie przysłał ci listu? Nie zadzwonił?

Kate pokręciła głową, panna Logan przewróciła kolejną stronę powieści. Do salonu wleciała na chwilę zagubiona pszczoła, ale zaraz wróciła do ogrodu.

– Jak długo nie masz od niego wiadomości? – spytała.

– Trzy miesiące.

Kate starała się opanować wzburzenie. Trzy miesiące.

– I zupełnie nie wiesz, gdzie...

– Nie. – Naomi roześmiała się krótko. – Max nie zostawił adresu do korespondencji. W maju mieszkałam ze szwagierką w Londynie. Miał dołączyć do nas po tygodniu. Chciał dokończyć powieść, przyjechać i zabrać mnie do Edynburga. Gdy się nie pojawił, byłam zła, ale jeszcze się nie martwiłam. Max nigdy nie dotrzymywał umówionych terminów. Czekałam, ale on ciągle się nie zjawiał. Zaczęłam myśleć... – Naomi przerwała i zgasił, i papierosa w popielniczce. – Nie mieliśmy w Ravenhart i telefonu. Sądziłam, że po prostu nie odpowiada na moje listy. Maxwell pisze cudowne listy, zawsze mnie rozśmieszają. Na marginesach umieszcza małe rysunekzki. Cza sami jednak nie pisze w ogóle. Chciałam wrócić do Ravenhart, aby go odnaleźć, ale nie pozwolono mi ze względu na dziecko. Nie czułam się

najlepiej, musiałam leżeć przez jakiś czas w szpitalu. Przypuszczam, że poczułam się gorzej przez zamartwianie się o niego. Morven też w końcu wydobrzała, ale ten okres był okropny.

– Morven?

– Nasza córka. Maxwell wybrał to imię, ślicznie prawda? – Naomi rozluźniła się. – Jest teraz pod opieką mojej szwagierki, ale wiem, że za mną tęskni. – Wsypała i jeszcze jedną łyżeczkę cukru do filizanki. – Gdyby Maxwell chciał mnie opuścić, nie wiesz może, dokąd mógł on pojechać? – zapytała.

Kate wiedziała, ile wysiłku kosztowało Naomi wypowiedzenie tego zdania. Chciałyby znać odpowiedź, uspokoić Naomi, ale desperacja, którą dostrzegła w jej oczach, sprawiła, że powiedziała:

– Niestety nie wiem. Przykro mi.

– Maxwell ma tak wielu przyjaciół, rozmawiałam ze wszystkimi, choć mogłam kogoś pominąć.

– Przychodzili na przyjęcia w Ravenhart. I w Edynburgu była jakaś dziewczyna, artystka, ale nie pamiętam jak się nazywała.

– Jenny Watts? Już u niej byłam. Powiedziała, że im widziała Maxwella od miesiący. Jednak nigdy nie można mieć pewności, że ludzie mówią prawdę, czyż nie?

– Może wyjechał do Hiszpanii? – podsunęła Kate.

– Do Hiszpanii?

– Podziwiał ludzi, którzy wyjeżdżali tam walczyć w szeregach Brygad Międzynarodowych. Pamiętam, że napisał nawet o tym artykuł.

Naomi zaczęła grzebać w torebce. Puder, rękawiczki i smoczek wypadły jej na kolana. Wytarła nos w haftowaną chusteczkę, otworzyła papierośnicę i poczęstowała Kate.

– Nie, dziękuję.

– Zabiję go, jeżeli to prawda. – Naomi zapaliła papierosa. – Walczyć w cudzej wojnie, podczas gdy ja tak go potrzebuję. – Zaciągnęła się. – Będę nadal wierzyć, że wróci do mnie. Drzwi się otworzą, podniosę wzrok i zobaczę w nich Maxwella. Będzie miał jakieś żalosne usprawiedliwienie, nakrzyczę na niego, pokłócimy się, a potem pogodzimy i wszystko się dobrze ułoży. – Oczy Naomi błyszczały od łez. Głos przeszedł w szept. – Okropnie się pokłóciliśmy przed moim wyjazdem do Londynu. Powiedziałam dużo... złych rzeczy. Boję się, że miał mnie już dość i że wcale nie zamierzał przyjeżdżać do Londynu.

Zapadła cisza, którą przerwała Kate:

– Frazer zna Maksa najlepiej. Może on wie, gdzie jest Max.

– Frazer nie ma pojęcia. – Naomi pokręciła głową. – Nigdy się nie lubiliśmy z Frazerem, ale od zniknięcia Maksa zachowuje się wobec mnie przyzwoicie. Nie mógł mi jednak pomóc. Sądzę, że i on tęskni za Maksem.

– Jak sobie radzisz? – zapytała niepewnie Kate. – Musi być ci ciężko samej z dzieckiem.

– Och, obie mamy się doskonale. Teść pomaga mi finansowo, a Frazer pozwolił nadal mieszkać w Ravenhart. Muszę tam czekać na Maxwella.

Niedługo potem Naomi wyszła. Leżąc w wannie w perfumowanej wodzie, Kate rozmyślała o Maxwellu i Frazerze. Przypominała sobie pikniki koło myśliwskiego domku i taras na dachu Ravenhart House, na który patrzyła w schodów. To było bardzo dawno temu, w innym świecie. Zastanawiała się, czy nadal tęskni za Maxwellem. Sądziła, że myśl ta będzie bardzo boleć, a nie bolała prawie w ogóle. Rana już się zagoiła. Rozmyślając nad sytuacją, w której znalazła się Naomi, Kate nie czuła zaskoczenia. Zawszą wiedziała, że uczucia Maxwella są nietrwale. Zanurzył i głowę pod wodę. Gdy się wynurzyła, włosy oblepiły jej twarz jak wodorosty. Wróciła pamięcią do

wydarzeń ostatnich sześciu tygodni, kolejnych nadmorskich miasteczek i podróży pociągiem, pensjonatów i podupadłych teatrów z łuszczącą się pozłotą i wypłowiałym pluszem na fotelach na widowni. Przypomniała sobie złoty piasek pod stopami, szum morza i odbicie słońca na wodzie, gdy brodzili po przybrzeżnych pływnach.

W styczniu 1938 roku, mając dwadzieścia jeden lat, Kate kupiła mieszkanie w południowym Kensington. Było to możliwe dzięki zapobiegliwości jej ojca, który dużo wcześniej włożył pewną kwotę na rachunek powierniczy. Kate samodzielnie mieszkanie odnowiła, położyła tapety na ścianach i pomalowała stolarkę. Kupiła używany aparat fotograficzny i zrobiła zdjęcia tancerzom podczas prób. Znajomy fotograf odbił je w dużym formacie, a Kate oprawiła i powiesiła na ścianach. Kuchnię urządziła na wzór francuski, wypełniając garnkami, które kupiła we Francji podczas ostatniej wizyty u Martina. W marcu przyjechała do niej matka i została na weekend. Kate pomyślała, że Bess wygląda na zmęczoną i zatroskaną. Rozmawiały, przygotowując kolację.

– Eleanor gra w drużynie hokejowej – mówiła Bess. – Jest strasznie z tego dumna, widocznie to duże wyróżnienie. A Becky występuje w szkolnym przedstawieniu. Robię dla niej kostium żebraczki. Daj, ja pokroję cebulę.

– Proszę. A Aimée?

– Aimée nie rośnie. Podaję jej tran i sok pomarańczowy każdego dnia, ale ona ciągle jest taka drobna. Mogłaby pójść do przedszkola, kiedy będzie mieć trzy latka, ale w ogóle nie sprawia kłopotu, lepiej więc, jeśli zostanie w domu.

– Mamo? – Kate zaniepokoiła się, widząc łzy spływające po twarzy Bess. Matka otarła je chusteczką i powiedziała:

– To przez tę wstrętną cebulę...

– W takim razie ja pokroję. Nigdy przy nich nie płacę. Martwisz się o Aimée?

– Nie o Aimée, ale o Frazera.

– Co u niego słyhać?

– Nie wiem. – Bess opuściła nóż. Miała rozpacz w oczach. – Chyba gdzieś wyjechał.

Przygotowywały kurczaka w winie; z otwartej już butelki Kate naląła kieliszek i podała go przez stół matce, mówiąc:

– Wytrawne, ale chyba będzie dobre. Czy Frazer wyjechał do Paryża? Przysłał mi stamtąd pocztówkę.

– Nie sądzę, aby pojechał na wakacje. – Bess wzięła głęboki oddech i wytarła nos. – Obawiam się, że wyjechał z Ravenhart House na zawsze.

– Jak to na zawsze? – Kate ze zdziwieniem patrzyła na matkę.

– Tak, niestety. – Bess przepelniał smutek.

– Dokąd wyjechał?

– Nie wiem.

– Nie powiedział ci?

– Nie. Nic mi nie powiedział. – Czują się wyczerpana. Usiadła i mówiła dalej: – Piszę do niego codziennie, choć kilka tygodni temu przestał odpisywać. Jak wiesz, ostatnio dużo podróżował, więc z początku myślałam, że znów pojechał na kontynent. Ale później przyszedł lisi od jego adwokata.

– Jaki list?

– Frazer podpisał dokument, w którym powierzył mi opiekę nad posiadłością – odpowiedziała głucho. Wzięła głęboki oddech. – Jeżeli nie wróci w ciągu pięciu lat, Ravenhart stanie się moją własnością.

– Ale dlaczego to zrobił? – Kate była wstrząśnięta.

– Nie wiem.

– Musiał coś powiedzieć.

– Nic nie powiedział. On po prostu... odszedł. Kate wróciła pamięcią do dnia, w którym Frazer wkroczył do ich życia. Pukanie do drzwi, a za nimi nie znany, starszy brat. Wniósł ze sobą urok i magię. Od tej chwili jej życie uległo zmianie. Czy mógł zniknąć tak samo nagle, jak się pojawił?

– Pojechaliśmy tam z Martinem – ciągnęła Bess – ale zastaliśmy dom zamknięty. Służba została zwolniona, tylko Phemie przychodzi sprzątać raz w tygodniu.

– Może Naomi coś wie. Pytałaś ją?

– Tak, rozmawiałam z panią Gilchrist. Ona też nic nie wie. Nie wiedziała nawet, że Frazer wyjechał. – Bess nerwowo bawiła się obrączką. – Powiedziała mi tylko, że Frazer przekazał jej dom na własność. Może nim teraz swobodnie dysponować, może go sprzedać, wynająć, czy co tam jeszcze zechce.

– Czy ma jakieś wieści o Maxwellu?

– Nie sędzę. – Bess wstała i przyniosła ze spiżarni kobiałkę z grzybami, po czym zaczęła je obierać.

– To dziwne, zniknęli obaj... – Kate przyszła do głowy nagła myśl: – Może Frazer pojechał tam, gdzie jest Maxwell?

Nóż wypadł Bess z dłoni. Popatrzyła na córkę szeroko otwartymi, pociemniałymi oczami i powiedziała:

– Nie. Oczywiście, że tam nie pojechał.

– Przecież byli bliskimi przyjaciółmi, mamó – upierała się delikatnie Kate.

– Gdziekolwiek teraz jest, to na pewno nie z Maxwellem Gilchristem – odparła gniewnie Bess.

– Czy Frazer miał kłopoty finansowe? – Kate zmieniła temat.

– Wydatki na posiadłość przewyższały przez jakiś czas przychody. – Bess wyjęła patelnię z kredensu. – Spotkałam się z panem Daintre'em, doradcą prawnym Frazera, sądziłam, że on coś wie. Ale on też o niczym nie miał pojęcia. Gdy pytał go o plany na przyszłość, Frazer go zbył.

– Jestem pewna, że się zachował rozsądnie. Wyjechał z kraju na jakiś czas i chciał na czas nieobecności zostawić posiadłość w dobrych rękach.

– Tak. – Na twarzy Bess pojawił się wymuszony uśmiech. – Zapewne masz rację.

– Wróci za kilka miesięcy. Nie martw się o niego, potrafi zadbać o siebie.

– Tak, oczywiście.

Przez chwilę pracowały w milczeniu. Nagle Bess powiedziała:

– Och, Kate, ciągle myślę, że już nigdy go nie zobaczę. Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł znów mnie opuścić?

Gdyby Kate miała dokładnie określić okres, w którym prywatne sprawy wyparte zostały przez politykę, to wskazałaby jesień 1939 roku. Wcześniejsze wydarzenia marsz Hitlera na Austrię i entuzjastyczne przyjęcie wojak niemieckich przez tłumy obsypujące żołnierzy kwiatami i pocałunkami oraz odwrót armii republikańskiej w rozdartej wojną Hiszpanii – były straszne i przerażały ją. Jednak w dwóch wypadkach Kate odkładała politykę na bok: gdy tańczyła do melodii „Fve got you under im skin” i gdy stojąc za kulisami, doznawała cudownego uniesienia, obserwując początek każdego przedstawieni.

We wrześniu 1938 roku Hitler groził napaścią na Czechosłowację, jeżeli Niemcy nie będą mogły przyłączyć do swego kraju niemieckojęzycznej części Sudetów zamieszkaney w większości przez Niemców. Wielka Brytania i Niemcy balansowały wówczas na krawędzi wojny. W londyńskich parkach kopano okopy i sprawdzano, czy sygnalizujące nalot syreny działają prawidłowo. Kate widziała odbicie własnego strachu w oczach pasażerów metra i klientów sklepów. Podskakiwała ze strachu na każdy głośniejszy dźwięk. Odgłosu

przelatującego nad miastem samolotu nie kojarzyła już z możliwością ucieczki tym środkiem transportu, uli z czymś mrocznym i przerażającym. Powietrze stało bez ruchu w oczekiwaniu na nieznane.

Pod koniec miesiąca premierzy Brytanii i Francji: Neville Chamberlain i Edouard Daladier wrócili z Moinichium z uzgodnionym paktem. Hitler mógł wejść do Sudetów pod warunkiem pozostawienia w spokoju reszty Czechosłowacji. Początkowa ulga zmieniła się we wstyd, że oto pozwolono, by tyran połknął demokratyczne państwo. Zaraz potem odbyła się przerażająca Noc Kryształowa. Naziści mordowali Żydów w całym kraju, a synagogi i żydowskie szkoły zostały zburzone. Po tych w)

Ujrzeniach Kate nie potrafiła już skutecznie poradzić sobie ze strachem. Teraz już w każdej chwili na ludzkość mogła opaść zasłona nocy, a wówczas straci wszystko, co uważała za najdroższe.

W marcu 1939 roku Hitler złamał postanowienia traktatu monachijskiego i nazistowska dyktatura rozciągnęła się na pozostałą, bezbronną część Czechosłowacji. Pod koniec tego miesiąca republikanie zaniechali walki w Hiszpanii i faszyzujący generał Franco zawładnął całym państwem. Mężczyźni i kobiety z Brygad Międzynarodowych powrócili do swoich krajów. Kate zastanawiała się, czy był między nimi Maxwell Gilchrist. Napięcie ostatnich miesięcy sprawiło, że nadeszła chwila, gdy nawet taniec i muzyka nie przynosiły ukojenia. Zaczęły przybywać transporty z tysiącami żydowskich dzieci, uciekających z Niemiec i Austrii. Kate zaangażowała się w działalność organizacji pomagającej uciekinierom. Piekła ciasta na podwieczorki dla przybywających do Londynu wyczerpanych i zszokowanych długą podróżą dzieci. Czasami zabierała je do swojego mieszkania i opiekowała się nimi,

dopóki nie znaleziono zastępczych rodziców. Poznawała tych małych życiowych rozbitków żyjących w obcym kraju z dala od domów i rodzin. Pocieszała ich, gdy mieli koszmary nocne, czytała bajki, czesała włosy i tuliła, gdy płakali. Starła się zapewnić choć odrobinę spokoju w koszmarze, jaki przeżywali. Kate była coraz bardziej przeświadczona o tym, że właśnie świadomość kruchości otaczającego ją świata sprawia, że trzeba jak najpełniej wykorzystać każdą chwilę szczęścia i radości. Odkryła, iż to strach przed utratą miłości sprawia, że przeżywa się ją po stokroć intensywniej. We wrześniu, po wybuchu wojny Kate przepęłniał gniew i żal. A jednak... Idąc ulicami Londynu czuła, że nigdy jeszcze nie była tak ożywiona i przekonana o słuszności swojej i postępowania. W październiku zrezygnowała z pracy dla Peggy Fisher i wstąpiła do WAAF – Pomocniczej Lotniczej Służby Kobiet.

Z początku wybuch wojny zmienił niewiele. Zima przełomu 1939/1940 minęła bez nalotów bombowych, których wszyscy tak bardzo się obawiali. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny opuścił już wyspy i udał się na kontynent, jednak Belgia, Francja i Holandia nadal pozostawały nie tknięte i Bess pozwoliła sobie na odrobinę odpoczynku. Miała nadzieję, iż ta wojna nie powtórzy koszmaru po przedniej. Łudziła się, że mężczyźni nie będą ginąć tysiącami w okopach wdeptani w błoto Flandrii. Bess, nauczona doświadczeniem, nie chciała, by jej rodzina odczuła głód, wykopała więc róże w ogrodzie, ich miejsce zajęły warzywa. Pomagała jej Aimée, która z poważną buzią wrzucała ziarna do dołków w ziemi. Bess wmawiała sobie, że nie posłała jej do przedszkola ze względu na to, że dziewczynka była wątła. W rzeczywistości zostawiła córkę w domu, by mieć towarzystwo. Potrzebowała domu pełnego śmiechu i paplaniny. Bała się ciszy. Pamiętała, co się dzieje, gdy w domu panuje

martwa cisza.

W kwietniu 1940 roku niepewny spokój zniknął, Niemcy rozpoczęli okupację Danii i najechali Norwegię. Dziesiątego maja przysła kolej na Holandię, Belgię i Luxemburg. Tego samego dnia Winston Churchill zastąpił na stanowisku premiera Neville Chamberlaina. Rozpoczęła się batalia o Francję. Po dwóch tygodniach walk na stąpiła gorzka przegrana wojsk francuskich i brytyjskich, a po niej upokarzające okrażenie aliantów przez Niemców pod Dunkierką połączone z dumą ze sprawnie przeprowadzonej ewakuacji tych wojsk. Czternastego czerwca wojska niemieckie wkroczyły do Paryża. Bess śledziła wydarzenia, słuchając radia. Wśród dotychczasowych bezsensownych zniszczeń Paryż pozostawał wolny. Teraz Bess przepełniały lęk i przerażenie.

Wczesnym latem 1940 roku Kate została wysłana do dowództwa myśliwców w Tangmere. Codzienna praca była niemal taka sama jak w czasach pokoju: Kate pisała na maszynie, archiwizowała dokumenty i odbierała telefony. Miała wrażenie, że teraz miało to większy sens. Miasto położone było w hrabstwie Sussex na samym końcu regionu South Downs. Baza się znajdowała w cudownej, wiejskiej okolicy. Czerwone pnącza wspinały się na ściany oficcerskiej kantyny, a w sąsiednim miasteczku Bosham, siedząc na balkonie hotelu Old Ship, można było podziwiać zachód słońca nad kanałem La Manche. Właśnie tam Kate poznała Hugh Willoughby'ego. Kilka dni po przyjeździe do Tangmere, przyjaciółka z WAAF, Sally Vincent, zawiozła ją do pubu. Bar był zatłoczony, prawie wszyscy mężczyźni nosili mundury lotnicze. Sally zauważyła swojego chłopaka i zniknęła, a Kate oceniwszy sytuację, wyszła na zewnątrz.

– Trochę ciasno, prawda? – usłyszała i odwróciła się. Koło

niej stał, opierając się o mur, młody mężczyzna w mundurze RAF-u i palił papierosa.

– Trochę.

– Nie cierpię tłoku. – Poczęstował Kate papierosem. – Dlatego lubię latać. W górze jest miło i spokojnie. – Popatrzył na kanał i dodał: – Ale to już długo nie potrwa, jak sądzę. Nazywam się Hugh Willoughby.

– Kate Fearnley. – Podając dłoń, przyjrzała mu się. Miał prosty nos, grecki profil, kręcone, brązowe włosy, oczy tego samego koloru i ciepły uśmiech.

– Nie widziałem tu pani wcześniej.

– Niedawno przeniesiono mnie do Tangmere – odpowiedziała, patrząc na ostatnie promienie zachodzącego nad morzem słońca. – Piękny widok, prawda?

– Rzeczywiście. – Zadrżał. – Nie lubię pić za dużo, ale tam, gdzie poprzednio stacjonowałem, miałem kolegę, który tego pił. Pewnego razu wszedł w lot nurkowy i już nie opanował maszyny.

– To okropne.

– Skąd jesteś, Kate?

– Z Edynburga.

– Zatem Szkotka.

– Mój ojciec jest Szkotem, ale matka ma krew angielską, hinduską i irlandzką. A ja mówię po francusku.

– Powiedz coś więc.

– Le fils du Roi s'en va chassant, avec son beau fusil d'argent. – Fragment ludowej piosenki, to była pierwsza rzecz, która przyszła jej na myśl.

Hugh mocno się skupił, ale po chwili pokręcił głową.

– Nigdy nie miałem zdolności językowych. Co powie działaś?

– Och, coś o przystojnym księciu udającym się mi

polowanie. – Kate się cieszyła, iż zapadał zmrok, czuł. i bowiem, że się rumieni. Zmieniła temat: – A ty skąd pochodzisz?

– Stąd – odparł, wskazując niedbale wschodni kierunek. – Jestem stuprocentowym Anglikiem. Moja rodzimi mieszka w Chichester. Wszyscy mężczyźni w rodzinie zaciągają się do marynarki i strasznie się oburzyli, gdy wstąpiłem do lotnictwa. Ojciec zmarł przed rokiem, ale matka nadal mieszka w starym domu. Wpadam do niej tak często, jak się da. Powinnaś pojechać ze mną któregoś dnia, mama gotuje najwspanialsze niedzielne obiady.

Kate opowiedziała mu o ojcu i Pameli mieszkających w Hampshire, o mamie i Martinie, rodzeństwie. Hugh odwzajemnił się opowieścią o szkolnych czasach i o podjęciu decyzji o wstąpieniu do lotnictwa.

– Zawsze chciałem latać. Nie mogłem wymyślić nic lepszego. Usiłowałem zaciągnąć się już w wieku siedemnastu lat, ale mi się nie udało i musiałem czekać jeszcze rok. Byłem tak szczęśliwy, gdy mnie przyjęli, że musiałem uczcić to kieliszkiem alkoholu. Zanim dotarłem do szkoły, byłem pijany w sztok. – Uśmiechnął się. – Ostatnie lata spędzone na lataniu były wspaniałe. – Zajrzał do pubu przez otwarte drzwi. – Jest już nieco luźniej. Czy mogę zaproponować ci drinka?

Przycupnęli w ciemnym kącie pubu ze szklaneczkami w dłoniach. Hugh popatrzył na Kate uważnie, tym razem się nie zarumieniła.

– To zdanie po francusku, naucz mnie, jak się je mówi, dobrze?

Miłość do Hugh Willoughby’ego nie miała w sobie nic z uczucia, które żywiła do Maxwella Gilchrista. Poznawanie Maksa mogłaby przyrównać do czytania niezrozumiałej książki.

Hugh był nieskomplikowany, Kate odnosiła wrażenie, że zna go od wieków, poza tym wiele ich łączyło. Nie znosili tłumów i lubili spacerować za miastem; nie przepadali za pływaniem, Hugh wolał powietrze od wody. Obiecał nawet, że przeszmugluje ją na jakiś lot. Podobały im się te same książki, filmy i piosenki. Ulubioną ich piosenką była „This Foolish Things”, którą śpiewali wysokimi głosami na rowerowych przejażdżkach wietrznymi drózkami hrabstwa Sussex. Gustowali w kolorze niebieskim, obojgu też bardzo smakowały kiełbaski z jajkami i frytkami. Zdawali sobie również sprawę z wagi upływającego czasu. Kate się wydawało, że w Ravenhart czas rozciągał się przed nią leniwie w nieskończoność. Jednak po upadku Francji zrozumiała, jak ceni u jest każda chwila. Chciała zagarnąć je wszystkie, zatrzymać i zachować, by nie zapomnieć najwspanialszych momentów: jazdy do rodzinnego domu Hugh i spotkani, i z jego matką, Dorothy, przyjęcia w Tangmere Cottage wydanego na dwudzieste pierwsze urodziny pilota, gdzie tańczyli do białego rana, zalewu białoróżowych kwiatów na żywo płotach w maju, pierwszego pocałunku, gdy leżeli na polu pośród wschodzącego zboża i patrzyli na szafirowe niebo pełne śpiewających skowronków.

We Francji armia wroga przygotowywała się do inwazji na Anglię i wkrótce rozpetęła się burza. Dwunastego sierpnia Luftwaffe zbombardowała radary rozmieszczone na wybrzeżu. Wkrótce potem zaatakowano lotnisko w Lympne, Hawkinge i Manston. Ponad dwie setki samo lotów wzbily się w powietrze nad wyspą Wight niczym czarne, bzyczące komary, które rzuciły złowrogi cień nad kanałem.

Kilka dni później przyszła kolej na Tangmere. Leniwą atmosferę bazy zburzyły nurkujące sztukasy. Oficerski kantyna została zrównana z ziemią, hangary, warsztaty, wszystkie budynki podzieliły jej los. Kate musiała pokonać strach i po

strzepnięciu kurzu z munduru, założywszy włosy za uszy, pomagała przywrócić bazę do działania. Dziesięć osób z obsługi naziemnej poległo, dwa broniące lotniska hurricany zostały zestrzelone. Jeszcze tego samego dnia Kate czekała pod drzewami na samolot Hugh. Gdy wylądował, rzucili się sobie w objęcia i całowali bez końca.

Każdego dnia rano wiedziała, że do wieczoru może stracić ukochanego. Jadąc rowerem, patrzyła w niebo.

Nie było już na nim skowronków. Zamiast nich na bezkresnym niebie rysowały się białe ślady wystrzelonych pocisków smugowych. Osłaniając oczy dłonią, zastanawiała się, czy ciemna kropka na horyzoncie to samolot. Czy to Hugh tak wiruje i skręca schwytyany w nieprzyjacielski ogień i czy to jego samolot wpada właśnie do morza.

Martin pracował w Londynie w szpitalu wojskowym jako chirurg. Bess uległa namowom męża i została z dziećmi w Edynburgu, bezpieczna od nocnych nalotów na stolicę. Gdy przyjechała odwiedzić go w zimie, miała na sobie czerwony kaszmirowy płaszcz. Martin kupił go jej przed czternastu laty, pamiętała jeszcze, jak rozpakowywała paczkę w salonie domu we Francji. Teraz Trzy Kominy znów były pod niemiecką okupacją. Gdy myślała, co mogło się przydarzyć Lemercierom czy innym francuskim przyjaciołom i sąsiadom, ogarniał ją strach. Zauważyła, że Martin jest wyczerpany i milczący. Powrót do koszmarów wojny, które prześladowały go przez lata, musiał go wiele kosztować. Bess nieustannie rozmyślała o rodzinie, o Kate w Sussex i o Eleanor, Rebecce i Aimée, które w czasie wizyt matki w Londynie pozostawały pod opieką Izzy i Daveya. Myślała też o utraconym ponownie Frazerze. Wojna rozdziela ludzi. Dawniej wierzyła, że będzie umiała ochronić swoją rodzinę dzięki sile woli. Teraz wiedziała, jak złudne było

to przekonanie. Wojna okazała się groźniejszym przeciwnikiem niż Cora Ravenhart i Andrew Gilchrist.

Pierwszy wolny weekend przypadł Hugh w październiku. Pojechali z Kate do Londynu, gdzie zjedli kolację i bawili się w nocnym klubie. Wrócili do hotelu koło trzeciej nad ranem, idąc przez mrok zaciemnionego miasta. Zarysy zbombardowanych domów odcinały się na tle mrocznego nieba jak poczerńiałe góry lodowe. W czasie nalotu schronili się na stacji metra pod ziemią razem z setkami innych osób. Siedzieli na peronie, trzymając się za ręce. Powietrze wokół było gorące i duszne. Hugh oświadczył się Kate. Oniemiała ze szczęścia. Gdy się objęli, wyczuwała pod palcami szorstki materiał jego munduru. Hugh całował ją, trzymając za kark, przyciskając do siebie tak mocno, jakby chciał, aby stała się częścią jego samego.

Duchy znów powróciły. Późną wiosną 1941 roku Bess wysiadła z autobusu przy stróżówce w Ravenhart. Szła drogą do zamku i gdy zobaczyła zasłonę z drzew, zza której wyłonił się Ravenhart House, poczuła przyspieszone bicie serca. Przystanąła na chwilę, by się uspokoić. Wzdłuż granicy ogrodu rozciągnięto drut kolczasty. Gdy weszła do domu, wydawało jej się, że widzi jakiś ruch w ciemnościach, kogoś zbiegającego ze schodów lub dłoni rozsuwającą zasłony, by wpuścić światło dnia do środka. Nikogo jednak nie było, tylko wiatr rozwiewał rude liście w holu. Bess przemogła uczucie zawodu i szła dalej przez pusty i cichy dom. Jednak duchy jej towarzyszyły. Świadomość czyjejś obecności nie opuszczała jej, gdy otwierała szuflady i przeszukiwała meble wybierając wartościowe rzeczy, które trzeba było zabrać zanim w przyszłym miesiącu w zamku stanie wojsko. Dom nadal pachniał pszczelim woskiem i pajęczynami tak samo, jak za pierwszym razem, gdy przyjechała do Sheldona. Phemie przychodziła raz na dwa tygodnie lub nawet

rzadziej, aby odkurzyć i przewietrzyć główne pokoje. Jednak jej starania nie mogły zatrzymać niszczycielskiej siły czasu. Od czasu zniknięcia Frazera Bess przyjeżdżała tu raz na kilka miesięcy. Wizyty te stały się teraz jeszcze rzadsze, gdyż przedłużająca się wojna spowodowała racjonowanie paliwa i każda podróż stawała się prawdziwym wyzwaniem.

Bess nie zdjęła płaszcza, z podniesionym futrzanym kołnierzem chodziła po domu. Marzyła od przyjazdu do Anglii przed wielu laty. Patrząc na pogrążone w mroku i przykryte warstwą kurzu porzucone meble, błędziła myślami po czasach, które poprzedziły ponowne zniknięcie Frazera. Syn porzucił plany dotyczące posiadłości i przy każdej okazji wyjeżdżał z Ravenhart. Bywał w Paryżu i Londynie. Widywała go rzadko, tylko wtedy, gdy wpadał do Edynburga. Czuła silną więź, która powstała między nimi. Teraz jednak nie mogła myśleć o nim. Przysięgła sobie nie sięgać pamięcią wstecz i skupić się wyłącznie na przyszłości. Kate wyszła za mąż, mieszkała z teściową i pod koniec roku oczekiwała narodzin dziecka. Bess powinna myśleć o pierwszym wnuku, który niedługo miał się pojawić na świecie. I o córeczkach: Eleanor, Rebecce i Aimée, tak kochanych i ślicznych.

Rozsuwając zasłony w jednym z pokoi w wieży, dojrzała przez okno śniegową poduchę, która pobieliała stoki wzgórz. Podążyła wzrokiem do myśliwskiego domku, stojącego u zbiegu dwóch rzek. „Może Frazer pojechał tam, gdzie jest teraz Maxwell”. Tak powiedziała Kate. Na to wspomnienie, Bess wbiła paznokcie w dłoń.

Musiała pokonać jeszcze wiele korytarzy i schodów. Zakradła się do sypialni Frazera. Zauważyła, że meble niezakryte prześcieradłami są dokładnie odkurzone. Zadbala o to Phemie. Bess podeszła do pracy skrupulatnie, otwierała każdą szufladę i szafę, szukając cennych rzeczy, które Frazer mógł

zostawić. Po chwili ogarnęło ją ogromne znużenie. Usiadła na brzegu łóżka, trzymając sweter Frazera w dłoniach. Przytuliła go do policzka tak, jak kiedyś przytulała wełnianą kurteczkę synka, którą przywiozła ze sobą z Indii. Wspomnienie małego Frazera było ponad jej siły. Nowo narodzony synek leżał w jej objęciach, gdy odpoczywała po długim porodzie. Złocisto włosy chłopczyk, śmiejący się w cieniu liści w ogrodzie w Simli. Zmienił się do chwili, gdy ponownie go zobaczyła w 1935 roku. Zmieniła go Cora Ravenhart. A posiadłość zmieniła go jeszcze bardziej. Znienawidziła ten dom. Chciała, by żołnierze go zniszczyli, by bluszcz zarósł go i zadusił. Zebrała z kolan do torby znalezione pamiątki i wyszła, marząc o powrocie do domu.

Bess zatrzymała się przy stróżówce. W ogrodzie bawiła się mała dziewczynka. Ubrana ciepło w płaszczyk i rękawiczki wydeptywała w śniegu koła. Spod niebieskiej czapeczki wysunęły się ciemne, kręcone loki. Bess patrzyła na dziecko przez chwilę, po czym poszła dalej.

Syn Kate przyszedł na świat w trzy dni po ataku Japończyków na Pearl Harbor. Dostał na imię Sam, po ojcu Hugh. Był dużym, zdrowym chłopczykiem, urodził się w domu Dorothy Willoughby, dokładnie tam, gdzie dwadzieścia cztery lata temu przyszedł na świat jego ojciec. Po porodzie Kate leżała w łóżku i patrzyła na swojego synka w kołysce. Sam ruszał chaotycznie tłusciutkimi rączkami i zatrzymywał na matce błędzący wzrok, ilekroć ją zauważył. Gdy Kate wkładała palec w jego dłoń, małe paluszki zaciskały się wokół niego.

Dom Dorothy Willoughby, duży i o nieregularnym kształcie, położony był na malowniczej wsi, blisko pięć kilometrów od Chichester. Dorothy gościła trzech chłopców z londyńskiego East Endu, którzy chcieli przetrwać tutaj naloty na miasto.

Wszyscy mieli płowe włosy, jasne, niebieskie oczy, ich kolana i łokcie pełne były zadrapań i siniaków. Gdy niemieckie samoloty przelatywały nad ich domem, cała szóstka kryła się pod wielkim dębowym stołem w kuchni. Stukając w drewno, Dorothy mówiła:

– Podobno pochodzi ze statku, który walczył z Francuzami w bitwie o Nil. Osobiście w to nie wierzę, ale jest twardy jak stal i ochroni nas.

Kate spędzała dni, doglądając synka i chłopców, pomagała też Dorothy prowadzić dom i ogród. Wieczorami słuchała radia i pisała listy do rodziny, Olivera i Billy’ego. Oliver pracował dla Admiralicji i odwiedzał Stephena, który przebywał pod opieką Margot i Nigela w ich wiejskim domku w Wiltshire. Billy objeżdżał wojskowe bazy z Narodowym Stowarzyszeniem Rozrywki ENSA i pisał: „Mieszkamy w okropnych warunkach, gorszych niż za czasów Peggy i w dodatku nie całej publiczności podoba się balet...”.

Bezpośrednie zagrożenie inwazją niemiecką zostało zażegnane. Eskadra Hugh patrolowała teraz kanał i eskortowała bombowce nad okupowaną Francją. Kate dostrzegła, że Hugh stał się beztroski i nierozważny, jakby zdolność do głębokich emocji zatarła się pod wpływem życia w ciągłym zagrożeniu i śmierci wielu przyjaciół. Wiedziała, że napięcie, w którym żył przez ostatnie osiemnaście miesięcy, wypaliło mu duszę. To nie był już mężczyzna, który raczej piskliwie wykrzykiwał niż śpiewał ulubione piosenki, jadąc przez Sussex na rowerze i który uczył się na pamięć słów francuskiej piosenki w zatłoczonym pubie. Uwaga Hugh była nietrwała i delikatna. Zasypiał nad krzyżówką w „Timesie” i nad książką, którą czytał. Drzemał w kinie i na koncertach, czasami nawet głowa ciążyła mu, gdy pieścił jej piersi. Słyszając głęboki i regularny oddech męża, Kate nieruchomiała. Starła się go nie budzić,

wiedziała bowiem, że źle sypia.

Pewnej nocy zobaczyła, że Hugh stoi przy oknie. Zawołała go.

– Przepraszam, nie chciałem cię budzić, kochanie.

– Która godzina?

– Dochodzi czwarta.

– Wracaj do łóżka – powiedziała, poklepując dłonią poduszkę.

– Nie mogę spać. – Hugh pokręcił głową.

– Zrobię herbaty. – Kate zeszła do kuchni i przygotowała dwie filiżanki herbaty. – Dołałam trochę whisky, po może ci zasnąć. Sobie też dołałam trochę. Jeśli Sam się obudzi głodny, upiję go.

– Dzięki.

– O co chodzi, Hugh? – zapytała miękko.

– Och, o nic.

– Hugh.

– Wracaj do łóżka kochanie, bo zmarzniesz.

Kate położyła się i przykryła kołdrą. Po chwili milczenia Hugh odezwał się:

– Chodzi o to, że czasami nie widzę już w tym wszystkim sensu. Te wypadki przez kanał tylko po to, by zrzucie kilka bomb na tych biednych łobuzów w dole. Połowu z zabitych to pewnie Francuzi. – Postawił filiżankę na parapecie okna. – Prowadziliśmy czystą walkę, gdy byliśmy sami z wrogiem w powietrzu. Sprawiedliwą. – Uśmiechnął się szybko i dodał: – Och, do diabła. Pewnie musimy zrzucić na nich bomby, aby oni przestali nas bombardować. Dobrze sobie, co Kate?

Kilka dni później Kate wracała do domu Dorothy z zakupów w wiejskim sklepie. Był łuty i bezlitosny wiatr smagał przebiśniegi wyrosłe na skraju drogi. Kate pchała przed sobą wózek z Samem. Chłopczyk niecierpliwie popłakiwał, bo chciał

pić. Zbliżając się do domu, zauważyła I ta auto stojące na żwirowym podjeździe. Rozpoznała samochód – morgan, należący do przelożonego Hugh. Zatrzymała się i zacisnęła palce na rączce wózka. Sam porządnie się rozplakał, naprężył ciało i zrobił się czerwony na buzi. Wzięła go na ręce i delikatnie poklepywała po plecach.

– Mały biedny Sam, biedne maleństwo.

Chciała zostać na zewnątrz, odsunąć moment wejścia do domu, najdłużej, jak to możliwe. Przesunąć chwilę prawdy. Tak długo, jak nikt jej tego nie powiedział, nie musiała myśleć o tym, jak będzie żyć bez Hugh. Sam jednak marzył i był coraz bardziej głodny. I tak za chwilę Kate zostanie poinformowana o wszystkim. Zajrzała przez okno do salonu i zobaczyła bladą twarz Dorothy. Wprowadziła wózek na werandę.

W maju 1942 roku Martin dostał dwutygodniowy urlop i przyjechał do Edynburga. Był wycieńczony, spał przez większą część pierwszego tygodnia, wstawał tylko, by coś zjeść lub pobawić się z dziewczynkami. Pewnego dnia, wracając z poczty, Bess usłyszała podniesione głosy dziewczynek.

– Daj mi to! – wrzeszczała Rebecca. – Ja to chcę!

– Odejdź głupia dziewczyno – odpowiadała Eleanor, która była znacznie wyższa od siostry i machała pudełkiem z farbami poza zasięgiem ramion Rebecki. – To pudełko jest moje. Dostałam od tatusia.

– Nie, jest moje! Oddaj! Chcę namalować obrazek dla mamusi!

– Znajdź swoje farby. Moich nie dostaniesz.

– Nienawidzę cię!

Ściskając mocno pudełko, Eleanor wbiegła po schodach na piętro. Rebecca zaczęła wyć ze złości. Aimée patrzyła na siostrę szeroko otwartymi oczami i powiedziała: „Becky”. Starsza

siostra mocno ją popchnęła i Aimée usiadła nagle, uderzając głową o wieszak na płaszcze. Przez chwilę siedziała przestraszona, po czym zaniósła się płaczem.

– Rebecca, idź do swojego pokoju – powiedział Martin, który wyszedł ze swojego gabinetu.

– Tatusiu...

– Powiedziałem, żebyś poszła do swojego pokoju. Rebecca powlokła się na górę po schodach, łkając.

Bess podniosła Aimée z podłogi i roztarła guza na głowie. Zrobiła herbatę, wykapała dziewczynki i położyła je do łóżek. Na parterze popatrzyła na rozrzucone zabawki i książeczki, stos ubrań do naprawy i porzucony na para pecie nadgryziony herbatnik.

– Rebecca potrafi być nieznośna. – Siadając, westchnęła ciężko. – Chwilami nie wiem, co z nią zrobić. Myślę czasami, czy nie powinniśmy wysłać jej do szkoły z internatem.

– Bzdura – odparł Martin, podając Bess kieliszek. – Podgrzane sherry. Tylko to nam zostało. Kiedy pomyślę o tych wszystkich butelkach szkockiej, które dostawałem od wdzięcznych pacjentów... – Uśmiechnął się. – Rebecca jest trochę dzika, to wszystko. Ma to po mamie.

– Biedny Martin. – Bess sączyła sherry. – Myślę, że byłbyś szczęśliwszy sam wśród swoich garnków i starych kości.

– Szczęśliwszy? Nie sądzę. Nudny, owszem.

– Nie tęsknisz za tym czasami? – zagadnęła ostrożnie. – I za utraconą wolnością?

– Ja? Nie. – Zatrzymał wzrok na żonie. – A ty, Bess?

– Wcale – odpowiedziała i zaczęła zbierać porzucone zabawki i ubrania.

– Zaskakuje mnie, jak często ludzie mówią o rodzinnym życiu z pogardą. Tak jakby nie było ono przygodą. A przecież przyjęcie dziecka na świat to wielkie wyzwanie. Nie

zamieniłbym tego na nic. Nigdy. – Przerwał na chwilę. Z góry dobiegały głosy dziewczynek, które teraz śmiały się. – Ale ty, Bess... Ostatnio się nad tym zastanawiałem.

– Nad czym, Martin? – zapytała, trzymając w dłoniach sandały i swetry.

– Czy jesteś naprawdę szczęśliwa.

– Oczywiście, że jestem szczęśliwa. – Zabrzmiało to sucho.

– Przypuszczam, że nigdy nie byłem dla ciebie dostatecznie dobry.

– Martin, wiesz, że to nieprawda. – Bess popatrzyła na męża.

– Przyszło mi do głowy parę razy, że dzieci pozwalają Ci wytrzymać w małżeństwie, którego nie chciałaś. – Martin miał smutek w oczach. – Jesteś kobietą, o której marzą mężczyźni. Piękną, namiętną i wrażliwą. Czasami myślę, że swoje najczulsze uczucia zachowujesz dla dzieci. Wiem, że nie chciałaś wychodzić za mnie. Nie miałaś jednak dużego wyboru. Zastanawiałem się też, czy nie wyszłaś za mnie po to, by mieć kolejnego syna.

– Jak możesz mówić coś takiego!

– Czy to takie nieprawdopodobne? Chciałaś przecież zaryzykować własne życie dla syna.

Bess spuściła wzrok. Pomyślała o Frazerze i Michaelu. Uświadomiła sobie, że synowie przynieśli jej tylko smutek.

– Nie, Martin. Jesteś w błędzie. – Usiadła na powrót, trzymając ubrania na kolanach. – Chciałam mieć synów. Ale to było dawno. Kocham moje córki. Są dla mnie wszystkim. Jeżeli myślisz, że nie jestem w pełni szczęśliwa, to przez wojnę. Martwię się o dzieci, o Kate. Martwię się o nią, zupełnie samą po śmierci biednego Hugh.

– Kate ma Dorothy – przypomniał jej Martin. – I sama. Ralph i Pamela odwiedzają ją, kiedy tylko mogą.

– Gdyby tylko mieszkała bliżej. – Bess westchnęła.

– Martwisz się też o Frazera, prawda? – Martin usiadł blisko niej.

– Staram się o niego nie martwić – odpowiedziała wymijająco.

– Gdziekolwiek przebywa – ujął jej dłoń – mało prawdopodobne, że uniknął zaangażowania w wojnę. Będzie walczyć, a jeżeli był we Francji, to może został internowany. W każdym razie został gdzieś w rejestrze zapisany. Po zakończeniu wojny pomogę ci go znaleźć. Czerwony Krzyż może być pomocny.

– Nie. – Popatrzyła Martinowi w oczy. – Tym razem to on odszedł i ja nie będę go szukać. Głos jej zadrżał, a oczy wypełniły się łzami. – Nie będę go szukać – po wtórzyła. – Miał powód, by wyjechać. Ale ja zadbałam o Ravenhart dla niego, aby miał gdzie wrócić. Jeżeli w ogóle wróci. – Zaciśnęła usta. Nie mogła powiedzieć już ani słowa więcej.

– Zrobiłaś dla niego, co tylko mogłaś – pojednawczo powiedział Martin.

– Zawiodłam go! Jego wady i słabość to moja wina!

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Frazer jest dorosły. Sam jest odpowiedzialny za swoje życie.

– Ale ja jestem jego matką.

Martin zaczął składać papiery, które leżały na stole.

– Pierwszy raz, gdy przyjechałaś do Francji, pamiętasz?

– Martin, proszę... – Bess pochyliła głowę.

– Gdy pojechałem z powrotem do Szkocji, szukałem Andrew Gilchrista.

Bess wzdrygnęła się, słysząc to nazwisko.

– Dopadłem go któreś nocy. Był sam, pijany, a ja go uderzyłem. Dwa razy. Chciałem go zabić.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Nie. – Martin zmarszczył brwi. – Pewnie było mi wstyd.

Chociaż nie żałuję tego. Patrząc wstecz, nie mogłem postąpić inaczej.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytała szeptem. Schował papiery do szuflady. Stał odwrócony do niej tyłem tak, że nie widziała jego twarzy.

– Każdy z nas coś ukrywa przed wszystkimi, może nawet przed samym sobą. Jeżeli myślimy, że wiemy o sobie wszystko, mylimy się. Po prostu nie zostaliśmy poddani jeszcze próbie.

Zapadła cisza. Martin rozejrzał się po pokoju i rozchmurzył się.

– Wyjdźmy gdzieś jutro, Bess – powiedział miękko. – Z dziećmi. Na przykład na piknik. Ubierzemy je ciepło.

– Ale na dworze jest ziąb, dzisiaj padał grad – zaprotestowała, podchodząc do Martina.

– Kocham cię, Bess. – Objął ją. – To prawdziwa miłość. Nigdy w to nie wątpiłem.

– Ciągle jeszcze? – Głos jej drżał. Podniosła dłonie do włosów. – Nawet teraz, gdy się starzeję?

– Starzejesz się? Nie zauważyłem. – Westchnął cichutko. – Kocham cię nad życie.

– Zawsze będziesz mnie kochał? – spytała, opierając głowę na jego piersi.

– Zawsze.

– Bez względu na to, jaka jestem i co zrobię?

– Nic na to nie poradzę.

Odsunęła się i patrzyła na niego, ucząc się go na pamięć, zanim znów wyjedzie.

– Dzieci są częścią mnie – powiedziała. – Są części, z mojego ciała i zawsze będą mi drogie. Nie zawsze jednali były moją radością. Tak jak ty, Martin. Jeżeli cię utracę, będę żyć dalej, ale radość zniknie z mojego życia.

Po śmierci Hugh Kate nadal mieszkała w domu Dorothy. Ten okres w jej życiu był dziwną mieszanką emocji: żalu po stracie męża i radości, którą dawał jej syn. Śniła w nocy, że spada w dół – stacza się raz z klifu, innym razem z wysokiego budynku, raz nawet z dachu Ravenhart House. Budząc się z tych koszmarów, płakała. Hugh zginął w samolocie strąconym do morza, które go tak przerażało. Kate z czasem ułożyła sobie życie i zaczęła wszystko od nowa. Musiała sobie poradzić ze względu na syna. Trzeba było go nakarmić i zmienić pieluchy, a gdy podrósł, gotować mu posiłki i naprawiać ubranka. Po zakończeniu wojny i rozpoczęciu przez Sama nauki w szkole, Kate przeszła kurs nauczycielski. Miała co prawda rentę po mężu, ale ciągle tkwiła w niej potrzeba samodzielności i radzenia sobie samej. W wakacje zabierała syna do Ralpha i Pameli albo do Edynburga.

Cieszyło ją, że Sam był tak bardzo podobny do Hugh. Wysoki jak na swój wiek, miał kasztanowe, kręcone włosy i miodowo-brązowe oczy o ciepłym spojrzeniu. Widziała w nim cechy ojca: pogodne usposobienie, bystry umysł i wielkie przywiązanie do matki. Pragnęła, by syn jak najmniej boleśnie odczuł brak ojca. Starła się robić wszystko to, co robiłby Hugh, gdyby żył. Grała z Samem w krykieta w parku, a w czasie wizyty w Trzech Kominach w dwa lata po wojnie przełamała strach i nauczyła syna pływać w rzece. Dom Martina w czasie wojny zarekwirowali Niemcy. Jabłonie w sadzie zostały ścięte, zapewne na opał. W starym domu pozostały ślady okupacji i zaniedbań, meble były odrapane, a podłoga zdarta. Martin zdecydował sprzedać swój dom.

– Bess i ja mamy trzy duże domy – mówił Kate podczas spaceru po lesie. – To śmieszne. Bess nie sprzeda Ravenhart. Myślę, że nie traktuje tej posiadłości jak swoją własność. Obawiam się, iż ciągle ma nadzieję, że Frazer wróci.

– A jakie jest twoje zdanie?

– Nie mogę pozbyć się myśli, że gdyby chciał, już dawno by się odezwał. – Martin potrząsnął głową. – Jeżeli nadal żyje, to ukrył się gdzieś znakomicie. – Uderzył ze złością łaską w paprocie i jeżyny. – Niemniej jednak uważam, że powinienem sprzedać dom. Mógłbym kupić małe mieszkanie w Le Touquet, łatwiej tam dojechać. Ty i Sam moglibyście spędzać tam wakacje.

Przez następne lata Kate wychowywała Sama, pomagała mu w lekcjach, opiekowała się nim, gdy chorował na świnkę i odrę, gdy złamał rękę i miał zapalenie wyrostka robaczkowego. Starła się też dzielić zainteresowania syna gokartami, jazdą na wrotkach i sklejaniem modeli samolotów, na których kiedyś latał jego ojciec. Latem 1951 roku wzięli oboje udział w ślubie Rebecki ze Stuartem Renfrewem, bogatym przedsiębiorcą, właścicielem sieci agencji nieruchomości w Londynie i Edynburgu. Stuart był o dziesięć lat starszy od Rebecki, miał dwadzieścia dziewięć lat. Bess i Martin starali się przekonać córkę, by zaczekała ze ślubem do swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Rebecca jednak była nieprzejednana, Zapowiedziała, że poślubi Stuarta nawet bez zgody rodziców. W końcu, po wielu rozmowach i kłótniach, postawiła na swoim.

To była wspaniała uroczystość. Rebecca wyglądała przepięknie w sukni z naturalnego jedwabiu z narzuconą białą koronką. W dzieciństwie często krzyczała: „Ja to chcę, to moje!”. Teraz, będąc żoną Stuarta, mogła spełniać swoje zachcianki. Miała domy w Edynburgu i Belgravii, mieszkanie na południu Francji i własny mały sportowy samochód. Jednak Kate, obserwując siostrę szalejącą po Londynie lub opaloną południowym słońcem po powrocie z Francji, doszła do wniosku, że Rebecca raczej nie sprawia wrażenia zadowolonej.

Z kolei Eleanor, która wybrała sobie zawód lekarza, była spełniona.

Po śmierci Dorothy Kate przeprowadziła się do Londynu. Sam miał już czternaście lat. Kupiła dom w Chelsea i porzuciła nauczanie na rzecz psychoterapii dziecięcej. Studiowała prace Freuda, Junga i Melanie Klein. Znalazła dobrą szkołę dla Sama. W czasie wojny straciła kontakt z Oliverem. Była bardzo zadowolona, gdy odkryła, że wrócił on szczęśliwie z wojny i razem ze Stephenem zamieszkał w swoim sklepie z antykami przy ulicy Portobello. Cieszyła się, że po powrocie do Londynu odnajduje starych przyjaciół, ale również z tego, że zaczyna wszystko od nowa.

Wraz z końcem wojny wojsko opuściło posiadłość Ravenhart. W drugiej połowie lat czterdziestych wiele dużych domostw w kraju zmieniło właścicieli. Zostały powierzone Narodowemu Funduszowi Powierniczemu lub popadły w ruinę, gdyż właściciele nie mieli pieniędzy na ich utrzymanie. Choć Bess sprzedała setki akrów ziemi w Ravenhart, nadal nie chciała sprzedać samego domu i szerokiego pasa ziemi, który go otaczał wraz z domkiem myśliwskim i stawem. Nigdy nie straciła nadziei, że Frazer powróci do domu.

Na początku lat pięćdziesiątych wynajęła dom firmie zajmującej się przeprowadzkami, która przechowywała w nim meble klientów. Bess jeździła do hrabstwa Perth co pół roku, aby sprawdzić, w jakim stanie jest dom. Mieszkała w kilku pokojach, które pozostawiła do swojej dyspozycji, a którymi opiekowała się oddana Phemie. Czasami widywała Morven, córkę Naomi, spacerującą po parku. Budząc się w nocy, zawsze wspominała Frazera, jak siedział w szczytce mahoniowego stołu lub stał przy kominku w głównym holu.

Do połowy lat pięćdziesiątych wszystkie córki Bess opuściły

dom rodzinny. Aimée była ostatnia. Ku zdumieniu Bess wraz z wiekiem Aimée piękniała. Mając osiemnaście lat, została modelką. Szybko osiągnęła sukces i zaczęła podróżować do Paryża i Rzymu, gdzie ją fotografowano i fetowano. Drobną twarz Aimée, z wysokimi kośćmi policzkowymi, burzą jasnych włosów i wielkimi szarymi oczami, była na okładkach „Vogue’a” i „Vanity Fair”. Eleanor też w końcu znalazła swoją pasję. Uzbrojona w medyczne wykształcenie wyjechała w 1955 roku do Indii. I pozostała, pracując w szpitalu w Kalkucie.

Bess straszliwie tęskniła za córkami. Trudno było jej się pogodzić z faktem, że tak ważna część jej życia dobiegła kresu. Jednak to, że zostali sami, miało swoje dobre strony. Od samego początku ich małżeństwa zawsze były z nimi dzieci. Teraz mieli czas dla siebie. Martin przeszedł na emeryturę w 1956 roku. W lecie następnego roku przez sześć tygodni podróżowali po Szkocji, zwiedzali zamki i prehistoryczne miejsca. Chodzili po plażach i górach, mieszkali w dobrych hotelach. Był piękny dzień, gdy wypłynęli z Ullapool na zachodnim wybrzeżu na wyspę Lewisa. Patrzyli na bezkresne spokojne morze, a słoneczne światło zalewało ich jedwabistym blaskiem. Stali ramię w ramię na pokładzie łodzi i widzieli, jak na horyzoncie rośnie wyspa. W Stornoway zameldowali się w hoteliku i resztę dnia spędzili, zwiedzając miasto. Następnego ranka pojechali do Callanish. Kamienne ostańce wyrastały z ziemi niczym prastary las, odcinając się czarno od wrzosowiska i morza. To dzikie i odwieczne miejsce na brzegu Oceanu Atlantyckiego oparło się w i chrom i burzom. Wieczorem, trzymając się za ręce, patrzyli na zachód słońca poprzez skały.

Zdrowie Martina zaczęło się pogarszać w następnym roku. Przyszła seria drobnych dolegliwości: przeziębień, kaszlu i podwyższonej temperatury, stracił też na wadze, Bess się martwiła, że Martin nie jest już tak energiczny i pełen

entuzjazmu jak kiedyś. Namawiała go na wizytę kontrolną, ale odmówił i zapewnił, że potrzebuje tylko trochę słońca, co ją nieco uspokoiło. W czerwcu wyjechali do Le Touquet na dwa tygodnie. Martin zdawał się dochodzić do siebie, wypoczywał na balkonie mieszkania z widokiem na plażę i morze.

W październiku wyjechał na jeden dzień do Edin's Hall w Borders. W trakcie badania stanowiska złapała go burza i Martin kompletnie przemókł. Jechał do domu w mokrym ubraniu i zanim dotarł do Edynburga, miał już gorączkę. Następnego dnia lekarz przepisał mu zastrzyki z penicyliny. Zdawało się, że Martin wraca do zdrowia, lecz dwa dni później, rannym przeszedł poważny zawał serca. Czas zdawał się wlec niemiłosiernie i Bess z trudem udało się wytrzymać do przybycia lekarza. Ale ten nie mógł już pomóc. Siedziała przy mężu, trzymając go za ręce. Po kilku dniach przyjechał z wizytą stary kolega Martina Charlie Campbell. Po złożeniu kondolencji opowiedział jej o wizycie, którą Martin złożył mu na początku roku, by zasięgnąć jego opinii.

Zdiagnozował u siebie raka płuc i Charlie potwierdził to rozpoznanie.

– Jeżeli może cię to pocieszyć Bess, lepiej, że tak umarł. Zapalenie płuc to lepsza śmierć, uwierz mi. Lepsza i szybsza – dodał.

„Jeżeli cię utracę, będę żyć dalej, ale radość zniknie z mojego życia”. Tak powiedziała kiedyś Martinowi. Każdy dzień po jego śmierci potwierdzał to przeczucie. Odkryła, że ból po utracie ukochanego męża nigdy nie mija. Można się tylko starać do niego przyzwyczaić i pojąć, że strata jest już nieodwracalna i że ukochany nie powróci po krótkiej nieobecności. Ciężko Martina żył w zakamarkach domu: w salonie, w gabinecie, w piwnicy i w sypialni; Bess, budząc się w nocy, nadaremnie szukała go obok siebie. Zdawało jej się czasami, że słyszy jego głos, że

chwytła koniec zdania, echo i tak trwała, wpatrując się w ciemność.

Nie uciekła jednak z tego domu tak, jak to zrobiła po śmierci Michaela. Pełno było w nim wspomnień. Jak te zwyczajne przedmioty potrafiły ranić! Kubek, w którym codziennie rano nosiła Martinowi kawę, zegarek i okulary. Nie mogła znieść ich widoku, ale nie potrafiła ich wyrzucić. Z drugiej strony te same drobiazgi dodawały jej otuchy. Pamiętała, jak Martin opowiadał jej o swojej wielkiej pasji – archeologii. „Niektórzy uważają, że moja pasja jest makabryczna. Nie rozumieją, jak wzruszające są resztki przeszłego życia. Nie wielkie skarby, złoto i klejnoty, ale zwykłe rzeczy: naszyjniki z koralików, noże, dzbanki i garnki. Drobiazgi, o które dbano i które kochano” – mówił. Bess również odkryła siłę zwykłych przedmiotów. Nie chciała zamieniać domu w sanktuarium, dbała o rzeczy Martina, odkurzała jego książki i stroiła pianino. Kate pomogła jej w najtrudniejszym zadaniu, posortowaniu garderoby męża i przedmiotów w gabinecie, wyrzuceniu starych, znoszonych ubrań i papierów bez żadnej wartości oraz w przekazaniu niektórych rzeczy w dobre ręce. Mając na względzie ewentualną publikację prac, choćby z prywatnych funduszy, postanowiła uporządkować notatki Martina, dotyczące historii Szkocji. Była to gigantyczna praca, gdyż dokumenty rosły z biegiem dziesięcioleci i zapełniły prawie dziesięć pudeł. Nauczyła się pisać na maszynie Martina. Czuła się blisko męża, gdy tak siedziała przy jego biurku, rozszyfrowywała odręczne pismo i przelewała na maszynopis zapiski i rysunki.

Chociaż córki namawiały ją do sprzedaży dużego, pustego domu, nie zrobiła tego.

– Jeszcze za wcześnie – mamrotała, aby dały jej spokój. – Byłoby z tym za dużo roboty. Może później.

Jak tylko mogła, unikała dyskusji i sporów. Rozmowy

męczyły ją. W czasie odwiedzin u córek już po jednym lub dwóch dniach marzyła o powrocie do cichego domu. Nawet listy z Indii od Eleanor, w których córka napominała ją, aby regularnie się odżywiała i nie oszczędzała na ogrzewaniu, odkładane były na bok z czułym uśmiechem. Bess się zdawało, że utraciła zdolność odczuwania innych uczuć poza żalem. Czasami tylko syn Kate potrafił ją zniemacka poruszyć swoją niezdaną, młodzieńczą czułością tak mocno, że musiała ukradkiem ocierać łzy. Wszystko to, jak również świadomość bezsensu reszty jej życia, chowała tylko dla siebie. Zawsze była skryta i swoje sekrety latami trzymała w tajemnicy. Tyle razy w swoim życiu doświadczyła uczucia straty i żalu, że powinna dać sobie z nim radę. W domu na Starówce duch Martina dotrzymywał jej towarzystwa. Przygotowywała sobie posiłki i naprawiała ubrania, nie chcąc niepokoić córek.

Dla towarzystwa zapisała się do kółka miłośników muzyki. Utrzymywała też kontakt ze starymi przyjaciółmi: Izzy i Daveyem, Charliem Campbellem i Ioną w Irlandii.

Były jednak sprawy, które przedzierały się przez mgłę smutku: troska o córki, wspomnienie ogromnego szczęścia, którego doznała w małżeństwie z Martinem. I nekrolog w gazecie „The Scotsman”, który w kwietniu 1961 roku obwieścił śmierć Andrew Gilchrista.

**Część piąta**

**Morven Gilchrist  
Wiosna 1961**

## Rozdział 17

Pogrzeb był smutny, jak każda taka uroczystość, nawet wtedy, gdy nikt nie żałował zmarłego. A do tego łało. Rozglądając się po dziedzińcu kościoła, Morven stwierdziła, że zgromadzeni wyglądają jak stado czarnych, przemoczonych wron. Po ceremonii wrócili do domu przy placu Charlotty. Przez ostatnie osiem miesięcy po udarze, który dosięgnął dziadka, mieszkali tutaj wuj Niall z ciotką Barbarą i to oni opiekowali się chorym. Dziadek nie zgodził się na przeniesienie do domu opieki. W czasie wizyty, którą Morven złożyła mu wraz ze swoją matką, zauważyła, że jedna strona twarzy chorego wyglądała, jakby pokrywała ją warstwa stopionego wosku. Dziadek nazwał ją Maxwellem, co wprowadziło Morven w zakłopotanie. Pomylił przecież zarówno imię, płeć, jak i wiek jej ojca o co najmniej dwadzieścia lat. Po śmierci dziadka właścicielem domu został wuj Niall, ale już wcześniej zaczął wprowadzać zmiany. Ciężkie zasłony zastąpione zostały nowoczesnymi tkaninami w kwieciste i pasiaste wzory. W kuchni zamontowano stylowe blaty firmy Formica.

– Jeżeli pozostawię to staroświeckie wyposażenie kuchni, to nigdy nie znajdę chętnych do pracy tutaj – mówiła Morven i jej matce ciotka Barbara. – Poza tym mogę się czymś zająć, rozumiecie. – Popatrzyła znacząco w stronę pokoju, w którym bardzo powoli konał dżin dek.

Po napięciu związanym z pogrzebem, w domu przy placu Charlotty zapanował pogodny, niemal radosny nastrój. Pito whisky i raczono się lekkim posiłkiem w jadał ni. Goście zawdzięczali to wujowi Niallowi, który niczego im nie skąpił. Był kawior, który wyglądał jak kopytki lśniących czerwono mrówczych jaj, łosoś na zimno, szyn ka i sałatki. Wuj Niall był całkowitym przeciwieństwem swego młodszego brata

Sandy'ego, który odmierzał swoim gościom napitki łyżeczką do herbaty i liczył herbatniki zjedzone do kawy. Z biegiem lat Niall się roztył jak balon i zrobił się czerwony na twarzy. Dobrodusznemu wyglądowi przeczyło jedynie uparte spojrzenie małych, czarnych oczu. Dla kontrastu Sandy wyglądał mizernie, skóra zaczynała z niego zwisać luźnymi fałdami, rude włosy blakły i mocno się przerzedzały. Tak, jakby nie pozostało w nim już wiele życia, zaczynał zamieniać się w mały, twardy orzech. Po długiej przerwie spowodowanej chorobą Andrew Gilchrista, nawiedzony przez tylu członków rodziny, kolegów i przyjaciół, dom ożył. Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. W gabinecie dziadka wujowie intrygowali, snuli plany i omawiali sprawy finansowe. Niedaleko od nich mali chłopcy urządzali wyścigi samochodzików na lśniącej marmurowej podłodze korytarza. W kuchni pomoc domowa, pani Black, zmywała naczynia. Barbara kroїła ciasto, a jakieś dwie kobiety rozmawiały o dzieciach i wnukach. O czwartej podano kanapki i ciasto z owocami. Barbara wepchnęła w ręce Morven talerz z pasztecikami z kiełbaską i nakazała poczęstować niemi żałobników w salonie. Wspaniale wyglądające kobiety w czarnych bluzkach i żakietach lub czarnych sukniach z białymi kołnierzykami i sznurami pereł, w malutkich aksamitnych czarnych kapelusikach rozsiadły się wokół kominka, zajmując wszystkie wygodne miejsca. W palenisku płonął ogień. Starsza córka Barbary, Pat, usiłowała w tajemnicy rozgrzać przy ogniu palce u stóp, ściągając buty na wysokim obcasie. Górka Avril, June, kołysała rudowłose dziecko, które zawinięte w szale i swetry wyglądało jak gąsienica w kokonie.

– Paszteciki z kiełbaską! – wykrzyknęła Avril. – Obawiam się, że są dla mnie za tłuste.

– Tylko jeden, wyglądają smaczkicie – odezwała się Pat, która była radosna i przy kości, jak jej matka.

– Ależ ty jesteś szczuplutka, Morven – zagadnęła Avril, obrzucając ją spojrzeniem z góry na dół. – Jak się czujesz?

– Bardzo dobrze, dziękuję ciociu Avril.

– Jak się miewa twoja mama? Jest w świetnym nastroju.

– Mama też ma się dobrze.

Matka Morven stała przy pianinie otoczona gromadką biznesmenów, kolegów dziadka, tak jak on zajmujących się nieruchomościami. Łatwo było ją zauważyć, nosiła bowiem czarny kapelusz z przypiętym dużym szkarłatnym kwiatem. W salonie rozległ się jej śmiech, głęboki i ostry.

– Czy nadal mieszka w... Nigdy nie pamiętam nazwy tego miejsca.

– Ravenhart, ciociu Avril. Tak, wróciła i mieszka tam już od roku.

– Musi tam być nieciekawie dla takiej dziewczyny jak ty, Morven. – Ciotka Avril zapaliła papierosa.

– Ja mieszkam teraz w Londynie.

– W Londynie? – Avril uniosła cienkie brwi. – Dobry Boże! To strasznie daleko. Czy Edynburg ci nie wystarcza?

– Chciałam zmiany.

– I czym się zajmujesz? – spytała Pat.

– Pracuję w domu towarowym Selfridges na stoisku Elizabeth Arden. Jeżeli więc wpadniecie do Londynu i będziecie chciały kupić nową szminkę...

– A czy masz już sympatię, moja droga? – Avril popatrzyła Morven przez ramię, jakby w pokoju siedział jakiś, szykowny kawaler.

– Nie, ciociu Avril – odpowiedziała spokojnie Morven.

– Nie powinnaś tego odkładać! – Ciotka pogroziła jej palcem i uśmiechnęła się szeroko. – Ile masz lat? Policz my – Naomi i Maxwell pobrali się w listopadzie trzydziestego szóstego, a ty się urodziłaś...

– W czerwcu następnego roku – podpowiedziała Morven i w duchu dodała: przecież o tym wiesz, ty stara wiedźmo. – Mam dwadzieścia trzy lata.

– Dwadzieścia trzy! Mając za ledwie o rok więcej, byłam już mężatką i oczekiwałam narodzin June. I popatrz na Pat – ma już trzech słodkich synków. – Avril usadowiła się z powrotem na swoim miejscu zadowolona, że do piekła krewniacze. – Pat, skarbie, jak tam migdałki Clive’a?

Rozmowa zesłała na dziecięce choroby. Morven przesunęła się w stronę młodszej córki Nialla i Barbary, Frannie, jej męża Caluma i Andy’ego, syna Avril i Sandy’ego, który siedział na parapecie okna. Calum dostrzegł paszteciki i wziął trzy, mówiąc:

– Moje ulubione, mniam.

– Czekamy na dogodną chwilę, żeby niepostrzeżenie wyjść do pubu – odezwała się Frannie.

– Trzeba poczekać, aż część gości wyjdzie. – Andy lustrował pokój.

– Proszę, poczęstujcie się. – Morven pomachała im talerzem przed nosami.

– Nie dam już rady, skarbie. Mama nakarmiła nas tak, że za chwilę chyba pęknę – powiedziała Frannie i zrobiła Morven miejsce na parapecie okna. – Jak leci? – zapytała.

– Dobrze, bardzo dobrze. – Znów usłyszała wybuch śmiechu matki. Szkarłatny kwiat na kapeluszu kiwał się na boki.

– Morven, wpadnij do nas jutro rano na kawę przed wyjazdem do domu. Jeżeli oczywiście zniesiesz panujący u nas chaos. – Wszyscy się odwrócili w stronę młodej dziewczynki, która płacząc, rozmazywała sobie po buzi czekoladę i szła w ich stronę. Frannie odezwała się zirytowana:

– Dlaczego dzieci są zupełnie inne niż oczekujemy? Sądzę, że to sztuczka matki natury, bo gdybyśmy znali prawdę, w ogóle

nie mielibyśmy dzieci. Ruthie, Ruthie, coś się stało, skarbie?

Calum wziął córkę na rękę, a Frannie wytarła jej buzię chusteczką, którą wyciągnęła z torebki.

– Czy można już mówić, co to za ulga, że już jest po wszystkim? – wyszeptwała.

– Masz na myśli pogrzeb?

– Mam na myśli i ceremonię, i odejście dziadka. Jak dobrze, że mamy to za sobą. To takie przygnębiające.

– Frań – powiedział ostrzegawczo Andy.

– Och! Daj spokój. Też go nie cierpiałeś. – Wzdrygnęła się. – Wszyscy się go baliśmy. A może nie? Ciekawa jestem, czy ktokolwiek go lubił.

– Przypuszczam, że nasza babka, choć przez chwilę – zaśmiał się Andy.

– Nic o tym nie wiem. Mama raz mi powiedziała, że dziadek okropnie ją traktował.

Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym rozeszli się: Andy'ego zawołała matka, Frannie rozpoczęła poszukiwania starszej córki. W chłodnym i cichym korytarzu Morven zjadła pasztecik z kiełbaską i rozmyślała nad wydarzeniami ostatniego tygodnia. Najpierw matka zatelefonowała do pensjonatu w Bayswater, w którym mieszkała Morven, by poinformować ją o śmierci dziadka. Potem była podróż do Edynburga. Nie mogła uwierzyć, że dziadek odszedł. Zanim zachorował, był takim masywnym, twardym mężczyzną. Wyglądał dostojnie jak góry Grampion. „Wszyscy się go baliśmy. A może nie?”. Morven miała inne zdanie. Ani Morven, ani jej matka nie bały się Andrew Gilchrista. Jej matce nawet z trudem przychodziło ukryć niechęć, którą czuła do teścia. Morven nie zdziwiłaby się, gdyby matka nie uczestniczyła w pogrzebie. Przypuszczała, że jest tu ze względu na sympatię do Barbary, Frannie i Pat, a nie z powodu żalu po dziadku. I oczywiście ze względu na przyjęcie.

Morven oparła się o zimną, marmurową ścianę wnęki i pocieszała się, że już w poniedziałek będzie z powrotem w Londynie. Ciągłe nie mogła wyrzucić z pamięci nie szczerej troski ciotki Avril, pytającej o mamę. Czuła nie pokój. Zastanawiała się, czy to nie była prowokacja ze strony ciotki. Pewnie trochę tak. Ostentacyjne przypominanie wszystkim, że Morven urodziła się w siedem miesięcy po ślubie rodziców, stało się normą, choć nie wynikało z chęci zranienia jej. Być może Avril nigdy nie doszła do siebie po przeżytym szoku, gdy się dowiedziała, że ktoś w rodzinie Gilchristów ulega namiętnościom. Ciotka, będąc grubo po czterdziestce, była już zasuszona i trudno wyobrazić sobie, by ulegała uczuciom. Avril zresztą miała rację, bo jak zachowywała się matka Morven? Była krucha, drobna i w doskonałym nastroju, a to nie wróżyło dobrze. Morven przez długi czas myślała o piciu matki jak o zaklętym kręgu. Nastąpił kryzys i zostało podjęte postanowienie, że koniec z alkoholem. Towarzyszył temu wielki wstyd i żal za to, co się stało. Nastąpiły czasy nudy i samotności, które były konsekwencją odstawienia alkoholu. Po kilku tygodniach czy miesiącach matka Morven, zmęczona i zła, odkryła, że przykrych odczuć łatwo się pozbyć za pomocą małego drinka. Z czasem przekonanie to doprowadziło do regularnego pijaństwa. Prędzej czy później następowało coś strasznego, jej matka spadała ze schodów lub wiązała się z jakimś podłym typem, który łamał jej serce. W takich sytuacjach ciotka Tessa lub Raymond z pubu telefonowali do Morven. Wtedy rzucała wszystko i pędziła do Szkocji. Matka leżała na kanapie ze zwichniętą kostką, milcząca, pogrążona we łzawej depresji. Morven sprzątała dom, a matka szlochając nienawidziła siebie i przepraszała, że zmarnowała córce życie: Po jakimś czasie wszystko się uspokajało. Naomi twierdziła, że jest już zdrowa i obiecywała, że nie weźmie do ust ani kropli.

Morven znów wyjeżdżała z Ravenhart i znów szukała pracy i pensjonatu.

To pewnie dlatego jeszcze nie wyszłam za mąż, pomyślała, i nie urodziłam dzieci jak Pat, Frannie i June. To przez matkę. Zawsze przychodził moment, gdy trzeba było opowiedzieć o matce. Najczęściej wtedy uciekała z powrotem do Ravenhart. Starła się unikać tego tematu i wiedziała, że chłopcy myśleli, że zbywa ich i szuka wymówek. Raz zwierzyła się mężczyźnie, którego, jak sądziła, kochała. W jego oczach zobaczyła wstręt i postanowiła nigdy tego błędu nie powtórzyć. Jakkolwiek frustrujące było zachowanie matki i jak wiele pretensji miała do niej Morven, nienawidziła, gdy ktoś krytykował jej postępowanie. Łatwiej było nie przejmować się, trzymać mężczyzn na dystans. Wystarczyło kino, kolacja i wieczór w jakimś zadymionym pubie w Soho. Nie byłaby jednak szczerą, zrzucając winę za niepowodzenia z mężczyzną mi wyłącznie na matkę. Oni często ją rozczarowywali, zupełnie jak kwietniowa pogoda. Nie można było na nich polegać; zbyt zadowoleni z siebie lub zbyt optymistycznie oczekiwali, że będzie się od początku o nich troszczyć. Morven już się napracowała, opiekując się matką, i nie chciała godzić się na takie warunki. Z dała od domu i matki szczytem wymagań Morven stawała się fasolka na grzance lub kanapka z serem i piklami. Czyżby ciągle jeszcze czekała na mężczyznę, który zwali ją z nóg i w którym zakocha się od pierwszego wejrzenia? Matka mówiła jej często: „Pokochałam twojego ojca w chwili, gdy go ujrzałam pierwszy raz”. Czyżby przyrównywała swoich konkurentów do ojca, którego nie знаła i stwierdzała, że nie spełniają wymagań? Nie byki to miła myśl, biorąc pod uwagę to, że Morven nie wierzyła opowieściom matki na temat jej narzeczeństwa i małżeństwa. Uważała, że ojciec nie porzuciłby miłość i doskonałej i nie odszedłby na zawsze. Nigdy oczywiście nie powiedziała tego

matce, gdyż wydawało jej się, że właśnie wyidealizowane wspomnienia pozwalają jej trwać. Zupełnie by się załamała, gdyby Morven zniszczyła te wspomnienia.

Model samochodu straży pożarnej uderzył ją w kostkę. Morven pochyliła się i odepchnęła zabawkę z powrotem do chłopców Pat. Odstawiła talerz z pasztecikami na półkę we wnęce i poszła korytarzem. Przez otwarte drzwi gabinetu dziadka usłyszała rozmowę swoich wujów.

– Sprzedamy Harvards – mówił Niall. Harvards to restauracja przy ulicy Princes, należąca do Gilchristów.

– Jeśli tylko znajdą się chętni. Przynosi same straty – dodał nieco bełkotliwie wuj Sandy.

– Już dawno powinien był się jej pozbyć – stwierdził Niall. – Na szczęście nie patrzy nam już na ręce. Ojciec ostatnio pogubił się w interesach.

– Nie tylko ostatnio, ale znacznie wcześniej. Nigdy już I nie doszedł do siebie po tym, co zrobił Maxwell.

– Maxwell? Myślałem, że to przez tego cholernego Voyle’a.

Sandy pokręcił głową i dodał zamyślony:

– Gdy sobie przypomnę, jak ojciec postępował z Maxwellem, nie mogę uwierzyć, że aż tak się przejął.

– Co masz na myśli, wujku Sandy? – zapytała Morven, stojąc w drzwiach.

Bracia podnieśli wzrok i popatrzyli na nią spode łba. Choć różnili się wyglądem zewnętrznym, poruszali się i wysławiali podobnie.

– Ucieczkę Maxwella.

Morven weszła do gabinetu, w którym było gęsto od dymu z cygar.

– Pytałam o to, jak z nim postępował.

– Och, słodko i uprzejmie, Morven – odpowiedział Niall sarkastycznie. – Można powiedzieć rozsądnie, jak z nami

wszystkimi.

Sandy wysączył resztkę drinka i popatrzył małymi wyblakłymi oczkami na Morven.

– Tłukł go gdzie popadło – dodał złośliwie.

– Sandy!

Morven starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest wstrząśnięta. Indagowała dalej:

– Dziadek bił mojego ojca?

– Było, minęło. – Niall zaśmiał się.

– Bił nas wszystkich. – Sandy dolał sobie whisky. – Ale Maxwell obrywał najbardziej. Niczym piorunochron, odciągał od nas zagrożenie.

– Nasz ojciec miał porywczy charakter. – Niall wzruszył ramionami. – A Maxwell potrafił doprowadzić go do szału.

– W większości wypadków należało mu się. Nie wątpię, że matka uważała go za anioła, ale on nim nie był. Nie cofał się przed niczym. – Dobrotliwą, drobną twarz Sandy’ego wykrzywił niemły grymas. – Miał talent do pakowania się w kłopoty. Sądzę nawet, że to go podniecało. Uwielbiał zwracać na siebie uwagę. Wyrzucano go z wielu szkół i ciągle mącił w domu.

– Zamknij się Sandy, ona jest jeszcze taka młoda. – Niall położył dłoń na ramieniu brata.

Sandy strząsnął rękę Nialla, wstał niezgrabnie, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Cholerny deszcz. – Zaciągnął się papierosem i pokiwał głową. – Ojciec najbardziej go jednak lubił.

– Gadasz bzdury.

– Naprawdę. Zawsze to wiedziałem.

– Za dużo wypieś, mój drogi – stwierdził rzeczowo Niall. – Powinieneś zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Kto to jest Voyle? – zapytała Morven.

Obaj mężczyźni obrócili się i popatrzyli na nią. Niall zgniótł papierosa w popielniczkę.

– Simon Voyle to niechlubny i dawno zamknięty rozdział z życia tego domu. Był asystentem ojca. Kilka lat przed wojną sypnął go – wyjaśnił. – Niektóre przedsięwzięcia nie były do końca przejrzyste, jeżeli wiesz, co mam na myśli, Morven. Oczywiście teraz wszystko jest czyste jak łąka. Voyle latami zbierał dowody przeciw ojcu. Kawałek po kawałku, listy i dowody transakcji finansowych, takie tam rzeczy. Ojciec się z tym uporał, zatrudni!

dobrych prawników i niewiele ciemnych sprawek udało się udowodnić. Ale to go zniszczyło.

Sandy przycisnął dłoń do szyby, jakby chciał wytrzeć krople deszczu, które spływały w dół.

– Nie udało mu się osiągnąć wymarzonej pozycji. Zawsze chciał zostać Lordem Provostem – dodał.

– W każdym razie – ciągnął Niall – to powszechnie znana sprawa. Skandal sprzed lat. Po pół roku wybuchła wojna, więc po zakończeniu procesu ludzie mieli co innego do roboty.

– Nie masz jednak racji, Niall – odezwał się nagle Sandy. – To ucieczka Maxwella tak zabolęła ojca, nie Voyle. Gdyby ojciec był w dobrej formie, poradziłby sobie doskonale z tym małym, jadowitym szczurem. – Sandy zniżył głos. – Ojciec zachowywał się tak, jakby nienawidził Maxwella, ale tak naprawdę to go kochał. Maxwell był jedyną osobą, która potrafiła ojca zranić. – W jego oczach widać było niezdrowe rozbawienie. – Pewnie Maxwell odwzajemniłby to uczucie, gdyby tylko o nim wiedział. – Podniósł gwałtownie szklaneczkę whisky i wznosił toast: – Za Maxwella, gdziekolwiek teraz jest.

Barbara i Niall odprowadzili ostatnich żałobników do drzwi. Niall zagwizdał na psa i wyszli z Sandym do pubu. Barbara

odetchnęła z ulgą. Pomimo ogromnych wysiłków pani Black wszędzie pełno było brudnych filiżanek, talerzy i szklanek. Przynajmniej wszyscy już sobie poszli i dom znów należał do niej. Teraz już po śmierci teścia, w pełnym tego słowa znaczeniu. Z radością myślała o tym, co tu zmieni, jak przemebluje pokoje i przekomponuje ogród. Zacznie już jutro rano od pozbycia się garderoby starego. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała zetrzeć z powierzchni ziemi najmniejszy nawet ślad istnienia Andrew Gilchrista. Sprzątając talerze, pomyślała, że ludzie zawsze obżerają się na stypach. Pod tym względem tylko wesela są gorsze, bo trwają dłużej. Nagle zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu nic widziała Naomi. Zaniepokoiła się. Odłożyła talerze i po szła na górę. Morven zmywała naczynia w kuchni. Taka miła dziewczyna, pomyślała Barbara. W jej wyglądzie jest coś eterycznego. Falujące ciemne włosy i szmaragdowe oczy, zupełnie jak u Maxwella, jednak Morven twardo stapa po ziemi i jest praktyczna. Czego nie można powiedzieć o Naomi. Zastukała do drzwi sypialni Naomi.

– Naomi, moja droga, czy masz ochotę na filiżankę herbaty?

Nikt nie odpowiedział, więc Barbara otworzyła drzwi. Naomi stała odwrócona do okna. Jej sylwetka odcinała się od srebrnego, popołudniowego światła. Barbara poczuła ukłucie zazdrości. To nie w porządku, że Naomi, nie stosując żadnej diety, była zgrabna. Mogła jeść i pić, co tylko chciała. A piła dużo. Barbarze wystarczyło tylko spojrzeć na czekoladowy herbatnik, żeby przytyć. Kontrowersyjny jak na pogrzeb kapelusz Naomi leżał na łóżku. Szkarłatny kwiat zwiędł. Barbara wiedziała, dlaczego Naomi go włożyła. Uważała śmierć Andrew Gilchrista. za powód do świętowania, a nie do żalu. Naomi nie potrafiła ukrywać swych uczuć, wszyscy mogli się domyślić, co czuje. Barbara chrząknęła dyskretnie i Naomi

odwróciła się do niej. Na twarzy dwie strugi łez rozmazały tusz do rzęs i kredkę do oczu. Naomi wyglądała teraz jak klaun.

– Myślałam, że może przyjdzie – wyszeptwała.

– Kto? Kto miał przyjść? – spytała zaskoczona Barbara.

– Max – odpowiedziała Naomi. – Myślałam, że teraz, kiedy ojciec nie żyje, Maxwell wróci! – Płakała. Barbara objęła ją mocno, nie czując już zazdrości.

Ostatnio opustoszały dom Bess na Starym Mieście był bardzo cichy. Zwykle kuchenne dźwięki, takie jak stuk łyżki o rondelki czy obieranie warzyw, słyszała wyraźniej niż zwykle. Robiła szarlotkę dla Izzy Kirkpatrick, która skręciła sobie kostkę i musiała leżeć. Ponieważ Davey potrafił przypalić nawet grzanekę, Bess obiecała przywieźć im coś na kolację. Odmierzając masło i mąkę, Bess myślała o swoich córkach. Dlaczego w końcu się nie ustatkują? Gdy były małe, wyobrażała sobie, i wierzyła w to, że każda z nich będzie wiodła spokojne, poukładane życie. Takie, o jakim ona sama zawsze marzyła, choć nigdy to marzenie się nie ziściło. Kate, Eleanor, Rebecca i Aimée miały zdobyć ciekawą pracę lub robić karierę. Oczywiście powinny też szczęśliwie wyjść za mąż i urodzić dzieci. Nie oczekiwała przecież zbyt wiele. Irytowała się na myśl o skrajnie różnych drogach życiowych córek. Z całych sił starała się dać im właściwe i konwencjonalne wychowanie. Nie fundowała im przeprowadzek po całych Indiach, nie musiały zadbać o siebie w młodym wieku, tak jak ona. A mimo to nie rozumiały, jak krótkie jest życie, jak okrutny i bezwzględny jest upływ czasu. Jej córki żyły samotnie, widywały się rzadko i kłóciły, gdy tylko były razem. Jednak kochały się chyba. Musiały się kochać, bo któż im inny pozostanie, kiedy i ona umrze? I, co wydawało się Bess najgorsze, miała tylko jednego wnuka. Uwielbiała Sama i nie mogła wyobrazić sobie wspanialszego młodzieńca, jednakże posiadanie tylko jednego

wnuka to stanowczo za mało. Sześcioro dzieci, które wydała na świat, dało jej tylko jednego wnuka. A przecież nie były już takie młode i nie można było powiedzieć, że „jeszcze mają czas”. Kate miała już czterdzieści cztery lata i była starsza niż Bess, gdy urodziła się Aimée. Choć śmierć Hugh była straszną tragedią, Bess zawsze miała nadzieje, że Kate znowu kogoś pokocha i znajdzie szczęście. Tak się jednak nie stało. Gdy w październiku Sam wyjechał do Oksfordu, jej córka została zupełnie sama.

A Eleanor? Fascynacja Indiami nie przełożyła się na zainteresowanie jakimś miłym kolegą lekarzem ze szpitala w Kalkucie. Praca wśród biednych dzieci hinduskich też nie natchnęła jej myślą o posiadaniu własnego potomstwa. Wręcz przeciwnie. Oświadczyła, że dzieci i tak jest już za dużo na świecie. Po co rodzić nowe, kiedy nie można wyżywić tych, które są. Dodała jeszcze, że gdyby to od niej zależało, nie pozwoliłaby nikomu mieć więcej niż dwoje dzieci. Bess z trudem powstrzymała się od zwrócenia jej uwagi, że gdyby tę regułę zastosować do jej własnych rodziców, to Eleanor ani jej siostry nigdy nie przyszłyby na świat.

Jeżeli zaś chodzi o Aimée, to przedkładała ona towarzystwo osłów nad dzieci. W wieku dwudziestu pięciu lat, rok temu, Aimée porzuciła nagle świat mody i bez żalu odcięła się od życia w luksusie. Zebrane pieniądze przeznaczyła na kupno farmy w Kornwalii, gdzie się opiekowała osłami wyratowanymi z opresji.

– Osły! – wykrzyknęła Eleanor z pogardą. – A tysiące dzieci umiera z głodu!

Bess odwiedzała Aimée w Kornwalii i widziała, jak bardzo córka kocha swoich czworonożnych przyjaciół. Widziała też, jak wiele osób z Londynu i Edynburga przyjeżdża do córki z wizytą i jak wielu mężczyzn patrzy na nią z taką samą miłością,

z jaką ona patrzyła na zwierzaki. Bess nic nie powiedziała, ale ciężko to przeżyła. Aimée zawsze chodziła własnymi ścieżkami i uśmiechała się słodko do wszystkich, którzy dawali jej dobre rady tylko po to, by później zupełnie ich zlekceważyć. Ileż to razy zrozpaczona Bess wykrzykiwała do Martina: „Nie mogę uwierzyć, że to moja córka! Musieli ją zamienić w szpitalu!”.

Bess ani przez chwilę nie wątpiła, że to Rebecca jest najbardziej do niej podobna. Zawsze obstawała przy swoim tak długo, aż osiągnęła cel. Była też ciekawa świata. Nie miała w sobie nic z Martina. Była istnym wcieleniem Bess. Mając czarne włosy i niebieskie włosy, wyglądała tak samo jak matka. Nie różniły się też charakterem. Być może dlatego, Elizabeth nie potępiała córki tak bardzo. Zmyślna, egocentryczna, leniwa i ciągle niezadowolona Rebecca potrafiła rozkochać w sobie każdego mężczyznę. W trzecim roku małżeństwa ze Stuartem zaszła w ciążę, którą poroniła w czwartym miesiącu. Utrata dziecka zraniła ją głębiej, niż chciała to przyznać. Stała się jeszcze bardziej zapiekła w swojej nieustępliwości i nieokiełznana. Nie stroniła od romansów, rozwiodła się i ponownie wyszła za mąż. Tym razem za Jareda Coopera. Jared był dobrze zbudowany, miał jedwabiste czarne włosy i płomienne, ciemnobrązowe oczy. Był poetą. Rebecca porzuciła pałac, by przeprowadzić się do trzypokojowego mieszkania przy Ladbroke Grove. Zamieniła suknie od Chanel na niebieskie dżinsy i czarne golfy. Bess miała nadzieję, że Rebecca, wychodząc tym razem za mąż z miłości, zaspokoili nienasyconą duszę. Małżeństwo nie przyniosło jednak uspokojenia, o czym świadczyły częste dramatyczne rozstania i powroty.

Wałkując francuskie ciasto, Bess rozmyślała nad kolejnym kłopotem: Ravenhart House. Przed dwoma miesiącami firma, która wynajmowała dom przez ponad dziesięć lat, została zlikwidowana. Żadna z jej córek nie była zainteresowana

zamkiem i żadna nawet nie chciała tam przyjechać z wizytą. Od czasu do czasu udawało jej się namówić na przyjazd Kate, ale i ona zawsze odwoływała go w ostatniej chwili, twierdząc, że jest bardzo zajęta. Rebecca, która nieustannie pragnęła rzeczy wspaniałych i nowoczesnych, nie była zainteresowana staromodnym, szkockim domiszczem. Eleanor i Aimée urządziły się daleko od hrabstwa Perth. Zatem to Bess musiała podjąć decyzję co do przyszłości Ravenhart House. Zamek stanowił dla niej zbyt duże obciążenie finansowe i nie mogła pozwolić, żeby stał pusty. Zastanawiała się, jak rozwiązać problem. Zdawała sobie sprawę, że po jej śmierci dom stałby się ogromnym ciężarem dla córek. Wahała się, niepewna co ma zrobić i była zła z powodu swego niezdecydowania. Z domem wiązało się zbyt wiele wspomnień, miłości, nienawiści i smutku, aby pozbyć się go tak po prostu. Poza tym pozostawał jeszcze cień nadziei, że kiedyś wróci Frazer. Postanowiła pojechać do Ravenhart House w następnym tygodniu. Musiała upewnić się, że firma zabrała wszystkie, należące do niej meble. Sądziła, że będąc na miejscu, łatwiej podejmie decyzję.

Zadzwonął telefon. Bess wytarła dłonie o fartuch i podniosła słuchawkę.

– Mamo – odezwała się Kate. – Musisz przyjechać. Rebecca rzuciła Jareda.

Naomi i Morven wróciły do domu po pogrzebie późnym popołudniem. Dom był zakurzony i panował w nim bałagan. Naomi przywitała się radośnie ze swoim psem Lulu i powiedziała:

– Położę się na chwilę. – I poszła na górę.

Morven, zajrzawszy do kuchennych szafek, stwierdziła, że przydałoby się zrobić zakupy. Pojechała do sklepu w wiosce, kupiła mleko, chleb, jajka, boczek, warzywa, owoce, szare

mydło i środki czystości. Po powrocie do domu zaparkowała wóz matki, hillmana minxa, przed domem. Otworzyła bagażnik i zatrzymała się na chwilę. Patrzyła na dolinę, w której ukryty za drzewami i wzniesieniami stał Ravenhart House. Poczula w brzuchu znane z dzieciństwa uczucie oczekiwania, tęsknoty za dawno niewidzianym domem. Od dziecka uważała Ravenhart House za swoje królestwo. Gdy była dziewczynką, sądziła, że zamek z iglicami i spadzistymi dachami został tu przeniesiony z bajkowej krainy. Pójdę tam jutro, obiecała sobie, wyjmując z bagażnika torby z zakupami. Wtem usłyszała nieznajomy dźwięk. Na ścieżce, prowadzącej z Ravenhart House, zobaczyła wyłaniającego się zza zakrętu mężczyznę. Był to pewnie jakiś turysta. Bez nakrycia głowy, w odpowiednich butach i z odpowiednim sprzętem turystycznym szedł w stronę bramy. Zauważyła, że nieco kulał. Gdy ją mijał, pozdrowiła go. Nieznajomy popatrzył na nią, lekko się uklonił i poszedł dalej. Miły typek, pomyślała kwaśno, mieszczuch, który nie rozmawia z osobami, jeśli nie zostały mu przedstawione. Weszła do domu. Na stole w kuchni leżała karteczka od matki: „Poszłam do Moiry, wrócę szybko, Mama”.

Po dwóch godzinach spędzonych u Moiry, która prowadziła sklep z wełną i przyborami do robótek ręcznych, Naomi poszła do pubu Half Moon. Był to duży bar, z kilkoma pokojami gościnnymi na piętrze. Naomi od wielu lat znała właściciela, Raymonda Erskina. Żałowała, że tego wieczoru Raymond nie stał za barem. Bardzo go lubiła i miała ochotę z nim porozmawiać. Drinki serwował nowy chłopak, sympatycznie wyglądający młodzieniec o imieniu Fergus. Może to i lepiej – pomyślała, siadając przy kontuarze i zamawiając krwawą mery. Raymond mógłby być niezadowolony. Musiała poprawić sobie nastrój, zasłużyła na zabawę po męczących przejściach na

pogrzebie Andrew Gilchrista. Koktajl podniósł ją na duchu, zamówiła więc następny i rozglądała się po lokalu. Naomi miała na sobie spódnicę z wielbłądziej wełny i kremowy kaszmirowy sweter. Narzuciła na ramiona płaszcz z futrzanym kołnierzem z nerek. Była to wprawdzie tylko mała, góraska wioska, ale pani Gilchrist zawsze dbała o swój wygląd. Raymond serwował też śniadania i przekąski. Naomi zastanawiała się, czy nie zamówić kanapki z wołowiną, ale zrezygnowała. Wystarczyło jej kilka drinków, kilka papierosów i ktoś, z kim mogłaby porozmawiać. Ktoś, kto nie był Gilchristem, był zabawny i umiał odwrócić jej uwagę od przykrych spraw. Wprawnym okiem oceniała gości; przy stolikach siedziało paru tutejszych mieszkańców: gospodarzy i właścicieli niewielkich firm. Pozostali to turyści i wędkarze, kilku komiwojażerów – podróżowali na północ i zatrzymali się na nocleg. Wzrok Naomi zatrzymał się na mężczyźnie, który samotnie popijał piwo, czytając książkę. Z aprobatą patrzyła na jego jasne włosy, szerokie ramiona pod koszulą koloru khaki i ładną linię ust. Był od niej młodszy, ale ona nie wyglądała na swój wiek. Będąc w nylonowych pończochach, Naomi założyła nogę na nogę, by zaraz usiąść w poprzedniej pozycji. Nieznajomy podniósł na chwilę wzrok i wrócił do lektury. Żałosny chłoptaş, pomyślała i dalej lustrowała salę. Uchwyciła spojrzenie jakiegoś sprzedawcy, który zaraz wstał, podszedł do baru i zaproponował jej drinka. To dopiero trzeci, a byłam grzeczna tak długo, pomyślała. Stwierdziła, że wszystko jest w porządku, jak długo potrafi policzyć wypite drinki i wybuchnęła śmiechem. Handlowiec miał na imię Kevin i pochodził z Belfastu. Sprzedawał nakrycia stołowe i bieliznę pościelową restauracjom i hotelom. Towar był dobrej jakości i za pół ceny, jak mówił.

– Założę się, że moje prześcieradła niejedno widziały – chwalił się.

Naomi zatrzepotała rzęsami i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nie wiem, o czym mówisz, Kevin – powiedziała. Poczęstowała go papierosem i sama też wzięła. Gdy podawał jej ogień, zauważyła, jak zanurkował wzrokiem w jej głęboki dekolt. Zadowolona uśmiechnęła się w duchu.

O dziewiątej przyszedł do baru Raymond.

– Ray, skarbie. – Objęła go na powitanie. Potem pocałowała Kevina, żeby nie był zazdrosny. Czuła się piękna i szczęśliwa. Uważała, że zachowuje się, jak należy. Zapominając, że dobry nastrój zawdzięczała kilku drinkom, szukała czegoś w torebce.

– Czego się napijecie chłopcy? – zapytała.

– Szkocką – odpowiedział Kevin.

Ray wyciągnął rękę, zamknął jej portmonetkę i włożył ją z powrotem do torebki.

– Zrobię kawę, blue mountain.

– Chcę drinka. – Naomi się nadaśała.

– Kawa – powtórzył. – I chciałbym z tobą porozmawiać o restauracji.

– Pani powiedziała, że chce drinka – wtrącił się Kevin. Ray, swoją posturą przypominający czołg, którym dowodził w wojsku, odwrócił się do niego i powiedział:

– Na twoim miejscu już bym stąd zniknął.

Kevin zwlekał chwilę, zanim niezadowolony odszedł od baru.

– Ray. – Naomi spojrzała na niego z wyrzutem.

– Wiesz, że robię pyszną kawę – odparł z uśmiechem.

Ray zniknął w kuchni. Naomi udało się wyłudzić podwójną wódkę od barmana. Wypiła ją szybko, aby Ray znów jej nie skarcił. Choć on i tak nigdy tego nie robił.

Ale wyglądał na nieszczęśliwego i rozczarowanego, co było jeszcze gorsze. Sam miał kiedyś problem z alkoholem. Otworzył pub, by, jak mówił, popatrzeć diabłu pro sto w oczy. W ten

sposób nałóg już nim nie zawładnie, Naomi wmawiała sobie, że nie ma takiego problemu, zbierając opuszką palca ostatnią kroplę wódki; odstawiła kieliszek poza zasięg wzroku Raya. Mogła rzucić pi cie, kiedy tylko chciała. Czyż nie udowodniła tego wielu razy?

Ray wrócił z kawą, usiadł przy Naomi i pokazał plany restauracji przygotowane przez architekta. Uwagi o ścianach nośnych i wybijaniu otworów puszczała mimo uszu, rozmyślając, jak bardzo lubi Raya. Oświadczał się jej już, kilka razy i wcale się nie obrażał, gdy mu odmawiała. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, chciał rozszerzyć działalność i był dobry w łóżku. Kusił Naomi. Dawała mu kosza ze względu na swoje krótkie małżeństwo z kłamliwym, niewiernym i niegodnym zaufania draniem, które – jak sądziła – na zawsze wyleczyło ją z potrzeby posiadania męża. Gdy Ray odszedł, by przytaszczyć nową beczkę z piwem, Naomi szybko dołała sobie do kawy brandy z piersiówki, którą nosiła w torebce. Po brandy zawsze było jej ciepło i czuła się spokojna. Wrócił Ray. Zsunęła pantofel z nogi i przejechała palcami stopy po jego łydce. Zdecydowała, że pójdzie dziś z nim do łóżka, dość już miała samotnych nocy. Morven nie będzie miała nic przeciwko temu, dała przecież jasno do zrozumienia, że woli własne towarzystwo. Morven...

Drzwi pubu otworzyły się, Naomi podniosła wzrok i zobaczyła stojącą w wejściu Morven. Zupełnie jakby ściągnęła ją myślami. Popatrzyła z wyrzutem na Raya, który rozłożył ręce w niemym geście usprawiedliwienia i odwróciła się w stronę córki.

– Kochanie!

Zsunęła się z barowego stoika i klucząc między stołkami, zmierzała w stronę Morven. Zapomniała jednak, że nadal trzyma w dłoni filiżankę kawy, którą właśnie i rozlewała na

podłogę. Manewrując między stolikami, potknęła się o plecak i przewróciła prosto w ramiona mężczyzny o jasnych włosach. Kawa zaplamiła stronicę książki, którą czytał.

– Przepraszam. Bardzo cię przepraszam, mój drogi – zamruczała niskim, gardłowym głosem, wycierając rozlaną kawę rękawem.

– Chodź mamo, idziemy do domu. – Morven wzięła jej torbę i płaszcz z rąk Raya i trzymając matkę pod rękę, skierowała się do wyjścia.

Kilka dni później, gdy matka spała na kanapie, Morven wybrała się do Ravenhart House. Szła drogą pośród zapachu sosen, szumu trawy i porośniętego brzoziami srebrzystego potoku, co sprawiło, że pozbyła się złego nastroju. Na łuku mostu odpoczęła, opierając łokcie o poręcz i podziwiając góry. Widok sięgających nieba skał zawsze podnosił Morven na duchu. Dalej na poboczu tłoczyły się w grupkach sosny. Przechodząc pod nimi, znalazła się w głębokim cieniu, a jej kroki tłumiała gruba warstwa opadłego igliwia. Drzew było coraz mniej i wkrótce zobaczyła dom. Puste, czarne okna patrzyły na nią. Na okalającym drzwi frontowe portyku pojawiły się porosty. W domu i ogrodzie panował bezruch i niczym niezmacony spokój. Aż trudno wyobrazić sobie, że dom kiedyś tętnił życiem.

Morven okrążyła budynek. Podeszła do małych drzwi, które niemal całkowicie porośnięte były bluszczem, gdy je znalazła wiele lat temu. Do Ravenhart House weszła pierwszy raz, kiedy miała jedenaście lat. Wcześniej zadowalała się spacerami w ogrodzie po zarośniętych chwastami ścieżkach i podziwianiem omszałych kamiennych waz oraz przerośniętych róż na rabatach. Oplatane bluszczem drzwiczki nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je i wędrując po domu, odkrywała pokoje zawalone wielkimi staromodnymi stołami, szafami i komodami

z mnóstwem szuflad. Przez następne lata dokładnie poznała cały dom i oczarował ją. Czasami zamykała oczy i mocno się koncentrowała, wierząc, że gdy je otworzy, dom będzie ciepły, rozjaśniony światłem i pełen ludzi. Przez całe dzieciństwo ten dom przynosił jej radość. Co jakiś czas, mniej więcej raz na rok, Naomi dochodziła do wniosku, że dosyć ma już życia w tej zapadłej dziurze i wyjeżdżały do Londynu lub Edynburga. Morven najbardziej wtedy tęskniła za Ravenhart House. Ten dom stanowił jedną z nie licznych stałych rzeczy w jej życiu. Domy, szkoły, przyjaciele matki – to się zmieniało jak pory roku. Wytchnienie od tego wszystkiego zapewniał Ravenhart House. Za każdym razem, gdy zagłębiała się w jego wnętrza, odkrywała coś nowego – pokój na końcu długiego ciemnego korytarza lub drzwi w wyłożonej boazerią ścianie. Albo szafę pełną hełmów i manierek pozostawionych po wojnie, rzędy płytkich szufladek ze szklanymi wiekami, w których były delikatne, zbrązowiałe już motyle. W szafie, w pokoju na piętrze znalazła męskie koszule pieczołowicie zapakowane w bibułę. Miękki bawełniany materiał wyglądał jak nowy i pachniał lawendą.

Od jej ostatniej wizyty kilka pnączy bluszczu znów wyrosło w poprzek drzwi. Morven zerwała je, odsunęła zasuwkę i weszła do środka. Drzwi wiodły do labiryntu schowków, spiżarni i niskich korytarzy. Po kamiennym zlewie biegł żuk. Morven przesunęła palcami po marmurowym blacie, który był zimny jak lód. Wąskie korytarze przeszły w szersze i wkrótce się znalazła w samym sercu domu. Ze zdumieniem zauważyła, że większość gromadzonych tu przez lata mebli zniknęła. Idąc dalej zobaczyła, że niemal wszystkie kufry, szafy, stoły i krzesła zostały wyniesione. Pozostałe meble zapewne należały do Ravenhart House. Uprzątnięcie pokoi przyniosło pozytywny efekt. Mogła się teraz dostać do zastawionych do tej pory

kredensów i szuflad. W szafie wbudowanej w ścianę odnalazła pudełka z fotografiami w kolorze sepii, z których groźnie spoglądały dzieci ubrane w marynarskie stroje i białe sukienki. Inne przedstawiały rodzinę i służbę, pozującą na trawniku. Była też fotografia kobiety w czarnym kapeluszu, stojącej przy wózku z małym pulchnym dzieckiem. Morven wzięła do ręki następne zdjęcie, z którego uśmiechał się do niej ojciec. Fotografowi udało się uchwycić jego rozbawione oczy. Miał na sobie białą koszulę i jasne spodnie. Stał przed małym, kamiennym domkiem otoczonym górami. Musiał mieć tyle lat, ile ona teraz. Przypomniała sobie fragmenty rozmów toczonych w czasie pogrzebu. „Tłukł go... Zdolny był do wszystkiego... Niektóre jego przedsięwzięcia nie były do końca przejrzyste”. Na fotografii ojciec stał między mężczyzną a jakąś dziewczyną. Mężczyzna był blondynem, dziewczyna na pewno nie była jej matką. Szczupła, jasnowłosa miała na sobie szorty i koszulę zawiązaną wokół talii; ona też wyglądała na szczęśliwą i uśmiechała się.

Zapadał zmierzch. Morven schowała fotografie do pudeł. Zostawiła sobie tylko zdjęcie ojca i jego przyjaciół. Włożyła je do kieszeni i wyszła z domu. W drodze powrotnej tylko raz się obejrzała. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w oknach domu i wydawało jej się, że dom oświetlony jest od środka ogniem kominków i światłem lamp. Po chwili sosny zasłoniły widok i Ravenhart House zniknął za zakrętem drogi. Zbliżając się do swojego domu, zauważyła, że hillman, zaparkowany przed domem, zniknął. Dom nie został zamknięty, kuchenne drzwi stały otworem. Po matce nie było śladu, ale w środku, na stoliku stała pusta butelka po ginie.

Morven zadzwoniła do sklepu dziewiarskiego Moiry i do Pameli, która prowadziła sklepik we wsi. Potem do Raymonda, ale nowy barman Fergus powiedział, że Raymond wyjechał rano

do Perth i wróci dopiero wieczorem, a pani Gilchrist dzisiaj w pubie nie było. Obdzwoiła wszystkich przyjaciół oraz znajomych matki i zastanawiała się, czy nie powiadomić policji o jej zniknięciu. Zdecydowała się jednak tego nie robić. Przygotowała sobie filiżankę herbaty, której połowę wylała do zlewu. Poszła w stronę bramy i sprawdziła kawałek drogi, jednak nie znalazła matki. Zapadał zmrok i ostre kontury skal oraz krawędzie drogi zaczęły się rozpląwać w ciemnościach. Naomi jeździła fatalnie, Morven zawsze miała duszę na ramieniu, kiedy prowadziła matkę. Gdy Naomi była pijana i siadała za kierownicą, stanowiła realne zagrożenie. Morven wróciła do domu i dalej szorowała zaniedbane szafki kuchenne. Nasłuchiwała warkotu silnika. Winiła siebie za to, co się stało. Nie powinna była iść do Ravenhart. Przecież wszystkie symptomy widać było jak na dłoni: zaniedbany dom, zmienny nastrój matki i jej gwałtowne zachowanie. Koło dziesiątej w nocy usłyszała chrzęst opon i huk uderzenia, które zatrzęsło całym domem. Wybiegła na zewnątrz. Serce uwięzło jej w gardle, nogi były jak z waty i miała wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie. W świetle padającym z okna zobaczyła samochód matki przodem wbity w żelazną bramę. Z tyłu w poprzek drogi stał land rover. Jakiś mężczyzna wyskoczył z niego i biegł w stronę bramy. Utykał i po tym właśnie Morven rozpoznała jasnowłosego piechura. W hillmanie na kierownicy matka leżała z zamkniętymi oczami.

– Mamo – wyszeptała Morven. – Mamusiu.

– Zbyt szybko wjechała w zakręt, omal na mnie nie wpadła – usłyszała za sobą głos. Morven potrząsnęła ramieniem matki. – Proszę jej nie ruszać. Mogła sobie coś złamać. Czy wyczuwa pani puls?

Morven położyła palce na szyi matki.

– Tak – odpowiedziała z ulgą.

Morven miała na sobie tylko spódnicę i sweter z krótkim rękawem. Jasnowłosa mężczyzna otulił ją swoją kurtką z kapturem i zapytał:

– Czy ma pani telefon? Trzeba wezwać pogotowie. Morven pobiegła do domu i zadzwoniła po karetkę.

Pozwolono jej towarzyszyć matce, więc w drodze do Pitlochry usiadła na tylnym siedzeniu ambulansu. Po jakimś czasie Naomi odzyskała przytomność, zaczęła mamrotać i szlochać. Morven starała się ją uspokoić. W szpitalu odwieziono Naomi do gabinetu, a Morven godzinami siedziała na metalowym krzeselku w korytarzu, po którym chodziły pielęgniarki w wykrochmalonych fartuchach. Przed oczami ciągle miała widok samochodu wbitego w bramę Ravenhart. Wraz z zapadającą nocą tupot nóg i zgiełk panujący na zewnątrz cichł. Do szpitala przyjechał Raymond, objął Morven i pocieszał, jak tylko umiał. Słyszała jednak niepokój w jego głosie. Po jakimś czasie podszedł do nich ubrany na biało, zmęczony lekarz i powiedział, że pani Gilchrist ma kilka złamanych żeber i lekkie wstrząśnienie mózgu. Teraz głęboko śpi, mogą więc wrócić do domu. Raymond ją odwiózł. W kuchni Ina stole nadal stała butelka po alkoholu i środek do czyszczenia. Była pierwsza nad ranem.

Kate wykorzystała chwilę, gdy matka rozmawiała z Rebeccą i wyszła z domu. Dzień był jasny i pogodny, w powietrzu już czuło się wiosnę. Poszła najpierw do So ho na ulicę Greek, gdzie w niewielkim, ale doskonale zaopatrzonym sklepie kupiła oliwki, ser Brie, karczochy i butelkę merlota. Na ladzie leżała wielka tarta. Zapach orzechów, śmietanki i toffi wzbudził wspomnienia. Kiedyś przyrządziła Oliverowi pieczoną jagnięcinę, a potem jedli orzechową tartę, którą przywiózł z Francji. Kate kupiła duży kawałek tarty i wyszła ze sklepu. Pomyślała, że na Portobello może kupić prezent urodzinowy dla

swej przyjaciółki. Urszula była bogata i miała doskonały gust. Trudno znaleźć odpowiedni prezent dla kogoś takiego. Teraz właśnie przydałby się Oliver.

Spiesząc do metra, Kate rzuciła okiem na swoje odbicie w szybie wystawowej. Zobaczyła kobietę w średnim wieku, ubraną w płaszcz przeciwdeszczowy i spódnicę do kolan, obładowaną zakupami, z rozwianymi włosami, które rano bezskutecznie usiłowała jakoś ułożyć. Ostatnio dość często dostrzegała siwe włosy na głowie i pomimo ostrzeżeń matki, która utrzymywała, że na miejscu jednego wyrwanego siwego włosa zawsze wyrastają trzy nowe, wyrывała je.

W metrze wyjadała z tarty orzechy laskowe i czytała powieść Iris Murdoch, którą przed wyjściem z domu wepchnęła do torby. Zawsze w metrze musiała czytać książkę, gdyż nie lubiła ciemnych tuneli.

Na Portobello zauważyła, że szyld nad sklepem Olivera nie był już zielonozłoty. Napis „Colefax i Syn” wymalowany został czarnymi literami na brązowo-różowym tle i dumnie oznajmiał wkroczenie syna w ojcowskie przedsięwzięcie. Kate popatrzyła przez szybę. Jej wzrok błędził między szezlongami i biurkami, aż dojrzała mężczyznę stojącego na końcu sklepu. Pomachała szybko, gdy tylko ich spojrzenia się spotkały.

– Kate! – Oliver otworzył jej drzwi – Co za wspaniała niespodzianka! – ucieszył się, całując ją na powitanie w policzek.

– Oto chwila, jak z powieści Prousta – powiedziała, gdy Oliver powiesił na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte”, po czym poszli na górę do mieszkania. – Orzechowa tarta sprawiła, że pomyślałam o tobie. – Wyciągnęła ciasto z torby i dodała: – Poczęstuj się, tylko troszkę ją nadgryzłam. – Uśmiechnęła się. – Ale pewnie tego nie pamiętasz.

Oliver przygotował kawę, wyłożył tarte na talerz i przekroił

na pół.

– Oczywiście, że pamiętam. Przywiozłem ją z Francji i zjedliśmy po kilka kawałków.

– Teraz już bym się na to nie odważyła. Moje biodra...

– Bzdura – wpadł jej w słowo Oliver. – Jesteś piękna jak zawsze.

– Komplementarz z ciebie. Co słyszeć?

– Wszystko w porządku.

– A jak się ma Stephen?

– Wyjechał na wyprzedz w północnej Anglii. – Oliver był dumny z syna. – Ma głowę do interesów. Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradził. A co u Sama?

– Też wszystko dobrze – odparła z taką samą dumą. – Jest bardzo zadowolony ze zdanych egzaminów wstępnych na uniwersytet w Oksfordzie. – Oliver postawił przed Kate turkusową filiżaneczkę na spodku. – Jak się czuje Margot? – spytała nieśmiało, wiedząc, że rok temu stwierdzono u niej raka.

– Nigel dzwonił kilka godzin temu. – Oliver był zasmucony. – Musiała wrócić do szpitala. Nawrót choroby.

– Och, Oliver. – Kate uściśniła mu dłoń. – Tak mi przykro. Biedna Margot, biedny Nigel.

– Zawsze mogłem na nią liczyć, była taka silna. Uwielbiała Stephena. Być kochanym, to takie ważne dla dziecka, nie sądzisz?

Nie tylko dla dziecka, pomyślała.

– A co u ciebie, Kate?

– Moja siostra doprowadza mnie do szału – mruknęła.

– Rebecca?

– Oczywiście, a któż inny? Odeszła od Jareda. Oliver, to już jej drugi mąż, a ona ma zaledwie dwadzieścia dziewięć lat! Mieszka teraz u mnie. Jeśli to dłużej potrwa, będę wymagać psychoterapii bardziej niż moi pacjenci. Przyjechała matka, aby

przekonać ją, by wróciła do Jareda, ale do tej pory nie nie wskórała. – Kate zasmuciła się. Jared także chciał, by Rebecca do niego wróciła. Gdy przyszedł do mieszkania Kate, ich kłótnię słysząc było w całym domu, podobnie, jak krótkie, namiętne chwile zgody. – Jedyne dobre strony tego zamieszania to fakt, że mama czuje się potrzebna – dodała. – Ciągle bardzo tęskni za Martinem.

– Ile lat byli małżeństwem?

– Prawie trzydzieści trzy lata. Zrozumiałe, że musi jej być strasznie ciężko.

Kate się zastanawiała, co było gorsze: owdowieć po trzydziestu trzech latach małżeństwa czy osiemnastu miesiącach? Czy więcej wspomnień pomaga czy szkodzi? Posiedziała jeszcze pół godziny i wyszła. Oliver wybrał dla Urszuli niebiesko-złoty dzbaneczek z miśnieńskiej porcelany. Obiecali też sobie wkrótce zjeść wspólną kolację. Czekając w metrze na pociąg do District Lane, Kate wspominała, jak tutaj, wiele lat temu, w zupełnych ciemnościach Hugh poprosił ją o rękę. Wróciło uczucie tamtej radości, które sprawiło, że zniknęli otaczający ich ludzie i bitwa toczona nad nimi na niebie. Zastanawiała się, czy teraz jest zdolna do tak intensywnych uczuć. Wyłączała z tego Sama. Żyjąc samotnie, często czuła niezadowolenie i tęsknotę za czymś nieokreślonym. Szybko nakazywała sobie zignorować to uczucie. To, że czegoś jej brakuje, brzmi jak żart, gdy ma ładny dom, ciekawą pracę i wspaniałego syna. To pewnie tylko hormony, wiek średni i tendencja, jaką wszyscy wykazują, idealizując przeszłość.

Na ulicy Mulberry Walk Kate zastukała do owdowiałej sąsiadki, która miała już osiemdziesiąt lat. Wręczyła jej w prezencie herbatniki burbońskie i porozmawiała przez chwilę. Potem poszła do domu. Przyniosła zakupy do kuchni. Matka zmywała naczynia, a Rebecca malowała paznokcie u stóp. Sam

buszował w lodówce, gdzie znalazł ciasto, które upiekła poprzedniego dnia i mówił coś do niej z pełną buzią. Objęła go i mocno uścisnęła, zaprotestował: „Och, mamol!”, ale odwzajemnił uścisk i Kate znów poczuła się szczęśliwa.

Morven z trudem przebrnęła przez noc. Spała niewiele i śniły jej się koszmary. Wstała o wpół do siódmej i zrobiła sobie herbatę. O ósmej zadzwoniła do szpitala. Powiedziano jej, że stan matki jest zadowalający i może ją odwiedzić po południu między trzecią a czwartą. Zadzwoniła potem do warsztatu, aby odholowali rozbite auto. Zdała sobie sprawę, że powinna powiadomić panią Jago o zniszczeniu bramy, ale pomyślała, że najpierw skończy sprzątanie kuchni. Zabrakło jej jednak środka czyszczącego, poszła więc do wioski. Mżyło, uniosła twarz i pozwoliła kroplom deszczu ochłodzić bolącą głowę. W wielobranżowym sklepie na przedzie kolejki stała Phemie Drummond i pracowicie odczytywała pozycje z listy zakupów, którą dała jej matka. Phemie, jak zwykle, ubrana była w męską tweedową kurtkę opasaną starym, skórzanym paskiem. Była niska i gruba, a swetry, które miała pod kurtką, sprawiały, że wyglądała jak piłka. Na nierówno przyciętych, siwiejących włosach nosiła ciemnozielony берет. Zawsze towarzyszył jej nieprzyjemny, stęchły zapach niewietrzonych ubrań, który się utrzymywał w sklepie jeszcze po jej wyjściu. Stojąc w kolejce, Morven nie mogła przypomnieć sobie, po co tu przyszła. Włożyła rękę do kieszeni w poszukiwaniu listy zakupów, zamiast niej wyjęła zdjęcie, które poprzedniego dnia znalazła w Ravenhart House. Kolejka zmniejszyła się. Uchwyciwszy jej spojrzenie, Pamela zapytała o matkę. Morven opowiedziała pokrótce o wypadku i wyczuła, że wszyscy wkoło nasłuchują. Phemie była wstrząśnięta i współczuła jej, a potem kręciła się po sklepie, przynosząc zamawiane przez Morven produkty.

Płacąc za nie, Morven pokazała zdjęcie. Wskazując na nieznanego mężczyznę i dziewczynę, zapytała:

– Czy wie pani może, kto to jest? – Pamela włożyła okulary do czytania. – Zrobiono je dawno temu, zapewne w połowie lat trzydziestych – ciągnęła Morven.

– Jeśli chcesz, zapytam matkę – zaczęła Pamela, ale przerwał jej ktoś stojący za plecami Morven.

– To Frazer Ravenhart. A ta panna to jego siostra. – Morven się odwróciła i popatrzyła na starszego pana w tweedowym komplecie i płóciennej czapce na głowie. Jego skóra była czerwona i pomarszczona. – Zapałki – rzucił, kładąc na ladzie kilka monet. Zanim odszedł, zmroził Morven jadowitym spojrzeniem i dodał: – Parka ślicznych chłoptasiów. Poznałem się na nich. Dobrze, że w Ravenhart już ich nie ma.

Wyszedł ze sklepu odprowadzony zdziwionym spojrzeniem Pameli.

– To stary biedaczyna, Ronald Bain – powiedziała. – Nie zwracaj na niego uwagi, moja droga. Trochę mu się pomieszało w głowie.

Morven schowała zdjęcie do kieszeni i wyszła ze sklepu. W połowie drogi do domu przechodziła koło domku Carterhaughów. Farma była własnością rodziny Nairnsów, a ten dom wynajmowali letnikom i amatorom pieszej turystyki. Morven zauważyła zaparkowanego przed domkiem land rovera. Teraz zarówno budynek, jak i samochód znajdowały się w cieniu wznoszących się opodal gór.

## Rozdział 18

Na oddziale chirurgii Naomi powoli wracała do zdrowia. Miała zabandażowaną głowę i poruszała się ostrożnie, aby nie podrażniać połamanych żeber. Po drodze ze szpitala do domu Morven wstąpiła do domku Carterhaughów. Na zewnątrz stał land rover.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyniosłam pana kurtkę – powiedziała, gdy jasnowłosa mężczyzna otworzył drzwi. Wyjęła kurtkę z plecaka.

– Dziękuję – odparł. – Jak się czuje pani matka?

– Znacznie lepiej. Wraca do domu jutro rano.

– To bardzo dobrze. – Wyciągnął do Morven dłoń. – Nazywam się Patrick Roper.

– Morven Gilchrist.

– Napije się pani kawy? – Propozycja zaskoczyła Morven.

– Kawy?

– Tak. To taki napój. Oblewa się nim też ludzi w pubach.

– Moja matka nie zrobiła tego specjalnie.

– Ach tak. I zapewne nie miała też zamiaru zepchnąć mojego wozu z drogi.

– Jeżeli pański samochód ucierpiał, zapłacę za naprawę – powiedziała sztywno.

– Nie martwi mnie kilka wgnieceń na karoserii. Uszczerbek na honorze był bardziej bolesny, ale ja łatwo wybaczam.

– Nie rozumiem...

– Pani matka tamtej nocy w pubie naigrawała się ze mnie. – Morven patrzyła na niego, nie rozumiejąc, więc wyjaśnił: – Chodzi o moją nogę. Kuleję, a pani matka kuśtykała, idąc przez pub, sądziłem więc, że się ze mnie naśmiewa.

Morven przypomniała sobie, jak Naomi niezdarnie przemierzała pub, idąc w jej stronę i poczuła, że rumieni się ze

wstydu.

– Mama nigdy... Zgubiła but, to wszystko. Naprawdę, jestem pewna, że... – Spuściła wzrok. – Mój Boże...

– To już nie ma znaczenia. Zapewne jestem zbyt czuły na tym punkcie. Ta noga mnie mierzi i szczerze mówiąc, mam już tego dosyć. – Uśmiechnął się i twarz mu się rozjaśniła. – Proszę ulitować się nad samotnym fajtlapą i wypić ze mną kawę, a uznam, że rachunki zostały wyrównane.

Morven zgodziła się i weszła do środka. Dom miał grube na metr ściany i małe okna. Wewnątrz panował półmrok.

– Co się panu stało w nogę? – zapytała.

– Zostałem postrzelony – odparł krótko.

– Dobry Boże! – Morven była zaskoczona. Spodziewała się raczej opowieści o wypadku motocyklowym albo upadku ze skały. Partick wrócił z kuchni, niosąc drugi kubek. – I?

– I co?

– Co dalej? „Zostałem postrzelony”. Co się stało?

– Jestem prywatnym detektywem – wyjaśnił, nalewając kawę. – Służyłem w wojsku, w żandarmerii. Odszedłem kilka lat temu. Wiele podróżowałem, szczególnie po Dalekim Wschodzie. Po odejściu z wojska nie uśmiechał mi się etat w biurze, postanowiłem więc radzić sobie na własną rękę. Wynajęto mnie do rozwikłania zagadki zniknięcia kilku skrzyń z papierosami z magazynu w Glasgow. To była spokojna dłubanina, a nie spektakli lama akcja. W każdym razie, sprawa zaczynała się w Glasgow, a kończyła w Marsylii. Ktoś stwierdził, że wtykam nos w nie swoje sprawy i nie spodobało mu się to. – Podał kubek Morven.

– Dlaczego pan przyjechał tutaj?

– Na rekonwalescencję. Staram się wrócić do formy. Myślałem o spacerach i wejściu na kilka wzgórz. Jestem pewien, że uda mi się wdrapać na Ben Liath. Wyzdrowieję i

wrócę do pracy. Na razie udało mi się dojść tylko do połowy wzgórza. Noga daje mi się we znaki i muszę schodzić w dół.

Morven zastanawiała się, czy surowy wyraz twarzy, jaki zauważyła wcześniej u Patricka, nie był przypadkiem spowodowany bólem, a nie niezadowoleniem. Patrzyła na niego, jak otwiera puszkę z herbatnikami. Był średnie go wzrostu, pod trzydziestkę, jak sądziła. Mówił ze szkockim akcentem. Z aprobatą przyglądała się jasnobrązowym, gęstym włosom, szaroniebieskim oczom, szerokim ramionom i mocnej sylwetce.

– A tak przy okazji, czy ten duży dom należy do pani, Morven?

– Ravenhart House? Nie. Właścicielką jest pani Jago. Mieszka w Edynburgu. Czasami, kiedy przyjeżdżam do domu, chodzę tam na spacer.

– Nie mieszka więc pani w tym domu przy bramie?

– Tam mieszka moja matka, a ja w Londynie. – Zawahała się i dodała z odrobiną żalu: – Mieszkałam w Londynie.

– Nie wraca tam pani?

– Ktoś musi się opiekować matką przez kilka następnych tygodni – odpowiedziała sucho. – Moi pracodawcy nie będą czekać na mnie tak długo. Zawsze jest tak samo.

– Przykro mi. Może pani ojciec mógłby pomóc.

– Mój ojciec nie żyje. Przynajmniej tak sędzę.

– Sądzi pani? – Patrick zmarszczył brwi.

– Nie wiadomo tego na pewno. Zniknął, zanim się urodziłam. Nikt go nie widział ani o nim nie słyszał już przez dwadzieścia cztery lata, przypuszczam więc, że nie żyje.

Musiał domyślić się, co czuje Morven, gdyż zapytał:

– A czy nie chciałaby pani mieć pewności w tej sprawie?

– Nie znałam ojca ani on mnie nie znał. Nigdy więc nie miałam okazji go pokochać – mówiła, mieszając kawę. – Prawdę mówiąc czasami nawet go nienawidziłam. Zniknął na

ćwierć wieku, a stale miesza nam w życiu. Matka ciągle go kocha, po tylu latach. Ale ja nie będę się nim przejmować. To przez niego nigdy się stąd nie wyniosłyśmy i przez niego... – Przerwała na chwilę, po czym dodała przygnębiona: – Przez niego mama pije.

– Co się wydarzyło?

– Nie znam szczegółów. – Ale pani matka...

– Nie rozmawiam o nim z matką. Nie chcę jej denerwować.

– Unikanie problemu nie rozwiąże go. – Pod jej gniewnym spojrzeniem podniósł do góry dłonie. – Dobrze, już dobrze, przestaję gadać.

Morven wyjęła jednak z kieszeni fotografię, którą znalazła w Ravenhart House, i pokazała Patrickowi.

– To mój ojciec. – Wskazała ciemnowłosego mężczyznę. – Na miesiąc przed moimi urodzinami matka wyjechała do ciotki do Londynu. Ojciec miał dołączyć do niej później. I nigdy się nie zjawił. To oczywiście, co się stało, dawno się już domyśliłam. Nigdy nie chciał się z matką żenić i nigdy nie chciał mieć dziecka. W końcu, nie mogąc tego znieść, uciekł. – Popatrzyła na Patricka. – Można więc powiedzieć, że odszedł przeze mnie.

– A kim są pozostali? – zapytał, przyglądając się zdjęciu.

– To jest Frazer Ravenhart. – Morven wskazała drugiego mężczyznę. – Był poprzednim właścicielem domu, zanim przejęła go pani Jago, jego matka. A to jest siostra Frazera.

– Czy oni też mają jakieś przypuszczenia?

– Nie mam pojęcia. Frazer też zniknął.

– Żartuje pani.

– To prawda. Rozpłynął się we mgle.

– W tym samym czasie?

– Nie. Później, trudno mi powiedzieć, sześć miesięcy, może rok później. To jeden z tutejszych skandali, o którym ludzie ciągle pamiętają i plotkują. Nie ma chyba o czym gadać.

Chociaż to dziwne, że obaj zniknęli. Tak po prostu.

– Dziwne? Tak pani sądzi? Gdzie zrobiono to zdjęcie? – pytał w zamyśleniu.

– Nie jestem pewna. Chociaż wydaje mi się, że wiem. Dwa kilometry za Ravenhart House jest ruina małego domku. Myślę, że to mogło być tam. – Włożyła fotografię do kieszeni. – Pójdę już. Muszę przygotować dom na przyjazd mamy. Dziękuję za kawę. – Wychodząc, zapytała: – Którą trasą wchodzi pan na Ben Liath? – Gdy jej odpowiedział, pokręciła głową. – Znam łatwiejsze wejście. Pokażę panu kiedyś, jeśli pan zechce.

– Może razem się wybierzemy.

Odwróciła się, idąc ścieżką i zobaczyła, że Patrick nadal stoi w drzwiach. Usłyszała, jak krzyknął za nią:

– Ludzie nie znikają bez śladu, Morven! Nie rozplływają się we mgle!

Słowa te powracały do niej przez całą drogę do domu. Był piękny dzień, zostawiła więc zakupy w kuchni i poszła na spacer. Nie skierowała się do Ravenhart House, poszła drogą, która okrążała zamek i wiodła przez dolinę. Nastrój jej się poprawił, gdy zobaczyła wiosenne kwiaty na polach i odetchnęła rześkim powietrzem. W końcu dostrzegła niewielki kamienny domek zbudowany między dwoma potokami. Wyjęła zdjęcie z kieszeni. Intuicja dobrze jej podpowiedziała, to był domek z fotografii, przed którym wiele lat temu ojciec, Frazer Ravenhart i jego siostra stali, uśmiechając się w letnim słońcu. Weszła na duże, płaskie kamienie, leżące na brzegu strumienia. Woda przybrała po ostatnich deszczach. Pod powierzchnią połyskiwały kamienie, po których się przechodziło na drugą stronę. Domek myśliwski padł ofiarą czasu, zapomnienia i szkockiej pogody. Dach i komin się zawaliły, a porozrzucane kamienie leżały w wysokiej trawie. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Morven wracała ścieżką do domu. Przechodząc koło

Ravenhart House, kątem oka uchwyciła jakiś ruch. Osłaniając oczy przed słońcem, popatrzyła na podwórze. Ktoś stał przy schodach wejściowych. Na podjeździe parkował ford zephyr. Jego właściciel był młody i wysoki. Włosy miał tak jasne jak promienie słońca przebijające się przez zasłonę z jodeł.

– Czy mogę panu pomóc? – krzyknęła do nieznajomego, który odwrócił się w jej stronę.

– Nie wiem. A czy zechciałaby pani? – odpowiedział z australijskim czy może nowozelandzkim akcentem.

– Zgubił się pan? – zapytała, gdy do niej podszedł.

– Nie sądzę – odparł z szerokim uśmiechem na twarzy. Morven zobaczyła przed sobą opaloną, przystojną twarz i lazurowe oczy, których spojrzenie zawładnęło nią.

– Prawdę mówiąc, chyba dotarłem do domu.

– Do domu? – powtórzyła.

– Nazywam się Adam Ravenhart. A pani?

Kate zaprosiła Urszulę na kolację, aby uczcić jej urodziny. Rebecca wyszła gdzieś z przyjaciółką, Sam poszedł ze swoją dziewczyną, Jill, do kina. Gdy Kate serwowali deser, Urszula wykrzyknęła:

– Moja ulubiona tarta jabłkowa z karmelem! Kate, rozpieszczasz mnie.

– Wiesz, że lubię pichcić. A wkrótce nie będę już miała dla kogo gotować – wymknęło jej się.

– Musisz znaleźć sobie faceta, Kate. Już ci to mówiłam. – Urszula nałożyła na swój kawałek ciasta śmietany.

– Jak ty to robisz?

– Co takiego, skarbie? – Podniosła wzrok na Kate.

– Zjadasz tyle słodczy i ciągle masz szczupłą figurę.

– Nic nie jadłam przez cały dzień, wypłam tylko herbatę i koktajl o szóstej. Robię tak zawsze, gdy wychodzę na kolację –

odpowiedziała Urszula, przeciągając dłońmi po szczupłych biodrach ukrytych pod elegancką wełnią na szarą sukienką.

– Co u Bernarda? – spytała Kate.

– Sądzi, że uda mu się wyrwać na weekend. Nancy jedzie do matki. – Uśmiechnęła się.

Przez ostatnie dziesięć lat Urszula była kochanką bogatego i żonatego przemysłowca. Kate czasami jej zazdrościła. Sądziła, że długotrwały romans miał wiele zalet małżeństwa, za to nie miał jego wad. Można było zjeść z kimś posiłek bez konieczności przebywania ze sobą codziennie i wspólnego jedzenia śniadań, obiadów i kolacji. Była miłość bez konieczności prania skarpetek ukochanego.

– Może wyjedziemy nad jeziora. Bernard wymknie się w piątek po południu, a ja pojedę dzień wcześniej i zaczekam na miejscu.

– W czarnej bieliźnie – rzuciła cierpko Kate.

– W bładoniebieskiej. – Urszula puściła do Kate oczko. – Trzeba zachować klasę. Coś nie tak?

– Och! Wszystko w porządku. – Kate westchnęła.

– Tęsknisz za Samem? Będzie ci go strasznie brakować, gdy wyjedzie na uniwersytet, prawda?

– Tak, i nie potrafię sobie tego wyobrazić. – Kate czuła, że zbiera się jej na płacz. Szybko więc dodała: – Nie wyjeżdża przecież na zawsze. Poza tym zostają moi przyjaciele.

– I siostry – przypomniała Urszula, uśmiechając się znacząco. – Co tam słyszać u Rebecki? Musisz mi opowiedzieć, co się ostatnio wydarzyło.

– Ciągle u mnie mieszka – mówiła Kate z irytacją w głosie. – Wszystko mi wyjada i okropnie bałagani, jest pod tym względem gorsza nawet od Sama. Mama bardzo się starała, ale Becky nie chciała jej w ogóle słuchać. Jak zwykle zresztą i mama w końcu się poddała. Wróciła do Edynburga. Becky

nawet nam nie powiedziała, o co tak się wścieka na Jareda.

– To pewnie nic wielkiego. Czasami takie rzeczy się zdarzają mężczyznom, prawda? Powiedzą coś nie tak albo nie przyjdą na umówione spotkanie. Denerwują nas, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Bernard obiecał mi ten wieczór, w końcu są moje urodziny, a musiał zostać, bo potrzebowała go Nancy. Kilka lat temu pewnie zrobiłabym mu scenę, ale dzisiaj... – Wzruszyła ramionami.

– I nie masz nic przeciwko dzieleniu się nim z inną kobietą?

– Oczywiście, że mam. Ale Nancy jest jego żoną, więc ma do niego prawo. Musiałam się z tym pogodzić. Poza tym, to takie podniecające, że mam się z nim zobaczyć. Urszula uśmiechnęła się. – Wpada do mnie czasami, gdy wraca późno z pracy. Tylko na pół godzinki. Nigdy nie wiem, czy zdoła przyjść, jestem więc zawsze gotowa i ładnie ubrana. Na wszelki wypadek. Często nic z tego nie wynika, ale jak już zadzwoni do drzwi... Mówię ci! To warte jest całego tego czekania i samotności. – Popatrzyła na Kate. – Wiesz, co mam na myśli. Tak samo na pewno było z twoim mężem.

– O tak! – Ponieważ trwała wojna, podniecenie dodatkowo podszyte było strachem, czy mąż przetrwał dzień.

Znały się z Urszulą od lat. Wiedziały, że się zaprzyjaźnią już pierwszego dnia, gdy się poznały. Od czasu do czasu Urszula podejmowała próby ułożenia życia przyjaciółce. Tak było i tym razem.

– Kate, powinnaś znaleźć sobie faceta. Skończyły się wymówki. Teraz, kiedy Sam wyjeżdża. – Urszula podniosła dłoń, by uciszyć Kate. – Nie sugeruję, że musi to być koniecznie wielka miłość. Tylko ktoś, z kim mogłabyś zjeść obiad i kto nosiłby za tobą torby z zakupami. I kto sprawiłby, że będziesz czekać na niego podeksytowana.

– To niełatwe w moim wieku – odparła Kate słabym głosem.

– Bzdura. Powinnaś kupić sobie kilka nowych ciuszków. Zarezerwuję ci też wizytę u mojego fryzjera Antoine’a. – Wyciągnęła notesik z torebki. – Umówię cię od razu na jutro. I dziękuję za wspianą kolację, którą dla mnie przygotowałaś.

– Urszula...

– Nalegam. Kate, na pewno masz kogoś na oku. – Urszula zmrużyła oczy. – Paul. Co o nim sądzisz? Jest wolny od lat.

Paul Kendall był bratem ich wspólnego przyjaciela.

– Szczeciniaste wąsy – przypomniała jej Kate. – I zbiera znaczki pocztowe.

– No tak. Skreślamy go więc. – Twarz Urszuli nagle się rozjaśniła. – A co powiesz o tym miłym panu, jakże on się nazywał?

– Kto?

– Ten ze sklepu z antykami.

– Och! Oliver – powiedziała lekceważącym tonem Kate. – Nie.

– Dlaczego? Widujesz się z nim jeszcze?

– No cóż, tak. Nawet dość często.

– Jestem pewna, że się kocha w tobie do szaleństwa.

– Bzdura – zaprotestowała Kate ostro. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Kate, mężczyźni nie kręcą się latami wokół kobiety z przyjaźni, tylko dlatego, że chcą być z tą konkretną kobietą.

Zadzwoił telefon, ratując Kate przed koniecznością udzielenia odpowiedzi. Gdy wróciła, Urszula wpatrywała się w nią.

– Dobry Boże, Kate! Mam nadzieję, że nic się nie stało, ale wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Kate była roztrzęsiona. Siedząc, powiedziała:

– Chyba jednak tak. A już na pewno zobaczyła go moja mama. – Musiała się napić wina, by móc mówić dalej: –

Pamiętasz, jak opowiadałam ci o moim zaginionym bracie, Frazerze?

– Czy to on się pojawił? – Urszula otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. – Ależ to romantyczne.

– Nie on, nie Frazer. Ktoś, kto podaje się za jego syna, Adama.

Z nowinami o Adamie Ravenharcie zadzwoniła do Bess Naomi Gilchrist. Bess zachowała spokój i powiedziała, że przyjedzie do nich następnego dnia. Powinna dotrzeć na miejsce o wpół do czwartej. Oczywiście pod warunkiem że pociąg przyjedzie punktualnie. Zamykając dom, Bess nadal była spokojna. Wiedziała, że alkoholicy miewają halucynacje. A może to Bess uroiła sobie tę rozmowę telefoniczną, tak samo jak głos Martina. Wszystko przez tęsknotę i samotność.

Jadąc pociągiem, rozmyślała o Rebecce. Nie potrafiła przekonać córki do powrotu do Jareda. Becky odmówiła też zamieszkania z nią w Edynburgu. W czasie pobytu w Londynie Elizabeth odwiedziła Jareda w mieszkaniu przy Ladbroke Grove.

– Musisz się jej przeciwstawić – przekonywała go. Rebecca nigdy nie dbała o to, co przychodziło jej zbyt łatwo. Musisz zostawić ją na jakiś czas. Niech pomyśli, że zapomniałeś o niej. Wtedy sama do ciebie przybiegnie.

– Nie mogę tego zrobić. – Jared przycisnął dłonie do serca w teatralnym geście. – Ja ją ubóstwiam.

Bess z trudem opanowała zniecierpliwienie i powiedziała twardo:

– Musisz mi zaufać, Jared. – Pocałowała go na pożegnanie i pojechała z powrotem do Edynburga.

Na stacji kolejowej w Pitlochry wsiadła do taksówki. Jadąc przez wzniesienia, pomału traciła spokój. W Ravenhart House

mogło się wydarzyć wszystko. Było to miejsce, w którym marzenia się spełniały lub ulegały zniszczeniu.

Bess wysiadła z taksówki przy bramie i poleciała za wieżę bagaże do Ravenhart House, gdzie czekała już Phemie. Drzwi do stróżówki otworzyła Morven Gilchrist. Zaproponowała filiżankę herbaty. Naomi siedziała na kanapie i paliła papierosa. Wyglądała na chorą. Na czole miała przyklejony duży plaster. Bess pytała o zdrowie Naomi, gdy usłyszały chrzęst kół samochodowych na zewnątrz, a następnie pukanie do drzwi.

Gdy ich sobie przedstawiono, Bess przyglądała się uważnie Adamowi Ravenhartowi. Szukała cech Frazera i porównywała syna do mężczyzny stojącego przed nią.

i Adam był wzrostu Frazera, miał jego karnację i regularne rysy i takie samo dążenie do przypodobania się rozmówcy. W całym pokoju słychać było jego donośny głos i australijski akcent. Bess wydawało się, że Adam ma jednak coś, czego Frazerowi brakowało. Nie potrafiła jednak tego sprecyzować. Zadawała mu pytania i dowiedziała się wystarczająco dużo. Po krótkim czasie podniosła się z kanapy. Nie potrafiła skupić się w obecności tej zjawy, tego podejrzanego sobowtóra i w obecności Morven, która teraz tak samo przeszkadzała Bess, jak kiedyś jej ojciec. Musiała ułożyć sobie wszystko w głowie. Nie chciała uwierzyć w to, co usłyszała. Jeszcze nie teraz.

Nie skorzystała z propozycji Adama, który chciał ją podwieźć do domu samochodem. Odpowiedziała, że woli się przejść i zaprosiła go z wizytą jutro rano. Jednak spacer po tak długiej podróży zmęczył Bess, była szczęśliwa, gdy wreszcie dotarła do domu. Phemie rozpałała ogień w głównej sali. Gdy Bess zdjęła płaszcz i kapelusz, Phemie nie wytrzymała i spytała zza jej pleców:

– Czy to prawda, pani Jago, że syn pana Frazera wrócił do Ravenhart?

– Być może – mruknęła Bess. – Być może.  
– A pan Frazer? – dopytywała się Phemie, ściskając dłonie.  
– Jeżeli ten chłopak mówi prawdę, obawiam się, że Frazer nie żyje. Zmarł przed rokiem na gruźlicę. – Głos jej drżał. Łzy popłynęły z oczu Phemie i Bess poczuła, że i ona za chwilę się rozpłaczę. Wzięła w swoje ręce dłonie Phemie i starała się ją uspokoić.

– Jeżeli Adam mówi prawdę, Frazer ożenił się i miał dziecko. Prowadził porządne życie i za to musimy być wdzięczne. – W duchu dodała, że byłoby to lepsze życie, niż mogła się spodziewać.

Phemie milcząco przytaknęła i poszła do kuchni przygotować kolację. Siedząc przy ogniu, za stołem, na kto rym stała zupa i talerz z kanapkami, Bess nie mogła się zmusić do jedzenia. Patrzyła na swoje drżące ręce. Czuła się wyczerpana do granic wytrzymałości. Rozmyślała o konającym tysiące kilometrów od domu Frazerze, z dala od rodziny i czuła, że pęka jej serce. Zadzwoniła wieczorem do Kate. Musiała usłyszeć głos córki, jakby rozmowa z nią była bardziej rzeczywista.

Adam przyszedł następnego dnia o dziesiątej rano. Wyjął coś z kieszeni i podał Bess.

– Nie wiem, czy pani to sobie przypomina. Zobaczyła, że trzyma w dłoni sygnet. Złoty sygnet z wrytym sercem i krukiem. Sygnet Frazera. Przycisnęła dłoń do ust.

– Przepraszam – powiedział miękko. – Nie chciałem pani przestraszyć. Czy dobrze się pani czuje? Coś pani podać? Może wody?

Pokręciła głową. Zniknęły ostatnie wątpliwości. Adam stał w głównej sali, w słonecznym świetle wpadającym cym do środka przez okna. Był wysoki, silny i przystojny. Wyglądał jak Frazer, który powrócił z niebytu. Uczucie radości, zapomniane od

śmierci Martina, znów się poja wilo. Podniosła rękę, by dotknąć jego twarzy. Przeciągnęła palcami po skórze. Dotyk zagłuszał lęk, że jak mrugnie, młody człowiek zniknie, rozplynie się we mgle.

– Adam – szepnęła. – Adam, mój drogi. Nie wiesz nawet, ile to dla mnie znaczy.

Adam był w posiadaniu jeszcze innych rzeczy, należących do Frazera: złotego zegarka firmy Patek, podrapanego i zniszczonego po tyłu latach, postrzępionej fotografii Ravenhart House popękanej od ciągłego zginania. Bess popatrzyła na zdjęcie i przypomniała sobie, że pierwszy raz zobaczyła je w domu Córy Ravenhart w Simli. Poprosiła, aby Adam wszystko jej opowiedział, od początku. Mówił więc o swoim życiu z Frazerem, jak wędrowali razem przez czerwone, pustynne serce Australii. W poszukiwaniu pracy przenosili się z miasta do miasta. Żyli z dnia na dzień, ale i ona kiedyś była w podobnej sytuacji i musiała jakoś sobie radzić. Czuła ulgę i jednocześnie zdziwienie, że Frazer potrafił dostosować się do takiego trybu życia.

– Byliśmy jak para kumpli – opowiadał Adam. – Nigdy nie mieliśmy dużo pieniędzy, ale nie trzeba wiele, by czuć się szczęśliwym. Najmowaliśmy się do różnych prac. Przez kilka miesięcy pracowaliśmy na farmach, pomagając w sezonie. Tydzień czy dwa pracowaliśmy w warsztacie samochodowym albo u rzemieślników. Jeżeli się nie przebiera i nie strach zabrudzić ręce, to zawsze znajdzie się robota. Zdarzało się, że doskwierał nam głód. Ale tata zawsze umiał zdobyć jedzenie. Dbał, bym nie chodził głodny, nawet jeśli sam musiał odejmować sobie od ust. – Bess tonęła w spojrzeniu jego niebieskich oczu. – Czasami miałem mu to nawet za złe i zastanawiałem się, czy nie dlatego zachorował, że się nie oszczędzał.

– Nie wolno ci tak myśleć. Taki był wybór Frazera.

Każdy ojciec postąpiłby tak samo. – Wzięła go za rękę twardą i pełną odcisków, rękę mężczyzny, który musiał ciężko pracować. – Teraz, gdy już się odnaleźliśmy, nigdy nie będziesz głodny.

Adam twierdził, że jego matka umarła kilka dni pi porodzie. Miała na imię Emily. Ładne imię. Gdyby miał córkę, tak właśnie by ją nazwał.

– Opowiedz mi, jak umarł Frazer – poprosiła. – Jeżeli nie jest to dla ciebie zbyt bolesne.

Adam wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

– Tata okropnie kaszłał. Od paru miesięcy. Nie chciał iść do lekarza, twierdząc, że to nic groźnego. Gdy potem żartowaliśmy, pewnej nocy znów miał atak kaszlu. Tym razem pojawiła się krew. Sprowadziłem lekarza i kupiłem lekarstwa, ale było już za późno. – Odwrócił się od Bess i patrzył przez wysokie okno, wychodzące na podjazd. Opiekowałem się nim przez trzy dni. Trzymałem za rękę, gdy umierał. Pochowałem go koło ładnego kościółka na pustkowiu. Zanim umarł, powiedział, że powinienem tam przyjechać, do Szkocji, że mam tu krewnych i spadek. Popatrzył wokół i Bess zauważyła na jego twarzy łzy, – Czy to prawda? – zapytał. – Odziedziczyłem coś?

– Frazer zostawił mi tę posiadłość przed wyjazdem. Bess musiała wbić paznokcie w dłoń, by powstrzymać się od płaczu. – Zastanawiałam się, czy jej nie sprzedać. Nie ma już dla niej żadnego zastosowania, a moje córki też nie są nią zainteresowane.

– Sprzedać? – powtórzył.

– Widzisz Adamie, muszę uporządkować swoje sprawy. W moim wieku nie wiadomo, ile jeszcze czasu zostało.

– Nie może pani tak mówić, teraz, kiedy panią odnalazłem.

– Mój drogi. Mam sześćdziesiąt siedem lat – powie działa

miętko. Musiała jednak dowiedzieć się czegoś jeszcze. Zebrała się na odwagę i spytała: – Adam, czy ojciec mówił ci kiedykolwiek, dlaczego opuścił Ravenhart? Zapadła cisza. Bess czuła na sobie jego spojrzenie. Serce waliło jej w piersi. W końcu Adam odezwał się:

– Nie. Mówił, że miał kłopoty finansowe. – Bess głośno westchnęła.

Elizabeth prowadziła Adama po domu, zwracając jego uwagę na ulubione pomieszczenia Frazera.

– W tamtych czasach nigdy nie jedliśmy posiłków w kuchni. Kuchnia była dla służby – opowiadała. – Frazer zawsze jadał tutaj, w jadalni. – Mahoniowy stół był przykryty płótnem dla ochrony przed kurzem. Chociaż minęło niemal ćwierć wieku, Bess widziała w wyobraźni świeczniki i kryształły lśniące niczym gwiazdy. – Frazer lubił wszystko robić tak, jak należy. Chciał zachować odpowiedni poziom życia.

W gabinecie syna otworzyła szufladę i wyjęła z niej wieczne pióro Mont Blanc. Patrzyła, jak Adam zdejmuje skuwkę i ogląda złotą stalówkę.

– Dziwne uczucie – powiedział. – Trzymam w ręku pióro, którego używał ojciec. – Odłożył je, lecz Bess oddała mu je z powrotem.

– Teraz należy do ciebie.

Mówiąc, że zatrzymał się w pubie Half Moon, dodał:

– Nie mogę tam mieszkać dłużej niż kilka dni. Przyjazd tutaj pochłonął niemal wszystkie moje fundusze.

– Co zamierzasz zrobić?

– Och! Będę spał w samochodzie – odparł wesoło. – Nie ma się czym martwić, jestem przyzwyczajony do trudnych warunków. Może wyruszę na zwiedzanie kraju.

– Zamieszkać tutaj ze mną – zaproponowała, bojąc się, że

zbyt szybko go utraci. Była dumna z tych słów, przypominała mu, że teraz należy do rodziny. – Oczywiście, że tu zamieszkasz. To znaczy, jeżeli będziesz chciał.

– O niczym innym bardziej nie marzyłem. – Uśmiechnął się szeroko.

Bess zauważyła, że kołnierzyk jego koszuli miał wystrzępione brzegi, a buty, choć porządnie wyczyszczone, były zniszczone. Wyjęła z portmonetki dwadzieścia funtów i powiedziała:

– Weź te pieniądze i doprowadź się do porządku.

– Och, babciu.

Z wrażenia Bess zaniemówiła. Włożyła banknoty w dłoń Adama i zacisnęła na nich jego palce. Wyszedł na podwórze, obrócił się i pomachał do niej. Była zachwycona, że choć późno, ta nowa, młoda i piękna osoba stała się częścią jej życia. Pojawił się kolejny wnuk, mimo że straciła już nadzieję na posiadanie większej ich liczby. Wrócił jej optymizm i nadzieja. Elizabeth bez strachu patrzyła w przyszłość.

Przy kolacji we włoskiej restauracji przy ulicy Dean Kate opowiedziała Oliverowi o wydarzeniu w rodzinie.

– Boję się o mamę. Nie podaje w wątpliwość nic, co mówi ten człowiek. I pozwoliła mu się przenieść do domu. Teraz mieszka sama z tym obcym – mówiła, gdy Oliver dolewał wina. Westchnęła. – Wiem, oczywiście, z czego to wynika. Tyle straciła przez te wszystkie tata, biedna mama. Ten Adam – ze złością wypowiedziała jego imię – musi się jej wydawać zesłany przez Boga. Jest jak zmartwychwstały, cudownie odmłodzony Frazer. Zupełnie nią zawładnął. Boję się, że mama zrobi coś nierozsądnego. Albo że serce jej pęknie, gdy odkryje, że Adam ją oszukuje.

– Istnieje jednak taka możliwość, że Adam nie jest oszustem

i faktycznie jest synem twojego brata.

– Nie. – Kate zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dlaczego? Ile czasu minęło, odkąd Frazer wyjechał ze Szkocji?

– Dwadzieścia trzy lata. Ten człowiek twierdzi, że ma dwadzieścia jeden lat, prawie dwadzieścia dwa. Sprawdziłam to.

– Teoretycznie więc mógłby być twoim bratankiem.

– Wiem, że nim nie jest.

– A skąd ta pewność?

– Dlatego, że Frazer nigdy by się nie ożenił – odpowiedziała prosto z mostu. – I nigdy nie miałby syna. Nie interesował się kobietami, nie całował się z nimi ani nawet na nie nie patrzył.

– Czy twoja matka o tym wie?

– Nie. – Kate westchnęła. – Gdy Frazer mieszkał w Ravenhart House, była pewna, że w końcu się ożeni i założy rodzinę. A ja, gdy już się zorientowałam, że to nigdy nie nastąpi, nie miałam siły jej o tym powiedzieć. – Popatrzyła na Olivera. – Mama urodziła się za czasów królowej Wiktorii. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że syn może być homoseksualistą. Nawet by mi nie uwierzyła.

– Twój brat mógł się zmienić – zasugerował Oliver.

– Przypuszczam, że niektórzy są biseksualni, zapewne taki był Maxwell. Frazer na pewno nie.

– Maxwell?

– Maxwell Gilchrist, przyjaciel Frazera. – Zaczekała, aż kelner zabierze talerze i oddali się. – Był moją pierwszą miłością.

– Ach. Zawsze się zastanawiałem, czy miałaś kogoś.

– To przez niego przyjechałam do Londynu. – Kate uśmiechnęła się. – Przypuszczam, że dzięki Maksowi poznałam ciebie.

– Cieszę się więc, że go spotkałaś. – Oliver pochylił się i

dotknął dłoni Kate, po czym oparł się o krzesło i powiedział: – Inaczej dziś wyglądasz.

Kate z zadowoleniem przeciągnęła palcami po nowej, krótkiej fryzurze ułożonej w fale.

– Urszula namówiła mnie na wizytę u swojego fryzjera – przyznała. – On udaje, że jest Francuzem, ale pochodzi z Bermondsey. Bardzo je skrócił, prawda?

– Ładnie wyglądasz w tej fryzurze. Gdy cię dziś zobaczyłem, przypomniałem sobie, jak jedliśmy razem obiad. Miałaś na sobie zielony płaszcz i rozwiane przez wiatr włosy.

Między nimi zaczynało się budzić uczucie. W powietrzu można było wyczuć napięcie. Patrzyli na siebie. Kate utonęła w spojrzeniu czarno-brązowych oczu Olivera. Zawsze sądziła, że ten kolor jest cudowny, przywodził jej na myśl syrop o smaku toffi i marmite, masło piwne. Natłok niespodziewanych zdarzeń ostatnich dni sprawił, że Kate stała się wrażliwsza niż zwykle. Przypomniała sobie słowa Urszuli: „Jestem pewna, że kocha cię do szaleństwa” i zmieszła się. A jeżeli, co jest zupełnie nieprawdopodobne, Urszula miała rację? Obojgu brakowało pewności siebie i przebojowości w sprawach sercowych. Oboje wcześniej stracili ukochane osoby i zapewne dlatego z dystansem i nieufnie podchodzili do nowych związków. Kelner wrócił z deserowym menu. Rzuciła się na nie, jak by to było koło ratunkowe. Znalazła okulary do czytania i w torebce i już mówiła:

– Zabaglione! Cudownie! Nigdy go nie robię, bo zostaje zbyt dużo niewykorzystanych białek.

– Co zamierzasz teraz zrobić, jeżeli uważasz tego chłopaka za oszusta? – zapytał Oliver.

– Och, zapewne będę musiała pojechać do Szkocji – odpowiedziała ze złością, zdejmując okulary.

Cała wioska plotkowała o Adamie Ravenharcie. Był stałym tematem rozmów na pocztce, w pubie i sklepie. Morven nieraz usłyszała, że padały też imiona ojca i Frajera. Ale wszyscy cichli w jej obecności. Pewnego ranka postanowiła porozmawiać z panią Jago o zniszczonej bramie, poszła więc do Ravenhart House. Drzwi otworzył jej Adam.

– Czy zastałam panią Jago?

Odpowiedział, że tego ranka odwiózł panią Jago do Pitlochry i że zamierza przywieźć ją po południu. Zaprosił Morven do środka, weszła i zatrzymała się w głównej sali oświetlonej wpadającymi przez wysokie okno promieniami słońca. Wraz z przybyciem Adama dom ożył. Zdjęto pokrowce z mebli, umyto podłogę i oczyszczono kominki.

– Cudowne, stare miejsce, prawda? Ciągle je poznaję. Czy mogę ci pokazać, co odkryłem?

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– To żaden kłopot. Obiecuję, że spodoba ci się to. Szła za nim po schodach. Pokazując drogę, zapytał:

– Byłaś w Australii?

– Niestety, nie. Moje podróże ograniczały się tylko do wyjazdu do Londynu. Przyjazd do Szkocji musiał tobą wstrząsnąć, wszystko jest tu odmienne i odnalazłeś tak wielu krewnych.

– Marzyłem, by ich poznać – odpowiedział. Morven zauważyła, że Adam zatrzymał się na górze, obejmując dłonią głowę kruka wieńczącego poręcz. – Mam tyle ciotek. Zapewne pędzą już tutaj, aby mnie zobaczyć. – Wyszczерzył w uśmiechu białe zęby. – Czy wiesz, Morven, że jesteśmy jak dwie połówki tego samego jabłka?

– Co masz na myśli?

– Wróciłem tu po tylu latach. A ty czekasz tyle samo czasu na powrót swojego ojca.

„Wróciłem tu”. Pomyślała, że mówi o sobie, jakby to on wyjechał, a nie Frazer Ravenhart. Zachowywał się, jakby chciał być Frazerem.

– Nie czekam na ojca. Jestem pewna, że nie żyje – od powiedziała spokojnie.

W miarę zagłębiania się w nieoświetlony korytarz stawało się coraz ciemniej. Usłyszała głośny śmiech i pytanie:

– Czyż to nie jest wspaniałe miejsce, Morven? Nic można go nie pokochać!

Korytarz zakręcał, doszli do wąskich schodów prowadzących na następne piętro. A tam panowały już isticie egipskie ciemności. Miotła Phemie nie dotarła jeszcze do tych pokoi i korytarzy. Z gzymsów zwisały szare pajęczyny, a gruba warstwa kurzu przykrywała parapety i ko minki.

– Powinienem był wziąć latarkę – wymamrotał Adam Na szczęście znalazł świece, stojące w brudnym lichtarzu, zapalił je zapalniczką. Światło wydobyło z mroku niemodne, stare meble, masywne paleniska i szerokie deski podłogowe zarzucone wypłowiałymi szmatami. Przez szpary między zasuniętymi kotarami przeciskało się dzienne światło, tworząc blade smugi na ścianach i podłodze. Morven dostrzegła swe odbicie w zmatowiałym lustrze. Tuż za nią, niczym cień, stał Adam. Pokonali jeszcze jedne schody i znaleźli się w samym sercu edwardińskiego chaosu.

– Zupełnie nie rozumiem, po co trzymać te śmiecie. Adam kopnął stertę starych zasłon. – Pozbędę się rupieci, kiedy tylko zostanę właścicielem tego domu.

Otworzył niskie drzwi w boazerii, zgarbił się i prześlizgnął na drugą stronę. Słowa: „Jak tylko zostanę właścicielem tego domu” odbiły się echem wśród ścian. Morven podążyła za nim i znalazła się w nieznannej części domu. W pomieszczeniu było ciemno i pachniało stęchlizną. Nie było tu okien, więc nie

widziała Adama. Czula większy chłód niż w pozostałej części domu.

– Gdzie jesteś? – wyszeptala drząc. Jej słaby głos rozplynał się w pustej przestrzeni. Nie było odpowiedzi. – Adam! Nie wygłupiaj się! Gdzie jesteś?! – krzyknęła.

Coś zgrzytnęło i w dachu pojawił się kwadrat jasnego światła. Zobaczyła w nim roześmianą twarz Adama. Zrozumiała, że znajduje się na poddaszu, a on stoi na dachu. Do wjazdu przystawiona była drabina. Niektóre szczeble przegniły. Adam wyciągnął rękę i pomógł Morven wspiąć się do góry. Stanęli na płaskim dachu ogrodzonym niską balustradą. Nad nimi rozpościerało się bezchmurne, niebieskie niebo. Wokół wznosiły się zielonoszare góry, poprzecinane srebrnymi wstęgami strumieni spływających w dół zboczy.

– Co na to powiesz? – zapytał.

– Piękny widok. – Błądziła wzrokiem po otaczających ich wzniesieniach.

– To ojciec powiedział mi o tym miejscu. Szukałem go strasznie długo. Te cholerne poddasza tworzą prawdziwy labirynt. – Powiew chłodnego wiatru poruszył jej włosami. W słonecznym świetle chmury rzucały czarne cienie. Adam mówił dalej: – Twój ojciec i mój przychodzili tu i pili szampana. – Morven wyobraziła sobie dwóch młodych mężczyzn z fotografii w chwili, gdy podawali sobie butelkę z trunkiem. Adam podszedł do krawędzi dachu. – I zrobię to samo, gdy odziedziczę Ravenhart – powiedział. – Przyniosę tu butelkę szampana i całą wypiję. – Odwrócił się do niej i Morven zobaczyła podniecone oczy. – Staruszka zostawia mi ten dom. Pojechała dziś rano do Pitlochry spotkać się ze swoim prawnikiem. Zmienia testament. Kiedy umrze, to wszystko będzie moje. – Wyciągnął do niej rękę, a gdy nie podeszła, zapytał: – Co się stało? Boisz się wysokości?

– Oczywiście, że się nie boję. – Stała obok niego. Ziemia zakółsała się, gdy Morven wyrzała za balustradę. Adam odsunął z jej twarzy targany wiatrem kosmyk włosów.

– Jesteś jak Ravenhart – powiedział miękko. – Pomyślałem tak, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz. Piękna i dzika, tak jak to miejsce.

Adam stał oświetlony jasnym słońcem. Morven przyjrzała mu się dokładniej. Syn Frazera Ravenharta musiał być młodszy od niej o dwa lata. Jednak na jego twarzy lśnił w słońcu kilkudniowy zarost, a skóra była mocno opalona i czerstwa.

– O co chodzi? – zapytał, mrużąc oczy.

– Masz zmarszczki wokół oczu.

– To przez australijskie słońce. Potrafi wysuszyć człowieka na wiór.

Nagle, bez uprzedzenia objął ją i wsunął dłonie pod bluzkę. Przycisnął usta do jej warg. Zdawała sobie sprawę z bliskości przepaści. Była zdezorientowana, nie wiedziała, gdzie jest balustrada i bała się, że jeżeli go ode pchnie, to spadnie w przepaść.

– Adam! Przestań! – Oszołomienie minęło, odepchnęła go i powiedziała ostro: – Powiedziałam, żebyś przestał Usłyszeli, jak samochód podjeżdża pod dom. Adam wyrzał przez balustradę. Odetchnęła, czując, że zwalnia uchwyt. Otarł usta dłonią i powiedział:

– Stara musiała wziąć taksówkę. Lepiej będzie, jeśli wyjdę jej na spotkanie.

Dwa dni później Kate wysiadła z pociągu na stacji w Pitlochry. Taszczyła bagaże myśląc, że chyba zapakowała za dużo rzeczy. Wiedziała jednak, że pogoda o tej porze roku często płała figle. Może powinna była jechać samochodem, ale musiałaby wtedy gdzieś przenocować i cała ta okropna podróż trwałaby dłużej. Oczywiście to ona musiała odwołać mnóstwo

spotkań i przejechać setki kilometrów. Eleanor mieszkała za daleko, Aimée nie mogła zostawić swoich osłów bez opieki. A na Rebecce nigdy nie można było liczyć. Kate musiała załatwić wszystko możliwie szybko. Mogła pozwolić sobie tylko na kilka dni urlopu. Jej pacjentami były głównie dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi, które jej potrzebowały. Musiały mieć pewność, że mogą na niej polegać. W ten właśnie sposób buduje się zaufanie. Nagle Kate zatrzymała się. Jej rozmyślania przerwał hałas ruszającego pociągu i widok znajomej kładki nad torami. Tam właśnie zobaczyła Maxwella pierwszy raz. Wychylił się wtedy przez poręcz i machał ręką. Kate wzdrygnęła się. Minęło kilka dobrych chwil, zanim mogła podnieść bagaże i pomaszerować do wyjścia.

Kate dojechała do Ravenhart House godzinę później. Najbardziej nie podobało jej się, że ten oszust i podrzutek nosił ubrania Frazera. Chociaż musiała przyznać, że tweedowe marynarki i kaszmirowe swetry, o które pieczołowicie dbała Phemie, przekładając je bibułą i wkładając do szaf kulki przeciw molom i których Kate nie widziała od lat, doskonale prezentowały się na Adamie. Gdy zwróciła na to uwagę matki, ta odparła beztrąsko:

– Bardzo się cieszę, że po tylu latach niszczenia w szufladach w końcu jest z nich pożytek.

Matka była podekscytowana. Przejawiała entuzjazm, który znikł całkowicie po śmierci Martina. Kate bacznie przyglądała się Adamowi podczas kolacji. Nie mogła zaprzeczyć, że był nieco podobny do Frazera, lecz dotyczyło to jedynie koloru włosów i budowy ciała. Z łatwością odpowiadał na pytania dotyczące dzieciństwa i wychowania. Gdy nie potrafił znaleźć odpowiedzi, mówił po prostu, że ojciec mu o tym nie mówił. Co niestety kończyło rozmowę. Choć Adam zachowywał się

spokojnie i przyjaźnie, Kate kilkakrotnie złapała jego znaczące spój rzenie. Wiedział, że mu nie wierzyła. Matka, rozprawiająca z werwą, nie miała pojęcia, co tak naprawdę działo się przy stole. Ona patrzyła na swoje dzieci przez różowe okulary, dlatego zawsze była zaskoczona, gdy postępowały wbrew jej wyobrażeniom.

Pomimo zmartwień Kate zasnęła natychmiast. Rano przeciągnęła się z rozkoszą, patrząc jak słońce przedziera się przez szpary w zasłonach jej ulubionego pokoju w wieży. W promieniach tańczył kurz i Kate wy ciągnęła ręce, aby go złapać. Chociaż zamierzała wcześniej zacząć dzień, pozostała w łóżku, drzemiąc co chwila. Gdy w końcu wstała, wzięła długą kąpiel. Z przyjemnością zanurzyła się w torfowej, miękkiej, brązowej wodzie, którą jej skóra chciwie chłoneła. Zamierzała poróżnia wiać z matką przy śniadaniu, pojawił się jednak Adam z propozycją wyjazdu do Balmoral i matka rzuciła się wkładać płaszcz. Przerzucając kluczyki do auta z ręki do ręki, zapytał Kate, czy się do nich przyłączy. Odmówiła wymawiając się koniecznością napisania listów. Patrzyła za nimi przez okno, stwierdziła, że dzień jest zbyt piękny, by zostać w domu. Pomogła Phemie posprzątać i wyszła na zewnątrz. Nogi same prowadziły ją wzdłuż strumienia, ścieżką wiodącą do domku myśliwskiego. Po chwili zboczyła z niej i zaczęła się wspinać po stoku, głęboko wdychając pachnące słońcem i wiosną powietrze. Miała nad sobą błękitne niebo, a wysoko w górach, w zacienionych nieckach utrzymywał się jeszcze śnieg. Zbocze było coraz bardziej strome i Kate zaczęły boleć nogi. Zaniedbałam się, pomyślała niezadowolona. Kiedyś mogłaby wbiec po tej ścieżce bez trudu. Wspinając się wyżej, zobaczyła domek myśliwski. Usiadła na trawie, objęła kolana ramionami i patrzyła na niego.

Od rana chodził jej pogłowcie fragment wiersza: „Nie sposób

dalej wędrować pośród nocy tak ciemnej”. Jak brzmiała dalsza część zwrotki? „Nie sposób dalej wędrować pośród nocy tak ciemnej, chociaż serce nadal kocha i jaśnieje księżyc”\* [„So, we'll go no more a roving”, G. G. Byron (tłumaczenie Barbara Szyszko)]. Czy jej serce nadal było pełne miłości jak wtedy, gdy mając dziewiętnaście lat zakochała się w Maxwellu Gilchristie? A może z biegiem lat stało się nieczułe, aby nikt nie mógł jej już zranić?

Samotnie wychowując syna, musiała być twarda, samowystarczalna i skuteczna. Jednak ten okres w jej życiu dobiegał końca. Kiedy patrzyła wstecz, wydawało jej się, że ostatnie dwadzieścia lat spędziła w ciągłym pośpiechu, nie mając chwili na refleksję i odpoczynek. Żyła jak w oku cyklonu, który teraz wyrzucił ją: posiwiała, z zaokrąglonymi biodrami i powstała od trosk wielką, pionową zmarszczką na czole. W krótkich przerwach między pracą a wychowywaniem Sama starała się być dobrą siostrą, córką i przyjaciółką. Od śmierci Hugh rzadko jednak dopuszczała do siebie kogoś blisko. Nie była już tą dziewczyną, która zakochała się od pierwszego wejrzenia. Przyjmując maskę obojętności, nauczyła się bronić przed bólem. Ceną przetrwania była samotność i bolesna tęsknota za uniesieniami, które przeżywała tu, w Ravenhart. Pocałunek, uśmiech, dotyk dłoni, to wszystko zmieniło ją na zawsze. Kate wstała. Było tyle rzeczy do zrobienia. Mu siał wrócić do domu przed Adamem i odwiedzić Naonii i Morven. Winna to była pamięci Maxwella. Chciała po wiedzieć Morven, że wiele lat zabrało jej zrozumienie, iż Max nikomu nie ufał i że wynikało to z niełatwego dzieciństwa. Powie o tym, że Maksa i Frazera łączyło trudne dzieciństwo, Frazer został rozdzielony z matką, a Maxwell był bity. I o tym, że Max dla każdego przybierał inną maskę, nie można było przejść obok niego obojętnie i że wzbudzał równie silne uczucie miłości, jak i

nienawiści. Powie jej też, że Max był zabawny, czuły, przystojny, dobry i szczodry i że pokochałaby go, gdyby miała szansę go poznać. Kate popatrzyła na siebie i zauważyła, że ma przyczepioną do ubrania trawę i płatki kwiatów. Słońce mocno piekło i Kate się zdawało, że się rozpuści. Załow. i ła, że nie włożyła kolorowej bluzki zamiast poważnego golfa i że nie związała włosów wstążką.

Kate weszła do pokoju Bess w przeddzień wyjazdu dci Londynu.

– Jaka szkoda, że musisz wracać tak szybko – powiedziała matka.

– Ja też żałuję. – Kate usiadła na łóżku. – Nie chcę, że byś została w domu sam na sam z nim.

– Adam jest moim wnukiem – wyjaśniała cierpliwie Bess. – Jest Ravenhartem. To oczywiste, że musi tu zostać. – A jeżeli nim nie jest? – Kate miała zatroskane oczy, Jeżeli wymyślił to wszystko? Jeżeli wykorzystał nadarzającą się okazję?

– Ma sygnet Frazera – mówiła Bess, zdejmując diamentowe kolczyki – jego zegarek i fotografię domu. I tyle wie o Ravenhart i o Frazerze.

– To niczego nie dowodzi.

– Po co miałby kłamać? – Bess włożyła kolczyki do szkatułki wyściełanej aksamitem.

– Dla tego samego powodu, dla którego wielu ludzi kłamię – odpowiedziała prosto z mostu Kate. – Dla pieniędzy.

– Sądziś, że postępuję niemądrze, prawda? – Matka odwróciła się do niej i zatrzasnęła wieczko szkatułki.

– Chcesz, żeby to był syn Frazera, mamó. Czy nie sądziś, że to pragnienie nie pozwala ci na właściwą ocenę sytuacji?

– Nawet jeżeli tak jest, to co? – zapytała miękko Bess. – Tak bardzo się starałam nie myśleć o Frazerze i nie roztrząsać tego,

co się stało. Sądziś, że nie zdaję sobie sprawy z tego, jak bardzo tęsknota i samotność mogą zniekształcić wspomnienia? Nie możesz mi jednak kazać o nim zapomnieć. To był mój syn.

– Mamusiu. – Kate ścisnęła dłoń matki. – Nie chcę, byś o nim zapomniała. Pamiętaj, że ja też kochałam Frazera i gdyby coś podobnego przytrafiło się Samowi... – Urwała i po chwili dodała: – Proszę cię tylko, abyś była ostrożna.

– Wiem, kochanie. I doceniam twoje starania.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego jesteś taka pewna, że Adam jest synem Frazera.

– Dawno temu nauczyłam się, że pewność to luksus i ułuda – odparła spokojnie Bess.

– Dlaczego więc...

– Niczego w życiu nie dokona ten, kto będzie oczekiwał całkowitej pewności w każdej sprawie. – Bess wyjęła spinki z włosów. – Miałam trzech mężów, Kate. – Popatrzyła na córkę. – Za każdym razem wychodząc za mąż, nie byłam pewna, czy robię dobrze. – Kate chciała coś powiedzieć, lecz Bess przerwała jej: – To prawda. Jack był wspaniały, każda młoda kobieta zakochałaby się w nim. Ale biorąc z nim ślub, wcale go nie znałam. Twojego ojca nie powinnam była w ogóle poślubić. Ralph to dobry człowiek, zbyt dobry dla mnie. Nie pasowaliśmy do siebie i szybko zdałam sobie z tego sprawę.

– A Martin? – spytała Kate. – Z Martinem byłaś pewna?

– Nie wtedy, gdy brałam z nim ślub. – Bess wspomniała oświadczyzny Martina w deszczowy wieczór na Princes. – Nie byłam pewna. Szczerze mówiąc, bałam się, że w ogóle do siebie nie pasujemy. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że Martin jest miłością mojego życia. – Poglaskała Kate po głowie. – Niczego jednak nie żałuję. Przeżyłam cudowne dwa lata u boku Jacka. Ralph dał mi Michaela i ciebie. Nie możesz iść przez życie tylko wtedy, gdy jesteś całkowicie pewna swoich

wyborów. To byłoby okropnie nudne.

Rano Kate skończyła się pakować. Składając pończochy, wyjrzała przez okno. Adam spacerował po ogrodzie. Pomyślała, że dogląda swojej własności i znaczy teren. Zabrała aparat fotograficzny i zeszła na śniadanie. Adam zaproponował, że odwiezie ją do Pitlochry. Po śniadaniu zaniósła walizkę do auta i zaczęła, aż Adam i matka wyjdą z domu.

– Uśmiech proszę! – zawołała i gdy podnieśli głowy, zrobiła im zdjęcie. Zauważyła, że Adam się wściekł, za to matka była rozradowana.

Adam jechał bardzo szybko i dodawał gazu, gdy wchodzili w ciasne zakręty. Nie rozmawiali, a Kate trzy mała aparat fotograficzny bezpiecznie w torebce na kolanach. Na stacji kolejowej, wyjmując walizkę z bagażnika, w końcu się odezwał:

– Nic lubisz mnie, Kate.

– Ani cię lubię, ani nie lubię – odpowiedziała, zabierając walizkę. Popatrzyła mu w oczy i zobaczyła, że z niej drwi. Dodała: – Chcę, żebyś wiedział, że kocham matkę i zrobię wszystko, aby ją chronić. – Nadjechał pociąg i Kate weszła na peron.

Pogoda załamała się. Zaczęło lać i trawa zamieniła się w grzęzawisko, a ścieżki w błotnistą maź. Wychodząc ze sklepu w wiosce, Morven usłyszała, że ktoś ją woła. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła Patricka Ropera, podeszła więc do niego.

– Podwieźć cię?

Morven z wdzięcznością zgodziła się. Otworzył drzwi land rovera i powiedział:

– Za chwilę wrócę.

Morven wsiadła do auta, strząsając z siebie krople wody na ulicę. Patrick wrócił z bochenkiem chleba i gazetą. Rzucił

zakupy na tylne siedzenie.

– Zastanawiałem się nad drugim podejściem na Ben Liath – powiedział, włączając silnik.

– Nie dzisiaj, jest zbyt mokro. Może za kilka dni, gdy ziemia trochę podeschnie. Na trasie jest kilka rumowisk, które po deszczu mogą być zdradliwe.

Wyjechali z wioski. Morven lubiła obserwować, jak Patrick prowadzi. Pewnie trzymał kierownicę mocnymi rękami, które pokrywał jasny meszek, z wprawą omijając wyboje i koleiny. Ostrożnie, Morven, przestrzegła się. Nic o nim nie wiesz. Może mieć dziewczynę, nawet żonę i dziecko. Może mieć okropne przyzwyczajenia i dziwaczne pasje. Może być też przeraźliwie nudny. Chyba jednak nie, pomyślała i odezwała się:

– Co miałeś na myśli, mówiąc mi wtedy, że ludzie nie rozplývają się we mgle?

– Szukałem wielu zaginionych osób – odpowiedział, marszcząc brwi. – Większość z nich odnajdywała się po jednym lub dwu tygodniach. Niektórzy zajmowali mi więcej czasu, ale znaczna większość wracała do domu. Nie znikali bez śladu, jak twój ojciec i Frazer Ravenhart.

– Kate Willoughby, siostra Frazera, ta dziewczyna z fotografii, przysłała do mnie kilka dni temu – opowiadała, ścierając wilgoć z przedniej szyby.

Koła land rovera rozbryzgiwały wodę z kałuż. Zauważyła zainteresowanie w oczach Patricka, mówiła więc dalej:

– Kate opowiadała o moim ojcu. Dobrze go znała. – Przerwała, chcąc przypomnieć sobie rozmowę. – Sprawiała, że teraz inaczej o nim myślę. Nigdy wcześniej nie był tak realny. Zdaje się, że był dobrym kompanem do zabawy, miał dobre serce i nie zawsze dobrze mu się wiodło. Znałam już trochę szczegółów, wujowie opowiedzieli mi, jak źle traktował go dziadek. Ale, z wyjątkiem ciotki Bar bary, nikt nie mówił o nim

nic dobrego.

– A twoja matka?

– Czasami go kocha. – Morven zmarszczyła brwi. Czasami jednak go nienawidzi, gdyż jest przekonana, że ją porzucił. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy indziej znowu mówi, że był jakiś wypadek, że ojciec wpadł w szczelinę w górach lub utonął w jeziorze, wymyśla różne rzeczy.

– Zazwyczaj znajduje się ciało po wypadku. – Patrick spojrzał na Morven. – Tak tylko powiedziałem.

– Jeżeli nie uciekł i nie miał wypadku, to co się stało? Patrick zatrzymał wóz, dojechali już na miejsce. – Jak już mówiłem, większość zaginionych osób w końcu się odnajduje. Ci, których ta zasada nie dotyczy, najczęściej popełnili samobójstwo. Czy twój ojciec mógł się zabić?

Morven patrzyła przez strugi deszczu na zepsutą bramę i drzewa, które w oddali przesłaniały Ravenhart House. Przypomniała sobie, co powiedział o ojcu wuj Sandy po pogrzebie dziadka: „Nie cofał się przed niczym”. Jednak Kate Willoughby mówiła o nim, jak o człowieku walczącym o życie, choć przedstawiała go jako lubiącego ryzyko.

– Trudno jednoznacznie stwierdzić, kim był. Wzbudzał w ludziach skrajnie różne emocje. Niektórzy go kochali, inni nienawidzili. – Morven pomyślała, że Kate należała do pierwszej grupy, a wuj Sandy do drugiej. – Nie mam podstaw sądzić, że popełnił samobójstwo. Nikt nigdy nie rozważał takiej możliwości.

Patrick wysiadł z auta i otworzył drzwi pasażera.

– Pomogę ci wnieść zakupy. – Zrzucił sobie jej plecak na ramię.

– Jeżeli nie uciekł cichaczem, nie miał wypadku i nie popełnił samobójstwa, co się z nim stało?

– Jest jeszcze jedna możliwość – odpowiedział, patrząc na

Morven ze smutkiem.

– Jaka?

– Morderstwo.

## Rozdział 19

Gdy Bess pierwszy raz zauważyła, że brakuje jej pieniędzy w portmonetce, pomyślała, że musiała się pomylić. Przecież się starzała i zapominając o niektórych rzeczach, mogła się znaleźć w kłopotliwej sytuacji. A nawet wystraszyć się jej konsekwencji. Jednak, gdy powtórzyło się to po raz drugi i trzeci, wszystko stało się jasne. Przed laty Ralph nauczył ją mądrze wydawać pieniądze, zachowywać rachunki i zapisywać kwoty pobrane z banku. Bess skrupulatnie przestudiowała rachunki i przeliczyła wydatki.

Ktoś podbierał jej pieniądze. Tylko dwoje ludzi miało po temu okazję: Phemie i Adam. Bess darzyła Phemie całkowitym zaufaniem. Pozostawał więc Adam. Zastanawiała się, czy nie powinna z nim porozmawiać i zapewnić go, że jeżeli potrzebuje więcej pieniędzy, wystarczy poprosić. Powstrzymywała ją świadomość własnej bezbronności. Do tej pory nie zastanawiała się nad tym, ile ma lat i jak bardzo jest słaba. Żałowała, że nie ma z nią Kate i że Martin, jej kochanek i obrońca, nie może jej już pomóc.

Może Adam kradł pieniądze ze strachu przed ubóstwem? W przeszłości nie miał dostatniego życia. Bess rozumiała to, sama była przecież biedna, a takie doświadczenie zostawia piętno na zawsze. A może robił to z pogardy dla niej? Adam bardzo się zmienił od dnia, w którym przyjechał do Ravenhart. Kroczył dumnie, obchodząc dom i posiadłość. Nosił ubrania Frazera i używał do pisania jego pióra. Wyjmował z szafki papierosy i alkohol, nie pytając o pozwolenie. Jego głos niósł się echem poprzez wyłożone boazerią korytarze, gdy krzyczał do Phemie, żeby przyniosła mu płaszcz lub jedzenie. Miał w oczach pewność siebie, chciwość i zachłanność. Bess obserwowała Adama, zastanawiając się, kim jest naprawdę. Czy był synem

Frazera, czy też może straszliwie się pomyliła?

Po powrocie do Londynu Kate ustaliła nowy grafik spotkań ze swoimi podopiecznymi i pobieźnie posprzątała mieszkanie. Zrobiła też zakupy, ponieważ Rebecca i Sam niemal całkowicie opróżnili lodówkę. Żałowała, że w Ravenhart House nie ma telefonu. Mogłaby utrzymać z matką kontakt. Za to codziennie do niej pisała. Rebecca, która wyjechała na czas nieobecności Kate, wróciła któregoś wieczoru. Wymachując butelką wina, starsza siostra zapytała:

- Napijesz się, Becky?
- Nie, dziękuję. Ale chętnie zjem kanapkę, umieram z głodu.
- Jest trochę szynki i korniszony – powiedziała Kate, zaglądając do lodówki.

- Wspaniale, poproszę górę korniszonów.

Kate pomyślała, że Rebecca wygląda okropnie. Była blada i wysuszona, ubierała się niechlujnie. Nosila golf z przykrótkimi rękawami, włosy związała niedbale w kucyk i najwyraźniej nie dbała o paznokcie.

- Co u mamy? – zapytała. – Jaki jest ten człowiek?
- Mama ma się dobrze. – Kate kroił chleb. – A Adam jest wstrętny, po prostu wstrętny.
- Czy jest podobny do Frazera?

- Jest pewne podobieństwo. Ale to nie jest syn Frazera. Trudno to wyjaśnić. Kiedyś Oliver pokazał mi prawdziwy rysunek Turnera i podróbkę. Nie potrafiłam wskazać, czym się różnią, ale wiedziałam, który jest falsyfikatem.

- Zupełnie nie pamiętam Frazera. A Eleanor ledwie sobie coś przypomina. – Rebecca bazgrała po liście zakupów Kate.

- Rozumiem. Dlaczego jest tak przekonujący? – Kate westchnęła. – I dlaczego mama mu uwierzyła? Boję się, że ona daje mu pieniądze. Nie mówiła mi nic na ten temat, ale

podejrzewam, że tak właśnie robi.

– Nie spytałaś jej ?

– Nie mogłam. Adam zawsze kręcił się w pobliżu. Poza tym to by było okrutne. – Kate przerwała na chwilę i pokroiła chleb.

– Mama jest w końcu szczęśliwa. Pierwszy raz od śmierci Martina. Nie wiem, co robić i bardzo się martwię. – Postawiła przed Rebeccą talerz z kanapkami.

– Eleanor coś wymyśli – powiedziała Rebecca.

– Eleanor?

– Przyjeżdża.

– Z Indii?

– No tak – przytaknęła Rebecca z ustami pełnymi jedzenia. – Aimée wysłała do niej telegram. – Zauważywszy spojrzenie Kate, dodała zapalczywie: – Nie tylko ty się martwisz o mamę. Aimée zadzwoniła podczas twojej nieobecności. Jakiś jej przyjaciel ma się zająć osłami, a ona przyjeżdża jutro. Zabierze z lotniska Eleanor. Ona przyleci samolotem, szczęściara.

Na wieść o przyjeździe najrozsądniejszej z sióstr Kate poczuła ulgę. Usiadła obok Rebecki.

– Właściwie to coś udało mi się zrobić – wyznała. – Przeszukałam jego pokój.

– Pokój Adama? – Rebecca popatrzyła na Kate zaskoczona. – Bardzo odważne posunięcie. A co byś zrobiła, gdyby cię przyłapał?

– Byłam ostrożna. To było przerażające, cały czas wyobrażałam sobie, że słyszę kroki w korytarzu. Pomyślałam jednak, że mogę tam znaleźć coś, co mogłoby nam pomóc.

– Paszport?

– Niestety, paszportu nie znalazłam. Ani prawa jazdy czy książeczki czekowej. Ale zrobiłam mu zdjęcie w dniu wyjazdu. Może się przydać. Bardzo mu się to nie spodobało.

– Czy sądzisz, że powinniśmy iść na policję?

– I co byśmy powiedziały? – Obawy Kate powróciły. – Nie zrobił nic złego. Tylko mieszka z mamą na jej koszt. Nie chcę jej denerwować ani sprawić, by czuła się głupia i upokorzona. – Kate podniosła kieliszek wina i zapytała: – Pewna jesteś, że nie chcesz... ?

– Nie, dzięki. Jakoś nie mam teraz ochoty. Rebecca powiedziała to takim tonem, że Kate przyjrzała się jej uważnie.

– Becky?

– Jestem w ciąży – wyznała Rebecca, przygryzając usta. – Byłam dziś po południu u lekarza.

– To wspaniale, prawda? – powiedziała Kate po chwili, gdy zebrała już myśli.

– Zapewne. Nie mówiłam jeszcze nikomu.

– Jared musi być zachwycony.

– Nie mam pojęcia. On o tym nie wie – wyszeptała Rebecca.

– Do diaska! A to dlaczego?

– Gdy się zorientowałam, że jestem w ciąży, przestraszyłam się. Wydawało mi się, że jeśli komuś o tym powiem, to stanie się coś strasznego.

– Och, Becky.

– Poza tym, wiesz, nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach – dodała Rebecca, ogryzając skórkę przy paznokciu.

Kate w ogóle trudno było wyobrazić sobie Rebeccę i Jareda, rozmawiających o poważnych rzeczach.

– To nie znaczy, że Jared nie chce mieć dzieci – zauważyła. – Ale ty chyba chcesz tego dziecka?

– Tak. Bardzo. Boję się, że znów coś pójdzie nie tak jak trzeba. A tego bym nie zniosła. – Rebecca była prze straszona i Kate bardzo jej współczuła.

– Ostatnim razem po prostu nie miałaś szczęścia. Te raz będzie zupełnie inaczej. – Kate poklepała siostrę po ręce. – Powinnaś porozmawiać z Jaredem.

– Kocham Jareda – mówiła Rebecca, siedząc nad resztkami kanapek; układała korniszony w małe stosiki. – Nigdy nie kochałam Stuarta. Kiedyś wydawało mi się, że go kocham, ale byłam w błędzie. A Jareda kocham na prawdę.

– Dlaczego więc odeszłaś od niego?

– Widzisz, czasami jestem dla niego okropna. – Rebecca patrzyła na Kate szeroko otwartymi oczami. – Często nie wiem nawet dlaczego. Po śmierci taty byłam taka przygnębiona, a kiedy jestem nieszczęśliwa, zachowuję się potwornie. – Becky starała się nie rozpląkać. – Potem dotarło do mnie, że mogę być w ciąży i postanowiłam przekonać się, czy Jared się ze mną pogodzi. Wiedziała bym wtedy, czy mnie kocha. Ale wszystko wymknęło się spod kontroli. Nie mówił tego, co trzeba. Zawsze sądziłam, że poeta umie dobierać właściwe słowa. Nagadałam mu strasznych rzeczy, okropnie się pokłóciliśmy i... – Becky płakała otwarcie, ocierając nos wierzchem dłoni.

– Wielu mężczyzn wyznaje mi miłość – pociągnęła nosem – ale robią to, bo chcą zaciągnąć mnie do łóżka. – Popatrzyła na Kate. – Nie wiedziałas?

Cóż, nie wiedziałam, pomyślała Kate i powiedziała twardo:

– Musisz porozmawiać z Jaredem.

– Nie mogę.

– Oczywiście, że możesz. Powiedz mu, co czujesz tak, jak powiedziałaś mnie. To wszystko, co musisz zrobić. – I dodała energicznie: – Dokończ jedzenie, Becky. Jesteś za szczupła, a musisz być teraz silna.

Adam snuł się po domu jak mgła, utrudniając Elizabeth dokonanie właściwej oceny sytuacji. Otwierał zapomniane pokoje położone w oddalonych częściach domu. Bess widziała, jak ściągał zakurzone pokrowce z mebli i energicznie rozsuwał zasłony, myszkował w szafach i szufladach. W każdym

pomieszczeniu zostawiał po sobie jakiś ślad: brudną filiżankę po kawie, sweter wiszący na krześle, książki zdjęte z półek i porozrzucane na stolikach i parapetach. Rano zawsze przemierzał kilka kilometrów, obchodząc posiadłość. Niezmiennie zaczynał od ścieżki, prowadzącej przez dolinę do myśliwskiego domku. Bess wiedziała, jaką rozkosz przynosiło mu przejmowanie Ravenhart House, jak się puszy i z jaką lubością i skupieniem patrzy przez okna na wzgórze.

Nie ma większego głupca nad starego głupca – przysłowie samo wpadło jej do głowy. Może Adam w jakiś niewyjaśniony sposób wszedł w posiadanie pamiątek po Frazerze: sygnetu, zegarka i zdjęcia. A potem się zastanawiał, jaki może mieć z nich pożytek. Przyjechał do Szkocji i widząc, że posiadłość jest własnością starej, bezbronnej kobiety, postanowił skorzystać z okazji. Może wyśmiewał ją w duchu, wykorzystując bez skrpułów jej łatwowierność i ból po stracie dawno zaginionego syna. Często udawało się Bess odsunąć wątpliwości. Frazer nie był w końcu ideałem. Dostrzegła jego wady; uważał, że mając pozycję i pieniądze, może się nie liczyć z nikim i z niczym. Tacy sami byli Jack i Córa Ravenhart. Arogancja i próżność charakteryzowały cały ród Ravenhartów od pokoleń, dlatego więc Adam miałby nie mieć tych wad? Wędrując przez australijski busz, nie mógł nabyć dobrych manier. Za bardzo się przejęła zaginięciem tych kilku funtów z portmonetki.

Pewnego wieczoru, przebierając się do kolacji, Bess odkryła, że zniknęły jej diamentowe kolczyki. Błękitne diamenty, które Jack kupił ponad pięćdziesiąt lat temu. Serce biło jej jak oszalałe, gdy w poszukiwaniu czerwonego aksamitnego pudełeczka przeszukiwała szufladę za szufladą. Przestraszona zeszła na dół do jadalni, czując się staro i niepewnie. Chociaż starała się zachować spokój, na powitanie pocałowała Adama w policzek, w środku drżała.

– Nie mogę znaleźć kolczyków – odezwała się, gdy Phemie podała pierwsze danie.

– Kolczyków? – Podniósł głowę.

– Błękitnych diamentów. Są cenne. Nigdzie nie mogę ich znaleźć.

– Jesteś pewna?

– Tak, całkowicie.

– Phemie... – Zmarszczył brwi.

– Phemie by ich nawet nie dotknęła. Pracuje dla naszej rodziny od wielu lat. Ufam jej całkowicie.

– Zatem musiałaś je gdzieś przełożyć.

– Nie sądzę – wyszeptła.

– Nie sądzisz? Postaraj się sobie przypomnieć. – Sięgnął przez stół i położył swoje wielkie i silne ręce na dłoniach Bess.

– Musiałaś gdzieś je przełożyć – powiedział ciepło. – Może zostawiłaś w Edynburgu. Chyba zaczynasz mieć kłopoty z pamięcią, nie uważasz?

– Tak, Adamie, jestem pewna, że masz rację – wymamrotała.

O drugiej po południu w piątek Kate umówiona była z Jacqueline, trzynastoletnią dziewczynką z głębokimi psychicznymi zaburzeniami. Fakt, że była ona bardzo nieszczęśliwa, odkryto dopiero, gdy pewnego dnia w szkole po prostu przestała mówić. Od czasu do czasu Kate udawało się skłonić Jacqueline do powiedzenia kilku słów. Jednak tego popołudnia Jacqueline milcząc zakręcała koniec warkocza na palcu i unikała jej wzroku. Po zakończonej sesji Kate zadzwoniła do Olivera.

– Jak było w Szkocji? – zapytał.

– Beznadziejnie – podsumowała krótko i opowiedziała o Adamie.

Gdy skończyła, zapadła chwila ciszy, zanim się odezwał:

– Jestem pewien, że zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy.

– Czy coś jest nie tak, Oliver?

– Wczoraj zmarła Margot.

– Tak mi przykro.

– Spędziłem cały dzień, pomagając biednemu Nigelowi w zorganizowaniu pogrzebu. To okropnie przygnębiające.

– Zaraz do ciebie przyjadę.

Kate odłożyła słuchawkę, znalazła butelkę whisky, którą przywiozła dla Olivera ze Szkocji i upchnęła ją w torbie. Nagryzmoliła wiadomość dla Sama i Rebecki i zostawiła ją na kuchennym stole. Na drzwiach sklepu Olivera wisiała tabliczka „Zamknięte”. Kate weszła i od razu skierowała się na piętro, do mieszkania Olivera. Pocałowała go na powitanie i wręczyła paczkę, mówiąc:

– Może się przydać.

– Dzięki, Kate – powiedział Oliver, zaglądając do środka. Nalał whisky do dwóch szklaneczek i wznosił toast:

– Za Margot.

– To było okropne, prawda? – spytała delikatnie Kate.

– Niestety tak. Dzięki Bogu nie męczyła się długo. Na szczęście Stephen zdążył się z nią pożegnać, gdy była jeszcze przytomna.

– Będzie za nią tęsknił.

– Ogromnie. Kazałem mu iść do Philippy. Poczieszy go. – Philippa była narzeczoną Stephena. Oliver popatrzył na dno swojej szklanki. – Biedna Margot. Całe życie marzyła o dziecku, ale nie mogła go mieć. Cholerny pech.

– Przyjaźniła się ze Stephenem, prawda?

– Tak, oczywiście. Ale to nie to samo.

– Miała Nigela, psy i te swoje komitety. Sądzę, że była szczęśliwa. – Kate uśmiechnęła się. – Zawsze uważałam, że ma

silną osobowość. Była taka uczciwa i szczerza, nie można było jej zignorować.

– Z pewnością. Równa babka. Zrobiłaby dla ciebie wszystko i rzadko się wahała. Już coraz mniej jest takich osób.

– Kiedyś strasznie się jej bałam – wspominała Kate, sącząc whisky.

– Naprawdę? – Rozbawiła go. – Dlaczego?

– Była ode mnie starsza i taka wyrafinowana. Zawsze pewna siebie.

– Mówiła mi, jak mam wychowywać syna. Robiła tak dlatego, że bardzo go kochała.

Kate przypomniała sobie jazdę na tylnym siedzeniu auta prowadzonego przez Margot, zgrzyt zmienianych biegów i uciekających sprzed maski pieszych.

– Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale Margot raz mnie przed tobą przestrzegła.

– Przestrzegła? – powtórzył zaskoczony Oliver.

– Sądziła chyba, że mam wobec ciebie jakieś plany.

– Dobry Boże, nie miałem o niczym pojęcia.

– Chyba myślała, że każda kobieta, która z tobą rozmawiała, miała wobec ciebie plany.

– Co za ironia losu, prawda? Żadna ich nie miała. Przynajmniej nie te, na których mi zależało.

– Ojej, Oliver. To brzmi tak, jakby były ich dziesiątki.

– Nie. Była tylko jedna.

Nagle zapadła między nimi cisza, którą zakłócał jedynie uliczny hałas, dochodzący z ulicy. Powinam iść do domu, pomyślała. Eleanor i Aimée już pewnie dotarły do Londynu.

– A czy ta kobieta... Powiedziałeś jej o tym kiedykolwiek?

– Próbowałem kilka razy. Ale nie zauważyłem, by była zainteresowana. – Oliver bawił się bezmyślnie nakrętką. – Od tego czasu często myślałem, że przegapiłem odpowiednią

chwilę. Z czasem wychodzi się z wprawy. Szczególnie, gdy ma się dziecko. Starasz się wtedy ochronić je przed wszelkim złem i jednocześnie przygotować do dorosłego życia. A potem nagle odkrywasz, że już się postarzałeś, masz na karku pięćdziesiątkę i siwe włosy – mówił, obejmując ją wzrokiem. – Ale tobie to się nie przytrafiło. Jesteś ciągle tak samo piękna, jak pierwszego dnia, gdy cię poznałem.

Kate pomyślała o wizycie siostr i synu. Tyle osób, a ona nie wie nawet jeszcze, co przygotować na podwieczorek. Wstała lekko spanikowana.

– Muszę już iść, przychodzi dzisiaj do mnie niemal cała rodzina. – Chwyciła torebkę i pocałowała Olivera w policzek na pożegnanie.

Po wyjściu ze sklepu skierowała się do stacji metra Ladbroke Grove. Nie mogła zebrać myśli, które rozpierzchły się niczym kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Oliver, matka, Adam Ravenhart, dziecko Rebecki i siostry. Zbyt wiele na głowie. Dlaczego wszystko tak się pogmatwało? „Niczego w życiu nie dokona ten, kto będzie oczekiwał całkowitej pewności w każdej sprawie. To byłoby okropnie nudne” – mówiła matka. Przypomniała sobie, jak wiele lat temu ojciec opowiadał jej, że Michael był dominującym bliźniakiem. Zawsze robił wszystko pierwszy, a ona jedynie podążała za nim. Dodawał, że w przeciwieństwie do niezmiennie lekkomyślnego brata Kate zachowywała ostrożność i że byli jak odbite w lustrze połówki tej samej całości. Doszła do metra. Patrzyła, jak wielki, schodzący w dół tunel pochłania ludzi. Od wróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem na ulicę Portobello, przeciskając się przez tłum, który w godzinach szczytu zalał ulicę. Walila pięściami w drzwi mieszkania Olivera, oddychając ciężko, aż otworzył.

Jadąc do domu dwie godziny później wsiadła do nie właściwego pociągu, który podążał do centrum. Musiała przejść na przeciwległy peron, wpadła na jegomościa w meloniku na stacji przy ulicy Edgware i czekała długo na pociąg linii Circle Line. W pewnej chwili popatrzyła na siebie dokładniej w poszukiwaniu źle zapiętych guzików lub śladów rozmazanej szminki. Poszli z Oliverem do łóżka i było to wspaniałe, rozkoszne i podniecające przeżycie, porównywalne jedynie z tym, jakie odczuwa się, wracając do domu po długiej nieobecności. Gdy w końcu popatrzyła na zegarek, aż krzyknęła zaskoczona. Wskoczyła w ubranie, szybko pocałowała Olivera i wypadła z mieszkania. Mogłam zająć w ciąży jak Rebecca, pomyślała nagle, gdy pociąg zatrzymał się na stacji i musiała z innymi pasażerami wepchnąć się do zatłoczonego wagonu. Ciąża w jej wieku była mało prawdopodobna, ale nie wykluczona. Trudno. Nawet jeżeli zajdzie w ciąży, to będą mieć najcudowniejsze dziecko pod słońcem. Ogarnęła ją wielka radość i zaśmiała się w głos, aż współpasażerowie przezornie woleli się od niej odsunąć. Gdy wysiadła na Sloane Square, wydawało jej się, że poradzi sobie ze wszystkim: z matką, siostrami, nawet z Adamem Ravenhartem. Weszła do domu i usłyszała podniesione głosy.

– Nie możesz sama zajmować całego pokoju, Rebecca – mówiła Eleanor. – To śmieszne. Możesz spać w łóżku, ja przygotuję sobie poślanie na podłodze.

– Wiesz, że nie mogę spać, gdy w pokoju jest jeszcze ktoś – odpowiedziała Rebecca.

– Jak u licha radziłaś sobie z tym, gdy dzieliłaś sypialnię ze swoimi mężami? – prychnęła Eleanor.

– Wiesz doskonale, że to co innego.

– Moja droga! – Aimée powitała wchodzącą Kate. Siostry objęły się na powitanie. – Wyglądasz doskonale. – Odwróciła

się do pozostałych i spytała: – Czyż Kate nie wygląda wspaniale?

– Kwitnąco. – Eleanor ucałowała starszą siostrę.

– Wy też świetnie wyglądacie – odwdzięczyła się Kate. Wysoka, szczupła i opalona Eleanor nosiła kremowe spodnie i białą bluzkę. Długie, brązowe włosy związała szyfonową, turkusową szarfą. Aimée wyglądała elegancko w szarych, płóciennych spodniach i różowym, jedwabnym topie z krótkimi rękawkami.

– Próbowалам wyjaśnić – zaczęła drżącym głosem Rebecca – że zajmuję twój pokój gościnny od tygodni.

– Och, na miłość boską! Dorośnij w końcu, Rebecca – skarciła ją Eleanor. – Nie przypuszczasz chyba, że będziemy się z Aimée tłoczyć na kanapie tylko dlatego, że chcesz mieć pokój dla siebie. Zawsze była z ciebie egoistka.

– To nie ma znaczenia – wtrąciła się Aimée. – Rebecca może zostać w swoim pokoju, a ty Eleanor będziesz spać na kanapie. Jeżeli to ci odpowiada, Kate.

– Oczywiście, tylko gdzie ty będziesz nocować?

– Zatrzymam się u przyjaciółki. Spędzimy tu przecież tylko noc lub dwie. Uważam, że powinniśmy z Eleanor jak najszybciej pojechać do Szkocji. Zgadzaście się?

Kate się zamyśliła; właśnie wspominała, jak Oliver wyznawał jej miłość, całował i rozbierał ją. Tak bardzo się spieszyli, że nawet nie dotarli do łóżka. Kate wydawało się teraz niezwykle, że czekali tyle lat.

– Kate? – Aimée przywróciła ją do rzeczywistości.

– Ach tak, czas na kolację. – Kate otworzyła lodówkę i bezmyślnie patrzyła do środka.

– Nie martw się. Pójdziemy zjeść na miasto. – Aimée usiadła na stole i machała długimi nogami. – Znam kilka cudownych miejsc.

Kate starała się zebrać myśli. Wyjęła z szuflady kopertę i pokazała siostrze zdjęcie, które odebrała wcześniej.

- To on. Adam Ravenhart.
- Ależ przystojny łobuz – zapiszczała Aimée.
- Biedna mama.
- Eleanor, czy on jest podobny do Frazera?
- Nie jestem pewna. – Zmarszczyła brwi. – Gdybyśmy tylko mogły się dowiedzieć, kim jest naprawdę.
- To Australijczyk, prawda? – Rebecca włożyła fotografię do torebki. – Pójdę do dzielnicy Earls Court na Kangaroo Valley. Ktoś z tamtejszych Australijczyków musi go znać.

Bess coraz częściej spędzała czas zamknięta w swoim pokoju. Siedziała przy biurku, usiłując pisać listy, jej pióro jednak zamierało bez ruchu nad papierem. Jedynie wielki kleks spływał ze stalówki na papier.

Pewnego razu widziała, jak Adam dokuczał Phemie.

– Podoba mi się twój kapelusz – krzychał. – Pasuje ci. Myślisz, że będzie pasować też na mnie? – Zabrał ciemnozielony берет i trzymał wysoko w ręce. Phemie z wyciągniętymi do góry rękami podskakiwała na grubych, krótkich nóżkach, starając się go dosięgnąć. Adam nagle rzucił берет w odległy kąt korytarza i powiedział: – Masz. Nie chcę go już, śmierdzi.

Phemie chwyciła берет i wybiegła z domu. Słysząc było, jak pędzi po żwirowym podjeździe.

W nocy Bess słyszała kroki Adama na korytarzach. Słuchając w ciemności, myślała, że powinna zatelefonować do córek z domku przy bramie i poprosić, by do niej przyjechały. Jednak każdego ranka, gdy wstające słońce oświetlało jej sypialnię, zmieniała zdanie. Dziewczeta miały własne życie i własne problemy, nie powinna dokładać im swoich kłopotów.

Poza tym wyczuwała niebezpieczeństwo i nie chciała, by jej córki były na nie narażone. Ravenhart House miał swoją mroczną historię, a Bess mniej ceniła własne życie niż życie córek.

Rozważała możliwość opuszczenia posiadłości. Zastanawiała się, czy nie czas spakować się i wrócić do domu w Edynburgu, który tak kochała i gdzie ciągle czuła obecność Martina. Zapomnieć o Ravenhart, które przyniosło jej tyle bólu. Jakże ten dom miał znaczenie? Wyjazd rozwiązałby problem. Niech ten człowiek, czy jest synem Frazera czy nie jest, ma dom dla siebie. I tu był właśnie kłopot. Bess musiała poznać prawdę. Jeżeli Adam był synem Frazera, to, ze względu na Frazera, musiała go pokochać, nie patrząc na jego wady. Jeżeli zaś nie był jego synem, musiała znaleźć odpowiedź na wiele pytań. Jeżeli to oszust, to w jaki sposób wszedł w posiadanie rzeczy należących do jej syna? Czy znał Frazera? Czy przyjaźnili się? Czy byli kolegami – starszy mężczyzna i ten piękny chłopiec? Czy Frazer podarował Adamowi sygnet, zegarek i fotografię, czy też może on to wszystko ukradł? Jak jej kolczyki. Jeżeli tak, to co się stało z Frazerem? Czy mógł jeszcze żyć?

Czego chciał Adam i po co tu przyjechał? Zapewne dla Ravenhart. Marzył o władzy i bogactwie, które zapewniały dom i ziemia. To samo marzenie uwiodło Frazera i na krótką chwilę oszołomiło Maxwella Gilchrista. Kate też była zauroczona tym domem. Jediną osobą, która nigdy nie pożałała tej posiadłości, była Bess. W ciągu długich nocnych godzin przyszło jej do głowy, że może wykorzystać żądzę posiadania, która opanował; i Adama, by poznać prawdę. Przeprowadzi test: czy przyjechał tylko dla tego domu, czy z tęsknoty za rodziną, za której członka się podawał. W ciemnościach księżycowa poświata zakradała się do jej pokoju, Bess obserwowała i czekała.

W tym samym czasie, w którym poprawiła się pogoda, wyzdrowiała Naomi. Rozcięta skóra na czole się za goiła i po raniu pozostał tylko różowy ślad. Teraz mogła się też łatwiej poruszać, gdyż kości żeber pozrastały się. Raymond zaprosił Naomi na obiad w Half Moon, a Morven postanowiła się przekonać, czy Partick nadal chciałby się wspiąć na Ben Liath. Poszła do domku Carterhaughów, ale nikogo tam nie zastała. Napisała więc na skrawku papieru, aby spotkali się następnego ranka przy bramie i wrzuciła kartkę przez szparę na listy do środka. Gdy dotarła do domu, okazało się, że w korytarzu na stole listonosz zostawił dużą kopertę. Barbara Gilchrist pisała: „Znalazłam to wśród rzeczy twego dziadka, nie chciałam tego jednak wyrzucać, ani wysyłać do Naomi, gdyż mogłaby się zdenerwować. Pozostawiam do twojej decyzji, co z tym zrobić”.

Barbara przesłała jej dwudziestostronicowy raport napisany przez prywatnego detektywa, pana Bellamy'ego. Został on zatrudniony przez Andrew Gilchrista, by wyjaśnić zniknięcie Maxwella. Raport datowany był na styczeń 1938 roku. Morven przeglądała stronicę, aż wpadła na zdanie: „W czasie poszukiwań dołożyłem starań, by nie odnosić się do złych relacji panujących między moim klientem a panią Jago”. Zdumiona jego treścią, Morven musiała ponownie przeczytać wszystko. Nagle usłyszała, że woła ją matka, upchnęła więc szybko kopertę w szufladzie na sztućce. Mogła wrócić do niej dopiero późnym wieczorem. Przez cały dzień myślała o niej i o dwóch rodzinach: Ravenhartów i Gilchristów. Jej ojciec i Frazer Ravenhart byli wielkimi przyjaciółmi. Do tej pory sądziła, że to jedyna rzecz łącząca te dwa nazwiska. Teraz okazało się, że jej dziadek Andrew Gilchrist i matka Frazera, Bess Jago, znali się na długo przed spotkaniem Frazera i Maxwella. I że się nie lubili. Morven przypomniała sobie słowa Patricka: „Jest jeszcze jedna możliwość: morderstwo”. Kto mógł tak mocno

nienawidzić jej ojca, by go zabić? Być może Ronald Bain. Z raportu pana Bellamy'ego wynikało, że Ronald Bain miał motyw, żywił urazę po utracie domu w posiadłości. Bain miał strzelbę, a jako zarządca posiadłości doskonale znający teren wiedział, gdzie jest topiel, gdzie bagno, a gdzie kawałek lżejszej ziemi, gdzie można by na zawsze ukryć coś głęboko. Kto jeszcze? Oczywiście rodzina Gilchristów. Zazdrosny o młodszego brata wuj Sandy. Niall też go nie lubił. Kate Willoughby powiedziała jej, że Maxwell miał na plecach ślady po razach zadanych przez ojca. Maxwell, który bał się go, przejął cechy swojego prześladowcy. Morven zamyśliła się nad nieludzkim charakterem dziadka: tak ozięble traktował własne dzieci, które przecież za wszelką cenę chciały go zadowolić i nawet nie próbował ukrywać okrucieństwa.

Jeszcze pozostawał Frazer. Raport pana Bellamy'ego, opisujący rozmowę z właścicielem Ravenhart, zajmował wiele stron. Frazer był przyjacielem jej ojca i подарował Naomi i Maxwellowi dom pana Baina. On także zniknął kilka miesięcy po rozmowie z detektywem.

Eleanor i Aimée wcześniej rano wyjechały do Szkocji. Kate była w pracy, więc Rebecca zdecydowała, że pójdzie do dzielnicy Earls Court. W metrze wyobrażała sobie, jaką minę będzie miała Eleanor, gdy ona, Rebecca, zdoła ustalić prawdziwą tożsamość Adama Ravenharta. Eleanor zawsze uważana była za najbystrzejszą z sióstr Jago i teraz będzie musiała uznać, że Rebecca jej dorównuje.

Po dotarciu na miejsce Rebecca udała się do Overseas Visitors Club, taniego hotelu dla gości z krajów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Miała kiedyś chłopaka Australijczyka, o imieniu Jim. Był ogniście rudy i wyższy od niej prawie o trzydzieści centymetrów. Pokazał jej ten hotel i opowiedział, że

zatrzymują się w nim nowo przybyli z kolonii podczas swego pierwszego pobytu w Londynie. Rebecca pokazała fotografię Adama Ravenharta pracownikom hotelu i jego gościom. Nikt go nie rozpoznał, wyszła więc z hotelu i kontynuowała poszukiwania na ulicy Earls Court.

W południe otwarto puby. W ciemnych, ponurych barach zewsząd słyhać było obcy akcent. Ubrani w jaskrawe, kolorowe koszule Australijczycy częstowali ją papierosami i proponowali drinki. Wysocy przybysze z Afryki Południowej i Rodezji pokazywali jej zdjęcia farm swoich ojców. Rebecca zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie powinna wyjść za mąż za farmera. Wyobrażała sobie, jak w szortach w kolorze khaki i białej koszuli przemierza to coś. Aha! No tak. To się nazywa step.

Nie cierpiała, jednak koni i z niechęcią wspominała zimne popołudnia spędzane na zamarzniętych polach, gdzie zmuszona była patrzeć, jak Eleanor jeździ na kucyku. To takie typowe, Eleanor zawsze potrafiła zadowolić matkę swoją pasją jeździecką, a ojca zdolnościami w nauce. Rebecca nie była w szkole dobra w niczym z wyjątkiem nauki o sztuce. Musiała więc coś zrobić. I tak, kiedy w jej życie wkroczył Stuart, odczuła ogromną ulgę. Cieszyła się z zaręczyn, chłonęła z rozkoszą zazdrość przyjaciółek, kiedy pokazywała im zaręczynowy pierścionek z szafirami. Ogromnie podobał jej się dzień zaślubin, gdy goście podziwiali ją ubraną we wspaniałą suknię ślubną.

Później wszystko zaczęło się psuć. Odkryła, że Stuart – nie można tego niestety inaczej nazwać – był nudny. Starła się czymś zająć, jeździła bezustannie między Londynem, Cannes i Edynburgiem. Z trwogą zauważała jednak, że wokół niej powstaje pustka. Zaszła w ciążę. Nie chciała wracać myślami do tego co się działo po utracie dziecka. Czuła się nieszczęśliwa i

nikomu niepotrzebna. Potem miała wielu kochanków, choć wspominając te czasy, doszła do wniosku, że nie ze wszystkimi było jej dobrze.

Ulicą przejechał zielony sportowy samochód. Rebecca, stojąc przy ogrodzeniu, po którym pięły się róże, głęboko odetchnęła ich zapachem. W dniu, w którym przeprowadzili się do mieszkania przy Ladbroke Grove, Jared przyniósł jej mnóstwo czerwonych róż. Pachniały we wszystkich pokojach, a płatki zalegały na podłodze niczym rubiny. Sądziła, że Jared ukradł kwiaty z frontowego ogrodu. Wyobrażała sobie, jak jej gibki, ciemnowłosy mąż przeskakuje przez mur i potem wraca tą samą drogą:] z nareczem kwitnących róż.

Dziewczyna w sklepie z papierosami popatrzyła na fotografię i powiedziała:

– Nie. Nigdy go nie widziałam. Przykro mi, kochanieńka.

Rebecca poczuła znużenie i głód. Miała też już trochę dość. Może Adam Ravenhart nigdy nie przyjechał do Londynu. Może nadzieja na odnalezienie wśród milionów mieszkańców miasta kogoś, kto go rozpozna, była głupia. Może Adam był prawdziwym synem Frazera. I chociaż Kate myśli inaczej, być może tym razem nie należy liczyć się z jej zdaniem.

Po przejściu ulicy Kensington High znalazła się na ulicy Melbury. W lokaliku wciśniętym między fryzjera a agencję sekretarek zamówiła kiełbaski, jajko, frytki i fasolkę. Tylko rano czuła mdłości. Przez resztę dnia chodziła głodna jak wilk. Maszyna do parzenia kawy zasyczała, gdy Rebecca pokazała zdjęcie kelnerce. Zrobiła to bardziej z przyzwyczajenia niż z nadziei na sukces. I znów dziewczyna go nie rozpoznała. Rebecca usiadła przy stoliku w kącie pomieszczenia. Nie widziała się z mężem od tygodni. Nie przychodził i nie telefonował. Ostatnio czuła strach. Może o niej zapomniał. Może już o nią nie dba. Jednak spotkany poprzedniego wieczoru

znajomy powiedział jej, że Jared zaczął pracę dla wydawcy z Golden Square. Przyszło jej do głowy, że robi to ze względu na nią. Narzekała na mieszkanie w suterenie. Z powodu wilgoci w kuchni pojawiły się ślimaki. Jared w ogóle ich nie zauważał, co doprowadzało Rebecę do wściekłości. Jak można nie zauważyć ślimaka? Cudownie było mieć poetę za męża. Rebecca z początku świetnie się bawiła, stając się częścią świata bikiniarzy. Teraz zmęczona już była szorstkimi, czarnymi swetrami i tym, że nie mogła sobie pozwolić na obiad w porządnej restauracji. Obawiała się też, że aby wychować dzieci, trzeba jednak mieć trochę pieniędzy. Kiedy przychodzi na świat potomstwo, nie można żyć miłością i powietrzem. Wiedziała, że Kate ma rację, musi powiedzieć Jaredowi o ciąży. Ale bała się. Czy będzie nadal ją kochał, bladą i wymiotującą nad ranem? Czy będzie ją kochał przez te sześć miesięcy, gdy będzie gruba i zmęczona? Myśl o utracie miłości Jareda ją przerażała. Bezkresna pustynia życia bez miłości. „Och, Rebecca! Dorośnij wreszcie!” – w uszach zabrzmiały jej słowa Eleanor. Jeżeli Jared zdołał się nagiąć i podjął pracę, to i ona musi znaleźć w sobie dość odwagi, by z nim pomówić. Pójdzie do niego dziś wieczorem. Przeprosi za swoje humory i powie o dziecku. Kelnerka przyniosła posiłek. Kielbaski lśniły smakowicie. Rebecca poczuła burczenie w brzuchu.

– Czy mogłabym jeszcze raz zobaczyć to zdjęcie? – zapytała dziewczyna. Rebecca podała fotografię. Kelnerka zmarszczyła brwi. – Nie jestem pewna, wtedy nie wyglądał tak elegancko. Ale to może być on.

Phemie nie przysłała tego ranka. Zdenerwowana bliskością Adama Bess kroiliła chleb w kuchni. Nóż się ześliznął i kropla krwi spadła na bochenek. Włożyła palec do ust.

– Niezdara – usłyszała.

Bess poszła na górę i przykleiła na ranę plaster. Wczesnym

rankiem spakowała bagaże. Miała zamiar wyjechać dzisiaj i wiedziała, że już nigdy tu nie wróci. Wyszła z sypialni. Z galerii nad głównym holem obserwowała Adama, który stał w otwartych drzwiach. Światło słoneczne tworzyło poświatę wokół jego jasnych włosów. Bess poczuła ukłucie żalu.

– Nie jesteś synem Frazera, prawda? – powiedziała wyraźnie. Adam się odwrócił i popatrzył na nią. – Wiem, że nim nie jesteś. Frazer zawsze był miły. Tak jak i jego ojciec. A ty taki nie jesteś.

Przeszedł przez hol z rękami w kieszeniach. Zniknął gdzieś zawadiacki krok, Adam stał się ostrożny. Roześmiał się krótko.

– Źle się dzisiaj czuję. Chyba zjadłem coś niedobrego i jestem w podłym nastroju. Może pójdziemy na spacer, babciu. To przywróci nam humor.

– Nie nazywaj mnie tak. – Pokręciła głową. – Teraz, gdy patrzę na ciebie, nie mogę uwierzyć, że dałam się tak nabrać.

– Frazer nie był doskonały. – Adam zaśmiał się niepewnie.

– Wiem o tym i nauczyłam się z tym żyć. Ale był zdolny do miłości, a ty, jak sądzę, nie jesteś.

– Powinnaś się zastanowić, zanim powiesz coś takiego – rzucił, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Jego oświetlona słońcem postać rzucała długi cień na kamienną podłogę.

– Nie wierzę, że jesteś synem Frazera – powtórzyła. – Znałeś go jednak, prawda?

Adam milczał chwilę, potem uśmiechnął się i odpowiedział całkiem spokojnie:

– No dobrze. Znałem go.

– Byliście przyjaciółmi?

– On tak myślał.

– Kiedy, gdzie? – zapytała szeptem.

– Jakieś osiem miesięcy temu. W jakiejś dziurze na północy.

– I opowiedział ci o Ravenhart?

– Gadał jak najęty, zwłaszcza po kielichu. Miał słabość do alkoholu i pił dużo. Szczególnie, gdy miał pieniądze. Lubił też ładnych chłopców. Z początku mu nie wierzyłem, sądziłem, że to następny pijaczyna, wygadujący niestworzone brednie. Nie miałem wtedy nic do roboty, więc się kręciłem w pobliżu. Faceci w barze mówili na niego Książę. Przez to gadanie o zamkach – ciągnął, wchodząc po schodach. Bess pozostała na galerii z ręką opartą o poręcz.

– Opowiedz mi o nim – poprosiła.

– Och, był jak każdy pijaczyna, który się nachlał i za długo siedział na słońcu. – Adam wychylił się przez zwieńczenie poręczy na szczycie schodów i popatrzył na Bess. – Był nudny. Nudny jak diabli, jeżeli musisz już wiedzieć. Głędził o tym, jaki to wielki kawał ziemi posiadał w Szkocji. Myślałem, że kłamie. Aż do czasu, gdy pokazał mi sygnet i zdjęcie.

– Ukradłeś mu je? – spytała, oblizując wyschnięte wargi.

– Nie wtedy. – Pokręcił głową. – Musiałem znać szczegóły. Na cóż by mi się przydał ten stary pierścień? Dostałbym za niego ledwie kilka dolarów. A ja chciałem więcej. I wiedziałem, że stary głupiec da mi wszystko, czego zapragnę, jak długo będę dla niego miły.

– I co zrobiłeś? – Bess czuła, jak jej serce lodowacieje.

– Lubił się wywyższać. Opowiadał, jak to wspaniale spędzał czas, robiąc to czy tamto. Twierdził, że jeździł po świecie, opłynął Afrykę i Daleki Wschód, aż wylądował w Australii. I chwalił się, w jakich miejscach pracował, mieszkał i jakich znalazł ludzi. Mówił, że nie było kraju, którego by nie odwiedził i nie było rzeczy, której by nie zrobił. – Adam zaśmiał się. – Sądził, że go podziwiam. Naprawdę tak myślał. Oczywiście grałem przed nim. Ale działał mi na nerwy. Ta jego ciągła gadanina i kaszel. Kaszłał bez końca, całymi nocami. Wycisnąłem więc z głupiego drania, co tylko się dało, aż zaczął w kółko opowiadać

te same historie i nie mogłem już tego znieść.

– Co z nim zrobiłeś? – Nie mogła opanować drżenia.

– Zabiłem go.

Bess zacisnęła powieki. Zniknęło słoneczne światło i uśmiech na twarzy Adama.

– Och, nie rób takiej miny. Ledwie dotknąłem tego starego drania. Położyłem mu tylko dłonie na twarzy, gdy spał. Miał już tak podziurawione płuca, że w ogóle nic było w nich powietrza. Możesz uważać to za miłosierny czyn, jeżeli chcesz. – Adam dalej wyśmiewał się z jej syna.

Frazer, pomyślała. Mój biedny Frazer. Zebrawszy się w sobie, powiedziała:

– Wynoś się. Teraz idę się spakować. Zanim skończę, masz stąd zniknąć. Zmienię testament. Nie odziedziczysz domu mojego syna. Nie zajmiesz jego miejsca. – I odeszła.

„W czasie poszukiwań dołożyłem starań, by nie odnosić się do złych relacji panujących między moim klientem a panią Jago”. Zdanie to nie dawało Morven spokoju, nie mogła przez nie zasnąć. Andrew Gilchrist zabronił panu Bellamy’emu przepytować panią Jago. Dlaczego? Co to oznaczało? Jaka znajomość łączyła dziadka z panią Jago?

Następny dzień był najcieplejszym dniem tego lata. Na błękitnym niebie nie pojawiła się nawet najmniejsza chmurka. Jeszcze przed południem gorące powietrze wdarło się do małych pokojów. Morven zapakowała kurtkę i termos do plecaka. Powiedziała matce, że idzie do Ravenhart House. Wytłumaczyła jej też, że jeżeli, zanim wróci, nadejdzie Patrick, to powinien iść dalej i wtedy spotkają się w pół drogi.

– Baw się dobrze z Raymondem – dodała, całując matkę na pożegnanie.

Bess włożyła płaszcz w swoim pokoju. Nie mogła poradzić sobie z guzikami, patrzyła w lustro i widziała odbite spojrzenie przerażonych oczu. Drżała, usiadła na łóżku. Straciła Frazera na zawsze. Zmarł daleko od rodziny i domu, w pułapce zastawionej przez człowieka, który go wykorzystał i który nim pogardzał.

Musiała przeciągnąć walizkę po korytarzu, nie miała już sił, by ją unieść. Wychodząc zza zakrętu, zobaczyła, że Adam nadał stoi na szczycie schodów.

– Powiedziałam ci, żebyś się wyniósł! – krzyknęła.

– Powiedziałas – odparł zmienionym głosem. Jego ostrożność zniknęła, powrócił pewny siebie ton. – Problem w tym, że nie skończyliśmy naszej rozmowy.

– Nie mam ci już nic do powiedzenia, Adamie – popatrzyła na niego pogardliwie – jeżeli tak masz naprawdę na imię.

– Mam, ale wolę być Adamem Ravenhartem.

– Nie – odparła zimno. – Nigdy.

Mężczyzna zrobił kilka kroków w jej stronę. Bess się cofnęła i pomyślała, że musi zostawić walizkę i poprosić Phemie, by ją później odesłała.

– Może zechce pani pomyśleć, pani Jago. – Zabrzmiało to groźnie. – Frazer i ja spędziliśmy ze sobą dużo czasu. Powiedział mi wszystko, rozumie pani? Wszystko.

Bess stała bez ruchu na galerii. Ogarnął ją strach przed tym, czego do tej pory nie brała pod uwagę. Powiedziała jednak:

– Prosiłam, byś odszedł. Powinieneś być mi wdzięczny, że masz taką okazję. Jeżeli zostaniesz, będę musiała powiadomić policję.

– Nie zrobiłbym tego na pani miejscu.

Frazer, pomyślała ze smutkiem. Och! Frazer! Jak bardzo oddałeś się tej pięknej i złej istocie? Resztką sił zmusiła się, by przejść obok Adama. Wzdrygnęła się, gdy skraj płaszcza otarł się o niego.

– Frazer opowiedział mi, jaką była pani wspaniałą matką, pani Jago – usłyszała. – Zrobiłaby pani dla niego wszystko.

Bess stała ledwie metr od niego. Miała już pewność. Ukryta radość w głosie tego człowieka wszystko jej powiedziała.

– Czego chcesz? – zapytała spokojnie.

– Wiesz, czego chcę. Nie pójdziesz na policję. Jeżeli to zrobisz, opowiem im, co ty i twój drogi Frazer zrobiliście. Nie zmienisz też testamentu. Zostawisz mi Ravenhart tak, jak to wcześniej planowałam.

– Nigdy tego nie zrobię – odparła. W końcu, co miała do stracenia? Odwróciła się do niego twarzą. – Nic dostaniesz domu. Nie dbam o to, czy ktoś się dowie o Maxwellu Gilchriście. Dwojga ludzi, których chciałam chronić, już nie ma wśród żywych. Mój mąż nie żyje.

Straciłam też Frazera. Możesz więc dzielić się moimi sekretami, z kim chcesz. Nawet by mi to było na rękę. Odczułabym ulgę. – Stała na pierwszym schodku. Odwróciła się jeszcze do niego i dodała: – Jeśli o mnie chodzi, zrobiłam to, co zrobiłam, dla Frazera. Dlatego, że go kochałam. Ale ty tego nie zrozumiesz.

Popatrzyła w dół schodów i po chwili usłyszała, jak Adam zrobił krok w jej stronę, położył ręce na jej plecach i mocno pchnął. W ułamku sekundy przed upadkiem zdała sobie sprawę z porażki. Ten potwór dostanie Ravenhart. Morderca Frazera dostanie Ravenhart. Usiłowała jeszcze chwycić za barierkę, ale nie zdołała jej dosięgnąć i spadła w dół. Zanim ogarnęła ją ciemność, zdawało jej się, że słyszy małpy w świątyni Hanuman, biegające wśród sosen i cedrów.

Gdy Morven dotarła do Ravenhart House, zobaczyła, że ford zephyr Adama Ravenharta stał zaparkowany na podjeździe, a drzwi domu były otwarte. Stała w progu i zawołała najpierw

panią Jago, a potem Phemie. Nikt nie odpowiedział, weszła więc do środka i zauważyła, że coś leży u stóp schodów. W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś rzucił płaszcz na podłogę. Popatrzyła jednak uważniej i pomimo strachu weszła do środka.

– Zostaw ją! – usłyszała.

– Adam! – odwróciła się gwałtownie.

– Powiedziałem, zostaw ją. – Złapał Morven za ramię.

– Czy ona nie żyje?

Na twarzy pani Jago widać było krew. Adam trącił stopą jej płaszcz i powiedział:

– Nie można już nic dla niej zrobić.

– Mój Boże – wyszeptała wstrząśnięta.

– Zamierzała odebrać mi dom. – Patrzył na nią z determinacją w oczach. – Nie mogłem jej na to pozwolić. Musisz to zrozumieć.

– Pozwól mi zawołać pomoc – poprosiła, patrząc, z jakiej wysokości musiała spaść pani Jago.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Adam, proszę. – Myślała, że oszalał. – Pozwól mi iść, trzeba wezwać pogotowie.

Popatrzył na ciało leżące na podłodze.

– To nie moja wina. To się nie powinno było wydarzyć – wymamrotał.

– Wierzę ci, ale proszę, pozwól mi już iść. Przecież jakoś to załatwimy. – Przymilając się, Morven przekonywała Adama do swojej racji.

– Ona już się nie liczy. – Zmarszczył brwi i szarpnął Morven za ramię, ciągnąc w kierunku drzwi. – Chcę ci coś pokazać.

– Adam, proszę...

– Pójdiesz ze mną. – Mocno zacisnął rękę na jej ramieniu.

Razem wyszli na podwórze.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Do domku myśliwskiego.

Domek myśliwski – przypomniała sobie fotografię ojca, Frazera Ravenharta i Kate.

Przypomniała sobie również o tym, że w stronę Ravenhart House zmierza Patrick. Jeżeli uda jej się odciągnąć Adama, to może Patrick zdoła sprowadzić pomoc dla pani Jago.

– Dobrze – powiedziała. – Chodźmy do domku myśliwskiego.

Ruszyli ścieżką wzdłuż potoku. Morven szła pierwsza.

– Wiem, co się stało z twoim ojcem – odezwał się. Była zdenerwowana i czuła pot nad górną wargą, na plecach i karku.

– Nie wierzę.

– To prawda. Opowiem ci wszystko.

– Kłamiesz – wysyczała. – Wszystko, co mówisz, to kłamstwo. Nazwisko, wiek, wszystko, co rzekomo powiedział ci Frazer Ravenhart, to kłamstwa.

Uderzył ją pięścią w plecy, między łopatki, aż się zatoczyła.

– Nie nazywaj mnie kłamcą. Nienawidzę, jak się tak o mnie mówi. Frazer zabił twojego ojca. Frazer zabił, a jego matka pomogła ukryć ciało.

– Nie wierzę ci – powtórzyła uparcie. Słońce oślepiło Morven, czuła ból w plecach.

– A powinnaś, ponieważ nikt inny, tylko Frazer mi o tym powiedział. Dowiodę, że to prawda, skoro nalegasz.

Dotarli do miejsca, w którym musieli przeprowić się na drugą stronę potoku po kamieniach.

– Nie tędy – powiedział Adam. – Zmieniłem zdanie.

Złapał ją znów za ramię i pociągnął w stronę wspinającej się na zbocze ścieżki. Kryształki kwarcu, zatopionego w skałach, lśniły w słońcu niczym diamenty. Stok był usiany wielkimi głazami, które wyglądały jak piłki niedbale rzucone ręką olbrzyma. Ścieżka zarośnięta jeżynami, paprociami i

pokrzywami zwązala się gdzieniegdzie. Adam wyjął z kieszeni nóż. Morven dostrzegła, jak ostrze odbija słoneczne światło. Przepchnął się obok niej do przodu i zaczął wycinać drogę w leśnym podszyciu. Zmierzali w stronę brzozowo-jarzębinowego zagajnika. Zwisające gałęzie odcinały dopływ światła. Ze skalnych szczelin wyrastały paprocie, a odgłos spadającej wody stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu całkowicie wypełnił powietrze. Pot wystąpił na czoło Morven. Wspinali się wyżej, w stronę spadającej wody. „Wiem, co się stało z twoim ojcem. Zabił go Frazer”. Na plecach Adama rosła ciemna plama potu. Uśmiechał się coraz radośniej, popatrując na nią przez ramię. Przystając, by odetchnąć, Morven zapytała:

– Kim jesteś?

– To nie ma znaczenia. – Pokręcił głową. – Teraz nazywam się Adam Ravenhart.

Serce biło jej tak mocno, że bała się, iż wyskoczy z piersi. W końcu dojrzała wąską szczelinę między dwoma głazami. Znów oślepiło ją słońce. Zaciśnęła powieki, zachowując pod nimi obraz dwóch wielkich, sprawujących straż skał. Jeszcze jeden wysiłek i już przeciskała się między głazami. Przed oczami rozpostarł się widok na szeroki, okrągły staw otoczony płaskimi skałami, ukształtowanymi przez napierającą wodę. Woda spadała z wysokiego kamiennego klifu, pogłębiając zbiornik wśród kamieni i rozpryskując krople po powierzchni jeziora. Z jednej strony skały utworzyły wąski kanał przechodzący w kilka stopni. Woda spływała tamtędy, tworząc kaskady i dalej płynęła w dół wzgórza aż do doliny. Morven doszła do granicy wody i popatrzyła w dół. Na dnie ciemnozielonej głębi poruszały się zamazane kształty. Uklękła i opłukała wodą twarz i ramiona.

– To stało się gdzieś tutaj – usłyszała zza pleców. – Staralem się ustalić to miejsce dokładnie.

Morven podniosła się. Drżała pomimo gorąca.

- Opowiedz mi, co się stało.
- Bili się przy stawie. Wpadając do wody, Maxwell uderzył głową o kamienie.
- Zatem to był wypadek? – Osadzająca się na kamieniach mgiełka wodna zmieniała ich jasny kolor na ciemniejszy.
- To on tak twierdził. – Adam przeskakiwał z kamienia na kamień. – Jeżeli tak, to dlaczego ukryli ciało? Zmarszczył brwi.
- Morven przycisnęła mokre dłonie do twarzy. Oczyma wyobraźni widziała mężczyzn z fotografii, jasnowłosego Frazera i ciemnowłosego Maxwella. Promienie słońca tańczyły na wodzie, rozboleła ją głowa. To zapewne z powodu długiej wspinaczki i nieprzespanej nocy.
- Dlaczego? Dlaczego się bili?
- Nie wiem. – Odwrócił do niej twarz i uśmiechnął się. – Próbowalem go znaleźć. Chciałem to zrobić dla ciebie.
- Znaleźć go? – Poczowała ucisk w żołądku i mdłości.
- Nie znałaś swojego ojca. – Kucnął przy brzegu i zanurzył w wodzie rękę. – Ja też nie znałem swojego ojca. I zawsze tego żałowałem. To tak, jakby brakowało części mnie samego. Czegoś, co mają inni. Sądziłem, że wychowano mnie bardzo surowo, bo dzieciństwo spędziłem w sierocińcu. Nie mogąc już tam wytrzymać, uciekłem, gdy miałem dwanaście lat.
- Siła uderzającej z góry wody wyrzeźbiła głęboką nieckę w skalach u podnóża wodospadu i utworzyła półkę skalną. Adam wygrzebywał stamtąd kamienie i żwir.
- Imiałem się różnych zajęć. Pracowałem przy krowach, podróżowałem. Jak się umie o siebie zadbać, to nie trzeba dużo pieniędzy. Zawsze jednak dążyłem do lepszego życia: miłego domu i pełnego portfela. Spójrz na pełnych podziwu. – Popatrzył na Morven. – Frazer pogrzebał go pod tą półką. Tak mi powiedział. Stary głupiec, z początku nawet się tym chwalił. A potem zawodził i jęczał. Nienawidziłem tego rozczulania się i

biadolenia.

– Tutaj jest pochowany? – wyszeptła.

Adam się rozejrzył po kamiennym amfiteatrze i otarł mokre dłonie.

– Niezłe miejsce na zakończenie życia, czyż nie? Frazer powiedział, że ukrył ciało na dnie stawu i że obciążył je kamieniami. Mówiłem ci, że chciałem je znaleźć.

Morven poczuła mdłości i musiała usiąść na kamieniu. Adam rozgrzebywał podwodne rumowisko. Obserwowała go z chorą ciekawością, gdy wyrzucał na brzeg kamienie wielkości talerzyka do filiżanki i drobniejsze kawałki skał, które woda deszczowa zmyła ze zbocza góry. Po chwili zrzucił buty i wszedł do stawu. Szedł w stronę nawisu. Okręcił się i zanurkował pod wystającą skałą.

– Zimno – zawołał do niej, gdy się wynurzył. – I cholernie głęboko – Odgarnął mokre włosy z twarzy i zanurkował ponownie.

Na kamieniach leżały, połyskując w słońcu: puszka, gałęzie i powyrywane rośliny wodne. Powinnam uciekać, pomyślała, teraz, gdy mam po temu okazję. Zdawała się jednak przykuta do ziemi. Patrzyła jak zahipnotyzowana na Adama, pływającego pod powierzchnią wody. Jakie okropności kryją w sobie głębiny? Czaszkę z pustymi oczodołami? Kość wypolerowaną do białości przez czas?

Tuż na powierzchnię stawu przeleciał ptak. Adam znów zanurkował, a Morven zamknęła oczy. Może tutaj siedział jej ojciec? Nurkował w tym stawie, jego ciało przecinało wodę. Może ciągle przebywa tu jego duch? Czy przetrwała jakaś częśćka jego duszy, kochająca i opiekująca się jego jedynym dzieckiem? Plusk wody powiedział jej, że Adam się wynurzył. Potrząsnął głową i krople wody rozprysły się na kamieniach.

– Nic – powiedział.

Morven wstała. Pomyślała o nożu. Adam z łatwością mógłby ją zranić.

– Wracam do domu. – Starła się zachować spokój.

– Nie jesteś jej nic winna! – krzyknął. – Powiesz, że to był wypadek. Jeżeli potwierdzisz moją wersję, nikt nie będzie miał wątpliwości.

„Nie jesteś jej nic winna”, powtórzyła w myślach. Miał rację, nie miała żadnych zobowiązań wobec pani Jago. Przez tyle lat jej matka i ona sama czekały na mężczyznę, który nie mógł już wrócić do domu. Tyle lat wierzyła, że jej ojciec nie chciał jej znać. A tak nie było. Nie uciekł, to nie on zdradził.

Adam wydostał się z wody.

– Wiesz, że mam rację, Morven. – Woda ściekała z jego ubrania, bosa stopy zostawiały ciemne ślady na kamieniach. Uśmiechnął się. – Ubijmy interes. Nic nie powiesz o zajściu ze starą, a za to będziesz mogła zamieszkać w Ravenhart.

– Zamieszkać tu?

– Zawsze chciałaś go mieć, prawda? Kochasz ten dom. Widać to w twoich oczach. Wyjdź za mnie, a zostaniesz panią na zamku.

Śmiech wyrwał się jej z ust. Zobaczyła, jak ogarnia go wściekłość.

– Nie śmieję się ze mnie. Nienawidzę, kiedy ludzie się ze mnie śmieją. – Chwyił ją za ramiona i Morven zachwiała się na kamieniach. Woda była o krok.

– Sądysz, że chciałabym żyć w kłamstwie? – mówiła, powoli wypowiadając słowa. – Sądysz, że dla Ravenhart House żyłabym z mężczyzną, którego nie potrafiłabym pokochać, w domu, który nie powinien do mnie należeć? Znienawidziłabym i ciebie, i dom. – Popatrzyła na ciemną wodę. – Nienawiść zabija. Powinieneś już to wiedzieć. Nie zostałoby ze mnie nic, tak jak z mojego ojca.

W oddali rozległ się dźwięk dzwonu zwielokrotniony przez okoliczne skały. Z drzew zerwały się przestraszone wrony i kołując na tle błękitnego nieba, rzucały czarne cienie. Adam zwolnił uścisk.

– Co to za dźwięk?

– To dzwon w Ravenhart – wyszeptła. – Patrick znalazł panią Jago.

– Patrick? – Oczy mu błyszczały.

– Szuka mnie. Wie, że posłam do Ravenhart. Przyjdzie tu po mnie, a ja wszystko mu powiem.

Adam popatrzył na staw i Morven poczuła strach. Powiedziała jednak spokojnie:

– To się nie uda. Te nagłe zgony i zniknięcia. Nikt w to nie uwierzy. Na pewno nie Patrick. Będzie węszył i rozpytywał. Nie odpuści, dopóki się nie dowie, kim jesteś naprawdę.

Zapadła cisza, Adam opuścił ręce. Nagle uśmiechnął się szeroko.

– Uważasz, że jesteś taka sprytna? – Popatrzył wysoko na urwiste skały i dodał w zamyśleniu: – Ale może masz rację. Może powinienem zmniejszyć straty.

Dzwon ciągle bił, jego dźwięk rozchodził się po całej dolinie.

– Na twoim miejscu – zaczęła miękko – uciekłabym. To jedyna szansa. Uciekaj. Przecież znasz to, robiłeś tak już wiele razy. Uciekaj, zanim będzie za późno.

Wstrzymała oddech. Adam ruszył przed siebie i Morven powoli wypuściła powietrze. Szedł w kierunku głazów po drugiej stronie stawu. Gdy tam się znalazł, odwrócił się do niej i powiedział drwiąco:

– Szkoda. Było zabawnie. Ja, jako pan w dolinie. Podobało mi się. Ale znajdę coś nowego. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, prawda? To mi pomoże.

I w jednej krótkiej chwili wspiął się na skały, dotarł do

szczytu klifu i zniknął w ciemnościach jodłowego lasu.

## Rozdział 20

Pobyty w szpitalu miał swoje zalety. Mili, sprawni nieznajomi dbali o nią, nie musiała o niczym decydować. Tylko spała, jadła i poddawała się zabiegom. Miała złamany obojczyk i kostkę, siniaki, które pokrywały niemal całe ciało i z biegiem czasu zmieniały kolor z fioletowych na zielone. Okropnie bolała ją głowa, przez pierwsze dni nie pozwalano jej nawet usiąść na łóżku. Nafaszerowana proszkami przeciwbólowymi spała przez większość czasu. Śniła i wspominała:

Tańczyła w Simli na balu u wicekróla. Jadła kolację z Dempsterem Harrisem w londyńskim hotelu. Spacerowała po ulicy Princes w Edynburgu. Padający śnieg tworzył wokół palących się lamp gazowych bursztynowe aureole. Była w Callanish z Martinem. Wspominała pocałunki w promieniach zachodzącego za menhiry słońca, różowe dywany leśnego trzcinnika i nadmorskich traw, szum morza. W powietrzu czuć było sól, a na twarzy ciepło słońca. Martin obejmował ją ramionami, czuła bicie jego serca i rozgrzaną skórę. Jej serce było lekkie i radosne, wolne od smutku i żalu.

Pierwsze odwiedziły matkę Eleanor i Aimée. Zapewne to Eleanor zawdzięczała pobyt w oddzielnym pokoju, a nie w sali wieloosobowej. Eleanor miała żelazną wolę. Ona właśnie opowiedziała jej, co się stało: Patrick Roper, szukając Morven, doszedł aż do domu i znalazł Bess nieprzytomną, leżącą przy schodach. To on uderzył w wielki dzwon w Ravenhart House, by wezwać pomoc.

– Raymond, pamiętasz mamę właściciela pubu Half Moon, on też już do ciebie jechał – opowiadała Eleanor. – Rebecca odkryła, kim naprawdę był Adam Ravenhart, więc Kate zadzwoniła do Naomi prosić, by cię ostrzegła. Naomi

zadzwoiła do Raymonda i oboje byli w drodze do Ravenhart. – Eleanor popatrzyła na matkę wzrokiem profesjonalistki. – Mocno się uderzyłaś w głowę. Dobrze, że znaleźli cię tak szybko.

– Jest mi trochę głupio – powiedziała Bess.

– Nie powinnaś się tak czuć. – Aimée uściśnęła jej dłoń. – To był zawodowy oszust. I złodziej.

– Ukradł moje diamentowe kolczyki.

– Mógł zabrać ci o wiele więcej, mamó. Miałaś szczęście.

– Kto to był? – Elizabeth łykiem wody zmyła suchość w gardle.

– To Adam Collins. Przynajmniej tak nam się wydaje, gdyż tego nazwiska używał w Londynie. Przez krótki czas pracował w kawiarni przy ulicy Melbury. Sprzedał im historyjkę o tym, że został okradziony w czasie podróży do Anglii, dali mu więc nocleg w pokoju na zapleczu. Do czasu, aż nie ukradł zawartości kasy i innych cennych rzeczy. Jego samochód też był kradziony.

– Czy został złapany? – Bess zadrżała.

– Jeszcze nie. Zniknął w górach. – Eleanor kiwnęła głową.

Bess wyobraziła sobie uciekającego Adama, uciekającego aż znajdzie nową kryjówkę i następnego głupca, który nabierze się na jego urok i świetny wygląd. Wkrótce Adam zawłaszczy inne życie i stanie się nową osobą.

– Morven widziała go ostatnia – dodała Eleanor.

– Morven?

– Adam zmusił ją, by poszła z nim do jeziora przy wodospadzie, gdzieś w dolinie. – Eleanor wyglądała na zdziwioną. – Znasz to miejsce mamó?

– Tak, znam – wymamrotała Bess. Zanim córki wyszły, poprosiła:

– Muszę pomówić z Naomi Gilchrist. Czy poprosisz ją, aby

mnie odwiedziła, Eleanor?

– Chcę opowiedzieć, co się stało – powiedziała Bess. – Chcę opowiedzieć o dniu, w którym zginął Maxwell.

Naomi ubrana była w różowy żakiet i czarną płócienną spódnicę. Opierała się o parapet i paliła, strzepując popiół z papierosa przez otwarte okno. Na jej bladej twarzy malowała się nieufność.

– Tego dnia miałam odwiedzić Frazera – mówiła Bess. – Zdziwiło mnie, gdy się nie pojawił na stacji w Pitlochry. Zawsze był punktualny. Zamówiłam więc taksówkę do Ravenhart. Gdy dotarłam do domu, Phemie powiedziała, że Frazer poszedł do domku myśliwskiego. Dzień był piękny, postanowiłam więc też tam pójść. Na miejscu zobaczyłam Frazera, siedzącego na schodkach przed domkiem. Zawołałam go, ale nie odpowiedział. Podeszłam bliżej i zauważyłam, że jest cały mokry. Wtedy poczułam, że stało się coś złego. Drżał i miał rozsznurowane buty. Spytałam, czy wpadł do wody, a on powiedział... powiedział, że zabił Maxwella.

Bess wróciła pamięcią do tej rozmowy. Nie zapomina się momentów, gdy życie zmienia się w ułamku sekundy, gdy nic już nie będzie takie samo jak wcześniej. „Zabiłem go” – powiedział, a ona starała się go uspokoić: „Nie opowiadaj bzdur. O czym ty u licha mówisz?” – pytała, jakby był niegrzecznym dzieckiem. Powtórzył tym samym, monotonnym, pustym głosem: „Zabiłem Maxwella”. Zaczęła się więc rozglądać po domku i otaczającej go trawie w poszukiwaniu ciała Maxwella Gilchrista.

– Z początku myślałam, że jest chory, że ma gorączkę. Starałam się namówić go na powrót do domu. Opowiedział mi, co zaszło, i uwierzyłam mu. Maxwell i Frazer pobili się, Maxwell pośliznął się i padając, uderzył głową w kamień, po

czym stoczył się do wody. – Elizabeth, opowiadając tę historię, po raz pierwszy poczuła się tak samo źle jak wówczas, gdy słuchała Frazera. I teraz, podobnie jak wtedy, wiedziała o wszystkich konsekwencjach, jakie wypływają z czynu jej syna. Bess czuła, że znów zapada się w mrok. – Frazer zaprowadził mnie w górę do stawu. Maxwell leżał na kamieniach. Jeszcze wtedy miałam nadzieję, że może się pomylił. Widziałam, że Frazer chciał, aby właśnie tak było. Mówił, że okrył Maxwella swoim płaszczem, aby nie zmarł. Próbował też cucić go, wlewając kilka kropel whisky do ust. Ale kiedy podniósł płaszcz i zobaczyłam Maxwella, wiedziałam, że nie ma już nadziei.

Ciemne włosy przywierały do białej skóry, na kamieniach ciągnął się krwawy ślad. W ułamku sekundy znów widziała wzgórze w Simli, słyszała końskie kopyta, śmiech i swój krzyk: „Nie, Jack!” I widziała siebie, jak biegnie w dół po stoku wśród paproci i młodych drzewek do męża, leżącego z nienaturalnie przekrzywioną głową.

– Miał skręcony kark, Naomi. Przykro mi, bardzo mi przykro.

– Dlaczego? – zapytała Naomi, przypalając zapalką następnego papierosa. – Dlaczego się bili?

– Maxwell oświadczył Frazerowi, że wyjeżdża z Ravenhart. Ten próbował przekonać go, by zmienił zdanie. Wtedy Maxwell powiedział coś – nie wiem, co – Frazer stracił panowanie nad sobą i go uderzył.

Naomi stała plecami do Bess i patrzyła przez okno. Odezwała się po dłuższej chwili:

– Max potrafił dopiec. Potrafił ranić słowami. Wiedział, co powiedzieć, by zadać ból. – Odwróciła się do Bess. W pięknych, ciemnych oczach błyszczały łzy. – To był wypadek?

– Tak. Maxwell pośliznął się na kamieniach przy stawie. Stracił równowagę i wpadł do wody. Nie wynurzał się, a Frazer

myślał, że chce go nastraszyć. Potem sam zanurkował. Maxwell leżał na dnie. Frazer wyciągnął go na powierzchnię i usiłował cucić, ale... Przypuszczam, że Maxwell uderzył głową o kamienie. – Popatrzyła na Naomi. – Śmierć Maxwella to był wypadek, straszliwy wypadek. Frazer nigdy nie chciał go zabić. Przypuszczam, że żałował tego przez resztę życia.

Naomi miała w oczach ból i żal.

– Jeżeli to był wypadek, dlaczego pani to ukrywała? Dlaczego nie zawiadomiła pani policji? Wiedziałybyśmy wtedy, co się stało!

– Staralam się przekonać Frazera. Ale błagał, bym tego nie robiła. – Bess przypomniała sobie, jak obejmowała syna ramionami i głaskała po mokrych włosach. Czuła ciężar głowy Frazera na swoim ramieniu i ciepło jego twarzy. Wtedy zniknęły jego sztywne zasady i rezerwa wobec niej. Jeszcze miesiąc, tydzień wcześniej taka bliskość sprawiłaby jej ogromną radość.

– Bałam się – mówiła dalej. – Ledwie kilka dni wcześniej zarządca, pan Bain, słyszał, jak Frazer groził Maxwellowi. Frazer wiedział, że Bain go nienawidzi i obawiał się, że będzie zeznawał przeciwko niemu. Kazał mi przysiąc, że nie powiem nikomu. Ukrył ciało Maxwella w jeziorcu pod nawisem i przykrył je kamieniami.

To najgorsze wspomnienie: Frazer ciągnący ciało Maxwella w stronę stawu. Ciężkie, martwe ciało, z opadającą bezwładnie głową. I to cierpienie na twarzy Frazera, gdy wrzucał przyjaciela do wody.

– Jak pani mogła? – pytała Naomi napiętym, zbolalym szeptem. – Jak pani mogła zostawić mnie tak, bez żadnych wieści o tym, co się z nim stało?

– Tak. – Bess westchnęła. Wiedziała najlepiej ze wszystkich, na co skazali Naomi Gilchrist: czekanie, nieprzerwane czekanie na kogoś, kto nie mógł powrócić. Popatrzyła Naomi w oczy. –

Jak dobrze znała pani swego teścia?

– Andrew? – Naomi zamrugnęła zaskoczona. – Dość dobrze.

– Lubiła go pani?

– Nie. To był okropny człowiek. Nie rozumiem jednak. Co on ma z tym wspólnego?

Kolejne wydarzenie, które wróciło do Bess ostro i wyraźnie. Niektóre wspomnienia zostają żywe w pamięci, niczym szczegółowy film na taśmie.

– Po pierwszej wojnie światowej odeszłam od mojego drugiego męża, ojca Kate i zamieszkałam w Edynburgu. Ciężko mi się żyło, ale dawałam sobie radę. To było lepsze niż trwanie w nieszczęśliwym małżeństwie. Dorabiałam, pracując w nocnym klubie, i tam poznałam Andrew Gilchrista. Chciał, bym została jego kochanką, odmówiłam. Nie spodobało mu się to. Wziął więc siłą to, czego chciał.

– Zgwałcił panią? – Naomi zamarła z papierosem przy ustach.

– Tak. W moim domu. Kate spała w pokoju obok. – Elizabeth znów słyszała chrzęst dartego materiału, gdy zrywał z niej ubranie. Znów bolały ją usta.

Zapadła długa chwila ciszy, potem odezwała się Naomi:

– Nienawidziłam odwiedzin u Andrew. Byłam jego synową, a on patrzył na mnie, jakby chciał mnie rozebrać. Co pani zrobiła?

– Nic. Cóż mogłam zrobić? Powiedziałam Martinowi, tylko jemu. Nikt inny by mi nie uwierzył. I czułam wstyd. – Umilkła, potem wyszeptęła przez zaciśnięte usta: – Dlaczego zadreżczamy się, myśląc, że to my jesteśmy winne? Dlaczego się zastanawiamy, że może gdybym nie włożyła tej sukni, nie powiedziała tych słów, nie uśmiechnęła się wtedy... – Przez chwilę starała się uspokoić. – Wiele lat później Frazer spotkał Maxwella. Nie wiem, gdzie ani w jaki sposób się spotkali. Przez

długi czas nawet nie wiedziałam, że się znają. Nie miałam z synem dobrego kontaktu, rozdzielono nas, gdy był małym dzieckiem. Wychowywała go jego babka w Indiach. Gdy miał dwadzieścia jeden lat, jego babka zmarła i znów się spotkaliśmy. Dowiedziałam się, że zaprzyjaźnił się z Maxwelllem Gilchristem i przeraziłam się. Usiłowałam ich rozdzielić, ale Frazer nie chciał mnie słuchać. Nie mogłam mu oczywiście powiedzieć wszystkiego. To nie wchodziło w grę. I wtedy nastąpił ten dzień... Śmierć Maxwella... Andrew Gilchrist wiedział, że go nienawidzę. Nigdy nie przyjąłby wersji o nieszczęśliwym wypadku. I żyłby pragnieniem zemsty. To był mściwy człowiek, niezdolny do wybaczenia. Sama już tego doznałam. Na pewno prześladowałby Frazera, a może nawet zrobiłby coś gorszego. Nawet dziś jestem o tym przekonana. Zgodziłam się więc, gdy Frazer namawiał mnie, by nikomu nie mówić o tym, co zaszło.

Zgodziłam się, gdyż wierzyłam, że to jedyny sposób, aby uratować życie mojemu synowi.

Naomi odeszła od parapetu i podniosła torebkę z krzesła. Wyjęła z niej chusteczkę i delikatnie przetarła twarz.

– Gdy Maxwell się nie zjawił – zaczęła powoli – z początku się nie martwiłam. Sądziłam, że się spóźni, jak zwykle. Nigdy nie można było mieć pewności, kiedy i czy w ogóle się pojawi. Obgryzałam paznokcie przed ślubem, bojąc się, że nie przyjdzie. Jednak, gdy minęło kilka tygodni, zaczęłam się niepokoić. Myślałam, że kogoś poznał. To nie był mężczyzna, który dochowywał wierności. W końcu wróciłam do Ravenhart i czułam, jakby Max wyszedł tylko na chwilę. W zlewie stały filiżanki po kawie, a kartka papieru tkwiła w maszynie do pisania. Rozpytywałam wszystkich, ale nikt go nie widział. Poszłam na policję. Pytali mnie o różne rzeczy. Czy Max miał wielu przyjaciół? Wiedziałam, że mieli na myśli kobiety. Czy

nasze małżeństwo było szczęśliwe, czy Max miał finansowe problemy. Chyba niepotrzebnie zrobiłam im wtedy awanturę. Obiecali, że przeprowadzą śledztwo, ale nie starali się. Poszłam więc do Andrew. Nie wiedziałam, co robić, wierzyłam jednak, że on coś wymyśli. Max należał do niego, zupełnie jak ten okropny dom, a Andrew nigdy nie pozwalał, by jego własność rozplywała się we mgle. Nigdy, przenigdy.

Po wyjściu Naomi Bess położyła się na poduszkach i zamknęła oczy. Wspominała podróż pociągiem do Edynburga w dniu śmierci Maxwella Gilchrista. Wyglądała przez okno, nie widziała jednak ani mijanych wzgórz, ani miast, lecz staw, wodospad i potok biegnący pod głębokimi, ciemnymi nawisami skalnymi. Myślała o tym, co zrobili ona i Frazer oraz co z tego wyniknie. Andrew Gilchrist będzie czekał na syna tak, jak ona kiedyś czekała na swojego. Będzie cierpiał tak, jak ona cierpiała. Jednak oczekiwanie Andrew Gilchrista nigdy się nie skończy. W swej zemście nie znajdowała radości, jedynie znużenie, strach i rozczarowanie. Zdawała sobie sprawę, że Frazer, za którym przez lata tęskniła, nie był prawdziwym Frazerem. Postacią przypominał Jacka, ale brak mu było ognia i odwagi ojca. Jack zawsze był na czele, Frazer wolał podążać znanym szlakiem. Jack był szczery, Frazer robił uniki, kluczył i był nieprzewidywalny. Nie uległby złym wpływom Maxwella Gilchrista, gdyby sam nie był słaby.

Gdy Bess zobaczyła Maxwella Gilchrista, leżącego samotnie na kamieniach, uznała, że jest godny litości. Nie mogła go już nienawidzić. Czuła jedynie wielki żal, że młody człowiek utracił życie w taki sposób. Wiedziała, kto był za to odpowiedzialny. Córa Ravenhart trzymała Frazera blisko siebie i ograniczała kontakt wnuka ze światem. Zepsuła go tak, jak przed laty zepsuła Jacka. Rozpieszczała ponad miarę jedyne go wnuka.

Pobłażała chłopcu, nigdy mu się nie sprzeciwiała i tak Frazer nigdy nie nabrał sił do walki z przeciwnościami losu. Córa sprawiła, że stał się bezbronny, osłabiała jego inicjatywę i nie pozwalała wyrobić pewności siebie. Wtedy, w pociągu Bess zdała sobie jednak sprawę, że i ona ponosi odpowiedzialność. Frazer mógłby stać się lepszym człowiekiem, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Gdyby Jack żył, a ona nie była tak głupia, by zaufać córce Ravenhart. Ciągłe przeżywała wydarzenia znad wodospadu, zastanawiając się nad własnymi decyzjami, rozdrapując je na kawałki. Rozmyślała o Naomi Gilchrist. W czerpiącej z życia garściami Naomi widziała własne odbicie z młodości lat. Z powodu tego, co zrobili z Frazerem, dziecko będzie dorastać bez ojca, a żona tęsknić za mężem i nigdy się nie dowie, czy jest on jeszcze wśród żywych. Wtedy chciała cofnąć czas. Myśli pędziły jak oszalałe. Może nie jest jeszcze za późno, by iść na policję, może udałoby się udobruchać Andrew Gilchrista...

Nadeszła jednak chwila refleksji. Dalsze skrywanie faktów rozbudziło poczucie winy. Zwłoka w powiadomieniu policji rzucała złe światło na jej syna. Dokonała wyboru, nie mogła teraz nic zmienić.

Frazer błagał ją, by nie mówiła nikomu o tym, co się wydarzyło. Nawet Martinowi. Wróciła do domu wieczorem i się zastanawiała, jakież to duchy przywlokła ze sobą do miejsca, które przez dziesięć lat było jej rajem i świętością. Jak ma się uśmiechać i udawać, że nic się nie stało? Jaką ma przywdziać maskę jutro, pojutrze i przez wszystkie następne lata?

A jednak zrobiła to. Czasami pragnęła wyznać wszystko Martinowi. Zastanawiała się wówczas, czy może mu się zwierzyć. Czy może dzielić strach i żal z jedyną osobą, której bezgranicznie ufała i która nigdy by jej nie zawiodła? Wyjawienie sekretu oznaczało przeniesienie ciężaru na męża.

Nie mogła tego zrobić. Miał w sobie dobroć, której być może jej brakło. Nie mogła żądać od Martina, który przysięgał ratować życie, pomocy w ukrywaniu śmierci. Zatrzymała tajemnicę tylko dla siebie. Można było podawać w wątpliwość szczerość jej miłości. Kochała jednak jeszcze mocniej, wiedząc, jak kruche jest to uczucie i jak łatwo może być jej odebrane. Gdyby Martin wiedział, czy wybaczyłby jej? Nie o to chodziło, jak sądziła. Chroniąc Frazera, zmuszona była wybierać między sumieniem a miłością. Nie mogła prosić Martina o dokonanie takiego samego wyboru, jej mąż nie zniósłby tego.

– Przypuszczam, że powinnam ją znienawidzić – powiedziała Naomi do Raymonda.

Siedzieli w salonie Raymonda w Half Moon. Na stole stały ciastka i kawa, z oddali dobiegał ich gwar z pubu.

– A co czujesz? – zapytał i zmarszczył brwi.

– Zabawne. To sytuacja, która usprawiedliwiałaby krzyki i sceny, a ja nie chcę się tak zachować. – Zanurzyła ciastko w kawie. – Max i Frazer – wiadomo było, że ta przyjaźń nie zakończy się dobrze. Max brał od Frazera, ile się dało, a gdy przyszło co do czego, pewnie powiedział, że nic nie zwróci. To musiało Frazera strasznie boleć. Ray! On zrobiłby dla Maxwella wszystko. Dosłownie wszystko. Świadomość, że został odrzucony, musiała być dla niego nie do zniesienia. – Naomi uśmiechnęła się smutno. – Czasami chciałam go zabić. Wiedziałam zawsze, że nie kochał mnie tak mocno, jak ja jego. Trudno z tym żyć.

– Tak – odpowiedział i Naomi popatrzyła na niego.

– Dużo rozmyślałam po rozmowie z panią Jago. Byłam głupia, prawda? Czepiałam się przeszłości. Udawałam, że Max i ja tworzyliśmy idealną parę, a przecież ciągle walczyliśmy ze sobą jak pies z kotem. A najgorsze jest to, że byłam złą matką dla Morven.

- Bzdura, to nie jest prawda.
- To jest prawda. Przeze mnie było jej jeszcze trudniej. Nie dość, że rosła bez ojca, to jeszcze musiała się mną opiekować.
- Przecież nie zawsze tak było, prawda?
- Oczywiście. – Uśmiechnęła się do wspomnień. – Gdy była mała, wyglądało to inaczej, czułyśmy się razem wspaniale.
- Naomi szukała w torebce chusteczki. Na kolana wypadły jej grzebień, szyfonowa chusta i puder do twarzy.
- Raymond podał jej swoją chusteczkę i objął Naomi ramieniem. Wytarła nos i powiedziała:
- Przypuszczam, że pani Jago spodziewa się, iż pójde na policję. Biedna staruszka ukrywała straszną tajemnicę przez tyle lat. To musiało być dla niej nie do zniesienia.
- I co zrobisz? Rzeczywiście pójdziesz na policję?
- Zaraz po rozmowie z nią chciałam tak zrobić. – Naomi westchnęła. – Ale potem się zastanowiłam: co by to dało? Wierzę, że doszło do wypadku. Frazer kochał Maksa i nie chciał zrobić mu krzywdy. – Zmiała chusteczkę w niekształtną kulkę. Popatrzyła na Raya. – Czy uważasz, że powinno się go tam zostawić, w tym jeziorku? Po prostu nic nie robić? Rozmawiałam o tym z Morven. Powiedziała, że to zależy ode mnie. Maxwell nie był religijny. Poza tym, cóż z niego zostało po tylu latach? Kochał ten staw, spędziliśmy nad nim cudowne chwile. Nie podoba mi się myśl o tym, że obcy ludzie wszystko zniszczą, będą tam łązić i kopać, szukając ciała. – Pociągnęła nosem i zacisnęła usta. – Wolę myśleć, że leży tam w cichym i pięknym miejscu, gdzie spędzał czas jako młody i szczęśliwy człowiek. To lepsze, niż złożenie kupki kości w jakimś kościele, o co Max nigdy nie dbał.
- Sądzę, że Morven ma rację, to zależy od ciebie.
- Pomyślałam, że zaniosem nad staw kwiaty.
- Rozumiem. Jeśli chcesz, będę ci towarzyszyć.

– Kochany Ray. – Uścisnęła jego dłoń. – Nie wiem, dlaczego jeszcze ze mną wytrzymujesz.

– Bo... – zaczął poważnie – ... jesteś piękna, zabawna i potrafisz mnie rozśmieszyć. I dlatego, że od lat cię kocham. – Naomi uśmiechnęła się i przycisnęła dłoń Raya do swojego policzka. – Co teraz zrobisz?

– Zapewne wyprowadzę się z Ravenhart. Muszę zacząć wszystko od nowa.

– Gdzie się przeprowadzisz?

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym.

– Co powiesz na przeprowadzkę tutaj ?

– Ray...

– Wszystko już obmyśliłem. Możesz zarządzać restauracją. Będziesz wizytówką lokalu, będziesz witać gości i tworzyć miły nastrój. Dałabyś sobie świetnie radę.

– Ale Ray – zaooponowała, kierując wzrok w stronę baru. – To cudowny pomysł, ale wiesz przecież... tak blisko. Ten mój problem...

– Damy sobie z nim radę – odpowiedział stanowczo.

– Ty i ja, razem. Co dwie głowy, to nie jedna. Sam wiem, co to znaczy. Oboje wiemy, że jak chcesz się napić, to przejdiesz setki kilometrów przez pustynię. Cóż to więc za problem, że bar jest tak blisko?

– A jeżeli zawiodę, jeżeli mi się nie uda? – wyszeptała.

– Zaczniemy od nowa. Bez awantur i wzajemnego obwiniania się. Obiecuję.

– Kłopot w tym, że gdy nie piję, zaczynam nienawidzić samej siebie. Czuję, jaka jestem beznadziejna. – Zaśmiała się. – Zanudzam samą siebie.

– No cóż, mnie nie nudzisz. – Ray ujął dłonie Naomi.

– Nie mówię, że będzie nam łatwo. Wiem jednak, że się będziesz starać. Nigdy nie brakowało ci odwagi. Zawsze to w

tobie podziwiałem.

– Drogi Ray. – Głos jej drżał, pogłaskała go po twarzy.

– Zarządzać twoją restauracją, nie wiem...

– I, oczywiście, wyjść za mnie za mąż. – Nie zważając na swą potężną posturę, Ray ukląkł przed Naomi.

W pierwszej chwili chciała się rozeźmiać, lecz zamiast tego powiedziała:

– Tak, Ray. Jeśli tylko chcesz.

Czy on wiedział? Czy Martin się domyślał, co mogło się stać? Czy odmowa Bess wszczęcia poszukiwań Frazera po wojnie pomogła mu wywnioskować, jaki był prawdziwy powód wyjazdu jej syna? Nigdy nie zdobędzie pewności. Martin przysiągł, że zawsze będzie ją kochać. Cokolwiek się stanie, cokolwiek ona zrobi i to wspomnienie chroniła głęboko w sercu. Zastanawiała się, jak Frazer przeżył lata między śmiercią Maxwella Gilchrista a swoją własną? Miesiącami po jego zniknięciu Bess się zamartwiała, że syn nie da sobie rady, nie mogąc żyć tak, jak dotychczas i że popełni samobójstwo. Adam nieświadomie podarował jej cenną wiadomość, że jednak tak się nie stało, że jej syn dawał sobie radę przez niemal ćwierć wieku. Dowiedziała się też, że podróżował, zwiedzał świat. „Opowiadał, jak to wspaniale spędzał czas, robiąc to czy tamto, jeżdżąc po świecie. Mówił, że nie było kraju, którego by nie odwiedził i nie było rzeczy, której by nie zrobił”. Świadomość, że Frazer czerpał radość z podróżowania i być może, odnalazł też spokój umysłu i szczęście, stała się dla Bess błogosławieństwem. Powoli uczyła się wybaczać samej sobie. Jaka byłam wtedy młoda, myślała. Tylko o rok starsza od Sama, gdy Córa Ravenhart namówiła mnie podstępnie do wyjazdu z Indii bez syna. Zbyt młoda, bezsilna i niezdolna ochronić swego największego skarbu.

Eleanor odwiedziła ją ponownie. Usiadła na łóżku.

– Mam wiele rodzinnych wieści, mamo. Rebecca wróciła do Jareda i spodziewają się dziecka. Kate wychodzi za mąż za tego faceta, który ma sklep z antykami, Olivera jakiegoś tam – i dodała niepewnie: – Obawiam się, że na takie wiadomości o mnie będziesz musiała jeszcze długo czekać. Nie sądzę, by małżeństwo i dzieci były dla mnie najlepszym rozwiązaniem.

– Nie szkodzi, kochanie. – Bess ujęła jej dłoń. – Cieszę się ze względu na Kate i Rebeccę, ale również z ciebie jestem bardzo dumna. I tak samo dumny byłby twój ojciec.

– Gdy wydobrzejesz – Eleanor uśmiechała się – przyjedziesz do mnie, do Indii z wizytą.

– Nie będę mogła, córeczko – powiedziała, czując ból w całym ciele. Spacer do łazienki ją wyczerpał.

– Dlaczego? Zawsze chciałaś wrócić do Indii, prawda mamo?

– Tak, ale, kochanie...

– Przyjedź więc. Możesz polecieć samolotem. Podróż będzie krótka.

– Jestem już za stara.

– Nie powinnaś więc tego odkładać. Chcę, abyś przyjechała do Indii. Chcę, żebyś zobaczyła, co osiągnęłam.

Bess pogłaskała córkę po twarzy.

– Moja kochana Eleanor. Nie mogę pojechać do Indii. Obawiam się, że nie ma o czym mówić.

Morven i Patrick wspinali się na Ben Liath. Patrząc w dół, widziała srebrne wstążki potoków wplecione w zielony aksamit górskich zboczy. Zatrzymali się, by odetchnąć. Wiatr szarpał im ubrania.

– Czytałeś raport? – spytała Morven.

– Napisany przez naszego przyjaciela, pana Bellamy'ego?

– Podejrzewał Frazera, prawda?

– I miał rację. Oczywiście to, że Andrew Gilchrist zabronił mu rozmawiać z panią Jago, bardzo utrudniło dochodzenie. Gilchrist zbył go historyjką o nieporozumieniu sprzed lat. Widocznie nie chciał, by Bellamy dowiedział się o gwałcie.

Morven przypomniała sobie rozmowy toczone z wujami po pogrzebie dziadka.

– Bellamy prowadził śledztwo w sprawie zaginięcia Maxwella mniej więcej w tym samym czasie, gdy Simon Voyle, asystent dziadka, zaczął rozpuszczać o nim niepochlebne plotki. Może dziadek się bał, że sprawy z przeszłości wyjdą na światło dzienne i że jego pozycja będzie zagrożona. – Przysłoniła oczy dłonią, patrząc w dół na dolinę. – Oczywiście pani Jago nigdy by nie powiedziała detektywowi, co ją spotkało. Do chwili rozmowy z mamą w zeszłym tygodniu, utrzymywała to w sekrecie przed wszystkimi, oprócz męża. Dziadek nie mógł tego jednak wiedzieć.

Zarzucili plecaki na plecy i podjęli wspinaczkę.

– Bellamy pracował niedbale – odezwał się Patrick. – Powinien był przycisnąć służbę. Bain postraszył go strzelbą, ale Bellamy mógł dojść do tego, że to właśnie Bain chciał wykurzyć twoją matkę z Ravenhart. Przypuszczam, że Bain zachował klucz i korzystał z niego od czasu do czasu. Zakradał się do środka i hałasował w nocy. Bellamy w ogóle nie rozmawiał z pokojówką, Phemie. Uważał, że jest nierozumna i przez to nieużyteczna. A to właśnie Phemie, oczywiście prócz pani Jago, wiedziała, że do domu myśliwskiego poszli obaj: Max i Frazer, i że wrócił tylko Frazer.

– Dlaczego nic nie powiedziała?

– Chroniła Frazera. Była oddaną służącą. Właściwie, chyba się w nim kochała. Pamiętasz, jak troskliwie dbała o pokój i rzeczy Frazera, gdy zniknął? – Patrick popatrzył przed siebie. – Czy to już wierzchołek, czy znów się rozczaruję, gdy się okaże,

że trzeba się dalej wspinać?

– To już szczyt.

Ostatnie strome podejście, noga Patricka nie jest w złej formie, pomyślała. Patrick zapytał:

– Raport mówił kilkakrotnie o powieści twojego ojca. Czy wiesz, co się z nią stało?

– Pytałam o to mamę. Przechowywała ją przez te wszystkie lata. Pokazała mi ją wczoraj wieczorem. Kartki są nieco nadpalone na brzegach, mama chciała ją kiedyś spalić, ale rozmyśliła się.

– Czy ją przeczytasz?

– Już zaczęłam – przytaknęła. – Jakbym słyszała głos ojca. – Przerwała i po chwili dodała niepewnie: – W raporcie jeszcze coś było, coś wspaniałego. Pan Bellamy rozmawiał z dziewczyną, Jenny Watts, przyjaciółką ojca. Powiedziała mu, że ojciec się cieszył na narodziny dziecka. Cieszył się, że przyjdę na świat.

– Oczywiście, że się cieszył. – Patrick uśmiechnął się do niej. – Jak mogłoby być inaczej?

Wziął ją za rękę, gdy się wspinali, pokonując ostatnie metry. Na szczycie Morven uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Gratuluje, udało ci się. – Patrzyli na góry wyrastające przed nimi jedna za drugą, niczym fale szare i zielone, otoczone tajemniczą mgłą. – Teraz już nic cię tu nie trzyma i wrócisz do Glasgow.

– Już wkrótce.

– Rodzina i przyjaciele zapewne za tobą tęsknią. Twoja dziewczyna... – Zerknęła na niego.

– Nie mam dziewczyny. – Pokręcił głową. – Teraz akurat nie mam. A ty, Morven? Czy wrócisz do Londynu?

– Może wrócę.

– A co z twoją pracą?

– Zatrudnili już kogoś na moje miejsce. Ale sprzedawanie perfum starym, bogatym damom nie jest tym, co chciałabym w życiu robić.

– Co zatem chcesz robić?

– Nie wiem. Do tej pory nie miałam szansy się przekonać. Chciałabym jednak, by było to coś zabawnego i ekscytującego.

– Czy musi to być w Londynie?

– Niekoniecznie. Wyjechałam do Londynu, by uciec daleko od domu. Tam czuję się wolna. Ale mama wychodzi teraz za mąż za Raymonda, mogę więc pojechać, gdzie zechcę.

Morven poczuła radość, mówiąc te słowa. „Mogę pojechać, gdzie zechcę”.

– Dostałam wczoraj list od pani Jago. Chciała zapisać mi Ravenhart House. – Wzruszyła ramionami. – Zastanawiałam się nad tym i w końcu odmówiłam. Czuję się związana, to byłby zbyt duży ciężar. Już nie chcę tego domu. Te sekrety... – Popatrzyła na niego i dodała: – Obawiam się, że obciążylam cię sekretami mojej rodziny, mój ojciec...

– Ależ ja świetnie dochowuję tajemnic. – Spojrzał jej w oczy. – Nie martw się o mnie.

– Rozmawiałam o tym z mamą. Gdy wyjdzie na jaw, co się stało z ojcem, powiemy, że Frazer działał sam. Jediną osobą, która może temu zaprzeczyć jest Adam, ale on na pewno nie pójdzie na policję. Gdy pomyślę, co dziadek zrobił pani Jago... – Głos Morven załamał się. Wzięła głęboki wdech. – Ona zamierza sprzedać posiadłość.

– A zatem, co teraz?

– Teraz musimy zejść w dół. – Uśmiechnęła się.

– Za chwilę. – Ujął ją za nadgarstek. – Chcę ci coś powiedzieć.

Morven poczuła radość, coś wisało w powietrzu.

– Czy lubisz Glasgow?

– Nie jest złe. – Ciągłe się uśmiechała. – Ale co miałabym tam robić?

– Mogłabyś pracować dla mnie. Interes się rozrasta. Nauczyłbym cię wszystkiego. Co ty na to?

– Brzmi wspaniale.

Przeciagnął delikatnie palcami po jej policzku.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, od razu zaczniemy od wyjaśnienia, czy nie będzie tu konfliktu interesów – kurtki zasześciły i zazgrzytały suwaki, gdy ją do siebie przyciągnął. Musnął wargami jego usta. – Tak, to musi być jasne od początku.

## Posłowie – trzy miesiące później

Na lotnisku Heathrow, czekając na samolot, Bess wspominała ostatni raz, gdy podjęła tę podróż. Płynęła przez Ocean Indyjski, Morze Czerwone i Kanał Sueski aż do Morza Śródziemnego. Przypomniła sobie upał panujący w Port Saidzie i chłodniejsze powietrze nad Gibraltarem i wzdłuż wybrzeży Hiszpanii. Przybili do brzegu w Southampton. Jechała dalej pociągiem, a potem taksówką aż do hotelu, w którym spodziewała się spotkać ojca. Pamiętała, z jakim przejęciem wyglądała przez okno samochodu, starając się dojrzeć coś wśród mgły, zobaczyć kraj, który miał stać się jej domem na ponad pięćdziesiąt lat.

Podróż ciągnęła się tygodniami. Tym razem dotrze do Kalkuty następnego dnia wieczorem, lecąc przez Kair i Karaczi. Córka będzie na nią czekać na lotnisku. W jej mieszkaniu odpocznie kilka dni po podróży. Eleanor zaplanowała trzytygodniowy urlop, aby razem z matką zwiedzać kraj.

Zapowiedziano lot Bess. Podniosła walizkę. Stojąc w kolejce do odprawy, czuła ogarniające ją podniecenie.

Wyszła z terminalu. Już teraz zdawało jej się, że oddycha powietrzem Indii, czuje zapach gorąca i przypraw. To jak powrót do domu, pomyślała.

Szła przez płytę lotniska do samolotu.